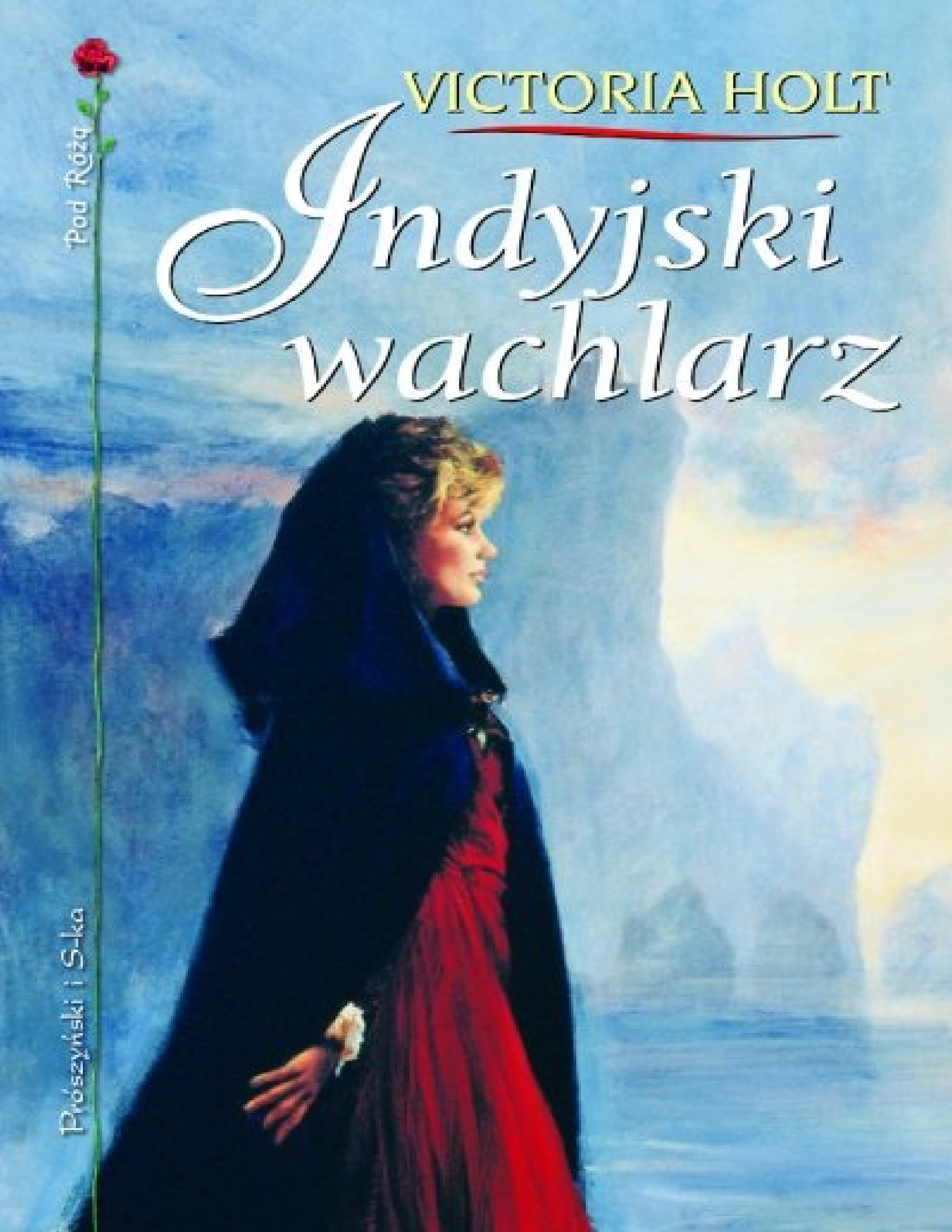


Pod Różą

VICTORIA HOLT

Indyjski wachlarz

Prószyński i S-ka



Indyjski Wachlarz

Tytuł oryginału The India Fan

(tłum. Ewa Horodyska)

2003

Anglia i Francja

Wielki Dom

Odkąd sięgnę pamięcią, fascynował mnie wielki dom Framlingów. Być może zaczęło się to wówczas, gdy w wieku dwóch lat zostałam uprowadzona przez Fabiana Framlinga i spędziłam tam dwa tygodnie. Był to dom pełen cieni i tajemnic, co odkryłam w trakcie poszukiwania wachlarza z pawich piór. W długich korytarzach, w galerii, w cichych pokojach za każdym zakrętem czaiła się przeszłość, która wywierała wpływ na czas teraźniejszy i zacierała go - choć nigdy do końca.

Lady Harriet Framling od niepamiętnych czasów sprawowała niepodzielną władzę nad naszą wioską. Kiedy powóz, ozdobiony herbem Framlingów, przejeżdżał drogą, wieśniacy z szacunkiem ustawiali się po obu stronach i składali niskie ukłony, a kobiety dygały głęboko.

Mówiono o niej szeptem, jak gdyby w obawie, że wymieniono jej imię nadaremnie; w moich dziecięcych wyobrażeniach była równa królowej i druga po Panu Bogu. Nic zatem dziwnego, że gdy jej syn Fabian nazwał mnie swą niewolnicą, nie zgłosiłam - mając zaledwie sześć lat -

żadnego sprzeciwu. My, prostaczkowie, musieliśmy usługiwać Wielkiemu Domowi na wszelkie możliwe sposoby.

Wielki Dom - znany w okolicy po prostu jako Dom, zupełnie jakby wszyscy inni mieszkali w jaskiniach - zwał się Framling. Nie Framling Hali ani Framling Manor, lecz po prostu Framling, z akcentem na pierwszej sylabie, co nadawało nazwie bardziej imponujące brzmienie. Posiadłość należała do tej rodziny od czterystu lat. Lady Harriet popełniła megalomanię, jako że była hrabianką, a to - jak wyjaśnił mi ojciec - oznaczało, iż nie jest tylko prostą lady Framling, lecz lady Harriet. Nie należało o tym zapominać, zwłaszcza że wyświadczyła łaskę prostemu baronetowi, zostając jego żoną. Nie żył już, biedaczysko.

Doszły mnie jednak słuchy, że nieustannie wypominała mu swe wyższe urodzenie i choć przybyła do naszej wioski dopiero po ślubie, uznała rządy nami za swój obowiązek.

Ku wielkiemu utrapieniu lady Harriet małżeństwo przez długie lata pozostawało bezdzietne. Najprawdopodobniej zasypywała Wszechmogącego gorzkimi skargami z powodu tego niedopatrzenia; i nawet niebiosy nie mogły wiecznie lekceważyć lady Harriet, gdyż w wieku lat czterdziestu, po piętnastu latach od dnia ślubu, urodziła Fabiana.

Jej radość nie miała granic. Lady Harriet świata poza chłopcem nie widziała. Stało się dla niej oczywiste, że jej syn musi być doskonały. Wszystkie osoby niższego stanu powinny zaspokajać każdą zachciankę malca; służba potwierdzała, że sama lady Harriet kwituje jego dziecięce wybryki pobłażliwym uśmiechem.

Cztery lata po narodzinach Fabiana przyszła na świat Lawinia. Jako dziewczynka, zajmowała w hierarchii niższą pozycję niż brat, lecz była córką lady Harriet, a zatem istotą stojącą znacznie wyżej niż reszta społeczności.

Zawsze fascynował mnie ich widok, gdy kroczyli główną nawą kościoła - przodem szła lady Harriet,

dalej Fabian, a za nimi Lawinia. Obserwowałam z nabożnym podziwem, jak zajmują miejsca w ławce i klękają na czerwono-czarnych dywanikach z wyhaftowaną literą F, dając pozostałym wiernym sposobność obejrzenia niezwykłego zjawiska, jakim była lady Harriet zginająca kolana w obliczu Wyższej Potęgi - co wynagradzało wszelkie niedogodności nabożeństwa.

Wpatrywałam się w nią zadziwiona, zapominając, że jestem w kościele, i dopiero szturchnięcie Polly Green przywoływało mnie do porządku.

Dwór Framlingów górował nad wioską. Zbudowano go na szczycie niewielkiego wzniesienia, co sprawiło, że zdawał się czujnie wypatrywać najdrobniejszych oznak grzechu.

Zamek, który stał tam już za czasów Wilhelma Zdobywcy, przebudowano w następnych stuleciach, tak iż prawie nic nie przetrwało z epoki pretudorowskiej. Przejście wiodło przez stróżówkę z wieżyczkami na dolny dziedziniec, gdzie roślinność pieniała się na murach, a krzewy w donicach rosły bujnie i malowniczo. Na dziedzińcu stały ławeczki, widoczne z okien o szybach oprawnych w ołów - ciemnych i tajemniczych. Zawsze wyobrażałam sobie, że za tymi oknami kryje się jakiś obserwator, który donosi o wszystkim lady Harriet.

Przez nabijane ćwiekami drzwi wchodziło się do sali bankietowej o ścianach obwieszonych portretami dawno zmarłych Framlingów - tych porywczych i tych łagodnych.

Sufit był wysoki i sklepiony; długi i wypolerowany stół pachniał woskiem i terpentyną, a na ścianie nad ogromnym kominkiem rozpościerało gałęzie drzewo genealogiczne. W jednym końcu sali znajdowały się schody wiodące do kaplicy, w drugim zaś drzwi do dalszych pomieszczeń.

Moje dziecięce lata upłynęły w przekonaniu, że cała wioska krąży niczym planeta wokół wspaniałego, gorejącego słońca, jakim była rezydencja Framlingów.

Nasz dom, tuż obok kościoła, był asymetryczny i hulały po nim przeciągi. Często słyszałam, że ogrzanie go kosztuje majątek. Oczywiście w porównaniu z dworem Framlingów wydawał się mały, lecz pomimo rozpalonego kominka w salonie, ogrzewającego także kuchnię, wejście w zimie na piętro kojarzyło mi się z wyprawą za krąg polarny. Ojciec nie zwracał na to uwagi. Życie codzienne niewiele go obchodziło. Duchem przebywał w starożytnej Grecji i bliżsi mu byli Aleksander Wielki i Homer niż parafianie.

O matce nie wiedziałam prawie nic, ponieważ miałam zaledwie dwa miesiące, gdy zmarła. Zastąpiła ją Polly Green, ale dopiero kiedy skończyłam dwa lata i zdążyłam się już zapoznać ze sposobem postępowania Framlingów. Polly miała zapewne około dwudziestu ośmiu lat, gdy się u nas zjawiła. Była wdową i zawsze marzyła o dziecku, więc zajmąwszy miejsce mojej matki, traktowała mnie jak własną córkę. Trudno o lepszy układ. Pokochałam Polly i ona niewątpliwie obdarzyła mnie miłością. W trudnych chwilach szukałam pociechy w jej czułych objęciach. Gdy poparzyłam się gorącym puddingiem, gdy upadłam i otarłam sobie kolana, gdy śniły mi się w nocy gobliny i rozwścieczone olbrzymy - biegłam do Polly. Nie wyobrażałam sobie życia bez Polly Green.

Przyjechała z Londynu, miasta, któremu - jej zdaniem - nie dorównywało żadne miejsce na świecie. „Dla ciebie zagrzebałam się na prowincji”, mawiała. Gdy zwracałam jej uwagę, że zagrzebać można

kogoś tylko pod ziemią na cmentarzu, marszczyła brwi i odpowiadała: „No cóż, na jedno wychodzi”. Pogardzała wsią. „Same pola, gdzie nie ma co ze sobą zrobić. Co innego Londyn”. I opowiadała o miejskich ulicach, na których zawsze „coś się działo”, o placach targowych oświetlanych nocą naftowymi latarniami, straganach z piętrzącymi się stertami owoców i warzyw, starych ubrań i wszystkiego, „co tylko ci przyjdzie do głowy”; i o kramarzach pokrzykujących na swój charakterystyczny sposób.

„Pewnego pięknego dnia zabiorę cię tam i sama zobaczysz”.

Polly jako jedyna z nas nie darzyła lady Harriet zbyt wielkim szacunkiem.

- No bo kim ona w końcu jest? - pytała. - Niczym się nie różni od innych. Chyba że tytułem przed nazwiskiem.

Nie znała lęku. Potulne dyganie było obce jej naturze. Nie kulila się pod żywopełotem, gdy powóz przejeżdżał drogą. Kroczyła naprzód, ściskając mocno moją dłoń i nie rozglądając się na boki.

Polly miała siostrę, która mieszkała z mężem w Londynie.

- Biedna Eff - powtarzała. - On nie jest wart złamanego szeląga.

Nigdy nie mówiła o szwagrze inaczej niż „on”, zupełnie jakby nie zasługiwał na imię.

Był leniwy i Eff wszystko musiała za niego robić.

- Gdy się z nim zaręczyła, powiedziałam jej: „Nie będziesz miała lekkiego życia, jak się za niego wydasz, Eff”. Ale czy ona mnie kiedykolwiek słuchała?

Uroczyście kręciłam głową, ponieważ znałam odpowiedź.

A zatem w czasach dzieciństwa Polly stanowiła ośrodek mojego życia.

Wielkowiejskie maniery odróżniały ją od nas, wieśniaków. Ilekroć ktoś usiłował przypuścić atak, krzyżowała ramiona i przybierała wojowniczą postawę, onieśmielając przeciwników.

Zwykła mawiać, że „w niczym niczego nie można jej zarzucić”, a gdy zauważyłam -

wprowadzona przez guwernantkę, pannę York, w zawilosci angielskiej gramatyki - że podwójne przeczenie równa się twierdzeniu, odpowiedziała krótko: „Ejże, chcesz mi dopiec?”.

Bardzo kochałam Polly. Była moją i tylko moją sojuszniczką; razem stawiałyśmy czoło lady Harriet i reszcie świata.

Zajmowałyśmy pokoje na piętrze plebanii. Sąsiednie sypialnie; tak było od dnia jej przyjazdu i żadna z nas nie pragnęła zmiany. Bliska obecność Polly napełniała mnie spokojem i błogością. Na poziomie strychu mieścił się jeszcze jeden pokój. Polly rozpałała tam miły, ciepły ogień na kominku i w zimie opiekaliśmy chleb i kasztany. Wpatrywałam się w płomienie, a Polly opowiadała mi o życiu w

Londynie. Wyobrażałam sobie stragany, Eff i Jego”, a także małe mieszkanie Poiły oraz jej męża marynarza. Wyobrażałam sobie Poiły czekającą na niego, na tę chwilę, gdy zjawi się w swych workowatych spodniach, białej czapce z napisem „HMS Triumphant” i z białym płóciennym workiem na ramieniu. Jej głos drżał lekko, gdy mówiła o tonącym statku.

- Nic nie zostało - kończyła. - Nic, co by mi go przypominało. Żadne maleństwo.

Zwracałam jej uwagę, że cieszę się z tego, bo gdyby miała „maleństwo”, nie byłabym jej potrzebna. Odpowiadała mi szorstko, ze łzami w oczach.

- Ejże, spójrz no tylko na mnie. Chcesz wzruszyć staruszkę?

Mimo to tuliła mnie w ramionach.

Z naszych okien widać było cmentarz - rozchwiane stare nagrobki, pod którymi spoczywali ludzie zmarli dawno temu. Odczytując napisy, zastanawiałam się, jacy byli za życia. Niektóre kamienie leżały od tak dawna, że napisy niemal się zatarły.

Nasze obszerne pokoje miały okna po obu stronach. Z jednej widziało się cmentarz, z drugiej zaś wiejskie błonia ze stawem i ławkami, na których gromadzili się staruszkowie, rozmawiając lub przesiadując w milczeniu i wpatrując się w wodę, zanim poczłapali do gospody na kufel piwa.

- Z jednej strony śmierć - pokazywałam Polly - a z drugiej życie.

- Śmieszna z ciebie dziewczuszka - odpowiadała po każdej tego rodzaju dziwacznej uwadze.

W skład naszego gospodarstwa domowego wchodził ojciec, ja, moja guwernantka -

panna York, Polly, pani Janson - kucharka i gospodyni oraz Daisy i Holly, fertyczne siostry, zajmujące się porządkami. Dowiedziałam się później, że obecność guwernantki zawdzięczałam matce, która przeznaczyła swój posag na moje wykształcenie - najlepsze, jakie można otrzymać, choć wymagało największych wyrzeczeń.

Kochałam ojca, lecz Polly odgrywała w moim życiu ważniejszą rolę. Ilekroć widziałam go krocącego przez cmentarz w drodze z kościoła na plebanię, w białej komży, z modlitewnikiem w rękę i rozwianymi siwymi włosami, odczuwałam głęboką potrzebę zapewnienia mu opieki. Wydawał się taki bezbronny, niezdolny do troszczenia się o siebie, iż trudno było go sobie wyobrazić w roli duchowego pasterza naszej trzódki - zwłaszcza gdy należała do niej lady Harriet. Musiałyśmy mu przypominać o posiłkach i o wkładaniu czystych ubrań; nieustannie gubił okulary, które odnajdywały się w nieoczekiwanych miejscach. Wchodził do pokoju i zapominał, po co tam wszedł. Na ambonie tryskał

elokwencją, większość parafian jednak z pewnością nie rozumiała aluzji do klasyków i starożytnych Greków.

- Zapodziałyby gdzieś własną głowę, gdyby nie miał jej przytwierdzonej do karku -

zauważyła Polly typowym dla siebie na poły ciepłym, na poły wzgardliwym tonem. Darzyła go jednak sympatią i w razie potrzeby broniła z pomocą całej swej barwnej retoryki, niekiedy zdecydowanie odmiennie niż nasza.

Przygodę, z której tak niewiele zapamiętałam, przeżyłam w wieku dwóch lat. Znałam ją ze słyszenia i czułam, że coś mnie łączy z Wielkim Domem. Gdyby wtedy była ze mną Polly, nigdy by do tego nie doszło; i przypuszczam, że właśnie wówczas mój ojciec doszedł

do wniosku, że powinnam mieć opiekunkę, której można zaufać.

To, co się wydarzyło, odzwierciedla charakter Fabiana Framlinga i obsesyjną miłość jego matki.

Fabian miał wówczas około siedmiu lat, Lawinia była o cztery lata młodsza, ja zaś urodziłam się rok po niej. Poznałam szczegóły dzięki przyjaźni łączącej naszą służbę ze służbą Framlingów.

Pani Janson, nasza kucharka i gospodyni, która wspaniale pracowała, zaprowadziła na plebanii dyscyplinę i utrzymywała wszystko w jakim takim porządku, opowiedziała mi całą historię.

- Najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałam - oznajmiła. – To była sprawka młodego panicza Fabiana. Jego lordowska mość daje im wszystkim do wiwatu... od początku tak było.

Dla lady Harriet jest ósmym cudem świata. Wielmożna pani nie pozwala, by ktoś mu się sprzeciwił. Mały Cezar, oto, kim jest. Jeśli jego zachcianki nie zostaną spełnione, wpada w furję. Ciekawe, co będzie, kiedy podrośnie. No więc, mały książę czuje się znudzony.

Zachciało mu się czegoś nowego i wymyśla sobie, że zostanie ojcem. A skoro tego pragnie, to tak ma być. Słyszałam, że cokolwiek zechce, to dostanie. A coś takiego nikomu nie wyjdzie na dobre, mówię szczerze, panno Druzyłło.

Zrobiłam odpowiednio zaaferowaną minę, ponieważ bardzo chciałam usłyszeć dalszy ciąg.

- Ty byłaś wtedy w ogrodzie. Niedawno nauczyłaś się dobrze chodzić i bardzo ci się to podobało. Nie powinni byli cię zostawić samej. To ta May Higgs, płoża dziewczyna.

Oczywiście przepadała za dziećmi, ale wtedy spotykała się z Jimem Fellingsem, no i on właśnie przyszedł. Jak się rozchichotała, tak niczego nie zauważyła. Panicz Fabian postanowił

zabawić się w ojca, a ojciec musi mieć dziecko. Zauważył cię i uznał, że się nadajesz. No i zabrał cię do domu. Byłaś jego dzieckiem, a on zamierzał zostać twoim ojcem.

Pani Janson popatrzyła na mnie, wsparłszy się pod boki. Parsknęłam śmiechem. Cała ta historia wydała mi się bardzo ładna i zabawna.

- No i co dalej, pani Janson? Co się później stało?

- Wielkie nieba, ależ się rozpętała awantura, kiedy zniknęłaś! Nikt nie miał pojęcia, gdzie się mogłaś podziać. I wtedy lady Harriet posłała po twego ojca. Był kompletnie oszołomiony, biedaczysko.

Zabrał z sobą May Higgs. Płakała i obwinała siebie za to, co się stało, zresztą słusznie. Wiesz, tak mi się wydaje, że od tego dnia coś się popsuło między nią a Jimem Fellingsem. Uważała, że to wszystko przez niego. A rok później wyszła za Charliego Claya.

- Proszę opowiedzieć, jak tata przyszedł po mnie do Wielkiego Domu.

- Ależ się rozpętała burza! Co tam burza, istne tornado. Panicz Fabian wpadł w szal.

Za nic nie chciał cię oddać. Byłaś jego dzieckiem, sam cię znalazł. Zamierzał pozostać twoim ojcem. Ośłupieliśmy wszyscy, gdy proboszcz wrócił bez ciebie. Zapytałam go: „Gdzie dziecko?”, a on na to: „Zostanie w Wielkim Domu jeszcze dzień, może dwa”. Byłam wstrząśnięta. „Przecież ona jest taka mała!”. Odparł: „Lady Harriet zapewniła mnie, że otoczy ją troskliwą opieką. Zajmie się nią piastunka panny Lawinii. Nie stanie się jej żadna krzywda.

Na samą myśl o utracie Druzylli Fabian dostał takiego ataku wściekłości, iż lady Harriet zaczęła się obawiać, że zrobi sobie coś złego”. Powiedziałam pastorowi: „Niech ksiądz zapamięta moje słowa, ten chłopak – choć jest synem samej lady Harriet - źle skończy”. Nie dbałam o to, czy moje słowa dotrą do lady Harriet. Musiałam powiedzieć, co myślę.

- A więc spędziłam w Wielkim Domu dwa tygodnie?

- Co do dnia. Podobno to był naprawdę komiczny widok, jak panicz Fabian się tobą zajmował. Woził cię po ogrodzie w spacerowym wózek panienki Lawinii. Sam karmił cię i ubierał. Słyszałam, że wyglądało to doprawdy śmiesznie. Zawsze lubił twarde chłopięce gry, a tu nagle zmienił się w mamę. Byłby cię przekarmił, gdyby nie niania Cuffley. Przynajmniej raz ostro mu się sprzeciwiła, a on ustąpił. Musiał cię naprawdę polubić. Kto wie, ile by to trwało, gdyby nie przyjechała lady Milbanke ze swoim synem Ralphem, o rok starszym od panicza Fabiana. Ralph śmiał się z niego i mówił, że to tak, jakby bawić się lalkami. To, że lalka jest żywa, nie miało znaczenia. Tak mogą się bawić tylko dziewczynki. Niania Cuffley powiedziała, że panicz Fabian bardzo się zdenerwował. Nie chciał, żebyś odeszła, ale chyba uznał opiekę nad dzieckiem za zajęcie niegodne mężczyzny.

Przepadałam za tą opowieścią i wielokrotnie domagałam się jej powtarzania.

Tuż po tym wydarzeniu zjawiała się Polly.

Ilekoć dostrzegałam Fabiana - zazwyczaj z daleka - spoglądałam na niego ukradkiem i widziałam oczyma duszy, jak troszczy się o mnie. To było zabawne; zawsze się z tego śmiałam. Miałam przy tym wrażenie, że przyglądał mi się w szczególny sposób, choć zazwyczaj udawał, że mnie nie widzi.

Nasza pozycja społeczna - pastor znajdował się na tym samym szczeblu co lekarz i adwokat, choć naturalnie głęboka przepaść dzieliła nas od wyżyn zajmowanych przez Framlingów - powodowała, że od czasu do czasu zapraszano mnie na podwieczorek do panny Lawinii.

Zaproszenia te nie sprawiały mi szczególnej przyjemności, lecz zawsze byłam podekscytowana, wchodząc do Domu. Przed owymi podwieczorkami prawie go nie znałam.

Widziałam tylko dużą salę, ponieważ kiedyś podczas dobroczynnego festynu zaczęło padać i

pozwolono nam schronić się przed deszczem w środku. Nigdy nie zapomnę dreszczu emocji, który poczułam, idąc po schodach i mijając zbroję, zapewne przerażającą po zmroku. Byłam pewna, że ta zbroja żyje i śmieje się z nas ukradkiem.

Lawinia była wyniosła, apodyktyczna i bardzo piękna. Przypominała tygrysięcę: miała płowe włosy, a w jej zielonych oczach zapalały się złote iskierki; piękne białe zęby błyskały spod wąskiej górnej wargi. Drobnny nos był leciutko zadarty, co dodawało jej twarzy pikanterii. Najpiękniejsze wydawały się jednak jej bujne, falujące włosy. Tak, była bardzo pociągająca.

Wyraźnie pamiętam pierwszą wizytę. Towarzyszyła mi panna York. Powitała nas panna Etherton, guwernantka Lawinii, i między obiema nauczycielkami natychmiast nawiązała się nić porozumienia.

Zaprowadzono nas na podwieczorek do obszernego pokoju lekcyjnego o ścianach wyłożonych boazerią i witrażowych oknach. Stały tam duże szafy, kryjące - jak się domyślałam - tabliczki, ołówki i zapewne książki. Przy długim stole niewątpliwie odrabiali lekcje poprzednie pokolenia Framlingów.

Lawinia i ja obrzuciłyśmy się dość nieprzyjaznymi spojrzeniami. Zanim wyszłam z domu, Polly udzieliła mi instrukcji: „Pamiętaj, że nie jesteś gorsza niż ona. A może nawet lepsza”. Wciąż mając w uszach te słowa, potraktowałam Lawinię raczej jako przeciwniczkę niż potencjalną przyjaciółkę.

- Zjemy podwieczorek w pokoju lekcyjnym – powiedziała panna Etherton - a potem możecie się lepiej poznać.

Posłała pannie York niemal konspiracyjny uśmiech. Najwyraźniej obie czekały na chwilę wytchnienia od swych podopiecznych.

Lawinia poprowadziła mnie do ławeczki w wykuszowym oknie i usiadłyśmy tam.

- Mieszkasz w tej okropnej starej plebanii - zauważyła. - Faj!

- To bardzo miły dom - odparłam.

- Nie taki jak nasz.

- Mimo to jest miły.

Lawinia wydawała się zgorszona moim sprzeciwem i poczułam, że nie nawiążemy kontaktu tak łatwo, jak panna York z panną Etherton.

- W co się zwykle bawisz? - spytała.

- Och... w zgadywanki z moją nianią Polly i z panną York.

Czasami wyobrażamy sobie, że jedziemy w podróż dookoła świata i wymieniamy wszystkie miejsca, przez które prowadzi nasza droga.

- Co za nudna gra!

- Wcale nie.

- A właśnie, że tak - oświadczyła tonem ucinającym dalszą dyskusję.

Pokojówka w wykrochmalonym czepku i fartuszku wniosła podwieczorek. Lawinia podbiegła do stołu.

- Nie zapominaj o gościu - powiedziała panna Etherton. - Druzyłło, zechcesz usiąść tutaj?

Podano chleb z masłem i dżemem truskawkowym oraz ciasteczka z kolorowym lukrem.

Panna York nie spuszczała ze mnie oczu. Najpierw chleb z masłem. Sięganie od razu po ciastka byłoby przejawem złego wychowania. Lawinia jednak nie przestrzegała zasad i wzięła sobie ciasteczko. Panna Etherton spojrzała przeproszająco na pannę York, która udała, że niczego nie zauważa. Gdy zjadłam kromkę chleba, poczęstowano mnie ciastkami.

Wybrałam jedno - z niebieskim lukrem.

- To ostatnie niebieskie - odezwała się Lawinia. – Chciałam je zjeść.

- Lawinio! - upomniała ją panna Etherton.

Lawinia nie zwróciła na nią uwagi. Wpatrywała się we mnie, najwyraźniej oczekując, że oddam jej ciastko. Przypomniałam sobie nauki Polly i nie zrobiłam tego. Podniosłam je z namysłem z talerzyka i odgryzłam kęs.

Panna Etherton wzruszyła ramionami i spojrzała na pannę York.

Nie był to zbyt przyjemny podwieczorek.

Przypuszczam, że obydwie guwernantki odczuły znaczną ulgę, gdy wreszcie dobiegł

końca i mogły zostać same, poleciwszy nam, abyśmy poszły się pobawić.

Ruszyłam za Lawinia, która powiadomiła mnie, że będziemy się bawiły w chowanego. Wyjęła z kieszeni pensa i powiedziała: „Rzucimy monetę”. Nie rozumiałam, co ma na myśli. „Zagramy w orła i reszkę” - wyjaśniła.

Wybrałam orła.

Podrzuciła monetę i złapała ją w dłonie tak, że nie mogłam nic zobaczyć.

- Wygrałam - oznajmiła. - To znaczy, że ja wybieram. Ty się chowasz, a ja szukam.

Idź. Liczę do dziesięciu...

- Gdzie...? - zaczęłam.

- Gdziekolwiek.

- Ale ten dom jest taki duży... że nie wiem.

- No pewnie, że jest duży. To nie twoja głupia plebania. – Popchnęła mnie. - Idź już.

Zaczynam liczyć.

Oczywiście, była panią Lawinia z Wielkiego Domu, o rok starszą niż ja.

Wykazywała dużą swobodę i obycie, a ja występowałam w roli gościa. Dowiedziałam się od panny York, że goście często muszą się pogodzić z krępującymi sytuacjami i robić rzeczy, na które nie mają ochoty. Należało to do ich obowiązków.

Opuściłam pokój, w którym Lawinia kontynuowała złowrogie odliczanie. Trzy, cztery, pięć... Brzmiało to jak uderzenia dzwonu pogrzebowego.

Pobiegłam przed siebie. Odnosiłam wrażenie, że dom się ze mnie wyśmiewa. Jak mogłam ukryć się w tym miejscu, jeśli zupełnie go nie znałam?

Przez chwilę poruszałam się na oślep. Natknęłam się na jakieś drzwi, które otworzyłam. Prowadziły do niewielkiego pokoju. Stały w nim krzesła z oparciami obszytymi niebiesko-żółtą szydełkową koronką. Moją uwagę przyciągnął sufit, na którym wymalowano tłuste amorki wśród obłoków. Dalej znajdowały się drugie drzwi, a za nimi korytarz.

Nie było gdzie się schować. Nie wiedziałam, co robić. Może powinnam wrócić do pokoju lekcyjnego, odszukać pannę York i powiedzieć, że chcę do domu? Żałowałam, że nie ma przy mnie Polly. Ona nigdy nie pozostawiłaby mnie na łaskę i niełaskę panią Lawinii.

Musiałam spróbować wrócić tą samą drogą. Cofnęłam się - jak sądziłam - po własnych śladach. Dotarłam do drzwi, spodziewając się, że lada chwila zobaczę tłuste amorki na suficie, lecz było to zupełnie inne pomieszczenie. Znalazłam się w długiej galerii z rzędami obrazów na ścianach. Na samym jej końcu stało podium z klawesynem i połączanymi krzesłami.

Bojaźliwie przyjrzałam się portretom. Miałam wrażenie, że spoglądają z nich żywi ludzie, pełni pretensji, iż ośmieliłam się wkroczyć na ich terytorium.

Czułam, że ten dom szydzi ze mnie, i żałowałam, że nie ma tu Polly. Byłam bliska paniki. Doznawałam niepokojącego wrażenia, że nigdy nie wydobędę się z tej pułapki i do końca życia będę się błąkała, szukając drogi na zewnątrz.

Na końcu galerii znajdowały się drzwi. Przeszłam przez nie i zobaczyłam przed sobą następny długi korytarz. Stałam u stóp schodów. Miałam do wyboru: iść dalej albo wrócić do galerii. Weszłam po stopniach; prowadziły do następnego korytarza i następnych drzwi.

Otworzyłam je zuchwale i znalazłam się w ciasnym, mrocznym pomieszczeniu.

Pomimo wzbierającego lęku poczułam narastającą fascynację. Ten pokój miał w sobie coś obcego. W oknach wisały ciężkie brokatowe zasłony i dziwnie tam pachniało. Dowiedziałam się później, że kadzidłem i olejkiem sandałowym. Rzeźbione drewniane stoły pyszniły się mosiężnymi ornamentami. Na widok tego ekscytującego miejsca zapomniałam o strachu. Na gzymsie kominka stał wachlarz. Był przepiękny: miał cudowny odcień błękitu i zdobiły go duże czarne plamy. Rozpoznałam je, gdyż widziałam wcześniej pawie na ilustracjach. Był to wachlarz z pawich piór. Zapraǳęłam go dotknąć. Wspięłam się na palce i zdołałam musnąć pióra. Były bardzo miękkie.

Potem rozejrzałam się po pokoju. Dostrzegłam drzwi i podeszłam do nich. Może tam znajdę kogoś, kto wskaże mi drogę powrotną do sali lekcyjnej i panny York.

Otworzyłam drzwi i zajrzałam ostrożnie.

Czyjś głos zapytał:

- Kto tam?

Weszłam i odpowiedziałam:

- Druzylla Delany. Przyszłam na podwieczorek i zgubiłam się.

Ruszyłam naprzód. Ujrzałam fotel z wysokim oparciem i siedzącą w nim staruszkę.

Nogi miała przykryte pledem, co wskazywało, że jest chora. Obok stał stolik zarzucony papierami, które wyglądały jak listy.

Zerknęła na mnie, ale nie spuściłam oczu. To nie moja wina, że się zgubiłam. Nie powinno się traktować gości w ten sposób.

- Po co do mnie przyszłaś, moja mała? - spytała piskliwym głosem. Była bardzo blada i drżały jej ręce. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę ducha.

- Ja tylko bawiłam się w chowanego i zabłądziłam.

- Podejdź bliżej, dziecko.

Spełniłam jej życzenie.

- Nigdy cię wcześniej nie widziałam - oświadczyła.

- Mieszkam na plebanii. Przyszłam do Lawinii na podwieczorek i zaczęłyśmy się bawić w chowanego.

- Nikomu nie wolno mnie odwiedzać.

- Przepraszam.

Pokręciła głową.

- Czytam jego listy - powiedziała.

- Dlaczego pani to robi, skoro to panią doprowadza do łez? - spytałam.

- Był cudownym człowiekiem. Los nam nie sprzyjał. To ja zawiniłam. Zabiłam go.

Powinnam była wiedzieć. Dostałam ostrzeżenie...

Pomyślałam, że nigdy nie zdarzyło mi się widzieć kogoś równie dziwnego. Zawsze wyczuwałam w tym domu coś niezwykłego.

Oznajmiłam, że muszę wracać do sali lekcyjnej.

- Nie będą wiedzieli, gdzie się podziałam. Poza tym jestem gościem i to chyba niegrzecznie myszkować po cudzym domu, prawda?

Wyciągnęła rękę z palcami podobnymi do szponów i pochwyciła mój przegub.

Otworzyłam usta, by wezwać pomoc, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jakaś kobieta. Zdumiał mnie jej wygląd. Nie była Angielką. Miała bardzo ciemne włosy i czarne, głęboko osadzone oczy; ubrana była w coś, co - jak się później dowiedziałam

- nosiło nazwę „sari”. Ciemnoniebieski odcień jej stroju, taki jak wachlarza, bardzo mi się spodobał. Poruszając się z wdziękiem, zapytała śpiewnie:

-Ojej, panno Lucyllo, co się dzieje? Kim jesteś, mała?

Wyjaśniłam, kim jestem i skąd się tu wzięłam.

- Och, panna Lawinia... zachowała się bardzo, bardzo niegrzecznie. Zabawa w chowanego! - Uniosła ramiona. - W tym domu... a ty odnajdujesz pannę Lucyllę. Nikt tu nie przychodzi. Panna Lucylla woli samotność.

- Bardzo przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

Poklepała mnie po ramieniu.

- O nie, nie... to ta niegrzeczna panienska Lawinia. Nadejdzie dzień... - Zacisnęła wargi i złożyła ręce, wpatrując się w sufit. - Ale musisz wrócić. Pokażę ci drogę, chodź ze mną.

Ujęła moją dłoń i ścisnęła ją krzepiąco. Popatrzyłam na staruszkę. Łzy spływały powoli po jej policzkach.

- Ta część domu należy do panny Lucylli - usłyszałam. - Mieszkam z nią. Jesteśmy tutaj... a zarazem nie tutaj. Rozumiesz?

Nie rozumiałam, lecz mimo to skinęłam głową.

Wróciłyśmy przez galerię, a potem przez pokoje, których wcześniej nie widziałam, i niebawem dotarłyśmy do sali lekcyjnej.

Jakaś kobieta otworzyła drzwi. Panna York z panną Etherton były pochłonięte rozmową. Lawinii nigdzie nie widziałam. Wzdrygnęły się, gdy mnie zobaczyły.

- Co się stało? - spytała panna Etherton.

- Bawiły się w chowanego. Ta mała panienka... nie zna domu. Zabłądziła i trafiła do panny Lucylli.

- O, bardzo przepraszam - powiedziała panna Etherton. - Lawinia powinna lepiej zadbać o gościa. Dziękuję ci, Aiszo.

Uśmiechnęłam się do niej. Podobał mi się jej łagodny głos i życzliwe, ciemne oczy.

Odwzajemniła mój uśmiech i z gracją odeszła.

- Mam nadzieję, że Druzylla... ehm - zaczęła panna York.

- O, nie. Panna Lucylla mieszka osobno ze swoimi hinduskimi służącymi. Mieszkała w Indiach, wie pani. Rodzina ma powiązania z Kompanią Wschodnioindyjską. Panna Lucylla jest...trochę dziwna.

Obie guwernantki spojrzały na mnie i domyśliłam się, że wolałyby porozmawiać na ten temat w cztery oczy. Zwróciłam się do panny York:

- Chciałabym wrócić do domu.

Zrobiła niepewną minę, lecz panna Etherton uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem.

- No cóż - uległa moja guwernantka - istotnie chyba już czas.

- Jeśli musicie... - zawtórowała panna Etherton. - Nie wiem, doprawdy, gdzie też się podziała panna Lawinia. Powinna pożegnać gościa.

Lawinia odnalazła się przed naszym wyjściem. Podziękowałam jej chłodnym tonem.

- To bardzo niemądrze z twojej strony, że zabłądziłaś. No ale nie bywałaś przecież w takich domach jak ten.

Tu wkroczyła panna Etherton.

- Nie ma zapewne drugiego takiego domu, Lawinio. No cóż... chętnie was tu jeszcze zobaczymy.

Wyszliśmy razem z panną York. Szeptnęła do mnie przez zaciśnięte usta:

- Nie zamieniłabym się z panną Etherton... a podobno chłopak jest jeszcze gorszy.

Wtem przypomniała sobie, z kim rozmawia i oznajmiła, że bardzo miło spędziła czas.

Nie mogłam się z nią zgodzić, lecz dla mnie była to z pewnością niezapomniana wizyta.

Choć nie paliłam się do następnych odwiedzin, dom Framlingów coraz bardziej mnie fascynował. Ilekroć przechodziłam obok, myślałam o dziwacznej starszej damie i jej towarzyszce. Pożerała mnie ciekawość, gdyż byłam z natury dociekliwa; to mnie łączyło z Polly.

Czasami, kiedy ojciec nie był zajęty, schodziłam do jego gabinetu. Robiłam to zazwyczaj tuż po podwieczorku. Czułam się niemal jak przedmiot, na przykład okulary, o których często zapominał. Rozglądał się za nimi, gdy ich potrzebował, a o mnie przypominał

sobie z poczucia obowiązku.

Jego roztargnienie miało w sobie coś rozcudzającego. Zawsze odnosił się do mnie łagodnie i byłam pewna, że częściej by o mnie myślał, gdyby nie pochłaniała go wojna trojańska.

Rozmowa z nim przypominała grę - ojciec starał się podjąć jakiś klasyczny temat, ja zaś usiłowałam go sprowadzić na inny tor.

Zawsze pytał, jak mi idzie nauka i czy lubię moją guwernantkę. Odpowiadałam, że radzę sobie nieźle i że panna York wydaje się zadowolona z moich postępów. Kiwał głową z uśmiechem.

- Uważa, że jesteś trochę zbyt impulsywna - mówił - ale ma o tobie dobre zdanie.

- Może myśli, że jestem impulsywna, bo sama taka nie jest.

- To niewykluczone. Musisz się jednak wystrzegać pochopnych działań. Przypomnij sobie Faetona.

Nie bardzo wiedziałam, kim był Faeton, lecz gdybym o to zapytała, ojciec rozpocząłby długą opowieść, a potem przeszedł do innych postaci z odległych czasów, kiedy to ludzie zmieniali się w krzewy laurowe i inne rośliny, a bogowie przybierali postać łabędzia lub byka, zalecając się do śmiertelniczek. Takie postępowanie wydawało mi się nader dziwaczne i wprost nie do wiary.

- Ojczy - zagadnęłam - czy wiesz coś o pannie Lucylli Framling?

Jego oczy nabrały roztargnionego wyrazu. Sięgnął po okulary, jak gdyby dzięki nim mógł lepiej widzieć wspomnianą damę.

- Lady Harriet raz o niej wspominała... To ktoś z Indii, jak przypuszczam.

- Była z nią hinduska służąca. Widziałam tę starą damę. Na trafiłam na nią, gdy się zgubiłam podczas zabawy w chowanego. Ta Hinduska zaprowadziła mnie do panny York. To było ekscytujące.

- Słyszałem, że Framlingów coś łączy z Indianami. Chyba chodzi o Kompanię Wschodnioindyjską.

- Ciekawe, dlaczego panna Lucylla zamknęła się w bocznym skrzydle domu.

- Straciła ukochanego, jak mi się zdaje. To bardzo smutne. Przypomnij sobie Orfeusza, który zstąpił do krainy cieni, by odnaleźć Eurydykę.

Tajemnica panny Lucylli Framling pochłonęła mnie do tego stopnia, że pozwoliłam ojcu wygrać tę rundę. Resztę popołudnia zdominował Orfeusz i jego wyprawa do krainy cieni po małżonkę, którą utracił tuż po ślubie.

Pomimo niefortunnego początku moja znajomość z Lawinią rozwijała się dalej i choć kładł się między nami cień antypatii, dziewczynka budziła moje zainteresowanie - nie tyle zresztą ona sama, ile dom, w którym wszystko mogło się zdarzyć. Przekraczając jego próg, czułam zawsze, że czeka mnie jakaś przygoda.

Opowiedziałam Polly o zabawie w chowanego i o spotkaniu ze staruszką.

- Ech - zniecierpliwiła się - to mi dopiero miła panienka. Nie umie podejmować gości, ot co. A nazywa siebie damą.

- Powiedziała, że plebania jest ciasna.

- Niechby spróbowała wnieść węgiel na górę po tych schodach!

Parsknęłam śmiechem. Polly zawsze miała na mnie dobry wpływ.

- Ty masz w sobie sto razy więcej z małej damy niż ona, bez dwóch zdań -

oświadczyła. - Po prostu musisz stawić jej czoło. Powiedz kilka słów do słuchu, a jeśli to się jej nie spodoba, nic nie szkodzi. Tak sobie myślę, że mogłabym cię zabrać w jakieś miłe miejsce, gdzie bawiłabyś się lepiej niż w tym starym gmaszysku. Już czas postawić na nim krzyżyk, jakby mnie kto pytał.

- Och, Polly, to naprawdę wspaniały dom!

- Szkoda, że ci, co w nim mieszkają, nie potrafią się przyzwoicie zachować.

Wchodząc do Wielkiego Domu, myślałam zawsze o Polly. Powtarzałam sobie, że nie jestem gorsza od Framlingów. Lepiej się uczyłam. Podśledzałam niechętnie panią Janson, jak mówiła komuś, że panna Etherton ma nieustanny kłopot z panienką Lawinią, która nie chce przychodzić na lekcje i przez to jest opóźniona w nauce w stosunku do innych dzieci.

Wiedziałam, kim są owe „inne dzieci”, i poczułam dumę. Warto było o tym pamiętać w obecności Lawinii. Ponadto moje maniery okazały się lepsze niż jej, choć może celowo zachowywała się w nieodpowiedni sposób. Przebywałam już w towarzystwie Lawinii dostatecznie długo, by wiedzieć, że jest z natury buntowniczką.

Dzięki napomnieniom Polly, by odpłacać pięknym za nadobne, nie zachowywałam się tak niepewnie, jak za pierwszym razem.

Mój ojciec nieustannie powtarzał, że wszelka wiedza jest dobrem i nigdy jej nie za wiele. Panna York przyznawała mu rację. Istniała jednak dziedzina wiedzy, której wcale nie pragnęłam poznać.

Ponieważ lady Harriet odnosiła się przychylnie do mojej przyjaźni z Lawinią, musiałam podtrzymywać naszą znajomość. Lawinia uczyła się jeździć konno i lady Harriet orzekła, że mogę uczestniczyć w tej nauce. Ojciec był zachwycony, więc zaczęłam towarzyszyć Lawinii podczas przejażdżek. Krążyłyśmy po padoku pod czujnym spojrzeniem Joego Cricksa, głównego stajennego.

Lawinia polubiła konną jazdę i dobrze ją opanowała. Demonstrowanie, jak dalece przewyższa mnie pod tym względem, sprawiało jej wielką przyjemność. Wykonywała brawurowe manewry i nie słuchała poleceń. Nieszczęsny Joe Crieks niejedną raz najadł się strachu; a Lawinia wkrótce zażądała zwolnienia z lonży.

- Jeśli panienka chce dobrze pokierować wierzchowcem - tłumaczył Joe - to grunt, żeby się go nie bać. Niech koń wie, kto tu rządzi. Z drugiej strony... są różne niebezpieczeństwa.

Lawinia potrząsnęła płowymi lokami. Chętnie to robiła. Miała wspaniałe włosy i w ten sposób zwracała na nie uwagę.

- Dobrze wiem, co robię, Crieks - oznajmiła.

- Nie mówię, że nie, panno Lawinio. Mówię tylko, że musi panienka uważać na konia.

Może panienka wie, co robi, ale te zwierzęta łatwo się denerwują. Czasami strzela im do łbów coś, czego się człowiek nie spodziewa.

Lawinia jednak w dalszym ciągu robiła po swojemu, powodowana śmiałością i przekonaniem, że wszystko wie lepiej.

- Będzie z niej dobra amazonka - ocenił Joe Crieks. - To znaczy, jeśli nie przeszarżuje.

Panna Druzylla jest spokojniejsza. Wciągnie się z czasem... i może być naprawdę niezła.

Bardzo lubiłam te lekcje, krążenie po padoku, emocje pierwszego galopu, dreszcz towarzyszący pierwszemu cwałowi.

Pewnego popołudnia jak zwykle odprowadziłyśmy konie do stajni. Lawinia zsiadła i rzuciła wodze stajennemu. Ja zawsze zatrzymywałam się na chwilę, żeby poklepać wierzchowca i zagadać do niego, tak jak nas uczył Joe. „Nie zapominajcie - tłumaczył - że jeśli będziecie konia dobrze traktować, to on się wam odwzajemni. Konie są jak ludzie.

Musicie o tym pamiętać”.

Ze stajni ruszyłam przez trawnik w stronę domu. Miałam zjeść podwieczorek z Lawinią w pokoju

lekcyjnym. Panna York już tam siedziała, wiodąc miłą pogawędkę z panną Etherton.

W domu byli goście. To się często zdarzało, lecz nas nie dotyczyło. Bardzo rzadko widywałyśmy lady Harriet, za co byłam niewypowiedzianie wdzięczna.

Musiałam minąć otwarte okno bawialni i kątem oka dostrzegłam kilka osób oraz pokojówkę, podającą herbatę. Przemknęłam pośpiesznie, odwracając oczy. Potem przystanęłam, by zerknąć na tę część domu, w której najprawdopodobniej mieszkała panna Lucylla. I wtedy dobiegł mnie z bawialni czyjś głos:

- Kim jest to niepozorne dziecko, Harriet?

- Och, masz na myśli córkę pastora? Bywa tu dość często. Dotrzymuje towarzystwa Lawinii.

- Jakże one się różnią! No, ale Lawinia jest taka śliczna.

- O, tak... Widzisz, w naszej okolicy trudno znaleźć kogoś odpowiedniego... Odnoszę wrażenie, że to całkiem miłe dziecko. Tak uważa guwernantka, a Lawinia powinna od czasu do czasu mieć jakieś towarzystwo. Nie bardzo jest w czym wybierać, musimy się więc zadowolić tym, co mamy.

Wpatrzyłam się w przestrzeń. To ja byłam tym niepozornym dzieckiem. To ja znalazłam się tutaj z braku kogoś lepszego. Doznałam wstrząsu. Wiedziałam, że moje włosy mają nieokreślony brązowy odcień, są proste i niesforne... zupełnie inne niż płowe loki Lawinii. Moje oczy w ogóle nie miały koloru; były jak woda, niebieskawe, kiedy ubrałam się na niebiesko, zielonkawe, gdy na zielono, i bezbarwne przy brązach. Wiedziałam, że mam szerokie usta i zupełnie zwyczajny nos. Czyli na tym polegało bycie niepozorną.

A Lawinia, oczywiście, jest piękna.

W pierwszym odruchu chciałam wejść do pokoju i zażądać natychmiastowego powrotu do domu, gdyż bardzo mnie to wszystko rozstroiło. Czułam w gardle twardą gulę, ale nie płakałam. Płacz towarzyszył u mnie nieco mniej intensywnym emocjom. Zostałam głęboko zraniona i wydawało mi się, że rana nigdy się nie zagoi.

- Spóźniłaś się - powitała mnie Lawinia.

Niczego jej nie tłumaczyłam. Wiedziałam, jaka byłaby reakcja.

Popatrzyłam na nią raz jeszcze. Nic dziwnego, że mogła się niegrzecznie zachowywać. Była taka ładna, że ludziom nie przeszkadzało jej postępowanie.

Polly, rzecz jasna, zauważyła moje przygnębienie.

- Ejże, może byś mi powiedziała?

- O czym, Polly?

- Dlaczego wyglądasz jak ktoś, kto zgubił suwerena, a znalazł ćwierćpensówkę.

Nie mogłam długo udawać przed moją opiekunką, że nic się nie stało, więc opowiedziałam jej o wszystkim.

- Jestem niepozorna, Polly. To znaczy, brzydka. I zapraszają mnie tylko dlatego, że nikogo lepszego nie mogą znaleźć.

- W życiu nie słyszałam podobnych bredni! Nie jesteś brzydka. Jesteś, jak to się mówi, interesująca, a to o wiele lepiej na dłuższą metę. Jeśli nie chcesz więcej chodzić do tamtego domu, już ja o to zadbam. Pójdę do pastora i powiem, że koniec z wizytami. Z tego, co słyszę, niewiele stracisz.

- Czy ja naprawdę jestem taka niepozorna?

- Owszem. Mniej więcej tak, jak tort urodzinowy ze świeczkami.

Musiałam się uśmiechnąć.

- Masz buzię, która każe ludziom zatrzymać się i popatrzeć na ciebie drugi raz. Ta cała Lawinia, czy jak jej tam, wcale nie jest taka ładna, kiedy stroi fochy, a robi to często. Coś ci powiem. Jak tak dalej pójdzie, niedługo będzie miała kurze łapki wokół oczu i zmarszczki na całej twarzy. I powiem ci jeszcze jedno. Kiedy się uśmiechasz, rozjaśnia ci się cała buzia.

Jesteś naprawdę śliczna, daję słowo.

Polly podniosła mnie na duchu i zapomniałam o swojej brzydocie, a ponieważ Wielki Dom zawsze mnie fascynował, starałam się nie myśleć o tym, że zapraszano mnie tam wyłącznie dlatego, że nikogo lepszego nie było pod ręką.

Od czasu do czasu, choć z rzadka, zdarzało mi się widywać Fabiana. Ilekroć go zobaczyłam, przypominały mi się dni, gdy odgrywałam rolę jego dziecka. Z pewnością wszystko pamiętał, ponieważ miał siedem lat, kiedy to się zdarzyło.

Przeważnie przebywał w szkole i często spędzał wakacje z kolegami. Owi koledzy odwiedzali Wielki Dom, lecz prawie nas nie zauważali.

Pewnego razu - chyba na Wielkanoc - Fabian przyjechał do domu. Za ledwie zjawiłyśmy się tam z panną York, lunął deszcz. Po podwieczorku obydwie z Lawinia pozostawiłyśmy guwernantki oddające się zwykłej pogawędce. Zastanawiałyśmy się właśnie, co robić, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Fabian.

Bardzo podobny do siostry, tyle że znacznie dojrzalszy i wyższy, sprawiał wrażenie o wiele starszego, zwłaszcza że byłam o rok młodsza niż Lawinia, cztery lata młodsza od brata.

Musiał zatem mieć dwanaście lat, a ponieważ jeszcze nie ukończyłam siedmiu, wydawał mi się prawie dorosły.

Lawinia uwiesiła się u jego ramienia, jakby chciała oznajmić: „Oto mój brat. Wracaj sobie do panny York, już nie jesteś mi potrzebna”.

Popatrzył na mnie dziwnie - wiedziałam, że pamięta tamto wydarzenie z przeszłości.

Byłam dzieckiem, które uznał za swoje. Epizod ten musiał wywrzeć wrażenie nawet na kimś tak światowym jak Fabian.

- Zostaniesz ze mną? - poprosiła Lawinia. - Podpowiesz, co mamy robić? Pomysły Druzylli są takie niemądre. Ona lubi różne wymyślne zabawy. Panna Etherton twierdzi, że Druzylla umie o wiele więcej niż ja... z historii i tak dalej.

- Niewiele potrzeba, żeby wiedzieć więcej niż ty – zauważył Fabian.

Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, wpadłaby w furję; teraz jednak tylko zachichotała radośnie. Odkryłam ze zdumieniem, że istnieje na świecie ktoś, do kogo Lawinia czuje szacunek, nie licząc oczywiście lady Harriet, którą wszyscy darzyli respektem.

- Historia... - odezwał się z namysłem Fabian. - Lubię historię. Rzymian i tak dalej.

Mieli niewolników. Już wiem, w co się pobawimy.

- Och, Fabianie... naprawdę?

- Tak. Ja będę rzymskim cezarem.

- Którym? - spytałam.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Juliuszem... albo może Tyberiuszem.

- On był okrutny dla chrześcijan.

- Nie musisz być chrześcijańską niewolnicą. Będę cezarem, a wy moimi niewolnicami i poddam was próbie.

- Mogę zostać królową... albo ceszarową czy kimś tam, kogo oni mieli - oznajmiła Lawinia. - A Druzylla zostanie naszą niewolnicą.

- Ty też będziesz niewolnicą - zdecydował Fabian, ku mej radości, a przerażeniu siostry. - Wyznaczę wam zadania, na pozór niewykonalne, aby was wypróbować i sprawdzić, czy jesteście godne zostać moimi niewolnicami. Powiem: „Przynieście mi złote jabłka Hesperyd”... czy coś w tym rodzaju.

- Skąd je weźmiemy? - wtrąciłam. - To grecki mit, ojciec mi go opowiadał. One naprawdę nie istnieją.

Lawinię zaczęła niecierpliwie paplanina niepozornej istoty z zewnątrz.

- Wyznaczę każdej z was zadanie do wykonania, a jeśli zawiedziecie, spadnie na was mój gniew.

- Byleby to nie była wyprawa do krainy cieni i sprowadzanie zmarłych czy coś w tym rodzaju - zastrzegłam.

- Takiego rozkazu nie wydam. Zadania będą trudne... lecz wykonalne.

Złożył ramiona na piersi i zamknął oczy, jakby pogrążony w myślach. Następnie przemówił jak wyrocznia, o której niekiedy wspominał mój ojciec.

- Ty, Lawinio, przyniesiesz mi srebrny kielich. Ten, na którym są wyryte liście akantu.

- Nie - zaprotestowała Lawinia. - On stoi w nawiedzonym pokoju!

Nigdy nie widziałam jej tak wstrząśniętej i zdumiało mnie, że brat potrafił stłumić bunt w zarodku. Odwrócił się ku mnie.

- A ty przyniesiesz mi wachlarz z pawich piór. Gdy moje niewolnice powrócą, wypiję wino z kielicha i każę się wachlować wachlarzem z pawich piór.

Moje zadanie nie wydawało się zbyt trudne. Wiedziałam, gdzie znaleźć wachlarz.

Zdążyłam już lepiej poznać dom i umiałam trafić do pokoi panny Lucylli. Mogłam z łatwością wśliznąć się tam, zabrać wachlarz i przynieść go Fabianowi. I to tak prędko, że zasłużę na pochwałę, zanim nieszczęsna Lawinia zbierze odwagę, by wejść do nawiedzonego pokoju.

Pospiesznie ruszyłam w drogę. Ogarnęło mnie radosne podniecenie. Obecność brata Lawinii przypominała mi o uprowadzeniu i o tym, że mieszkałam w Wielkim Domu dwa tygodnie, zupełnie jakbym należała do rodziny. Chciałam zadziwić Fabiana szybkością, z jaką wykonam wyznaczone zadanie.

Dotarłam wreszcie do drzwi pokoju. A jeśli tam jest Aisza, ta Hinduska? Co jej powiem? „Przepraszam, czy mogę wziąć wachlarz? To taka zabawa, a ja jestem niewolnicą”.

Uśmiechnęłyby się zapewne i odrzekła „ojej” tym swoim śpiewnym tonem. Z

pewnością byłaby rozbawiona i skłonna do ustępstw; nie wiedziałam jednak, jak zareagowałyby starsza dama. Ale ona siedziała przecież w sąsiednim pomieszczeniu, okryta pledem, i płakała nad przeszłością, wyzierającą ku niej z listów.

Ostrożnie uchyliłam drzwi. Poczułam mocny zapach drewna sandałowego. Wszędzie panowała cisza. A na kominku dostrzegłam wachlarz.

Wspięłam się na palce, zdjęłam go i wybiegłam z pokoju.

Fabian popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Już go znalazłaś? - Zaśmiał się głośno. - Nigdy bym nie przypuszczał. Skąd wiedziałaś, gdzie jest?

- Widziałam go wcześniej. Wtedy, kiedy bawiłam się w chowanego z Lawinia.

Weszłam do tamtego pokoju przypadkiem, bo zablądziłam.

-Widziałaś moją ciocię Lucyllę?

Kiwnęłam głową. Nie odrywał ode mnie oczu.

- Dobrze się spisałaś, niewolnico - powiedział. - Teraz możesz mnie powachlować, gdy będę oczekiwał kielicha napełnionego winem.

- Naprawdę chcesz, żeby cię wachlować? Tu jest dość chłodno.

Zerknął w stronę okna, od którego trochę ciągnęło. Po szybie spływały krople deszczu.

- Kwestionujesz moje rozkazy, niewolnico? - spytał.

- Nie, o panie - odparłam zgodnie z regułami gry.

- Zatem wykonaj polecenie.

Wkrótce potem wróciła Lawinia z kielichem. Posłała mi jadowite spojrzenie, gdyż wykonałam zadanie wcześniej niż ona. Odkryłam, że zabawa mi się podoba.

Kielich został napełniony winem. Fabian wyciągnął się na sofie. Stałam za nim, dzierżąc wachlarz z pawich piór. Lawinia uklęknęła, wznosząc kielich.

Kłopoty nie dały na siebie długo czekać. Usłyszeliśmy podniesione głosy i szybkie kroki. Rozpoznałam głos Aiszy. Do pokoju wpadła panna Etherton, a tuż za nią panna York.

To była dramatyczna chwila. Pojawiły się inne osoby, których nie znałam i wszystkie patrzyły na mnie. Zapadła głęboka cisza, a potem panna York podbiegła do mnie.

- Coś ty zrobiła? - zawołała.

Aisza na mój widok wydała cichy okrzyk.

- To ty! Ty go wzięłaś. Ojej, ojej... A więc to ty.

Zrozumiałam, że mówią o wachlarzu.

- Jak mogłaś? - spytała panna York. Widząc moją oszołomioną minę, dodała: -

Zabrałaś wachlarz. Dlaczego?

- To... to była zabawa - wyjąkałam.

- Zabawa! - powtórzyła panna Etherton. - Wachlarz... – Jej głos drżał z emocji.

- Przepraszam... - zaczęłam.

Wtem weszła lady Harriet: Wyglądała niczym bogini zemsty i nagle poczułam, że kolana uginają się pode mną. Fabian podniósł się z sofy.

- O co tyle hałasu? - powiedział. - Była moją niewolnicą. To ja kazałem jej przynieść wachlarz.

Dostrzegłam wyraz ulgi na twarzy panny Etherton i zachciało mi się śmiać. Mógł to być śmiech nieco histeryczny, jednak śmiech.

Oblicze lady Harriet złagodniało.

- Och, Fabianie! - wyszeptała.

- Ale wachlarz... - zaczęła Aisza. - Wachlarz panny Lucylli...

- Ja jej kazałem go przynieść - powtórzył Fabian. - Nie miała wyboru, musiała mnie usłuchać. Jest moją niewolnicą.

Lady Harriet wybuchnęła śmiechem.

- No cóż, sama widzisz, Aiszo. Odnieś wachlarz pannie Lucylli. Nic złego mu się nie stało i skończmy na tym. – Odwróciła się do syna. - Lady Goodman pyta w liście, czy nie chciałbyś spędzić części letnich wakacji u Adriana. Co ty na to?

Fabian nonszalancko wzruszył ramionami.

- Pomówimy o tym? Chodź, mój drogi. Powinniśmy jej jak najspieszniej odpowiedzieć.

Chłopak wyszedł za matką, obrzuciwszy wzgardliwym spojrzeniem zebrane towarzystwo, które tak bardzo się przejęło błahostką, za jaką uznał pożyczenie wachlarza.

Incydent, jak mi się zdawało, dobiegł końca. Wszyscy ogromnie się przejęli, ponieważ wachlarz był z jakiegoś powodu ważnym przedmiotem, lecz lady Harriet wraz z Fabianem całkowicie zlekceważyli jego znaczenie.

Aisza odeszła, trzymając ostrożnie wachlarz, jakby był jakąś niezwykle kosztownością; za nią podążyły obie guwernantki. Zostałyśmy z Lawinią same.

- Muszę odnieść kielich, zanim się zorientują, że go zabraliśmy. Dziwne, że nikt jeszcze tego nie zauważył, no, ale tyle było zamieszania z tym wachlarzem. Chodź ze mną.

Nadal drżałam na skutek niedawnego wstrząsu, ponieważ to ja wykradłam wachlarz -

przedmiot najwyraźniej bardzo ważny, skoro wywołał tak wielkie zamieszanie.

Zastanawiałam się, co by było, gdyby Fabian nie oczyścił mnie z zarzutu. Pewnie na zawsze zabroniliby mi wstępu do Domu. Tego bym nie chciała, choć nigdy nie czułam się tu swobodnie. Ale fascynacja była zbyt silna. Interesowali mnie wszyscy mieszkańcy tego miejsca, nawet Lawinia, chociaż często zachowywała się niegrzecznie i nigdy nie okazywała gościnności.

Pomyślałam, jak dumnie wyglądał Fabian, okazując im wszystkim wzdargę i biorąc odpowiedzialność za to, co zrobiłam. Oczywiście był za tę sytuację odpowiedzialny i słusznie wziął winę na siebie. Jednocześnie dał do zrozumienia, że nic takiego się nie stało i że cała wrzawa jest raczej niemądra.

Poszłam potulnie za Lawinią do nieznannej mi części domu.

- Ciocia Lucylla mieszka w zachodnim skrzydle. To jest wschodnie - poinformowała.

- Idziemy do pokoju mniszki. Lepiej uważaj, ona nie lubi obcych. Ze mną to co innego.

Należę do rodziny.

- Więc dlaczego boisz się chodzić tam sama?

- Wcale się nie boję. Pomyślałam tylko, że może chcesz ją zobaczyć. Bo chyba nie macie duchów na tej waszej starej plebanii?

- Kto by chciał je mieć? Co robią dobrego?

- Pojawiają się w każdym dużym domu. Wypowiadają ostrzeżenia.

- Więc jeśli mniszka mnie przepędzi, zostawię cię na łasce losu.

- Nie, nie. Musisz tam wejść ze mną.

- A jeśli nie wejdem?

- To już nigdy więcej nie wpuszczę cię do domu.

- Nie zależy mi. Wcale nie jesteście mili... żadne z was.

- Jak śmiesz! Jesteś tylko córką pastora, a on zawdzięcza nam utrzymanie.

Obawiałam się, że Lawinia mówi prawdę. Niewykluczone, iż lady Harriet mogła nas wypędzić, gdyby była ze mnie niezadowolona. Rozumiałam Lawinię. Pragnęła mojej obecności, ponieważ bała się samotnie wejść do pokoju mniszki.

Ruszyłyśmy korytarzem. Odwróciła się i ujęła moją dłoń.

- Chodź - szepnęła. - To niedaleko.

Otworzyła drzwi. Znalazłyśmy się w niewielkim pomieszczeniu, przypominającym klasztorną celę. Ściany były puste, tylko nad wąskim łóżkiem wisiał krucyfiks. Przy stoliku stało pojedyncze krzesło. Panowała tu surowa atmosfera.

Lawinia postawiła kielich na stole i szybko wybiegła z pokoju, a ja za nią.

Pomknęłyśmy korytarzem, a potem odwróciła się do mnie z satysfakcją. Jej wrodzona zuchwałość i spokój ducha powróciły. Zaprowadziła mnie z powrotem do pokoju, w którym niewiele wcześniej Fabian leżał wyciągnięty na sofie, ja zaś wachlowałam go wachlarzem z pawich piór.

- Widzisz - powiedziała - nasza rodzina ma długą historyczną tradycję. Przybyliśmy tu z Wilhelmem Zdobywcą. A twoi przodkowie byli chłopami pańszczyźnianymi.

- Nieprawda.

- Prawda. Mniszka to jedna z naszych antenatek. Zakochała się w nieodpowiednim mężczyźnie... chyba w wikarym albo pastorze. Tacy ludzie nie mogą się żenić z kobietami z naszej rodziny.

- Ale z pewnością bywają lepiej wykształceni.

- My nie musimy się o to martwić. W przeciwieństwie do takich jak ty. Panna Etherton uważa, że umiesz więcej niż ja, choć jesteś o rok młodsza. Nic mnie to nie obchodzi.

Ja nie muszę się kształcić.

- Wykształcenie jest największym dobrodziejstwem - zacytowałam ojca. - Opowiedz mi o mniszce.

- Nie mogła poślubić swego ukochanego, bo dzieliła ich przepaść społeczna. Ojciec się sprzeciwił i wtedy ona wstąpiła do klasztoru. Ale nie mogła żyć bez tego mężczyzny, więc uciekła. Jej brat podążył za nią i zabił amanta. Sprowadzono ją do domu i zamknięto w pomieszczeniu podobnym do celi. Wypiła truciznę z kielicha i teraz straszy w tym pokoju.

Niczego tam nie zmieniano przez wieki.

-1 ty w to wierzysz?

- Ależ oczywiście.

- Pewnie bardzo się bałaś, kiedy tam weszłaś po kielich.

- Musiałam to zrobić, bo Fabian tak kazał. Pomyślałam że jeśli wypełniam jego polecenie, duch nie wyrządzi mi krzywdy.

- Można by pomyśleć, że twój brat jest kimś w rodzaju boga

- Bo jest - odparła.

Nie dało się ukryć, że w tym domu uchodził za kogoś takiego W drodze powrotnej panna York powiedziała:

- Mój Boże, co za zamieszanie z powodu jednego wachlarza Gdyby nie stał za tym panicz Fabian, byłby prawdziwy kłopot.

Wielki Dom coraz bardziej mnie fascynował. Często myślałam o zakonnicy, która wypija truciznę z kielicha i umarła z miłości. Rozmawiałam o tym z panną York; dowiedziała się od panny Etherton, że panna Lucylla dostała ataku nerwowego, gdy zauważyła zniknięcie wachlarza z pawich piór.

- Nic dziwnego, że było tyle zamieszania – skonstatowała panna York. - To bardzo źle, że Fabian kazał ci go przynieść Skąd mogłaś wiedzieć? Czysta złośliwość, tak mi się wydaje.

- Czemu ten wachlarz jest taki ważny?

- Och, to przez pawie pióra. Słyszałam, że przynoszą nieszczęście.

Zaciekawiło mnie, czy to ma coś wspólnego z mitologią grecką i czy ojciec wie cokolwiek na ten temat. Zaryzykowałam klasyczny wykład i spytałam:

- Ojczy, panna Lucylla ma wachlarz z pawich piór. To Wyjątkowy wachlarz. Czy pawie pióra mają jakieś szczególne właściwości?

- No cóż, Hera umieściła oczy Argusa na piórach w pawim ogonie. Znasz, oczywiście, tę opowieść.

Nie znałam, oczywiście, więc zapytałam, o co chodziło. Okazało się, że Zeus znowu kogoś uwiódł. Tym razem była to Io córka Inachosa, króla Argos, i Hera, żona Zeusa, dowiedziała się o wszystkim.

- Nie powinna była się dziwić - zauważyłam. - On zawsze zalecał się do nieodpowiednich kobiet.

- Istotnie. Zmienił piękną dziewicę w białą jałówkę.

- Niezwykłe. Przeważnie to on sam się w coś zmieniał.

- Tym razem wyszło inaczej. Hera była zazdrosna.

-Wcale się nie dziwię... skoro miała takiego męża. Ale powinna była już się przyzwyczać do jego postępów.

- Kazała olbrzymowi Argusowi o stu oczach obserwować Zeusa. On zaś, wiedząc o tym, posłał Hermesa, by uśpił potwora, grając na lirze, a potem go uśmiercił. Hera bardzo się o to rozgniewała i umieściła oczy martwego Argusa na piórach w ogonach swych ulubionych pawi.

- Czy dlatego pawie pióra przynoszą nieszczęście?

- A przynoszą? Jeśli się nad tym zastanowić, wydaje mi się, że kiedyś słyszałem coś na ten temat.

Zatem nie mogłam się od niego dowiedzieć więcej. Pomyślałam sobie: to przez te oczy. Patrzą cały czas... co nie udało się Argusowi za życia. Tylko dlaczego panna Lucylla tak się zmartwiła, że przestały ją obserwować?

Cała sytuacja stawała się coraz bardziej tajemnicza. Cóż to za niezwykły dom, z duchem dawno zmarłej zakonnicy i czarodziejskim wachlarzem, którego oczy śledziły właścicielkę. Ciekawe, czy ostrzegały przed groźącym niebezpieczeństwem.

Czułam, że w tym domu może się zdarzyć wszystko i tak wiele pozostawało jeszcze do odkrycia - więc chociaż zapraszano mnie tylko z braku lepszego towarzystwa dla Lawinii, pragnęłam nadal tam bywać.

Mniej więcej po tygodniu od incydentu z wachlarzem zdałam sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje. Objężdżając padok, czułam przemożną chęć zerknięcia w jedno z wysokich okien, z którego najwyraźniej mi się przyglądano. Jakiś cień pojawiał się w nim, a potem znikał. Kilkakrotnie odnosiłam wrażenie, że widzę tam kogoś. Było to dość niesamowite.

- Która część domu ma okna z widokiem na padok? - zagadnęłam pannę Etherton.

- Zachodnie skrzydło. Rzadko używane, mieszka tam panna Lucylla. Uważa się, że ta część domu należy do niej.

Domyślałam się tego, a teraz zyskałam pewność. Pewnego dnia, gdy odprowadzałam konia do stajni, Lawinia pobiegła przodem. Zawróciłam w stronę domu i wtedy dostrzegłam Aiszę. Podeszła do mnie pośpiesznie, ujęła moją dłoń i spojrzała mi w oczy.

- Panienko Druzyłlo, czekałam na panienkę. Panna Lucylla bardzo chce z panienką pomówić.

- Co takiego? - wykrzyknęłam. - Teraz?

- Tak - odrzekła. - W tej chwili.

- Lawinia na mnie czeka.

- Mniejsza o nią.

Poszłam za Aiszą, wbiegłam po schodach i dotarłam korytarzami do pokoju, w którym oczekiwała mnie stara dama.

Siedziała przy oknie wychodzącym na padok, tym samym, przez które mnie obserwowała.

- Podejdź tu, dziecko - poleciła.

Zbliżyłam się do niej. Wzięła mnie za rękę i badawczo popatrzyła mi w oczy.

- Przynieś krzesło, Aiszo - powiedziała.

Hinduska postawiła krzesło bardzo blisko swojej pani, po czym wyszła, zostawiając mnie sam na sam ze staruszką.

- Powiedz, dlaczego to zrobiłaś? - zapytała panna Lucylla. - Dlaczego ukradłaś wachlarz?

Wyjaśniłam, że Fabian był rzymskim wielmożą, a Lawinia i ja jego niewolnicami.

Poddał nas próbie, wyznaczając trudne zadania. Ja miałam przynieść wachlarz z pawich piór, a ponieważ wiedziałam, że znajduje się w tym pokoju, przyszłam i zabrałam go.

- A zatem Fabian jest w to zamieszany. On i ty. Ale to ty wzięłaś wachlarz, co oznacza, że przez chwilę znajdował się w twoim posiadaniu... Twoim. To zostanie ci zapamiętane.

- Kto mi to zapamięta?

- Los, drogie dziecko. Przykro mi, że zabrałaś ten wachlarz. Mogłaś sobie wziąć bez szkody cokolwiek innego do zabawy, ale w pawich piórach kryje się coś... niesamowitego. I złowrogiego.

Przeszył mnie dreszcz i rozejrzałam się po pokoju.

- Czy przynoszą nieszczęście? - spytałam.

Przez jej twarz przemknął cień smutku.

- Jesteś miłą dziewczynką i przykro mi, że go dotknęłaś. Teraz musisz bardzo się pilnować.

- Dlaczego? - zapytałam podekscytowana.

- Ten wachlarz sprowadza na ludzi tragedie.

- Jak to możliwe?

- Nie wiem. Wiem tylko, że tak jest.

- Jeśli tak, to czemu pani go zatrzymała?

- Ponieważ płacę za swą własność.

-W jaki sposób?

- Płacę szczęściem mego życia.

- Czy nie lepiej byłoby wyrzucić wachlarz?

Pokręciła głową.

- Nie. Tego zrobić nie wolno. W ten sposób przekazałabym klątwę dalej.

Klątwę! Wszystko to brzmiało coraz mniej realnie. Usuwało w cień nawet opowieść ojca o dziewczynie przemienionej w białą jałówkę.

- Dlaczego? - spytałam.

- Ponieważ tak zostało zapisane.

- Przez kogo?

Pokręciła głową, lecz ja drążyłam temat.

- Czemu kilka piór miałoby przynosić nieszczęście? To w końcu tylko przedmiot i kto chciałby skrzywdzić jego właścicielkę? Paw, którego ogon posłużył do sporządzenia tego wachlarza, zdechl już dawno temu.

- Nie byłaś w Indiach, moje dziecko. Zdarzają się tam dziwne rzeczy. Widywałam na bazarach mężczyzn, którzy obłaskawiali jadowite węże. Widziałam sztuczkę z liną, kiedy pewien człowiek wzrokiem zmusił kawał sznura, aby zawisł pionowo w powietrzu, a mały chłopiec wspinał się po tej linie. Gdybyś znalazła się w Indiach, uwierzyłabyś w takie rzeczy.

Tutaj ludzie są racjonalistami i wszelka mistyka jest im obca. Gdybym nie dostała tego wachlarza, byłabym dziś szczęśliwą żoną i matką.

- Dlaczego pani mnie obserwuje? Czemu pani po mnie posłała i teraz mówi mi to wszystko?

- Ponieważ wachlarz znalazł się w twoich rękach. Miałaś go, więc pech może cię dosięgnąć. Powinnaś na siebie uważać.

- Ani przez chwilę nie myślałam, że jest mój. Zabrałam go na krótko, bo Fabian mi kazał. Nic więcej. To była tylko zabawa.

Ona jest obłąkana, myślałam. Jakże wachlarz może kryć w sobie zło? A czy można zmienić kobietę w białą jałówkę? Mój ojciec zdawał się w to wierzyć, co wywierało niezwykle wrażenie. Przynajmniej mówił tak, jakby w to wierzył. No, ale starożytni Grecy byli dla niego bardziej realni niż współcześni domownicy.

- Skąd pani wie, że wachlarz przynosi nieszczęście? - zapytałam.

- Z powodu tego, co mi się przydarzyło. - Zwróciła ku mnie tragiczne spojrzenie, lecz jej oczy zdawały się patrzeć w przestrzeń, jak gdyby widziała coś, czego nie było w pokoju. -

Czułam się taka szczęśliwa - podjęła. - Może tak wielkie szczęście to błąd, kuszenie losu.

Gerald był wspaniałym człowiekiem. Poznałam go w Delhi, nasze rodziny prowadziły tam interesy. Rodzice pomyśleli, że dobrze mi zrobi, jeśli wyjadę tam na pewien czas. Anglicy i członkowie

Kompanii, to znaczy Kompanii Wschodnioindyjskiej, chętnie biorą udział w życiu towarzyskim, więc i my w nim uczestniczyliśmy. Gerald i jego krewni również. Był

taki przystojny i czarujący... zupełnie inny niż wszyscy. Zakochaliśmy się w sobie już pierwszego dnia. - Uśmiechnęła się do mnie. - Jesteś za młoda, by to zrozumieć, moje dziecko. To było coś... doskonałego. Nasi krewni bardzo się cieszyli. Mogliśmy się pobrać bez przeszkód i wszyscy byli zachwyceni, gdy ogłosiliśmy zaręczyny. Moja rodzina wydała bal z tej okazji. Świat mienił się wszystkimi barwami. Szkoda, że nie potrafię ci opisać Indii, moja droga. Wiedliśmy tam cudowne życie. Kto mógł przewidzieć, że czeka nas tragedia?

Przyszła nagle... jak złodziej w środku nocy. Tak chyba napisano w Biblii. I dosięgła mnie.

- Czy spowodował ją wachlarz? - zapytałam drżącym głosem.

- Ach, ten wachlarz! Jacy byliśmy wówczas młodzi! Jacy naiwni! Poszliśmy razem na bazar, gdyż po oficjalnych zaręczynach było to dopuszczalne. Cudowne miejsce. Bazary są fascynujące, aczkolwiek zawsze nieco się lękałam tam chodzić, choć nie z Geraldem, naturalnie. Tyle wrażeń... zaklinacze węży, kręte uliczki, dziwna muzyka, ostre zapachy, tak typowe dla Indii. Towary wystawione na sprzedaż... przepiękny jedwab i kość słoniowa, egzotyczne potrawy. Ekscytujące przeżycie. W pewnej chwili dostrzegliśmy sprzedawcę wachlarzy. Od razu przyciągnęły mój wzrok. Zawołałam: „Jakie piękne!”. Gerald odrzekł:

„Istotnie, bardzo ładne. Powinnaś mieć coś takiego”. Pamiętam człowieka, który je sprzedawał. Był kaleką i nie mógł stać, siedział więc na dywaniku. Pamiętam jego uśmiech.

Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale później sobie przypomniałam. Kryło się w nim zło.

Gerald rozwinął jeden z wachlarzy i wręczył mi go. Ten wachlarz stał się dla mnie tym cenniejszy, że to on go wybrał. Rozbawił go mój zachwyt. Gdy ruszyliśmy dalej, mocno trzymał mnie pod rękę. Ludzie oglądali się za nami po drodze, zapewne dlatego, że wyglądaliśmy na tak szczęśliwych. Już u siebie w pokoju rozpostarłam wachlarz i położyłam na stole, by móc na niego ciągle spoglądać. Kiedy weszła moja hinduska służąca, w jej oczach odbiła się zgroza. „Wachlarz z pawich piór... Och, nie, nie, panienko Lucyllo, one przynoszą nieszczęście... Nie wolno panience trzymać go tutaj”. „Nie bądź niemądra -

odrzekłam jej. - Podarował mi go mój narzeczonny i dlatego zawsze pozostanie dla mnie cenną pamiątką. To pierwszy prezent od niego”. Służąca pokręciła głową i zakryła twarz dłońmi, jakby pragnęła odgrodzić się od wachlarza. A potem powiedziała: „Odniosę go sprzedawcy...

choć teraz należy do panienki i zło już się tu zakradło, lecz może tylko małe zło”.

Pomyślałam, że jest szalona, i nie pozwoliłam jej dotknąć wachlarza. - Panna Lucylla umilkła, a po jej policzkach popłynęły łzy. - Pokochałam ten wachlarz - podjęła swą opowieść. - Był

pierwszym podarunkiem od Geralda po naszych zaręczynach. I pierwszym przedmiotem, na który spoglądałam, budząc się rano. Powtarzałam sobie, że nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy Gerald mi go

kupił. Śmiał się z mojego zauroczenia. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, lecz teraz już wiem: znalazłam się pod jego urokiem. „To tylko wachlarz - powiedział raz Gerald. -

Czemu aż tak ci na nim zależy?” Wy tłumaczyłam, dlaczego, on zaś oznajmił: „Wobec tego postaram się, by był istotnie wart twojej uwagi. Każę wprawić w uchwyt coś drogocennego, abyś zawsze pamiętała, ile dla mnie znaczysz”. Dodał, że zanieś wachlarz do znajomego jubilera w Delhi, zręcznego w swoim fachu. A gdy dostanę prezent z powrotem, naprawdę będę miała się czym pochwalić. Przepęłniały mnie zachwyty i szczęście. Powinnam była wiedzieć, że to nie może długo trwać. Gerald zabrał wachlarz i udał się do śródmieścia. Nigdy nie zapomniałam tego dnia, każda sekunda wryła się na zawsze w moją pamięć. Wszedł do sklepu jubilera. Przebywał tam dość długo. A kiedy wyszedł... już na niego czekali. Często zdarzały się różne incydenty, Kompania wprawdzie panowała nad sytuacją, lecz nie brakowało szaleńców. Nie rozumieli, ile dobrego robimy dla ich kraju, i chcieli nas wypędzić.

Rodzina Geralda bardzo się tam liczyła... podobnie jak moja; tamci dobrze go znali. Gdy opuścił sklep jubilera, zastrzelili go. Zginął na ulicy.

- Co za smutna historia. Bardzo mi przykro, panno Lucyllo - wybąkałam.

- Widzę, moja droga. Dobrze z ciebie dziecko. Żałuję, że wzięłaś ten wachlarz.

- Wierzy pani, że to wszystko jego wina?

- Mój narzeczony znalazł się tam przez ten wachlarz. Nigdy nie zapomnę oczu służącej. Ci ludzie posiadli pewną mądrość, której nam brakuje. Tak bardzo żałuję, że w ogóle zobaczyłam ten wachlarz, że tamtego ranka poszłam na bazar. Jakaż byłam wtedy beztroska, jaka wesoła... Okazałam lekkomyślność, która odebrała mu życie, a moje zniszczyła.

- To mogło się zdarzyć w jakimkolwiek innym miejscu.

- Nie. Zawinił wachlarz. Bo widzisz, Gerald zaniósł go do jubilera. Tamci z pewnością go śledzili i zaczęli się na zewnątrz.

- Przypuszczam, że coś podobnego mogłoby się przydarzyć i bez wachlarza.

Pokręciła głową.

- Po jakimś czasie powrócił do mnie. Pokażę ci go.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, a po jej policzkach spływały łzy. Weszła Aisza.

- No już, już - powiedziała. - Nie trzeba tego wszystkiego wspominać. Ojej, ojej, to dla pani niedobrze... bardzo niedobrze.

- Aiszo - przerwała panna Lucylla - przynieś mi wachlarz.

- Nie - zaprotestowała służąca - Niech pani o nim zapomni... nie szarpie sobie nerwów.

- Przynieś go, proszę.

Więc przyniosła.

- Spójrz, dziecko, zrobił to dla mnie. Trzeba wiedzieć, jak przesunąć tę wstawkę.

Widzisz, tu jest taki malutki zatrask. Ten jubiler był bardzo zręczny w swoim rzemiośle.

Odsunęła płytkę w uchwycie wachlarza i ujrzałam roziskrzony szmaragd w otoczeniu nieco mniejszych diamentów. Zaparło mi dech na widok czegoś tak pięknego.

- Powiedzieli, że teraz jest wart majątek, jakby chcieli mnie w ten sposób pocieszyć.

Jakby cokolwiek mogło mnie pocieszyć. Ale dostałam to w podarunku od niego. Dlatego wachlarz jest taki cenny.

- Jeśli jednak ma przynosić nieszczęście...

- Już przyniósł. Nic więcej mi zrobić nie może. Odłóż go na miejsce, Aiszo, dobrze?

Opowiedziałam ci o tym, dziecko, ponieważ przez chwilę wachlarz należał do ciebie. Musisz być bardzo ostrożna. Jesteś dobrą dziewczynką. Wracaj teraz do Lawinii. Spełniłam swój obowiązek. Miej się na baczności... przed Fabianem. Bo widzisz, on ponosi część winy. Może zło cię ominie, gdyż wachlarz bardzo krótko znajdował się w twoich rękach. A na niego również spada odpowiedzialność...

- Na panienkę już czas - oznajmiła Aisza.

Zaprowadziła mnie do drzwi, a potem wraz ze mną ruszyła korytarzem.

- Nie należy zważać na to, co mówi - pocieszyła mnie. – Jest bardzo smutna i jej myśli błędzą. Przeżyła okropny wstrząs, rozumie panienka. Proszę się tym nie trapić. Może nie powinnam panienki tu sprowadzać, ale domagała się tego. Musiała z panienką porozmawiać, inaczej nie zaznałaby spokoju. Teraz spadł jej kamień z serca. Rozumie panienka?

- Tak, rozumiem.

Powiedziałam sobie w duchu: To, co się wydarzyło, wpędziło ją w obłąd.

Upiorna mniszka we wschodnim skrzydle i obłąkana staruszka w zachodnim sprawiały, że ten dom coraz bardziej mnie fascynował.

Z upływem czasu przestałam myśleć o wachlarzu z pawich piór i zastanawiać się nad okropnościami, jakie mogą mnie spotkać za jego przyczyną. Nadal odwiedzałam Wielki Dom, guwernantki traktowały mnie przyjaźnie, a w moich relacjach z Lawinią zaszła pewna zmiana. Mogłam wyglądać niepozornie i gościć tam jedynie dlatego, że w okolicy nie było innej dziewczynki w odpowiednim wieku, a moja pozycja społeczna nie pozwalała mi zupełnie zdyskredytować, lecz miałam nad

Lawinią drobną przewagę: ona była wprawdzie niezwykle piękna, ale ja byłam inteligentniejsza. Panna York pochwaliła się mną przed panną Etherton, a potem, gdy panna Etherton zachorowała, zastępowała ją przez pewien czas; wtedy ujawniła się różnica między mną a Lawinią. Bardzo mi to pomogło i również na nią wywarło korzystny wpływ.

Dorastałam. Nie pozwalałam się już wykorzystywać. Zagroziłam kiedyś, że zaprzestanę odwiedzin, jeśli zachowanie Lawinii nie ulegnie poprawie - a ona najwyraźniej łaknęła mojego towarzystwa. Zbliżyłyśmy się trochę do siebie, a nawet - w pewnym sensie -

zawarliśmy sojusz. Może byłam nieładna, lecz za to inteligentna. Ona była piękna, nie potrafiła wszakże myśleć rozsądnie i nie miała takiej wyobraźni jak ja. Choć za nic by się do tego nie przyznała, to mnie pozostawiała inicjatywę.

Od czasu do czasu widywałam Fabiana. Przyjeżdżał do domu na święta i ferie, niekiedy przywożąc kolegów. Ignorowali nas; zauważyłam jednak, że moja obecność nie jest Fabianowi aż tak obojętna, jak stara się udawać. Dostrzegałam jego ukradkowe spojrzenia.

Nadal pamiętał zapewne owo porwanie sprzed lat, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem.

Szeptano po kątach, że panna Lucylla jest obłąkana. Pani Jan-son przyjaźniła się z kucharką z Wielkiego Domu, więc miała wiadomości - jak to ujęła - z pierwszej ręki. Polly była jak kawka, chwyciła każdą połyskującą plotkę i chowała ją w sobie tylko znanym miejscu, by potem, jak to określała, „dogodzić wszystkim”.

Często rozmawiałam o Wielkim Domu z Polly, której fascynacja Framlingami okazała się mniejsza niż moja.

- Starsza pani jest obłąkana - mówiła - i to bez dwóch zdań. Pomieszało jej się w głowie, gdy ten jej ukochany zginął w Indiach. Te barbarzyńskie kraje przynoszą nam tylko kłopoty. Pannie Lucylli brak piątej kleпки. Pani Brent powiada, że staruszka teraz błąka się po domu i wydaje im rozkazy jak czarnym służącym. To przez te podróże do Indii. Nie rozumiem, czemu ludzie nie potrafią usiedzieć w miejscu. Wydaje się jej, że wciąż przebywa w Indiach. Aisza troszczy się o nią, jak potrafi. I jest jeszcze jeden czarny służący.

- To Imam. On również pochodzi z Indii. Chyba go tu przywiozła... razem z Aiszą, naturalnie.

- Aż mnie dreszcze przechodzą. Te cudaczne stroje, czarne oczy i ten ich jazgot.

- To nie jazgot, Polly. To ich język.

- Czemu nie wzięła sobie do opieki jakiejś miłej brytyjskiej pary? A jeszcze ten nawiedzony pokój i jakaś mniszka. I kłopoty miłosne. Nie wiem. Moim zdaniem lepiej trzymać się z daleka od miłości.

- Z Tomem myślałaś inaczej.

- Nieczęsto znajduje się kogoś takiego jak mój Tom, daję słowo.

- Ale można mieć nadzieję. Dlatego dziewczęta się zakochują.

- Wymądrzasz się, moja panno. Spójrz tylko na naszą Eff.

- Mąż nadal jej dokucza?

Polly tylko mlasnęła językiem.

O dziwo, po naszej rozmowie nadeszły wieści o „nim”. Najwyraźniej od pewnego czasu cierpiał na „sercowe dolegliwości”, jak to określała Polly. Pamiętam dzień, w którym nadeszła wiadomość o jego śmierci. Polly była głęboko wstrząśnięta. Nie wiedziała, co to oznacza dla Eff.

- Muszę pojechać na pogrzeb - oznajmiła. - Należy, mimo wszystko, okazać trochę szacunku zmarłemu.

- Za życia niezbyt go szanowałaś - wytknęłam jej.

- Po śmierci patrzy się na ludzi inaczej.

- Dlaczego?.

- Och, ty z tym twoim „co” i „dlaczego”. Po prostu patrzy się inaczej i tyle.

- Polly - zaczęłam - czy mogę pojechać z tobą na pogrzeb?

Utkwiła we mnie zdumione spojrzenie.

-Ty? Eff zupełnie się tego nie spodziewa.

- Więc zrobmy jej niespodziankę.

Poiły umilkła. Widziałam, że zastanawia się nad moim pomysłem.

- No cóż - zaczęła wreszcie - to byłoby okazanie szacunku.

W ten sposób dowiedziałam się, że szacunek nieodłącznie towarzyszy pogrzebom.

- Musimy poprosić twojego ojca o zgodę - powiedziała po chwili.

- On nawet nie zauważy, że wyjechałam.

- Nie powinnaś tak mówić o swoim ojcu.

- Dlaczego? Przecież to prawda. I niech tak pozostanie. Nie chciałabym, żeby okazał zbyt duże zainteresowanie moimi sprawami. Sama mu powiem.

Istotnie, wydawał się nieco zaskoczony, gdy mu o tym wspomniałam. Uniósł dłonie, by poprawić

okulary, których - jak się okazało - nie miał na nosie. Przez chwilę wyglądał

bezzadnie, jak gdyby bez nich nie potrafił sobie poradzić z sytuacją. Na szczęście znalazłam je na biurku i od razu mu podałam.

- Chodzi o siostrę Polly i okazanie szacunku - wyjaśniłam.

- Mam nadzieję, że w związku z tym nie zechce nas opuścić.

- Opuścić! - To mi nie przyszło do głowy. - Oczywiście, że nie zechce.

- Może zapragnie zamieszkać z siostrą.

- Och, nie! - wykrzyknęłam. - Ale chyba powinnam pojechać na ten pogrzeb.

- To może być dość makabryczna ceremonia. Klasa robotnicza lubi celebrować takie uroczystości... wydaje na to ostatni grosz.

- Chcę tam pojechać, ojcze. Chcę poznać siostrę Polly. Bez przerwy mi o niej opowiada.

Skinął głową.

- No dobrze, w takim razie jedź.

- To potrwa kilka dni.

-Trudno. Przynajmniej Polly będzie się tobą opiekować.

Polly bardzo się ucieszyła, że z nią jadę, i powiedziała, że Eff będzie zachwycona.

Wzięłam zatem udział w uroczystościach pogrzebowych i uznałam je za nader pouczające.

Zdumiały mnie rozmiary domu Eff. Jego okna wychodziły na błonia, wokół których, niczym wartownicy, stały czteropiętrowe budynki.

- Eff zawsze lubiła zielen - poinformowała mnie Polly. - Tu ją ma. Kawałek wiejskiego krajobrazu, a stukot kopyt końskich przypomina jej, że nie mieszka w głuszy.

- To się nazywa umieć dbać o własne sprawy - zauważyłam.

- Cóż, trudno zaprzeczyć - przyznała Polly.

Eff była starsza od siostry o jakieś cztery lata, lecz wyglądała na więcej. Gdy o tym napomknęłam, Polly odrzekła: „Życie tak jej dokuczyło”. Nie wspomniała o „nim”, ponieważ zmarł, a jak zdążyłam zauważyć, ludzkie grzechy po śmierci traciły znaczenie w obliczu należnego zmarłym szacunku; wiedziałam jednak, że to przez „niego” Eff postarzała się przedwcześnie. Zdziwiłam się, gdyż nie sprawiała wrażenia kobiety, która dałaby się łatwo zastraszyć - nawet Jemu”. Pod wieloma

względami przypominała Polly: w podobny sposób patrzyła na świat i wykazywała tę samą pewność siebie, z góry udaremniającą wszelkie próby zdobycia nad nią przewagi. Podczas mego krótkiego pobytu u niej dostrzegłam również u innych takie samo podejście do życia. Było to coś, co przypisywano rodowitym londyńczykom, a co niewątpliwie narodziło się na ulicach wielkiego miasta.

Dzięki owej wizycie dokonałam ważnych odkryć. Znalazłam się w innym, fascynującym świecie. Polly była częścią owego świata i pragnęłam go lepiej poznać.

Na początku Eff czuła przede mną lekką treść. Nieustannie za coś przepraszała - „z pewnością nie do tego panienka przywykła” - aż wreszcie Polly powiedziała jej:

- Nie trap się o Druzyllę, Eff. Ona i ja świetnie się ze sobą zgadzamy. Prawda?

Zapewniłam Eff, iż tak istotnie jest.

Od czasu do czasu siostry parskały śmiechem i mówiły o Jego” zwłokach, spoczywających na marach we frontowej bawialni.

- Świetnie się prezentuje - oświadczyła Eff. - Pani Green go przygotowała i zrobiła dobrą robotę.

Siedziałyśmy w kuchni rozmawiając. Osoba, o której była mowa, w niczym nie przypominała dawnego potwora; zamierzałam napomknąć o tym Polly, lecz kopnęła mnie lekko pod stołem, w samą porę przypominając o szacunku dla zmarłych.

Spałyśmy z Polly w jednym pokoju. Pierwszej nocy, leżąc w łóżku, rozmawiałyśmy o pogrzebach i o tym, jak to nikt nie wiedział o Jego” chorobie, dopóki go „nagle nie wzięło”.

Bliskość Polly dodawała mi otuchy w tym obcym domu, zwłaszcza że pod nami w bawialni leżał zmarły.

Nadszedł wielki dzień. Przypominałam sobie później niejasno dostojnych pracowników zakładu pogrzebowego w cylindrach i czarnych płaszczach, konie z pióropuszcami i trumnę „z prawdziwego dębu z mosiężnymi okuciami”, jak wyjaśniła z dumą Eff.

Na trumnie piętrzył się stos kwiatów. Eff ofiarowała „uchylone bramy niebios”, co wydało mi się nieco zbyt optymistyczne, zważywszy reputację jej męża - przedśmiertną, ma się rozumieć. Pośpieszyłyśmy z Polly do kwiaciarni i kupiłyśmy wieniec w kształcie harfy, również niezbyt odpowiedni. Zaczynałam jednak pojmować, że śmierć wszystko zmienia.

Odbył się uroczysty pogrzeb, podczas którego wdowę z jednej strony podtrzymywała Polly, z drugiej zaś pan Branley, wynajmujący u niej pokoje. Opuściła głowę i nieustannie ocierała oczy chusteczką z czarnym obrąbkiem. Zaczęłam podejrzewać, że to, co Polly o

„nim” mówiła, nie było prawdą.

W bawialni podano sherry i kanapki z szynką - z podniesionymi żaluzjami i bez trumny pokój

wyglądał zupełnie inaczej, wprowadzie nieco sztucznie, jakby nikt go nie używał, lecz żalobna chmura zniknęła.

Przekonałam się, że Polly i Eff łączy głęboka więź, choć wytykały sobie nawzajem to i owo - Polly ganiła Eff za małżeństwo z „nim”, a Eff krytykowała siostrę za pójście na służbę. Dawała do zrozumienia, że ich ojciec z pewnością by tego nie pochwalał. Przyznała jednak, iż jest to służba szczególnego rodzaju i Polly niemal należy do rodziny tego pastora, który ciągle chodzi z głową w chmurach, ja zaś wyglądam na miłą dziewczuskę.

Domyślałam się, że Eff nie grożą kłopoty finansowe. Polly powiedziała mi, że to Eff utrzymywała dom na błoniach. „On” nie pracował od lat z powodu swojego serca, Eff zaś wynajmowała pokoje. Branleyowie mieszkali u niej już dwa lata i stali się bardziej przyjaciółmi niż lokatorami. Naturalnie pewnego dnia, kiedy ich mały szkrab podrośnie, będą musieli pomyśleć o własnym domku z ogródkiem, na razie jednak nie należało się tego obawiać.

Zrozumiałam, że Branleyowie zawdzięczają sympatię Eff przede wszystkim

„szkrabowi”. Chłopczyk miał pół roku, ślinił się i ryczał bez powodu. Eff pozwalała im trzymać dziecięcy wózek w holu - ustępstwo, którego ojciec nigdy by nie zaaprobował - by pani Branley mogła wywozić synka na świeże powietrze. Eff lubiła te chwile; Polly - jak przypuszczałam - również. Gdy mały leżał w ogrodzie w swoim wózku, Eff zawsze znajdowała jakiś pretekst, by tam zejść i popatrzeć na niego. Jeżeli płakał, co zdarzało się dość często, obydwie zagadywały do niego, plotąc różne niedorzeczności w rodzaju:

„Dzidzius cie do mamusi?”. W ich ustach brzmiało to naprawdę dziwacznie, ponieważ miały

- jakby powiedziała pani Janson - „cięte języki”. To dziecko całkowicie je odmieniało.

Doszłam do wniosku, że zarówno Eff, jak i Polly bardzo żałują, iż nie mają własnych dzieci. Małe dziecko wydawało się niezwykle atrakcyjną istotą - nawet Fabian pragnął je mieć.

Dobrze zapamiętałam, co wydarzyło się dwa dni po pogrzebie. Nazajutrz miałyśmy wracać na plebanię, więc Polly chciała w pełni wykorzystać nasz ostatni dzień i zabrała mnie na West End, do najelegantszej dzielnicy Londynu.

Po powrocie usiadłam w kuchni przy ogniu. Byłam tak śpiąca, że zapadłam w drzemkę. Usłyszałam jeszcze głos Polly.

- Spójrz na Druzyllę. Już prawie usypia. Nieźle się dzisiaj nachodziłyśmy, możesz mi wierzyć.

A potem rzeczywiście usnęłam.

Nagle coś mnie obudziło. Eff i Polly siedziały przy stole, na którym stał duży fajansowy imbryk. Eff mówiła właśnie:

- Tak sobie myślę, że mogłabym przyjąć jeszcze ze dwie osoby.

- Nie wiem, co by ojciec powiedział na to, że bierzesz lokatorów.
- W takich miejscach, jakie ja będę miała, nazywa się ich pensjonariuszami. Wiesz, Poll, Martinowie z sąsiedniego domu zamierzają się wyprowadzić i tak myślę, czy by go nie kupić.
- Po co?
- Żeby przyjąć więcej pensjonariuszy, rzecz jasna. Tak sobie myślę, że mogłabym naprawdę rozkręcić ten interes.
- Chyba tak.
- I będzie mi potrzebna pomoc.
- Co zrobisz? Poszukasz kogoś, kto z tobą zamieszka?
- Chciałabym, żeby to był ktoś znajomy. Ktoś, komu mogę zaufać.
- Dobry pomysł.
- Zgodziłabyś się, Poll?

Zapadła długa cisza. Byłam już zupełnie rozbudzona.

- Prowadziłybyśmy ten interes we dwie - podjęła Eff. - Byłoby miło założyć taką spółkę. A ty na służbie... no cóż, sama wiesz, że ojcu by się to nie podobało.
- Nie opuszczę Druzylli. To dziecko wiele dla mnie znaczy.
- Miła dziewczuszka. Żadna z niej piękność, jest jednak bystra i chyba coś w sobie ma.
- Pst! - uciszyła ją Polly. Zerknęła na mnie, więc natychmiast zamknęłam oczy.
- No ale to nie będzie trwało wiecznie, Poll. Tak sobie myślę, że siostry powinny trzymać się razem.
- Gdyby nie ona, od razu bym z tobą zamieszkała, Eff.
- Ale pomysł ci się podoba, co?
- Chciałabym tu wrócić. Wieś jest śmiertelnie nudna, a ja lubię, jak coś się dzieje.
- Nie musisz mi tego mówić! Zawsze taka byłaś i będziesz. Cała ty, Poll.
- Zostanę z nią, dopóki będzie mnie potrzebowała.
- Przemysł to sobie. Przecież nie chcesz do końca życia wysługiwać się innym. Nigdy ci to nie odpowiadało.

- Och, tu nie ma co mówić o wysługiwaniu. Pastor ma miękkie serce... a ona jest dla mnie jak córka.

- Dobrze by nam się razem żyło. I pracowało.

- Przyjemnie mi będzie pomyśleć, że mam ciebie, Eff.

A zatem w moje życie wkradła się kolejna obawa. Nadejdzie dzień, w którym utracę Polly!

- Polly - zapytałam tamtego wieczoru, gdy się położyliśmy - nie odejdiesz ode mnie, prawda?

- O czym ty mówisz?

- Mogłabyś się przeprowadzić do Eff.

- Ejże! Kto słuchał tego, czego nie powinien? I udawał, że śpi? Wiem. Przejrzałam cię.

- Ale nie odejdiesz, prawda, Polly?

- Nie. Zostanę, dopóki będę wam potrzebna.

Uściskałam ją, trzymając mocno, jakbym się bała, że mi ucieknie.

Bardzo długo nie mogłam zapomnieć tej rozmowy, gdy Eff roztoczyła przed Polly kuszącą perspektywę swobody.

Francuska przygoda

Czas płynął, skończyłam czternaście lat, a moje życie wciąż biegło mniej więcej takim samym torem. Nadal uczyła mnie panna York, a Poily była moją przyjaciółką, pocieszycielką i mentorką. Nadal odwiedzałam Dom, choć nie byłam już tak uległa wobec Lawinii jak dawniej. Wystarczyło dać jej do zrozumienia, że więcej nie przyjdę, by spuściła z tonu.

Budziłam w niej pewien szacunek - chociaż za nic by się do tego nie przyznała. Raz czy dwa pomogłam jej wybrnąć z tarapatów i to dawało mi przewagę.

Poily i ja stałyśmy się sobie bliższe. Kilka razy odwiedziłyśmy Eff, która kupiła sąsiedni budynek i nieźle jej się powodziło. Zyskała na znaczeniu i prowadziła oba domy z wdziękiem i dystynkcją. Polly musiała przyznać, że ich ojciec nie znalazłby tu zbyt wielu powodów do utyskiwań. Branleyowie się wyprowadzili, a ich miejsce zajęli Paxtonowie.

- No i bardzo dobrze - mówiła Eff. - Pani Paxton zawsze pakuje śmieci przed wyrzuceniem ich do pojemnika. A pani Branley nigdy tego nie robiła. Choć muszę wyznać, że brakuje mi szkraba.

Zatem, pomijając utratę malucha, istotnie nastąpiła zmiana na lepsze.

- Eff da sobie radę - powtarzała Polly. - To coś w sam raz dla niej.

Wiedziałam, że gdyby nie ja, Polly zamieszkałaby z siostrą, aby utrzymywać ład wśród lokatorów, śmiejąc się w cichości z ich drobnych dziwactw.

Ale przyrzekła, że mnie nie opuści, dopóki będę jej potrzebowała, a ja wierzyłam Poily.

Wkrótce nasze życie zaczęło się zmieniać. Do Wielkiego Domu przyjechał architekt, ponieważ coś złego działo się ze wschodnim skrzydłem i należało przeprowadzić gruntowny remont. Architekt, pan Rimmel, bardzo się zaprzyjaźnił z panną Etherton. Lady Harriet nic o tym nie wiedziała, dopóki guwernantka Lawinii nie zawiadomiła jej o zaręczynach z panem Rimmelem i o tym, że za miesiąc wyjeżdża, by rozpocząć przygotowania do ślubu.

Lady Harriet nie posiadała się z oburzenia. Panna Etherton była jedyną z całego szeregu nauczycielek, która została we Framling na dłużej.

- Niektórzy ludzie zupełnie nie liczą się z innymi - orzekła nasza pani dziedziczka. -

Nie wiedzą, co to wdzięczność. Przez tyle lat czuła się tu jak u siebie.

Panna Etherton jednak, pewna miłości pana Rimmela, nie przeraziła się wcale.

Znalazła się poza zasięgiem dezaprobaty lady Harriet.

W ustalonym czasie wyjechała. Pojawiły się dwie nowe nauczycielki, lecz żadna nie wytrzymała dłużej niż dwa miesiące.

Wówczas lady Harriet orzekła, że to niedorzeczność zatrudniać dwie guwernantki, kiedy dziewczęta mieszkają tak blisko siebie i są niemal w tym samym wieku. Umiejętności panny York wywarły na niej duże wrażenie i nie widzi powodu, dla którego ta młoda osoba nie miałaby udzielać lekcji nam obu, Lawinii i mnie.

Mój ojciec odrzekł z wahaniem, że musi porozumieć się w tej sprawie z panną York, co też uczynił. Podobnie jak guwernantki, które nie pozostały w Domu zbyt długo, panna York raczej nie pałała chęcią kształcenia Lawinii, lecz zgodziła się w końcu, skuszona wyższą pensją i niewątpliwie przytłoczona apodyktycznością lady Harriet. W rezultacie Lawinia od czasu do czasu odwiedzała plebanię, ja zaś chodziłam do Domu, gdzie odbywały się wspólne lekcje. Panna York, pokrzepiona świadomością, iż może do pewnego stopnia dyktować warunki, odmówiła przeniesienia się do Framling i za swego pracodawcę nadal uważała pastora.

A zatem Lawinia i ja uczyłyśmy się razem.

Nie sprawiało mi to przykrości, gdyż w pokoju lekcyjnym święciłam tryumfy. Pannę York nieustannie gorszyła ignorancja Lawinii i choć ta często odpisywała ode mnie zadania i wielokrotnie pomagałam jej w nauce, była znacznie gorszą uczennicą niż ja.

Nie bardzo rozumiałam dlaczego, ale w głębi serca lubiłam Lawinię. Być może uczucie to wynikało z długoletniej znajomości. Była zarozumiała, samolubna i despotyczna, lecz traktowałam to jako swego rodzaju wyzwanie. Pochlebiało mi, że skrycie na mnie polega. Chyba poznałam ją lepiej niż ktokolwiek inny; dzięki temu odkryłam pewną cechę jej charakteru, która niewątpliwie stanowiła przyczynę niektórych wydarzeń w życiu mojej przyjaciółki.

Lawinia była podatna na doznania zmysłowe i wczesnie osiągnęła dojrzałość. W

wieku lat piętnastu stała się kobietą, podczas gdy ja - pomimo całej mojej wiedzy - fizycznie byłam dzieckiem. Miała wąską kibić i zawsze starała się podkreślać walory swej figury, która tu i ówdzie zaczęła nabierać krągłości. Była niezmiernie dumna z przepysznych włosów.

Lubiła pokazywać idealnie równe, białe zęby - i by ludzie mogli je podziwiać, rozdawała uśmiechy na prawo i lewo, dzięki czemu sprawiała mylne wrażenie osoby życzliwej i przyjaznej.

Niepowodzenia w nauce ugruntowały w niej przekonanie, że wiedza jest dla tych, których natura nie obdarzyła urodą.

Uświadomiłam sobie, że Lawinia uwielbia kontakty z płcią przeciwną. Rozkwitała w obecności mężczyzn. Uśmiechała się promiennie, pokazując zęby, potrząsała włosami i stawała się zupełnie inną dziewczyną.

Od czasu do czasu pojawiał się Fabian. Przebywał poza domem, najpierw w szkole, później na uniwersytecie. Kiedy przyjeżdżał, prawie zawsze przywoził z sobą jakiegoś kolegę. Widywałam go, jak wybierał się na konną przejażdżkę albo w domu, gdy przychodziłam na lekcje.

Ilekcio Lawinia opowiadała o młodzieńcach, przybywających do Domu w towarzystwie brata, czy

jej błyszczały i chichotała bez przerwy. Fabian nie zwracał na mnie uwagi i przypuszczałam, że zapomniał o tamtych dniach, gdy się mną opiekował i narobił tyle hałasu, kiedy chciano mnie zabrać. Choć była to tylko dziecinna zabawa, myśl, że wytworzyła między nami szczególną więź, sprawiała mi przyjemność.

Wkrótce po moich piętnastych urodzinach poznałam Dougala Carruthersa. Skracając sobie drogę na plebanię przez cmentarz, zauważyłam, że drzwi kościoła są otwarte, a gdy podeszłam bliżej, usłyszałam czyjeś kroki. Pomyślałam, że to zapewne ojciec i że powinien już wracać do domu, bo pani Janson będzie niezadowolona, jeśli spóźnimy się na obiad.

Trzeba mu było nieustannie o tym przypominać.

Weszłam do kościoła i zobaczyłam młodego mężczyznę, wpatrującego się w sklepienie. Odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

- Dzień dobry - powiedział. - Właśnie podziwiałem kościół. Jest bardzo ładny, nieprawdaż?

- O ile mi wiadomo, to jeden z najstarszych w kraju.

- Styl normandzki, oczywiście. I doskonale zachowany. To cudowne, jak te stare budowle opierają się upływowi czasu. Zna pani historię tego kościoła?

- Nie. Ale mój ojciec zna. Jest tu proboszczem.

- O... rozumiem.

- Z największą przyjemnością powie panu wszystko, co pan chce wiedzieć.

- Jak to miło!

Zastanawiałam się przez chwilę. Jeśli zaprowadzę go do domu, żeby poznał ojca, będziemy musieli zaprosić go na obiad, a pani Janson niechętnie widziała nieoczekiwanych gości w porach posiłków. Z drugiej strony, jeżeli go nie zaprosimy, ojciec wda się z nim w pogawędkę i obiad się opóźni. W obu wypadkach wywołamy niezadowolenie pani Janson.

Wreszcie powiedziałam:

- Może odwiedzi pan mojego ojca? Będzie wolny dziś po południu. Czy zatrzymał się pan gdzieś w pobliżu?

- Tak - odrzekł, wskazując ręką kierunek. - Tam.

Wydało mi się, że ma na myśli miejscową gospodę, gdzie czasami wynajmowano pokoje przyjezdnym.

Zostawiłam go w kościele i wróciłam do domu. Przy obiedzie zawiadomiłam ojca, że spotkałam w kościele młodego człowieka zainteresowanego architekturą i historią tego miejsca. Rozpromienił się,

mając nadzieję na rozmowę z kimś, kto podziela jego pasję.

- Przyjdzie po południu. Powiedziałam mu, że zechcesz z nim się zobaczyć.

Czekałam na nieznanego, obawiałam się bowiem, że ojciec mógłby o nim zapomnieć, a ponadto uważałam, że powinnam ich z sobą zapoznać.

Gdy się zjawił, ojciec powitał go z radością. Ku memu zaskoczeniu okazało się, że młody człowiek gości u Framlingów. Zostawiłam go z ojcem i udałam się na konną przejażdżkę.

Obie z Lawinią byłyśmy dobrymi amazonkami, lecz nie pozwalano nam jeździć bez opieki stajennego. Zazwyczaj towarzyszył nam Reuben Curry, główny stajenny. Był

małomównym mężczyzną, całkowicie odpornym na sztuczki Lawinii i trzymał nas krótko.

Spokojny człowiek, bardzo religijny. Dowiedziałam się od Polly lub może od pani Janson, że jego żona „zeszła na złą drogę”, gdy w okolicy zatrzymał się tabor cygański. Jak się okazało, jeden z Cyganów był „czarującym kawalerem. Błyskał białymi zębami, nosił w uszach kolczyki i wybornie grał na skrzypcach. Wszystkie pokojówki dostały bzika na jego punkcie, a ponieważ bynajmniej nie miał dobrych zamiarów, zdążył tu trochę nabroić. Bóg jeden wie, co się działo”. Zdaniem pani Janson, był zdolny do wszystkiego. A żona Reubena... no cóż, zawrócił jej w głowie i - prawdę mówiąc - wykorzystał biedaczkę. Gdy z końcem lata Cyganie odjechali, zostawili po sobie pewien drobiazg. Tym „drobiazgiem” był Joshua Curry, łobuz od dnia narodzin. Ludzie orzekli, że jaki ojciec, taki syn, i pokojówki powinny znowu mieć się na baczności.

Zainteresowałam się Joshuą, usłyszawszy o barwnych okolicznościach jego przyjscia na świat. Miał ciemne, kędzierzawe włosy i roziskrzzone czarne oczy, uśmiechnięte, a zarazem czujne - powodów mogłam się jedynie domyślać. Był smagły, gibki i niepodobny do nikogo, kogo znałam.

Tym razem, kiedy przyszłyśmy do stajni, zastałyśmy Joshuę samego. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko. W Lawinii natychmiast zaszła zauważalna zmiana, gdyż choć był

tylko służącym, należał do płci przeciwnej. W jej policzkach pojawiły się dołeczki, a oczy rozbłysły.

Joshua dotknął dłonią czoła, lecz uczynił to w inny sposób niż większość służących.

Jego gest sprawiał wrażenie żartobliwego, jak gdyby w rzeczywistości wcale nie oznaczał szacunku.

- Czy osiodłano nasze konie? - spytała Lawinia wyniośle.

- O tak, proszę panienki - Joshua się uklonił. – Wszystko przygotowane.

- A gdzie Reuben?

- Ma robotę. Za to jestem tu ja. Przypuszczam, że mogę służyć panienkom opieką.

- Zwykle towarzyszy nam Reuben albo któryś ze starszych stajennych - oznajmiła; zauważyłam jednak jej skrywane zadowolenie.

- Cóż, dzisiaj jest to moja skromna osoba... jeśli, rzecz jasna, młode damy się zgodzą.

- Chyba musimy - odrzekła Lawinia omdlewającym głosem.

Podeszłyśmy do koni. Dosiadłam swojego, korzystając ze specjalnego pieńka i obejrzałam się, gdy Joshua pomagał Lawinii wspiąć się na siodło. Zajęło mu to dość długą chwilę. Zauważyłam, że ich twarze znalazły się blisko siebie, a jego dłoń spoczęła na jej udzie. Myślałam, że rozgniewają ta poufałość - lecz nic podobnego. Jej policzki zaróżowiły się lekko, a w oczach zamigotały iskierki.

- Dziękuję ci, Joshuo - powiedziała.

- Wołają na mnie Jos. To brzmi bardziej przyjaźnie, nieprawdaż?

- Nie zastanawiałam się nad tym, ale zapewne tak.

Dostrzegłam jego dłoń na jej ramieniu.

- No więc, jestem Jos.

- Dobrze, Jos - odrzekła.

Wyjechaliśmy ze stajni i wkrótce ruszyliśmy cwałem. Lawinia puściła mnie przodem, tak że oboje jechali w tyle. Usłyszałam jej śmiech i pomyślałam, że to bardzo dziwne.

Zazwyczaj traktowała służących nadzwyczaj wyniośle.

Potem w trakcie lekcji była jeszcze bardziej rozkojarzona niż dotychczas. Ciągłe przeglądała się w lusterku, rozczesywała włosy i bawiła się drobnymi loczkami, a na jej ustach igrał tajemniczy uśmiech.

- Tracę nadzieję, że nauczę tę dziewczynę czegokolwiek - westchnęła panna York. - Z

wielką chęcią poszłabym do lady Harriet i zawiadomiła ją, że to daremny trud. Doprawdy, ona robi się coraz gorsza.

Lawinia wcale się tym nie przejęła. Była wyraźnie zadowolona z siebie i z życia. Coś się wydarzyło. Niestety, właśnie mnie przypadło w udziale odkryć co.

Dougal Carruthers zaprzyjaźnił się z moim ojcem i odwiedził nas kilkakrotnie, a raz wpadł na obiad.

Dowiedzieliśmy się, że przyjechał do Framlingów na trzy tygodnie i że jego ojciec był

przyjacielem sir Williama; że współpracują z Kompanią Wschodnioindyjską, a on sam wkrótce wyjedzie z kraju. Wyznał memu ojcu, iż wolałby studiować sztukę i architekturę średniowiecza.

Wzruszając ramionami dodał, że zgodnie z rodzinną tradycją synowie idą pracować do Kompanii, co uczyni również Fabian Framling.

Pani Janson nie okazała niezadowolenia. Uważała, że potrafi podać równie dobry obiad, jak pani Bright z Wielkiego Domu. Życzyła sobie tylko, by ją uprzedzić, i jej wymaganie zostało spełnione.

Polubiłam Dougala. Miał ujmujący sposób bycia i odnosił się do mnie inaczej niż Fabian i jego znajomi, którzy nie byli wprawdzie nieżyczliwi czy nieuprzejmi, ale zachowywali się tak, jakbym nie istniała.

Dougal miał miły zwyczaj zerkania w moją stronę, gdy o czymś mówił, stwarzając w ten sposób wrażenie, że uczestniczę w rozmowie; a gdy od czasu do czasu wypowiadałam jakieś zdanie, słuchał z uwagą.

Żałowałam, że niezbyt pilnie przysłuchiwałam się opowieściom ojca o dawnych dziejach naszego normandzkiego kościoła, wówczas bowiem mogłabym częściej zabierać głos.

Pewnego razu Fabian przyszedł z Dougalem na plebanię. Usiedli w ogrodzie, pijąc wino z moim ojcem. Już po chwili ojciec i Dougal zatonęli w rozmowie, pozostawiając zabawianie drugiego gościa mnie.

Zauważyłam, że przygląda mi się z pewnym zainteresowaniem, i zapytałam go:

- Czy pamięta pan, jak mnie pan porwał?

- Pamiętam. - Uśmiechnął się. - Pomyślałem sobie wtedy, że jeśli chcę mieć małe dziecko, wystarczy je znaleźć.

Obydwoje parsknęliśmy śmiechem.

- I znalazł pan mnie.

- Mam wrażenie, że była pani bardzo wyrozumiałym dzieckiem.

- Nic nie pamiętam. Gdy się o tym później dowiedziałam, uznałam to za wyróżnienie.

To, że mnie wybrano, ma się rozumieć. Przypuszczam jednak, że każde dziecko by się nadawało.

- Ale właśnie pani wydała mi się godna adopcji.

- O ile mi wiadomo, wynikało z tego wielkie zamieszanie.

- Ludzie zawsze robią zamieszanie, gdy wydarzy się coś niecodziennego.

- Chyba jednak nie spodziewał się pan, że moi bliscy pozwolą mi zniknąć bez śladu?

- Nie. Chociaż zatrzymałem panią na dwa tygodnie.

- Wielokrotnie mi o tym opowiadano. Żałuję, że wtedy nic nie rozumiałam.

- Z pewnością wyraziłaby pani stanowczy sprzeciw, gdyby pani rozumiała, co się dzieje. A w tej sytuacji była pani bardzo spokojna.

Cieszyłam się z tej rozmowy, ponieważ dzięki niej przełamaliśmy lody. Odniosłam wrażenie, że odczuwał to samo, co ja, i odtąd łatwiej będzie nam się porozumieć.

Niepostrzeżenie zaczęliśmy dyskusję na tematy ogólne, a wkrótce potem Dougal z Fabianem opuścili nasze progi. Dougal wyjeżdżał na drugi dzień, a Fabian przed końcem tygodnia.

Nie potrafiłam się oprzeć pokusie i wspomniałam Lawinii o ich wizycie.

- No cóż, przecież nie przyszli do ciebie - skomentowała.

- Wiem, jednak przyszli i mogłam z nimi porozmawiać.

- Dougal jest uroczy, ale interesują go tylko starocie.

Wykrzywiła usta. Podejrzewałam, że pyszniła się przed nim bujnymi lokami i oczekiwała bezgranicznego uwielbienia. Najprawdopodobniej jednak się go nie doczekała, co mnie nawet ucieszyło.

- Fabian opowiadał o tym, jak mnie porwał - uzupełniłam.

- Ach, o tym. To dość nudna historia.

Zauważyłam jednak, że rozdrażniła ją wzmianka o moim spotkaniu z Dougalem.

Podczas popołudniowej przejażdżki była wyraźnie poirytowana.

Towarzyszył nam Jos. Prawdopodobnie zgłaszał się na opiekuna przy każdej możliwej sposobności, a jego obecność zawsze wprawiała Lawinię w dobry humor.

Tego popołudnia zachowywała się bardzo kapryśnie. Traktowała Josa na przemian wyniośle i poufale; on zaś rzadko się odzywał i rzucał jej tylko znaczące uśmiechy.

Dotarliśmy do pola, na którym zwykle urządzałyśmy zawody, która pierwsza przegalopuje do następnej miedzy.

Ruszyłam przodem i zyskałam sporą przewagę. Dotarłszy do miedzy, ściągnęłam wodze i rozejrzałam się wokół. Byłam sama.

- Lawinio, gdzie jesteś? - zawołałam zdziwiona.

Nikt mi nie odpowiedział. Skierowałam się na drugą stronę pola. Gdy ruszyłam galopem, nie mogli mnie doścignąć.

Przeszukałam całą okolicę, lecz po półgodzinie wróciłam do stajni. Nigdzie ich nie było. Nie chciałam wracać do Domu sama, bo zapewne wywołałabym zamieszanie. W trakcie przejażdżki powinien nam towarzyszyć stajenny. Upłynęło ponad pół godziny, zanim wrócili.

Lawinia była zarumieniona i podniecona. Przybrała nadąsany wyraz twarzy.

- Gdzież ty się podziewałaś? - wykrzyknęła. - Wszędzie cię szukaliśmy.

- Myślałam, że jedziecie za mną przez pole.

- Jakie pole?

- No wiesz, to, po którym zawsze galopujemy.

- Nie mam pojęcia, co się stało - westchnęła z uśmiechem Lawinia, a ja dostrzegłam szybką wymianę spojrzeń między nią a Josem.

Gdybym była mądrzejsza i bardziej doświadczona, odgadłabym z miejsca, co się dzieje. Dla kogoś starszego wszystko stałoby się jasne od razu. Ja jednak uwierzyłam, że zaszło nieporozumienie i że nie zauważyli, jak ruszyłam galopem.

Polly zagłębiła się w poufnej rozmowie z panią Janson, która właśnie mówiła:

- Ostrzegałam ją, i to nie raz, ale mnie nie posłuchała. Ta Holly zawsze była płocha...

a teraz chyba postradała zmysły.

- Sama pani wie, jak to bywa z dziewczętami - wtrąciła uspokajająco Polly.

- Ta dziewczyna gotowa wpakować się w tarapaty, ot co. Ładne rzeczy.

Kiedy znalazłyśmy się z Polly sam na sam, zapytałam, o co chodzi z Holly.

- Och... niemądra dziewczyna.

- Odniosłam wrażenie, że to coś niebezpiecznego.

- Owszem... ktoś taki jest niebezpieczny.

- Kto? Holly?

- Nie... On.

- Opowiedz mi wszystko.

- Znowu podsłuchiwałaś. Dzieci mają wielkie uszy.

- Polly, nie jestem dzieckiem i mam uszy normalnych rozmiarów, a słyszę to samo, co wszyscy.

Przestań traktować mnie jak małą dziewczynkę.

Splotła ramiona i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Szybko dorastasz - powiedziała z odcieniem smutku.

- Nie jestem już dzieckiem, Polly. Najwyższy czas, abym dowiedziała się czegoś o świecie.

Obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Może to i prawda - przyznała. - Młode dziewczęta muszą się pilnować. Nie, żebym się o ciebie martwiła. Jesteś rozsądna i dobrze wychowana, już ja o to zadbałam. Chodzi o tego Josa...

To jeden z tych.

- Których?

- On ma coś w sobie. Dziewczęta zawsze będą się za nim uganiały, a jemu chyba tylko o to chodzi. Może dlatego dostaje to, czego chce.

Pomyślałam o tym, jak patrzył na Lawinię, ona zaś pozwalała mu na poufałości, do których - jako córka lady Harriet - nie powinna była dopuścić.

- No i co z Holly? - zapytałam.

- Zgłupiała na jego punkcie.

- To znaczy, że on się do niej zaleca?

- Zaleca! I owszem, lecz to nie oznacza ślubnej obrączki. Zdaje mi się, że ta niemądra dziewczucha już mu dała, czego chciał... a zapewniam cię, że nie powinno się tak postępować, jeśli ma się choć trochę oleju w głowie.

-1 co teraz zrobisz?

Polly wzruszyła ramionami.

- Ja? A cóż ja mogę zrobić? Porozmawiać z pastorem? Równie dobrze mogłabym mówić do ściany. Pani Janson zrobiła, co mogła. Zobaczmy, może ta dziewczyna przejrzy na oczy, zanim będzie za późno.

W swej niewiedzy nie zdawałam sobie sprawy z konsekwencji. Holly mogła zadawać się z Josem, tak jak jego matka z Cyganem - osiągając podobny skutek.

Jos nie był jednak wędrownym Cyganem; nie mógł tak po prostu odejść i wymigać się od odpowiedzialności.

Żałuję, że to właśnie ja musiałam na nich trafić.

Dom otaczały rozległe tereny, miejscami dzikie i nieuporządkowane. Jedną część posiadłości odgradzały krzewy. Kiedyś odkryłam za nimi przypadkiem starą altanę. Gdy zapytałam o nią Lawinię, odrzekła: „Nikt tam teraz nie chodzi. Drzwi są zamknięte, a klucz gdzieś się zapodział. Pewnego dnia go znajdę”. Ale minęły lata, a nawet go nie szukała.

Tamtego dnia wybrałam się do niej w odwiedzin. Było to wczesnym popołudniem -

o tej porze panna York odpoczywała, a pani Janson kładła się „na godzinkę”; to samo czyniła zapewne pani Bright z Wielkiego Domu.

Wszędzie panowała senna atmosfera i było bardzo cicho. Nigdzie nie widziałam Lawinii. Miała spotkać się ze mną przy stajniach, lecz nie zastałam jej tam. Zauważyłam natomiast jej konia, co świadczyło, że nie wyjechała beze mnie.

Doszłam do wniosku, że musi być gdzieś w ogrodzie, i postanowiłam rozejrzeć się po okolicy, zanim wejdę do Domu.

Szukając Lawinii, dotarłam do starej altany. To miejsce zawsze budziło we mnie niezdrową ciekawość. Podobno w altanie straszło i dlatego ludzie rzadko tam zaglądali.

Przystanąłam obok drzwi i wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk. Przypominał

przeciągły, stłumiony chichot i przypawił mnie o dreszcze. Brzmiał upiornie. Przekręciłam gałkę w drzwiach, które - ku memu zdumieniu - dały się otworzyć. I zobaczyłam, kto jest w środku. Bynajmniej nie duch. Byli to Jos i Lawinia. Obydwoje leżeli na podłodze.

Nie chciałam im się przyglądać dokładniej. Zrobiło mi się bardzo gorąco, zatrzęsnęłam drzwi i uciekłam. Całą drogę do plebanii przebyłam biegiem, czując mdłości.

Zerknęłam w lustro i zobaczyłam, że twarz mam czerwoną jak burak.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Lawinia... dumna, wyniosła Lawinia robiła to ze służącym!

Usiadłam na łóżku. Co miałam teraz zrobić? Lawinia mogła mnie zauważyć. Może usłyszała, jak otwierają się drzwi. Co robić? Jak komukolwiek o tym powiedzieć? Ale... czyż powinnam milczeć?

Do mojego pokoju weszła Polly.

- Słyszałam, że biegniesz na górę... - Urwała i wbiła we mnie wzrok. - Co ci jest? Co się stało? - Podeszła do łóżka, usiadła i otoczyła mnie ramieniem. - Coś cię zdenerwowało -

domyśliła się. - Powiedz swojej Polly, o co chodzi.

- Nie wiem... nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, czy mnie widziała czy nie. To było okropne.

- No już. Mów.

- Chyba nie powinnam nikomu tego wyjawić... nigdy.

- Możesz mi powiedzieć, bo to zupełnie tak, jakbyś nie powiedziała nikomu... a nawet lepiej, ponieważ ja zawsze wiem, co należy zrobić. Czy nie tak?

- Tak. Ale przyrzeknij, że mnie uprzedzisz... zanim cokolwiek zrobisz.

- Daję słowo.

- Przysięgnij, Polly.

- Dobrze. - Polizła palec i wytarła do sucha. - Jak mój palec mokry, tak mój palec suchy, jeśli złamię słowo, niech mnie straszą duchy. - Podkreśliła swoje przyrzeczenie dramatycznym gestem.

Słyszałam wcześniej to zaklęcie i wiedziałam, że Polly dotrzyma obietnicy.

- Nie mogłam znaleźć Lawinii - zaczęłam. - Poszłam jej szukać. Znasz tę starą altanę, w której straszy... przed laty jakaś kobieta odebrała tam sobie życie...

Polly skinęła głową.

- Była tam Lawinia... i Jos. Leżeli razem... na podłodze i...

- Nie! - wykrzyknęła z przerażeniem.

Potwierdziłam.

- Widziałam ich wyraźnie.

Polly zakołysała się lekko w przód i w tył.

- No, ładna historia. Jeśli idzie o tych dwoje, uwierzę we wszystko. Pasują do siebie.

Chciałabym widzieć minę jaśnie pani, kiedy się o tym dowie.

- Nie wolno jej nic mówić, Polly.

- Co takiego? I czekać aż ten człowiek zostawi swój podpis w rodowej księdze? To nie będzie portret do powieszenia nad kominkiem, możesz mi wierzyć.

- Dowie się, że to ja ją wydałam. Nie potrafię zmyślać.

Polly przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

- Ale nie można tego tak zostawić. Ciekawe, jak daleko zaszły sprawy. A to ci mała...

ehm... zalotnica. Co do Josa, jest kubek w kubek jak jego ojciec i żadna dziewczyna nie może przy nim czuć się bezpieczna, chyba że naprawdę ma głowę na karku. Myślę, że trzeba położyć temu kres. Znosi się na duże kłopoty... a nie chciałabym, żeby coś takiego spadło na kogokolwiek, nawet na lady Harriet.

- Może powinnam porozmawiać z Lawinią.

- Nie ty. Trzymaj się od tego z dala, pogorszyłabyś tylko sprawę. Znam takie dziewczyny. Coś jednak musimy zrobić. Zostaw to mnie.

- Polly, ale nie powiesz, że ich widziałam?

Pokręciła głową.

- Przecież ci przyrzekłam, prawda?

-Tak, ale...

- Nie martw się, złotko. Znajdę jakiś sposób i możesz iść o zakład, że nie dam cię w to wplątać.

Polly była bardzo pomysłowa. Znalazła sposób.

Stało się to kilka dni później. Poszłam, jak zwykle, do Domu i nigdzie nie dostrzegłam ani Lawinii, ani Josa. Pośpiesznie wróciłam na plebanię i zawiadomiłam czekającą Polly.

Kazała mi iść do siebie i poczytać książkę, ponieważ wołała usunąć mnie ze sceny.

Dowiedziałam się później, co zaszło.

Moja opiekunka dała Holly znać, że jej ukochany jest z inną kobietą w nawiedzonej altanie na terenie posiadłości Framlingów. W pierwszej chwili dziewczyna nie chciała uwierzyć, lecz po pewnym czasie poszła sprawdzić. Polly miała słuszość. Holly natrafiła na Lawinię i Josa, jak mi później powiedziała sama Lawinia, in flagranti. Biedna, oszukana Holly, zastawszy swego lubego w niedwuznaczej sytuacji z inną - mimo że była to sama panna Framling - wpadła w niepohamowaną wściekłość. Zaczęła krzyczeć, przeklinając jego i Lawinię. Nie mógł uciec, ponieważ był w niekompletnym stroju - podobnie zresztą jak jego partnerka.

Kilkoro służących usłyszało krzyki Holly i nadbiegło czym prędzej, myśląc, że schwytała jakiegoś włamywacza. Sprawy przybrały fatalny obrót, gdyż nie dało się już niczego ukryć przed lady Harriet.

Lawinia i Jos zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Niewątpliwie nadciągała burza z piorunami.

Nie widziałam się z Lawinią przez kilka dni. Polly opowiedziała mi o wszystkim, a były to wiadomości z pierwszej ręki, przekazane pani Janson przez panią Bright. Lawinii zabroniono opuszczać pokój i zapowiadało się coś doniosłego.

Nie bardzo można było zwolnić Josa, którego znano jako syna Reubena, choć nim nie był; musiał pozostać w stajniach, gdyż zbyt ceniono Reubena, aby się go pozbywać, i to niesprawiedliwe, by za przewinienia dzieci cierpieli rodzice, choć w Biblii jest na odwrót.

Gdyby go przyłapano z jakąś służącą, sprawę uznano by za grzech powszedni - ale z panną Lawinią!

- Zawsze wiedziałam, co w niej siedzi - mówiła Polly. – To było jasne jak słońce. Złe uczynki zawsze wychodzą na jaw, a panna Lawinia jest tego najlepszym dowodem.

Zastanawialiśmy się, co będzie dalej. Nie musiałyśmy czekać długo.

Lady Harriet posłała po mojego ojca i odbyli kilkugodzinną naradę. Po powrocie do domu natychmiast wezwał mnie do siebie.

- Jak ci wiadomo - zaczął - wielokrotnie była mowa o tym, że kiedyś wyjedziesz do szkoły. Wraz z twoją matką snuliśmy takie plany jeszcze przed twoimi narodzinami. Nie miało dla nas znaczenia, czy przyjdzie na świat chłopiec czy dziewczynka. Obydwoje byliśmy głęboko przekonani o konieczności zdobycia wykształcenia, a twoja matka pragnęła dla dziecka wszystkiego, co najlepsze. Jak zapewne słyszałaś, na twoją naukę została odłożona pewna suma pieniędzy. Niewielka, ale może wystarczy. Panna York jest bardzo dobrą guwernantką i lady Harriet uczyni, co w jej mocy, by wyszukać dla niej nowe miejsce, a przy takiej rekomendacji nie powinno to być trudne. Polly zaś... no cóż, od początku wiedziała, że nie zostanie przy tobie na zawsze, a jak mi wiadomo, ma siostrę, z którą może zamieszkać.

Szeroko otworzyłam oczy. To nie szkoła mnie przerażała, lecz myśl o utracie Polly.

- Lawinia pojedzie z tobą. Lady Harriet wybrała szkołę, no i będziecie razem.

Wówczas wszystko zrozumiałam. Lady Harriet zawyrokowała, że jej córka musi wyjechać. Należało położyć kres niebezpiecznemu romansowi z Josem. Rozdzielenie ich wydawało się jedynym wyjściem, a mnie kazano towarzyszyć Lawinii. Lady Harriet rządziła naszym życiem.

- Nie chcę wyjeżdżać do szkoły, ojcze - odpowiedziałam. - Panna York jest doskonałą nauczycielką i jej lekcje w zupełności mi wystarczą.

- Tego pragnęła twoja matka - powtórzył ze smutkiem, a ja pomyślałam: i tego życzy sobie lady Harriet!

Poszłam prosto do Polly, objęłam ją i przytuliłam się mocno.

- Polly, nie chcę się z tobą rozstawać.

- Lepiej powiedz, co cię gryzie.

- Mam wyjechać do szkoły. Razem z Lawinią.

- Aha, rozumiem. To przez fgle-migle jaśnie wielmożnej panienki, co? Nie wydaje mi się, żeby

szkoła mogła ją poprawić. Więc wyjeżdżasz, tak?

- Nie chcę jechać.

- To może ci wyjść na dobre.

- A co będzie z tobą?

- No cóż, od początku wiedziałam, że taki dzień kiedyś nadejdzie. To było nieuchronne. Pojadę do Eff. Bez ustanku mnie do tego namawia. Nie trap się, złotko, ty i ja na zawsze pozostaniemy przyjaciółkami. Będziesz wiedziała, gdzie mnie szukać, a ja - gdzie ty jesteś. Nie smuć się tak, szkoła przyniesie ci pożytek, a na wakacje możesz przyjechać do nas.

Eff będzie bardzo dumna. Spójrz na to od jaśniejszej strony, dziecinko. Życie toczy się dalej, nie stoi w miejscu, a ty nie możesz zostać na zawsze pieszczoszką Polly.

Od razu poczułam się lepiej.

Panna York przyjęła wiadomość z filozoficznym spokojem. Oświadczyła, że spodziewała się tego. Pastor często powtarzał, że pewnego dnia wyśle córkę do szkoły.

Wyszuka sobie nową posadę, a mój ojciec oznajmił, iż dopóki jej nie znajdzie, koniecznie musi zostać na plebanii. Lady Harriet obiecała pomoc, więc sprawa jest już właściwie załatwiona.

Zobaczyłam Lawinię mniej więcej po tygodniu od przyłapania jej na gorącym uczynku. Nie posiadała się z oburzenia. Przypominała raczej tygrysyce niż rozpieszczone kociątko. Miała lekko zaczerwienione oczy, co oznaczało, że płakała.

- Co za awantura! - powiedziała. - Wszystko przez Holly, tę wstrętną dziewczuchę.

- Holly niczym nie różni się od ciebie. Jos wykorzystał waszą głupotę.

- Nie waż się nazywać mnie głupią, Druzyllu Delany.

- Będę cię nazywała, jak mi się spodoba. To, co zrobiłaś, było głupie... w dodatku ze stajennym.

- Nie potrafisz tego zrozumieć.

- Za to inni potrafią i dlatego nas stąd wysyłają.

- Ciebie również.

- Tylko po to, żebym ci towarzyszyła. Jestem zmuszona jechać z tobą.

- Wcale cię nie potrzebuję! - prychnęła.

- Sądzę, że ojciec mógł mnie posłać do innej szkoły.

- Moja matka by na to nie pozwoliła.

- Nie jesteśmy niewolnikami twojej matki, mamy swobodę wyboru. Jeśli zamierzasz zachowywać się niewłaściwie, poproszę ojca, żeby wysłał mnie gdzie indziej bez ciebie.

To ją trochę zaniepokoiło.

- Traktują mnie jak dziecko - poskarżyła się ze złością.

- Za to Jos nie uważa cię za dziecko.

Wybuchnęła śmiechem.

- On jest nicponiem - powiedziała.

- Wszyscy tak sądzą.

- Ach, ale to było takie podniecające!

- Powinnaś bardziej uważać.

- Uważałam... i gdyby ta dziewczucha nie zajrzała do altany...

Odwróciłam twarz. Zastanawiałam się, co by powiedziała, gdyby zdawała sobie sprawę, kto doprowadził do tego odkrycia.

- Mówił, że jestem najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział w życiu.

- Przypuszczam, że oni wszyscy tak mówią. Uważają, że w ten sposób szybciej dostaną to, czego chcą.

- Nieprawda! Co ty o tym wiesz?

- Słyszałam...

- Zamilcz! - Lawinia była bliska łez.

Zawarłyśmy coś w rodzaju rozejmu. Obydwie wyjeżdżałyśmy w nieznane miejsce, gdzie dla każdej z nas wszystko będzie obce prócz tej drugiej. I każda cieszyła się w duchu, że nie jest sama.

Długo rozmawiałyśmy o szkole.

Spędziłyśmy w Meridian House dwa lata. Przystosowałam się do szkolnych rygorów bez kłopotu. Od razu dostrzeżono we mnie zdolną uczennicę, przez co przyciągnęłam uwagę nauczycielek. Lawinia była, jak na swój wiek, zapóźniona w nauce i bynajmniej nie pragnęła zmienić tego stanu rzeczy. Ponadto była zarozumiała i chimeryczna, co nie przysparzało jej popularności, a pochodzenie z arystokratycznego rodu - co na początku lubiała podkreślać -

raczej odstraszało, niż przyciągało innych. Zawsze oczekiwała, że otoczenie dostosuje się do niej, i nigdy nie powstało jej w głowie, że to ona powinna dopasować się do otoczenia.

W pobliżu znajdowała się szkoła dla chłopców i od czasu do czasu widywaaliśmy ich grających w różne gry na trawie przed budynkiem. Wywoływało to poruszenie w gronie dziewcząt, zwłaszcza w niedzielę, kiedy szliśmy na poranne nabożeństwo do miejscowego kościoła i chłopcy zajmowali ławki dokładnie naprzeciw naszych. Lawinia oczywiście wiodła prym wśród uczennic głęboko zainteresowanych płcią przeciwną. Przekazywano sobie liściki z obu stron i niedzielny poranek w kościele był dla niektórych wychowanek największą atrakcją tygodnia, z przyczyn, które nie spodobałyby się ani pastorowi, ani naszej groźnej przełożonej, pannie Gentian.

W drugim roku nauki w Meridian House Lawinia ponownie wpadła w tarapaty podobnej - co było do przewidzenia - natury, jak za pierwszym razem.

Ostatnio przeważnie mnie ignorowała, przypominając sobie o mnie jedynie wówczas, gdy potrzebowała pomocy w nauce. Miała własne kółko przyjaciółek, nazywano je nierozłączkami. Uważały się za dorosłe i światowe; były bardzo śmiałe i szczyły się znajomością życia. Lawinia królowała w tym wąskim gronie, gdyż większość z owych dziewcząt mogła snuć jedynie teoretyczne rozważania na bliski ich sercu temat, ona natomiast dysponowała praktycznym doświadczeniem. Kiedy zdarzało mi się ją rozzłościć, zwracała się do mnie czasami tonem najgłębszej pogardy. „Ty... dziewczico!”.

Myślałam sobie często, że gdyby Lawinia należała do owej wzgardzonej grupy, znajdowałabym się teraz w przytulnym domu, odbywając lekcje z panną York i mając przy sobie Polly, do której zawsze mogłam przybiec po pociechę.

Dostawałam od niej listy, kreślone niewprawną ręką. Kiedy Tom był na morzu, nauczyła się pisać, aby móc utrzymywać kontakt z mężem. Błędy ortograficzne nie przesłaniały ciepłych uczuć, które podnosiły mnie na duchu.

Często myślałam o niej i Eff, a gdy nadeszły wakacje, pojechałam do obu w odwiedziny i zostałam na tydzień. Cudownie było znowu zobaczyć Polly. Wraz z Eff dobrze sobie radziły, każda z nich miała głowę do interesów. Polly szybko zaprzyjaźniła się z lokatorami, Eff zaś prezentowała postawę pełną godności, która pomagała utrzymać ład.

- Jesteśmy, jakby to określił nasz ojciec, dobranym zaprzęgiem - zwierzyła mi się Eff.

Była ogromnie rozradowana, ponieważ lokatorzy z niższego piętra w niedawno nabytym domu, których nazywała „numer 32 z dołu”, mieli małe dziecko. Mogli ustawiać wózek w ogrodzie, co okazało się bardzo wygodnym rozwiązaniem i pozwalało Eff i Polly zaglądać tam o dowolnej porze i gruchać do niemowlęcia. Eff zawsze mówiła o lokatorach

„numer 30 z góry”, „numer 32 z pierwszego piętra” i tym podobnie.

Podczas tych rozkosznych dni Polly słuchała moich opowieści o szkole, a ja zapoznawałam się z pochodzeniem i nawykami lokatorów od „górnego piętra” po „pokój w suterenie”.

„Górne piętro”, na przykład, zostawiało odkręcony kran, a „pierwsze piętro” niedbale sprzątało swój odcinek schodów; nawet „numerowi 32 z dołu” można było to i owo zarzucić, lecz, naturalnie, ze względu na „szkraba” jego rodzicom wiele wybaczano.

- Kochany z niego malec, daję słowo. Gdybyś widziała, jak się do mnie uśmiecha, kiedy podchodzę.

Zrozumiałam, że - podobnie jak w wypadku Branleyów - „szkrab” rekompensował wady rodziców.

Wyprawa na West End z Polly, oglądanie wielkich sklepów, a potem przechadzka po placu targowym w sobotni wieczór, gdy paliły się latarnie, rzucając czerwony poblask na twarze straganiarzy, a także widok stosów rumianych jabłek na ladach, okrzyki: „Świeże śledzie, małże, sercówki!” oraz stary szarlatan, który zaklinał się, że jego medykamenty leczą wypadanie włosów, bóle reumatyczne i wszelkie cielesne dolegliwości - wszystko to było wspaniałą rozrywką i sprawiło mi wielką przyjemność. Miałam uczucie, że jestem dla Polly najważniejszą osobą na świecie, i nawet po naszym rozstaniu krzepiła mnie świadomość, że nie utraciłam jej na zawsze.

Przepadała za moimi opowieściami o życiu w szkole. Opowiadałam jej o pannie Gentian, naszej władczyni absolutnej.

- Istna herod-baba - skomentowała Polly, chichocząc pod nosem; a gdy naśladowałam mademoiselle, nauczycielkę francuskiego, zgięła się wpół ze śmiechu, a potem zauważyła:

- Ci cudzoziemcy. Niezłe z nich cudaki. Pewnie macie z nią prawdziwe używanie.

Wszystko wydawało mi się niesłychanie zabawne, o wiele śmieszniejsze niż w rzeczywistości. Gdy wyjeżdżałam, Eff poprosiła:

- Odwiedź nas jeszcze, koniecznie.

- Pamiętaj, że masz tu dom, złotko - dodała Polly. – Powiem ci jedno, gdziekolwiek ja jestem, tam zawsze jest twój dom.

Jak ogromna była to pociecha! Wiedziałam, że nigdy o tym nie zapomnę.

W ostatnim semestrze w Meridian House Lawinia i dwie inne uczennice zostały przyłapane, kiedy wracały późną nocą. Przekupiły jedną z pokojówek, żeby je wpuściła, lecz schwymano je na gorącym uczynku, ponieważ nauczycielka, którą bolały zęby, zeszła na dół

po jakiś środek łagodzący ból. Pojawiła się w holu w tej samej chwili, gdy winowajczyni ukradkiem otwierały drzwi - i wszystko się wydało.

Nastąpiła przerażająca scena. Lawinia na palcach przemknęła do sypialni, którą dzieliła ze mną i inną dziewczyną. Musiała dopuścić nas do sekretu, ponieważ zdarzyło się to nie po raz pierwszy. Była wstrząśnięta.

- Będziemy miały kłopoty - powiedziała. - Ta podstępna panna Smith przyłapała nas, jak wchodziłyśmy.

- Czy wpuściła was Annie? - spytałam. Annie była pokojówką.

Lawinia kiwnęła głową.

- Zostanie odprawiona - stwierdziłam.

- Tak przypuszczam - przyznała niedbale Lawinia. – Pewnie jutro nam się oberwie.

Zaczekaj, aż stara Gentian się dowie.

- Nie powinniście były mieszać do tego Annie.

- A jak inaczej dostałybyśmy się do środka?

- Wykorzystałyście ją. Tak się nie robi.

- Nie opowiadaj bzdur! - fuknęła Lawinia, lecz była wyraźnie zaniepokojona.

Nie bez powodu. Reperkusje okazały się gorsze, niż przewidywałyśmy. Biedna Annie została natychmiast zwolniona. Panna Gentian wezwała do siebie winowajczynię i - według Lawinii - rozwodziła się w nieskończoność nad tym, jak bardzo jej wstyd, że dziewczęta z jej szkoły zachowały się tak wulgarnie i prostacko. Wreszcie odesłała je do pokoi, zapowiadawszy, że na tym jeszcze nie koniec.

Dni nauki pozostało niewiele i tuż przed naszym powrotem lady Harriet otrzymała list, w którym panna Gentian wyrażała opinię, że Lawinii będzie znacznie lepiej w innej szkole; zawiadamiała również z ubolewaniem, że nie widzi dla niej miejsca w Meridian House ani w przyszłym roku, ani w dającej się przewidzieć przyszłości.

Lady Harriet zawrzała gniewem na myśl, że jakaś szkoła odmawia przyjęcia jej córki.

Nie zamierzała przejść nad tym do porządku. Ona i panna Gentian były niczym dwaj dowódcy przystępujący do bitwy. Lady Harriet zaczęła od listu do przełożonej i zasugerowania, że może decyzja tej ostatniej nie była do końca przemyślana. Ona, lady Harriet, ma pewne wpływy i życzy sobie, żeby córka pozostała w Meridian House jeszcze co najmniej przez rok. Panna Gentian odpowiedziała, że panna Framling z całą pewnością będzie szczęśliwsza gdzie indziej, dając przy tym do zrozumienia, że ona sama również będzie szczęśliwsza bez Lawinii.

Lady Harriet zaproponowała przełożonej, by przyjechała spotkać się z nią i omówić tę kwestię w bardziej przyjaznej atmosferze. Panna Gentian odpisała, że liczne obowiązki nie pozwalają jej udać się w podróż, gdyby jednak lady Harriet zechciała pofatygować się do niej, znalazłaby wolną chwilę; podkreśliła jednak, że ponownie przemyślała sprawę i jest głęboko przekonana, że Meridian House nie wydaje się odpowiednim miejscem dla Lawinii.

Lady Harriet zjawiała się na plebanii, by sprawdzić, jakie świadectwo wystawiła mi panna Gentian.

„Druzylla uczy się dobrze. Jej znajomość matematyki pozostawiała wiele do życzenia, lecz starania dziewczynki w tej dziedzinie przyniosły poprawę. Ogólnie rzecz biorąc, czyni zadowalające postępy w nauce”. Najwyraźniej ekskomunika mnie nie dotyczyła. Polubiłam szkołę i uczyłam się chętnie, a współzawodnictwo, którego brakowało mi w domu, pobudziło moje ambicje. Nie interesowały mnie wprawdzie gry sportowe, lecz i sama panna Gentian nie poświęcała im zbyt wielkiej uwagi. Chwilami miałam wrażenie, że dostrzegam w jej oczach błysk aprobaty. Ponadto nie przyłapano mnie na potajemnych schadzках z chłopcami. Moje postępy w nauce poważnie zmartwiły lady Harriet.

Podjęła bezprecedensowe kroki: pojechała do panny Gentian. Wróciła jednak pokonana. Zapewne przygnębiła ją wiadomość o nocnej eskapadzie. Potwierdzały się obawy, że jej córka może zostać uznana za dziewczynę bez zasad moralnych. Gdybym potrafiła współczuć osobie tak wysoko urodzonej, niewątpliwie byłoby mi jej żal.

Niebawem jednak zaczęła działać i posłała po mojego ojca. Dowiedziałam się później o przebiegu tej rozmowy.

Lady Harriet oświadczyła podobno, że dziewczętom potrzebna jest szkoła przygotowująca do życia w wielkim świecie. Zasięgnawszy języka w kręgu znajomych, wybrała jedną, mieszczącą się we Francji. Sama księżna Mentover posłała tam córkę, a znając księżnę, można mieć całkowitą pewność, że ta placówka spełnia wszelkie wymogi.

Wybór Meridian House był błędem. Ta panna Gentian okazała się zbyt apodyktyczna.

Aby dziewczęta miały zapewnioną przyszłość, powinny nabrać ogłady towarzyskiej.

Ojciec zaprotestował nieśmiało, że obydwójce ze świętej pamięci żoną pragnęli dla mnie solidnego wykształcenia, które - jak przypuszczał - zdobywałam w Meridian House.

Zgodnie ze świadectwem, czyniłam postępy. Panna Gentian wysłała mu osobny list.

- Głupie babsko! - fuknęła lady Harriet. - Najwyraźniej chce zatrzymać jedną z dziewcząt przysłanych przeze mnie.

- Gdyby jednak Druzylla została tam jeszcze, powiedzmy, dwa lata...

- Myli się pan, drogi pastorze. Dziewczęta muszą skończyć dobrą szkołę. Pojadą do Francji, do tego zakładu, który poleciła mi księżna.

- Obawiam się, że to przekracza moje możliwości finansowe, lady Harriet.

- Nonsens. Zapłacę różnicę. Pragnęłabym, by Druzylla towarzyszyła Lawinii.

Przyjaźnią się przecież od lat i we dwie będzie im różniej.

Po długich wahaniach ojciec wyraził zgodę. Moja matka kładła nacisk przede wszystkim na

wykształcenie. Nie myślała o tak zwanej „ogładzie”. Erudycja to jedno, obycie towarzyskie i maniery to co innego. Lawinia prawdopodobnie zabłądnie w Londynie, a potem zostanie przedstawiona u dworu. Niczego podobnego dla mnie nie przewidywano.

Ojciec pragnął zapewne, bym umiała zadbać o siebie, gdy go zabraknie. Skromny -

bardzo skromny - fundusz, jaki by mi pozostawił, wystarczyłby na kilka lat ubogiego życia.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wziął pod uwagę fakt, że jego brzydka córka może nigdy nie znaleźć męża. Lady Harriet zapewniła go niewątpliwie, że choć nie dorównuję Lawinii pod względem materialnym, mam szansę wkroczyć w wielki świat, jeśli nabiorę ogłady, jaką zapewnia wyłącznie jedna ze wskazanych przez nią szkół. A ponieważ gotowa była wyrównać wszelkie różnice finansowe między wybraną placówką a Meridian House, ustalono, że będę towarzyszyła Lawinii.

Owa instytucja nazywała się Chateau Lamason; sama ta nazwa wywoływała we mnie dreszcz podniecenia i pomimo długu wdzięczności zaciągniętego u lady Harriet z niecierpliwością oczekiwałam wyjazdu.

Jos został po cichu przeniesiony gdzie indziej - do stajni przyjaciół lady Harriet, jak mi powiedziała, krzywiąc usta, Lawinia. Rozmawiałyśmy jednak niemal wyłącznie o otwierających się przed nami perspektywach. Po raz pierwszy wyjeżdżałyśmy za granicę.

- To nie jest taka sobie zwyczajna szkoła - wyjaśniła Lawinia. - Są tam dziewczęta, które mają wejść w świat. Nie będzie głupich lekcji i tym podobnych rzeczy.

- Wiem. Mamy nabrać ogłady.

- Przygotować się do wejścia w kręgi towarzyskie. Ciebie to, oczywiście, nie dotyczy.

To szkoła dla arystokratek.

- Może powinnam wrócić do Meridian House.

Wystarczała sugestia, że nie będę jej towarzyszyła, by poskromić Lawinię. Teraz już wiedziałam, jak z nią postępować, a tak łatwo było ją przejrzeć, że często bywałam górą.

Za nic nie chciałam, by ominęła mnie ta wielka przygoda. Byłam tak samo podekscytowana myślą o Chateau Lamason jak moja towarzyszka.

Przed wyjazdem spędziłam kilka dni z Polly. Ze śmiechem rozmawiałyśmy o

„nabieraniu ogłady”. Eff uważała, że to „niezmiernie miłe”, i mówiła wszystkim, że zaraz po pobycie u nich wyjeżdżam do ekskluzywnej szkoły dobrego wychowania. Lubiła zwłaszcza rozmawiać o mnie z lokatorką z drugiego piętra, która „zadierała nosa” i ciągle podkreślała, że „obracała się w lepszym towarzystwie”.

Letnie wakacje dobiegały końca i miałyśmy wyjechać we wrześniu. W przeddzień wyjazdu zostałam wezwana przed oblicze lady Harriet. Przyjęła mnie w salonie; siedziała na krześle z wysokim oparciem, podobnym do tronu i poczułam, że powinnam dygnać.

Przystanęłam niepewnie tuż za progiem.

- Wejdz, Druzylo - powiedziała. - Możesz usiąść. - Łaskawym gestem wskazała mi miejsce. - Niebawem pojedziesz do Chateau Lamason. Jest to jedna z najlepszych szkół tego rodzaju w Europie. Wybrałam ją bardzo starannie. To dla ciebie prawdziwy uśmiech losu.

Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

W miarę mego dorastania lady Harriet nie wydawała mi się już taką boginią jak dawniej. Widziałam w niej kobietę, która siłą woli narzuciła innym swą władzę. Moje uczucia jednak uległy zmianie po walnej bitwie z panną Gentian. Przełożona szkoły wykazała wyraźnie, że lady Harriet nie jest aż tak ważną figurą, za jaką sama się uważała - i, co za tym idzie, panna Gentian wygrała wojnę. Przypominało to potyczkę Napoleona z Wellingtonem i nauczyło mnie, że owa dama nie jest niezwyciężona.

- No cóż, lady Harriet - zaczęłam - bardzo dobrze czułam się w Meridian House, a panna Gentian wyraziła opinię, iż czynię postępy w nauce. Chętnie uczyłabym się nadal w tej szkole.

Mina lady Harriet wyrażała zdumienie.

- Opowiadasz głupstwa, moje dziecko. To był zły wybór.

Uniosłam brwi. Czyżby przyznawała się do błędu? Bo przecież to sama lady Harriet wybrała Meridian.

Zaśmiała się z lekkim zakłopotaniem.

- Drogie dziecko, jeszcze będziesz mi wdzięczna, że masz sposobność pojechać do Lamason. Ta panna Gentian nie ma pojęcia, jak należy się zachować w wytwornym towarzystwie. Napycha tylko uczennicom głowy faktami, które nigdy później im się nie przydadzą. - Zbyła osobę przełożonej lekceważącym ruchem ręki. - Obydwie z Lawinią znajdziecie się z dala od domu. Jesteś rozsądną panną i... ehm... - Nie powiedziała tego otwarcie, lecz wiedziałam, o co jej chodzi. - Chciałabym, moja droga, żebyś przypilnowała mojej córki.

- Obawiam się, lady Harriet, że ona nic sobie ze mnie nie robi.

- Jesteś w błędzie. Ona cię bardzo ceni. - Umilkła, a po chwili dodała: - Ja również.

Lawinia, jak sama wiesz, jest bardzo piękna, dlatego oblegają ją tłumy... a do tego dochodzi jeszcze jej pochodzenie. Jest nieco... impulsywna. Liczę na ciebie, moja droga - tu obdarzyła mnie bladym uśmiechem - że jej przypilnujesz. - Zaśmiała się niefrasobliwie. - Twój ojciec jest zachwycony tą możliwością, a ja nie wątpię w twoją wdzięczność. Dziewczęta potrzebują towarzyskiej ogłady.

W duchu zaśmiewałam się do rozpuku. Pomyślałam, że muszę zapamiętać tę rozmowę słowo w słowo, by potem powtórzyć ją Polly. Wyobraziłam sobie, jak odgrywam rolę lady Harriet. Opowiem Polly, że czułam się niczym stół z czasów Cromwella, wyczyszczony w holu Framlingów woskiem i terpentyną.

Byłam bardzo dumna, że tak wiele się dowiedziałam o lady Harriet. Niepokoiliła się o córkę i nie chciała się przyznać przed niepozorną pastorówną, że jej latorośl daleka jest od doskonałości. Polly powtarzała już wcześniej, że Lawinia i Fabian Framlingowie będą musieli zapłacić za lata rozpieszczania i już dawno należało za pomocą różgi wybić im z głów przekonanie, że są samym Panem Bogiem Wszechmogącym. „No bo kim oni w końcu są? -

mówiła z naciskiem. - Niczym się od nas nie różnią. Tak się nie wychowuje dzieci.

Potrzebują miłości, owszem, ale i reprimendy od czasu do czasu. Potrzeba im pieczyoty, lecz nie rozpieszczania”.

Biedna lady Harriet, świadoma swej wyższości i jednocześnie popełniająca podstawowe błędy wobec własnego potomstwa!

- Przekonasz się, że pobyt w Chateau Lamason bardzo ci się później przyda. Twój ojciec to rozumie i dlatego z chęcią przyjmuje moją propozycję. Chciałabym, abyś obserwowała Lawinię. Ona ma... zbyt czułe serce i skłonna jest do zawierania nieodpowiednich znajomości. Ty wykazujesz więcej rozsądku, więcej powagi. To naturalne.

Bądź dla niej dobrą przyjaciółką. No, możesz już iść.

Opuściwszy z ulgą lady Harriet, natknęłam się na Lawinię.

- Czego mama chciała od ciebie? - spytała nagłym tonem.

- Powiedziała, że masz czułe serce i zawierasz niewłaściwe znajomości.

Skrzywiła się tylko.

- Nie mów, że masz zostać moją niańką. To niedorzeczne!

Przyznałam jej słusność.

Opuściłyśmy Anglię w towarzystwie czterech innych dziewcząt, udających się do Chateau Lamason pod opieką panny Ellmore, jednej z nauczycielek.

Panna Ellmore, dystygowana dama w średnim wieku, córka profesora, znalazła się bez środków do życia, będąc osobą już niemłodą i musiała poszukać pracy. Jak się później dowiedziałam, zatrudniono ją w chateau nie z uwagi na jej kwalifikacje naukowe, lecz dlatego, że była damą. Miała smutną twarz i sprawiała wrażenie nieco udręczonej obowiązkiem pilnowania sześciu kilkunastoletnich dziewcząt.

Dla nas podróż stała się podniecającą przygodą. Spotkałyśmy się wszystkie w Dover, dokąd odwieźli mnie i Lawinię stangret oraz główny stajenny Framlingów, by oddać nas bezpiecznie pod opiekę panny Ellmore. Rozstałyśmy się z nimi w hotelu Paquet, a panna Ellmore przedstawiła nas towarzyszkom podróży. Były to: Elfrida Lazenby, Julia Simons, Melania Summers i Janina Fellows.

Janina natychmiast wzbudziła moje zainteresowanie, ponieważ różniła się wyraźnie od pozostałej trójki. Elfrida, Julia i Melania przypominały dziewczęta, które poznałam w Meridian House - miłe i zwyczajne, podobne do siebie mimo pewnych indywidualnych cech charakteru. Od samego początku czułam jednak, że Janina jest inna.

Była niewysoka i bardzo szczupła, miała rudawe włosy, jasne rzęsy i mlecznobiałą, lekko piegowatą cerę. Odniosłam wrażenie, że muszę trochę poczekać, zanim rozstrzygnę, czy lubię Janinę czy nie.

Od pierwszej chwili wszystkie okazywały wyraźne zainteresowanie Lawinią. Nie mogły się powstrzymać, by na nią ukradkiem nie zerkać. Zdążyłam już zauważyć, że ludzie przeważnie oglądali się za nią, gdy przechodziła... zwłaszcza mężczyźni. Lawinia była tego świadoma i zawsze wprawiało ją to w dobry nastrój.

Przeprawiliśmy się przez kanał La Manche. Panna Ellmore wyjaśniła, co nam wolno, a czego nie.

- Musimy trzymać się razem, dziewczęta. Gdyby któraś się zgubiła, miałyby to fatalne skutki.

Podróż upłynęła spokojnie i z narastającym podnieceniem obserwowałam przybliżające się wybrzeże Francji.

Długo jechałyśmy przez ten kraj i zanim dotarłyśmy do nowej szkoły, zdążyłam poznać bliżej towarzyszki podróży - wszystkie z wyjątkiem Janiny.

Chateau Lamason leżał w samym sercu regionu Dordogne. Droga ze stacji wiodła przez urocze lasy, a potem wśród pól i strumieni, aż wreszcie ujrzałam budynek szkoły.

Nie mogłam uwierzyć, że zamieszkamy w tak romantycznym i imponującym miejscu.

Wokoło ciągnęły się lasy i strome wzgórza; strumienie spływające ze stoków tworzyły niewielkie kaskady. Potężna kamienna budowla z wieżami i grubymi kamiennymi bastionami wyglądała starodawnie i groźnie.

Z wrażenia zaparło mi dech w piersi. Zupełnie jakbym znalazła się nagle w innej epoce. Mój widoczny podziw najwyraźniej mile polectał dumę panny Ellmore i gdy wjeżdżałyśmy pod łukowatym sklepieniem na dziedziniec, powiedziała:

- Zamek należy do rodziny madame od stuleci. Ponieśli wiele strat podczas rewolucji, lecz ta posiadłość ocalała i madame postanowiła otworzyć tu szkołę dla młodych panien.

Zaprowadzono nas do głównej sali, gdzie zgromadziło się już liczne grono dziewcząt.

Wiele z nich najwyraźniej dobrze się znało. Zauważyłam kilka kobiet w średnim wieku, podobnych

do panny Ellmore. Patrząc na nie, odnosiło się wrażenie, że życiowa konieczność zmusiła je do wykonywania pracy całkowicie obcej ich naturze.

Mademoiselle Dubreau zaprowadziła nas do wyznaczonych pokoi. Sypialnie były czteroosobowe. Okazało się, że Lawinia i ja dzielimy pokój z Francuzką o imieniu Francoise i Niemką Gerdą. Panna Ellmore zaznaczyła wcześniej:

- Wy dwie, jako bliskie przyjaciółki, zamieszkacie razem, lecz madame jest zwolenniczką łączenia różnych narodowości. To najlepszy sposób doskonalenia znajomości języków.

Francoise miała około osiemnastu lat i była ładna. Lawinia przyjrzała się jej uważnie, lecz niemal natychmiast w jej oczach pojawiło się lekceważenie. Ta Francuzka, choć niebrzydka, pod względem urody nie mogła się równać z efektowną, złotowłosą panną Framling. Z kolei Gerda, pulchna Niemka, w żadnym razie nie pretendowała do miana królowej piękności. Dwa oczka w prawo, dwa w lewo - zauważyłam w duchu i, jak mi się to często zdarzało, pomyślałam, że muszę opowiedzieć o tym Polly.

Rozpakowałyśmy się i wybrałyśmy sobie łóżka. Francoise me była nowicjuską, więc mogła nam opowiedzieć to i owo o szkole.

- Madame - zaczęła - jest bardzo groźna. Reguły... och, mamy ich tak wiele... Same zobaczycie. Ale są i rozrywki. Rozumiesz?

Zrozumiałam i przetłumaczyłam jej słowa Lawinii.

- Jakie rozrywki? - spytała.

Francoise wzniosła oczy ku sufitowi.

- Ach, rozmaite. W mieście. Niedaleko stąd. Chodzimy do kawiarni. Mają tam dobrą kawę.

Oczy Lawinii rozbłysły, a Niemka zapytała z ciężkim akcentem, jakie jest tutejsze jedzenie. Francoise skrzywiła się lekko, co nie wystawiało najlepszego świadectwa szefowi kuchni. Zaniepokojona twarz Gerdy zdradziła przyczynę jej nieco zbyt zaokrąglonych kształtów.

Dość szybko zdałam sobie sprawę, że życie w tej szkole nie będzie nudne. Już samo otoczenie budziło emocje. Chateau wzniesiono w czternastym wieku i wiele dawnych elementów architektonicznych zachowało się aż do obecnych czasów, na przykład wieżyczki i kręte schody, prowadzące do mrocznych korytarzy; główna sala zaś z pewnością stanowiła niegdyś ośrodek zamkowego życia. Łatwo było dostrzec, gdzie pierwotnie znajdował się kominek - w samym centrum sali, z przewodem wentylacyjnym powyżej. Znajdował się tam nawet loch, z którego ponoć dobiegały niekiedy dziwne odgłosy - to duchy więźniów skazanych na zapomnienie skarżyły się na swój los. Mnie jednak najbardziej interesowali żywi ludzie.

Madame du Cios rządziła wszystkim niczym średniowieczna królowa. Od pierwszego wejrzenia rozpoznałam w niej jedną z owych budzących postrach dam, ulepionych z tej samej gliny, co lady Harriet i panna Gentian. Znana po prostu jako madame, była drobnej postury, lecz roztaczała wokół

siebie aurę dostojeństwa. Odziana w czerń - nigdy nie widziałam jej w sukni innego koloru - nosiła ozdoby z gagatu, które połyskiwały w jej uszach i falowały na obfitym biuście. Miała drobne dłonie i stopy i raczej płynęła, niż kroczyła, szeleszcząc cicho fałdzistymi spódnicami. Jej małe, ciemne oczka penetrowały wszystko i - jak się wkrótce przekonaliśmy - niewiele umykało jej uwagi. Ciemne, wysoko upięte włosy były zawsze nienagannie uczesane, nos miała długi i arystokratyczny. Istniało uderzające podobieństwo między nią a portretami w różnych częściach zamku. Byli to niewątpliwie członkowie wybitnej rodziny du Cios, której pewna gałąź zdołała przetrwać rewolucję. Dziadek madame, jak się dowiedziałyśmy, był bliskim przyjacielem Ludwika XVI i Marii Antoniny; rodzina utraciła wszystkie posiadłości z wyjątkiem tego jednego zamku, lecz niektórym jej członkom udało się ocalić głowy. Madame postanowiła przekształcić chateau w ekskluzywną szkołę dla dziewcząt, obdarzając wielkim przywilejem te, które miały szczęście zostać przyjęte w jej progi, a zarazem odbudowując rodzinny majątek, tak by umożliwił jej dalsze życie wśród pamiątek niegdysiejszej chwały.

Pierwszego dnia zebrałyśmy się wszystkie w wielkiej sali, gdzie przemówiła do nas madame, przypominając o uśmiechu losu, dzięki któremu znalazłyśmy się tutaj. Tu zdobędziemy towarzyską ogładę; prawdziwe damy nauczą nas, jak stać się takimi jak one, i opuścimy Chateau Lamason przygotowane do wejścia w wielki świat. Wszelkie drzwi staną przed nami otworem, gdyż Lamason to synonim dobrego wychowania. Najcięższym grzechem była wulgarność, a madame du Cios zamierzała uczynić z nas wszystkich arystokratki.

Większość dziewcząt pochodziła z Francji; następne były Angielki, a potem Włoszki i Niemki. Miałyśmy pobierać lekcje umożliwiające prowadzenie lekkiej konwersacji po francusku, angielsku i włosku. Obok madame na podwyższeniu zasiadały trzy nauczycielki: mademoiselle Le Brun, signorina Lortoni i nasza panna Ellmore. Ich zadanie polegało na kształceniu dziewcząt w sztuce rozmowy salonowej, a ponieważ wszystkie trzy były doskonale wychowane, wiedziały, jakiego słownictwa używa się w najwyższych sferach.

Signor Paradetti uczył śpiewu i gry na fortepianie, a monsieur Dubois - tańca.

Dowiedziałyśmy się wielu rzeczy od Francoise. Miała osiemnaście lat, o rok więcej niż Lawinia. Po ukończeniu szkoły zamierzała poślubić mężczyznę, którego wybrali jej rodzice. Był starszy od niej o trzydzieści lat i bardzo zamożny - dlatego właśnie skojarzono to małżeństwo, on zaś pragnął ożenić się z Francoise, ponieważ, choć bogaty, nie pochodził ze szlacheckiego rodu. Francoise wyjaśniła, że małżeństwo go nobilituje, a jej zubożała arystokratyczna rodzina skorzysta z majątku bogatego narzeczonego.

Gerda wyraziła opinię, iż przypomina jej to ugodę handlową. Francoise wzruszyła ramionami.

- To sensowny układ - odparła. - On wiąże się z arystokracją, ja wchodzę do bogatej rodziny. Jestem już zmęczona ubóstwem. To okropne być biedną. Bez przerwy myśli się o pieniądzach...o remoncie dachu, o wilgoci w sypialniach, o niszczących obrazach Fragonarda i Bouchera w bawialni. Dzięki Alphonse'owi to wszystko się zmieni. Mam nadzieję, że nie będę już musiała wysłuchiwać rozmów o pieniądzach. Chcę je po prostu wydawać.

Francoise podchodziła do życia filozoficznie i z dużą dozą realizmu. Gerda była inna.

Przypuszczałam, że huty należące do jej rodziny przynoszą spore dochody i że najprawdopodobniej zostanie wydana za jakiegoś przemysłowego potentata.

To były interesujące pogawędki. Zazwyczaj rozmawialiśmy w nocy. Wyraźnie pamiętam, jak leżałyśmy w ciemnościach, a gwiezdna poświata nadawała naszemu wysokiemu pokojowi o ścianach wyłożonych boazerią z lekka niesamowity wygląd.

Pamiętam cztery łóżka w rogach i krzepiącą świadomość, że żadna z nas nie jest sama.

Często czułam się tam zupełnie nie na miejscu. Wszystkie dziewczęta były zamożniejsze niż ja, nawet Françoise. Co robiła w tej szkole córka wiejskiego proboszcza?

Znałam odpowiedź. Miałam pilnować Lawinii i zawdzięczałam swój przyjazd tutaj jej niesforności. Musiałam spełnić swój obowiązek. Gdy jednak zauważyłam spojrzenia, jakimi obdarza nauczyciela tańca, zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób zdołam ją ustrzec przed kolejnymi szaleństwami. Bo przecież na tym polegało moje zadanie. Przenigdy nie znalazłabym się w tak ekskluzywnej szkole, gdyby nie obowiązek nałożony na mnie przez lady Harriet.

Françoise i Lawinia wiodły często długie, poufne rozmowy o mężczyznach - był to temat bliski ich sercom. Widziałam, jak szepczą sobie coś na ucho. Niewątpliwie Lawinia zwierzyła się Françoise ze swoich doświadczeń z Josem. Właśnie dlatego wysłano ją do szkoły z internatem, a następnie została wydalona z Meridian House za flirtowanie z chłopcami.

W mrocznej sypialni Lawinia opowiadała nam o swoich przygodach. Od czasu do czasu milkła i dodawała tylko:

- Nie... nie mogę dalej mówić przy Druzylli. Ona jeszcze do tego nie dorosła.

Ani słowem nie wspominała o Gerdzie, która spała smacznie - o czym świadczyły głęboki oddech i pochrapywanie. W ten sposób Lawinia podkreślała mój niski status.

Françoise wyznała nam, że wiele uczennic kocha się w panu Dubois.

- Jest nawet przystojny - zauważyła. - Niektóre dziewczęta wprost szaleją za nim.

Monsieur Dubois wzbudził moje zainteresowanie, choć nie byłam nim tak zafascynowana, jak niektóre uczennice. Ów niski, szczupły Francuz o gładkich, ciemnych włosach i podkręconych wąsach nosił haftowane kamizelki i sygnet na małym palcu.

Spoglądał na niego miłośnie, wybijając dłońmi takt.

- Raz... dwa... trzy... obrót. Cztery... pięć... sześć... twarzą do partnera. Moje panny, to nie tak! Ach, panno Gerdo, pani ma nogi jak z ołowiu.

Biedna Gerda! Nie spisywała się zbyt dobrze na tych lekcjach. Zapewne nie miało to wielkiego znaczenia, jako że potentaci przemysłowi nie za bardzo przejmują się tańcem. W

wypadku Françoise było inaczej. Ta umiejętność się liczyła w arystokratycznych kręgach.

Niektóre z nas musiały przyjąć w tańcu rolę mężczyzny. Gerdzie zdarzało się to najczęściej. Nie lubiła tańczyć i z najwyższą niechęcią człapała wokół sali.

Lawinia natomiast tańczyła z wdziękiem i zmysłowym zapamiętaniem. Monsieur Dubois natychmiast to zauważył i w trakcie pokazów nieodmiennie wybierał ją jako partnerkę.

Przybliżała się do niego, wykonując węzowate i zmysłowe ruchy. Zastanawiałam się, czy jako opiekunka nie powinnam z nią o tym pomówić. Aż nazbyt wyraźnie ujawniała swe uczucia do pana Dubois.

On zaś otaczał Lawinię troskliwą uwagą, dając do zrozumienia, że darzy ją wielką sympatią. Ale tak samo odnosił się do większości dziewcząt. Z pozorną niedbałością kładł

dłoń na ramieniu którejś z dziewcząt lub obejmował czyjąś kibić. Monsieur Dubois lubił

wszystkie uczennice i trudno było stwierdzić, czy którąś z nich wyróżnia. Wydawało się jednak, że Lawinii poświęca najwięcej zainteresowania.

- On tu przychodzi tylko na lekcje - powiedziała Françoise. - Jestem pewna, że ma żonę i sześcioro dzieci.

- Moim zdaniem to bardzo pociągający mężczyzna - oświadczyła Lawinia. - Wyznał mi, że jestem najpiękniejszą dziewczyną w szkole.

- Innym zapewne mówi to samo - zauważyła Françoise.

- Nie wierzę - odparowała Lawinia. - On był naprawdę szczery.

- Tylko się w nim nie zakochaj - ostrzegła ją Françoise. - U niego to wszystko jest na zewnątrz... jak wy to nazywacie?

- Powierzchowne - podsunęłam. - Jego gesty nic nie znaczą. Po prostu okazuje uprzejmość dziewczętom, które mu się narzucają.

Lawinia rzuciła mi gniewne spojrzenie. Ku jej rozczarowaniu, a mojej uldze, flirt nie przerodził się w romans. Françoise miała słuszość, mówiąc, że monsieur Dubois zanadto się obawia utraty posady, by doprowadzić niewinne umizgi do określonego zakończenia.

Odległość nie pozwalała nam jeździć do domu częściej niż dwa razy w roku. Na początku czas włókł się niemiłosiernie, a potem zaczął mijać coraz prędzej.

Spodobało mi się w tej szkole; Lawinii również. To, czy zechcemy się czegokolwiek nauczyć, zależało od nas samych. Pragnęłam wzbogacić znajomość języków, dlatego już po krótkim czasie biegle władałam francuskim i potrafiłam się porozumieć po włosku. Lubiłam lekcje tańca i śpiewu, i

zupełnie nieźle radziłam sobie z fortepianem.

Pozostawiano nam dużą swobodę.

Od czasu do czasu jeździłyśmy po południu do miasteczka Perradot. Któraś z nauczycielek odwoziła nas brekiem mieszczącym około dwunastu osób; potem zostawiałyśmy pojazd na placu i szłyśmy na przechadzkę. Przez urocze miasteczko płynęła rzeczka, nad którą wzniesiono niewielki, zgrabny mostek. Były tam sklepy i kawiarenka z przepyszными ciastkami; w upalne dni siadywałyśmy pod kolorowymi markizami, obserwując przechodniów. W piątki na placu odbywał się targ i wiele dziewcząt pragnęło jechać do miasta właśnie tego dnia. Na straganie można było kupić garderobę, buty, słodycze, jajka, warzywa i sery. Wszędzie unosił się zapach świeżego, chrupiącego chleba, który boulanger wygarniał z przepastnego pieca i sprzedawał oczekującym klientom.

Najbardziej lubiłyśmy chodzić do pdtisserie na ciastka i kawę, którymi delectowałyśmy się przy stolikach pod kolorowymi parasolami. Nawiązałyśmy znajomość z różnymi sklepikarzami i straganiarzami z targowiska, a całe miasteczko znało nas jako lesjeunes filles du chateau.

Życie biegło wyznaczonymi koleinami: lekcje języków obcych, w zasadzie nieobowiązkowe; taniec i muzyka - obowiązkowe, podobnie jak nauka dobrych manier i konwersacji. Raz w tygodniu urządzano the dansant pod patronatem samej madame.

Czas mijał. Przybyłyśmy do Lamason we wrześniu, a dopiero na początku lipca następnego roku pojechałyśmy do Anglii na wakacje, pod eskortą panny Ellmore. Miałyśmy wrócić we wrześniu, a po roku wyruszyć na podbój wyższych sfer.

Na widok ojca doznałam wstrząsu. Wyglądał mizernie i wydawał się o wiele starszy niż tylko o rok. Pani Janson powiedziała mi, że niedomagał przez całą zimę i parafianie doszli do wniosku, że przydałby mu się wikary do pomocy.

- Chwilami dziwnie wyglądał - poinformowała mnie. - Martwiłam się o niego.

Odbyłam z ojcem długą rozmowę. Zapewniał, że wszystko w porządku i czuje się dobrze. Zasugerowałam, że może nie powinnam przebywać tak daleko od niego, lecz nie chciał o tym słyszeć. Był zadowolony, że uczę się języków i muzyki, uważał jednak, iż w programie nauki powinna się znaleźć też historia średniowiecznej Francji.

Lady Harriet była zachwycona zmianą, jaką dostrzegła w Lawinii, i zaprosiła mnie na podwieczorek. Fabian, mimo iż przebywał w domu, nie przyszedł do nas. Lady Harriet zasypała mnie pytaniami o szkołę i z wyraźną aprobatą słuchała odpowiedzi. Ucieszyło mnie to, ponieważ byłoby mi bardzo przykro, gdyby zdecydowała, że już tam nie wrócimy.

Dowiedziałam się od pani Janson, że panna Lucylla do końca postradała zmysły i przeważnie pozostawała zamknięta w zajmowanej przez nią części domu. Niektórzy służący widywali ją błądzącą po pokojach niczym duch. Mówili, że całkowicie straciła poczucie czasu i ciągle nawołuje swego ukochanego.

Odnowiłam również znajomość z Dougalem Carruthersem, który powitał mnie bardzo przyjaźnie. Miałam już siedemnaście lat - byłam dorosłą kobietą, można by rzec - i zauważyłam, że moje kontakty z ludźmi zaczynają nabierać zupełnie innego charakteru.

Stosunek Dougala do mnie uległ subtelnej zmianie, co nawet mi się spodobało.

Dougal odwiedził mojego ojca i rozwodził się długo na temat normandzkiej architektury, normandzkich obyczajów i tak dalej. Ojciec był uszczęśliwiony, że spotkał

bratnią duszę; dawno nie widziałam go tak ożywionego.

Fabian również odnosił się do mnie inaczej niż przedtem. Częściej zwracał na mnie uwagę i wypytywał o chateau.

Wybieraliśmy się we czworo na konne przejażdżki i zauważyłam, że Lawinię bardzo drażni fakt, iż Dougal woli rozmawiać ze mną niż z nią. Po raz pierwszy jakiś młody człowiek okazał mi zainteresowanie i to ją irytowało. „Po prostu stara się być uprzejmy” -

mówiła. Podczas przejażdżek trzymała się blisko niego, co skazywało mnie na towarzystwo Fabiana. Wyczuwałam, że jest nieco zakłopotany z powodu owego porwania sprzed lat i trochę się wstydzi.

Cieszyłam się, że mogę spędzić tydzień u Polly. Udała, że oślepił ją mój widok -

nawiązując do starego żartu na temat poloru.

- Słowo daję, nabrałaś szlifu. Aż blask od ciebie bije.

W obydwu domach wszystko szło gładko. Polly i Eff należały - jak się dowiedziałam -

do najzamożniej szych osób w okolicy.

Lokatorzy nie zalegali z opłatami, a Eff miała na oku następny dom po tej samej stronie ulicy.

- „Rozwijanie działalności”, tak to nazywa - wyjaśniła Polly. - Ojciec zawsze powtarzał, że Eff ma głowę do interesów.

Rodzina spod numeru 32 z dołu wyprowadziła się kilka miesięcy wcześniej razem ze

„szkrabem”, co zasmuciło obie siostry. Ale państwo Collett, którzy zajęli opuszczone mieszkanie, okazali się miłą, spokojną parą. Niestety, ich wiek wykluczał możliwość pojawienia się dzieci, lecz mieli swoje zalety.

Odbyliśmy tradycyjną wyprawę na targ i West End, robiłyśmy te same miłe rzeczy, co poprzednim razem i cieszyłam się wizytą u Polly, a więź między nami, równie silna jak zawsze, podnosiła mnie na duchu. Pożegnanie napełniło mnie smutkiem, wiedziałam bowiem, że zobaczymy się dopiero za rok.

W sierpniu wróciłyśmy z Lawinią do Lamason.

Nastąpiły pewne zmiany. Francoise opuściła szkołę i prawdopodobnie poślubiła swego podstarzałego, bogatego narzeczonego, a jej miejsce w naszej sypialni zajęła Janina Fellows.

Sama nie wiedziałam, czy mnie to cieszy czy martwi, gdyż nadal nie byłam pewna, czy lubię Janinę. Odpowiadało mi towarzystwo Francoise; potrafiła być zajmująca, a jej znajomość chateau bardzo nam pomogła w pierwszym okresie. Intrygowało mnie jej filozoficzne podejście do życia, obojętne pogodzenie się z losem, realizm i brak sentymentów.

Miałam wrażenie, że wiele się od niej nauczyłam. Gerda nie należała do zbyt interesujących współmieszkanek. Jej upodobanie do jedzenia zawsze mnie trochę nużyło; była zbyt flegmatyczna i zanadto ceniła sobie wygody, nigdy jednak nie przejawiała złośliwości i miała dobre serce. Lawinię, oczywiście, znałam najlepiej; a teraz pojawiła się Janina.

Jej obecność przyniosła zmianę atmosfery w naszej sypialni. Z Francoise było tu przytulnie i niekiedy zdarzały się ekscytujące chwile; teraz zaś wyczuwałam coś niemiłego.

Przede wszystkim Janina i Lawinia z miejsca zapalały do siebie niechęcią, przy czym

- co uznałam za złą wróżbę - Janina rzadko okazywała swoje uczucia. Lawinia od czasu do czasu wybuchała gniewem, a jej przeciwniczka odwzajemniała się wyrafinowanym sarkazmem.

Była nieładna, co poniekąd łączyło ją ze mną. Miała cienkie, proste, rudawe włosy, rzadko kiedy starannie uczesane, małe jasnoniebieskie oczy i wąskie brwi, nadające jej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia.

Najbardziej - jak się wydawało - przyłgnęła do mnie. Gerda interesowała się głównie sobą i gdy poruszano inne tematy, jej spojrzenie stawało się szkliste i nieobecne; nie sprawiała kłopotu, lecz i nie udzielała się towarzysko.

Siłą rzeczy Janina rozmawiała ze mną częściej niż z nimi, gdyż Lawinię, podobnie jak Gerde, obchodziły wyłącznie własne potrzeby. Gerda myślała głównie o jedzeniu, a Lawinia -

o wielbicielach.

Lawinia na nowo zwróciła serce ku panu Dubois, zapewne dlatego, że nie miała pod ręką innego mężczyzny. Janina to zauważyła i ilekroć padła o nim jakaś wzmianka, jej usta drgały lekko z rozbawienia.

Lawinia doskonale tańczyła i monsieur Dubois zawsze wybierał ją, gdy chciał

zademonstrować, jak powinien wyglądać nowy krok. Była wówczas w siódmym niebie: kołysała się, wirując w tańcu, przytulała do pana Dubois mocniej, niż wymagała tego konieczność, unosiła ku niemu piękne oczy i spuszczała powieki, ukazując w całej krasie długie, podwinięte rzęsy, które same w sobie wystarczyłyby, aby uczynić z niej piękność.

- Monsieur Dubois jest urodzonym flirciarzem - orzekła Janina. - To mu pomaga w pracy. Oczywiście dobrze wie, z którymi dziewczętami może flirtować. Nie z każdą sobie na to pozwala. Nie wyobrażasz sobie chyba, by spróbował swoich sztuczek z księżniczką.

Księżniczka pochodziła z dynastii panującej w jakimś bliżej nieznanym europejskim kraju i madame była niezmiernie dumna z jej obecności w szkole.

- Nie przypuszczam, aby miał na to ochotę - odparła Lawinia.

- Moja droga, on nie ma ochoty flirtować z żadną z nas. Po prostu uważa, że sprawi nam to przyjemność. Jeśli widzi, że dziewczyna tego pragnie, flirtuje z nią. Za to mu płacą.

Janina znacznie przewyższała inteligencją Lawinię, która nie potrafiła prowadzić wyrafinowanych rozmów i prawie zawsze przegrywała słowne potyczki. Nie przestała jednak kokietować nauczyciela tańca.

Była najlepszą tancerką i najpiękniejszą dziewczyną w szkole - a z pewnością najbardziej efektowną. Wkroczyła w pełnię młodzieńczego rozkwitu osiemnastolatki, o krągłych biodrach i biuście, i cieniutkiej talii. Włosy nosiła czasami związane wstążką i spływające luźno na plecy, a czasami upięte wysoko, z drobnymi loczkami wijącymi się nisko. Trudno było oderwać od niej oczy.

Pewnego dnia Janina wpadła do pokoju, pękając ze śmiechu. Zaczekała na powrót Lawinii i wtedy opowiedziała, co ją tak rozbawiło.

Poszła za panem Dubois aż pod jego dom, zachowując bezpieczną odległość.

Zobaczyła jego żonę i czworo dzieci, a potem podsłuchiwała przywitania małżonków, jako że biegle władała francuskim. Powiedziała, że padli sobie w objęcia niczym kochankowie po wielomiesięcznej rozłące. „Jak ci dzisiaj poszło, Henri?” „O, nie najgorzej, zupełnie nie najgorzej, mon chou”. „Czy wiele tych niemądrych dziewcząt uganiało się za tobą?” „Ach, nie więcej niż zwykle. Zawsze jest to samo. Uprzykrzone nudy. Musisz to jakoś znieść, mój aniele. Powiniennem dbać o dobre samopoczucie tych pańienek. One nic mnie nie obchodzą...

ale taką już mam pracę”.

- Nie wierzę ci! - zaprotestowała gorąco Lawinia.

Janina wzruszyła ramionami, jakby to, czy Lawinia jej wierzy czy nie, było dla niej bez znaczenia. Poszukiwała swojego towarzystwa.

- Jesteś inna niż one wszystkie - powiedziała mi kiedyś. - Większość z nich to niemądre, pustogłowe miernoty. A jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę Lawinię, nie wiem, jak z nią wytrzymujesz.

- Znam ją całe życie.

- O wiele za długo - skomentowała Janina.

- Jej matka pomaga opłacić moje chesne, bo mego ojca nie byłoby stać na tę szkołę.

Masz słuszność, że różnię się od innych. To prawda. Nie jestem bogata i nie czeka mnie świetne zamążpójście.

- Podziękuj za to swej szczęśliwej gwiazdzie.

Janina potrafiła wyciągać z ludzi sekrety. Często sama się sobie dziwiłam, że rozmawiam z nią tak szczerze. Była uważną słuchaczką - rzadkość wśród egocentrycznych dziewcząt. Opisałam jej ze szczegółami lady Harriet i naszą wioskę.

- Rozpuszczony bachor - oceniła Lawinię.

- Lady Harriet uważa, że i ona sama, i wszystko, co ma z nią związek, jest doskonałe.

Dotyczy to również jej córki.

- Musi być bardzo zaślepiona. Lawinia nie ma zbyt wiele oleju w tej swojej ładnej główce.

- Przypuszczam, że uroda rekompensuje wiele braków.

- Ona jest... stanowczo zbyt „cielesna”, by miało jej to wyjść na dobre. Nie zdziwię się, jeśli prędzej czy później wpadnie w tarapaty. Zupełnie się nie kryje ze swoim upodobaniem do mężczyzn. Wystarczy popatrzeć, jak narzuca się panu Dubois.

- Nie spodobało jej się to, co powiedziałaś o nim i jego żonie. Czy tak naprawdę było?

Spojrzała na mnie i parsknęła śmiechem.

- W pewnym sensie - odrzekła.

- A więc zmyślałaś!

- Jestem przekonana, że wiodą podobne rozmowy. Widziałam ich kiedyś na targu. Są sobie bardzo oddani. Z pewnością nużą go głupie, romantyczne podlotki, które mu się narzucają, a ona cieszy się, że ma tak pociągającego męża.

Janina opowiedziała mi o sobie. Nie wiedziałam, czy mam jej wierzyć. Cała historia brzmiała nad wyraz romantycznie. Otóż dziewczyna była ponoć nieślubnym dzieckiem dwojga bardzo wysoko postawionych osób. Dała mi do zrozumienia, że w grę wchodziła rodzina królewska.

- Nie mogli się pobrać, rozumiesz. On... mój ojciec, miał zawrzeć korzystne pod względem politycznym małżeństwo. Tak to już jest z członkami rodów panujących. Moja matka była damą dworu. Ona z kolei miała poślubić arystokratę. Tymczasem pojawiłam się ja. Przyszłam na świat w zakładzie prowadzonym przez kobietę, którą nazywam ciocią Emilią. Nie jest moją krewną, ale wychowałam się pod jej opieką i zawsze mówiłam o niej

„ciocia Emilia”. Miałam się kształcić w najlepszych szkołach. Naukę opłacili moi rodzice, lecz w taki sposób, bym wierzyła, że wszystko zawdzięczam ciocie Emilii. Ona utrzymuje bliskie kontakty z dworem. Jest znana ze swej dyskrecji. Ludzie przyjeżdżają do niej, jeśli nie chcą, żeby ktoś się dowiedział...

Powiedziałam, że to bardzo interesujące, choć nie do końca jej wierzyłam. Nie wiedziałam dlaczego, jednak było mi jej żal. Odnosiłam wrażenie, że bez przerwy usiłuje coś sobie udowodnić. Nie cieszyła się sympatią innych dziewcząt; a ponieważ, mimo wszystko, dzieliła z nami pokój, przebywałam z nią częściej niż reszta uczennic.

Mniej więcej tydzień po powrocie do Lamason, pewnego pięknego, złotego, wrześnieowego popołudnia pojechałyśmy brekiem do miasteczka. Dziewczęta rozeszły się w różne strony, a nasza czwórka wybrała się do patisserie - Janina, Lawinia, pewna dziewczyna nazywająca się Maria Dallon i ja. Zamówiłyśmy ciastka i usiadłyśmy pod markizą. Garçon Charles przyniósł nam kawę.

Właśnie śmiałyśmy się głośno z czegoś, gdy obok naszego stolika przeszedł wolnym krokiem jakiś mężczyzna. Przystanął i spojrzał na nas z lekkim uśmiechem. Lawinia zareagowała natychmiast, ponieważ był bardzo przystojny, smagły, o włoskim typie urody.

Zauważyłam spojrzenie, jakim obrzucił moją towarzyszkę; lecz takie spojrzenia nie były w jej wypadku niczym niezwykłym.

- Dzień dobry - odezwał się grzecznie. - Proszę wybaczyć. To doprawdy urocze...

Usłyszałem śmiech i zobaczyłem panie przy tym stoliku, takie rozradowane. Postąpiłem niewybaczalnie, lecz mimo to bardzo proszę o przebaczenie.

- Wybaczamy panu. - Lawinia błysnęła zębami w uśmiechu.

- A zatem sprzyja mi szczęście. - Myślałam, że ukloni się i odejdzie, lecz nadal wpatrywał się w Lawinię. - Czyżby panie były - podjął - młodymi damami z chateau?

- Odgadł pan! - wykrzyknęła Lawinia.

- W przeszłości widywałem dziewczęta z Lamason. Dzisiaj zatrzymałem się tutaj... po drodze do Paryża. I widzę to samo, co niegdyś. Ten widok raduje moje serce. Młode damy z chateau są bardziej czarujące niż kiedykolwiek. Ośmielę się wyrazić prośbę.

Zerknęłyśmy na niego pytająco.

- Aby panie pozwoliły mi pozostać tu na chwilę... popatrzeć... i może zamienić kilka słów.

Wymieniłyśmy z Janiną i Marią lekko zaniepokojone spojrzenia. Nie wiadomo, jakie byłyby skutki, gdyby przyłapano nas na rozmowie z nieznanym mężczyzną. Z pewnością fatalne, zważywszy reguły obowiązujące w szkole; a nauczycielka, która z nami przyjechała, mogła się pojawić lada chwila. Lawinia jednak odrzekła:

- Jeśli potrafi pan stać się niewidzialny, gdy nasza groźna opiekunka pokaże się na horyzoncie, proszę bardzo. Kiedy nadejdzie, będzie pan musiał przerwać rozmowę. Powiemy, że przysiadł się pan, gdy już podano nam kawę i nie mogliśmy znaleźć innego stolika.

- Cóż za rozkoszna przebiegłość!

Usiadł, a kiedy podszedł garcon, zamówił kawę.

- Chyba jesteśmy bezpieczni - zauważyła Lawinia, opierając łokcie o stół i wpatrując się ze skupieniem w nieznanego. Już sama jej poza wydawała się kusząca.

- Będę czujny i gdy tylko pojawi się owa groźna dama, wykorzystam swą czarodziejską moc i stanę się niewidzialny.

Lawinia zaśmiała się perliście, odchylając głowę i ukazując idealnie białe zęby.

- A teraz proszę mi koniecznie opowiedzieć o Chateau Lamason. Czy obowiązują tam bardzo surowe reguły?

- Do pewnego stopnia... choć nie aż tak surowe, jak w innych szkołach - odrzekła Lawinia.

- Zapewne jesteście panie bardzo z tego rade?

- O, tak - powiedziałam. - Dzięki temu możemy odwiedzać miasteczko.

- I spotykać interesujących ludzi - dodała z uśmiechem Lawinia.

W trakcie rozmowy wypytywał nas z zaciekawieniem o szkolne życie. Przedstawił się jako comte de Borgasson. Jego włości leżały około pięćdziesięciu mil stąd. Zamek był

jednym z nielicznych, których nie dotknęły skutki rewolucji.

- Podobnie jak Lamason - wtrąciłam.

- W istocie - przyznał z powściągliwym uśmiechem i natychmiast zwrócił oczy ku Lawinii.

Podczas owego pierwszego spotkania zaprezentował się nam jako arystokrata i właściciel rozległych dóbr, obejmujących również winnice. Był młodym kawalerem i właśnie odziedziczył po zmarłym ojcu tytuł i majątek.

- Moje studenckie lata dobiegły końca - wyznał. - Teraz muszę się ustatkować.

Było to dla nas ekscytujące przeżycie. Lawinia niewątpliwie wspaniale się bawiła, zwłaszcza że to właśnie ona przyciągnęła uwagę pięknego nieznanego.

Kiedy wreszcie nadeszła mademoiselle, wstałyśmy od stolika z niewinnymi minami, pożegnaliśmy naszego towarzysza i wsiadłyśmy do breku. Zauważyłam, że Lawinia odwraca głowę ku hrabiemu,

który uniósł dłoń. W drodze do chateau uśmiechała się do siebie.

Spotkałyśmy go podczas następnej wyprawy do miasta; tak samo jak poprzednim razem wypił z nami kawę i zabawiał nas beztroską pogawędką. Teraz jednak usiadł tuż obok Lawinii.

Domyśliłam się, że ona coś ukrywa - może dlatego, że tak dobrze ją znałam. Często znikła i nikt nie wiedział, gdzie jest. Bywała bardzo roztargniona i nie zwracała już uwagi na wdzięki pana Dubois. Wprawdzie figury taneczne wykonywała z zapalem, lecz nie wysuwała się naprzód i nie odrzucała w tył włosów jak dawniej, gdy pragnęła skłonić naszego nauczyciela, by wybrał ją na partnerkę.

Zupełnie zapomniałam o hrabim i dopiero po pewnym czasie natknęłam się na niego w pobliżu chateau. Uśmiechnął się do mnie zdawkowo, jak gdyby nie potrafił sobie przypomnieć, kim jestem. Nie zdziwiło mnie to, gdyż podczas naszych poprzednich spotkań nie dostrzegał nikogo prócz Lawinii.

Ona zaś chodziła z głową w chmurach; przestała narzekać i często przesiadywała z oczyma utkwionymi w przestrzeń i lekkim uśmiechem na ustach, bawiąc się kosmykiem włosów. W końcu nie wytrzymałam i zapytałam, co się z nią dzieje. Obrzuciła mnie dość lekceważącym spojrzeniem.

- Ach, ty i tak tego nie zrozumiesz.

- Jeśli to taka zawiła sprawa, dziwię się, że ty cokolwiek pojmujesz.

- Tu nie chodzi o głupie odrabianie lekcji, tylko o prawdziwe życie.

- Ach, o to - mruknęłam. - Czyżby monsieur Dubois odkrył nagle, że już nie kocha żony i czworga dzieci i marzy wyłącznie o tobie?

- Nie opowiadaj głupstw. Monsieur Dubois, doprawdy! Zwyczajny nauczyciel tańca!

Uważasz go za mężczyznę? No cóż, to możliwe... przecież tak niewiele o nich wiesz.

- Ty za to wiesz bardzo dużo.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- A zatem chodzi o jakiegoś mężczyznę - dociekałam.

- Cicho! - mruknęła bez złości.

Powinnam była zrozumieć, co się święci.

Pewnego dnia nie pojechała z nami do miasta, wymawiając się bólem głowy. Nie należało jej wierzyć. Wyglądała wręcz promiennie, jakby nic jej nie dolegało.

Po powrocie nie zastałyśmy Lawinii w sypialni i długo nie wracała. Wreszcie przyszła, cała w rumieńcach. Do dziś nie pojmuję, dlaczego wówczas niczego się nie domyśliłam. Przecież to samo

zdarzyło się z Josem.

Nadeszło Boże Narodzenie. W Lamason obchodzono je w tradycyjny sposób; większość dziewcząt pozostała w szkole, bo miały za daleko do domu, więc umilałyśmy sobie wzajemnie czas.

Dowiedziałam się od Janiny, że widziała hrabiego w pobliżu chateau. Nie poznał jej.

- Dostrzegłam na jego twarzy pewną determinację - dodała.

Kilka dni później, będąc sam na sam z Lawinią, powtórzyłam jej, że Janina widziała hrabiego. Lawinia uśmiechnęła się znacząco.

- Potrafisz dochować tajemnicy? - spytała.

- Ależ oczywiście. O co chodzi?

- Zamierzam wyjść za mąż.

- Naturalnie, że tak. Gdy tylko lady Harriet wyszuka odpowiedniego kandydata.

Pokręciła głową.

- Uważasz, że sama nie potrafię sobie znaleźć męża?

- Przeciwnie. Wystarczy na ciebie spojrzeć, by wiedzieć, czego poszukujesz.

-1 nie musiałam długo szukać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wychodzę za mąż za hrabiego.

- Za hrabiego? Tego, który zaczepił nas w mieście?

Przytaknęła radośnie.

- Co na to powie twoja matka?

- Będzie zachwycona.

- Zawiadomiłaś ją?

- Nie. Jean Pierre uważa, że powinniśmy poczekać... zastanowić się, w jaki sposób przekazemy jej tę wiadomość.

- Jean Pierre?

- Hrabia, głuptasie. Pomyśl tylko! Zostanę hrabiną de Borgasson i zamieszkać we wspaniałym

chateau. Jean Pierre jest bardzo bogaty. Pojedzie do Anglii spotkać się z mamą.

Zwrócił na mnie uwagę od razu, tamtego pierwszego popołudnia... wiedział, że jestem mu przeznaczona. Czy to nie cudowne?

- No cóż, wydaje mi się...

- Co ci się wydaje? Czyżbyś była zazdrosna, Druzyлло?

- Skądże znowu!

- Na pewno jesteś. Każda by mi zazdrościła.

- Przecież dopiero co go poznałaś.

Zrobiła mądrą minę.

- W tych sprawach nie ma znaczenia, jak długo kogoś znasz, tylko jak blisko. Nikomu nic nie mów... a zwłaszcza Janinie.

- Dlaczego utrzymujesz rzecz w tajemnicy? - spytałam.

- Tylko chwilowo. Nawet tobie nie powinnam nic mówić, ale jakoś tak się składa, że zawsze mówię ci wszystko.

Rzeczywiście nie posiadała się ze szczęścia. Była dla mnie miłsza. Nie jeździła z nami do miasta i domyśliłam się, że chodzi na potajemne spotkania z hrabią. Nie wiedziałam tylko, gdzie. Być może jego powóz czekał w umówionym miejscu, by uwięzić ją... no właśnie, dokąd? Ta myśl wywołała we mnie lekki niepokój.

- Co się dzieje z Lawinią? - zagadnęła mnie Janina. – Jakoś inaczej wygląda.

- Doprawdy? - udałam zdziwienie.

- Tylko nie mów, że niczego nie zauważyłaś.

- Nie potrafię przewidzieć jej zachowania.

- Coś się wydarzyło - oznajmiła wszechwiedząca Janina.

W jej oczach rozbłyły iskierki podejrzeń i wzmożonej ciekawości. Natychmiast zauważyła kolejną zmianę nastroju Lawinii.

Lawinia była blada, roztargniona i czasami nie słyszała, że ktoś coś do niej mówi.

Pomyślałam, że zapewne ma kłopoty z ukochanym; lecz zanim się zdecydowałam, by ją o to zapytać, wezwała mnie na pilną rozmowę.

- Chodźmy do ogrodu - zarządziła. - Czuję się tam swobodniej.

Zrobiło się zimno, jak zwykle w lutym. Zdążyłyśmy już zauważyć, że choć letnie miesiące są tu cieplejsze niż w Anglii, zimą bywało znacznie chłodniej. W sprzyjającej porze roku ogrody pyszniły się bugenwillą, oleandrami i różnymi wielobarwnymi kwiatami.

Teraz jednak panowała zima. W lutym nikt nie zaglądał do parku.

Mogłyśmy spokojnie porozmawiać.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Chodzi o hrabiego.

- Czuję, że to nie najlepsze wieści. Czy zerwał zaręczyny?

- Nie. Tylko... dawno go nie widziałam.

- Zapewne musiał wyjechać w ważnych sprawach. Te jego rozległe włości i w ogóle...

- Przekazałby mi wiadomość. Byliśmy umówieni.

- Gdzie?

- W pewnej chatce... no wiesz, w lesie, około pół mili stąd.

- W tej walącej się starej szopie? Tam się spotykaliście?

- Nikt do niej nie zagląda.

Poczułam lekki niepokój. Przypomniała mi się historia z Josem.

-1 nie przyszedł?

Pokręciła głową, usiłując powstrzymać łzy.

- Kiedy go ostatnio widziałaś?

- Trzy tygodnie temu.

- To długo. Ale nie wątpię, że prędzej czy później pojawi się ktoś inny. Jeśli nie, będzie ci musiał wystarczyć monsieur Dubois.

- Nie rozumiesz. - Wbiła we mnie nieruchome spojrzenie i nieoczekiwanie wyrzuciła z siebie: - Chyba będę miała dziecko.

Zamarłam ze zgrozy. Od razu przyszła mi na myśl lady Harriet; jej wstrząs i wymówki. Wysłała za granicę Lawinię, by uniknąć czegoś takiego, a ja miałam ją chronić.

- Musisz go natychmiast poślubić - powiedziałam.

- Ale nie wiem, gdzie jest.

- Trzeba wysłać mu wiadomość do chateau.

- Nie widziałam go od trzech tygodni. Och, Druzyлло, co mam teraz zrobić?

Wzbudziła we mnie litość. Cała jej pycha zniknęła bez śladu. Pozostał tylko lęk; i pochlebiało mi, że właśnie do mnie zwróciła się o pomoc. Jej błagalne spojrzenie mówiło, że z pewnością znajdę jakieś wyjście. Byłam zadowolona, że Lawinia darzy mnie tak wielkim zaufaniem.

- Musimy go odszukać - zdecydowałam.

- On tak bardzo mnie kochał, Druzyлло. Najbardziej na świecie. Mówił, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

- Przypuszczam, że oni wszyscy mówią to każdej dziewczynie. - Zamierzałam wygłosić jakąś ostrą uwagę, lecz złagodziłam ton wypowiedzi, gdyż niewiele jest zjawisk bardziej godnych politowania niż upokorzona pycha. Miałam przed sobą ogromnie - i nie bez powodu - wystraszoną dziewczynę.

- Druzyлло - podjęła błagalnie - pomożesz mi, prawda?

Nie miałam pojęcia, jak jej pomóc, ale sam fakt, że zazwyczaj tak pewna siebie Lawinia zwraca się do mnie z naiwną wiarą, iż rozwiążę jej problem, napełnił mnie satysfakcją.

- Musimy to przemyśleć - powiedziałam. - Trzeba się zastanowić.

Przywarła do mnie rozpaczliwie.

- Zupełnie nie wiem, co robić. A przecież coś muszę zrobić. Pomóż mi. Ty jesteś taka mądra.

- Uczynię, co w mojej mocy - przyrzekłam.

- Och, dzięki, Druzyлло. Dziękuję ci.

Jej problem nieustannie zajmował moje myśli. Doszłam do wniosku, że najpierw należy odnaleźć hrabiego.

Po południu pojechałam z innymi dziewczętami do miasteczka. Lawinia została, wymówiwszy się bólem głowy. Tym razem prawdopodobnie nie kłamała.

Zamówiłam ciastko, a gdy Charles przyniósł kawę, skorzystałam ze sposobności, by go zagadnąć.

- Znasz Borgasson? - spytałam.

- O tak, mademoiselle. To jakieś pięćdziesiąt mil stąd. Myślała pani o wycieczce? Nie bardzo jest

tam co oglądać.

- A stary zamek... własność comte de Borgasson?

- Och nie, mademoiselle, tam nie ma żadnego chateau. Tylko kilka gospodarstw i chat.

Mała wioska... niewarta odwiedzin.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnego hrabiego de Borgasson?

- Z całą pewnością nie ma. Dobrze znam te okolice. Mieszka tam mój wuj.

Wówczas uświadomiłam sobie wyraźnie, co się stało. Lawinia została oszukana przez rzekomego arystokratę, a teraz oboje miałyśmy ponieść konsekwencje jej postępuku.

Musiałam ją zawiadomić o swoim odkryciu.

- Ten kelner, Charles - zaczęłam - mówi, że w Borgasson nie ma żadnego chateau ani żadnego hrabiego. Zna tę okolicę, bo tam mieszka jego wuj. Zostałaś oszukana.

- Nie wierzę!

- Po co by miał kłamać? A gdzie się podział ten twój ukochany? Lepiej spójrz prawdzie w oczy, Lawinio. Przez cały czas cię oszukiwał. Chodziło mu tylko o... o to, co zrobiłaś. Dlatego opowiadał o małżeństwie i tak dalej.

- Niemożliwe... on by nie mógł...

- Lawinio, spójrz prawdzie w oczy... będzie lepiej dla wszystkich. Rzeczywistość to nie pobożne życzenia.

- Och, Druzyлло, bardzo się boję.

Nic dziwnego, pomyślałam. Ona na mnie liczy. Powinnam coś zrobić. Ale co?

Zmieniła się i inni zaczęli to zauważać. Była blada i miała cienie pod oczami. Panna Ellmore zwróciła się do mnie:

- Lawinia chyba nie czuje się dobrze. Może powinnam zamienić kilka słów z madame? Mamy dobrego lekarza, zaprzyjaźnionego z madame...

Na samą wieść o tym biedaczka wpadła w panikę.

- Nie martw się tak - powiedziałam. - Weź się w garść. Jeśli madame wezwie lekarza, skutki mogą być opłakane. Wszyscy się dowiedzą.

Lawinia spróbowała wziąć się w garść, choć wciąż była blada i wymizerowana.

Powiedziałam pannie Ellmore, że moja przyjaciółka ma się znacznie lepiej.

- Różnie bywa z dziewczętami - zgodziła się panna Ellmore, a ja westchnęłam z ulgi, że pokonałyśmy kolejną przeszkodę.

Ale przed Janiną niczego nie dało się ukryć.

- Co też się dzieje z naszą opuszczoną dziewicą? - zagadnęła. - Czyżby szlachetny hrabia ją porzucił? A my jesteśmy świadkami rozpaczliwego złamanego serca?

Nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że obyta w świecie Janina mogłaby nam pomóc.

Zapytałam Lawinię, czy mogę jej powiedzieć.

- Ona mnie nie cierpi! - wybuchnęła moja przyjaciółka. - Nie będzie chciała mi pomóc.

- Pomoże ci. Jeśli cię nie cierpiała, to dlatego, że jesteś ładniejsza niż ona. A teraz, gdy wpadłaś w tarapaty, jej niechęć z pewnością stopnieje. Ludzie już tacy są. Jak ich wrogowi się nie wiedzie, przestają go nienawidzić. A ona może ci pomóc.

- No dobrze, powiedz jej. Tylko niech przysięgnie, że nikomu nie powtórzy.

- Zostaw to mnie - uspokoiłam ją.

W odpowiedniej chwili podeszłam do Janiny.

- Czy przysięgniesz, że nikomu nie zdradzisz sekretu, który ci powierzę?

Jej oczy rozbliły się na samą wzmiankę o tajemnicy.

- Przysięgam - odparła.

- Lawinia ma poważne kłopoty.

Wyznam, że nie spodobał mi się błysk zadowolenia w oczach Janiny.

- No i co? - spytała.

- Hrabia zniknął bez śladu.

- Od początku wiedziałam, że on tylko udaje. To całe jego gadanie o tytułach i majątkach, w dodatku przy pierwszym spotkaniu. No, mów dalej.

- Będzie miała dziecko.

- Co takiego?

- Obawiam się, że to prawda.

- Wielkie nieba, co za historia! No, no! Dobrze jej tak. Każdy mógł ją zdobyć. A więc na tym polega jej atrakcyjność? Po prostu uśmiech, a reszta twoja?

- Co teraz zrobimy?

- My?

- Musimy jej pomóc.

- Niby dlaczego? Nigdy nie była dla nas szczególnie miła.

- Zazwyczaj tak się zachowuje. Teraz jednak się zmieniła.

- No pewnie. - Janina popadła w zamyślenie. - Co tu zrobić? Przecież nie urodzimy tego dziecka za nią.

- Rozpęta się okropny skandal. Nawet sobie nie wyobrażasz, co powie jej matka. Mają tam już obłąkaną ciotkę, która wierzy, że pawie pióra przynoszą pecha.

- A co to ma do rzeczy?

- Tylko tyle, że gdyby Lawinia oznajmiła w domu, że jest brzemienna, wszyscy by ją potępili.

- Biblijne określenia brzmią znakomicie, lecz niczego nie zmieniają.

- Nakłoniłam ją, żeby pozwoliła mi powiedzieć, bo liczyłam na twoją pomoc.

Janina wybuchnęła śmiechem.

- Myślę o awanturze, jaka z tego wyniknie. Dobrze Lawinii tak. Zawsze zadzierała nosa i wynosiła się ponad wszystkie dziewczęta... a teraz co? Pycha wiedzie do zguby.

Zapewne kładzie to kres marzeniom o znakomitym małżeństwie. Zamożni panowie wolą dziewice.

- Janino... proszę cię, pomóż nam.

- Cóż ja mogę zrobić?

Użyłam taktyki, którą zastosowała wobec mnie Lawinia.

- Jesteś taka mądra, dużo wiesz o świecie. Z pewnością coś wymyślisz.

- No... może wymyślę - ustąpiła niechętnie.

Janina bardzo poważnie potraktowała kwestię. Przeprowadziła długą rozmowę z Lawinia, dowiedziała się, kiedy dziecko przyjdzie na świat, a kiedy się okazało, że dopiero w sierpniu, zauważyła rozsądnie:

- Całe szczęście, że to podczas wakacji.

Popatrzyłyśmy na nią z przejęciem.

- No bo widzicie - wyjaśniła - dzięki temu nikt o niczym się nie dowie.

- Jak to możliwe? - spytała pokornie Lawinia.

- Jeśli wyjedziesz na początku lipca, z końcem roku szkolnego... O nieba, to już będzie siódmy miesiąc! Czy uda nam się to ukryć aż tak długo?

- Musimy. Innego wyjścia nie ma - ucięłam.

- Musimy. Musimy - powtórzyła Lawinia niczym tonący, który chwyta się ostatniej deski ratunku.

- Jest jeszcze ciocia Emilia - zauważyła Janina.

Odwróciłam się w podnieceniu do Lawinii.

- Ciocia Janiny ma dom, w którym można urodzić dziecko... no i nie tylko to.

Lawinia złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Ciocia Emilia to bardzo dyskretna osoba - dodała Janina.

- Gdzie to jest? - spytała Lawinia.

- W pobliżu New Forest. - Oczy Janiny rozbłysły. – Słuchajcie, musimy tam się dostać. Powiecie krewnym, że... na przykład, zaprosiła was księżniczka.

- To się spodoba lady Harriet - uznałam.

- Musicie tam pojechać prosto z Lamason, gdy tylko skończy się rok szkolny.

Lawinia entuzjastycznie skinęła głową.

- Napiszę do cioci i dowiem się, czy cię przyjmie. Jeśli tak, będziesz musiała porozumieć się z rodziną i zawiadomić, że udajesz się z wizytą do księżniczki... jak jej tam.

To odległy kraj, nawet ja nigdy o nim nie słyszałam. Wyjedziemy i urodzisz dziecko w domu mojej cioci.

- Cudownie! - wykrzyknęła Lawinia. - Dziękuję ci, Janino!

- A gdy dziecko już się urodzi, to co dalej? - spytałam.

Mojej przyjaciółce zrzęda mina.

- Trzeba znaleźć kogoś, kto je weźmie - powiedziała Janina. - Niewykluczone, że będziesz musiała zapłacić...

- Dam sobie radę - ucięła Lawinia.

Wiedziałam, że układa już w myślach list do matki. Jedzie z wizytą do szlachetnie urodzonej księżniczki, w związku z czym potrzebne jej nowe suknie - a wiadomo, że we Francji stroje są bardzo drogie. Lady Harriet będzie zachwycona, że jej córka bawi na królewskim dworze, choćby w takim odległym kraju.

Pomoc Janiny posunęła nas naprzód. O jeden krok, ale zawsze. Ważniejsze było jednak, co później zrobimy z dzieckiem.

I wtedy wpadłam na genialny pomysł. Moje myśli poszybowały w stronę domu na błoniach. Przypomniałam sobie Polly i Eff i ich stosunek do „szkrabów”. Polly zawsze powtarzała, że pomoże mi w każdej sytuacji. Niekoniecznie jednak pomogłaby Lawinii, której nigdy nie lubiła; być może ucieszyłaby się nawet, widząc ją w biedzie, zwłaszcza że przepowiadała jej podobne tarapaty. Ale poproszona o pomoc, nie mogłaby odmówić.

Gdy o tym napomknęłam, Lawinia odetchnęła z ulgą. Byłyśmy jej najlepszymi przyjaciółkami i nie wie, co by bez nas zrobiła. Zdumiał mnie jej pokorny ton.

I w tej właśnie chwili zawiązałyśmy trzyosobowy spisek.

Muszę przyznać, że Lawinia dobrze odegrała swą rolę, choć nie było to łatwe. Stan jej zdrowia wzbudzał pewien niepokój, lecz na szczęście żadna z nauczycielek nie odkryła prawdy.

Żyłam w nieustannym lęku, że ktoś się domyśli. Kupiłyśmy na targu sutą spódnicę, która doskonale wszystko maskowała. Nadeszła wiosna; zaangażowałyśmy się głęboko w nasze przedsięwzięcie, a Lawinia siadywała nawet przedpatisserie, nie dopuszczając do siebie gorzkich wspomnień.

Z początkiem wakacji miałyśmy ostatecznie zakończyć naukę. Nie mogliśmy się już doczekać wprowadzenia w życie naszego planu.

Janina dostała odpowiedź od cioci Emilii, która napisała, że nie po raz pierwszy słyszy o nieostrożnej dziewczynie wpadającej w tarapaty i że możemy liczyć na jej pomoc.

Otrzymałam list od Polly z zapewnieniem, że wraz z siostrą zaopiekują się maleństwem. Eff doskonale radziła sobie z małymi dziećmi i wielka szkoda, że nie miała własnych, no, ale przede wszystkim musiała zajmować się „nim”. Otaczająca „go” tuż po śmierci aura świętości zdążyła się już rozwiać. Wiadomości były jednak pomyślne. Polly i Eff zgodziły się przyjąć dziecko. Dopiero po pewnym czasie wyszło na jaw, że Polly tak szybko pośpieszyła z pomocą, ponieważ myślała, że jest moje.

A zatem wszystko zostało ustalone. Lawinia z rozczulającą ufnością złożyła swój los w nasze ręce i obydwie z Janiną czerpałyśmy z tego satysfakcję.

Mijały tygodnie. Już wkrótce miałyśmy wcielić w życie pierwszą część naszego planu.

Zastanawiałam się czasami, czy mada-me wie. Nic wprawdzie nie mówiła, odnosiłam jednak wrażenie, że wołałaby, aby, jeśli cokolwiek ma się stać, stało się z dala od Lamason. Nie życzyła sobie, by jakiś skandal splamił imię jej nieskazitelnej szkoły.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym pożegnałyśmy się z koleżankami, wymieniając adresy i przyrzekając, że będziemy pisać, a jeśli nadarzy się sposobność, wpadniemy z wizytą.

Wyjechałyśmy do Anglii pod opieką panny Ellmore. Zauważyłam spojrzenia, jakie rzucała na Lawinię i wszystkie czekałyśmy z zapartym tchem, czy się nie zorientuje, ale -

podobnie jak madame - panna Ellmore nie życzyła sobie żadnych komplikacji. Powiedziano jej, że zatrzymamy się na pewien czas u Janiny i na tym stanęło.

Gdy wsadziła nas do pociągu, omal nie popłakałyśmy się z ulgi. Nie mogłyśmy powstrzymać histerycznego śmiechu. Lawinia była w znakomitym humorze. Udało się uniknąć katastrofy, a Lawinia zawdzięczała to nam.

Dotarłyśmy do Candown w pobliżu New Forest. Dom Pod Jodłami był dużym białym budynkiem, otoczonym drzewami. Ciocia Emilia powitała nas uprzejmie, lecz jej spojrzenie natychmiast powędrowało ku Lawinii.

- Pokój jest już przygotowany - powiedziała. - Pani, panno Delany, może zamieszkać z panną Framling, Janina wskaże paniom drogę. Później życzyłabym sobie porozmawiać z panną Framling. Najpierw jednak proszę się rozgościć.

Była postawną kobietą o bezceremonialnym, a zarazem kojącym sposobie bycia, który jakoś dziwnie do niej nie pasował. Wydawała się z lekka nadskakująca. Miała siwawe włosy i przenikliwe, zielonkawoniebieskie oczy. Od razu pomyślałam, że tak właśnie będzie wyglądała Janina za trzydzieści lat i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, iż łączy je pokrewieństwo. Mimo usilnych prób stworzenia „przytulnej atmosfery” wyczuwałam w tej kobiecie coś ostrego; z jej oczu bił chłód, a mocno zarysowany nos nadawał twarzy wyraz czujności. Przypominała drapieżnego ptaka - wronę albo, co uświadomiłam sobie z pewnym niepokojem, sępa. Czuliśmy jednak wielką radość na myśl, że najbardziej ryzykowna część naszego planu dobiegła końca.

Janina zaprowadziła nas do pokoju. W oknach wisiały niebieskie zasłony, a meble zrobiono z lekkiego drewna. Stały tam dwa łóżka. Sypialnia sprawiała sympatyczne wrażenie.

- Cieszę się, że będziesz ze mną - powiedziała pokornie moja przyjaciółka.

- Teraz już sprawy potoczą się dobrze - wtrąciła Janina. - Musisz tylko poczekać, aż przyjdzie twój czas.

- Został mi jeszcze miesiąc... a przynajmniej tak przypuszczam - odrzekła Lawinia.

- Nigdy nic nie wiadomo - zauważyła Janina. - Ale ciocia Emilia wkrótce się dowie.

Wezwie doktora Ramsaya, żeby cię zbadał.

Lawinia zadrżała lekko.

- Wszystko będzie w porządku - pocieszyłam ją. - Z całą pewnością.

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową. Teraz, gdy udało się nam dotrzeć na miejsce, zaczęła rozmyślać o czekającej ją ciężkiej próbie.

Janina przyniosła nam na górę tacę zjedzeniem i zjadła z nami. A potem zwróciła się do Lawinii:

- Ciocia Emilia chce się z tobą zobaczyć, żeby omówić kilka spraw.

Zostałam sama w pokoju. Podeszłam do okna i wyjrzałam na ogród. Wśród krzewów znajdowała się ławka, na której siedziały dwie osoby. Jedną z nich był starzec; opierał się na ławce i zauważyłam, że ręka mu drży, a głowa wykonuje nagłe, niekontrolowane ruchy. Obok siedziała dziewczyna mniej więcej w wieku Lawinii i w widocznej ciąży. Nie rozmawiali ze sobą; wpatrywali się tylko w przestrzeń. Sprawiali wrażenie oszołomionych.

Przeszył mnie dreszcz. Miałam wrażenie, że tkwię wewnątrz ciasnych murów. Odkąd przekroczyłam próg tego budynku, dręczyły mnie złe przeczucia, których nie rozproszyła serdeczność cioci Emilii.

Za parę tygodni będzie po wszystkim, powtórzyłam sobie w duchu. Dziecko znajdzie się u Polly, my zaś wrócimy do domu.

Lawinii nie było prawie godzinę, a gdy się wreszcie zjawiała, sprawiała wrażenie nieco wystraszonej.

- No i co? - spytałam.

- To będzie dużo kosztowało. Nie pomyślałam o tym.

- Przecież nie mamy pieniędzy.

- Nie muszę płacić od razu. Ona zaczeka. Teraz dam jej zaliczkę... prawie wszystko, co posiadam.

- Ja także nie pomyślałam o kosztach - przyznałam się. - Janina nie uprzedziła nas, że w grę wchodzi wielka suma.

- Muszę ją skądś zdobyć.

- Może powinnaś wyznać wszystko matce?

- Nie!

- A bratu?

- Nie potrafiłabym mu opowiedzieć o moich kłopotach. Za twój pobyt też będę musiała zapłacić.
- Mogę wrócić do domu.
- Och nie, nie! Przrzeknij mi, że nie wyjedziesz.
- Lecz jeśli to ma dużo kosztować...
- Zapłacę. Ona zaczeka. Powiedziałam jej, ile mam. Mówi, że otworzy konto i będę musiała co miesiąc coś jej posyłać. Och, Druzyłlo, jak to się stało, że wpadłam w takie tarapaty?
- Dobre pytanie. Sama wiesz, jak to było z Josem.
- Ach, Jos! - uśmiechnęła się blado. - Był tylko stajennym, ale...
- Nie aż tak niebezpiecznym, jak fałszywy francuski arystokrata.
- Nie wiem, jak mogłam tak się dać oszukać.
- Za to ja wiem. Łatwo cię omamić pochlebstwem. Musisz nabrać rozsądku.
- Tak, oczywiście. Och, Druzyłlo, jesteś moją najlepszą przyjaciółką.
- Nie wydaje mi się, żebyś przedtem tak myślała.
- Zawsze tak myślałam. A prawdziwą próbą przyjaźni są sytuacje takie jak ta.
- No cóż, teraz musisz tylko poczekać, aż dziecko przyjdzie na świat, a potem wyjedziemy. Trzeba będzie zostawić Polly trochę pieniędzy. Nie możesz ot, tak sobie rodzić dzieci i oddawać ich komuś na wychowanie.
- Polly zawsze cię bardzo lubiła.
- Natomiast za tobą nie przepadała. Odnosiłaś się do niej dość arogancko.
- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.
- Tak czy inaczej, nie lubiła cię.
- Pomaga nam tylko dlatego, że ty ją o to poprosiłaś. Och, Druzyłlo, co ja bym zrobiła bez ciebie?
- I Janiny - przypomniałam.
- Wiem. Obydwie jesteście wspaniałe.
- Nie dawaj się ponosić emocjom. Pamiętaj o dziecku.

Uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością.

Nigdy nie przeżyłam tak osobliwych tygodni, jak te spędzone w domu ciotki Emilii.

Nie wiem, czy już wtedy wyczuwałam tu złowrogą atmosferę, czy dotarła do mojej świadomości dopiero później.

W zakładzie przebywało dwanaścioro pacjentów, a każdy miał w sobie coś niezwykłego. Oprócz Lawinii jeszcze cztery młode kobiety spodziewały się dzieci. Zwracano się do nich po imieniu, co samo w sobie było znamienne. Znalazły się w trudnej sytuacji i musiały ukrywać swą tożsamość. Zdołałam się jednak tego i owego dowiedzieć podczas naszego pobytu w domu Pod Jodłami.

Zapamiętałam Agatę, śmiałą piękność, konkubinę zamożnego kupca, która ku swemu wielkiemu rozgoryczeniu poczęła jego dziecko. Mówiła z dziwnym akcentem i głośno się śmiała. Ona jedna bez oporów opowiadała o swoim życiu. Wyznała mi, że miała wielu kochanków, lecz najlepszym był ojciec jej dziecka. Nieco już podstarzały mężczyzna, wdzięczny za okazywane mu względy, obsypywał ją podarunkami. „Co nam obojgu odpowiadało” - podsumowała z porozumiewawczym mrugnięciem. Jej obecność przywracała mi poczucie normalności, a ponieważ pragnęłam pozbyć się wrażenia, że przebywam w nierzeczywistym świecie, często spotykałam się z nią w ogrodzie i, przysiadłszy na ławce, wysłuchiwałam jej opowieści. Wiedziała, że tylko towarzysząc Lawinii, która - jak to określiła z typowym dla siebie mrugnięciem - „nieco się przeliczyła”.

- Prędzej czy później coś takiego musiało jej się przytrafić - orzekła. - Powinna bardziej uważać i szybko wyjść za mąż. Te maluchy potrafią się zjawić w najmniej odpowiedniej chwili.

W ten sposób bezbłędnie podsumowała charakter Lawinii.

Dziecka spodziewała się też Emmelina, miła i łagodna, choć już nie pierwszej młodości - przypuszczam, że dobiegała trzydziestki. O niej również dowiedziałam się tego i owego. Pielęgnowała schorowaną kobietę i zakochała się z wzajemnością w jej małżonku.

Wychowana w poszanowaniu dla zasad moralnych, uważała swe obecne położenie za skutek popełnionego grzechu. Kochanek przyjechał do niej w odwiedzin. Wzruszył mnie ich widok.

Widać było wyraźnie, że łączy ich szczere uczucie. Przesiadali w ogrodzie, trzymając się za ręce; odnosił się do niej bardzo czule. Miałam głęboką nadzieję, że kwękająca żona szybko umrze, aby mogli się pobrać, a potem żyć długo i szczęśliwie.

Przebywała tam również pewna dziewczynka, którą zgwałcono; bardzo często krzyczała w nocy i przerażał ją sam widok mężczyzny. Miała na imię Jenny i skończyła zaledwie dwanaście lat.

I poznałam jeszcze Miriam. Z czasem chyba lepiej niż wszystkie inne osoby. Było w niej coś intrygującego. Zachowywała się bardzo powściągliwie i niechętnie zawierała znajomości. Zamknięta w sobie, nieustannie roztrząsała swój tragiczny los.

Dni wydawały mi się długie i bardzo dziwne. Lawinia dużo odpoczywała. Janina miała swoje obowiązki, zlecane jej przez ciotkę Emilię, ja natomiast pełniłam funkcję obserwatorki. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przebywam w krainie cieni, wśród osób, które powrócą kiedyś do swej

normalnej tożsamości. Tymczasem jednak były nierzeczywiste, niczym zagubione dusze w podziemnym królestwie, obawiające się piekła, lecz żywiące nadzieję ujrzenia nieba.

Miriam często przesiadywała w ogrodzie, samotna i zamyślona. Na początku odsuwała się ode mnie, lecz po pewnym czasie przemówiło do niej moje współczucie, no i zapewne nie potrafiła się oprzeć chęci porozmawiania z kimś o przeżytych dramacie.

Stopniowo poznałam jej historię. Bardzo kochała swego męża, marynarza. Obydwoje pragnęli dziecka, lecz nie dostąpili tego błogosławieństwa. Smuciło ich to, ale przynajmniej mieli siebie. Miriam darzyła małżonka głębokim uczuciem; podczas każdej rozłąki czekała tylko na jego powrót. Pewnego dnia kuzyn namówił ją, by wyszła z domu i trochę się rozerwała. Nie miała na to zbyt wielkiej ochoty, ale w końcu ustąpiła.

W tym momencie jej oczy nabrały tragicznego wyrazu.

- Właśnie dlatego to wszystko wydaje mi się tak głupie... tak bez sensu. - Łzy popłynęły jej po policzkach. - Gdy pomyślę, co mu zrobiłam...

- Jeśli wolisz o tym nie mówić, nie mów.

Pokręciła głową.

- Czasami to mi pomaga. A czasami śnią mi się koszmary. Co ja tu robię? Gdybym nie poszła wtedy... gdybym tylko...

- Nie ty jedna tak myślisz.

- On nie może się dowiedzieć. To by go zabiło. To byłby koniec wszystkiego.

- A nie lepiej mu powiedzieć? Co będzie, jeśli i tak się dowie?

- Nigdy się nie dowie! - zaprotestowała gorąco. - Wolałabym się zabić.

- Ale dziecko...

- Popełniłam straszne głupstwo. Nawet nie znałam tego mężczyzny. Za dużo wypiałam.

Niezbyt dobrze znoszę alkohol. Powiedziałam mu o Jacku... moim mężu... a on na to, że też ma na imię Jack. Nie wiem, co się stało. Gdzieś mnie zaprowadził.

Gdy obudziłam się rano, leżał obok mnie. Myślałam, że umrę, ubrałam się i uciekłam.

Chciałam wymazać wszystko z pamięci, zapomnieć o tej nocy, wmówić sobie, że wcale jej nie było. A gdy odkryłam, że jestem w ciąży, pragnęłam śmierci. Pogładziłam jej rękę. Drżała na całym ciele.

- Dlaczego mu nie powiesz? - spytałam. - Na pewno zrozumie. Przecież tak bardzo się kochacie. Wybacz ci.

- Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Było tak cudownie... a teraz...
- Pragnęłaś dziecka - przypomniałam jej.
- Tak, ale z nim.
- To twoje dziecko.
- Znienawidzę je. Będzie dla mnie jak wyrzut sumienia.
- To nie twoja wina. Spoili cię. Stało się tak wbrew twojej woli. Jeśli twój mąż naprawdę cię kocha, to zrozumie.
- Nie. Nie zrozumie. Byliśmy dla siebie wszystkim.
- A co będzie z dzieckiem?
- Oddam je do adopcji.
- Biedne maleństwo! - powiedziałam. - Nigdy nie pozna matki.
- Jesteś za młoda, żeby zrozumieć, co łączyło Jacka i mnie. Żadne dziecko nie mogłoby znaczyć dla mnie więcej niż on... nawet gdyby było jego. Długo się nad tym zastanawiałam. Muszę tak postąpić.
- Lecz to cię unieszczęśliwia.
- Już nigdy nie będę szczęśliwa.
- Na pewno powinnaś spróbować. To się stało tylko ten jeden raz, kiedy się nie pilnowałaś. Przecież nie wzięłaś sobie kochanka.
- Ale tak to może wyglądać.
- Nie, jeśli powiesz mężowi o wszystkim.
- Nigdy tego nie zrozumie.
- Czemu nie spróbujesz? To biedne maleństwo, którego nikt nie chce... Straszna tragedia.
- Wiem. Mój grzech bardzo mi ciąży. Myślałam o odebraniu sobie życia.
- Proszę, nie mów takich rzeczy.
- To by złamało serce Jackowi, ale gdyby się dowiedział, co zrobiłam, nigdy już nie byłoby między nami tak samo. Nie potrafiłby mi całkowicie zaufać. Jest porywczy i zazdrosny. Tak bardzo pragnął dziecka... i sama myśl, że inny mężczyzna dał mi to, czego on nie mógł... Znam Jacka. Ty go nie znasz. Jesteś za młoda, żeby rozumieć te sprawy.

Mimo to w rozmowie ze mną wciąż na nowo poruszała swoje problemy. Próbowałam udzielać jej rad, lecz - jak słusznie powiedziała - byłam za młoda, żeby zrozumieć sytuację.

Często myślałam o maleństwach, które miały przyjść na świat w domu ciotki Emilii -

niechcianych dzieciach - i o moich rodzicach, planujących, jakie otrzymam wykształcenie, zanim jeszcze się urodziłam. Myślałam również o lady Harriet, która długo miała pretensję do Wszechmogącego za odmawianie jej potomstwa, a gdy jej modlitwy zostały wysłuchane, z radości rozpieściła swoje dzieci do tego stopnia, że Lawinia znalazła się w poważnych opałach.

Oprócz ciężarnych kobiet w zakładzie przebywali inni pacjenci. Należał do nich ów nieszczęsny starzec, którego dostrzegłam pierwszego dnia przez okno sypialni. Dowiedziałam się, że swego czasu był wybitnym uczonym, lecz atak apopleksji odebrał mu władze umysłowe i rodzina umieściła go tutaj, by oczekiwał śmierci, ponieważ w ten sposób najwygodniej mogli się go pozbyć. Była też pewna kobieta, żyjąca we własnym świecie; zachowywała się bardzo wyniośle i wierzyła, że wydaje rozkazy licznej służbie. Nazywano ją Księżną. I jeszcze Jerzy Thomson, który ustawicznie próbował podkładać ogień w kredensach. Stanowił poważne zagrożenie i należało baczenie go pilnować. Nigdy niczego nie podpalił, lecz takie niebezpieczeństwo istniało.

Byli niczym ludzie ze świata cieni.

Często zastanawiałam się nad Janiną, wychowaną w takim domu przez ciotkę, z którą

- jak utrzymywała - nie łączyło jej żadne pokrewieństwo. Wszędzie było jasno, niebieskie zasłony i białe meble znajdowały się w każdym pokoju; a jednak to miejsce wydawało się mroczne i tajemnicze i przez cały czas czułam się tu nieswojo. Czasami w nocy zrywałam się ze snu przerażona. Spoglądałam na sąsiednie łóżko, w którym spała Lawinia; jej piękne włosy leżały rozrzucone na poduszce. Sen mojej przyjaciółki często bywał niespokojny.

Zastanawiałam się, jak często wspomina kochanka, który chełpił się przed nami w patisserie świetnością swego rodu, a jednocześnie myślał wyłącznie o uwodzeniu łatwowiernych dziewcząt. I takie było zakończenie owych rozkosznych spotkań. Dobra nauczka! Nie wiedziałam tylko, czy Lawinia ją zapamięta.

Obejrzał ją doktor Ramsay - niski mężczyzna o ciemnych, kędzierzawych włosach, które wyrastały mu także z nosa i uszu. Zbadał Lawinię i oznajmił, że jest zdrowa, wszystko idzie dobrze i możemy oczekiwać narodzin dziecka w drugim tygodniu sierpnia. To była dobra wiadomość. Myślałyśmy, że termin wypadnie dwa tygodnie później.

Powiedziałam sobie, że wkrótce opuścimy to dziwne miejsce. Czułam się tu odcięta od rzeczywistości. Dobrze będzie powrócić do prawdziwego świata, gdyż odnosiłam wrażenie, że tutaj wszystko może się zdarzyć. Ciotka Emilia usilnie starała się stworzyć domową atmosferę, zawsze była pogodna, ożywiona i wypytywała, czy mamy „wszelkie wygody”. Szkoda, że jej bystre zielonkawoniebieskie oczy przekazywały mi coś, o czym wolałabym nie wiedzieć.

Za dnia wszystko wydawało się w miarę normalne; tylko nocami słyszałam dziwne dźwięki. Zgwałcona dziewczynka wydawała nagłe okrzyki przerażenia; uczony wędrował po domu, stukając laską i mamrocząc, że w laboratorium coś jest nie w porządku; Księżna odbywała lunatyczne spacery i kierowała polecenia do popiersia Jerzego IV w korytarzu, przekonana, że to jej kamerdyner.

Był to dom pełen kontrastów: z jednej strony krzepka Agata i jej akcent prosto z londyńskiej ulicy, z drugiej zaś delikatna Emmelina, wyczekująca odwiedzin kochanka. Tak, odczuwałam chorobliwą fascynację tym tajemniczym światem, a zarazem pragnęłam z niego uciec.

Wiedziałam, że po wyjeździe stąd czekają nas - a przynajmniej moją towarzyszkę -

poważne kłopoty. Domyślałam się, że pacjenci płacą ciotce Emilii znaczne kwoty za jej usługi, a choć Lawinii rozłożono zwrot należności na raty, nie będzie jej łatwo tego uczynić.

U większości przebywających tu osób wyczuwało się coś dziwnego. Był to jeden z tych domów opieki, w jakich mieszkali ludzie mający coś do ukrycia... może z wyjątkiem Księżnej i starego uczonego, których pragnęły się pozbyć rodziny. To budziło współczucie, lecz nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że jest również w jakiś sposób złowieszcze.

Lekarz nie bardzo mi się podobał. Miał w sobie coś zagadkowego; wyglądał na człowieka, który ukrywa jakąś tajemnicę.

Janina zachowywała się tu inaczej. Musiała pomagać ciotce i często zajmowała się pacjentami. Jej szczególnym podopiecznym został pewien młody człowiek, szlachetnie urodzony Clarence Coldry, najwyraźniej opóźniony umysłowo. Uśmiechał się promiennie i był zachwycony, ilekroć ktoś się do niego odezwał. Sam miał trudności z mówieniem; jego język zdawał się nie mieścić w ustach, przez co biedak przywodził na myśl dobrodusznego psa.

Odnosiłam wrażenie, że nasza koleżanka nie jest zbyt szczęśliwa. Nie przypominała dziewczyny, którą znałyśmy w szkole. Za uśmiechami ciotki Emilii krył się jakiś podstęp i bacznie obserwowała Janinę.

Nie mogłam się doczekać wyjazdu. Wydawało mi się, że tkwimy tu od wielu miesięcy. Chodziłyśmy czasem z Janiną na krótkie spacery. Lawinia była tak ociężała - teraz jej stanu nie zdołałaby ukryć najobszerniejsza suknia - że nie mogła nam towarzyszyć.

- Niebawem stąd wyjedziecie - powiedziała pewnego razu Janina. - To już długo nie potrwa. Lawinia jest prawie gotowa i lada dzień pojawi się przychówek.

Drgnęłam. Darzyłam to nienarodzone dziecko większą sympatią niż którakolwiek z nich i nie podobało mi się określenie „przychówek”.

- A ja tu pozostanę - dodała, krzywiąc się lekko.

- To przecież twój dom - przypomniałam jej.

Posępnie skinęła głową.

- Ciocia Emilia ma co do mnie pewne plany.
- Chyba nie w związku z wielmożnym Clarence'em?
- Obawiam się, że tak,
- Och, Janino... to niemożliwe!
- Czemu nie? W końcu pochodzi ze szlacheckiego rodu.
- Nie zechce się ożenić.
- Muszę go uzależnić od siebie.
- Janino, dlaczego nie opuścisz tego miejsca?
- Tutaj się urodziłam. Mieszkałam tu przez całe życie, jeśli nie liczyć pobytu w szkole.
- Twoja ciotka musi cię lubić, skoro wysłała cię do Lamason.
- Ona nie jest moją ciotką. Za wszystko płaciła moja prawdziwa rodzina.
- Rodzice nie życzyliby sobie, żebyś wyszła za Clarence'a.
- O tym decyduje ciocia Emilia.
- Wygląda na osobę, z którą trzeba się liczyć. Mam nadzieję, że da Lawinii czas na spłatę należności.
- Da. Chociaż gdyby nastąpiła jakaś zwłoka w płatnościach, mogłaby rozważyć zwrócenie się do lady Harriet.
- Nie może tego zrobić! Lawinia zapewne nie zdawała sobie sprawy, że koszty będą aż tak wysokie.
- Za błędy zawsze się płaci... w taki czy inny sposób. Wpadła, mimo wszystko, w poważne tarapaty. Wyciągnęliśmy ją z nich, ty i ja. Co by zrobiła, gdybyśmy jej tu nie przywieźli? I znalazł się już dobry dom dla dziecka. Mówię ci, miała szczęście. Nie powinna oczekiwać więcej.
- Przynajmniej tyle zdołałyśmy osiągnąć - odrzekłam. I pomyślałam znowu: To już nie potrwa długo.

Wkrótce po tej rozmowie Lawinię obudziły w nocy pierwsze bóle.

Doktor z ciotką Emilią przyszli do pokoju. Gdy tylko narzuciłam coś na siebie, zostałam posłana pojedna z pokojówek, która wcześniej pomagała w takich sytuacjach i wiedziała, co robić.

Poród okazał się stosunkowo lekki. Lawinia była młoda i zdrowa - i nazajutrz jej córeczka przyszła na świat. Do naszego pokoju wstawiono kołyskę.

- W tej chwili jest u nas trochę tłoczno - wyjaśniła przepraszającym tonem ciotka Emilia.

Nie miałam nic przeciw dzieleniu sypialni z niemowlęciem. Fascynowało mnie.

Lawinia odetchnęła z ulgą, że ma już za sobą to trudne doświadczenie. Pierwszego dnia siedziała na łóżku uśmiechnięta i wraz z nami zachwycała się dzieckiem.

Odwiedziły ją Emmelina, Agata i Księżna; ta ostatnia brała Lawinię za swoją córkę i nazywała maleństwo Pawełkiem. Miriam się nie pojawiła.

Lawinię czekał krótki odpoczynek przed podróżą. Ja także doznałam ogromnej ulgi, że szczęśliwie odbyła poród. Słyszałam o różnych komplikacjach, jakie mogą nastąpić przy wydawaniu dziecka na świat, i zastanawiałam się z niepokojem, co robić, gdyby coś podobnego przydarzyło się Lawinii. Teraz już nie mu siałam się martwić, czuła się doskonale, a dziecko wyglądało kwitnąco. Co więcej, nasz pobyt w domu ciotki Emilii miał się ku końcowi.

Pierwsze dni upłynęły nam na podziwianiu maleństwa. To, że z niewydarzonej miłości zrodziła się tak zachwycająca istotka, graniczyło dla mnie z cudem. Nawet Lawinia uległa jej urokowi i sprawiała wrażenie dumnej i niemal szczęśliwej. Pokochałam tę czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę, zmrużone oczy i kosmyki ciemnych włosów, maleńkie rączki i stopki z delikatnymi, różowymi paznokietkami.

- Musimy jej nadać imię - powiedziałam. - Przypomina mały kwiatusek.

- Więc nazwijmy ją Flower, a ponieważ jest w połowie Francuzką, niechaj nosi imię Fleur.

- Fleur - powtórzyłam. - To do niej pasuje.

I na tym stanęło.

Zawiadomiłam listownie Polly o narodzinach dziecka, dziewczynki o imieniu Fleur.

Odpisała, że już nie mogą nas się doczekać; Eff jest ogromnie przejęta i przygotowała wszystko, co potrzebne: kołyskę, butelki, pieluszki. Doskonale знаła potrzeby niemowląt.

Uważała jednak, że imię małej brzmi nieco dziwacznie; wolałaby Rosę, Lily czy choćby Effie.

- Teraz musicie radzić sobie same - powiedziała Janina. - Napiszę do was. Mam adres.

Ciotka Emilia pożegnała nas wylewnie, przedstawiając przy tym rachunek, który wprawiał Lawinię w stan przygnębienia, ilekroć nań spojrzała.

Zamierzałyśmy razem odwiedzić dziecko do Londynu. Polly miała czekać na stacji. Eff szykowała powitanie w domu.

Przyjechałyśmy o ustalonej porze. Niosłam dziecko, gdyż byłam pod tym względem zręczniejsza niż Lawinia. Na nasz widok Polly wykrzyknęła: „Druzyłło!” i natychmiast znalazła się tuż obok, tuląc jednocześnie małą i mnie. Dostrzegłam miłość w jej oczach.

- Więc jesteś nareszcie, razem z tym kochanym maleństwem. Niech ci się przyjrzę.

Dobrze wyglądasz.

- Ty też, Polly. Ogromnie się cieszę, że cię znowu widzę.

-I nawzajem - odrzekła. - Zaczekaj tylko, aż Eff zobaczy szkraba.

Lawinię powitała nieco chłodniej. Ucieszyłam się jednak, że moja przyjaciółka nie robi min pełnych wyższości i wydaje się w pełni świadoma, ile zawdzięcza Polly i jej siostrze.

Zamówiona dorożka czekała już na nas i pojechałyśmy razem do domu na błoniach, gdzie powitała nas Eff.

Wyglądała teraz inaczej niż przedtem, bardziej dostojnie. Siostry nabyły dom po drugiej stronie ulicy i stały się teraz właścicielkami trzech budynków, zapewniających im godziwy zysk. Zapoznanie się z obyczajami lokatorów zajęło mi tym razem więcej czasu, jako że przybyło poszczególnych pięter.

Radość z pojawienia się maleństwa przyćmiła wszystko inne. Eff objęła dowodzenie.

Zauważyłam, że Polly jest nieco zbity z tropu i przygląda mi się bacznie, lecz przyjazd Lawinii był dla nich obu zagadką i skłaniał do powściągliwości. Nieobecna lady Harriet rzucała na nas swój cień, którego nawet Polly nie mogła nie zauważyć. Eff nieustannie usprawiedliwiała się przed Lawinią, gdyż znacznie bardziej niż siostra odczuwała dzielącą ją od Framlingów przepaść społeczną; a choć obydwie nie darzyły dziewczyny sympatią, była ona mimo wszystko córką lady Harriet.

Zatrzymałyśmy się w Londynie na kilka dni. Napisałam list do ojca, a Lawinia do matki. Zawiadomiłyśmy ich, że wracamy właśnie z Lindensteinu i zrobiliśmy sobie przerwę na odpoczynek w stolicy. Za kilka dni przyjedziemy do domu.

Morderstwo przy Fiddler's Greek

Przeżyłam wstrząs, widząc, iż stan zdrowia mego ojca uległ dalszemu pogorszeniu.

Chodził teraz o lasce, lecz upierał się, że nadal może wykonywać swe obowiązki. Wielu mieszkańców wioski służyło mu nieocenioną pomocą.

Wypytywał mnie o Lindenstein; jego zdaniem, zamek był bardzo stary, chyba nawet w stylu gotyckim.

- Z pewnością odbyłaś fascynującą podróż, moja droga. Znakomita sposobność.

Mądrze postąpiłaś, dziecko.

Wymijająco odpowiadałam na jego pytania i starałam się zapamiętać, że powinnam zdobyć jakąś książkę na temat Lindensteinu, żeby się czegoś dowiedzieć. W duchu beształam się za to niedopatrzenie. Ale wcześniej miałyśmy zbyt wiele na głowie.

Pani Janson powiedziała, że ojciec chorował przez całą zimę i obawia się następnej.

Ucieszyła się, że wróciłam na plebanie.

- Powinnaś tu być - dodała znacząco. - Trochę się zmartwiłam, jakem usłyszała, że nie przyjeżdżasz prosto do nas, tylko gdzieś się włóczysz z zagranicznymi księżniczkami.

- To była tylko jedna księżniczka, pani Janson - przypomniałam jej.

- I wystarczy. Powinnaś była przyjechać prosto do domu. wiem ci szczerze, cieszę się, że już koniec z tą szkołą. Jak się miewa Polly?

- Bardzo dobrze.

- Pewnie się ucieszyła, że ją odwiedziłaś.

Przytaknęłam.

A zatem skończyłam naukę i nabrałam ogłady. Jeszcze nie wiedziałam, co się tak naprawdę zmieniło - tyle tylko, że nie byłam już tą samą niewinną dziewczyną, która wyjeżdżała do Francji.

Tamtej nocy, w moim własnym łóżku, śniły mi się koszmary. Czyjeś twarze. Księżna, uczony, podpalacz... wszyscy oczekiwali śmierci, a kobiety - nowego życia. Wyobraziłam sobie wesoły uśmiech Agaty, tęskne spojrzenia Emmeliny i udręczoną twarz Miriam. Ciotka Emilia uśmiechała się do mnie poufale, jak gdyby mówiła: „Nie uciekniesz, zostaniesz tu na zawsze... bo tu jest przytulnie... tak przytulnie...”. Budziłam się, krzycząc: „Nie, nie!” - i uświadamiałam sobie, że leżę we własnym łóżku, a to tylko sen. Jestem wolna.

Lawinia odwiedziła mnie następnego dnia.

- Przejedźmy się - rzuciła i pogalopowałyśmy razem, ponieważ teraz, jako wykształcone młode damy, mogłyśmy się obywać bez towarzystwa stajennego. - Tylko teraz mogę bezpiecznie rozmawiać. Wokół mnie kręci się mnóstwo ludzi, którzy wszystko podsłuchują. Matka wspomniała o karnawale w Londynie.

- Nie domyśliła się niczego?

- Oczywiście, że nie! Czemu miałyby się domyślić?

- Mój ojciec zadaje niezręczne pytania o Lindenstein.

- To zbyt odległy kraj, by ludzie cokolwiek o nim wiedzieli.

Karnawał w Londynie, pomyśl tylko!

- Tego właśnie chcesz?

- Ależ oczywiście! Chciałabym poślubić kogoś bogatego, żeby spłacić ciotkę Emilię.

To istna harpia.

- Nie myślałaś tak, gdy szukałaś u niej pomocy.

- Nie wiedziałam, że to będzie aż tyle kosztowało.

- Jak długo masz spłacać należność?

- Ponad rok... chyba że mama podniesie mi kieszonkowe.

- Czemu nie poprosisz Fabiana?

- Bo nie mogłabym mu wyjawić, na co mi potrzebne pieniądze, a on by na pewno zapytał.

- A gdybyś mu powiedziała, że to tajemnica?

- Nie znasz Fabiana. On chce wszystko wiedzieć. Zawsze tak było. Nie. Muszę płacić z własnej kieszeni, dopóki nie złapię bogatego męża.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Czy nigdy nie myślała o małej Fleur? Nie chciała choć przez chwilę pobyc z swoim dzieckiem? Zapytałam ją o to.

- Och, tak - odrzekła - ale przecież nie mogę. One się nią zaopiekują. Już ją pokochały.

- Niedługo je odwiedzę i zobaczę Fleur.

- To dobrze. Powiesz mi, jak się miewa.

Zadziwiająco szybko odzyskała dawną pewność siebie. Nie była już tą uległą, wystraszoną Lawinią. Pozostawiła nieszczęście za sobą i znowu marzyła o nowych przygodach. Myślała niemal wyłącznie o nadchodzącym karnawale i związanych z nim atrakcjach. Odzyskała dawny kwitnący wygląd; muskała się i stroiła, przekonana, że zostanie królową sezonu.

Raz czy dwa odwiedziłam dom Framlingów. Lady Harriet odnosiła się do mnie z pobłażliwą obojętnością. Dla niej przestałam już mieć jakiegokolwiek znaczenie. Spełniłam swoje zadanie jako spokojna towarzyszka szkolnych lat Lawinii i zostałam odesłana na dawne, bardziej dla mnie stosowne miejsce - niepozornej córki pastora.

Lawinia była bardzo podekscytowana i snuła dalekosiężne plany. Lady Harriet wpajała jej nowe umiejętności. Wkrótce obydwie miały wyjechać do Londynu, gdzie Lawinia zamierzała doskonalić umiejętność dygania, modne tańce i znajomość form towarzyskich.

Musiała również odwiedzić dworskie krawcowe. Jej debiut w wyższych sferach przewidziano na wiosnę.

Przez całą zimę rzadko ją widywałam. Pisałam listy do Polly, a ona zawiadamiała mnie o postępach Fleur. Mała rozwijała się wspaniale i w całej okolicy nie było drugiego takiego dziecka. Polly i Eff na zmianę woziły ją na spacer i mogła sypiać w wózku w ogródku za domem. Już je rozpoznawała; a jak się awanturowała, kiedy chciała iść na ręce!

Przypuszczałam, że bardzo często bywa noszona i przytulana, i jak zawsze dziękowałam losowi za to, że zesłał mi Polly.

Nadeszło Boże Narodzenie - pracowite dni dla mieszkańców plebanii. Odbyły się zwyczajowe nabożeństwa - wigilijna pasterka, śpiewanie kolęd - a wcześniej kościół został świątecznie przystrojony przez parafian, lecz mój ojciec musiał być przy tym obecny.

Bożonarodzeniową kolację zjedliśmy w towarzystwie znajomych z sąsiedztwa: przyszedł doktor z rodziną oraz notariusz z małżonką.

U Framlingów odbywały się przyjęcia. Fabian przyjechał do domu. Spotkałam go raz czy dwa; przywitał się ze mną, posyłając mi ten swój charakterystyczny, zagadkowy uśmiech.

- Witam panią, Druzyłło - powiedział. - Nauka skończona?

- Tak.

- A zatem jest pani już dorosła.

Cóż miałam rzec? Uśmiechnął się, jak gdyby moja dorosłość była doskonałym żartem.

Nie zatrzymał się długo w rodzinnym domu. Kucharka Framlingów poinformowała panią Janson, że Fabian wyjedzie niebawem do Indii i że w Londynie przeważnie spędza czas w biurach, zapoznając się z działalnością Kompanii Wschodnio-indyjskiej, z którą związana była od chwili jej powstania rodzina Framlingów.

Napisałam do Polly i posłałam świąteczne prezenty, w tym kaftanik dla Fleur. Listy od mojej opiekunki pełne były wiadomości o małej, jak to uśmiechnęła się najpierw do Polly, w co Effnie chciała uwierzyć i mówiła, że to wcale nie uśmiech, tylko grymas; pragnęła bowiem nade wszystko, by pierwszy uśmiech dziecka był przeznaczony dla niej. W lutym lady Harriet z Lawinią wyjechały do Londynu. Było bardzo zimno i mój ojciec nabawił się kataru, który przeszedł w zapalenie oskrzeli. Poważnie się rozchorował i większość czasu spędziłam na pielęgnowaniu go.

Przyjechał wikary, by służyć nam pomocą. Colin Brady, poważny i sumienny młodzieniec, w krótkim czasie zaskarbił sobie sympatię wszystkich domowników. Pani Janson dogadzała mu, jak umiała, a inni szli za jej przykładem. Cała okolica polubiła nowego duchownego.

Cieszyłam się z jego obecności, ponieważ dobrowolnie zdjął z barków mego ojca wszelkie uciążliwe obowiązki. Bardzo szybko stał się naszym codziennym gościem.

Byliśmy w dobrej komitywie. Obydwoje lubiliśmy czytać i rozmawiać o naszych lekturach. Otaczała go aura niewinności, która wydała mi się orzeźwiająca. Omawiał ze mną swoje kazania i zawsze uważnie słuchał moich uwag. Uczestniczyłam w życiu naszego kościoła częściej niż wówczas, gdy wszystkim kierował mój ojciec.

Stan jego zdrowia uległ pewnej poprawie, lecz - jak powtarzała pani Janson - musiał

na siebie uważać. Nie pozwalaliśmy mu wychodzić z domu w zimne, wietrzne dni; wzruszało mnie, że Colin Brady zawsze dyskretnie wyręcza ojca w zajęciach, które mogłyby się okazać ponad jego siły.

Byłam mu bardzo wdzięczna i zadowolona z jego obecności, dopóki nie zauważyłam ukradkowych spojrzeń, rzucanych nam nie tylko przez panią Janson, lecz także przez służące i niektórych parafian. Uznali, że idealnym rozwiązaniem byłoby moje małżeństwo z Colinem i przejęcie przez niego obowiązków proboszcza, co za jednym zamachem rozstrzygnęłoby o przyszłości mego ojca, Colina i mojej.

W ten sposób popsuli moje przyjazne stosunki z wikarym. Bardzo go lubiłam, ale świadomość tego, co ludzie myślą na nasz temat, sprawiała, że czułam się nieswojo w jego towarzystwie.

Z nadejściem wiosny ojciec niemal całkowicie odzyskał zdrowie.

- On jest niezwykły - oceniła pani Janson. - Powiadają, że skrzypiące drzwi mają najmocniejsze zawiasy.

Fabian ponownie przyjechał w towarzystwie Dougala Carruthersa. Lady Harriet z Lawinią bawiły w Londynie. Pisywałam regularnie do Polly i otrzymywałam od niej wiadomości o dziecku. Napisałam, że chciałam się z nimi zobaczyć, lecz nie pozwalał na to stan zdrowia ojca. Teraz jednak, gdy nastąpiła poprawa, mój wyjazd stał się możliwy. Polly odpowiedziała, że dziecina jest urocza, żywe srebro i naprawdę potrafi postawić na swoim!

Mam się o nią nie martwić, a kiedy przyjadę, mogę być pewna serdecznego powitania.

Droga, kochana Polly! Co ja bym bez niej zrobiła? I co by zrobiła Lawinia?

Wyobraziłam ją sobie, przedstawioną u dworu, uczęszczającą na bale i przyjęcia; z pewnością zapomniała już o fałszywym hrabim, podobnie jak przedtem o Josie. Ale czy mogła zapomnieć o Fleur? Chyba nawet Lawinia nie byłaby do tego zdolna.

Postanowiłam wybrać się do Londynu w następnym tygodniu.

Dougal przyszedł do nas w odwiedziny. Został na podwieczorku, a jego wizyta sprawiła ojcu wielką przyjemność. Z radością obserwowałam jego ożywienie; wyglądał

równie dobrze, jak przed zimą.

Odprowadziłam Dougala do drzwi i podziękowałam mu za wizytę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł.
- Ojciec bardzo się ucieszył. Długo chorował i z tego powodu nie jest w najlepszym nastroju.
- Mam nadzieję, że będę mógł jeszcze przyjść.
- Bardzo proszę. Ojciec z największą chęcią spotka się z panem.
- Pragnąłbym wierzyć, że pani również.

Nie spodziewałam się go aż tak rychło - zjawił się już następnego popołudnia. Po kolejnym miłym podwieczorku ojciec powiedział:

- Niech pan przyjdzie do nas na kolację. Zostało nam tak wiele tematów do omówienia.
- Byłbym zachwycony - odrzekł Dougal - ale goszczę u Framlingów. Nie mogę opuścić mego gospodarza.
- Proszę więc go przyprowadzić - zaproponował ojciec bez zastanowienia.
- Mogę? Z pewnością będzie uszczęśliwiony.

Pani Janson z pewnością nie wydawała się uszczęśliwiona. Nie podobał jej się pomysł podejmowania „tych tam z Wielkiego Domu” i goszczenia u siebie sir Fabiana.

- Proszę się nie przejmować - uspokajałam ją. - Niech pani po prostu zapomni, kim on jest.
- Cały kłopot z Framlingami polega na tym, że nigdy nie pozwalają człowiekowi zapomnieć, kim są.

Tak oto Fabian przybył do nas na kolację. Ujął moje dłonie i trzymał je przez chwilę w ciepłym uścisku.

- Dziękuję, że pozwolili mi państwo przyjść - powiedział niezbyt szczerze, jak przypuszczałam, gdyż byłam pewna, że wcale nie jest wdzięczny za zaproszenie w nasze skromne progi.
- Pan Carruthers podsunął nam tę myśl - wyjaśniłam.

Uniósł brwi, jak gdyby z rozbawieniem. Szczerze mówiąc, zaczęłam odnosić wrażenie, że przeważnie go bawię.

- Wiedza pastora o starożytnej Grecji jest zadziwiająca - oznajmił Dougal. -

Przedstawił mi kilka niezwykłych koncepcji.

- To doprawdy fascynujące. - Fabian nadal uśmiechał się do mnie.

Wprowadziłam ich do bawialni, gdzie siedział w fotelu ojciec. Był tam również Colin Brady.

- Panowie zapewne się znają - powiedziałam.
- Nie sądzę, abyśmy się kiedyś spotkali. - Fabian obrzucił Colina uważnym spojrzeniem.
- Pan Brady pomagał ojcu w czasie jego choroby i mamy nadzieję, że zostanie z nami.
- To niewątpliwe udogodnienie - zauważył Fabian.
- Panie Brady... to jest sir Fabian Framling.

Fabian budził respekt w Colinie, jako że pochodził z możnej rodziny, która rządziła wioską.

Wkrótce potem zasiedliśmy przy stole. Pani Janson przeszła samą siebie, a służące otrzymały szczegółowe wskazówki, jak mają się zachowywać.

Dougal wdał się w rozmowę z moim ojcem, a Colin od czasu do czasu wtrącał jakąś uwagę. Fabian zwrócił się do mnie.

- Podobało się pani Lamason? - zapytał.
- Było to niezmiernie interesujące doświadczenie.
- Przypuszczam, że moja siostra podziela ten pogląd.
- Z całą pewnością.
- A teraz, po powrocie, co zamierza pani robić?
- Chyba... po prostu zostanę na plebanii.

Skinął głową.

Ojciec opowiadał o starożytnych cywilizacjach, które rozkwitały przez pewien czas, a później przemijały.

- To już reguła - zauważył Dougal. - Imperia rozkwitają i upadają. Najbardziej znamieny jest chyba upadek cesarstwa rzymskiego. Pozostałości tej cywilizacji można znaleźć w całej Europie... mimo że później nastąpiły mroczne wieki.

Nieoczekiwanie mój ojciec oświadczył:

- Druzylla niedawno odwiedziła Lindenstein.
- Lindenstein - podchwycił Dougal. - To bardzo ciekawe miejsce. Pamiętasz, Fabianie? - Zwrócił się do mnie: - Odbyliśmy razem długą podróż po Europie. Zwiedziliśmy wszystkie znane miejsca, nieprawdaż, Fabianie? Ale od czasu do czasu zbaczaliśmy z utartego szlaku. Raz znaleźliśmy się bardzo blisko Lindensteinu.

Poczułam, że rumienię się lekko. Od początku krępowały mnie wszelkie wzmianki o naszym oszustwie. Pragnęłam jak najspieszniej zmienić temat rozmowy.

- Proszę powiedzieć, co pan sądzi o Florencji, panie Carruthers - zagadnęłam go. -

Zawsze miałam wrażenie, że musi to być najbardziej fascynujące miasto na świecie.

- Wiele osób zgodziłoby się z panią - przyznał Dougal.

- Jakże bym chciał przespacerować się nad rzeką Arno, gdzie Dante poznał Beatrycze

- westchnął mój ojciec.

- A co pani myśli o Lindensteinie, panno Delany? – spytał Fabian.

- Och... bardzo interesujący.

- Ten średniowieczny schloss...

- Tam właśnie mieszkała Druzylla, prawda? - wtrącił ojciec.

- Księżniczka była w szkole z moją córką i Lawinią. Zaprosiła je do siebie. Niezwykła przygoda.

- Tak - przyznałam szczerze - przeżyłyśmy niezwykłą przygodę.

Ojciec ponownie skierował rozmowę na Dantego; Colin i Dougal podjęli temat.

Fabian odezwał się do mnie cicho:

- Niezwykłe państwko... Lindenstein. Te góry... surowe i posępne, nie sądzi pani?

- O, tak - odparłam.

- No i schloss. Niesamowita architektura... wszystkie te wie że...

Skinęłam głową.

- Pobyt w takim miejscu musiał być nadzwyczaj ciekawy.

Ponownie skinęłam głową.

Przyglądał mi się bacznie. Nie wiedziałam, czy Lawinia w końcu nie wyznała mu prawdy; poczułam nagły gniew, że obarczyła mnie taką tajemnicą.

Zostawiłam panów przy butelce porto i poszłam do swojego pokoju. Fabian Framling zawsze wprawiał mnie w zakłopotanie. Patrzył na mnie tak, jakby chciał mi uświadomić, że jestem całkowicie bezbronna.

Gdy goście zaczęli się żegnać, ojciec powiedział:

- To był przemiły wieczór. Rzadko spotykam ludzi, którzy dzielą moje zainteresowania. Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić, koniecznie.

- Muszą państwo przyjść na kolację do nas – zaproponował Fabian.

- Dziękujemy - odrzekłam - lecz ojciec nie powinien wychodzić wieczorami. -

Patrzyłam na Dougala. - Wolimy raczej podejmować gości na plebanii.

- Z wielką chęcią skorzystam z zaproszenia.

- Mam nadzieję, że spędzi pan tu jeszcze trochę czasu - powiedział ojciec.

- Tak przypuszczam - odezwał się Fabian. - Wątpię, abyśmy opuścili kraj przed końcem roku.

- Za tydzień... nie myślę się, prawda, moja droga...? Druzylla jedzie do Londynu.

- Doprawdy? - Fabian utkwiał we mnie spojrzenie.

- Zamierza odwiedzić dawną piastunkę - wyjaśnił ojciec. - Wie pan, jak silne bywają takie więzi.

- Wiem - potwierdził. - A zatem zaczekamy z wizytą do powrotu panny Druzylli.

- Nie widzę powodu, aby panowie nie mieli przyjść w czasie mojej nieobecności -

zaprotestowałam. - Pani Janson wszystkim się zajmie, a ojcu będzie bardzo miło.

- Zapraszam panów - dodał ojciec.

Pożegnali się i wyszli.

Ojciec był zachwycony udanym wieczorem, a Colin Brady zgadzał się z nim. Pani Janson nie okazywała niezadowolenia. Uznała, że Framlingowie są takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni i zupełnie nie boi się Fabiana. A co do tego drugiego, jest dżentelmenem w każdym calu i nie można mu nic zarzucić. Ja sama zniosłam tę wizytę nie najgorzej, choć poczułam wyrzuty sumienia, gdy zaczęli mówić o Lindensteinie.

Z rosnącym podnieceniem myślałam o wyjeździe do Londynu. Perspektywa odwiedzin u Polly zawsze napełniała mnie radością, a teraz było jeszcze dziecko i Eff.

Wybrałam się do miasteczka oddalonego od wioski mniej więcej o milę i spędziłam miłe przedpołudnie na zakupach; wybrałam kaftanik, czapeczkę i włóczkowe buciki dla Fleur oraz parę miechów dla Polly i Eff, miały bowiem - jak zauważyłam - pewien kłopot z rozpalaniem ognia w kuchennym piecu.

Gdy wychodziłam ze sklepu, nadszedł powóz. Wiedziałam, że należy do Framlingów, ponieważ już wcześniej widziałam w nim Fabiana. Powóz zaprzężony był w dwa ogniste siwki, a młody dziedzic lubił szybką jazdę.

Dostrzegłam go na koźle; ku memu zaskoczeniu zatrzymał konie.

- Panna Delany.

- O... dzień dobry - powiedziałam.

- Widzę, że chodziła pani po sprawunki.

- Tak.

- Odwiozę panią do domu.

- Och, to nie jest konieczne.

- Ależ oczywiście, że panią odwiozę.

Zeskoczył z kozła i sięgnął po moją torbę z zakupami. Gdy brał ją do ręki, zawartość wysypała się na bruk: miechy, kaftanik, czapeczka, buciki.

- Ajaj - mruknął i schylił się, by pozbierać rzeczy. - Mam na dzieję, że nic się nie zniszczyło.

Oblałam się gorącym rumieńcem. Fabian wyprostował się, trzymając buciki.

- Bardzo ładne - zauważył. - I wcale nie ucierpiały.

- Doprawdy - bąknęłam - nie musi mnie pan odwozić.

- Nalegam. Chciałbym pochwalić się moimi końmi. To na prawdę wspaniały zaprzęg.

Może pani usiąść obok mnie, będzie pani miała lepszy widok na drogę. Spodoba się pani.

Pieczołowicie umieścił moje sprawunki w powozie i pomógł mi wsiąść.

- No, to w drogę - oznajmił. - Nie zawiozę jednak pani prosto do domu.

- Och, ale... - Ponownie nalegam. Dotrze pani do domu mniej więcej w tym samym czasie, jaki zajęłaby piesza wędrówka. I będzie pani miała przyjemność zobaczyć Kastora i Polluksa w akcji.

- Niebiańskie bliźnięta... - szepnęłam.

- Są bliźniaczo podobne jedynie z wyglądu. Polluks ma zbyt żywy temperament, a Kastor zdradza skłonność do lenistwa. Ale wiedzą, kto tu jest panem.

Konie przeszły w galop. Fabian zaśmiał się, gdy powóz zaczął nabierać prędkości.

- Jeśli pani się boi, proszę się mnie przytrzymać - powiedział.
 - Dziękuję - odrzekłam. - Nie boję się.
 - A ja dziękuję za komplement, na który, szczerze mówiąc, zasłużyłem. Potrafię postępować z końmi. A propos, nie widziałem ostatnio, aby pani odbywała przejażdżki.
 - Nie robię tego, odkąd wróciłam.
 - Dlaczego?
 - Nie mamy stajni przy plebanii.
 - Swego czasu jeździła pani regularnie.
 - To było wtedy, gdy Lawinia przebywała w domu.
 - Droga panno Delany, nie musi pani prosić o pozwolenie, by wziąć konia ze stajni Framlingów. Myślałem, że to oczywiste.
 - Teraz, kiedy nie ma Lawinii, jest inaczej. Zawsze jeździliśmy razem.
 - To zupełnie bez znaczenia. Ilekroć pani zechce, proszę brać sobie tego konia, na którym pani dawniej jeździła.
 - Dziękuję. To bardzo miło z pana strony.
 - Och, przecież jest pani bliską przyjaciółką mojej siostry. Czy zazdrości jej pani brylowania w londyńskich salonach?
 - Nie wydaje mi się, aby mnie to nęciło.
 - Nie, zapewne nie. Ale proszę brać sobie konia, kiedy pani zechce.
 - Jest pan bardzo uprzejmy.
- Obdarzył mnie z lekka sardonicznym półuśmiechem.
- Proszę mi opowiedzieć o Lamason - zachęcił.
 - O, jest to szkoła ciesząca się doskonałą opinią.
 - Gdzie trzpiotowate dziewczęta przeobrażają się w młode damy.
 - Tak przypuszczam.
 - A czy, zdaniem pani, nauczycielkom powiodło się to z panią i Lawinią?

- Nie mogę wypowiadać się w imieniu Lawinii. Niech pan ją samą zapyta.
- A pani?
- Inni lepiej to oceniają.
- Chce pani usłyszeć moją opinię?
- Niekoniecznie. Nie byłaby zgodna z rzeczywistością, ponieważ pan mnie prawie nie zna.
- Mam wrażenie, że znam panią bardzo dobrze.
- Doprawdy nie wiem skąd. Tak rzadko się widzimy.
- Są pewne pamiętne chwile. Czy przypomina pani sobie zabranie wachlarza z pawich piór?
- Tak, na pana rozkaz. Jak się miewa pańska ciocia Lucylla?
- Bardzo podupadła na zdrowiu. Zatraciła poczucie rzeczywistości i żyje wyłącznie we własnym świecie.
- Nadal ma hinduską służbę?
- Tak. Nie zgodziliby się jej opuścić, a staruszka byłaby bez nich całkowicie zagubiona.
- Przykro mi - powiedziałam.
- Niebawem wyjeżdża pani do Londynu - odezwał się po krótkim milczeniu. Powóz podskoczył i oparłam się o Fabiana, chwytając go za rękaw. Parsknął śmiechem. - Wszystko w porządku. Mówiłem przecież, że jest pani ze mną bezpieczna.
- Naprawdę sędzę, że powinnam już być w domu. Mam wiele rzeczy do zrobienia.
- Musi pani przygotować się do wyjazdu?
- Tak i nie tylko to.
- Jak długo pani tam zostanieie?
- Och... około tygodnia.
- Jest pani bardzo przywiązana do swojej starej niani.
- Ona właściwie nie jest stara. Poily należy do osób, które nigdy się nie zestarzeją.
- Ta lojalność przynosi pani chlubę.
- Czy wyrażanie szczerych uczuć jest aż tak chwalebne?

- Nie, naturalnie, że nie. Widzi pani, jaki jestem potulny? Za trzy minuty staniemy u drzwi plebanii.

- Dziękuję.

Przed domem z szarego kamienia ostro ściągnął wodze, zeskokczył na ziemię i pomógł mi wysiąść. Z uśmiechem ujął moje dłonie.

- Mam nadzieję, że prezenty będą mile przyjęte.

- Jakie prezenty?

- Miechy i dziecięce ubranka.

Z irytacją poczułam, że znowu się rumienię. Odebrałam od niego torbę, podziękowałam i weszłam do domu.

Byłam wzburzona. Fabian zawsze zakłócał mój spokój. Szkoda, że widział zakupy. W jego spojrzeniu dostrzegłam coś zagadkowego i zastanawiałam się, co sobie pomyślał.

Ojciec miał wątpliwości, czy to rozsądne z mojej strony, jechać samej do Londynu.

- Ależ cóż złego może mnie spotkać? - tłumaczyłam. – Wsiądę do pociągu pod okiem pana Hansona, zawiadowcy stacji i bagażowego Briggsa. U kresu podróży będzie na mnie czekała Polly. Jestem już dorosła, chyba wiesz.

- Mimo to...

- Dojadę szczęśliwie.

Zgodził się w końcu, że nie może mi się stać żadna krzywda, i wyruszyłam w drogę z kuferkiem zawierającym podarki oraz trochę rzeczy osobistych.

W wagonie usiadłam przy oknie i zamknęłam oczy, rozmyślając, jak rozkosznie będzie spotkać się z Polly, a także znowu zobaczyć Eff i dziecko.

Otworzyły się drzwi i do wagonu wsiadł Fabian. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Okazało się nieoczekiwanie, że muszę jechać do Londynu. To prawdziwa przyjemność. Możemy podróżować razem. Ale pani nie wydaje się zbyt uradowana moim widokiem.

- Nie spodziewałam się...

- Niespodzianki to miła rzecz, nie sądzi pani?

- Czasami owszem.

Usiadł naprzeciw mnie i splótł ramiona.

- Jestem pewien, że pani ojciec byłby zadowolony. Przypuszczam, że trochę go niepokoiła pani samotna podróż. Młode panny zazwyczaj tego nie robią, nieprawdaż?

- W moim przekonaniu nie jesteśmy aż tak słabe i kruche, jak uważają niektórzy.

- Ciekawe dlaczego?

- Och, to męski pogląd... podkreślający wyższość mężczyzn.

- Wierzy w to pani?

Pociąg ruszył ze stacji.

- W co? - spytałam.

- W męską wyższość.

- Oczywiście, że nie.

- A zatem uważa pani, że jesteśmy gorsi?

- Tego nie powiedziałam.

- Bardzo pani łaskawa.

- Nie, po prostu rozsądna. Obie płci powinny uzupełniać się nawzajem.

- Czyż nie tak napisano w Biblii? Są tam jednak miejsca, w których podkreślono drugorzędną rolę kobiety. Święty Paweł...

- Och, święty Paweł! Czy nie należał do tych, którzy dostrzegali w kobietach pokusę i obwiniali je za to?

- Naprawdę? Przypuszczam, że pani wiedza o Biblii znacznie przewyższa moją. To jednak nic dziwnego u tak światłej młodej damy.

- Dziękuję.

- Jak długo zabawi pani w Londynie?

- Zapewne tydzień. Nie chciałabym opuszczać ojca na dłużej.

- Słyszałem, że w zimie ciężko chorował, i rozumiem pani niepokój. Odnoszę wrażenie, że wikary jest bardzo zacnym młodzieńcem.

- Służył nam pomocą i zaskarbił sobie sympatię parafian, a to ma duże znaczenie.

- Dla każdego z nas ludzka sympatia ma wielkie znaczenie.
- Ale szczególnie dla kogoś w jego sytuacji. Nie wydaje mi się na przykład, aby pan za bardzo dbał o to, czy ludzie darzą pana sympatią, czy nie.
- Dbam, owszem... w wypadku niektórych osób. - Uśmiechnął się tym swoim kpiącym uśmiechem, który już znałam, i odchylił na oparcie siedzenia. - To istotnie miły sposób podróżowania. Zwykle żałuję straconego czasu.
- Domyślam się, że czekają pana długie podróże.
- Och, mówi pani o Indiach, do których się wybieram.
- Przypuszczam, że już wkrótce.
- Prawdopodobnie z końcem roku. Carruthers także wyjedzie. Widzi pani, nasze rodziny są powiązane z Kompanią Wschodnioindyjską.
- Słyszałam.
- Zapewne od Carruthersa. Wiem, że jest częstym gościem na plebanii.
- Przypadli sobie do gustu z moim ojcem. Łączą ich wspólne zainteresowania.
- Dorastaliśmy w przeświadczeniu, że w przyszłości będziemy pracować dla Kompanii. Mój stryj ma biura w Londynie. Jeżdżę tam od czasu do czasu... by nabyć doświadczenie, można rzec.
- To z pewnością bardzo ciekawe zajęcie.
- Kompania? O, tak. Ma, oczywiście, tradycje historyczne, sięgające wiele lat wstecz.

Jak pani wiadomo, handel z Indiami zapoczątkował Vasco da Gama, gdy odkrył drogę morską i zarzucił kotwicę w Kalikacie. Ale Portugalczycy nie założyli tam kompanii handlowej. Pozostawili to nam. Czy wiedziała pani, że patent nadała nam królowa Elżbieta?

Stało się to w ostatnim dniu szesnastego stulecia. Nasze korzenie tkwią zatem głęboko w przeszłości i na rodzinie spoczywa obowiązek kontynuowania dzieła.

- Musi pan być bardzo dumny ze swych antenatów.
- Nie zabrakło wśród nich również grzeszników.
- Jak w każdej rodzinie.
- Niektóre mają ich więcej niż inne. Pani rodzina natomiast, jak przypuszczam, jest bardzo szacowna... najwyżej drobny grzeszek od czasu do czasu.

- Może lepiej w to nie wnikać.

- Zapewne ma pani słuszość, lecz w wypadku rodu takiego jak nasz wszystko zostaje odnotowane. Wiemy, że jeden z przodków należał do założycieli Kompanii, i wiemy coś niecoś o życiu tych, którzy przyszli po nim. Ludzie są nieodgadnieni, zgodzi się pani ze mną?

Ci na pozór cnotliwi często mają swoje sekrety, a w łobuzach tkwi okruch dobra.

- Proszę powiedzieć, jakimi towarami handluje Kompania?

- Wysyłamy do Indii kruszce w sztabach, wełnę, artykuły żelazne i tym podobne rzeczy, a sprowadzamy jedwab, diamenty, herbatę, porcelanę, pieprz, perkal, leki i tak dalej.

- Rozumiem. Jesteście kupcami.

- Otóż to właśnie. Ale staliśmy się potęgą. Widzi pani, nie poprzestaliśmy na handlu.

Pragnęliśmy rządzić i włączyliśmy się w spory między indyjskimi książętami, wspierając jednych przeciwko drugim. Zdobyliśmy władzę; niektórzy powiedzieliby na wet, że to Kompania tak naprawdę rządzi Indiami.

- Czy Hindusi są temu przeciwni?

- Część z nich oczywiście tak. Inni dostrzegają korzyści, jakie im oferujemy. Francuzi również założyli Kompanię Indyjską. To przyczyna zdrażnień między naszymi krajami.

- Wydaje mi się, że to dążenie do władzy powoduje wiele kłopotów.

Skinął głową.

- Rozumie pani zatem, iż w grę wchodzi tradycja rodzinna.

- Rozumiem - odrzekłam - zwłaszcza gdy mowa o pańskiej rodzinie.

- Ale dość już o Kompanii i moich krewnych. Pomówmy o pani. Co zamierza pani robić po powrocie do domu?

- Robić? A cóż miałabym robić?

- Właśnie panią pytam.

- W tej chwili pomagam w prowadzeniu plebanii i opiekuję się ojcem. Na rodzinie pastora spoczywają liczne obowiązki. Przypuszczam, że nadal będę je wypełniała.

- Nie ma pani żadnych planów, żadnych ambicji? Nie myśli pani o podróżach?

Odwiedziła pani przecież Francję... i Lindenstein.

- Myślę, że trzeba czekać na to, co los przyniesie - powiedziałam szybko.
- Niektórzy są niecierpliwi i przyśpieszają bieg wydarzeń. Pani do nich nie należy?
- O tym muszę się dopiero przekonać. Dotychczas nie próbowałam niczego przyśpieszać. A pan?

Pochylił się w moją stronę.

- Ja robię to nieustannie. Jeśli czegoś zapragnę, staram się to zdobyć.
- Przemawiają przez pana ambicja i żądza władzy, ponieważ pochodzi pan z Framlingów i pracuje w Kompanii Wschodnioindyjskiej.
- Niezupełnie. Już raczej przemawia przeze mnie krewka natura.

Roześmiałam się, a Fabian dodał:

- Jakże zmienia się pani twarz, gdy się pani śmieje. W chwilach powagi wygląda pani nieco surowo.
- Nie wiedziałam.
- Może to tylko reakcja na mój widok.
- Zupełnie nie pojmuję, czemu miałby pan zasługiwać na moją surowość.
- Może budzę w pani niechęć?
- Dlaczegoż to?
- Mógłbym przytoczyć kilka powodów.
- Nie znam ich.
- Proszę nie oczekiwać, że je pani zdradzę. Nie jestem aż takim głupcem, by pogłębiać pani niechęć.
- Owa niechęć stanowi wytwór pańskiej wyobraźni. Jak można nie lubić kogoś, kogo się nie zna?
- Jeśli ten ktoś nie cieszy się dobrą opinią...
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- No i proszę, znowu zrobiła pani surową minę. Czuję, że ta podróż pozwoli nam lepiej się poznać.
- W jaki sposób jazda koleją miałyby dokonać tego, czego nie dokonały lata mieszkania w sąsiedztwie?
- Jest w pociągach coś, co zbliża ludzi.

- Doprawdy?
- Nie zauważyła pani tego?
- Tylko tyle, że rozmawiamy dłużej niż kiedykolwiek przedtem.
- A widzi pani. Nie może pani ode mnie uciec.
- Ani pan ode mnie.
- Och, lecz ja wcale nie chcę.

Zaśmiałam się.

- Nasza podróż chyba dobiega końca.
- Za pięć minut - dodał. - Niestety! Jakaż wydała mi się krótka. Lecz niezwykle emocjonująca. Szczęśliwie się złożyło, że mieliśmy wagon tylko dla siebie. Coś pani wyznam. To nie był zwykły traf. Przezornie dałem napiwek konduktorowi.
- Dlaczego?
- Z oczywistych powodów. Pomyślałem, że zawarcie bliskiej znajomości może się okazać interesujące. Inni pasażerowie popsułiby nasze małe tete-a-tete.
- Nie rozumiem, po co zadał pan sobie taki trud.
- Zadaję sobie wiele trudu, by uzyskać to, czego chcę. Czy nie mówiłem pani, że jestem niecierpliwy?

Byłam zaskoczona i poczułam lekki niepokój. Nie wiedziałam, co Fabian właściwie ma na myśli. Wydawało mi się, że dąży do przelotnego, niezobowiązującego flirtu.

Niewątpliwie doszedł do wniosku, że jestem naiwnym dziewczątkiem, gotowym paść w ramiona wszechpotężnemu panu na włościach. Doświadczenie Lawinii wiele mnie nauczyło, nawet jeśli jej nie dało niczego. Odparłam chłodno:

- Doprawdy nie pojmuję, dlaczego aż tak się pan fatygował.
- Wyjaśnię to pani później.
- A tymczasem jesteśmy już na miejscu.

Podniósł mój kuferek.

- Dam sobie radę sama, dziękuję.
- Ależ nie mogę pozwolić, by pani to dźwigała.

Odniosłam wrażenie, że zaczyna traktować mnie jak pan i władca.

Musiałam mieć się przed nim na baczności. Należał do mężczyzn, którzy uważają, że wystarczy kiwnąć palcem, by dziewczyna w te pędy przybiegła. Był bogatym i potężnym sir Fabianem, a matka wpoila mu przekonanie, że jest - jak mawiano - małym Cezarem.

Usiłowałam odebrać kuferek, lecz Fabian z uśmiechem oparł się moim naleganiom.

Ruszyliśmy wzdłuż peronu, na którego końcu czekała Polly.

Widząc u mego boku mężczyznę, wlepiła w nas zdumione spojrzenie, a gdy rozpoznała sir Fabiana, zdumienie przerodziło się w konsternację. Podbiegłam do niej, a Polly otoczyła mnie ramionami.

- Och, Polly - wykrzyknęłam - jak to cudownie znowu cię widzieć!

- Cóż, ja też nie mogę powiedzieć, żebym się zmartwiła. - Jego obecność sprawiała, że zachowywała się powściągliwie.

- To jest sir Fabian, Polly. Był tak uprzejmy, że pomógł mi nieść bagaż.

Fabian uklonił się mojej opiekunce.

- Spotkałem pannę Delany w pociągu.

- Ach, tak? - Głos Polly brzmiał odrobinę wojowniczo.

Nigdy nie przepadała za Framlingami. „Kim byli, zanim doszli do majątku? Pewnie wynosili ludziom kufry z pociągów. Nic dobrego z tego waszego spotkania nie wyniknie”.

Znałam ją od tak dawna, że teraz niemal słyszałam jej myśli.

- Dziękuję, sir Fabianie - zwróciłam się do niego. - To było miłe z pana strony.

- Znajdziemy dorożkę i raz dwa będziemy w domu - odezwała się Polly.

- Odwiozę panie - zaproponował. - Poszukam dorożki.

- Nie ma potrzeby... - zaczęłam.

- Ja jednak nalegam. - Mówił tak, jakby jego słowo było prawem i poczułam lekką irytację. Miałam chęć wyrwać mu kuferek i powiedzieć, że nie potrzebujemy jego pomocy.

Ale w ten sposób mogłam zdradzić coś, co wolałabym ukryć.

Zauważyłam władczy gest, jakim przywołał dorożkę i już po chwili znajdowaliśmy się w drodze ku błoniom.

Próbowałam gawędzić z Polly, nie zważając na jego obecność. Zapytałam o Eff.

Miewała się doskonale i prosperowała znakomicie. Zastanawiała się nad kupnem domu pod numerem 10, jeśli mieszkający tam staruszek się wyprowadzi. Eff zawsze miała oczy szeroko otwarte.

Żadna z nas nie wspomniała o dziecku, wiedziałam jednak, że Polly myśli o tym tak samo jak ja.

Odetchnęłam głęboko, gdy nasza podróż dobiegła końca. Fabian wysiadł i zaniósł mój kuferek pod drzwi, które otworzyła Eff. Wydała głośny okrzyk radości, lecz zaraz cofnęła się o krok, dostrzegłszy nieznanego mężczyznę. Skłonił się, uchylając kapelusza.

- To jest sir Fabian Framling, mój sąsiad - wyjaśniłam. - Spotkałam go w pociągu i wyświadczył mi wielką uprzejmość.

Widziałam, że Eff się zastanawia, czy nie zaprosić przybyłego na filiżankę herbaty i kawałek ciasta z rodzynkami, które upiekła specjalnie na tę okazję, a jedyną przyczyną jej wahania jest tytuł i być może imponująca prezencja naszego towarzysza. Odezwałam się pośpiesznie:

- Bardzo panu dziękuję za życzliwość, sir Fabianie.

Odwróciłam się, on zaś złożył nam ukłon i ruszył w stronę czekającej dorożki.

Weszliśmy do domu.

- Coś podobnego! - sapnęła Polly. - Zupełnie mnie zatkało, jak zobaczyłam, kto to taki.

Pokręciła głową. Była zaniepokojona; przy pierwszej sposobności musiałam jej wytłumaczyć, że nie ma powodu do obaw.

- Wiem, kogo chciałabyś zobaczyć - powiedziała Eff. - Przyniosę ją tutaj, ale teraz śpi i nie chcę jej budzić, bo byłaby awantura. Co, Polly?

- No pewnie - zgodziła się Polly.

- Najpierw napijmy się dobrej herbaty. Mam trochę słodkich bułeczek.

Przy herbacie wysłuchiwałam, jak to interesy idą coraz lepiej i jak mała pięknieje z każdym dniem.

Wreszcie Eff przyniosła Fleur i wzięłam ją na rękę, malutka zaś, zacisnąwszy rączki na moim palcu, przypatrywała mi się z zaciekawieniem i czymś, co mogło być uśmiechem zadowolenia na zaróżowionej buzi. Bardzo się zmieniła od owego dnia, gdy przywiozłyśmy ją tutaj. Miała już prawie dziewięć miesięcy - całkiem duża osobka. Niechciane dzieci zawsze napełniały mnie smutkiem, ale przynajmniej to jedno, dzięki Polly i Eff, było kochane z całego serca.

Fleur miała niebieskie oczy, a niemal czarne włosy, z którymi się urodziła, wyraźnie zjaśniały. Były teraz ciemnobrązowe z płowym połyskiem, bez wątplenia odziedziczonym po Lawinii. Na pierwszy rzut oka dawało się zauważyć, że jest pogodnym dzieckiem, z czego należało się tylko cieszyć.

Widok Fleur przypomniiał mi inne dzieci, urodzone mniej więcej w tym samym czasie.

Jak się potoczyły losy Emmeliny? Wiedziałam, że jej maleństwo ma zapewniony szczęśliwy dom. A co z ową nieszczęsną zgwałconą dziewczynką? Rodzina z pewnością jej pomoże. A Agata? Ona wiedziała, co robi. Miała czułe serce i nie opuściłaby własnego dziecka.

Najwięcej myślałam o Miriam, która musiała oddać swoje, by nie zniszczyć małżeństwa. Jej przypadek wydawał mi się najsmutniejszy.

Ale rosło mi serce, gdy patrzyłam na Fleur. Nie będzie jej brakowało rodziców, ponieważ nikt nie mógłby opiekować się nią bardziej troskliwie niż Polly i Eff.

Miechy zostały przyjęte z radością.

- Ten kuchenny piec nigdy nie ciągnął jak należy - oświadczyła Eff.

Czapeczkę natychmiast przymierzono, a Fleur bardzo zainteresowała się bucikami.

- Będą dobre do popołudniowej drzemki - powiedziała Polly.

- Ona już zaczyna chodzić. Zdaje mi się, że znudziło ją raczkowanie.

- Czy to nie aniołek? - spytała Eff.

Przyznałam, że owszem.

- Eff ją po prostu rozpieszcza - powiedziała z wyrzutem Polly.

- A to dobre! - prychnęła jej siostra. - Przyganiał kocioł garnkowi!

Krzepiąca, ciepła atmosfera ich domu spełniła wszelkie moje oczekiwania. Polly nadal była moją podporą.

Wyczuwałam jednak jej zaniepokojenie. Wieczorem, gdy Eff się położyła, przysłała do mojego pokoju, by odbyć poważną rozmowę.

- Martwiłam się o ciebie, Druzyłło - zaczęła. - Nie podobało mi się, że jeździsz po obcych krajach. Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Fleur... to córka Lawinii, teraz to widzę.

Najpierw myślałam, że jest twoja.

- Och, Polly!

- Dlatego od razu zgodziłyśmy się ją przyjąć. Powiedziałam Eff: „Moja dziewczynka ma kłopoty. Musimy jej pomóc, jak tylko potrafimy, a jeśli to oznacza wzięcie dziecka do domu, no to je weźmiemy”.

- Natychmiast o was pomyślałam. Pamiętałam, jak obydwie lubicie dzieci.
- Lubimy. Ale wychowywanie własnego to coś, nad czym trzeba się zastanowić.
- A jednak się nie wahałaś.
- Nie. Jak ci powiedziałam, myślałam, że jest twoje.
- Zawsze byłaś dla mnie wspaniała, Polly... zawsze.
- Wiem już, że to dziecko Lawinii, tej bezwstydnej kokietki! Cała ona. Pakuje się w tarapaty, a potem ktoś inny ma rozwiązać problem za nią.
- Lady Harriet płaciła dużą część moich szkolnych rachunków. Pojechałam do Lamason, żeby towarzyszyć Lawinii.
- Wiem. Ludzie ich pokroju uważają, że cały świat jest ich własnością. A teraz jeszcze ten Fabian... czy jak on się tam nazywa.
- Wszyscy nazywają go Fabianem. Tak brzmi jego imię.
- Sir Fabianem, jeśli łaska.
- Odziedziczył tytuł po ojcu. Był „sirem”, odkąd jego ojciec zmarł.
- Niemądry obyczaj. Dzieciom przewraca się od tego w głowach. Nic dziwnego, że z czasem zaczynają się uważać za samego Pana Boga Wszechmogącego.
- Myślisz, że on jest taki?
- To jasne jak słońce.
- Nie zawsze bywa aż tak jasne.
- Łapiesz mnie za słowa, a ja chcę z tobą pomówić poważnie. Chodzi o Fleur.
- Och, Polly, czyżby Lawinia nie przysyłała wam pieniędzy?
- Nie potrzeba nam pieniędzy. Chciałam po prostu powiedzieć, że Fleur... no cóż, jakkolwiek by to ukrywać, jest jedną z nich, Framlingów. Na razie jej tu dobrze. Nie robi jej różnicy, czy to pałac Buckingham, czy kurna chata. Dopóki się nią opiekujemy, możemy ją przytulić i dać jej całusa, jest dobrze. Ale czy ten dom jej wystarczy, kiedy trochę podrośnie?
- Wystarczy, jeśli będzie miała ciebie i Eff. Kocha was obie. Nie widzisz, jak się do was uśmiecha?
- Och, to kochane maleństwo, nie da się ukryć. Przyjdzie jednak czas, kiedy trzeba będzie jej powiedzieć, kim jest, zapewnić wykształcenie i w ogóle.

- Zostawmy to na razie, Polly. Przy najbliższej sposobności porozmawiam z Lawinią.
- A prócz tego chodzi mi o ciebie.
- O mnie?
- Co zamierzasz zrobić?
- Co masz na myśli, Polly?
- Wiesz, co mam na myśli. Pastor nie czuje się najlepiej, prawda? Jak długo jeszcze będzie mógł pracować? Ten Colin Brady pewnie przejmie po nim parafię. Czy on ci się podoba?
- Chyba nie próbujesz bawić się w swatkę?
- Te sprawy należy traktować poważnie. Naprawdę chciałabym, żebyś założyła rodzinę. Gromadka smyków, oto, czego ci potrzeba do szczęścia. Wiem, bo widziałam cię z Fleur. Niektóre kobiety są stworzone do roli matek i ty do nich należysz.
- Wybiegasz za daleko naprzód, Polly.
- No więc, lubisz go czy nie, tego Colina Brady'ego?
- Lubię.
- I jest dobrym człowiekiem?
- Sądzę, że tak.
- Chyba nie pozwolisz, żeby ktoś cię bałamucił, bo taką ma zachciankę, a potem zostawił, kiedy mu się znudzisz.
- O kim mówisz?
- A o tym sir Fabianie.
- Och, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Po prostu przypadkiem jechał tym samym pociągiem.
- Niektórzy ludzie potrafią wpływać na przypadki, kiedy czegoś chcą.

Przypomniałam sobie, co mówił o przyśpieszaniu biegu rzeczy. Z pewnością zaaranżował to spotkanie. To, że zadał sobie tyle trudu, zaciekawilo mnie i sprawilo mi pewną przyjemność, a nie zirytowało, choć powinno.

Polly stopniowo wyciągnęła ze mnie historię uwiedzenia i upadku Lawinii.

- Ta dziewczyna aż się prosiła o kłopoty. Może to będzie dla niej nauczka... choć wątpię. Od razu widać, co z niej za ziółko. Prędzej czy później znowu napyta sobie biedy. I pomyśleć, że sir Fabian jest wujem naszej Fleur i nic o tym nie wie!

- Nie wie w ogóle ojej istnieniu.

- Trochę by nim wstrząsnęło, jakby się dowiedział. Nie dziwię się, że Lawinia stawiała na głowie, żeby jej mały sekret nie wyszedł na jaw. Zawsze było mi żal dziewcząt w tarapatach, ale z jej powodu nie będę sobie rwała włosów z głowy, co to, to nie.

Pogawędka z Polly znowu podniosła mnie na duchu, jak dawniej, gdy przesiadywałyśmy w pokoju na plebanii, między kościołem a wiejskimi polami.

Odbywałyśmy z Polly nasze wyprawy na West End, gdzie kupiłam trochę odzieży, rękawiczki dla Polly i szal dla Eff. Pieniądze, które zostawiła matka, przynosiły mi stały dochód. Nie było tego zbyt wiele, lecz przynajmniej nie zostałam bez grosza przy duszy.

Powiedziałam Polly, że połowę tego, co posiadam, wyślę jej na utrzymanie Fleur, lecz odmówiła z oburzeniem.

- Niczego podobnego nie zrobisz! Tylko spróbuj, a od razu odeślę ci to z powrotem i obie z Eff śmiertelnie się na ciebie obrazimy.

Wyznała mi, że opieka nad dzieckiem daje im mnóstwo radości. Posiadanie dziecka miało wielkie znaczenie, zwłaszcza dla Eff. Siostra bardzo polubiła prowadzenie interesów, często jednak napomykała, że czegoś jej w życiu brakuje. Wytrzymała z „nim” przez wiele lat i wybaczyłaby mu wszystkie doznane przykrości, gdyby dał jej dziecko. Ale nawet w tej dziedzinie nie nadawał się do niczego. Polly również pod tym względem doznała zawodu.

- A teraz mamy Fleur - podsumowała - i jeśli ta cała Lawinia zechce nam ją kiedyś odebrać, to jej nie dostanie. Gotowa jestem walczyć o to dziecko do ostatniego tchu... Eff tak samo, a ona zawsze wygrywa. Zawsze była i będzie górą. Tak mawiał nasz ojciec.

Często myślałam o Lawinii; zastanawiałam się, co porabia i czy w ogóle pamięta o córce. Wątpiłam w to. Poczęła ją lekkomyślnie, dbając tylko o własną przyjemność, a potem beztrąsko porzuciła, nie rozumiejąc nawet, ile miała szczęścia, że znalazła kogoś, kto zdjął jej to brzemię.

Przez kilka dni wozilałam małą na spacer na błonia. Przysiadałam na ławce i rozmyślałam o wydarzeniach ostatnich dwóch lat. Często wracałam pamięcią do małego francuskiego miasteczka i cukierni, w której siadałam z ciastkiem w cieniu markizy i czekałam, aż Charles przyniesie kawę. Wyraźnie przypominałam sobie dzień, kiedy podszedł

do nas rzekomy hrabia. Widziałam Lawinię, obdarzającą przystojnego nieznajomego zalotnym, konfidencyjnym uśmiechem. Pamiętałam dobrze to jej skrywane zadowolenie.

Powinłam była się domyślić, że hrabia jest oszustem i chodzi mu wyłącznie o przelotny romans.

Gdy tak śniłam na jawie, a Fleur drzemała w wózku, ktoś nieoczekiwanie usiadł obok mnie na ławce. Obróciłam się i z mieszaniną radości i zakłopotania ujrzałam, że to Fabian.

- Sir Fabian... - wyjąkałam.

- Proszę, nie tak oficjalnie - przerwał. - Dla przyjaciół jestem po prostu Fabianem.

- Co... co pan tutaj robi?

- Raduję się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Jak się pani miewa? Wygląda pani doskonale. Jakież różane policzki! Czy tak działa na panią londyńskie powietrze, czy może pogawędki z oddaną piastunką? - Gdy nie odpowiedziałam, podjął: - Co za urocze dziecko!

Czyje ono jest?

- Polly ją adoptowała.

- Niezwykła kobieta z tej Polly. Widzę, że czapeczka pasuje.

- Zerknął na mnie z łobuzerską iskierką w oku. - To był dobry wybór.

- Owszem.

- I te buciki.

- Właściwie jest już na nie za duża, więc nie był to aż tak dobry wybór. Wkrótce zaczną chodzić i będą jej potrzebne trzewiczki.

- Powinna pani była wziąć to pod uwagę. Co z nich za przedsiębiorcze damy!

Posiadają na własność domy, a na dodatek adoptują dziecko. Zdziwiający! Proszę mi powiedzieć, czy kupiły już ten pod numerem 10?

- Jeszcze nie, lecz zapewne to zrobią. Czy załatwia pan tu jakieś interesy?

Spojrzał na mnie, uśmiechając się z lekkim rozbawieniem.

- Widzę, że podejrzewa mnie pani o wagarowanie. Przypadkiem znalazłem się w tej okolicy i przypomniałem sobie, że zatrzymała się pani gdzieś tutaj. Szczęśliwy traf pozwolił

mi panią zauważyć. Byłem zaskoczony. W pierwszej chwili zbił mnie z tropu ten dziecięcy wózek. Pomyślałem, że to zapewne jakaś młoda matka... lecz natychmiast uznałem, iż nikt nie mógłby być aż

tak podobny do pani, i uradowałem się szczerze. Kiedy pani wraca? Jeśli dobrze pamiętam, wspominała pani o tygodniowym pobycie. W piątek mija dokładnie tydzień.

- Tak. Przypuszczam, że będę wracać tego dnia.

- Mam nadzieję, iż miło spędza pani czas.

- Niezmiernie miło.

Fleur, która obudziła się chwilę wcześniej i obserwowwała nas z powagą, doszła do wniosku, że zbyt długo ją ignorujemy i zaczęła popłakiwać. Wyjęłam ją z wózka, a mała natychmiast się rozpogodziła. Pokuśtałam ją trochę, co najwyraźniej jej się spodobało.

Okazała Fabianowi zainteresowanie, wyciągając rączkę i chwytając jeden z jego guzików.

Potem wpatrzyła się uważnie w jego twarz.

- Czy to wyraz dezaprobaty? - zapytał.

- Nie wiem. Z pewnością zaciekawienia.

Fleur roześmiała się, jak gdyby dostrzegła coś zabawnego.

- Niebawem zaczniesz mówić - dodałam. - Chce panu coś powiedzieć, lecz nie potrafi znaleźć słów.

- Miła istotka.

- Ja również tak uważam. I Poily, i Eff.

- Eff?

- Zdrobnienie od Effie.

Na wzmiankę o Eff Fleur zaczęła gaworzyć. - Eff... Eff... Eff.

- Widzi pan? - zauważyłam. - Już zaczyna mówić.«

- Dla mnie to nie brzmiało jak mowa.

- Proszę posłuchać uważnie, ona mówi: „Eff”.

- Effe... eff... - powtórzyła Fleur.

- Jak ma na imię? - spytał.

- Fleur.

- Francuski kwiatuszek. Czy jest Francuzką?

- Polly tego nie wyjaśniła.

- Nadały jej jednak francuskie imię.

- Przypuszczam, że mogła tak się nazywać, zanim do nich trafiła.

Usiłowałam nakłonić Fleur, by puściła guzik, lecz nie chciała; a gdy to w końcu uczyniła, jej rączka powędrowała w górę i złapała Fabiana za ucho.

- Wyraźnie pana polubiła - zauważyłam.

- Wolałbym, aby znalazła inny sposób wyrażania sympatii.

- Chodź, Fleur - powiedziałam. - Czas wracać do domu. Polly i Eff czekają na nas.

Będą się gniewać, jeśli zbyt długo się z tobą zasiedzę.

- Mam pomysł - odezwał się Fabian. - Niech pani odwiezie dziecko, a potem zaproszę panią na obiad.

- Dziękuję - odrzekłam - ale zostało mi już niewiele czasu i muszę go spędzić z Polly.

- Ponieważ wyjeżdża pani niebawem. A więc dobrze. Spotkamy się w podróży powrotnej.

Nie odpowiedziałam. Ułożyłam lekko opierającą się Fleur w wózku i odwróciłam się do niego. Pochylił głowę w ukłonie, trzymając w ręku kapelusz.

- Do widzenia - pożegnałam się.

- Au revoir - odrzekł znacząco.

Nie przyznałam się Polly do tego spotkania. Wiedziałam, że by ją zaniepokoiło.

Nazajutrz rano siedziałyśmy z Polly przy śniadaniu. Eff zjadła swoje znacznie wcześniej, co oznaczało, że możemy porozmawiać od serca. Eff chyba o tym wiedziała i chętnie się usunęła, by nam to umożliwić.

Polly przeglądała gazetę i gdy tylko się pojawiłam, wykrzyknęła:

- Posłuchaj, co ty na to?

Usiadłam, czekając na wiadomości.

- Wybuchł wielki pożar w tym domu... Pod Jodłami, w New Forest. Tu go nazywają domem opieki. - Zaczęła czytać. - „Dom opieki Pod Jodłami. Straszliwy pożar, wzniecony zapewne przez jednego z pacjentów, zdążył rozszaleć się w najlepsze, zanim go spostrzeżono.

Właścicielka, pani Fletcher, straciła życie. Liczba ofiar nie jest jeszcze znana, lecz skala pożaru

rodzi obawy, że wiele osób poniosło śmierć. Znaczna część pensjonariuszy cierpiała z powodu różnych ułomności...”.

Słuchałam, wpatrując się w przestrzeń szeroko otwartymi oczyma. Czy Janina była również wśród ofiar? Zastanawiałam się, ile kobiet oczekujących dzieci zginęło w płomieniach. Pomyślałam o Księżnej i młodym człowieku, którego ciotka Emilia przeznaczyła na męża dla Janiny. Przypuszczałam, że to Jerzy zdołał w końcu wzniecić pożar.

Tyle razy podkładał ogień w kredensach i innych miejscach.

Opowiedziałam Polly o Jerzym.

- Dzięki Bogu, że nie wydarzyło się to wtedy, gdy tam byliście.

Przez cały dzień nie mogłam przestać myśleć o domu Pod Jodłami, ciotce Emilii, Janinie i ludziach, których znałam. To mogło tak łatwo się zdarzyć w trakcie naszego pobytu.

Przewertowałam popołudniowe gazety, a także wszystkie te, które udało mi się dostać nazajutrz. Lecz zapewne nie uznano owego wydarzenia za dostatecznie interesujące, by poświęcić mu więcej niż jedną wzmiankę.

Nadszedł dzień mego powrotu do domu.

Godzinę przed odjazdem pociągu do drzwi zastukał Fabian, który sprowadził dorożkę, by zawiozła nas na stację. Jedyne pociąg odchodził o trzeciej po południu, więc wiedział, że muszę nim jechać.

Eff, która otworzyła drzwi, była wyraźnie zaskoczona i pod wielkim wrażeniem.

Lubiła, gdy do domu przychodziły dystyngowane osoby. Jak powiadała, robi to dobre wrażenie na sąsiadach.

Nie pozostawało mi nic innego, tylko przyjąć z wdzięcznością jego propozycję. Polly pojechała z nami na stację, lecz jego obecność uniemożliwiała, oczywiście, poufną rozmowę.

Odnosił się do niej bardzo życzliwie, a gdy dotarliśmy na miejsce, nalegał, by pozwoliła dorożkarzowi zaczekać, i zapłacił za drogę powrotną.

- Nie ma potrzeby - protestowała.

On jednak nie chciał słyszeć o odmowie i musiała się zgodzić, choć z wielką niechęcią. Wiedziałam także, iż nurtował ją niepokój na widok nas dwojga siedzących w jednym przedziale.

Fabian wydawał się bardzo zadowolony ze swego manewru.

- To była udana wizyta - zauważył, gdy opuszczaliśmy Londyn.

- Ich towarzystwo zawsze sprawia mi przyjemność.

- Niezwykle damy. I jeszcze to maleństwo. Zauważyłem, że pani bardzo je lubi. Miłe dziecko. Odniosłem wrażenie, iż jest w niej coś francuskiego.

- O, tak pan sądzi? - wybąkałam.

- Owszem. I to imię: Fleur. Nie wiem, czy jest popularne we Francji, lecz niewątpliwie urocze, nie uważa pani?

- Tak, urocze.

- Można by sobie zadać pytanie, kto porzucił takie dziecko. Chętnie poznałbym historię jej narodzin. Przelotny związek, jak się domyślam... obie strony doszły do wniosku, że popełniły omyłkę.

- Być może.

- Rzekłbym, iż z całą pewnością. Czy wie pani, w jaki sposób owe dwie zacne damy stały się opiekunkami dziewczynki?

- Zupełnie się nie znam na tych sprawach. - Zaczęłam wyglądać przez okno.

- Lubi pani podziwiać widoki.

- Okolice Londynu są bardzo ładne - odrzekłam.

- W istocie. Otacza je aura spokoju i dobrobytu. Nie ma w nich nic dzikiego...

wszystko schludne i miłe dla oka. Zawsze odnoszę wrażenie, że nawet tutejsze drzewa uległy konwenansom. Zupełnie inaczej niż w Lindensteinie.

Struchlałam. Czegoś się domyślał i teraz drażnił się ze mną. Bawił się mną jak kot myszą, zanim ją uśmierci.

- Ach, Lindenstein! - mruknęłam, siląc się na niedbały ton.

- Płaski krajobraz, pomyślałem sobie, gdy zobaczyłem ten kraj. Surowy, prawdę rzekłszy. To dość zaskakujące, zważywszy jego położenie. Człowiek spodziewa się czegoś zupełnie innego.

Zastawiał na mnie pułapkę. Pamiętałam urywki rozmowy, którą prowadziliśmy na plebanii; padła wówczas wzmianka o górzystym terenie.

Czułam się coraz bardziej nieswojo pod badawczym spojrzeniem Fabiana.

Odwróciłam się od okna i napotkałam wzrok mego towarzysza. W jego oczach dostrzegłam cień rozbawienia. Czy miało to znaczyć, iż wie, że nigdy nie byłam w Lindensteinie?

Widziałam, że układa sobie wszystko w głowie. Obydwie z Lawi-nią opuściłyśmy szkołę po zakończeniu roku; napisałyśmy, że wybieramy się w odwiedziny do księżniczki; nie było nas dwa

miesiące; i wreszcie moja oddana piastunka wzięła na wychowanie tajemnicze dziecko o francuskim imieniu.

Spróbował połączyć to wszystko w całość i wydało mu się, że znalazł rozwiązanie.

Wyciągnął własne wnioski. Byłam oburzona. Pragnęłam mu wykrzyknąć, by zaprzestał swych impertynenckich dociekań i poprosił o wyjaśnienia własną siostrę. Przemówiłam zimno:

- Przypuszczam, że każde miejsce okazuje się inne niż oczekiwaliśmy. Być może dokonywanie porównań nie jest zbyt roztropne.

- Porównania są nienawistne... czy może nieczyste?

- To zależy od źródła, które pan cytuje.

- Ma pani słuszność, naturalnie, lecz jakkolwiek na to spojrzeć, bywają niestosowne.

Nadal wpatrywał się we mnie z rozbawieniem. Musiał przecież rozważyć udział

Lawinii w całej sprawie. Znając ją blisko, nie mógł przypuszczać, że byłaby zdolna do jakichkolwiek poświęceń dla przyjaciółki. Gdybym to ja musiała się ukrywać, przenigdy nie zadałaby sobie trudu, by mi pomóc.

Miałam ochotę zawołać: „To właśnie wy, Framlingowie, z waszą postawą pełną wyższości, jesteście przyczyną wszystkich kłopotów!”.

Zauważył zapewne moje poruszenie, gdyż odezwał się tonem dość łagodnym:

- Mam nadzieję, że po powrocie zastanie pani ojca w lepszym zdrowiu.

- Ja również mam taką nadzieję. Oczywiście jego obowiązki stały się znacznie lżejsze od przybycia Colina Brady'ego.

- Ach, tego wikarego. Podobno jest bardzo lubiany.

- Istotnie, jego obecność to prawdziwe błogosławieństwo. Bywają dni, kiedy ojciec nie może pracować, co wprawia go w przygnębienie. Pan Brady przejmuje wtedy wszelkie obowiązki i w znacznej mierze odciąża ojca.

- Jak mniemam, pewnego dnia zechce się usamodzielić.

- Niewątpliwie.

Skinął głową i ponownie utkwiał we mnie badawcze spojrzenie.

- Powiedziałbym, że pani i on macie z sobą wiele wspólnego.

Uniosłam brwi.

- Obydwoje, by tak rzec, w służbie Kościoła. Pani z racji urodzenia, on z wyboru.
- Można to i tak ująć.
- I najwyraźniej jesteście dobrymi przyjaciółmi.
- Trudno nie zaprzyjaźnić się z panem Bradym. Do każdego odnosi się z wielką życzliwością.
- Podziwu godny młody człowiek.

I znowu ten niemal kpiący uśmiech. Ogarnęła mnie złość. Najpierw posądził mnie o romans we Francji, którego owocem miałyby być Fleur, a teraz rozważał wydanie mnie za Colina Brady'ego. To było naprawdę aroganckie - odgrywanie roli możnego dziedzica, który troszczy się o maluczkich.

Pragnęłam odpowiedzieć, że nie zabiegałam o jego towarzystwo i nic mnie nie obchodzą jego domysły, ale oczywiście nie zrobiłam tego i po chwili zmienił temat. Zaczął

mówić o Indiach, które wyraźnie go fascynowały, o tamtejszych krajobrazach i mieszkańcach. Nie widział jeszcze tego kraju, lecz bardzo dużo o nim czytał i coraz lepiej go poznawał.

Słuchałam z zaciekawieniem o ludziach, o systemie kastowym, potędze Kompanii, targach i egzotycznych towarach, które można było tam kupić. Ale mimo oczarowania nie potrafiłam zapomnieć naszej wcześniejszej rozmowy i sugestii, że Fleur jest owocem mojej nierozwagi; a ja, rzecz jasna, nie mogłam mu powiedzieć, że to jego siostra odegrała główną rolę w tym wstrętnym dramacie.

Wreszcie pociąg wtoczył się na naszą stację. Powóz Framlingów już czekał i Fabian odwiózł mnie na plebanię.

Żegnając się, z uśmiechem ujął moją dłoń. Oznajmił przy tym przewrotnie, iż była to niezmiernie interesująca i pouczająca podróż.

Czułam głęboki niepokój i nieustannie powracała do mnie myśl o pożarze w domu Pod Jodłami. Zastanawiałam się, kto spośród owych dziwacznych ludzi, których tam poznałam, stracił w nim życie. Czy jedną z ofiar była Janina?

Dowiedziałam się od pani Janson, że w czasie mojej nieobecności na plebanii nie zdarzyło się nic szczególnie niepokojącego. Wprawdzie raz mój ojciec źle się poczuł, lecz uznała, że nie ma potrzeby mnie wzywać. Pan Carruthers złożył parę wizyt, które wprawiły pastora w doskonały nastrój. Obydwaj ślęczeli nad jakimiś starymi mapami i innymi papierami przyniesionymi przez pana Carruthersa, co podziałało na pastora jak balsam. Pan Brady, ma się rozumieć, czuwał nad wszystkim, więc można rzec, że sprawy układały się nie najgorzej.

W ciągu następnego tygodnia moja znajomość z Dougalem Carruthersem i Colinem Bradym zaczęła nabierać nowego charakteru. Dougal często nas odwiedzał i ojciec namawiał

mnie gorąco do uczestniczenia w ich rozmowach.

- Na pewno cię to zainteresuje - powiedział mi. - Naturalnie, mocną stroną pana Carruthersa są Anglosasi, ja zaś wolę wcześniejsze epoki, lecz temat jest zajmujący. On dobrze zna wczesne dzieje Europy, co jest oczywiście niezbędne. Rozmowa z nim będzie dla ciebie naprawdę emocjonująca.

Ku memu zaskoczeniu ojciec miał słuszość. Dougal przyniósł książki i byłam z tego zadowolona, gdyż lektura odrywała moje myśli od spotkań z Fabianem, które wytrąciły mnie z równowagi bardziej, niż przypuszczałam. Nie mogłam przestać myśleć o nim i jego insynuacjach. Uznałam, że gdy Lawinia wróci, będzie musiała wyjaśnić bratu, jaką rolę odegrałam w jej przygodzie. Było rzeczą oczywistą, że połączył jedno z drugim i znalazł, jak mu się wydawało, rozwiązanie zagadki. Nie życzyłam sobie, aby trwał w przekonaniu, że po pierwsze, wdałam się w brudny romans, a po drugie, opuściłam własne dziecko - nawet jeśli powierzyłam je zaufanej piastunce. Lawinia musi mu wszystko wyznać.

Pragnęłam przestać wreszcie myśleć o Fabianie, jednak nieustannie snuł mi się po głowie. Nie byłam pewna swoich uczuć do niego; czasami graniczyły one z niechęcią.

Obawiałam się naszego spotkania, które mogło nastąpić w każdej chwili, skoro mieszkaliśmy w tak bliskim sąsiedztwie; z drugiej strony jednak miałam nadzieję, że kiedyś go zobaczę.

Ożywałam w jego towarzystwie i jak nigdy przedtem odczuwałam potrzebę oczyszczenia się z podejrzeń. Niepokoiło mnie to bardzo z uwagi na Fleur, lecz nasze spotkania miały w sobie coś porywającego.

Pragnęłam także przestać myśleć o pożarze w domu Pod Jodłami i o Janinie. Co się z nią stało? Wiedziała, gdzie mieszkamy, więc mogła się z nami porozumieć. Przypuszczałam, że jej ciotka zgromadziła majątek i przed śmiercią dobrze ją zabezpieczyła. Żałowałam, że w gazetach nie pojawiło się więcej informacji.

Moja znajomość z Dougalem wciąż się pogłębiała i zaczęłam odnosić wrażenie, że przychodzi w odwiedziny nie tylko do ojca, lecz i do mnie.

Zgłębianie przeszłości pochłonęło mnie na pewien czas; pragnęłam zapomnieć o Fabianie i przestać się zadreć tym, co o mnie sądzi - jeżeli w ogóle poświęcił mi choć jedną myśl. Może takie przypuszczenie było zarozumiałstwem z mojej strony, lecz swego czasu okazywał mi zainteresowanie - jako przyjaciółce siostry.

Ponadto miewałam pogmatwane sny, w których pojawiał się dom Pod Jodłami.

Znajdowałam się znowu w tym zamkniętym światku wśród obcych ludzi. Widziałam Jerzego, podkładającego ogień w środku nocy. Śniłam, że zachłystuję się dymem, że się duszę. Jakież to musiało być potworne dla nieszczęsnych ludzi, uwięzionych w takim miejscu!

Stosunek Colina do mnie również uległ pewnej zmianie. Zbliżyły nas sprawy kościelne. Zawsze omawiał je ze mną: które hymny należy wybrać na poszczególne nabożeństwa, komu przydzielić jakie

stoisko podczas dorocznego kiermaszu dobroczynnego, kiedy zapytać Framlingów o termin, w jakim moglibyśmy urządzić nasz festyn na terenie ich posiadłości.

Widziałam, jak w głowie Colina krystalizują się plany. Wydawało się to zupełnie naturalne, był młodym wikarym poszukującym parafii, a nasza sprawiała wrażenie wręcz wymarzonej dla niego. Duchowny potrzebował odpowiedniej żony; to ułatwiało otrzymanie probostwa. Córka pastora byłaby w pełni zadowalającą kandydatką i ożeniwszy się ze mną, najprawdopodobniej uzyskałby beneficjum.

Rozważałam, jak większość młodych panien, zamążpójście; usłyszałam jednak w ogrodzie Framlingów, że jestem nieładna, a nieładne dziewczęta nie przyciągają tylu kandydatów na mężów, co te piękne. Powiedziałam sobie, że nie dbam o to, czy ktoś zechce mnie poślubić. Zostanę panią własnego losu i nie będę musiała godzić się z męskimi kaprysami!

Nie mogłam liczyć na zbyt wiele propozycji, których - jak powiedziałyby Polly -

żadna rozsądna dziewczyna nie powinna odrzucać bez zastanowienia. Zdecydowałam jednak, że wolę w ogóle nie wychodzić za mąż, niż zrobić to dla wygody Colina Brady'ego.

Muszę zarazem przyznać, że moje myśli o Dougalu Carruthersie nabrały nieco romantycznego zabarwienia. Był dość przystojny, łagodny i uprzejmy dla każdego. Pani Janson zawsze czuła się uszczęśliwiona, gdy zostawał na obiedzie. Bardzo lubiła również Colina Brady'ego, lecz tego pierwszego darzyła szczególną estymą.

Historia interesowała mnie coraz bardziej i Dougal przynosił mi książki, o których później dyskutowaliśmy. Pewnego dnia zaproponował przejażdżkę do zamku Grosham, odległego o jakieś osiem mil. Ponieważ oznaczało to całodzienną wycieczkę, poprosiłam panią Janson o przygotowanie nam koszyka z prowiantem. Zgodziła się z radością i powiedziała, żeby w tej sprawie zdać się na nią. Już ona dobrze wie, czego nam potrzeba.

A zatem wczesnym rankiem wyruszyliśmy spod stajni Framlingów. Był piękny letni dzień, nie za gorący; wiał lekki wietrzyk. Skierowaliśmy się wolno w stronę zamku.

Dougal nie zamierzał się śpieszyć. Lubił podziwiać krajobraz, interesowała go przyroda. Jechaliśmy stępa obok siebie, by łatwiej nam było rozmawiać. Wyznał, że wcale go nie cieszy wyjazd do Indii. Wolałby zostać w domu, związać się z jakimś uniwersytetem i kontynuować studia.

Dotarliśmy na miejsce około południa. Słońce przygrzewało, a ponieważ wyjechaliśmy wcześniej, postanowiliśmy tylko rzucić okiem na ruiny, następnie zaś pokrząć się tym, co przygotowała pani Janson. Dokładniejsze zwiedzanie mogliśmy odłożyć na później.

Za nietkniętymi murami obronnymi krył się szkielet dawnego zamku; podjeżdżając, nikt by się nie domyślił, że w środku wszystko zostało zniszczone.

Wyminęliśmy ostrożnie sterczące kamienie - resztki wewnętrznego muru - i zwalone kolumny. Tam, gdzie niegdyś znajdowała się posadzka wielkiej sali, rosła trawa.

Dougal nie posiadał się z oburzenia, ponieważ Grosham nie uległo niszczącemu wpływowi czasu i pogody, lecz wojskom Cromwella.

W cieniu zamku otworzyliśmy koszyk i znaleźliśmy w nim pieczone udka kurcząt, sałatkę, chrupiący chleb i garnuszek masła. Były także owoce na deser oraz butelka domowego wina z dzikiego bzu. Głód sprawił, że posiłek ów wydał nam się królewską ucztą.

Lubiłam rozmawiać z Dougalem, a ponieważ, odkąd go poznałam, czytałam znacznie więcej niż przedtem, przybyło mi pewności siebie.

Rzadko widywałam go równie oburzonego.

- I pomyśleć, że zamek mógłby przetrwać do dzisiaj w doskonałym stanie, gdyby nie ten... wandal.

- Mówi pan, oczywiście, o zadufanym w sobie Oliverze.

- Nie znoszę, gdy niszczy się piękne rzeczy.

- Ale on uważał, że są grzeszne.

- Zatem musiał być głupcem.

- Nie wydaje mi się, aby go za takiego uważano...

- W ludzkim umyśle mądrość i głupota mogą istnieć obok siebie.

- To prawda. Cromwell zgromadził armię i nauczył wieśniaków walczyć. Wygrał

wojnę i przez pewien czas rządził krajem.

- Unicestwił piękno, a to jest niewybaczalne.

- Prowadząc wojnę, unicestwiał ludzi, co było jeszcze gorsze. Wierzył jednak, że ma słusność, a Bóg stoi po jego stronie. Czy można winić ludzi za czynienie tego, co uważają za słusne?

- Tylko pyszałek jest przekonany o swojej słusności, gdy tak wielu innych ma odmienne zdanie.

- Trudno powiedzieć, czy miał słusność czy nie, zdania historyków są podzielone.

Niełatwo jednoznacznie ocenić takiego człowieka. W wypadku Nerona i Kaliguli nie ma wątpliwości, ale z pańską opinią o Cromwellu nie każdy się zgodzi.

- Niszczył wszystko, co piękne - upierał się Dougal - i tego mu nie mogę wybaczyć.

Do ludzi, którzy zabijają w imię Boga, czuję większą odrazę niż do tych, którzy robią to z okrucieństwa. Ten zamek jest tylko jednym z wielu przykładów. Gdy się pomyśli, co wyprawiał w całym kraju...

- Wiem. Rzecz jednak w tym, że on wierzył, iż postępuje słusznie i robi to dla dobra ludzi.

- W tym skłonny jestem przyznać pani rację. Tak bardzo jednak kocham piękno, że nie mogę znieść, gdy sieje niszczy.

- Przypuszczam, że piękno znaczy dla pana więcej niż dla innych. Cromwell widział w nim źródło grzechu, ponieważ ludzie wielbili je goręcej niż Boga.

Nasza dysputa ożywiła Dougala. Jego bladą, nieco ascetyczną twarz zabarwił lekki rumieniec. Pomyślałam, że mogłabym go bardzo polubić. Należał do mężczyzn, którzy zyskują przy bliższym poznaniu. Potrafiłam wyobrazić sobie, że dzielę jego zainteresowania.

Wiodłabym życie pełne i bogate. Dougal już otworzył mój umysł na nowe idee. Był

intelektualistą i kochał ludzkość, z wyjątkiem tych, którzy barbarzyńsko obchodzili się z pięknymi rzeczami. Nikt z żyjących nie wzbudził w nim takiego oburzenia, jak dawno zmarły Oliver Cromwell.

Wydawało się, że śledzi bieg moich myśli.

- To dla mnie wielka przyjemność, że mogłem poznać panią i pani ojca - powiedział.

- Nam również jest ogromnie miło, że poznaliśmy pana.

- Panno Delany... to trochę niedorzeczne zwracać się do pani tak oficjalnie, kiedy łączy nas prawdziwa przyjaźń. Czy mogę panią nazywać Druzyllą?

- Nie mam nic przeciw temu - odrzekłam z uśmiechem.

- Jedzenie jest wyśmienite.

- Przekażę to pani Janson. Będzie uszczęśliwiona.

- Druzylllo...

Nie dowiedziałam się, co chciał dodać, gdyż w tej samej chwili dobiegł nas stukot końskich kopyt. Dougal umilkł, zaskoczony, i zobaczyliśmy Fabiana.

- Witam! - zawołał. - Wiedziałem, że tu się wybieracie i pomyślałem, że się do was przyłączę. Posiłek! Cóż za wyborny pomysł! - Zsiadł z konia i uwiązał go obok naszych. -

Czy mogę liczyć na zaproszenie?

Poczułam lekką irytację. Słuchałam Dougala, czując wewnętrzny spokój i zadowolenie, aż tu nagle zjawił się ten człowiek, burząc ów stan i każąc mi znowu mieć się na baczności. Nie mogłam się powstrzymać i odparłam:

- Przecież pan sam się już zaprosił, sir Fabianie.

- Sądziłem, że moje towarzystwo nie będzie wam przeszkadzać. Czy to kurczę? -

Wyciągnął rękę po udko. - Ten chleb wygląda smakowicie.

- Upiekła go pani Janson.

- Doskonała z niej kucharka, jak się przekonałem, gdy miałem przyjemność być u państwa na kolacji. Smakuje wybornie. Bardzo się cieszę, że tu przyjechałem.

- Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać? - zapytał Dougal.

- Ha! Mam swoje przebiegłe sposoby. Ale ci ich nie zdradzę, bo mogą mi się jeszcze przydać. Wspaniała stara ruina, nieprawdaż? Nie dziwię się, że wzbudza zainteresowanie. Z

zewnątrz nieskazitelna, a wewnątrz... niezupełnie taka, jak można by się spodziewać.

Przypomina niektóre osoby, ukazujące światu nie winne oblicze, a skrywające sekrety. -

Patrzył prosto na mnie.

- Rozmawialiśmy o Oliverze Cromwellu - powiedziałam.

- Niemiły jegomość, tak zawsze uważałem.

- Jest jednak ktoś, kto podziela twoją opinię, Dougalu - zauważyłam.

- Druzyllą wystąpiła w jego obronie.

Odczytałam jego myśli. Druzyllą? Dougal? Usłyszał, że zwracamy się do siebie po imieniu, i zastanowiło go, co to oznacza. Przez jego twarz przemknął cień niezadowolenia.

- A zatem... Druzyllą go ceni?

- Wierzył, że postępuje słusznie - wyjaśniłam. - Należy brać to pod uwagę, oceniając ludzi.

- Jest pani osobą bezstronną. Ja zaś, rzecz jasna, muszę być mu wdzięczny za pozostawienie w spokoju siedziby Framlingów.

- Był nieugiętym człowiekiem o stanowczych poglądach.

- Te cechy są niezbędne do sprawowania rządów. Czy to wino? Gdybym mógł się poczęstować...

Nalałam trochę do jednej ze szklaneczek, w które troskliwie zaopatrzyła nas pani Janson.

- Obawiam się, że to ta, z której piłam - powiedziałam. - Pani Janson sądziła, naturalnie, że będzie nas tylko dwoje.

- Z przyjemnością skorzystam z pani szklanki - odrzekł, uśmiechając się do mnie.

Pociągnął łyk wina. - Boski nektar - pochwalił je. - Pani Janson jest niezrównana.

- Przekażę jej pańskie komplementy. Z pewnością ją ucieszą.

- To doprawdy rozkoszne, taki piknik pod gołym niebem! Powinniśmy je częściej urządzać. Cóż za doskonały pomysł. A właściwie czyj? Twój, Dougalu, czy... Druzylli?

- Pani Janson przygotowała nam prowiant, wiedząc, że nie wrócimy przed kolacją.

- Wielce zapobiegliwa z niej niewiasta! Tak, niewątpliwie powinniśmy to robić częściej. Ty i Druzylla opowiedcie mi o zabytkach, które powinniśmy zwiedzić. Przyznaję, że w tej materii jestem cokolwiek niedouczony i chętnie posłucham wykładów.

Od chwili swego przybycia zdominował rozmowę. Miła, przyjazna atmosfera ulotniła się bezpowrotnie. Gdy zapakowaliśmy resztki posiłku i wyruszyliśmy zwiedzać ruiny zamku, wydały nam się inne niż przedtem. Fabian sprawił, że czułam się nieswojo; od czasu do czasu rzucał mi rozbawione, a zarazem taksujące spojrzenia, które mnie drażniły i niepokoiły.

Popołudnie utraciło swój czar, a przy Fabianie nasze uwagi na temat zamku wydawały się pretensjonalne.

Skróciliśmy znacznie zaplanowane zwiedzanie i powróciliśmy pod stajnie Framlingów godzinę wcześniej, niż zamierzaliśmy.

Dwa dni później Dougal przyszedł na plebanię. Ojciec powitał go z radością, a pani Janson przyniosła nam do jadalni wino i specjalne kruche ciasteczka. Z zadowolenia niemal mruczała jak kot. Lubiła wytwornych gości, a pan Carruthers niewątpliwie do nich się zaliczał. Gdy tylko wyszła, nalałam wina.

- Przeszedłem państwu powiedzieć, że jutro wyjeżdżam - odezwał się Dougal.

- Mam nadzieję, że wróci pan do nas niebawem - odrzekł mój ojciec.

- Tak przypuszczam. Chodzi o sprawy rodzinne. Mój kuzyn spadł z konia i poważnie się zranił. Muszę do niego pojechać.

- Czy to daleko stąd? - zapytałam.

- Około siedemdziesięciu mil. Miejscowość nazywa się Tenleigh.

- Słyszałem o niej - powiedział ojciec. - W pobliżu odkryto ślady bytności Rzymian, na ziemiach hrabiego Tenleigh, jeśli dobrze pamiętam.

- W istocie.

- Bardzo interesujące. Piękne mozaiki i fragmenty łaźni. Jakąż wspaniałą rasą byli Rzymianie! Przynosili korzyści podbijanym krainom, co, naturalnie, powinien czynić każdy zdobywca. To wielka

tragedia, że popadli w dekadencję i w końcu cesarstwo upadło.

- Taki jest los wielu cywilizacji - zauważył Dougal. - Ich historia niemal tworzy schemat.

- Może w przyszłości jakaś cywilizacja wyłamie się z niego - wtrąciłam.

- To możliwe - przyznał.

- Będzie nam brakowało pańskich wizyt - oświadczył mój ojciec.

Dougal uśmiechnął się do niego, a potem do mnie.

- Mnie również będzie ich brakowało.

Jego wyjazd nieco mnie zasmucił. Odprowadziłam go do drzwi, by się z nim pożegnać. Ujął moje dłonie i lekko je uścisnął.

- Przykro mi, że muszę wyjechać właśnie teraz - wyznał. - Nasze spotkania sprawiały mi ogromną przyjemność. Planowałem następne wycieczki, takie jak ta do ruin zamku. W

całej Anglii jest mnóstwo ciekawych miejsc. Było po prostu cudownie.

- Cóż, może gdy zobaczysz się z kuzynem...

- Wrócę, bądź tego pewna. I zamierzam ubiegać się o zaproszenie.

- Sądzę, że ojcu byłoby bardzo miło, gdybyś się u nas zatrzymał. Nie możemy ci, niestety, zaofiarować przepychu Framlingów.

- Uczyniłbym to z największą radością, ale czy nie sprawię kłopotu?

- Skądże znowu. Na plebanii jest dużo miejsca, a pani Janson z ochotą będzie ci przyrządzała najlepsze dania.

- To nie jedzenie mnie tutaj przyciąga. Łaknę raczej strawy duchowej.

- Więc zastanów się nad tym.

Spojrzał na mnie z przejęciem.

- Druzyłło... - umilkł, a ja popatrzyłam pytająco. - Tak bardzo bym chciał zatrzymać się u was. Gdy tylko załatwię tę sprawę, wrócę... i porozmawiamy.

- Bardzo się cieszę - odparłam.

Pochylił się i pocałował mnie lekko w policzek. Potem wyszedł.

Ogarnęło mnie zadowolenie. Wiąż między nami stała się głębsza i doznawałam uczucia błogiego

spokoju.

Przyszłość wydała mi się nagle obiecująca.

Przez następne dni wiele o nim myślałam. Przypuszczałam, że za jakiś czas Dougal poprosi mnie o rękę. Był człowiekiem rozważnym i odpowiedzialnym; nie podejmował

pochopnych decyzji. Wiedziałam, że Ignie do mnie, lecz nasza przyjaźń rozwijała się krok po kroku i czułam, że tak jest najlepiej. Odkąd usłyszałam w ogrodzie Framlingów ową uwagę na mój temat, zdawałam sobie sprawę, że nie jestem ładna i żaden mężczyzna nie zakocha się we mnie na zabój, gdyż przeszkadza temu brak urody. Więzi mogły się jednak zadzierzgnąć w inny sposób i wierzyłam, że wzajemne zrozumienie stanowi trwalszą podstawę związku niż zaślepiająca namiętność.

Po tygodniu Dougal jeszcze nie wrócił. Fabian bawił w Londynie, z czego byłam zadowolona. Mogłam się doskonale obejść bez jego niepokojącej obecności. Prześladowała mnie myśl o Janinie i powracające sny o domu Pod Jodłami. Przyszło mi do głowy, że gdybym pojechała do New Forest i sama obejrzała to miejsce, mogłabym dowiedzieć się czegoś od okolicznych mieszkańców. Nie potrafiłam zapomnieć Janiny, która podczas tamtych niespokojnych miesięcy stała się nam tak bliska i tak bardzo pomogła Lawinii.

Byłam w stałym kontakcie z Polly, która informowała mnie na bieżąco o postępach Fleur. Napisałam do niej, że dręczą mnie myśli o Janinie, a także nie mogę zapomnieć o pożarze i o strasznej tragedii, jaka spotkała ludzi, wśród których przez pewien czas przebywałam.

Polly wpadła na pomysł, żebym przyjechała do Londynu. Mogłybyśmy wybrać się wówczas we dwie do New Forest, a Eff z największą chęcią sama zajęłaby się Fleur.

Przyjęłam propozycję.

Opuściłam plebanię i tym razem sama udałam się do Londynu. Polly czekała na stacji i nastąpiło - jak zawsze - czułe powitanie. Z radością zobaczyłam ponownie Fleur i Eff. Fleur zadziwiająco urosła; zaczęła już stawiać pierwsze kroki i wymawiała coś w rodzaju słów, które brzmiały jak „Eff”, „Poll”, „tak” i „nie” - to ostatnie tonem dość stanowczym. Była urocza i wydawała się bardzo zadowolona z życia.

Eff i Polly rywalizowały o jej uczucia, ona zaś obdzielała nimi jedną i drugą z królewską bezstronnością. Utwierdziłam się w przekonaniu, że żadna matka nie mogłaby dać dziecku więcej miłości niż te dwie zacieśniły kobiety.

Polly zaplanowała już nasz wyjazd do New Forest. zaproponowała, abyśmy wyruszyły nazajutrz i przenocowały w którejś z miejscowych oberży. Od lokatora z trzeciego piętra, który szczęśliwym trafem znał te okolice, dowiedziała się, że najlepszy jest zajazd Pod Piórkiem, i przewidująco zamówiła dla nas dwa pokoje. Sprawy posuwały się zatem naprzód i w uzgodnionym czasie wyruszyliśmy na naszą wyprawę badawczą.

Dotarliśmy na miejsce późnym popołudniem i postanowiłyśmy rozpocząć poszukiwania następnego

ranka. Tymczasem rozejrzałyśmy się za kimś, z kim można by porozmawiać. Najpierw zagadnęłyśmy pokojówkę. Była to kobieta w średnim wieku, która za młodu pracowała Pod Piórkiem, a teraz, gdy odchowała dzieci, przychodziła tu pomagać popołudniami. Mieszkała bardzo blisko oberży.

- A zatem - zaczęłam - dobrze znasz okolicę.

- Jak własną kieszeń, proszę pani.

- Z pewnością pamiętasz pożar.

- W domu Pod Jodłami?

- Tak.

- Pewnie, to się zdarzyło niedawno temu. Wielkie nieba, ależ to był straszny pożar!

Wybuchł w nocy.

- Przeczytałyśmy o nim w gazecie - wyjaśniła Polly. - Okropna wiadomość.

- Dziwne to było miejsce. Ile razy je mijałam, ciarki mnie przechodziły.

- Dlaczego? - spytałam.

- A bo ja wiem. Ta pani Fletcher... Prawdę powiedziawszy, pracowałam tam jakiś czas, kiedy moja najmłodsza trochę podrosła i nie musiałam jej bez przerwy niańczyć.

Dopiero potem wróciłam tutaj.

- Aha - bąknęłam, zdjęta nagłym lękiem, że ta kobieta mogła widzieć Lawinię i mnie.

- To było z pięć lat temu.

Odetchnęłam z ulgą.

- Ale dlaczego dostawałaś gęsiej skórki? - dociekała Polly.

- Nie potrafię powiedzieć. To nie był zwyczajny dom. Ci wszyscy staruszkowie...

Człowiek miał wrażenie, że czekają tylko na śmierć. Od czegoś takiego aż dreszcz przechodzi. Ludzie mówili, że oddali ich tam krewni, którzy nie chcieli się nimi opiekować.

Same dziwolągi. No i jeszcze różne takie, co przyjeżdżały urodzić dziecko, bez rozgłosu, jeśli pani wie, co mam na myśli.

Bardzo dobrze wiedziałam, co ma na myśli.

- A pożar? - przypomniałam jej.

- Oświetlił całą okolicę. Leżałam wtedy w łóżku i mówię do mojego starego: „Jakubie, tam się coś dzieje”. „Śpij” - on mi na to, a potem poczuł dziwny zapach i zobaczył łunę za oknem. „Jasny gwint!” - wykrzyknął i w jednej chwili wyskoczył z łóżka. Pomagał przy gaszeniu. Cała wieś się zbiegła. Pamiętna noc, słowo daję.

- Było wiele ofiar, prawda? - spytałam.

- O, tak. Widzi panienka, jeden stary pomyleniec podłożył ogień w kredensie na dole i pożar strawił prawie cały parter zanim przeniósł się wyżej. Wszyscy spłonęli żywcem, łącznie z samą panią Fletcher.

- Wszyscy? - upewniłam się. - Nikt nie ocalał?

- Nikt z tych, co tam byli. Ratunek przyszedł za późno. Nie zauważyli, że dom się pali, i ogień zdążył się rozprzestrzenić.

- Co za straszna tragedia.

Nie spałam tamtej nocy. Bez przerwy myślałam o Janinie i o tym, jak łatwo mogliśmy zginąć wszystkie trzy - Fleur, Lawinia i ja.

Nazajutrz udałyśmy się z Polly do domu Pod Jodłami. Brama, na której mosiężne litery układały się w nazwę, była otwarta. Gdy szłam podjazdem, zalała mnie fala wspomnień.

O dziwo, gdzieniegdzie stały jeszcze ściany. Spojrzałam przez okno na pogorzelnisko.

- Coś takiego daje do myślenia - odezwała się Polly. - Powiem Eff, że musimy być bardzo ostrożne. Trzeba sprawdzać, czy ogień został wygaszony, zanim pójdziemy spać. I uważać na świece. Te lampy naftowe mogą się przewrócić w okamgnieniu, a wtedy święty Boże nie pomoże.

Miejsce było nie do rozpoznania. Próbowałam ustalić, gdzie znajdował się nasz pokój, Lawinii i mój; gdzie rezydowała pani Fletcher i gdzie mieszkała Janina... a także Emmelina i inne. Nie potrafiłam, Polly zaś uznała, że nie powinnyśmy wspinać się na ocalałe fragmenty schodów.

- Wystarczy na nie popatrzeć, żeby się zapadły.

Wspomnienia napelniły mnie zadumą i smutkiem. Polly zakomenderowała:

- No już, chodźmy stąd. Zobaczyłyśmy, co trzeba.

Stojąc wśród ruin obok niej, usłyszałam nagle szybkie kroki na podjeździe. Zaraz potem pojawiła się jakaś kobieta w średnim wieku. Zauważyłam ją pierwsza. Miała pobladłą twarz i bolesny wyraz oczu. Przystanęła i przez chwilę spoglądała na ponure zgliszczka, zanim nas dostrzegła.

- Dzień dobry - odezwałam się uprzejmie.

- Och... hm, dzień dobry.

- Podobnie jak my, ogląda pani spalony dom.

Skinęła głową. Sprawiała wrażenie, jakby starała się ukryć swoje uczucia. Wreszcie zapytała:

- Czy... czy panie straciły tu kogoś?

- Nie jestem pewna - odrzekłam. - Mieszkała tu dziewczyna, którą poznałam w szkole.

Pani Fletcher była jej ciotką.

Ponownie skinęła głową.

- Moja córka przebywała w tym domu. Nie wiedzieliśmy o tym. Mogła mi powiedzieć, nic by się nie stało. Była taka promienna, taka śliczna... i tak skończyła.

Domyśliłam się wszystkiego. Znałam już podobne historie. Córka spodziewała się dziecka, przyjechała tu w tajemnicy i straciła życie.

- Ta tragedia nigdy nie powinna się wydarzyć – powiedziała kobieta.

- rzychodzenie tutaj w niczym nie pomoże - zauważyłam.

Pokręciła głową.

- Muszę. Kiedy się dowiedziałam, że ona tu była i zginęła w pożarze... Zrobiłabym wszystko...

- Takie rzeczy się zdarzają - odezwała się Polly. – Ciężko nam zrozumieć dlaczego.

Napełniają człowieka goryczą, wiem coś o tym.

Kobieta spojrzała na nią pytająco.

- ój mąż zginął na morzu.

Zdumiewające, jak cudza tragedia potrafi sprawić, że nasza własna wydaje się lżejsza do zniesienia. Słowa Polly jak gdyby przyniosły nieznamomej pewną pociechę.

- Była tu pani wcześniej? - zagadnęłam.

Przytaknęła.

- Nie mogę się powstrzymać. Po prostu musiałam przyjść.

- Czy wie pani coś o tych, którzy zginęli?

- Tylko to, co usłyszałam od innych.

- Mieszkała tu pewna dziewczyna, z którą chodziłam do szkoły. Nie wie pani przypadkiem, czy

ocalała?

- Skąd miałabym wiedzieć? Wiem tylko, co spotkało moją córkę... moją dziewczynkę.

Zostawiłyśmy ją wpatrzoną w ruiny, jak gdyby miała nadzieję, że przywróci zmarłą do życia.

Ruszyliśmy powoli w stronę oberży Pod Piórkiem. Na spła-chetku trawy nad stawem siedziało dwóch starszków. Nie rozmawiali; po prostu patrzyli w przestrzeń. Gdy usiadłyśmy z Polly na ławce, przyjrzeni nam się z zaciekawieniem.

- Panie stamtąd? - zapytał jeden, wyjąwszy fajkę z ust i wskazawszy nią oberżę.

- Tak - odrzekłam.

- Przyjemne miejsce, co?

- Bardzo.

- Przed pożarem nieźle im się powodziło.

- Z pewnością ogień był przerażający.

Starzec kiwnął głową.

- To kara boska, tak sobie myślę - oznajmił. - Całe to towarzystwo... sodoma i gomora, ot co. Dostali, na co zasłużyli.

- Słyszałam, że mieszkali tam ludzie w podeszłym wieku.

Starzec energicznie popukał się w głowę.

- Niespełna rozumu. Musieli czymś obrazić Pana, a On ich pokarał. Ta kobieta była dziwna, no a wszystkie inne... nic dobrego.

Nie miałam najmniejszej ochoty wdawać się w dysputy o moralności. Zapytałam:

- Nie wiadomo, czy ktoś ocalał?

Popatrzyli po sobie, a potem fanatyk religijny oświadczył z satysfakcją:

- Spalili się na popiół. Poznali przedsmak piekła, które ich czeka.

- A wam pewnie jest pisany niebiański chór - zauważyła Polly z ironią.

- Tak jest, szanowna pani. Całe życie chodzę do kościoła. W każdą niedzielę, rano i wieczorem.

- Mój ty świecie - mruknęła Polly. - Musicie mieć czystą kartotekę. Nigdyście nie zgrzeszyli ani ociupinę?

- Wyrośłem w cieniu naszego Pana.

- Och, przypuszczam, że anioł zapisujący wasze uczynki patrzył w inną stronę, kiedy się wam zdarzyło coś zbroić.

Wyczuwałam narastającą między nimi wrogość, a nie był to najlepszy wstęp, jeśli chciałam uzyskać jakieś informacje.

- A więc wszyscy zginęli - powiedziałam.

- Zaraz - wtrącił ten drugi. - Była tam chyba jakaś krewna czy ktoś taki, pamiętasz, Ablu?

- Nazywała się Janina Fletcher - podsunęłam gorliwie. - Wiecie może, co się z nią stało?

- Teraz sobie przypominam - zwrócił się drugi starzec do Ablu. - Wiesz, ta młoda panna... czy nie wyjechała wtedy z wizytą albo coś? Tak, tak było. Ona jedna się uratowała.

- Bóg tak chciał - odrzekł Abel.

Poruszona, zwróciłam się do jego towarzysza:

- Więc ona nie spłonęła?

- Nie, przecież mówię. Potem wróciła. Zrobiło się jakieś zamieszanie z ubezpieczeniem czy czymś podobnym.

- Dom nie był ubezpieczony - uzupełnił Abel. - Były jak owe głupie panny, nieprzygotowane na przybycie oblubieńca.

- Raczej nie przypomina mi to wesela - zauważyła Polly.

- Wiecie, dokąd pojechała ta dziewczyna? - spytałam.

- Nie mam pojęcia, proszę panienki.

Czułam, że to wszystko, czego możemy się dowiedzieć. Gdy Abel zaczął rozwodzić się nad nieuchronnością kary za złe uczynki, wstałam i oznajmiłam:

- Musimy już wracać.

Polly zgodziła się ze mną.

- Tak sobie myślę - zaczęła mówić, gdy odchodziłyśmy – że tego Ablu czeka przykra niespodzianka, gdy zastuka do niebieskich bram.

A zatem nasza podróż nie była daremna. Nie odkryłyśmy wprawdzie miejsca pobytu Janiny, ale wiedziałyśmy, że żyje.

Zaledwie dwa dni po moim powrocie na plebani - ku memu zaskoczeniu - zjawił się Fabian. Nigdy przedtem nas nie odwiedzał, jeśli nie liczyć wizyty w towarzystwie Dougala.

Musiał dostrzec wyraz zdziwienia na mojej twarzy.

- Słyszałem, że jeździła pani do Londynu - powiedział. - Przyszedłem się upewnić, że wróciła pani bezpiecznie.

Uniosłam brwi.

- To niezmiernie uprzejme z pana strony.

- Byłem zaniepokojony. Gdyby mnie pani uprzedziła, dostosowałbym termin swego wyjazdu do pani.

- Podróż nie trwała długo i ktoś czekał na mnie na stacji.

- Zapewne nieoceniona Polly. Jakże się miewa jej siostra i ich urocza mała podopieczna?

- Bardzo dobrze.

- Cieszę się. Mam wiadomości o pani przyjacielu.

- Doprawdy?

- O Dougalu Carruthersie.

- Jakie wiadomości?

- W jedną noc został wyniesiony do godności szlacheckiej.

- Co pan ma na myśli?

- Wiadomo pani, że jego kuzyn spadł z konia. Niestety, zmarł wskutek odniesionych obrażeń.

- Czy byli bliskimi przyjaciółmi?

- Byli krewnymi. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - To zupełnie co innego. Powiadają, że przyjaciół można wybrać, lecz na krewnych jest się skazanym.

- Między krewnymi istnieje często silniejsza więź niż między przyjaciółmi.

- Przysłowiowa krew gęściejsza niż woda.

- Właśnie.

- No cóż, nie sądzę, aby ów kuzyn... mówiąc ściśle, hrabia Tenleigh... miał wiele wspólnego z naszym przyjacielem Dougalem. Był zapalonym myśliwym; lepiej czuł się w siodle niż na własnych nogach. Atletyczna budowa, wzmożona aktywność fizyczna i umysł

tak rzadko używany, że zaczął więdnąć z powodu zaniedbania. Ach, źle się wyrażam o zmarłym i zapewne wywołuję lekkie zgorzzenie w pani konwencjonalnym sercu.

- Bynajmniej - odrzekłam z uśmiechem. - Ale jakim sposobem pan Carruthers został wyniesiony do godności szlacheckiej?

- Przez śmierć kuzyna. Bo widzi pani, ojciec hrabiego, starszy brat ojca Dougala, odziedziczył tytuł i rodzinne włości. Ojciec

Dougala był tylko młodszym synem. I jak mi wiadomo, wcale go to nie martwiło.

Podobnie jak Dougal, zdradzał upodobania naukowe. Nie jestem pewien, co było jego namiętnością. Wydaje mi się, że Bizancjum. Dougal wdał się w niego ze swoimi Anglosasami i Normanami. Niestety, teraźniejszość wzięła górę nad przeszłością. Będzie musiał oderwać się od Hengista, Horsy i Boadicei i pomyśleć trochę o nowych obowiązkach.

- Przypuszczam, że go to ucieszy. Będzie miał środki na prowadzenie badań naukowych.

- Wielkie posiadłości pochłaniają dużo czasu i może się okazać, że to nie takie łatwe.

W każdym razie pragnąłem panią uprzedzić, że odtąd będziemy go z pewnością rzadziej widywali. Takie wydarzenia zmieniają ludzi.

- Nie wierzę, aby się zmienił.

- Uważa pani, że jest zbyt mądry?

- Owszem. W żadnym wypadku nie mógłby stać się dumny i arogancki.

Uśmiechnął się, gdy na niego spojrzałam.

- Jak niektóre osoby - mruknął.

- Tak, jak niektóre osoby.

- No cóż, zobaczymy. Oznacza to jednak, że będzie musiał zrezygnować z uroczych pikników wśród ruin. Uznałem, że powinienem panią o tym uprzedzić.

- Dziękuję.

- Szkoda, że te pikniki nie mogą dalej się odbywać.

- Odbył się tylko jeden... w którym pan uczestniczył.

- Na który się wprosiłem. Byłoby milej, gdybym nie musiał tego robić. Może urządzilibyśmy nasz własny piknik... we dwoje?

- To absolutnie niemożliwe.
- Ilekcio słyszę to słowo, mam chęć je zakwestionować.
- Przecież nie interesują pana ruiny.
- Mogłaby mnie pani czegoś nauczyć.

Parsknęłam śmiechem.

- Nie sędzę, by przyjmował pan z entuzjazmem czyjekolwiek nauki.
- Myli się pani. Jestem żądny wiedzy... zwłaszcza tej, którą pani może mi przekazać.
- Niezupełnie rozumiem, co pan ma na myśli.
- Teraz wygląda pani jak nauczycielka... nieco surowa i niezadowolona z krnąbrnego ucznia. Jak gdyby zastanawiała się pani, czy zadać mu sto linijek do przepisania, czy kazać stać w kącie w czapce z oślimi uszami.
- Z pewnością nic podobnego nie powstało mi w głowie.
- Zobaczę, czy uda mi się odkryć jakieś ruiny, których pani nie oglądała... i skusić panią.
- Proszę się nie fatygować. Jestem pewna, że nie będę mogła panu towarzyszyć.
- Mimo wszystko nie tracę nadziei - zapewnił i dodał: - nauczycielko.
- A teraz zechce mi pan wybaczyć, ale mam dużo pracy.
- Pozwoli pani sobie pomóc?
- Nie, dziękuję. Chodzi o sprawy parafii.
- Którymi zajmuje się pani razem z panem Bradym?
- Ach nie, on ma swoje obowiązki. Pan nie wie, jak wiele mamy zajęć na plebanii... a ponieważ ojciec nie czuje się najlepiej, jesteśmy bardzo zapracowani.
- A zatem nie będę pani dłużej zatrzymywał. Au revoir.

Gdy odjechał, nie potrafiłam przestać o nim myśleć. Zapomniałam na chwilę o Dougalu, jego nowej godności i majątku. Później zaczęłam się nad tym zastanawiać i zadawałam sobie pytanie, jaki to będzie miało wpływ na samego Dougala i naszą znajomość, która zaczęła się właśnie przeradzać w coś głębszego.

- Powinniśmy pomyśleć o letnim kiermaszu - powiedział Colin Brady.

- Wszyscy wiedzą, że odbędzie się w pierwszą niedzielę sierpnia. To stała data.

Ludzie już od miesiący gromadzą rzeczy na stoiska.

- Pastor mówił, że zwyczaj nakazuje poprosić Framlingów o pozwolenie na wykorzystanie ich terenu, a jeśli będzie padać, wielkiej sali. Mam nadzieję, że jest tam dość miejsca?

- O tak, sala jest ogromna. Ale za mojej pamięci zaledwie parę razy musieliśmy przenosić się do środka. Framlingowie wiedzą o wszystkim. Taka jest tradycja i lady Harriet zawsze najuprzejmiej udziela pozwolenia.

- Tak, lecz ojciec pani mówi, że należy o nie poprosić. To również należy do tradycji.

- Zapewne.

- No cóż, lady Harriet bawi z córką w Londynie. Musimy zwrócić się z prośbą do sir Fabiana.

- Nie uważam, aby to było konieczne.

- Należy go jednak zapytać.

- Gdyby lady Harriet była obecna, sprawy miałyby się inaczej. Ona skrupulatnie przestrzega konwenansów.

- Sądzę, że roztropniej będzie zapytać sir Fabiana, tak dla porządku. Może pani zechce do niego pójść i uzyskać oficjalną zgodę.

- Jeśli pan będzie w okolicy, wystarczy wstąpić po drodze...

- Niestety, muszę dzisiaj złożyć wizytę pani Brines. Od kilku tygodni jest przykuta do łóżka i prosiła, abym przyszedł. Ponadto mam wiele spraw do załatwienia, więc gdyby pani mogła...

Nie było powodu, abym odmówiła - wyjąwszy fakt, że czułam się nieswojo na myśl o spotkaniu z Fabianem. Musiałabym jednak jakoś to wytłumaczyć, dlatego doszłam do wniosku, że pójdę, szybko przedstawię naszą prośbę i będę miała spokój.

Dowiedziałam się, że sir Fabian jest w domu. Poleciałam go zawiadomić, że chcę tylko uzyskać zgodę na urządzenie kiermaszu dobroczynnego w posiadłości Framlingów i nie zajmę mu wiele czasu.

Miałam nadzieję, że pokojówka wróci z informacją, iż zgoda została wyrażona, i będę mogła wyjść stąd. Tymczasem powiedziała, że sir Fabian oczekuje mnie w gabinecie.

Poprowadziła mnie przez wielką salę w stronę schodów.

Gdy weszłam, Fabian wstał, zbliżył się do mnie z uśmiechem i ujął moje dłonie.

- Panna Delany! Jak miło panią widzieć. Podobno przybywa pani w sprawie kiermaszu.

Pokojówka wyszła, zamykając drzwi, i znowu poczułam podniecenie zmieszane z lękiem.

- Bardzo proszę, niech pani spocznie.

- Nie zabawię długo - odrzekłam. - To w istocie formalność. Lady Harriet zazwyczaj wyraża zgodę na skorzystanie z terenu posiadłości lub z wielkiej sali, jeśli pada deszcz.

- Moja matka zawsze zajmuje się tymi sprawami, nieprawdaż?

- Tu właściwie nie ma się czym zajmować. Kiermasz odbywa się w posiadłości Framlingów co roku. Chciałabym tylko uzyskać oficjalną zgodę, podziękować i pożegnać pana.

- Lecz nie uzyskała pani jeszcze mojej zgody.

- Przyjmuję ją za rzecz oczywistą.

- O niczym nie należy przesądzać z góry. Pragnąłbym omówić z panią tę sprawę.

- Doprawdy nie wiem, co mielibyśmy omawiać. Kiermasz każdego roku przebiega podobnie. A zatem zgadza się pan...?

Wstał, a ja natychmiast uczyniłam to samo. Podszedł bliżej.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani się mnie boi?

- Boję się? Pana?

Skinął głową.

- Przypomina pani przerażoną sarenkę, która słyszy skradającego się tygrysa.

- Nie czuję się w najmniejszym stopniu przerażoną sarenką. Pan również nie budzi we mnie skojarzeń z tygrysem.

- Więc może z drapieżnym ptakiem... bezlitosnym orłem, gotowym runąć z góry na bezbronne stworzenie. Nie powinna pani mnie obawiać, gdyż darzę panią wielką sympatią, tym większą, im częściej się widzimy.

- To bardzo ładnie z pana strony - odparłam chłodno. - A teraz muszę już iść.

- Nie powiedziałbym, że to ładnie z mojej strony. Nie poczytuję sobie za zasługę uczuć niezależnych od woli.

Roześmiałam się z udaną beztróską.

- Jak rozumiem - oświadczyłam - możemy zająć się przygotowaniem kiermaszu.

Położył dłonie na moich ramionach i przyciągnął mnie bliżej.

- Sir Fabianie? - bąknęłam zaskoczona, odsuwając się od niego.

- Wie pani przecież, co czuję - powiedział. - Czyż nie jest to widoczne?

- Nie mam pojęcia.

- A nie jest pani ciekawa?

- Nie bardzo mnie to interesuje.

- Odniosłem inne wrażenie.

- W takim razie przykro mi, jeśli wprowadziłam pana w błąd.

- Nie wprowadziła mnie pani w błąd, ponieważ dużo o pani wiem, moja droga Druzyлло. Znamy się, bądź co bądź, całe życie.

- Mimo to uważam, że jesteśmy sobie niemal obcy.

- A zatem należy to naprawić.

Ponownie przyciągnął mnie do siebie z siłą, której nie potrafiłam się oprzeć... i pocałował w usta.

Oblałam się rumieńcem i nie próbowałam tłumić narastającego gniewu.

- Jak pan śmie!

Uśmiechnął się kpiąco.

- Jestem bardzo odważnym człowiekiem.

- Zatem proszę zachować te popisy śmiałości dla kogo innego!

- Lecz ja pragnę popisać się przed panią. Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Jestem przekonany, że okazałoby się to bardzo przyjemne dla nas obojga.

- Dla mnie z pewnością nie.

- Daję słowo, że tak.

- Nie wierzę w pańskie słowo. Żegnam.

- Za chwilę. - Ujął moje ramię i przytrzymał mocno. - Wydaje mi się, że pani mnie trochę lubi.

- Przepuszczenie to opiera się zapewne na pańskim wysokim mniemaniu o sobie.

- Być może - zgodził się. - Nie jest pani jednak obojętna wobec mego niezaprzecznego uroku.

- Nie życzę sobie, by mnie traktowano w tak lekceważący sposób.

- Daleko mi do lekceważenia. Jestem śmiertelnie poważny. Darzę panią wielką sympatią, Druzyłło. Zawsze mnie pani interesowała. Jest pani inna... tak pełna powagi, gorliwa w zdobywaniu wiedzy. Myślę o pani z pokorą i jest to dla mnie tak nowe doznanie, że aż ekscytujące. Chyba nie zdołam już dłużej ukrywać swoich uczuć.

- Do widzenia - uciełam. - Przekażę radzie parafialnej, że pozwolenie zostało udzielone zgodnie ze zwyczajem.

- Niech pani jeszcze nie odchodzi - poprosił.

- Nie zostanę tu ani chwili. Nie pozwolę się tak traktować.

- Pani dziewicza skromność wzbudza podziw. – Podniósł brwi. - Ale...

Poczułam, że się rumienię. Zauważyłam znaczący wyraz jego oczu.

Wyrwałam się i ruszyłam ku drzwiom, lecz mnie wyprzedził i oparł się o nie plecami, spoglądając z drwiną.

- Mógłbym panią uwięzić.

- O niczym podobnym nie ma mowy.

- A to dlaczego? Ten dom należy do mnie. Weszła pani do niego z własnej woli.

Czemu nie miałbym pani tu zatrzymać? Kto mi tego zabroni?

- Wydaje się panu zapewne, że żyje pan w średniowieczu. Czy tak pan sobie wyobraża droit de seigneur?

- Cóż za doskonały pomysł! Czemu nie?

- Niech pan lepiej wróci do terażniejszości, sir Fabianie. Pan i pańska rodzina możecie myśleć, że wszyscy jesteśmy waszymi poddanymi, ale mylicie się i jeśli spróbuje mnie pan zatrzymać przemocą, to... to...

- Wezwie pani stróżów prawa? - zagadnął. - Czy to byłoby rozsądne? Oni są dociekliwi, wie pani.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Obrzucił mnie zagadkowym spojrzeniem i zrozumiałam, że już wcześniej zaplanował

coś takiego. Czekał tylko na sposobność, a ja nieroztropnie mu ją podsunęłam. Myślał, że odkrył sekret z mojej przeszłości i zamierzał go wykorzystać przeciw mnie. Miałam ochotę wykrzyknąć: „Fleur nie jest moim dzieckiem! Jest córką pańskiej siostry!”. Omal tego nie zrobiłam, lecz nawet w

takiej chwili nie potrafiłam złamać obietnicy danej Lawinii.

Zadowolony z mojej konsternacji, rozluźnił uścisk. Wybiegłam z gabinetu, ruszyłam schodami w dół i wydostałam się na zewnątrz. Mknęłam co tchu i zatrzymałam się dopiero w moim pokoju na plebani. Tam rzuciłam się na łóżko. Serce biło mi jak szalone. Byłam całkowicie wytrącona z równowagi.

Dygotałam z gniewu. Nienawidziłam go. To był szantaż z jego strony. „Odkryłem twoją tajemnicę. A skoro należysz do dziewcząt, które wdają się w romanse, zanim skończą szkołę, dlaczego tak cię oburzają moje zaloty?”

Czułam ogromne upokorzenie.

Wiadomość przekazała mi pani Janson. Lady Harriet z córką wróciły do domu.

Lawinia przysłała mi kartkę: „Musisz natychmiast przyjść. Chcę z tobą pomówić.

Spotkamy się w ogrodzie, żeby nikogo przy tym nie było”.

Wyczułam w jej liście nagły ton. Nie pragnęłaby tak pilnie się ze mną zobaczyć, gdyby czegoś ode mnie nie potrzebowała. Być może, pomyślałam, chce się po prostu pochwalić londyńskimi podbojami. Ale czyjej debiut towarzyski naprawdę był aż tak udany?

Nie doszły mnie wieści o zaręczynach z jakimś księciem lub markizem. A lady Harriet z pewnością mierzyła bardzo wysoko.

Po owej rozmowie z Fabianem niechętnie wyobrażałam sobie wizytę w rezydencji Framlingów, więc ucieszyło mnie, że Lawinia proponuje spotkanie w ogrodzie.

Czekała na mnie. Zmieniła się - a może po prostu zapomniałam, jaka jest piękna. Jej skóra była mlecznobiała, kocie oczy o ciemnych rzęsach spoglądały zniewalająco, lecz największą ozdobę stanowiły bujne włosy. Nosiła je wysoko upięte, a na czole i karku wiły się drobne loczki. Miała na sobie zieloną suknię, w której było jej bardzo do twarzy. Muszę wyznać, że nigdy w życiu nie widziałam piękniejszej dziewczyny.

- O, witaj, Druzyłło - powiedziała. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Miałaś udany sezon?

Skrzywiła się lekko.

- Oświadczone mi się parę razy, lecz żaden z kandydatów nie zadowalał mamy.

- Lady Harriet ma duże wymagania. Wyłącznie najlepsza partia w kraju byłaby odpowiednia dla jej pięknej córki. Czy widziałaś królową?

- Raz, kiedy mnie przedstawiono, raz w operze i raz na balu dobroczynnym. Tańczyła z Albertem. Druzyłło, ten pożar...

- Masz na myśli dom Pod Jodłami?
 - Poczułam wielką ulgę.
 - Lawinio! Zginęło mnóstwo ludzi!
 - Ci ludzie... no cóż, niewiele czerpali radości z życia, nie uważasz?
 - Oni sami mogli być odmiennego zdania, a prócz tego były tam kobiety oczekujące dzieci, podobnie jak ty. Spotkałam matkę jednej z nich na pogorzeliisku.
 - Pojechałaś tam?
 - Chciałam zobaczyć, co się właściwie stało. Polly mi towarzyszyła.
 - Te żądania finansowe...
 - Zaciągnęłaś u niej dług. Co byś zrobiła, gdyby nie ona?
 - Wiem. Ale to kosztowało majątek i musiałam skądś zdobywać pieniądze.
 - Bo sprawa dotyczyła ciebie.
 - Wiem, wiem. Chodzi teraz o Janinę.
 - Janinę? Dowiedziałam się, że nie było jej tam w noc pożaru.
 - I żałuję tego.
 - Och, Lawinio!
 - Jeszcze nie usłyszałaś, co mam ci do powiedzenia. To właśnie Janina mnie martwi.
- Widziałam się z nią.
- Zatem miewa się dobrze?
 - Nie za bardzo. Już myślałam, że się od tego uwolniłam, a tu nagle się pojawiła.
 - Przyszła do ciebie?
 - Jakże by inaczej? Gazety napisały o młodych damach debiutujących w sferach towarzyskich i wymieniono moje nazwisko. Nazwano mnie „piękną panną Framling” i to kilka razy. Janina musiała to przeczytać. Och, Druzyлло, to było straszne.
 - Co masz na myśli?
 - Zażądała ode mnie pieniędzy.

- Dlaczego?
- Oświadczyła, że żyje w biedzie i muszę jej pomóc, bo inaczej...
- Ach, nie!
- Ależ tak. Powiedziała, że jeśli jej nie pomogę, zawiadomi gazety o Fleur.
- Niemożliwe.
- Możliwe. Nigdy jej nie lubiłam.
- Wydobyła cię z tarapatów.
- Zabrała nas do tego okropnego miejsca, do swojej wstrętnej
- To, co zrobiłaś, nie mogło ci ująć tak zupełnie na sucho.
- Wiem. No więc, Janina mieszka w Londynie, w jakimś nędznym pokoju. Na lepszy jej nie stać. Powiedziała mi, że miałam duże szczęście i że jeśli dam jej pięćdziesiąt funtów, nie zdradzi nikomu, co o mnie wie.
- To szantaż.
- Oczywiście, że szantaż. Nie powinno się w takich wypadkach ulegać, ale co miałam robić? Mama byłaby wściekła.
- Przypuszczam, że poradziłyby sobie z Janiną.
- Ja też sobie poradziłam. Musiałam jej dać te pięćdziesiąt funtów, żeby siedziała cicho. Więcej już o niej nie słyszałam.
- Przeraza mnie, że zniżyła się do czegoś podobnego.
- To było okropne. Musiałam udawać, że wybieram się do modystki, i poszłam do jej mieszkania. Wynajmuje pokój w nędznym, szeregowym domu przy Fiddler's Green. To jedyne, na co może sobie pozwolić. Powiedziała, że nie zwracałaby się do mnie, gdyby nie jej rozpaczliwe położenie. Spłonął cały dom ciotki, razem ze wszystkim, co się w nim znajdowało. Nie był ubezpieczony. Ciotka dopiero co kupiła go na własność, poświęcając na to cały swój kapitał, więc dla Janiny nie pozostało prawie nic. Powiedziała, że pięćdziesiąt funtów postawi ją na nogi. Trudno mi było zebrać taką sumę, lecz jakoś się udało. I na tym koniec.
- Miejmy nadzieję - westchnęłam.
- To przecież oczywiste.
- Szantażyści mają zwyczaj powracać i żądać więcej.

- Nic więcej ode mnie nie dostanie.
- Przede wszystkim w ogóle nie należało dawać jej pieniędzy. Powinnaś była wyznać prawdę matce. Uleganie szantażowi jest bardzo nieroztropne, słyszałam to od wielu osób.
- Zapewne takich, które nie miały do czynienia z szantażystami.
- Być może.
- Ja jednak wolałam zapłacić, żeby zamknąć jej usta. Mówiła, że zamierzała wyjść za mąż za tego arystokratę... jak mu tam było i miałyby zapewnione dostatnie życie, bo temu półgłówkowi pieniędzy nie brakowało. Zginął w pożarze; Janina miała szczęście, że wtedy wyjechała.

Zamyśliłam się głęboko.

- Lawinio - powiedziałam po chwili - będziesz musiała się przyznać.
- Przyznać? Niby dlaczego?
- Ponieważ to konieczne. Jest przecież Fleur.
- Nie dzieje jej się żadna krzywda. Te dwie miłe kobiety dobrze się nią opiekują.
- Na razie. Ale musi mieć dobre wykształcenie. I trzeba będzie dawać Polly i Eff pieniądze na jej utrzymanie. Dlaczego nie opowiesz o wszystkim matce?
- Matce! Chyba nie znasz mojej matki.
- Zapewniam cię, że wszyscy w tej okolicy doskonale znają lady Harriet.
- Doprawdy nie wiem, co by ze mną zrobiła.
- Byłaby wstrząśnięta, coś jednak by uczyniła na pewno. A trzeba coś przedsięwziąć.
- Za nic nie mogę jej powiedzieć.
- Twój brat widział Fleur.
- Co takiego?
- Spotkałam go w pociągu do Londynu. Wiedział, gdzie się zatrzymałam. Zjawił się pewnego dnia, gdy zabrałam ją na spacer.

Lawinia pobladła.

- Nabrał podejrzeń - ciągnęłam. - Chcę, żebyś wyznała mu prawdę, ponieważ on podejrzewa, że dziecko jest moje.

Na jej twarzy odmalowała się ulga, którą daremnie usiłowała ukryć.

- Musisz mu powiedzieć - powtórzyłam. - Nie może w dalszym ciągu wierzyć w tę bzdurę.
- Chyba nic ci się nie wymknęło?
- Oczywiście, że nie. Ale stanowczo nie życzę sobie wysłuchiwać jego docinków i uważam, że powinnaś wyznać wszystko jak najszybciej.
- Nie mogę tego zrobić.
- Dlaczego? Nie sądzę, aby on sam wiódł przykładny żywot.
- Mężczyznom to uchodzi. Jedynie dziewczęta muszą trwać w czystości.
- Najwyraźniej nie wszystkie. Przypuszczam, że nie ty jedna pozwoliłaś sobie na przedmałżeńską przygodę.
- Och, Druzyлло, liczę na ciebie.
- Możesz się przeliczyć. Nie pozwolę, by twój brat mnie obrażał.
- Nie obraziłby cię.
- Owszem, zrobił to... i chcę, żeby poznał prawdę.
- Ja... zastanowię się nad tym.
- Jeśli mu nie powiesz, mogę nie zapanować nad sobą i sama to zrobić.
- Och, Druzyлло... najpierw Janina, a teraz ty.
- To zupełnie co innego. Ja cię nie szantażuję. Proszę tylko, żebyś się przyznała.
- Daj mi trochę czasu do namysłu. Ach, Druzyлло, zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Przymknij, że nic nie powiesz... na razie.
- Nic nie powiem, nie uprzedzając cię o tym wcześniej, nie zamierzam jednak znosić aluzji twojego brata.
- Jak to się stało, że odkrył fakt istnienia dziecka?
- Mówiłam ci, obserwował mnie.
- Ale dlaczego miałby cię obserwować? Chyba tylko dlatego, że coś podejrzewał. Bo przecież...
- Nie należę do dziewcząt, które zwracają uwagę mężczyzn?

- dokończyłam za nią. - Nikt, naturalnie, nie mógłby się mną zainteresować.

- No... - zaczęła.

- Nie musisz się wykręcać. Wiem, że daleko mi do ciebie, jeśli chodzi o urodę.

- Cóż, pojawił się u was ten pan Brady. Mama uważa, że byłoby to jak najbardziej stosowne.

- Podziękuj jej uprzejmie za troskę - odparłam.

- Pragnie, by wszystko w sąsiedztwie układało się gładko.

- Nie wątpię w to. Nie nęci mnie jednak rola użytecznego narzędzia do rozwiązywania czyichś problemów.

- O... popatrz tylko, kto idzie.

Spojrzałam i zobaczyłam nadchodzącego Dougala.

- Mama go zaprosiła - wyjaśniła Lawinia. - Wiesz, że został hrabią? Mama nalegała, by nas odwiedził.

Ucieszyłam się na jego widok. Nasza przyjaźń była dla mnie tak krzepiąca i obiecująca. Względy, którymi mnie darzył, przywracały mi wiarę w siebie.

- Ach, Druzylla... Lawinia. - Uśmiechnął się do nas.

Lawinia stała nieco z boku. Lekki wiaterek zwichrzył jej loki, a gdy poprawiała włosy, fałdy zielonej sukni, uszytej na wzór grecki, owinięły się wokół niej, podkreślając figurę.

Dougal nie mógł od niej oderwać oczu. Dostrzegłam w nich blask i przypomniałam sobie o jego uwielbieniu dla piękna. Wydawał się zaskoczony, jak gdyby ujrzał coś po raz pierwszy. Była to nowa Lawinia w swej pozornie prostej sukni, Lawinia o tygrysiach oczach i niesfornych lokach.

W tej właśnie chwili zrozumiałam, że zakochał się w niej lub był tego bardzo bliski.

Chwila minęła. Dougal obdarzył mnie łagodnym uśmiechem, wypytując o zdrowie ojca i zapewniając, że pragnąłby nas wkrótce odwiedzić. Odrzekłam, że ojciec będzie zachwycony.

- Znalazłem dwie nowe książki o podboju Anglii przez Normanów - powiedział. -

Muszę je przynieść.

Myślałam o podboju, lecz tym dokonany przez Lawinię, nie przez Wilhelma Zdobywcę.

Nie weszłam z nimi do domu. Wymówiłam się obowiązkami.

- Czeka mnie dużo zajęć na plebanii.

- Przecież jest tam ten sympatyczny wikary - wtrąciła Lawinia nieco figlarnie. -

Podobno dobrze się z sobą zgadzacie.

- Bardzo sprawnie się wszystkim zajmuje - odrzekłam.

- Niezmiernie się cieszę, że przyszedł i że on jest taki miły - zaświergotała Lawinia. -

No to do rychłego zobaczenia, Druzyłło. Jesteśmy bliskimi przyjaciółkami - zwróciła się do Dougala.

- Przyjaźnimy się od lat. - Ogarnął ją swawolny nastrój. Prawdopodobnie odgadła, co czuję do Dougala. Zdawała sobie również sprawę, że olśniła go jej niezwykła uroda. Za ledwie chwilę wcześniej drżała z lęku, że sekret się wyda; a teraz zapomniała o przeszłości i rozkoszowała się teraźniejszością. Podziw mężczyzny zawsze dodawał jej werwy. - Byłyśmy razem w szkole we Francji.

- Wiem. - Dougal kiwnął głową.

- Takie doświadczenia zbliżają ludzi - ciągnęła Lawinia. - Przeżyliśmy razem wiele, nieprawdaż, Druzyłło?

Śmiała się ze mnie, rada z uroku, jaki rzuciła na Dougala. Z pewnością dotarły do niej pogłoski o więzi łączącej go z mieszkańcami plebanii. Tryumf upoił ją do tego stopnia, że zapomniała o Janinie i wcześniejszym niepokoju.

Czułam gniew, upokorzenie i urazę. W ponurym nastroju wróciłam na plebanię.

Pani Janson mówiła:

- Ta lady Harriet najwyraźniej zagięła parol na pana Carruthersa... o przepraszam, na wielmożnego hrabiego Tenleigh. No cóż, to zrozumiałe. Panna Lawinia jedzie do Londynu; nazywają ją najpiękniejszą panną w towarzystwie, debutantką sezonu. Wszystko bardzo ładnie, ale gdzie ten książę, co go sobie wymarzyła lady Harriet? Żaden się nie pojawił. Jaśnie pani była chyba niekontenta. Musi się zadowolić hrabią. I po co jeździła do Londynu, skoro miała kogoś takiego pod nosem? Powiadają, że coś się dzieje w Wielkim Domu. Lady Harriet nalega, żeby pan Carruthers przyjechał, a nawet hrabia nie potrafi jej odmówić. Tak mi się zdaje, że coś z tego wyniknie, jaśnie wielmożna pani już się o to zatroszczy.

Podśledzałam ją przypadkiem; umilkła, gdy się pojawiłam. Byłam pewna, że swego czasu chciała skojarzyć mnie z Dougalem, a jeśli nie z nim, to z Colinem Bradym.

Pani Janson lubiła Dougala, on zaś bywał u nas częstym gościem. Służba uważała, że on „ma do mnie słabość”. Teraz jednak lady Harriet robiła wokół niego dużo szumu, pani Janson dowiedziała się o tym od tamtejszych pokojówek. „Odkąd dostał ten tytuł i pieniądze, urósł w jej oczach. Przedtem był tylko kolegą sir Fabiana, takim samym, jak reszta chłopców ze szkoły. Teraz to co innego. Kiedyś nieczęsto się go widywało w Wielkim Domu... tak się zadomowił na plebanii”.

Wreszcie zjawił się u nas i przyniósł książki, o których wspominał. Ojciec powitał go z radością i wdali się w długą dysputę. Postanowiłam do nich dołączyć. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że sympatia Dougala do mnie nieco przygasła. Specjalnie starał się wciągnąć mnie w rozmowę, podczas gdy dawniej przychodziło mu to bez wysiłku. Przypomniałam sobie naszą wymianę zdań sprzed jego wyjazdu, kiedy wyobraziłam sobie niemądrze, że gotów jest mi się oświadczyć.

Był to bolesny cios raczej dla mojej dumy niż dla uczuć. Nie wiedziałam, co właściwie czuję do Dougala prócz tego, że uważam go za bardzo miłego i interesującego przyjaciela. Wyobraziłam sobie naszą wspólną przyszłość i doszłam do wniosku, że mogłaby mi dać wiele zadowolenia. Jakaż byłam nierozsądna! Lubił, naturalnie, dyskutować ze mną o sprawach, które go zajmowały; z Lawinią nie dałoby się prowadzić takich rozmów. Ale to nie była miłość. Nie uczucie, które skłania ludzi do małżeństwa. Uroda Lawinii poraziła go niczym grom z jasnego nieba i nic na to nie mógł poradzić - musiał ją wielbić.

Nie chodziłam do stajni, ponieważ nie chciałam korzystać z propozycji Fabiana. Nie zamierzałam nic od niego przyjmować. Ponadto unikałam domu Framlingów z obawy, że go spotkam.

Pewnego dnia nadjechał, gdy byłam w ogrodzie.

- Druzyłlo! - zawołał. - Bardzo dawno pani nie widziałem.
- Dzień dobry - odrzekłam i odwróciłam się, by wejść do domu.
- Ufam, że miewa się pani dobrze. A jak ojciec?
- Zupełnie zadowolająco, dziękuję.
- Wie pani, naturalnie, że Dougal przyjechał.
- Tak, złożył wizytę ojcu.
- I pani, jak się domyślam. Jesteście przecież bardzo zaprzyjaźnieni.

Nie odpowiedziałam.

- Mam nadzieję, że już się pani na mnie nie gniewa. Zdaje się, że uczucia wzięły we mnie górę nad dobrym wychowaniem.

Milczałam nadal.

- Przepraszam - ciągnął z pokorą. - Musi mi pani wybaczyć.
- To rzecz bez znaczenia. Proszę o tym zapomnieć.
- Jest pani bardzo wielkoduszna.
- Muszę już wracać do domu.

- Tak wiele pracy jest na plebanii - dokończył za mnie kpiącym tonem.

- Istotnie - ucięłam ostro.

- W naszym domu zapanowało ostatnio poruszenie - oznajmił.

Wbrew sobie czekałam, aż wyjawি przyczynę.

- Spodziewamy się, że wkrótce to ogłoszą.

Poczułam, jak krew uderza mi do głowy.

- Lawinia i Dougal - dodał. - Matka jest zachwycona.

Patrzyłam na niego z całkowitym spokojem, uniósłszy brwi. Kiwnął głową z uśmiechem - czyżby złośliwym?

- Matka uważa, że nie należy zbyt długo zwlekać, i chyba ma słuszość. Przecież nie są sobie obcy, znają się od lat. Niespodziewanie zrozumieli, co do siebie czują. To się zdarza.

Matka gorąco popiera rychły ślub. Z pewnością jest pani temu rada, znając obydwójce tak dobrze.

- To bardzo... korzystne.

- Tak właśnie sądzi moja matka.

Pomyślałam gniewnie: Owszem, odkąd Dougal zyskał tytuł i majątek, a w Londynie nie trafił się nikt lepszy.

- Przypuszczam, że Lawinia osobiście przekaże pani dobrą nowinę. Dougal zapewne również. Będą chcieli otrzymać pani błogosławieństwo.

Głęboko pragnęłam uciec od jego badawczego spojrzenia. Wiedziałam, co chce mi dać do zrozumienia. „Straciłaś Dougala, moja matka już nie wypuści go z rąk. Zanim doszedł do tych splendorów, było inaczej”.

Uniósł rękę, lekko skłonił głowę i odjechał, mruknąwszy: „Au revoir”.

Miesiąc po przybyciu Dougala ogłoszono zaręczyny hrabiego Tenleigh z piękną panną Lawinią Framling, debiutantką sezonu.

Nie wybrałam się z gratulacjami do Lawinii. To ona przysłała do mnie. Zauważyłam od razu, że jest wytrącona z równowagi.

- Co się stało? - zapytałam. - Nie wyglądasz na szczęśliwą narzeczoną.

- Chodzi o nią... o Janinę. Żąda więcej pieniędzy.

- Mówiłam ci, jak to jest z szantażystami. Od początku nie powinnaś była jej ulegać.

- Dlaczego właśnie mnie to spotkało?

- Musisz się nauczyć, że za grzechy się płaci.

- Zrobiłam tylko to, co wiele innych kobiet.

Na widok jej urażonej miny ogarnął mnie gniew. Miała tak dużo, a teraz zabrała mi jeszcze Dougala. Bolesnie dotknięta, przeanalizowałam swoje uczucia do niego. Musiałam jednak uczciwie przyznać, że zraniona została przede wszystkim moja duma. Nie od razu zdałam sobie z tego sprawę, gdyż czerpałam radość z naszej przyjaźni, a ewentualne małżeństwo jawiło mi się jako miła perspektywa. Byłoby cudownie, gdyby pokochał mnie człowiek, któremu można ufać.

Czy jednak mogłam mu zaufać, jeśli naszą bliską więź, stwarzającą nadzieje na głębsze zaangażowanie, zerwało pojawienie się na horyzoncie innej dziewczyny, której jedyną zaletę stanowiła nieprzeciętna uroda?

Rosła we mnie złość na Lawinię. Tym Framlingom wydawało się chyba, że cały świat do nich należy. Lawinia uważała, że może popełnić poważne uchybienie, nawet urodzić dziecko - a wszyscy powinni zatrzeć ślady błędu i umożliwić jej dalsze beztrioskie życie.

Fabian zaś myślał, że może mnie znieważyć, a potem przyjechać i zachowywać się tak, jakby nie zaszło nic niestosownego.

Zaczynałam mieć dość tej rodziny.

- Poza tym - dodała Lawinia - nie praw mi kazań.

- Przykro mi, moja droga. Musisz sama poszukać wyjścia z tej sytuacji.

- Och, Druzyлло. - Podbiegła i zarzuciła mi ramiona na szyję.

- Proszę, pomóż mi. Wiem, że potrafisz. Wcale nie chciałam mówić tych niemądrych rzeczy. Jestem u kresu sił, naprawdę. Gdy by mama i Dougal się dowiedzieli... Zabiłabym się.

Myślałam, żeby wyskoczyć przez okno.

- Wylądowałabyś na krzaku kolcolistu, co byłoby bardzo nieprzyjemne.

- Pomóż mi, proszę cię, Druzyлло.

- Ale jak?

- Pomyślałam, że mogłabyś się z nią spotkać.

- Ja? A co by to dało?

- Ona cię lubi. Uważa, że jesteś interesująca. Powiedziała mi, że warta jesteś tuzin takich jak ja. I ma słusność.

- Dziękuję. Zapamiętam to sobie. Lecz rozmowa z nią na nic się nie zda.

- Może coś wskórasz... jeśli spróbujesz.

- I co mam jej powiedzieć?

- Że od tamtego czasu zachowuję się bez zarzutu i żeby trochę zaczekała... dopóki nie wyjdę za mąż. Będę bardzo bogata i pomogę jej. Obiecuję.

- Nie sądzę, by uwierzyła w twoje obietnice, Lawinio.

- Ty wystąpisz w moim imieniu. Powiesz jej, że będziesz kimś w rodzaju świadka i dopilnujesz, żeby dostała pieniądze. To tylko kwestia czasu.

- Uważam, że powinnaś iść do matki, brata albo narzeczonego i wyznać prawdę.

- Nie mogę. A jeśli Dougal zerwie zaręczyny?

- Wydaje mi się, że jest bardzo wyrozumiały.

- Tego nie zrozumie. Wpadnie w furję. On wierzy w doskonałość.

- Kiedy cię poślubi, czeka go wstrząs.

- Postaram się być dla niego dobrą żoną.

Co za głupiec! - pomyślałam. Żeni się z Lawinią, nie znając jej. Nawet wiejski półgłówek okazałby więcej rozsądku; a przecież Dougal był ponoć człowiekiem inteligentnym! No cóż, sam się przekona, myślałam dalej, nie bez satysfakcji. Lawinia nie należała do kobiet, które się zmieniają u boku pobłażliwego męża, jakim Dougal zapewne się okaże.

Mówiła dalej błagalnym tonem:

- Jesteśmy takimi bliskimi przyjaciółkami... odkąd się poznałyśmy.

- Dobrze pamiętam ów dzień. Raczej nie byłam oczarowana twoją gościnnością.

Postępujesz niezbyt rozsądnie, przypominając tę okoliczność dla podkreślenia naszych serdecznych więzi.

- Przestań się wymądrzać, Druzyłlo. Jesteś za mądra i ciągle się popisujesz.

Mężczyźni tego nie lubią. Ja tak nigdy nie robię.

- Popisujesz się, jak to nazywasz, przez cały czas.

- Tak, ale tylko urodą. Druzyлло, nie wykręcaj się. Powiedz, że mi pomożesz. Wiem, że się w końcu zgodzisz. Po prostu znęcasz się nade mną.

- Ale co mam zrobić?

- Mówiłam ci. Spotkaj się z Janiną. Wy tłumacz jej.

- Czemu sama się z nią nie spotkasz?

- Jak miałabym się wyrwać do Londynu? Ty możesz jechać w każdej chwili. Powiesz, że chcesz odwiedzić Polly.

Zawahałam się. Po wizytach u Polly zawsze czułam się lepiej. Ona by zrozumiała moją reakcję na zaręczyny Dougala. Nie musiałam jej niczego tłumaczyć, mogłam z nią rozmawiać jak z samą sobą. I zobaczyłabym Fleur. Zaczynałam się przywiązywać do tego dziecka. Wymawiała już własną wersję mojego imienia. Polly napisała: „Szkoda, że nie słyszysz, jak Eff do niej zagaduje. «Kto ma miłą ciocię Druzyllę? Czyja ciocia Druzylla niedługo przyjedzie?». I tak w kółko”. Wspaniale byłoby spotkać się z Polly, Eff i Fleur.

Ponadto paliła mnie ciekawość, co z Janiną.

Lawinia dostrzegła moje wahanie.

- Bardzo kochasz Fleur - powiedziała. - Jest słodkim maleństwem.

- Skąd wiesz? Przecież jej nie widzisz.

- Ale zamierzam, kiedy się już z tym wszystkim uporam. Gdy lepiej poznam Dougala, powiem mu. Naprawdę. Na pewno się zgodzi, żebym zabrała małą do siebie.

- To ostatnia rzecz, jakiej Fleur pragnęła. Czy nie rozumiesz, że dzieci nie są pionkami, które dorośli mogą przesuwać po planszy, jak im się podoba?

- Znowu bawisz się w guwernantkę.

- Ktoś musi cię nauczyć kilku życiowych prawd.

- Wiem, jestem podła. Ale nic na to nie mogę poradzić. Staram się zmienić. Gdy już wyjdę za Dougala, na pewno się ustatkuję. Och, proszę cię, Druzyлло... proszę.

- Gdzie ona mieszka?

- Mam to zapisane. Zawiozłam jej tam te pięćdziesiąt funtów. Wy tłumaczę ci, jak dojechać. To całkiem niedaleko od domu Polly.

Wzięłam adres.

- Fiddler's Green, numer dwudziesty - powiedziała Lawinia. - Łatwo znaleźć.

- Brałaś dorożkę?

- Tak. Dorożkarz miał zdziwioną minę, gdy kazałam mu poczekać. Nie chciałam, żeby ktoś się dowiedział, dokąd pojechałam. To było okropne. A potem ona... Szydła ze mnie.

Tytułowała mnie hrabianką i powiedziała, że muszę zdobyć pieniądze, bo jeśli nie, to rozgłosi wszem wobec, co zrobiłam. Mówiła, że porzuciłam własne dziecko i wiele innych przykrych rzeczy. Odparłam, że znalazłam dla Fleur dobry dom. A ona na to: „Druzylla go znalazła. Ty byś prawdopodobnie zostawiła małą pod czyimiś drzwiami, żeby dalej żyć pełnią życia”.

Zapewniłam ją, że się myli. Los Fleur nie jest mi obojętny i po ślubie zamierzam ją sprowadzić do siebie. Wiem, że gdy już wyjdę za mąż, wszystko się ułoży.

- Nie przyjdę na twój ślub, Lawinio. To po prostu farsa. Czy ty się w ogóle zastanowiłaś, jak oszukasz Dougala? Staniesz obok niego w dziewiczej bieli...

- Och, cicho bądź. Pomożesz mi czy nie? Nie widzisz, jak mnie to przygnębia?

- Nic nie mogę zrobić. Nie mam pieniędzy.

- Nie proszę, żebyś jej dawała pieniądze. Ale wiem, że jeśli z nią pomówisz, posłucha głosu rozsądku.

- Nie posłucha.

- Posłucha. Zawsze cię podziwiała. Wiem, że potrafisz ją przekonać. Proszę, Druzylllo, jedź do Londynu. Przecież chętnie się zobaczysz z Polly i Fleur. Proszę, Druzyłło.

Zrozumiałam, że muszę jechać.

Zastanowiłam się, co powiedzieć. To dało pożywkę moim myślom. Przygotowania do ślubu szły pełną parą, jako że lady Hariet nie widziała powodu, by zwlekać. Może i nie byłam zakochana w Dougalu, nie miałam jednak ochoty o nich słuchać. Powiedziałam do ojca:

- Chyba pojedę do Polly.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Chcesz zobaczyć tę dziewczynkę, którą adoptowały.

Bardzo ją polubiłaś, prawda?

- Tak... i bardzo lubię Polly.

- To dobra kobieta. Nieco prostolinijna, lecz w gruncie rzeczy poczciwa.

Polly, jak zawsze, uradowała się na mój widok. Nie zdradziłam jej, dokąd się wybieram,

przeczuwałam bowiem, że spróbuje mi to wyperswadować. Byłaby zdania, że nie powinnam więcej się angażować w sprawy Lawinii. Już raz to zrobiłam, dzięki czemu mają Fleur, i tego nie żałuję, ale - jakby się wyraziła - ów raz wystarczy.

Wzięłam dorożkę do Fiddler's Green. Woźnica spojrzął na mnie ze zdziwieniem, lecz nic nie powiedział. Poprosiłam, żeby zaczekał - nie przed samym domem, tylko kawałek dalej. Patrzył tak, jakby podejrzewał mnie o jakieś nieczne plany. Zastanawiałam się, czy Lawinia miała podobne doświadczenia.

Znalazłam numer dwudziesty. Był to stary budynek, któremu niegdyś próbowano zapewne nadać elegancki wygląd; teraz jednak sztukateria odpadła, a to, co powinno być białe, przybrało kolor brudnoszary. Do frontowych drzwi prowadziły cztery zniszczone stopnie, przy których pełniły straż dwa obtłuczone kamienne lwy. Lawinia uprzedziła mnie, że mam stukać trzy razy, co oznaczało, że przyszedłam do lokatorki z trzeciego piętra.

Uczyniłam to i czekałam. Wydawało mi się, że upłynęła bardzo długa chwila, zanim Janina otworzyła drzwi. Utkwiła we mnie zdumione spojrzenie, a potem wykrzyknęła:

- Druzylla! Co cię tu sprowadza? - Wzruszyła ramionami i dodała: - Lepiej wejdź do środka.

Znalazłam się w obskurnym korytarzu, na wprost schodów. Wykładzina dywanowa była zdeptana i gdzieś poprzecie-rana na wylot. Im wyżej wchodziłyśmy, tym gorzej wyglądała. Na trzecim piętrze Janina pchnęła drzwi i ujrzałam obszerny, skąpo umeblowany pokój. Odwróciła się do mnie z grymasem na twarzy.

- Teraz widzisz, jak żyją ubodzy i potrzebujący.

- Och, Janino - westchnęłam - tak mi przykro.

- Takie już moje szczęście. Od początku mi się nie wiodło.

- Odkąd przeczytałam o pożarze, zadawałam sobie pytanie, co się wydarzyło.

- Wszystko przepadło... Ciocia Emilia zginęła... a razem z nią inni. Ten głupi Jerzy.

Wiesz, to była jego wina. Mówiłam, że jest niebezpieczny i że którejś nocy spłonimy we własnych łóżkach.

- Tak, on bez wątpienia był niebezpieczny.

- Odebrał życie cioci Emilii i zniszczył moje. Zamierzałam poślubić Clarence'a. Och, wiem, że był upośledzony, ale uwielbiał mnie. Dałby mi wszystko... wszystko, o co bym poprosiła. I zginął przez głupiego Jerzego.

- Jerzy nie wiedział, co robi. Och, Janino, co za szczęście, że nie było cię tam owej nocy.

- Czasami tego żałuję.

- Nie mów tak.

- Mam powody. Jak by ci się podobało mieszkanie w takim miejscu?

- Czy musisz tu być?

- Jak to: czy muszę? Myślisz, że mieszkałabym tutaj, gdybym nie musiała?

- Na pewno mogłabyś coś robić. Wykształcone kobiety zazwyczaj zostają guwernantkami.

- Nie mam takiego zamiaru.

- Więc co chcesz zrobić?

- Układam plan. Cały ten szum wokół Lawinii Framling doprowadził mnie do pasji.

Gdy się pomyśli o niej... i o tym dziecku... a ona chodzi i zadziera nosa. To niesprawiedliwe!

- Prędzej czy później przekonujemy się, że życie nigdy nie jest sprawiedliwe.

- Tak czy inaczej, zamierzam coś z niego mieć.

- Powiedziała mi, że prosiłaś ją o pieniądze.

- Paradne! A niby dlaczego nie miałyby mi ich dać? Pomogłam jej. Co by zrobiła beze mnie?

Przypuszczam, że szlachetnie urodzony hrabia nie rwałby się tak do ślubu, gdyby wiedział, że dostaje towar z drugiej ręki.

- Nie bądź taka rozgoryczona, Janino.

- To nie tyle gorycz, ile zdrowy rozsądek. Ona ma wszystko, a ja nie mam nic.

Doszłam do wniosku, że już czas, aby się ze mną podzieliła.

- Będziesz tego żałowała, Janino.

- Jestem pewna, że nie. Chcę założyć pracownię kapeluszy. Wiem, że potrafię.

Wydaje mi się, że mam do tego talent. Znam osobę, która prowadzi mały sklepik. Gdybym zdobyła fundusze, mogłabym wejść z nią w spółkę. Muszę zgromadzić te pieniądze i nie widzę powodu, by panna Lawinia Framling nie miała mnie zaopatrzyć choćby w ich część.

- Będziesz potrzebowała większej sumy niż pięćdziesiąt funtów.

Jej twarz przybrała przebiegły wyraz.

- Zamierzam ją dostać.

- Wiesz, że to szantaż, a szantaż jest przestępstwem.

- A czy ona pozwie mnie do sądu? To byłoby ciekawe, nieprawdaż? Panna Lawinia Framling wnosi oskarżenie przeciw osobie, która wiedziała o jej nieślubnym dziecku, którego istnienie trzymano w tajemnicy. Już widzę, jak to robi, a ty?

- Janino, to nie jest wyjście.

- Wskaż mi inne.

- Myślę, że mogłabyś pracować... pracować i oszczędzać. Byłabyś szczęśliwsza.

- Z całą pewnością nie. Pod pewnymi względami jesteś głuptasem, Druzyлло. Zadałaś sobie tyle trudu, żeby ukryć jej sprawki, a ona jest na wskroś samolubna. Myślisz, że tak samo by ci pomogła?

- Nie.

- Więc po co zawracać sobie nią głowę? Niech wypije piwo, którego nawarzyła.

Zawzięta i gniewna twarz Janiny powiedziała mi, że nic nie skłoni jej do zmiany zdania. Popatrzyłam po pokoju. Dostrzegła moje spojrzenie.

- Ponuro tu, prawda? - zapytała. - Chyba rozumiesz, dlaczego chcę się stąd wydostać.

- Oczywiście i bardzo mi przykro. Gdzie byłaś tamtej nocy?

- Pamiętasz Księżnę?

- Pamiętam.

- Krewni postanowili wziąć ją z powrotem do siebie. Może zrobiło im się wstyd, że potraktowali biedaczkę w ten sposób, ale przypuszczam, iż miało to raczej coś wspólnego z jej pieniędzmi. Chcieli ją mieć na oku, żeby nie zapisała majątku w testamencie komuś innemu. Nie ufali cioci Emilii. Słusznie zresztą. Musiałam odwieźć Księżnę do domu, bo nikogo innego nie było. Podróż trwała zbyt długo, abym mogła wrócić tego samego dnia, więc nocowałam w ich rezydencji. Wyglądała nieco inaczej niż ten dom, możesz mi wierzyć.

Kiwnęłam głową.

- No więc właśnie wtedy to się zdarzyło. Wszystko spłonęło. Ten dom mógł należeć do mnie. Miał swoją wartość. Mogłabym coś z nim zrobić. Choć nie musiałabym, gdybym wyszła za Clarence'a. To by mi zapewniło dostatnie życie. A teraz nie mam nic. Dom nie był

ubezpieczony. Jak ciocia Emilia mogła postąpić tak nierozsądnie, trzymając pod swoim dachem takich pomyleńców jak Jerzy?

- Miałaś jednak szczęście, że cię tam nie było.

- Jeśli można to nazwać szczęściem!

- Przyszłam cię prosić, żebyś dała spokój Lawinii.

Pokręciła głową.

- Nie. Ona musi zapłacić. Musi podzielić się ze mną tym, co posiada.

- Kwoty, jakimi dysponuje, są raczej skromne.

- Więc niech mi odda część tego, co ma teraz, a gdy poślubi swojego lorda...

- Chcesz powiedzieć, że nadal będziesz żądała pieniędzy? Zapewniłaś ją, że wystarczy ci pięćdziesiąt funtów.

- Ale nie wystarczy. Znalazłam się w rozpaczliwym położeniu, Druzyлло. Nie zamierzam zaprzepaścić tej szansy.

- Nie zrobisz tego, Janino. Wiem, że nie. Powstrzymaj się. Cokolwiek teraz czujesz, a naprawdę rozumiem twoje rozgoryczenie, postępujesz źle.

- Ja tak nie uważam. Najwyższy czas, żeby Lawinia Framling dostała nauczkę.

Zawsze jej się wydawało, że jest lepsza niż my wszystkie, i chępiła się tymi swoimi jasnymi włosami.

- Och, Janino, posłuchaj! Przyjadę jeszcze do ciebie. Mogłabym cię zabrać na plebanię, spędziłabyś z nami pewien czas. Znaleźlibyśmy dla ciebie jakieś zajęcie. Znamy wiele osób, a rekomendacja pastora na pewno by pomogła. Mieszkałabyś u nas, dopóki nie znalazłaby się praca dla ciebie. Wyjedź stąd...

Pokręciła głową.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Druzyлло - powiedziała dość łagodnym tonem. - Jesteś warta dwudziestu takich jak Lawinia.

- Widzę, że moja wartość wzrosła. - Uśmiechnęłam się lekko. - Lawinii mówiłaś o dwunastu.

- Przeceniłam ją. Tak naprawdę nie jest nic warta. Żal mi tego hrabiego, będzie miał z nią krzyż pański. Lawinia nie potrafi zostawić mężczyzn w spokoju. Widziałam już takie kobiety.

- Może się ustatkuje, kiedy wyjdzie za mąż.

- Wiem, że byłaś pierwszą uczennicą w klasie, Druzyлло, ale jeśli chodzi o twardą rzeczywistość, jesteś naiwna jak dziecko.

- Wysłuchaj mnie.

- Już wysłuchałam.
- Więc zamierzasz dalej uprawiać ten... proceder?
- Zamierzam zdobywać fundusze, dopóki się nie urządzę.
- Popęlniasz błąd.
- Osąd w tej sprawie pozostaw mnie. Czy kazałaś dorożkarzowi czekać?
- Tak.
- No to lepiej już idź. Może odjechać. Zapewne nie wierzy, że ktoś, kto wybrał się w tę okolicę, w ogóle mu zapłaci. Pomyśli, że czmychnęłaś.
- Nie sprawiał takiego wrażenia i obiecał, że zaczeka.
- Doceniam to, co zrobiłaś.
- Jeśli znajdę coś dla ciebie, dam ci znać.

Uśmiechnęła się, kręcąc głową.

Nic więcej nie udało mi się wskórać, nie traciłam jednak nadziei.

Nie przyznałam się Polly, gdzie byłam. Wiedziałam, że to by jej się nie spodobało i kazałaby mi trzymać się z daleka od całej sprawy. Ale było mi żal Janiny. Chyba od samego początku był^o mi jej żal. Miała dość dziwne życie, a ciotka Emilia nie odnosiła się do niej zbyt ciepło. Posłała ją do drogiej szkoły, ponieważ planowała dla dziewczyny korzystne małżeństwo z którymś ze swoich pensjonariuszy. Biedny Clarence doskonale się do tego nadawał. Nieświadomy, co się wokół niego dzieje, gotów przywiązać się do każdego, kto okaże mu życzliwość, a na dodatek bogaty. Można było nim manipulować jak marionetką, co ciotka Emilia czyniła z wielką wprawą. A teraz, zamiast dobrze wyjść za mąż, nieszczęsna Janina została sama i bez środków do życia - dlatego uciekła się do najbardziej haniebnego procederu: do szantażu.

Zawiadomiłam listownie Lawinię, że nie poczyniłam żadnych postępów w wiadomej sprawie.

Mogłam sobie wyobrazić przerażenie Lawinii, gdy przeczyta mój list. Będzie wściekła na Janinę, a zapewne także na mnie, za to, że misja zakończyła się fiaskiem. Musiała jednak znać prawdę.

- Czy stało się coś złego, skarbie? - zapytała Polly.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wydajesz się... zamyślona. Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć. Ten Dougal wygląda mi na niezbyt mądrego mężczyznę, skoro tak się dał usidlić Lawinii. Muszę się przyznać, że lubię prawdziwych mężczyzn, takich, którzy wiedzą, co w trawie piszczy, i nie wystawiają się na

pośmiewisko. Zdaje mi się, że miałaś do niego słabość, co?

- To czarujący człowiek, Polly, i inteligentny.

Prychnęła.

- Pajac z niego, jakby mnie kto pytał.

- Uroda podbija serca wielu mężczyzn, a Lawinia jest bardzo piękna. Wiele zyskała, obracając się w dworskich kręgach, i nosi eleganckie suknie.

- Mężczyźni nie żenią się ze strojnisiemi, jeśli mają choć trochę rozumu.

- Polly, ja nie byłam zakochana w Dougalu Carruthersie, a on nie porzucił mnie dla Lawinii. Nigdy nie prosił o moją rękę.

- Myślałam...

- Myliłaś się. Lawinia będzie hrabiną. Czy wyobrażasz sobie mnie w tej roli?

- Czemużby nie? Gdybyś zechciała, mogłabyś zostać nawet królową Anglii!

- Księżę Albert byłby zapewne odmiennego zdania. Ja również nie marzę o znalezieniu się przy jego boku, nawet gdyby Jej Wysokość postanowiła abdykować na moją korzyść.

- Ech, ty! - uśmiechnęła się Polly. - Ale chyba wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko.

Próbowałam zapomnieć o sprawach Lawinii i skupiłam się na Fleur, bardziej uroczej niż kiedykolwiek. Wieczorami siadywałam przy kuchennym piecu, a Polly i Eff zachwycaly się codziennie, jak dobrze teraz ciągnie, i zerkaly na miechy, zajmujące poczesne miejsce tuż obok płyty. Słuchałam kojącej pogawędki i sływał na mnie spokój. Gdzieś w zakamarkach mojego umysłu utrwaliła się świadomość, że jest taki dom, w którym zawsze znajdę miłość i schronienie. Miałam Polly, Eff i Fleur. Wiedziałam, że będzie mi to pociechą w chwilach zniechęcenia.

Pewnego dnia Eff oznajmiła:

- Lokatorka z drugiego piętra mówi, że jest spokrewniona z jaśnie wielmożną panią Jak-jej-tam.

- Jaśnie wielmożną, akurat - mruknęła Polly. - Ta kobieta ciągle opowiada o krewnych z wyższych sfer.

- Jest dobrze wychowana - ucięła Eff. - Znam się na tych sprawach.

Wobec dogłębnej wiedzy siostry Polly musiała ustąpić.

- No i co z nią? - spytała, dając za wygraną.

- Ta kuzynka czy ktoś tam wyjeżdża za granicę. To nie byle kto, obraca się w najwyższych sferach. I szuka damy do towarzystwa... musi mieć dobre maniery i wiedzieć, jak radzić sobie różnymi sprawami.

Wpatrywałam się sennie w skaczące płomienie i śledziłam pojawiające się w nich obrazki, lecz nagle wyteżyłam uwagę. Towarzyszka podróży, potrzebna od zaraz... Janina, pomyślałam natychmiast.

- Zdaje się, że to dobra posada - powiedziałam.

- Dobra posada! - obruszyła się Eff. - Jedna na milion. Gdybym była młodsza... i nie wyszła za „niego”... nie przepuściłabym takiej okazji.

- Przecież nie znosisz cudzoziemców - zaśmiała się Polly.

- Nie przeszkadzają mi, gdy siedzą we własnym kraju. Tam mogłabym ich oglądać.

Cały czas myślałam o Janinie.

- Jedna z moich szkolnych koleżanek cierpi biedę. Szuka posady. Widziałam się z nią dwa dni temu - odezwałam się, podekscytowana.

- Nic nie mówiłaś - zdziwiła się Polly. - Spotkałaś ją przypadkiem?

- Tak. Potrzebuje zajęcia. Ciekawe, czy...

- Coś ci powiem - wtrąciła Eff. - Dowiedz się, czy wzięłaby tę pracę, a ja zamienię kilka słów z „drugim piętro”. Może umówimy je na spotkanie.

- Bardzo bym chciała.

- Wiesz, gdzie ona mieszka?

- Tak, mam jej adres. Mogę napisać.

- „Drugie piętro” miałoby się czym pochwalić, gdyby to ona znalazła odpowiednią, wykształconą młodą kobietę, która przypadnie jej krewniczce do gustu.

Zadałam kilka pytań na temat lokatorki z drugiego piętra, która była - zdaniem Eff - „prawdziwą, choć zubożałą damą”.

Podejrzewałam, że jeśli napiszę, Janina podrze list. Lepiej z nią porozmawiać. Może sobie pochlebiałam, lecz wydawało mi się, że moje zdanie zrobiło na niej pewne wrażenie.

Nazajutrz przywołałam dorożkę i postąpiłam tak samo, jak poprzednio. Wsiadłam w tym samym miejscu i ruszyłam w stronę starego domu. Szłam szybko, rozważając po drodze, co mam powiedzieć

Janinie.

Na ulicy przed budynkiem zauważyłam grupę ludzi. Przyglądali mi się ciekawie, gdy wchodziłam po zrujnowanych schodach. Zastukałam trzykrotnie do drzwi. Otworzył je jakiś mężczyzna.

- Czego pani sobie życzy? - spytał.

- Przyszłam z wizytą do znajomej, panny Janiny Fletcher - wyjaśniłam.

Jego twarz przybrała czujny wyraz.

- Proszę wejść - powiedział.

Weszłam. Jakaś kobieta otworzyła drzwi i spojrzała na mnie.

- Proszę tu poczekać - polecił mężczyzna i ruszył schodami na górę.

Było to bardzo dziwne, nie rozumiałam, co się dzieje. Kobieta wciąż patrzyła na mnie.

- Straszna rzecz, co? - mruknęła. - Taka młoda dziewczyna.

- Co się stało?

- Na pewno coś knuła. To zaszkodzi domowi.

Zaczęłam się poważnie niepokoić. Już wiedziałam, że Janinie przydarzyło się coś okropnego. Zza drzwi rozległ się turkot podjeżdżającego powozu.

- To oni - oznajmiła kobieta. - Przyjechali ją zabrać.

- Nie rozumiem - powiedziałam.

Poszła otworzyć drzwi, a tymczasem na schodach pojawił się mężczyzna, który mnie wpuścił. W drzwiach stanęło dwóch ludzi z noszami.

- Dobrze - odezwał się ten na schodach. - Chodźcie na górę.

Weszli z noszami na piętro. Kobieta wycofała się do pokoju, lecz drzwi zostawiła otwarte. Nadal stałam w korytarzu.

Z góry dobiegło szuranie. Dwaj mężczyźni dźwigali kogoś na noszach - ciało zakryte prześcieradłem. Gdy mnie mijali, dostrzegłam pasemka rudawych włosów. Były zlepione krwią.

Wiedziałam, że pod tym prześcieradłem leży Janina.

Trzeci mężczyzna zszedł za noszami na dół i zbliżył się do mnie.

- Jestem policjantem - oznajmił. - Znalazłem się tutaj, by wyjaśnić okoliczności śmierci panny Janiny

Fletcher. Co pani tu robi?

- Przyszłam ją odwiedzić.

- Jest pani jej przyjaciółką?

Zrobiło mi się słabo. Usiłowałam odpędzić uporczywą myśl, że zrobiła to Lawinia.

Nigdy nie uda jej się z tego wykręcić... nigdy.

- Uczyłyśmy się w tej samej szkole - usłyszałam własny głos.

- Często ją pani odwiedzała?

- Nie. Byłam u niej tylko raz.

- Kiedy?

- Trzy dni temu.

- I dobrze się wówczas czuła? Może była przestraszona? Albo zmartwiona?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Gdzie pani mieszka?

Podaliśmy mu adres plebanii.

- Przebyła pani daleką drogę, by zobaczyć pannę Fletcher.

- Zatrzymałam się na kilka dni u mojej dawnej piastunki.

Podszedł do nas młodszy mężczyzna i ów pierwszy zwrócił się do niego:

- Zapisz adres tej damy. Będziemy chcieli zadać pani kilka pytań, więc odwiedzimy panią niebawem. Proszę do tego czasu nie wyjeżdżać z Londynu.

- Ale ja muszę wracać...

- Jesteśmy zmuszeni prosić panią o pozostanie. Możemy dowiedzieć się od pani czegoś istotnego. To konieczne.

- Zostanę - wybąkałam.

Drżały mi kolana i czułam, że chwieję się lekko na nogach. Pragnęłam uciec od tej okropności. W głowie kłębiły mi się pytania. Jak do tego doszło? Kto to zrobił? Kogo podejrzewają? Powtarzałam w duchu: Ty byś nigdy tego nie zrobiła, Lawinio. Zawsze zostawiałaś brudną robotę innym.

Starszy policjant ponownie zwrócił się do młodszego:

- Aha, Smithson, odprowadź młodą damę do dorożki, która podobno na nią czeka. -

Spojrzał na mnie. - Jeden z naszych funkcjonariuszy zada pani kilka pytań dotyczących znajomości ze zmarłą. To zwykła formalność.

Doznałam ulgi, mogąc stamtąd wyjść. Zauważyłam, że towarzyszący mi młody policjant wydaje się nieco zdenerwowany.

- Wstrząsająca sprawa - zauważył, gdy oddalaliśmy się ulicą.

- Czuję się... słabo.

- Mnie także jest trochę nieswojo - przyznał. - To moje pierwsze morderstwo.

Morderstwo! To słowo przyprawiało mnie o dreszcze. Nie mogłam uwierzyć, że je słyszę. Janina! I pomyśleć, że wszystkie byliśmy razem w szkole, a teraz... choć nie upłynęło wiele czasu, Lawinia została matką, a Janina nie żyła. Próbowałam nie dopuszczać do siebie myśli, że te dwa fakty są w jakiś sposób powiązane.

W pewnej chwili zbliżył się do nas jakiś młodzieniec. Zdjął kapelusz i uklonił się uprzejmie.

- Jeśli mogę spytać, czy jest pani znajomą owej młodej damy? - odezwał się grzecznie.

- Tak - odrzekłam, myśląc, że to jeszcze jeden policjant.

- Zechce pani podać swoje nazwisko?

Wymieniłam je, on zaś wyjął z kieszeni notes.

- Mieszka pani w tej okolicy?

- Nie, na prowincji. Przyjechałam na kilka dni.

- Interesujące. Czy dobrze pani znała ową młodą damę?

- Uczyłyśmy się w jednej szkole. Już to mówiłam pana kolegom.

- Tylko kilka pytań. Musimy zebrać fakty. Gdzie dokładnie pani mieszka?

Podalam mu adres plebanii.

- A zatem jest pani córką pastora?

Skinęłam głową.

- I były panie w tej samej szkole. Czy domyśla się pani, dlaczego ktoś zabił pani przyjaciółkę?

- Nie - odparłam stanowczo.

Mój towarzysz trącił mnie łokciem.

- Rozmawia pani z prasą - szepnął.

- Proszę się nie niepokoić, panienko - pośpieszył z zapewnieniem mężczyzna. -

Chodzi jedynie o kilka pytań.

- Myślałam, że jest pan z policji - wyjąkałam.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Istnieje tu pewien związek - oświadczył.

- Nic więcej nie powiem. Nic nie wiem o tej sprawie.

Skinął głową z uśmiechem, uchylił kapelusza i odszedł. Czułam, że postąpiłam bardzo nierozważnie.

Policjant odprowadził mnie do czekającej dorożki i podjechał ze mną pod dom Polly.

- Nie powinna pani w ogóle rozmawiać z prasą - zganił mnie.

- Nie lubimy tego. Podajemy im tylko te informacje, które uznamy za celowe podać.

- Dlaczego więc nie uprzedził mnie pan wcześniej?

Zaczerwienił się lekko. Nie miał ochoty się przyznać, że nie od razu rozpoznał

dziennikarza. Słowa, które wypowiedział na odchodnym, zabrzmiały złowroźnie:

- Porozumiemy się z panią niebawem. Trzeba będzie sprawdzić pewne rzeczy i tak dalej.

Polly i Eff stały w korytarzu, spoglądając ze zdziwieniem.

- Ejże - zaczęła Polly - co się dzieje? Kim był ten młody człowiek?

- Policjantem - odrzekłam.

Polly zbladła. Eff załamano rękę.

- Policja tutaj! Co policja może mieć wspólnego z przyzwoitymi ludźmi? Co sobie pomyślą sąsiedzi?

- Przynies kieliszek brandy - przerwała jej Polly. - Nie widzisz, jaka jest zdenerwowana?

Leżałam w łóżku, a obok siedziała Polly. Opowiedziałam jej o wszystkim.

- Wielkie nieba! - mruknęła. - To ci dopiero. Morderstwo, co? Ta Janina miała podły charakter, jakby mnie kto pytał. Żeby szantażować ludzi!

- Jestem pewna, że jej śmierć ma z tym coś wspólnego.

- Nie zdziwiłabym się wcale. Myślisz, że twoja Lawinia maczała w tym palce?

Pokręciłam głową.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja gotowa jestem uwierzyć we wszystko, gdy idzie o tę dziewczynę... a jeśli to naprawdę zrobiła, koniec z nią i jej wspaniałym małżeństwem. Zdaje mi się, że nawet wielmożnym Framlingom nie uda się tego zatuszować.

- Och, Polly, to przerażające.

- W Bogu tylko nadzieja, że nie będziesz w nic wplątana. Wielka szkoda, żeś tam w ogóle pojechała. Od takich spraw należy trzymać się z daleka.

- Obawiam się, że już jestem wplątana, Polly.

- Ta Lawinia przyciąga kłopoty. Według mnie jest bardzo prawdopodobne, że maczała w tym palce.

- Nie wierzę. Potrafi kłamać w razie konieczności, ale na pewno nie jest zdolna do morderstwa. Nigdy by się na coś takiego nie zdobyła. Skąd wzięłaby broń?

- W domu Framligów o broń nietrudno. Myślę, że ona jest zdolna do wszystkiego, byle ratować własną skórę. Nic nie powiem Eff. Odchodziłaby od zmysłów, gdyby wiedziała, że może tu przyjść policja.

- Czy nie lepiej, żebym wróciła na plebanię?

- Nie, to by nie poprawiło sytuacji. Zostaniesz u nas, dopóki burza nie ucichnie.

Przytuliłam się do niej. Byłam oszołomiona i przerażona. Nie mogłam odpędzić od siebie myśli o Janinie leżącej pod prześcieradłem... martwej.

Policja zjawiała się wkrótce potem, by zadać dalsze pytania. Co wiem o życiu Janiny?

Jakich miała znajomych? Odrzekłam, że nic mi nie wiadomo o jej znajomościach. Spotkałam się z nią dopiero przed kilkoma dniami, po raz pierwszy od ukończenia szkoły.

- Była córką niejakiej pani Fletcher, która prowadziła dom opieki.

- To jej ciotka - sprostowałam.

Dwaj policjanci wymienili spojrzenia. Pomyślałam: Dowiedzą się o wszystkim.

Odkryją, kim jest Fleur. To będzie dla Lawinii koszmar... i to właśnie teraz, gdy wychodzi za mąż.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy się pożegnali, ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Otworzywszy poranną gazetę, Polly wiedziała już, że nie uda się zataić całej sprawy przed Eff. Drżącym głosem odczytała mi natatkę prasową:

- „Kim była Janina Fletcher? Dlaczego ktoś zapragnął odebrać życie tej młodej kobiecie? Miałem sposobność rozmawiać z jej koleżanką z lat szkolnych, panną Druzyllą Delany, przebywającą obecnie u swej dawnej piastunki”. - Tu podano nasz adres. - „Panna Delany, córka proboszcza parafii Framling, przybywszy z wizytą do przyjaciółki, ujrzała ją nieżywą, spoczywającą na noszach.

Młoda kobieta zginęła od strzału w głowę. Panna Delany nie wie, kto mógłby pragnąć śmierci jej przyjaciółki. Janina była córką Emilii Fletcher, która prowadziła ekskluzywny dom opieki dla zamożnych osób w New Forest. Policja na razie milczy, lecz krążą pogłoski o rychłym aresztowaniu sprawcy”.

Polly skończyła czytać i popatrzyła na mnie z wyraźnym niepokojem.

- Och, Polly - wykrztusiłam - to okropne!

- Zastanawiam się, czy dotrą do Fleur. Policja zawsze potrafi wytropić nieprzyjemne sprawy.

- To byłoby fatalne, bo przecież już wkrótce ślub. Mam głęboką nadzieję, że Lawinia nie jest w to zamieszana. Z pewnością nie, ale mogą wyjść na jaw różne rzeczy.

- Może lepiej byłoby dla tego hrabiego, czy kim on tam jest, gdyby wcześniej czegoś się dowiedział o przyszłej żonie. I tak się dowie po ślubie, bez dwóch zdań.

- Och, Polly, boję się.

- Nie masz się czego bać. Jeśli coś wykryją, będziesz musiała powiedzieć prawdę. Nie ma sensu chronić panienki Lawinii. Najwyższy czas, żeby przyznała się do wszystkiego.

Jej bliskość dodawała mi otuchy, czułam jednak, że powinnam wracać na plebanię.

Wiedziałam, jak bardzo Eff dba o dobrą opinię domu. Polly również nie było to obojętne, lecz jej miłość do mnie przeważała nad chęcią utrzymania powszechnego szacunku.

Na drugi dzień po ukazaniu się owej wiadomości w gazecie do domu Polly przyszedł

Fabian. Usłyszałam pukanie i pobiegłam, aby otworzyć drzwi, myśląc z niepokojem, że może to znowu policja.

- Dzień dobry - odezwał się, wchodząc do holu bez zaproszenia. - Chcę z panią porozmawiać.

- Ale... - zaczęłam.

- Dokąd możemy pójść? - przerwał.

Zaprowadziłam go do salonu, niewielkiego, wymuskanego pokoju, w którym stały proste krzesła z aksamitnymi oparciami i pasująca do nich sofa, a także etażerka z cennymi ozdobami, odkurzanymi osobiście przez Eff. Był tam również kominek z marmurowym gzymsem, aspidistra w dużej brązowej donicy na stoliku pod oknem i papierowe kwiaty w wazonie. Pokój ów stanowił coś w rodzaju sanktuarium, w którym czasami podejmowano gości, przeprowadzano rozmowy z przyszłymi lokatorami, a przy wyjątkowych okazjach zasiadano do niedzielnego podwieczorku.

-Co pana tu sprowadza? - zapytałam.

- Czy naprawdę pani nie wie? Czytałem gazetę. Ta Janina... co ją z panią łączy?

- Jeśli czytał pan gazetę, powinien pan wiedzieć, że byliśmy razem w szkole.

- Została zamordowana... kiedy pani tam się znajdowała.

- Gdy przyszłam, już nie żyła.

- Zamordowano ją - powtórzył. - Dobry Boże! Co to ma znaczyć?

- Policja prowadzi dochodzenie w tej sprawie.

- Wymieniono jednak pani nazwisko.

- Ponieważ przypadkiem tam się znalazłam. Przesłuchiwano mnie.

- Policja nie zadaje pytań w celach towarzyskich. Wypytywali panią, ponieważ przypuszczają, że pani coś wie.

- Znałam ją przecież. Przyszłam ją odwiedzić.

- Po co?

- Jak to: po co? Była moją szkolną koleżanką.

- Chodziło tylko o odnowienie znajomości? Chcę znać prawdę. Słyszysz pani? Nie można tak bez końca kłamać. Lepiej niech mi pani powie. Żądam tego!

W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i ujrzałam w nich Polly. Wyjaśniła mi później, że usłyszała, jak Fabian wszedł, i podsłuchiwała pod drzwiami. Stała w progu z płonącymi policzkami, wsparłszy się pod boki.

- A więc teraz, jaśnie wielmożny panie Jak-panu-tam, usłyszysz pan ode mnie kilka słów. Nie pozwolę nikomu tu przychodzić i niepokoić mojej dziewczynki. Jest warta więcej niż wy wszyscy razem

wzięci, a zresztą i tak nie dałabym za was złamanego szeląga.

Był zaskoczony, lecz w jego oczach dostrzegłam błysk rozbawienia.

- Polly! - zaprotestowałam z wyrzutem.

- Nie. Miarka się przebrała. Zamierzam wreszcie powiedzieć tym Framlingom, co o nich myślę. Żeby wdzierać się tutaj i napadać na ciebie! Niech się dowie prawdy.

- Niczego innego nie pragnę - zapewnił ją Fabian.

- Ha! Nie będzie pan zadowolony, to pewne, a jeśli policja spróbuje wciągnąć Druzyllę w tę sprawę, powiem im to samo. Druzylla zrobiła, co mogła, żeby pomóc pańskiej siostrze. Jak pan myśli, czyje dziecko wychowujemy? Pana siostry! A zamiast podziękować Druzylli, pan ją obraża. Kto pojechał z Lawinią do tamtego domu? Udając, że wybierają się do księżniczki Takiej Czy Owakiej? Kto przywiózł dziecko do mnie? Od razu było widać, że pańska siostra nie odróżnia niemowlęcia od faski masła i równie mało ją obchodzi własna córka. Dlatego nie pozwolę, żeby pan tu przychodził i dręczył Druzyllę. Niech pan wraca do domu i prześladowuje własną siostrę. To przez nią te wszystkie kłopoty.

- Dziękuję za wyjaśnienie - powiedział i zwrócił się do mnie:

- Przypuszczam, że to prawda?

- Oczywiście! - wykrzyknęła Polly. - Zarzuca mi pan kłamstwo?

- Nie, łaskawa pani, lecz pragnąłem uzyskać potwierdzenie.

- Cały ten zamęt wokół nas jest winą pańskiej siostry. Więc niech mi pan tu o nic nie oskarża Druzylli, bo nie zamierzam tego tolerować.

- Ma pani zupełną słuszość - odparł - i jestem pani bardzo zobowiązany. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by znaleźć wyjście z tej nieprzyjemnej sytuacji.

- Hm - mruknęła Polly, nieco udobruchana. – Najwyższy czas!

- Tu również ma pani słuszość. Czy pozwoli mi pani zamienić kilka słów z panną Delany?

- To już od niej zależy.

- Tak, oczywiście - odrzekłam.

Drżałam lekko. Przemowa Polly wprawiła mnie w osłupienie, byłam jednak zadowolona, że on już wie i że to nie ja wydałam Lawinię.

- W takim razie wyjdę. - Polly spojrzała na mnie. – Poradzisz sobie?

- Tak, Polly, dziękuję.

Drzwi się zamknęły i zostaliśmy sami.

- Imponująca z niej dama - zauważył Fabian. - A zatem znam już prawdę. Chciałbym usłyszeć nieco więcej. Mnie, jako brata, ta sprawa również dotyczy. To się stało we Francji, tak?

- Tak.

- On był Francuzem?

Skinęłam głową.

- Znała go pani?

- Widziałam raz czy dwa.

- Rozumiem. I moja lekkomyślna siostra zwróciła się do pani o pomoc.

- W szkole poznałyśmy Janinę Fletcher. Jej ciotka prowadziła dom opieki.

- I skłamałyście, że wyjeżdżacie do Lindensteinu. Wiedziałem, oczywiście, że pani tam nie była.

- Tak. Próbował mnie pan podejść, myśląc, że wie, co się wydarzyło.

- Gdy zobaczyłem to dziecko...

- Doszedł pan do wniosku, że...

- Trudno mi było w to uwierzyć.

- A jednak uwierzył pan.

Milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Ta Janina... jak pani sądzi, co tam się stało?

- Nie wiem.

- Poszła pani do niej tego samego dnia. Po co?

- Chciałam z nią porozmawiać.

- O Lawinii. Czy ta kobieta szantażowała moją siostrę?

Milczałam. Nie chciałam zdradzać niczyich tajemnic; lecz Polly, rzecz jasna, już to zrobiła. Fabian miał poważny wyraz twarzy.

- Mój Boże! - powiedział. - Ale Lawinia nie opuszczała domu. Musiał to zrobić... ktoś inny.

- Myśli pan...

- Czy u tej kobiety przebywały inne dziewczęta w podobnym stanie?

- Kilka.

- Co za kłopotliwa sytuacja! Wielka szkoda, że panią tam widziano. To dobrze, że wiem o wszystkim. Porozumiem się z panią. Zostanę w Londynie, zapiszę pani swój adres.

Proszę dać mi znać, jeśli wyniknie coś nowego.

Wydawał się szczerze zaniepokojony. Myślał zapewne o skandalu, jaki mógłby wybuchnąć, gdyby przyczyna pobytu Lawinii w domu opieki ciotki Emilii wyszła na jaw.

Gazety pisałyby o tym na pierwszych stronach. Ja zasłużyłam jedynie na krótką wzmiankę.

Reputacja Lawinii byłaby zrujnowana. Widziałam, że Fabian gotów jest temu zapobiec za wszelką cenę.

Odczułam pewną ulgę, gdyż głęboko wierzyłam w jego możliwości. Był człowiekiem silnym i przedsiębiorczym. Naturalnie, pragnął tylko chronić siostrę, lecz przy tej sposobności osłaniał również mnie.

Na pożegnanie ujął moje dłonie i uśmiechnął się, niemal jakby przepraszał za swoje zachowanie w przeszłości. Byłam zadowolona, że nareszcie poznał prawdę i że to nie ja mu ją wyjawiałam.

Nie było żadnych nowych wiadomości, jedynie krótkie wzmianki. Policja wciąż prowadziła śledztwo, jednak nie nachodzono mnie więcej.

Za to złożył nam wizytę Fabian. Wpuściła go Eff, bynajmniej nie okazując niezadowolenia.

- Ma wielką słabość do tytułów - wyjaśniła Polly. - Teraz będzie opowiadała

„drugiemu piętru” o odwiedzinach sir Fabiana. Uważa, że dom na tym zyskuje. A on rzeczywiście wygląda na arystokratę. Mam nadzieję, że zachowuje się, jak należy.

- O, tak - zapewniłam ją.

- Nie pozwalaj mu na żadne nedorzeczne wybryki.

- Nie pozwolę.

Fabian chciał ze mną porozmawiać o dziecku.

- Te dwie kobiety opiekują się nim od urodzenia, czy tak?

Przyznałam, że tak.

Widziałam, że darzy Polly szacunkiem. Wyraźnie spodobał mu się sposób, w jaki stawiała mu czoło, choć to, co od niej usłyszał, okazało się trudne do przełknięcia. Mogła go bawić myśl o potknięciu córki pastora, lecz gdy w grę wchodziła własna siostra, nie było to już takie zabawne.

- To dziewczynka, prawda?

- Tak. Powinien pan poznać siostrzenicę. Widział pan ją tylko raz, wtedy na błoniach.

- Chciałbym ją bliżej poznać. A te kobiety opiekowały się nią, karmiły, ubierały...

- I kochały - uzupełniłam.

- Biedne dziecko! Co by się z nią stało bez nich... i bez pani?

- Lawinia musiałaby podjąć jakieś kroki, lecz nie wyobrażam sobie nikogo, kto byłby lepszy dla Fleur niż Polly i jej siostra.

- Chciałbym wynagrodzić im wszystko, co dla niej uczyniły.

- Ma pan na myśli... pieniądze?

- Właśnie. Nie są chyba aż tak zamożne, by móc zajmować się cudzymi dziećmi. To z pewnością jest kosztowne.

- Powodzi im się, jak by to określiły, nie najgorzej. Wynajmują pokoje, a Eff ma głowę do interesów. Polly zresztą również. Ciężko pracują i zbierają owoce swego trudu.

Pańskie przypuszczenie, że potrzebują pieniędzy, mogłoby je obrazić.

- Ale przyjęły dziecko do siebie!

- Zrobiły to dla mnie, ponieważ...

- Ponieważ popełniły ten sam błąd, co ja. Widzi pani? Nie jestem mimo wszystko aż takim łotrem, jeśli Polly, tak pani bliska... Cóż, niewykluczone, iż podobna rzecz mogłaby się przydarzyć każdemu.

- Być może.

- Wszyscy miewamy chwile zapomnienia. - Uśmiechnął się zagadkowo, a potem dodał ożywionym tonem: - Znajdę sposób, by wynagrodzić te zacne kobiety. Pomówi pani z nimi w moim imieniu? Obawiam się, że nie pozwolą mi wyłożyć swoich racji, a pani mogą wysłuchać.

Obiecałam, że z nimi porozmawiam.

Gdy przedstawiłam im sprawę, były oburzone.

- Za kogo on się uważa? - prychnęła Polly. - Nie chcemy jego pieniędzy.

Wychowujemy Fleur od niemowlęctwa. Jest nasza. Gdybyśmy przyjęły cokolwiek od takiego człowieka, zaczęłyby nami rządzić, dyktować, co mamy robić. Nie, na to się nie zgodzimy.

- Ale ładnie ze strony sir Fabiana, że to zaproponował - wtrąciła ugodowo Eff. Zawsze podkreślała z mocą owo „sir” w rozmowach z „drugim piętnem” i weszło jej to w nawyk.

- Posłuchaj, Polly - zaczęłam tłumaczyć - teraz wszystko wygląda dobrze... ale przypuśćmy, że zacznie wam się gorzej powodzić. Musisz pomyśleć o Fleur, o jej wykształceniu i innych sprawach.

- Nie chcę jej posyłać do żadnych zagranicznych szkół. Widać po Lawinii, jaki przynoszą pożytek.

Eff była jednak bardziej rozsądna. U Polly emocje osłabiły do pewnego stopnia zdolność rozumowania. Zaliczyła Fabiana do przebiegłych uwodzicieli i podejrzewała o nieczne zamiary względem mojej osoby. Traktowała go bardzo nieufnie.

Lecz gdy zaproponował, że otworzy rachunek na ich nazwiska, aby mogły z niego korzystać, ilekroć będą potrzebowały pieniędzy dla Fleur, w końcu wyraziły zgodę.

- I tak ich nie tkniemy - zapewniła go Polly.

- Miło jednak wiedzieć, że są - dodała zawsze praktyczna Eff.

W ciągu następnego tygodnia często go widywałam. Musiałam przyznać, że był

pomocny i podnosił mnie na duchu. Świadomość, iż jest w pobliżu i zna prawdę, sprawiła mi ogromną ulgę.

Nie pojawił się żaden policjant. Gazety niewiele pisały o sprawie. Pocieszałam się, że w razie potrzeby Fabian przybędzie mi na odsiecz.

Zaczęłam go nieco lepiej poznawać. Gdy przychodził z wizytą, Eff nie bez dumy podawała herbatę w salonie. Bardzo chciała się nim pochwalić. Kiedy Fabian miał nas odwiedzić, zakładała na krzesła świeże pokrowce, polerowała mosiądz do połysku i starannie odkurzała ozdoby na etażerce. „Żeby sir Fabian nie Pomyślał sobie, że o niczym nie mamy wyobrażenia”. Bawiła mnie wizją tego mężczyzny dokonującego przeglądu porcelanowych figurek i oceniającego stopień wypolerowania mosiężnych świeczników. Patrzyłam jednak z przyjemnością, ile szczęścia daje Eff podejmowanie utytułowanego dżentelmena; a podejrzliwość Polly świadczyła o jej miłości i trosce o mnie.

Dostrzegłam w nim pewną zmianę. Fleur wyraźnie go polubiła, co było dla mnie zaskoczeniem, gdyż nawiązanie z nią kontaktu sprawiało mu trudności i nawet nie podejmował prób w tym kierunku.

- Powiedz „dzień dobry, sir Fabianie” - zachęciła ją kiedyś Eff; i Fleur uczyniła to z dziecięcym, sepleniącym wdziękiem.

Oparła mu rączki o kolana i uniosła główkę, wpatrując się w niego z zaciekawieniem.

Wyglądało to bardzo zabawnie. Zauważyłam we Fleur podobieństwo do Framlingów. Nie odziedziczyła wprawdzie płowych włosów Lawinii, lecz odnosiłam wrażenie, że - podobnie jak matka - będzie piękną.

- Niebrzydkie dziecko - brzmiał komentarz Fabiana.

- Jak gdyby wyczuwała, że łączy was pokrewieństwo - zauważyłam.

- Niemożliwe.

- Kto wie? Jest pan przecież jej wujem.

Eff wniosła herbatę, którą piliśmy we dwoje. Domyślałam się, że Polly krąży w pobliżu. Nie ufała mu, gdyż mógł, jak by to określiła, zacząć jakieś „figle-migle”.

Rozmawialiśmy o zbliżającym się ślubie Lawinii. Z pewnością dowiedziała się z gazet o śmierci Janiny i zastanawiałam się, co teraz myśli. Jak ją znałam, z jednej strony czuła przemożną ulgę, z drugiej zaś z pewnością zadawała sobie pytanie, co też może wyjść na jaw podczas śledztwa. Byłam ciekawa, czy przyszło jej do głowy, że oprócz niej Janina mogła szantażować również inne osoby. Niewątpliwie Lawinię dręczył niepokój.

Fabian musiał wrócić do domu na ślub siostry.

- Spodziewają się, jak przypuszczam, pani przyjazdu - powiedział.

- Nie sądzę, by to było konieczne. Lawinia z pewnością wie już o Janinie. Ciekawa jestem, jak się czuje.

- Zazwyczaj nie zaprzęta sobie głowy troskami, lecz w tym wypadku nawet ona musi przeżywać niespokojne chwile. Dzięki Bogu, przebywała w domu, gdy zamordowano tę dziewczynę, i żadne oskarżenia pod jej adresem nie wchodzą w rachubę.

- Jak pan myśli, czy powie Dougalowi?

- Nie powie.

- A czy, pana zdaniem, powinna?

- Decyzja należy do niej.

- Czy on nie powinien wiedzieć?

- Widzę, że opowiada się pani niezłomnie po stronie moralności.

- A pan nie?

- Ja słucham głosu zdrowego rozsądku.

- Z którym moralność nie zawsze idzie w parze?

- Tego bym nie powiedział. Każdą sytuację należy oceniać z osobna. Nie można uogólniać tych spraw.

- Czy pan uważa za słuszne lub choćby rozsądne, by kobieta, która ma dziecko, nawet nie wspomniała o nim mężowi?

- Gdyby wzmiankowana kobieta była cnotliwa, przede wszystkim nie miałaby dziecka. Dlatego trudno się po niej spodziewać przykładowego postępowania. Decyzja należy do Lawinii.

- Czy jednak nie jest to oszustwo wobec Dougala?

- Owszem. Ale może on wolałby nie wiedzieć.

- Naprawdę pan tak sądzi? Czy w podobnych okolicznościach pan również wolałby o niczym nie wiedzieć?

- Jest mi niezmiernie trudno postawić się w jego położeniu. Nie jestem Dougalem, tylko sobą. Dougal to dobry, przyzwoity człowiek i jego życie było z pewnością wzorowe.

Nie mogę tego powiedzieć o moim. Dlatego nasze punkty widzenia się różnią. Uważam, że lepiej jest iść przez życie, unikając trosk, a jeśli ignorancja ma być bardziej kojąca niż wiedza, pozostaniemy w nieświadomości.

- Cóż za osobliwa filozofia!

- Obawiam się, że wywołuję w pani dezaprobatę.

- Jestem pewna, że istnieje niewiele rzeczy, których pan się obawia, a moja aprobata czy dezaprobata do nich nie należą.

- Niemniej pragnąłbym zasłużyć na pani dobrą opinię.

Wybuchnęłam śmiechem. Ostatnio czułam się znacznie swobodniej w jego towarzystwie. Wyczekiwałam jego wizyt, powtarzając sobie, że nie powinnam zanadto się nim interesować. Znajomość z Dougalem stanowiła wystarczające ostrzeżenie. Wydawał się ideałem dżentelmena, którym Fabian nie był; a mimo to Fabian wzbudzał we mnie większe zainteresowanie. Dougal poruszał fascynujące tematy, lecz jeśli chodzi o Fabiana, pociągał

mnie on sam.

Stąpałam po niebezpiecznym gruncie. Polly wiedziała o tym i dlatego czuwała nade mną.

Był wieczór. Fleur już spała, a ja siedziałam w kuchni z Pol-ly i Eff. Eff napomknęła właśnie, jak dobrze piec teraz ciągnie, gdy nieoczekiwanie rozległo się stukanie do drzwi. Eff wstała, przerażona. Nie lubiła, gdy ktokolwiek przyłapał ją na używaniu kuchni w charakterze salonu.

- To któryś z pensjonariuszy - zawyrokowała z niepokojem. - Idę o zakład, że

„pierwsze piętro”.

Przybrała postawę pełną spokoju i godności, którą rezerwowała specjalnie dla lokatorów, i poszła otworzyć. Wraz z Polly ruszyliśmy za nią.

Nie było to „pierwsze piętro”, lecz inna lokatorka. Ścisnęła w rękę gazetę.

- Pomyślałam, że nie znają panie najnowszych wiadomości - oznajmiła z podnieceniem. - Chodzi o Janinę Fletcher.

Weszliśmy razem do salonu. Polly chwyciła gazetę i rozłożyła ją na stole.

Zgromadziłyśmy się wokół. Notatka znajdowała się na pierwszej stronie, w „Wiadomościach z ostatniej chwili”. „Zaskakujące postępy śledztwa w sprawie Janiny Fletcher. Policja bliska rozwiązania zagadki”. To było wszystko.

- No, no - mruknęła Eff. - To uprzejmię z pani strony, pani Tenby.

- Przyszło mi do głowy, że chętnie się panie dowiedzą. I że panna Delany będzie zainteresowana... bo pani znała tę biedaczkę.

- Tak - potwierdziłam.

- Poczekamy i zobaczymy, co z tego wyniknie - zawyrokowała Polly.

Eff z wielką godnością wyprowadziła panią Tenby na korytarz.

- Dziękujemy, że pani nas zawiadomiła.

Po wyjściu lokatorki znowu usiadłyśmy w kuchni, zastanawiając się, co to może oznaczać, i położyłyśmy się spać później niż zwykle.

Zajrzałam do Fleur, co robiłam każdego wieczoru. Spała smacznie, przyciskając laleczkę, którą kupiła jej Eff i z którą za nic nie chciała się rozstać. Nachyliłam się i pocałowałam małą; wymruczała coś przez sen, a ja poczułam wielką ulgę na myśl, że Fabian wie, gdyż to zapewniało dziewczynce przyszłość.

Długo nie mogłam usnąć, zadając sobie pytanie, co nowego przyniosło śledztwo i czy nazajutrz zobaczę Fabiana.

Znalazłyśmy odpowiedź w porannych gazetach. Był to dla mnie kolejny wstrząs i jeszcze mocniej poczułam, że ta sprawa dotyczy również mnie. Dramaty, nawet tragedie, zdarzają się często. Czytamy o nich i niekiedy wydają się nam nierzeczywiste, ponieważ możemy sobie jedynie wyobrazić ich mglistych bohaterów; gdy jednak dotyczą osób, które znamy, to zupełnie co innego.

To, co przeczytałam, niezmiernie mnie zasmuciło, choć Lawinii przyniosło niewątpliwie olbrzymią ulgę.

Znaleziono winowajczynię - nie dzięki błyskotliwemu dochodzeniu, lecz wyznaniu osoby, która zabiła Janinę.

ZABÓJCZYM JANINY FLETCHER PRYZNAJE SIĘ DO WINY

Artykuł napisany był kwiecistym stylem.

W niewielkim domku na obrzeżach Wanstead, w pobliżu Epping Forest, James Everet Masters umierał z ran zadanych własną ręką. Obok spoczywały zwłoki jego żony, Miriam Mary Masters. Nie żyła od kilku godzin.

Uważano ich za najszcześniejsze małżeństwo w okolicy. James był marynarzem.

Sąsiedzi opowiadają, jak niecierpliwie żona oczekiwała jego powrotów i za każdym razem rozpoczynali oboje nowy miesiąc miodowy. Dlaczego zatem postanowiła odebrać sobie życie, zażywając śmiertelną dawkę laudanum? Ponieważ nie potrafiła stawić czoła konsekwencjom nierozważnego postępu, którego się dopuściła pod nieobecność męża.

PODWÓJNE SAMOBÓJSTWO

Tak brzmiał kolejny nagłówek.

Miriam nie mogła dłużej znieść sytuacji, w jakiej się znalazła, i to skłoniło ją, by rozstać się z życiem. Napisała dwa listy - jeden do Jamesa, drugi do koronera - w których przyznała się do zamordowania Janiny Fletcher. W liście do męża podała przyczyny, dla których popełniła zbrodnię.

Kocham Cię, James.

List wyjaśniał, co się wydarzyło. Pewnego wieczoru, gdy James przebywał na morzu, znajomi namówili ją, by poszła z nimi na zabawę. Uczyniła to niechętnie i nie zdając sobie sprawy, że wkracza na ścieżkę wiodącą ku niedoli i śmierci, nienawykła do alkoholu, wypiła zbyt wiele - co sprawiło, iż nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jakiś osobnik wykorzystał stan nieszczęsnej kobiety i uwiódł ją, wskutek czego stała się brzemienna. Miriam wpadła w rozpacz. Jak to powiedzieć Jamesowi? Czy ją zrozumie? Żywiła poważne obawy, że nie. Jej szczęście legło w gruzach. Próbowwała znaleźć jakieś wyjście. Słyszała o domu pani Fletcher w New Forest. Była to instytucja kosztowna, lecz dyskretna. Miriam doszła do wniosku, iż nie pozostaje jej nic innego, tylko pojechać tam, a dziecko po urodzeniu oddać do adopcji.

Janina Fletcher, uważana za krewną właścicielki, przebywała w tym czasie na miejscu.

Poznała tajemnicę Miriam. Dziecko przyszło na świat i zostało adoptowane, a Miriam wróciła do domu, pragnąc pozostawić przeszłość za sobą. I tak by się stało, gdyby w jej życie nie wkroczyła ponownie Janina Fletcher.

Nie jest to historia wyjątkowa. Dziewczyna zażądała pieniędzy za milczenie. Miriam zapłaciła - raz, potem drugi - lecz więcej płacić nie mogła. Wielce obawiała się konsekwencji, ale wyznanie prawdy Jamesowi przekraczało jej siły. Nabyła broń, następnie udała się do mieszkania Janiny i zastrzeliła ją. Zdołała wymknąć się niepostrzeżenie. Zrozumiała jednak poniewczasie, że nie potrafi żyć z tak straszną tajemnicą. Dlatego napisała list.

Kochankowie zrodzeni pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Byli jak Romeo i Julia. Gdy James się zjawił, Miriam już nie żyła. Przeczytał jej list i był zdruzgotany. Zrozumiałby i wybaczył jej, gdyby mu powiedziała. Mogliby odszukać dziecko, a on uznałby je za własne.

Za późno!

Zabiła Janinę Fletcher. Musiała uzmysłwić sobie, że jej sumienie mogło znieść brzemię grzechu cudzołóstwa, lecz nie udźwignie ciężaru morderstwa. Nieszczęśliwa para nie żyje, a zagadka śmierci Janiny Fletcher została rozwiązana.

Tego samego przedpołudnia przyszedł do nas Fabian.

- Zna pani najnowsze wiadomości? - spytał.

- Tak - odrzekłam. - Byłam głęboko poruszona.

Bardzo dobrze pamiętałam Miriam. Pamiętałam jej udrękę i myślałam, jak okrutnie potraktowało ją życie.

- Wydaje się pani wstrząśnięta - zauważył.

- Znałam ją. Mieszkałyśmy tam w tym samym czasie. Była taką łagodną kobietą. Nie wyobrażam jej sobie jako morderczyni.

- To zamyka sprawę. Możemy teraz odetchnąć. Dobry Boże! Wszystko z pewnością by się wydało i Lawinia zostałaby w to wplątana. Pani również. Codziennie spodziewałem się, że coś wyjdzie na jaw. Teraz już nareszcie koniec z tym wszystkim.

- Bardzo kochała męża - powiedziałam. - On także musiał ją kochać. Nie wyobrażał

sobie życia bez niej. Wywarła na mnie głębokie wrażenie.

- Musiała być niezwykłą kobietą... żeby tak chwycić za broń i zastrzelić szantażystkę.

- To wszystko jest takie bezsensowne. Gdyby tylko przyznała się mężowi. Gdyby Janina spróbowała zarabiać na życie pracą, zamiast uciekać się do przestępstwa. Gdyby Lawinia nie dała się usidlić temu człowiekowi!

- Gdyby świat był inny, a ludzie doskonali, życie stałoby się łatwiejsze, nieprawdaż? -

Uśmiechnął się niewesoło. – Szuka pani doskonałości - podjął. - Przypuszczam, że będzie się pani musiała zadowolić czymś pośledniejszym. Zamierzam poprawić pani nastrój i proponuję, abyśmy zjedli razem obiad. Sądzę, że należy uczcić tę okazję. Sprawa jest zamknięta. Muszę wyznać, że chwilami dręczył mnie niepokój.

- O Lawinię - dodałam.

- O panią również.

- Ja nie miałam się czego obawiać.

- Lepiej nie być zamieszonym w podejrzone sprawy. Rzucają cień. Ludzie pamiętają...

mgliście. Zapominają szczegóły, kto był kim, jaką rolę odegrał. Bardzo mi ulżyło, że już po wszystkim.

- Nie mogę przestać myśleć o Miriam.

- Rozstrzygnęła swój dylemat w sposób, jaki wydał jej się najlepszy.

- I przekreśliła życie własne i męża.

- Niestety. Takiego dokonała wyboru. Smutna historia. Przyjdę po panią o pół do pierwszej.

Polly nie była zadowolona.

- Boże drogi, aż dostawałam gęziej skórki na myśl, co się może jeszcze wydarzyć... a teraz idziesz z nim na obiad. - Pokręciła głową. - Bądź ostrożna. Nie mam do niego za grosz zaufania.

- A za dwa?

- Nawet za całą sakiewkę. Uważaj na siebie.

- Och, Polly, oczywiście.

W restauracji, do której Fabian mnie zaprosił, wszyscy odnosili się do niego z najwyższym szacunkiem. Był w doskonałym nastroju. Nie znał przecież Miriam osobiście i jej tragedia niewiele dla niego znaczyła, a ponadto zażegnała grożące Framlingom niebezpieczeństwo.

- Czy to nie dziwne? - odezwał się. - Poznaliśmy się, gdy miała pani niespełna dwa latka, lecz dopiero teraz nasza znajomość się pogłębiła. Zbliżyła nas ta przykra sprawa.

Bardzo żałuję, że niebawem będę musiał opuścić Anglię.

- Wyjeżdża pan do Indii?

- Tak, z końcem tego roku lub na początku przyszłego. Czeka mnie długa podróż.

- Odbywat ją pan wcześniej?

- Nie. Ale dużo na ten temat słyszałem. W naszym domu ciągle goszczą osoby związane z Kompanią i nieustannie o tym rozmawiają.

- Zapewne wyruszy pan w drogę statkiem?

- Mam do wyboru dwie możliwości: albo odbyć długi rejs wokół Przylądka Dobrej Nadziei, albo zejść na ląd, dajmy na to, w Aleksandrii i przez pustynię dotrzeć do Suez, a stamtąd popłynąć dalej.

- Co pan uczyni, jak przypuszczam.

- Owszem, wybierzemy tę trasę. Zaoszczędzimy czas, choć wędrówka przez pustynię wiąże się z pewnym ryzykiem.

- Nie wątpię jednak, że okaże się niezmiernie interesująca.

- Ja również tak sądzę. Choć z pewnych względów będzie mi żal opuszczać Anglię.

Uśmiechnął się do mnie znacząco i poczułam, że lekko się rumienię. Nie zapomniałam owej chwili, gdy kierował pod moim adresem zawołane sugestie.

- Nie wiem, kiedy pani przyjaciel Dougal, nasz pan młody, wyruszy w drogę - mówił

dalej Fabian. - Miał to uczynić niebawem, lecz być może nowe zobowiązania zatrzymają go w Anglii.

- Gdzie leży jego rodowa siedziba?

- Niedaleko od nas. Jakies trzydzieści lub czterdzieści mil, jeśli się nie mylę. - Utkwił

we mnie badawcze spojrzenie. - Przypuszczam, że zostanie tam pani zaproszona. Zapewne sprawi to pani przyjemność.

Potrafił nadać swoim słowom ukryte znaczenie. Dawał do zrozumienia, że wie o moich uczuciach wobec Dougala, przekładając je na aspiracje i nadzieje. Byłam oburzona.

Często zdarzało mi się to w jego obecności.

- Oczywiście świeżo poślubieni małżonkowie mogą na początku pragnąć odosobnienia, lecz to niewątpliwie przeminie. Wówczas z pewnością będzie pani mile widzianym gościem.

- Lawinę pochłoną nowe zajęcia. Nie sądzę, by znalazła, dla mnie czas.

- Niemniej panią i Dougala łączyło zamiłowanie do starożytności. Mało prawdopodobne, by po pierwszych małżeńskich uniesieniach nie powrócił do dawnych zainteresowań.

- To się okaże.

- Bardzo filozoficznie podchodzi pani do życia.

- Nie wiedziałam.

- Nie wiemy mnóstwa rzeczy o sobie samych. - Zaczął mówić o Indiach i Kompanii.

Przypuszczał, że spędzi z dala od kraju kilka lat. - Kiedy wrócę - powiedział - nie będzie mnie pani już pamiętała.

- To raczej niemożliwe. Framlingowie rządzą całą okolicą, odkąd sięgnę pamięcią.

- Być może wyjdzie pani za mąż i opuści wioskę...

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

- To, co dziś wydaje się nieprawdopodobne, jutro może stać się nieuchronne. - Uniósł

kieliszek i dodał: - Za przyszłość... pani i moją.

Budził we mnie niepokój. Jego ton sugerował, iż wie, że zależało mi na Dougalu, a gdy Lawinia z lady Harriet odebrały mi go, pograżyłam się w smutku. Nie mogłam mu tłumaczyć, że choć lubiłam Dougala, byliśmy przyjaciółmi i poczułam się nieco dotknięta, kiedy zapomniał o mnie, olśniony urodą Lawinii, bynajmniej nie mam złamanego serca.

Fabian pochylił się ku mnie nad stołem.

- Czy wie pani - zaczął - że zawsze budziła pani we mnie szczególne zainteresowanie?

- Doprawdy?

Skinął głową.

- Od chwili, gdy panią porwałem i uprowadziłem do naszego domu. Czy ktoś opowiadał pani, jak się o panią troszczyłem przez owe dwa tygodnie?

- Tak, wspomniano mi o tym.

- Nie sądzi pani, że to może coś oznaczać?

- Oznacza to tylko, że był pan rozpieszczonym dzieckiem, które miało taką akurat zachciankę. Ponieważ właśnie ja znalazłam się na pańskiej drodze, zabrał mnie pan do domu.

Wszyscy panu ustępowali, dlatego nie mogłam od razu wrócić na plebanię.

Roześmiał się z satysfakcją.

- To dowodzi mego stanowczego charakteru.
- Raczej tego, że najbliższe otoczenie pobłażało pańskim kaprysom.
- Przypominam sobie to i owo. Małe dziecko. Rola ojca bardzo mi się podobała... i stąd wzięło się moje szczególne zainteresowanie. To dość naturalne.
- Mam wrażenie, że naturalnym acz przelotnym zainteresowaniem darzy pan większość młodych kobiet.

Ponownie parsknął śmiechem.

- Cokolwiek pani powie, uważam, że owa drobna przygoda wytworzyła między nami specyficzną więź.

Pokręciłam głową.

- Nic podobnego.
- Rozczarowuje mnie pani. Czy naprawdę jej pani nie wyczuwa?
- Nie - odrzekłam stanowczo.
- Druzyłło, zostaniemy przyjaciółmi... bliskimi przyjaciółmi.
- Przyjaźni nie zawiera się na zamówienie.
- Ale warto spróbować. Mieszkamy blisko siebie. Niewykluczone, że będziemy się często widywali. To... zdarzenie pozwoliło nam lepiej się poznać, czyż nie?
- Mam nadzieję, że uświadomiło panu, jak pochochne wysnuł pan wcześniej wnioski.
- Zrozumiałem to w pełni i pragnąłbym dowiedzieć się o pani czegoś więcej.

Wydało mi się, że wiem, do czego zmierza - wprawdzie nie w tak niewybredny sposób jak wówczas, gdy doszedł do pewnych konkluzji na mój temat, lecz wyczuwałam jego intencje.

Oczyrna duszy ujrzałam zatroskaną twarz Polly. Nie ufała mu. Ja również.

Zaczęłam wypytywać o Indie i Fabian opowiadał mi o tym kraju, dopóki nie uznałam, że na mnie już czas.

Sama się sobie dziwiłam. Żałowałam, że obiad dobiegł końca. Wiedziałam jednak, że Polly ma słuszność i muszę się strzec tego człowieka.

Gdy wróciłam, przyjrzała mi się z lekkim zaniepokojeniem. Musiała dostrzec na mojej twarzy wyraz radosnego podniecenia, w jakie wprawiało mnie ostatnio towarzystwo Fabiana.

Nie mogłam jednak siedzieć u Polly w nieskończoność. Musiałam kiedyś wrócić do domu.

Zbliżał się dzień ślubu.

Lawinia była pochłonięta przygotowaniami. Gdy poszłam ją odwiedzić, powitała mnie wylewnie i rozprawiała z entuzjazmem o ceremonii i miesiącu miodowym, dopóki nie zostałyśmy same.

- Och, Druzyлло - wybuchnęła - gdybyś tylko wiedziała, co ja przeżyłam!

- Inne osoby również, Lawinio.

- Ma się rozumieć. Ale ja mam właśnie wyjść za mąż.

- To, co przeżyła biedna Miriam, było jeszcze gorsze.

- Że też odważyła się na coś podobnego! Wprost nie mogłam uwierzyć.

- Biedaczka. To przekroczyło granice jej wytrzymałości.

- Strasznie się martwiłam. A gdyby tak policja podała moje nazwisko do gazet? Pisano już o mnie, ale zupełnie inaczej. Wiesz, że nazwali mnie najpiękniejszą debiutantką roku.

- Słyszałam o tym.

- Dougal był bardzo dumny. On mnie ubóstwia.

- Niewątpliwie.

- Będziemy mieli pyszną zabawę. Wybieramy się do Indii.

- A zatem wyjeżdżacie oboje, ty i twój brat.

Skrzywiła się lekko.

- Był na mnie zagniewany. Wygłosił kazanie na temat Fleur i całej tej sprawy.

Powiedziałam, że zapewniłam jej dobrą opiekę. Cóż więcej mogłam zrobić?

- Zabrać swoją córkę do domu i wychowywać ją.

- Nie opowiadaj głupstw. Jak to sobie wyobrażasz?

- Mogłaś wyznać prawdę, rozpocząć nowe życie i stać się oddaną matką. Fleur jest rozkoszna.

- Naprawdę? Może kiedyś ją odwiedzę.

- Polly nie życzyłaby sobie tego. Powiedziałyby, że to zakłóci spokój dziecka.

- Zakłóci spokój? Spotkanie z rodzoną matką?
- Oczywiście, jeśli ta matka zostawiła ją u obcych, żeby się jej pozbyć.
- Och, cicho bądź, mówisz zupełnie jak Fabian. Mam tego po wyżej uszu. Jest już po wszystkim, Miriam się o to postarała.
- Niewątpliwie okazała się twoją dobrodziejką.
- Dość dziwnie na to patrzysz.
- Taki jest twój punkt widzenia. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak ona musiała cierpieć?
- Powinna była powiedzieć o wszystkim mężowi.
- Tak jak ty Dougalowi?
- To co innego.
- Wszystko, co przydarzy się Framlingom, jest inne niż to, co zdarza się zwykłym ludziom.
- Przestań. Chcę z tobą porozmawiać o ślubie. Miesiąc miodowy spędzimy we Włoszech. Dougal chce mi pokazać skarby sztuki. - Wykrzywiła usta.

Biedny Dougal! - pomyślałam. A potem poczułam gniew na niego. Jak mógł być aż tak głupi, by zenić się z Lawinią, której charakter był całkowicie niezgodny z jego usposobieniem?

Myślała wyłącznie o sobie. Nic jej nie obchodziła Miriam; ucieszyła się tylko, że osoba zagrażająca jej samej została usunięta z drogi.

W tych dniach śniłam na jawie. Marzyło mi się, że Dougal zdał sobie sprawę z pomyłki i wrócił na plebanię, by odnowić dawną przyjaźń ze mną; że więź między nami stała się mocniejsza.

Może to dziwne, ale trzech mężczyzn odegrali ważną rolę w moim życiu. Colin Brady gotów był mnie poślubić, ponieważ w ten dogodny sposób zbliżyłby się do stanowiska proboszcza, które mój coraz bardziej schorowany ojciec przekazałby w jego ręce. Fabian wyraźnie dawał do zrozumienia, że chętnie wszedłby ze mną w bliższe związki, rzecz jasna bez ich legalizacji. Małżeństwo nie wchodziło w rachubę. Nie miałam wątpliwości, że lady Harriet, zdobywszy w tak umiejętny sposób tytuł dla córki, ma jeszcze większe ambicje, jeśli chodzi o syna. Mógł, oczywiście, stawić opór; nie dawał sobą kierować tak łatwo, jak Lawinia. Lady Harriet musiała zdawać sobie sprawę, że jej ukochany syn jest równie nieustępliwy jak ona. O tym powinnam była pamiętać. Zakładając, że Fabianowi naprawdę na mnie zależy, wystarczyłoby, aby podjął decyzję o ślubie ze mną. Matka, mimo niewątpliwego oburzenia i gorzkiego rozczarowania, musiałaby zastosować się do jego życzeń. Ale to było niemożliwe.

Mogłam go pociągać na tyle, by wdał się w przelotny romans, lecz małżeństwo między dziedzicem fortuny Framlingów a skromną córką pastora absolutnie nie wchodziło w rachubę.

No i jeszcze Dougal. Mężczyzna o manierach i zasadach dżentelmena. Byłabym dumna, mogąc obdarzyć go uczuciem. Dzieliłabym jego zainteresowania. On jednak, ujrawszy piękno, nie zdołał mu się oprzeć. Gdybym była mądrzejsza, przyznałabym słuszność Polly i powiedziała sobie: Miałam szczęście. Przypuśćmy, że zdarzyłoby się to później, kiedy zaangażowałabym się znacznie bardziej?

Przed wyjazdem usłyszałam od mojej opiekunki:

- Mężczyźni to dziwne stworzenia. Są wśród nich dobrzy i źli, wierni i tacy, którzy nie potrafią przestać się uganiać za kobietami, nawet gdy zdają sobie sprawę, że siedzą na beczce prochu. Chodzi o to, żeby wybrać tego właściwego.

- Jeżeli ma się wybór - wtrąciłam.

- Zawsze ma się wybór: przyjąć mężczyznę czy odrzucić. Ale są tacy, których ja bym omijała z daleka.

Wiedziałam, że do nich należy Fabian, a Dougal nie; lecz ten drugi miał się niebawem połączyć węzłem małżeńskim z Lawinią, należąca - zgodnie z opinią Polly - do tych kobiet, przy których mężczyzna siedzi na beczce prochu. Miałam niemal pewność, że nie będzie to harmonijne małżeństwo.

W końcu nadszedł dzień ślubu - wielki dzień dla całej wioski. Ceremonię poprowadził

mój ojciec. Kościół ozdobiono kwiatami wszelkich odmian, przysłanymi przez okolicznych ogrodników, którzy wybrali w tym celu najpiękniejsze okazy. Przybyły również dwie damy do układania kwiatów, ku oburzeniu panien Glyn i Burrows, gdyż dotychczas to one zawsze zajmowały się przystrajaniem kościoła.

Uroczystość wprawiła w podziw wszystkich zgromadzonych. Lawinia była olśniewająco piękną oblubienicą, a Dougal przystojnym panem młodym. Goście stawili się licznie.

Siedziałam w jednej z tylnych ławek. Widziałam lady Harriet w niezwykle strojnej toalecie i Fabiana, nad wyraz dystyngowanego. Czułam się jak wróbel pośród pawów.

Tak więc Lawinia poślubiła Dougala.

Janina nie żyła.

Fleur miała zapewnioną przyszłość.

Zakończył się pewien etap w moim życiu.

Indie

Niebezpieczna podróż przez pustynię

Upłynęły dwa lata - spokojne, szare i jednostajne. Każdego ranka, wstając z łóżka, wiedziałam dokładnie, co przyniesie dzień. Nie było blasków ani cieni. Jedyne emocje wiązały się z przewidywaniami, czy podczas letniego kiermaszu dopisze pogoda i czy dochód będzie wyższy niż poprzedniego roku.

Fabian wyruszył do Indii wcześniej, niż się spodziewano - opuścił dom niedługo po ślubie Lawinii.

To niedorzeczne, ale bez niego zrobiło się bardzo nudno. Dlaczego - skoro widywałam go tak rzadko i usilnie starałam się go unikać - nie miałam pojęcia. Nie powinnam żałować, że wyjechał. Był - jakby powiedziała Polly - utrapieniem.

Choć Lawinia często mnie irytowała, jej również mi brakowało. Wielki Dom wydawał

się bez nich zupełnie inny. Zastanawiałam się, czy lady Harriet za nimi tęskni, i dziwiło mnie, że pozwoliła obu swoim skarbowi odjechać tak daleko. Z tym większą energią oddała się sprawowaniu rządów w wiosce. Colin Brady zaskarbił sobie dużą przychylność dziedziczki, zapewne dlatego, że bardziej niż mój ojciec przestrzegał konwenansów. Zachowywał się bardzo ulegle. „Tak, oczywiście, lady Harriet”. „Dziękuję za wskazówkę, lady Harriet”.

Miałam chęć krzyknąć mu prosto w twarz: „Nie musisz być aż tak czołobitny! Jestem pewna, że w końcu dostaniesz tę parafię”.

Istniały jeszcze inne powody do smutku. Zdrowie mojego ojca pogarszało się z każdym dniem. Łatwo się męczył i musiałam być wdzięczna Colinowi za pomoc. To on, praktycznie rzecz biorąc, pełnił obowiązki proboszcza, co nie mogło przejść niezauważone i zasługiwało na nagrodę.

Raz usłyszałam słowa lady Harriet:

- Taki miły młodzieniec! Nasz drogi pastor jest trochę oryginałem. To jego zaabsorbowanie zmarłymi... w dodatku dawno zmarłymi osobami. Powinien raczej troszczyć się o parafian. To by w zupełności wystarczyło.

Od czasu do czasu zaglądała na plebanię, uważając to za swój obowiązek. Za każdym razem obrzucała mnie badawczym spojrzeniem.

Wiedziałam, co myśli. Lubiła, gdy wszystko szło gładko. Mój ojciec niedomagał od dłuższego czasu i - podobnie jak Karol II - przeciągał swą agonię w nieskończoność. Byłam niezamężną córką pastora, a na plebanii mieszkał młody człowiek. Rozwiązanie, z punktu widzenia lady Harriet, narzucało się samo, a w takich okolicznościach osoby zainteresowane powinny to zrozumieć i przyjąć, co się im oferuje.

Ojciec doznał lekkiego udaru mózgu. Nie został wprawdzie sparaliżowany, lecz mówił mniej

wyraźnie i częściowo utracił władzę w ramieniu i nodze, co uczyniło go na pół

kaleką. Pielęgnowałam go wraz z panią Janson i dwiema służącymi. Czułam jednak, że zbliżam się do punktu zwrotnego w moim życiu.

Doktor Berryman, nasz bliski znajomy, powiedział mi, że ojciec może w każdej chwili mieć drugi udar, którego już nie przeżyje.

Byłam zatem przygotowana.

Dużo czytałam ojcu. Sprawiało mu to największą przyjemność i obowiązek ten niewątpliwie pogłębił moją wiedzę o starożytnej Grecji i Rzymie. Każdego ranka po przebudzeniu zastanawiałam się, co przyniesie dzień, wiedziałam bowiem, że obecny stan rzeczy nie może trwać długo.

Kiedyś lady Harriet zaprosiła mnie na podwieczorek. Siedziałyśmy w bawialni, dostojna pani domu królowała przy stole nakrytym koronkowym obrusem, na którym stała srebrna taca ze srebrnym imbrykiem do herbaty, cienkimi kromkami chleba z masłem oraz ciastem z owocami.

Pokojówka podała mi filiżankę z herbatą nalaną przez lady Harriet. Rozmowa była na początku powściągliwa, wiedziałam jednak, że nie zostałam wezwana tylko na podwieczorek.

Lady Harriet opowiadała o Lawinii, której ogromnie podobało się w Indiach.

- Tamtejsze życie towarzyskie musi być nader emocjonujące - mówiła. - Przebywa tam wiele osób związanych z Kompanią. Sądzę, że tubylcy są nam bardzo wdzięczni. Tak zresztą być powinno. Nie toleruję niewdzięczności. Hrabia ma się dobrze i nasza droga młoda para jest niewymownie szczęśliwa, zwłaszcza od przyjscia na świat małej Luizy. Wielkie nieba, wyobraź sobie tylko...
Lawinia matką!

Uśmiechnęłam się posępnie w duchu. Lawinia została matką znacznie wcześniej, niż lady Harriet się wydawało.

Rozwodziła się nad wnuczką i jej ewentualnym przyjazdem do Anglii. Nie nastąpi to wprawdzie w najbliższym czasie, ale mała nie może przecież spędzić całego dzieciństwa w Indiach. Siedziałam i słuchałam, przytakując równie potulnie, jak to czynił Colin Brady.

Gdy skończyłyśmy podwieczorek i pokojówka uprzątnęła tacę, lady Harriet oświadczyła:

- Jestem nieco zaniepokojona sytuacją na plebanii.

Uniosłam pytająco brwi. Obdarzyła mnie dobrotliwym uśmiechem.

- Od śmierci twojej matki, moja droga, nie spuszczałam cię z oka. To było bardzo smutne: dziecko osierocone tak wcześnie. A twój ojciec... Ogromnie go lubię, ale czasami chodzi z głową w chmurach. Większości mężczyzn opieka nad małym dzieckiem sprawia trudności, lecz jemu szczególnie. Dlatego czuwałam nad tobą.

Jakoś nie zauważyłam wcześniej owej troski, z czego byłam raczej zadowolona; i właściwie w nią nie wierzyłam.

- Twój ojciec bardzo podupadł na zdrowiu, moja droga.

- Obawiam się, że tak - przyznałam jej rację.

- Nadszedł czas, by spojrzeć w oczy prawdzie, jakkolwiek bolesnej. Twój ojciec poważnie niedomaga. Dlatego pan Brady powinien przejąć jego obowiązki. To wspinały młodzieniec i ma moje całkowite poparcie. Żywi w stosunku do ciebie bardzo ciepłe uczucia.

Gdybyście się pobrali, byłaby to ulga dla mnie i szczęśliwe rozwiązanie problemów, które cię nieuchronnie czekają. Jako córka pastora znasz nasze obyczaje...

Oburzył mnie sposób, w jaki rozporządziła moją przyszłością, odparłam więc dość wyniośle:

- Lady Harriet, nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż. - Pragnęłam dodać: „I z pewnością nie uczynię tego dla pani wygody”.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie jak do krnąbrnego dziecka.

- Widzisz, moja droga, twój ojciec nie jest już młody. A ty wkroczyłaś w wiek odpowiedni do małżeństwa. Omówiłam tę kwestię z panem Bradym.

Mogłam sobie wyobrazić jego odpowiedź: „Tak jest, lady Harriet, jeśli uważa pani, że powinienem poślubić Druzyllę, oczywiście to uczynię”. Ogarnął mnie gniew i przywołałam na pomoc cały upór tkwiący w mojej naturze.

- Lady Harriet... - zaczęłam, lecz nie zdążyłam dać upustu złości, co najprawdopodobniej oznaczałoby dożywotni zakaz wstępu do domu Framlingów, gdyż z korytarza dobiegły jakieś hałasy. Usłyszałam czyjś głos:

- Nie... nie... tam jest lady Harriet!

Pani domu wstała i majestatycznym krokiem podeszła do drzwi. Otworzyła je na oścież - i cofnęła się na widok dziwacznej postaci, którą rozpoznałam natychmiast. Jej potargane włosy spływały na plecy; miała na sobie luźną koszulę nocną i była bosa.

- Co to ma znaczyć? - spytała z naciskiem lady Harriet.

Nadbiegła kobieta, którą znałam jako Aiszę, i przypomniałam sobie pierwsze spotkanie z panną Lucyllą, gdy opowiedziała mi o wachlarzu z pawich piór.

- Chcę z nią mówić! - wykrzyknęła gwałtownie staruszka. - Ona tu jest. Ach... -

Patrząc na mnie, ruszyła chwiejnie w naszą stronę. Aisza przytrzymała ją za ramiona.

- Panno Lucylo... proszę wracać do swego pokoju. Tak będzie lepiej.

Pamiętałam ten śpiewny głos, który przed laty wywarł na mnie silne wrażenie. Panna Lucylla powtórzyła:

- Chcę z nią mówić... Mam jej coś ważnego do wyjaśnienia.

- Zabierz pannę Lucyllę do jej sypialni - rozkazała natychmiast lady Harriet. - Jak mogło do tego dojść? Wydałam polecenie, by nie opuszczała swoich pokoi. To bardzo niekorzystnie wpływa na stan jej zdrowia.

Stałam, a nieszczęsna obłąkana kobieta wpatrywała się we mnie bacznie. Potem uśmiechnęła się tkliwie.

- Chcę... chcę... - zaczęła.

- Tak, dobrze - mruknęła uspokajająco Aisza. - Później... Zobaczymy. Zobaczymy...

Wzięła staruszkę łagodnie za rękę i poprowadziła za sobą; idąc, odwróciła głowę i spojrzała na mnie bezradnie. Lady Harriet była wyraźnie wytrącona z równowagi.

- Nie rozumiem, co się stało - powiedziała. - Moja kuzynka bynajmniej nie czuje się dobrze. Robię dla niej wszystko, co w mojej mocy. Nie do wiary, że pozwolili jej tu zejść...

Incydent wstrząsnął nią tak samo jak mną. Odbiegła myślami od moich spraw -

znacznie istotniejsze było to, co działo się w jej domu.

- No cóż, moja droga - westchnęła, żegnając się - pomyśl nad tym, a sama zrozumiesz, co dla ciebie najlepsze.

Z ulgą opuściłam dom Framlingów i w zamyśleniu ruszyłam ku plebanii. Istotnie znajdowałam się w trudnym położeniu i choć rozwiązanie proponowane przez lady Harriet było dla mnie absolutnie nie do przyjęcia, musiałam przyznać, że moje widoki na przyszłość rysują się raczej niewesoło.

Dwa dni później Colin Brady poprosił mnie o rękę.

Dużo ostatnio spacerowałam. Chętnie odbywałabym konne przejażdżki, lecz nie miałam własnego wierzchowca i choć Fabian swego czasu upoważnił mnie do korzystania ze stajni Framlingów, czułam, że nie zasługuję na ten przywilej, jako że nie mogłam zaakceptować propozycji lady Harriet.

Wracając ze spaceru na skróty, przez cmentarz, dostrzegłam Colina wychodzącego z kościoła.

- Ach, to ty, Druzylo - powiedział. - Chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

Domyśliłam się, co zaraz nastąpi.

Popatrzyłam na niego spokojnie. Z pewnością nie można mu było zarzucić brzydoty.

Jego twarz jaśniała prawością; należał do ludzi, którzy przez całe życie kroczą ścieżkami cnoty; nie mógł mieć żadnych wrogów prócz tych, którzy zazdroszczą mu zalet; gotów był

nieść pociechę chorym i strapionym; niekiedy nawet usiłował wykrzesać z siebie odrobinę humoru - i wiele młodych kobiet chętnie spędziłoby życie u jego boku. Uboga córka pastora nie mogła liczyć na nikogo lepszego.

Nie wiem, na co liczyłam, wolałam jednak stawić czoło światu samotnie niż z kimś, komu polecono ożenić się ze mną i czyje oświadczyły radzono mi przyjąć, uważając, że to dla mnie najlepsze wyjście.

- Dzień dobry, Colinie - odrzekłam. - Zapracowany jak zawsze?

- Sprawy parafii bywają czasochłonne. Dzisiaj rano wydawało mi się, że pastor nie wygląda zbyt dobrze. - Pokręcił głową.

- Tak - przyznałam. - Obawiam się, że jest bardzo osłabiony.

Colin odchrząknął.

- Przyszło mi na myśl, iż byłoby korzystnie, gdybyśmy... no cóż, w tych okolicznościach... wydaje się to dobrym wyjściem...

Znowu poczułam narastającą irytację. Nie chciałam widzieć w małżeństwie wyjścia, dobrego czy złego.

- Poza tym - ciągnął - znasz to miejsce. A ja... ja je pokochałem. I ciebie także, Druzyłlo.

- Przypuszczam, że rozmawiałeś z lady Harriet - oświadczyłam. - A raczej ona rozmawiała z tobą. Z lady Harriet raczej się nie rozmawia. Słucha się jej i koniec.

Zachichotał nerwowo, a potem odkaszlnął.

- Zmierzam do tego, że ty i ja... że moglibyśmy się pobrać.

- A wówczas mógłbyś przejąć probostwo.

- Cóż, to by chyba rozwiązało wszystkie nasze problemy.

- Uważam, że nie należy zawierać małżeństwa tylko po to, aby rozwiązać problem. A ty?

Na jego twarzy odbiła się konsternacja.

- Lady Harriet dała do zrozumienia...

- Och, wiem, co dała do zrozumienia. Nie chcę jednak wychodzić za mąż tylko dlatego, że to dogodne dla wszystkich.

- Nie tylko... - Ujął moją dłoń i popatrzył na mnie z przejęciem. - Bardzo cię lubię, wiesz o tym.

- Ja również cię lubię, Colinie. Z pewnością będziesz doskonałym proboszczem, kiedy przejmiesz wszystkie obowiązki mojego ojca. Już to zresztą zrobiłeś. Gdy zaś mowa o mnie, chyba nie chcę wychodzić za mąż... na razie.

- Moja miła, nie wolno ci tak myśleć. Zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. Nie zamierzam cię ponaglać. Gdybyśmy się zaręczyli...

- Nie, Colinie. Jeszcze nie.

- Wiem, że masz wiele spraw na głowie i martwisz się zdrowiem ojca. Być może przemówiłem zbyt wcześnie. Lady Harriet...

Miałam chęć krzyknąć: „Lady Harriet nie będzie rządzić moim życiem tak, jak rządzi twoim!”.

- Lady Harriet - odezwałam się spokojnie - lubi planować ludziom życie. Proszę cię, Colinie, spróbuj zrozumieć, że chcę sama pokierować własnym.

Uśmiechnął się lekko.

- To dama o bardzo silnym charakterze... lecz w głębi serca życzliwa i pragnie twego dobra. Zapytałem cię zbyt wcześnie. Wiem, że niepokoisz się o ojca. Porozmawiamy kiedy indziej.

Poprzestałam na tym, choć miałam na końcu języka oświadczenie: „Nigdy za ciebie nie wyjdę!”. Ale to byłoby nieuprzejme. Colin miał dobre serce. Nie powinnam dać po sobie poznać, jak bardzo mnie złości, że stał się narzędziem lady Harriet. Zapewne postępował

rozsądnie. Musiał znaleźć swoje miejsce w świecie i wiedział, że nie może sobie pozwolić na lekceważenie takich osób, jak Framlingowie, ponieważ od nich zależała jego dalsza droga życiowa.

Często chodziłam na padok. Leżał w obrębie posiadłości Framlingów, lecz rzadko z niego korzystano. Miałam tam trochę spokoju. Widziałam zachodnie skrzydło, w którym mieszkała panna Lucylla. Dużo rozmyślałam o naszym dziwnym spotkaniu przed laty. Ona je pamiętała i gdy przyszła do bawialni podczas podwieczorku, chciała się ze mną zobaczyć.

Dumałam nad przeszłością i próbowałam spojrzeć w przyszłość. Budziła we mnie pewne obawy, bo ojciec słabł z każdym dniem. Niecierpliwie wyczekiwał godzin popołudniowego czytania, gdyż największym nieszczęściem było dlań pogorszenie wzroku, co pozbawiło go kontaktu ze światem książek. Kiedy przysypiał, wiedziałam, że jest naprawdę bardzo osłabiony, ponieważ moje głośne czytanie było jego jedyną rozrywką.

Kładłam książkę na kolanach i wpatrywałam się w spokojną twarz ojca. Wyobrażałam sobie przybycie rodziców na plebanię, ich nadzieje i plany związane ze mną. A potem matka umarła, on zaś

poświęcił się książkom. Gdyby żyła, byłoby zupełnie inaczej.

Teraz jego życie dobiegało kresu, co oznaczało, że zostanę sama na świecie. Lecz nie -

miałam przecież Polly. Polly była jak tratwa dla tonącego, była moją gwiazdą przewodnią.

Wiedziałam, że ojciec nie pożyje długo. Wiedziałam również, że jego następcą zostanie Colin Brady i w domu, w którym przeżyłam całe życie, zabraknie dla mnie miejsca -

chyba że zgodzę się wyjść za wikarego. Może najrozsądniej byłoby przyjąć to, co los mi zsyła?

Nie, powiedziałam sobie w duchu. Dlaczego myślałam o tym małżeństwie z taką odrazą? Colin to dobry człowiek, powinnam się nim zadowolić. Ale dostrzegałam jego braki, gdy porównywałam go z innymi - z Dougalem, przy którym myślałam, że z naszej przyjaźni zrodzi się silniejsze uczucie; i Fabianem, który wzbudzał moją fascynację i jasno dawał do zrozumienia, o jakiego rodzaju związek między nami mu chodzi.

Niemądrze było myśleć o nich i porównywać ich z młodym wikarym. Ten nigdy nie dałby się tak oczarować pięknu jak Dougal; nigdy też nie przyszedłby mu do głowy związek inny niż małżeński.

Wydawało mi się czasami, że postąpiłam nierozsądnie, odrzucając Colina. Lady Harriet miała słuszość. Małżeństwo z nim mogło się okazać nie tylko najlepszym, lecz jedynym rozwiązaniem.

Gdy siedziałam oparta o żywopłot otaczający padok, moje spojrzenie często kierowało się ku pewnemu oknu i przypomiinałam sobie, jak to przed kilkoma laty panna Lucylla przyglądała się nam, gdy miałyśmy lekcje jazdy konnej.

Pewnego dnia zauważyłam, że zasłony się poruszyły. Jakaś postać stanęła w oknie, spoglądając na mnie. Panna Lucylla. Uniósłam rękę i pomachałam do niej. Nie zareagowała, a po chwili zobaczyłam, że się odsuwa, jak gdyby ktoś ją stamtąd odciągał.

Odtąd często ją widywałam. Przychodziłam zwykle po południu i mniej więcej o tej samej porze. Stało się to czymś w rodzaju niepisanej umowy między nami.

Coraz bardziej niepokoił mnie stan ojca. Od czasu do czasu mówił o matce i czułam, że bardzo chętnie powraca do przeszłości.

- Wszystkie jej plany wiązały się z tobą - powiedział rozmarzonym głosem, obudziwszy się nagle z drzemki, gdy przestałam czytać. - Tak bardzo pragnęła dziecka.

Cieszyłem się, że zdążyła cię jeszcze zobaczyć przed śmiercią. Nigdy nie oglądałem piękniejszego widoku niż twoja matka, gdy trzymała cię w ramionach. Chciała dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. Pragnęła, abyś założyła udaną rodzinę. Rad jestem, że Colin Brady tu zamieszkał. To dobry człowiek. Niewielu ludziom ufam tak jak jemu.

- Istotnie - zgodziłam się - jest porządnym człowiekiem.

- Przejmie parafię, kiedy mnie już nie będzie. Zasluguje na to. Lepiej niż ja nadaje się na proboszcza.

- Parafianie bardzo cię lubią, ojcze.

- Jestem zanadto roztargniony, by należycie wypełniać obowiązki duchownego.

- A Colin?

- On jest do tego stworzony. Ma to we krwi. Jego ojciec i dziadek służyli kościołowi.

Mogłaś trafić o wiele gorzej, Druzyłło... i nikogo lepszego nie znajdziesz. Bez obawy powierzyłbym cię temu człowiekowi.

- Wiele osób zdaje się podzielać opinię, że powinnam poślubić Colina Brady'ego.

- Plebania pozostałaby twoim domem.

- Tak, ale czy małżeństwa zawiera się tylko dla domu? Czy ty sam tak postąpiłeś?

Uśmiechał się, powracając myślami do czasów, gdy żyła moja matka.

- Mogłaś trafić o wiele gorzej - powtórzył sennie.

Wszyscy troszczyli się o moją przyszłość i widzieli jedno oczywiste rozwiązanie -
nawet mój ojciec.

Pewnego dnia, gdy siedziałam na padoku, podeszła do mnie Aisza. Byłam zaskoczona. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Często panienka tu przychodzi.

- Szukam ciszy i spokoju.

- Ciszy... spokoju - powtórzyła. - Moja pani patrzy. Wypatruje panienki.

- Tak, widziałam ją.

- Pragnie z panienką porozmawiać.

- Ze mną?

Skinęła głową.

- Nigdy panienki nie zapomniała.

- Och, masz na myśli tamten dzień... kiedy zabrałam wachlarz.

- Biedaczka, żyje tylko przeszłością. Obawiam się, że jest chora... bardzo chora. Mówi o połączeniu się z Geraldem. To był jej ukochany. Z wielką radością myśli o ponownym z nim spotkaniu. Pójdzie panienska ze mną? Pani obserwuje nas przez okno. Bardzo pragnie z panienką pomówić.

Ruszyłam za Aiszą do domu i weszłam schodami na górę, żywiąc nadzieję, że nie natkniemy się po drodze na lady Harriet. Długimi korytarzami dotarliśmy do drzwi pokoju, w którym niegdyś znalazłam wachlarz z pawich piór. Ujrzałam go w tym samym miejscu.

Panna Lucylla stała przy oknie. Miała na sobie szlafrok, a na nogach pantofle.

- Przeprowadziłam ją pani - powiedziała Aisza.

- Witaj, moja droga - odezwała się panna Lucylla. – Bardzo jestem rada, że przyszłaś.

Wiele czasu upłynęło od naszego spotkania. Ale widywałam cię. - Ruchem ręki wskazała okno. - Chodź tutaj i porozmawiaj ze mną.

- Proszę usiąść - zachęciła mnie Aisza, sadzając swoją panią w fotelu i przysuwając drugi dla mnie.

- Powiedz, moja droga - zaczęła panna Lucylla - nie układa ci się w życiu zbyt dobrze?

Zawahałam się. Nie byłam pewna, co odpowiedzieć. Czy dobrze mi się układało?

Może chwilami.

- Zdarzyło się wiele niedobrych rzeczy? - drążyła.

Z ociąganiem skinęłam głową. Kłopoty z Lawinią... zainteresowanie policji... smutna historia Janiny... tragedia Miriam... rozczarowanie Dougalem... zachowanie Fabiana.

- Przenigdy nie powinnaś była brać go do rąk - podjęła panna Lucylla. - Za to się płaci...

Zrozumiałam, że mówi o wachlarzu.

- Myślisz czasami o nim? - spytała. - O tych pięknych piórach? Pamiętasz klejnoty...

dobro i zło? Takie piękne... lecz piękno może być złe.

Stojąca obok Aisza czujnie obserwowała swoją panią. Lekko zmarszczyła brwi, co zapewne odzwierciedlało niepokój. Panna Lucylla przymknęła oczy i zaczęła opowiadać tę samą historię, którą już raz słyszałam, a gdy mówiła, po jej policzkach spływały łzy.

- To wina wachlarza. Gdybyśmy tylko nie poszli tamtego dnia na bazar! Gdyby Gerald mi go nie kupił i nie zaniósł do jubilera... jakże inaczej wszystko by się ułożyło w naszym życiu! A ty, moje drogie dziecko, przenigdy nie powinnaś pozwolić, by rzucił na ciebie urok.

- Nie sądzę, by rzucił na mnie jakiś urok. Pożyczyłam go tylko na chwilę.

- Ja wiem lepiej. Czułam się tak, jakby zdjęto ze mnie brzemię.

Zamknęła oczy i wydawało mi się, że usnęła. Zerknęłam pytająco na Aiszę, która wzruszyła ramionami.

- Tak to z nią jest - szepnęła. - Domagała się spotkania z panienką, a potem zapomniała, co miała do powiedzenia. Teraz jest zadowolona. Widziała się z panienką. Ona czasami mówi o panience. Martwi się. Wypytuje mnie o życie na plebanii. Martwi ją choroba ojca panienki.

- Zadziwiająca, że mnie pamięta.

- To dlatego, że panienkę lubi, a także z powodu wachlarza. On ją opętał.

- Dlaczego przywiązuje do niego tak wielką wagę?

- Widzi w nim źródło wszystkich nieszczęść.

- Dziwi mnie, że go się nie pozbyła.

Aisza pokręciła głową.

- Nie. Uważa, że nie może tego zrobić. Nie można pozbyć się klątwy, tak powiada.

Ona trwa wiecznie.

- Ale jeśli wierzy...

- To stary przesąd, a ponadto ona wierzy, że straciła ukochanego przez ten wachlarz.

Ma nad nią władzę.

- To bardzo smutne. Chyba powinnam już iść. Lady Harriet nie byłaby zadowolona, gdyby mnie tu zastała.

- Lady Harriet wyjechała do Londynu. Jest bardzo szczęśliwa, bo jej syn przyjeżdża do domu... z krótką wizytą. Są pewne sprawy, którymi musi się zająć. Nie pozostanie tu długo, lecz lady Harriet nie posiada się z radości, że go zobaczy.

Moje serce zabiło mocniej i poczułam przypływ ożywienia. Z krótką wizytą! Ciekawa byłam, czy go zobaczę.

- Wydają wielkie przyjęcie, zjadą się różni wytworni goście. Wysłano zaproszenia. To nie jest dobre dla panny Lucylli, obcy ludzie w domu zawsze ją niepokoją.

Zastanawiałam się, czy pobyt w Indiach zmienił Fabiana.

- Pójdę już - powiedziałam.

Aisza zerknęła na staruszkę.

- Tak - zgodziła się. - Śpi głęboko. Przesypia teraz większość czasu.

- Muszę poczytać ojcu. Czeka na mnie.

- Proszę za mną. Wyprowadzę panienkę.

Sprowadziła mnie na dół i pośpieszyłam do domu. Niemal zapomniałam o wizycie i dziwactwach panny Lucylli. Moje myśli krążyły wokół przyjazdu Fabiana.

Tamtej nocy stan mojego ojca uległ gwałtownemu pogorszeniu. Odkąd doznał udaru, cierpiał na niedowład kończyn i miał trudności z mówieniem. Doktor zawiadomił nas, że ojcu pozostało zaledwie kilka tygodni życia. Spędzałam przy nim dużo czasu i widziałam oznaki nadchodzącego kresu.

Polly napisała, że gdyby cokolwiek się stało, mam natychmiast do niej przyjechać.

Wtedy wszystko omówimy. Upomniała mnie, żebym nie podejmowała pochopnych decyzji.

Jako jedyna nie wyrażała przekonania, że małżeństwo z Colinem Bradym to najlepsza rzecz, jaka może mnie w życiu spotkać.

Fabian przyjechał w dniu śmierci mojego ojca. Dowiedziałam się od pani Janson, że jest już w domu. Pozostałam przy ojcu do samego końca. Trzymał mnie za rękę i widziałam, że odchodzi w spokoju ducha.

Colin Brady zachował się bardzo przyzwoicie. Zajął się wszystkim sprawnie i ze zrozumieniem, a jeśli nawet myślał, że to kolejny krok do osiągnięcia celu, nic po sobie nie pokazał.

ady Harriet była niezadowolona, że pastrowi zachciało się umrzeć właśnie wtedy, gdy oczekiwała powrotu syna. Dla osoby tak pochłoniętej sprawami parafii zdarzyło się to, łagodnie mówiąc, nie w porę. Wyobrażałam ją sobie, wspominającą o tym fakcie z niejakim wyrzutem w modlitwach. Niebiosa powinny mieć więcej względów dla kogoś, kto zawsze niestrudzenie wypełniał swoje obowiązki.

Dowiedziałam się od pani Janson, że lady Harriet zaczęła planować uroczyste przyjęcia, gdy tylko syn powiadomił ją o swoim przyjeździe. Ważną wizytę w siedzibie Framlingów miała złożyć lady Geraldine Fitzbrock z rodzicami. Fitzbrockowie mogli się poszczycić pochodzeniem równie szlachetnym jak sama lady Harriet i nie ulegało wątpliwości, że ta wybrała dla sir Fabiana właśnie Geraldine Fitzbrock.

Myślałam o nim od czasu do czasu, lecz głównie pochłaniała mnie przeszłość. Tak wiele rzeczy w domu przypominało mi o ojcu. Plebania wydawała się dziwnie cicha i niemal obca - teraz, gdy spoczywał w trumnie w zaciemnionym salonie. Wszędzie napotykałam coś, co przywoływało wspomnienia - jego gabinet pełen książek i same książki z zakładkami w ulubionych miejscach. Przypominałam sobie, jak szukał okularów, by po raz kolejny przeczytać któryś z ukochanych

fragmentów. Żył w innej epoce i niechętnie odrywał się od niej, gdy wzywały go sprawy parafii.

Powinam była to przewidzieć. Często przyglądał mi się w skupieniu, marszcząc brwi. Moja przyszłość stała się przedmiotem jego głębokiej troski, której długo nie podzielałam. W głębi swego naiwnego serca wierzył, że poślubię Dougala. Z jaką radością powitałby takiego zięcia! Zapewne wyobrażał już sobie długie spotkania, poświęcone wspólnemu zgłębianiu przeszłości. Dougal był wówczas młodzieńcem niezbyt zasobnym w dobra materialne - typem uczonego, człowiekiem niezwyklej łagodności, pozbawionym ambicji, ulepionym z tej samej gliny, co mój ojciec.

Spoglądając wstecz, uświadomiłam sobie, jak wielkie rozczarowanie musiał przeżyć ojciec, gdy sprawy przybrały inny obrót, niż sobie życzył. Nie tylko utracił wymarzonego zięcia, lecz także zaczął go dręczyć niepokój o przyszłość córki. Później nabrał nadziei, że wyjdę za mąż za Colina Brady'ego. Byłoby to bardzo rozsądne posunięcie. Colin nie dorównywał wprawdzie Dougalowi, lecz mimo to jego kandydatura wydawała się wysoce zadowalająca.

Ludzie uważali, że powinam poprzestać na tym, co mogę mieć. Szansę na zamążpójście nie pojawiały się często i nie należało ich pochopnie odrzucać. Lady Harriet dała mi do zrozumienia, że jestem niemądra. Zapewne byłam. Nie odczuwałam niechęci do Colina Brady'ego, bo nikt nie mógł jej odczuwać. Co-lin odnosił się do wszystkich życzliwie i uprzejmie, tak więc doskonale nadawał się na pastora. Gdzieś w głębi duszy żywiłam jednak przekonanie, że jeśli postąpię „rozsądnie”, będę tego żałowała, gdyż wybiorę przewidywalną, monotonną drogę przez życie, które straci dla mnie wszelki urok.

Gdybym nie znała Dougala... gdybym bardziej hołdowała konwenansom... może wyszłabym za Colina. Ale byłam sobą i odruchowo buntowałam się przeciw zawieraniu małżeństwa w takich okolicznościach.

Fabian odwiedził mnie na plebanii. Wydawał się szczerze przejęty.

- Niezmiernie mi przykro - powiedział.
- Dziękuję. To nie nastąpiło niespodziewanie.
- Nie. Niemniej musiało być wstrząsem.
- Miło z pana strony, że pan przyszedł.
- To przecież oczywiste.
- Mam nadzieję, że pobyt w Indiach okazał się udany.

Wzruszył ramionami.

- Czy zabawi pan tu dłużej? - zapytałam.
- Nie. Muszę zaraz wracać.

- Rozumiem.

- A pani będzie się zajmować... przygotowaniami?

- Tak. To konieczne.

- Niewątpliwie. Gdybyśmy mogli coś dla pani zrobić...

- Dziękuję, nie trzeba. Pan Brady bardzo mi pomaga.

- Jestem tego pewien. Słyszałem, że pogrzeb odbędzie się jutro. Naturalnie przyjdę.

- Dziękuję.

Uśmiechnął się do mnie i wkrótce potem wyszedł. Byłam z tego zadowolona. Nie chciałam, aby zauważył moje poruszenie. Niemal żałowałam, że mnie odwiedził.

Podczas nabożeństwa żałobnego kościół był wypełniony po brzegi. Lady Harriet z sir Fabianem siedzieli w ławce Framlingów. Przez cały czas myślałam wyłącznie o moim ojcu i przypominałam sobie różne związane z nim drobne wydarzenia. Ogarnął mnie bezbrzeżny smutek. Nigdy w życiu nie czułam się równie samotna.

Colin Brady był energiczny i rzeczowy. Poprowadził żałobników na plebanię, gdzie popijaliśmy grzane wino i jedliśmy kanapki przygotowane przez panią Janson. Cały dom spowiła atmosfera powagi.

Nie był to już mój dom. Mógłby nim pozostać, rzecz jasna, gdybym została żoną Colina. Musiałam się bardzo poważnie zastanowić, co dalej.

Odczytano testament. Ojciec posiadał niewiele, lecz to, co zostawił, należało do mnie.

Notariusz wyjaśnił mi, że wiąże się to z bardzo znikomymi dochodami, niewystarczającymi nawet na skromne życie, ale mogę po nie sięgnąć w razie potrzeby. Dodał, iż spodziewa się, że przemyślałam już sytuację, która z pewnością nie jest dla mnie zaskoczeniem.

Odrzekłam, że nadal o niej myślę.

Wyczuwałam wokół siebie nastrój wyczekiwania. Pani Janson miała taką minę, jakby przewidywała rozwój wypadków. Z pewnością myślała, że poślubię Colina Brady'ego i życie w domu potoczy się dawnym torem. Wszyscy znali moje zwyczaje, lubili mnie i nie życzyli sobie nikogo obcego.

Takie rozwiązanie wydawało im się nieuniknione, gdyż pan Brady wyraźnie skłaniał

się ku niemu, a czyż mogłam znaleźć bardziej odpowiedniego męża? Najwyższy czas, żebym gdzieś osiadła na stałe - a tu czekało na mnie stosowne miejsce.

Wieczorem, po pogrzebie, Colin zaczął rozmowę. Siedziałam przy oknie, spoglądając w stronę

cmentarza i czując niezmierny smutek. Znalazłam się na rozdrożu i nie wiedziałam, którą ścieżkę wybrać. Jedna wydawała się łatwa i wszyscy mnie ku niej popychali.

- To bardzo smutny dzień - powiedział. - Wiem, jak wiele ojciec dla ciebie znaczył.

Ogromnie go lubiłem. Był człowiekiem wielkiej dobroci.

Skinęłam głową.

- Spędziliście razem tyle lat, oczywiście z wyjątkiem okresu, kiedy byłaś w szkole.

No właśnie, w tym tkwiło sedno. To, co się wówczas stało, odmieniło mnie. Czy moje uczucia byłyby inne, gdybym przez całe życie nie opuszczała plebanii? Wkroczyłam na chwilę w świat, w którym ludzie popełniali szaleństwa i płacili za nie; lecz dzięki temu zrozumiałam, że życie to coś więcej niż wygoda i odliczanie dnia za dniem, spokojnie i monotennie, niemal jakby się czekało na śmierć.

- To dla ciebie wielki cios - ciągnął. - Druzyłło, czy pozwolisz, bym dźwigał ten ciężar razem z tobą?

- Już to robisz - odrzekłam. - Wzięłeś na siebie wszystkie obowiązki i wypełniałeś je bez zarzutu.

- Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybym odtąd mógł się tobą opiekować.

Chciałam odpowiedzieć, że nie mam szczególnej ochoty, by ktoś się mną opiekował.

Potrafiłam dać sobie radę sama. Pragnęłam życia pełnego wrażeń, ekscytującego... Nie szukałam wygody ani płynącego z niej zadowolenia.

- Moglibyśmy niezwłocznie wziąć ślub. Lady Harriet uważa, że tak byłoby najlepiej.

- Nie życzę sobie, by lady Harriet rządziła moim życiem, Colinie.

Zaśmiał się krótko.

- Oczywiście, że nie. Ale, jak wiesz, jest ważną osobą. Każdy liczy się z jej zdaniem. -

Na jego twarzy odmalował się lekki niepokój. - Martwi się o ciebie. Wszyscy się martwimy.

- Zupełnie niepotrzebnie. Chcę sama zaplanować swoją przyszłość.

- Przeżyłaś silny wstrząs i chyba nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę.

Chciałbym, abyś wiedziała, że wystarczy jedno twoje słowo. Nie będę cię ponaglał. Plebania jest twoim domem, zawsze nim będzie.

- Och, plebanie są jak folwarki. Wiążą się ściśle z wykonywaną pracą.

- Tak, to prawda. - Wydawał się ogromnie przejęty. Już wcześniej mogłam się przekonać, że nie znosi niezdecydowania. Wiedziałam, że nie mogę go poślubić, i uczciwość nakazywała powiadomić go o tym natychmiast.

- Colinie - zaczęłam - muszę ci powiedzieć, że nigdy nie zostanę twoją żoną.

Był wyraźnie zaskoczony.

- Przykro mi - ciągnęłam. - Lubię cię... ale w inny sposób.

- Druzyłlo, czy naprawdę się zastanowiłaś? Pomyśl tylko. Dokąd się udasz?

Pod wpływem nagłego impulsu odrzekłam:

- Pojadę na pewien czas do Polly i porozmawiam z nią o przyszłości. Ona dobrze mnie zna. Doradzi mi, co powinnam zrobić.

- To, o czym myślę, ma na celu twoje dobro i byłoby najszcześniejszym rozwiązaniem.

To oczywiste, Druzyłlo, że powinnaś za mnie wyjść.

- Nie mogę, Colinie. Jesteś dobry i miły, wiele zrobiłeś dla oji dla mnie. Ale nie mogę cię poślubić.

- Być może później...

- Nie. Proszę, zapomnij o tym. - Widząc jego zakłopotanie, dodałam: - Jestem ci najszczerzej zobowiązana za wszystko i doceniam twoją propozycję.

- Jesteś teraz wytrącona z równowagi.

- Nie - odparłam niemal ze złością, gdyż jego ton sugerował, że popełniam głupstwo, odrzucając oświadczenia. Udało mi się jednak przekonać go, że mówię poważnie. Po chwili dodałam: - Chciałabym pójść się położyć. To był męczący dzień.

Zaproponował, że przyśle mi na górę pokojówkę z gorącym mlekiem. Moje protesty zbył machnięciem ręki i po chwili mleko przyniesiono.

Usiadłam przy oknie. W oddali widziałam światła Wielkiego Domu. Czułam się samotna i zagubiona. U Framlingów miało się odbyć huczne przyjęcie. Lady Geraldine będzie tańczyła z Fabianem, wybiorą się na wspólną przejażdżkę, porozmawiają... oczywiście nie dzisiaj, z szacunku dla mego zmarłego ojca, lecz w najbliższej przyszłości. Lady Harriet życzyła sobie tego małżeństwa. Zastanawiałam się, czy Fabian zastosuje się do jej pragnień.

Bez wątplenia musi przyznać, iż to odpowiednia dla niego partia.

Pomyślałam gniewnie, że Fabian należy do tych mężczyzn, którzy żenią się z odpowiednimi kobietami, a swoje kaprysy zaspokajają z kimś innym - z istotami niższego stanu, dość dobrymi, by

dostarczyć chwilowej rozrywki, lecz nie dość dobrymi do małżeństwa.

Postanowiłam odwiedzić Polly.

Nazajutrz zobaczyłam Fabiana przejeżdżającego obok plebanii w towarzystwie młodej damy - zapewne lady Geraldine. Była wysoka i przystojna. Usłyszałam jej donośny głos, gdy prowadzili ożywioną pogawędkę. Dobiegł mnie śmiech Fabiana.

Weszłam do domu i spakowałam trochę rzeczy. Nie wiedziałam, jak długo pozostanę w Londynie, przed powrotem musiałam jednak podjąć jakąś decyzję.

U Polly znalazłam pociechę, której tak bardzo potrzebowałam.

Fleur skończyła już pięć lat. Była dzieckiem roztropnym i żywym jak iskra.

- Tylko patrzy, co by tu spsocić - zauważyła z czułością Eff a Polly dodała, że mała jest niezwykle bystra.

Dziewczynka powitała mnie radośnie. Polly i Eff zawsze mówiły o mnie niemal nabożnym tonem, co wywarło na nią pewien wpływ. Spędzałam z nią dużo czasu. W sklepie ze starzyzną wyszukałam kilka książek znanych mi z czasów dzieciństwa i zaczęłam ją uczyć.

Okazała się bardzo pojętna.

Przyszło mi do głowy, że mogłabym rozpocząć nowe, szczęśliwe życie w domu Polly i Eff. Miałam swój skromny, lecz wystarczający dochód. Uczyłabym Fleur i byłoby nam dobrze razem.

Polly martwiła się o mnie.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Mam czas, by się nad tym zastanowić - odrzekłam. – Nie muszę natychmiast podejmować decyzji.

- Nie. Całe szczęście.

- Chciałabym tu zostać przez jakiś czas. Przepadam za Fleur.

Przy niej zapominam o troskach.

- No dobrze, ale na dłuższą metę to nie są warunki dla młodej, wykształconej panny.

Nie poznasz tu nikogo odpowiedniego.

- Twoje myśli będą wciążyć tym samym torem. Rozważasz wydanie mnie za mąż?

- No cóż, powiadają, że to loteria, lecz istnieją szansę, że się wyciągnie szczęśliwy los... a wtedy nic lepszego nie może człowieka spotkać.

- Z pewnością masz słuszość, Polly.
 - Szkoda, że tak się sprawy mają z tym panem Bradym.
 - Nie mogę go poślubić tylko dlatego, że to najlepsze wyjście z sytuacji.
 - Nikt tego od ciebie nie wymaga.
 - Jak to nie? Z jednej strony lady Harriet, a z drugiej sam Colin.
 - Ach, oni...
 - Wiem, Polly, że ty jesteś inna, lecz choćby to nawet było najlepsze rozwiązanie, dla mnie jest nie do przyjęcia.
 - Zostawmy to więc. Chyba już nie myślisz o tym Dougalu. Niezłe z niego ziółko...
żeby tak łudzić dziewczynę, a potem wystawić do wiatru.
 - Och, Polly - zaśmiałam się. - Niezupełnie tak było.
 - A jak, chciałabym wiedzieć? Przychodził z wizytą do ciebie i pastora, aż tu pojawiła się ta Lawinia, zrobiła do niego słodkie oczy... i do widzenia.
- Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, co świadczyło, jak ł dbam o tamte wydarzenia.
- Przeklnie dzień, w którym doszedł do majątku.
 - Może tak nie będzie, Polly. Lawinia jest bardzo piękna... a ja, prawdę mówiąc, wprost przeciwnie.
 - Jesteś taka, jaką stworzył cię Bóg.
 - Czy nie dotyczy to nas wszystkich?
 - Nic ci nie brakuje. Są mężczyźni, co nie potrafią oprzeć się zalotnym minkom, i takich lepiej unikać, więc podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że wasze drogi się rozeszły. Nawet bym nie spojrziała na tego Dougala, choćby się przede mną czołgał.
 - Zapewniam cię, że nie będzie nam dane tego ujrzeć.
 - Wkrótce zrozumie, że popełnił olbrzymi błąd, i pożałuje własnej głupoty. Masz na to moje słowo.
 - Lawinia mogła się zmienić teraz, gdy ma dziecko.
 - Zawsze słyszałam, że wilka ciągnie do lasu.
 - Lawinia nie jest wilkiem.

- Prędzej wilk się zmieni niż ona. Zapamiętaj moje słowa: on już żałuje tego nieprzemyślanego kroku. No, ale wróćmy do ciebie.

- Nigdzie nie byłoby mi lepiej niż tutaj, Polly.

- Na razie, owszem... Coś jednak trzeba przedsięwziąć.

- Zaczekajmy, dobrze? Zaczekajmy trochę.

Kiwnęła głową.

Mijały dni. Fleur wносиła w moje życie wiele radości. Bawiłyśmy się razem, a kiedy szła spać, siadałam z Polly i Eff i słuchałam barwnych opowieści o lokatorach.

- Coraz lepiej poznajemy życie - zachichotała Eff.

Polly przytaknęła, lecz widziałam, że jej zdaniem takie życie nie pasuje do mnie.

A potem nadszedł list od lady Harriet. Na kopercie widniał rodowy herb i Eff miała nadzieję, że listonosz to zauważył. Zamierzała napomknąć o lady Harriet w najbliższej rozmowie z „drugim piętrem”.

Przez chwilę wpatrywałam się w zapieczętowany list, zadając sobie pytanie, co też lady Harriet może mieć mi do zakomunikowania. Otworzyłam go i przeczytałam.

Moja Droga Druzyłło,

niepokoiłam się o Ciebie. Biedny pan Brady jest niepocieszony. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz żałowała swej pochopnej decyzji. Postąpiłabyś najśluszniej, zostając jego żoną i gospodynią na plebanii. Jestem pewna, że kiedyś zrozumiesz, jaki popełniłaś błąd, trwając w uporze.

Tymczasem chcę Ci złożyć pewną propozycję. Lawinia jest bardzo szczęśliwa w Indiach. Jak wiesz, ma córeczkę, małą Luizę i donoszę ci z radością, że niedawno wydała na świat drugie dziecko - chłopczyka. Pragnie, abyś przyjechała i trochę jej pomogła. Muszę przyznać, że przekonała mnie do tego pomysłu. Posyłam jej opiekunkę do dzieci. Nie życzę sobie, by moje wnuki były wychowywane przez cudzoziemki. Lawinia zatrudniła ayah, lecz chciałabym, aby miały dobrą angielską nianię. Wyszukałam odpowiednią osobę i zamierzam ją wyprawić jak najszybciej. Lawinia wyraziła pragnienie, byś dotrzymywała jej towarzystwa, ja zaś bardzo to pochwalam. Twój wyjazd byłby z korzyścią dla Was obu. Lawinia życzy sobie, by dzieci otrzymały angielskie wychowanie, i ma nadzieję, że będziesz nie tylko jej towarzyszką, ale także nauczycielką dzieci.

Wraz z małżonkiem, hrabią Tenleigh, zamierzają powrócić do Anglii za dwa lata.

Jestem przekonana, że nie omieszkasz skorzystać z tej doskonałej propozycji. Oczekuję szybkiej decyzji z Twojej strony. Niania wyjeżdża na początku przyszłego miesiąca i byłoby najlepiej, gdybyście tę podróż odbyły razem, masz zatem trzy tygodnie na przygotowania.

Będę wdzięczna za rychłą odpowiedź.

Uniosłam głowę znad listu. Zabrakło mi tchu z zaskoczenia i poczułam dreszcz emocji. Wyjechać do Indii! Zamieszkać z La-winią i dziećmi. Zobaczyć Dougala i Fabiana.

Nadeszła Polly i zauważyła, że wpatruję się nieobecny wzrokiem w przestrzeń.

- Jakież nowiny? - zagadnęła.

- Polly! - wykrzyknęłam. - To wprost niewiarygodne!

- Co?

- Dostałam list od lady Harriet.

- Znowu się wtrąca?

- Można to i tak nazwać... ale tym razem ma dla mnie fascynującą propozycję.

Namawia mnie, żebym wyjechała do Indii.

- Co takiego?

- Zostałabym kimś w rodzaju guwernantki i dotrzymywałabym towarzystwa Lawinii.

Polly utkwiała we mnie zdumione spojrzenie.

- Znowu ta Lawinia - powiedziała.

Odczytałam jej list drżącym z przejęcia głosem. Miałam uczucie, że Framlingowie od początku wywierali ogromny wpływ na moje życie.

- Kiedy musisz jej odpowiedzieć? - zapytała Polly.

- Jak najszybciej. Wyjazd ma nastąpić za niecały miesiąc.

Dyskutowaliśmy przez kilka godzin, lecz właściwie już wcześniej podjęłam decyzję.

Polly dość szybko dała się przekonać.

- W pierwszej chwili ścięło mnie z nóg. Indie! To tak daleko. Ale może wyjdzie ci to na dobre. Chętnie byśmy cię zatrzymały... tylko co byś tu robiła? Z twoim wykształceniem nie powinnaś tu tkwić. A mała... Myślałyśmy, żeby wziąć dla niej guwernantkę. Chcemy kształcić Fleur, wiesz chyba. Możemy skorzystać z pieniędzy, które sir Fabian dla niej przeznaczył. Bo dlaczegóżby nie? Bądź co bądź, jest jej wujem. Nie potrzebujemy ich dla siebie, lecz Fleur to co innego. Musi mieć wszystko, co najlepsze.

Eff zgodziła się z Polly, że ich dom nie jest odpowiednim dla mnie miejscem.

Uważała wprawdzie, że trochę ryzykuję, wybierając się do obcych krajów, ale Lawinia tam pojechała i jakoś przeżyła.

Zamierzałam odpisać lady Harriet, doszłam jednak do wniosku, że skoro zostało tak niewiele czasu, prościej będzie wrócić. Nadal miałam do dyspozycji swój pokój na plebanii, a w nim większość osobistych rzeczy, było to zatem najodpowiedniejsze miejsce na przygotowania do podróży.

Dwa dni po otrzymaniu listu wyruszyłam w drogę powrotną.

Udałam się prosto na plebanie, gdzie pani Janson natychmiast przekazała mi smutną wiadomość. Dom Framlingów był pogrążony w żałobie.

- To panna Lucylla. Miała kilka ataków i ostatniego już nie przetrzymała. Wyprawił ją na tamten świat. Zawsze powtarzam, że gdzie jeden pogrzeb, tam zaraz patrzeć drugiego. -

Wygłosiła to tonem biblijnego proroka. - Najpierw kochany pastor, a teraz panna Lucylla.

Cóż, zdaje się, że śmierć była dla niej wybawieniem. Wyglądaliśmy ślubu, ale chyba jeszcze na to za wcześnie.

- Ślubu?

- Lady Harriet gorąco namawiała Fabiana, żeby ożenił się z lady Geraldine, tylko że on musiał wracać do Indii... czy gdzieś tam. Skrócił nawet pobyt w domu. Coś ci powiem. -

Znowu przybrała pozę prorokini. - Myślę, że się porozumieli. Ta młoda dama pojedzie tam do niego i połączą się węzłem małżeńskim.

- Doprawdy? - spytałam. - Chciałabym niezwłocznie zobaczyć się z lady Harriet.

Napisała do mnie z propozycją, bym pojechała do panny Lawinii do Indii.

- Boże ty mój jedyny! Coś podobnego! No, nie wiem... skoro jednak Framlingowie tam mieszkają...

- Muszę iść. Ona czeka na moją odpowiedź.

Lady Harriet przyjęła mnie natychmiast.

- Moja droga Druzyłlo, spodziewałam się ciebie.

- Pomyślałam, że sama zjawię się szybciej niż list.

- I co postanowiłaś?

- Chcę jechać, lady Harriet.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej twarz.

- Aha. Przypuszczałam, że tym razem okażesz więcej rozsądku. Mamy mnóstwo spraw do załatwienia. Niestety, w naszym domu panuje teraz żałoba.

- Bardzo mi przykro. Słyszałam o panie Lucylli.

- Kochane biedactwo. To dla niej naprawdę wybawienie. Musimy zająć się pogrzebem, lecz tymczasem rozpoczniemy przygotowania. Napiszę do Lawinii, z pewnością będzie uszczęśliwiona. Nie wątpię, że zdołasz nauczyć czegoś Luizę. To dla mnie wielka ulga, że wiem, kto ją będzie miał w swej pieczy. Alicja Philwright przyjedzie tu na kilka dni i byłoby dobrze, gdybyś ją poznała, skoro macie podróżować razem. Sądzę, że z nią będziesz bezpieczna. Odbywała już podróże i opiekowała się dziećmi we Francji. Popłyniecie statkiem do Aleksandrii, a stamtąd dostaniecie się drogą lądową do innego portu... chyba Suez.

Szczegóły omówimy później. Teraz powinnaś zacząć się szykować, pakować rzeczy i tak dalej. Nie wiem, co tam masz jeszcze do zrobienia... Te sprawy pozostawiam już tobie.

Mówiła dalej, wyraźnie zadowolona, że nareszcie zastosowałam się do jej decyzji i doceniłam mądre plany związane z moją osobą. Niewiele rzeczy sprawiało jej większą przyjemność niż kierowanie czyimś życiem.

Po tej rozmowie wróciłam na plebanię, gdzie Colin powitał mnie bardzo życzliwie.

Był całkiem zadowolony z życia; zajął miejsce mojego ojca, uzyskując powszechną aprobatę.

Ojca lubiano bardziej za jego dziwactwa niż za sprawne kierowanie parafią. Colin roztaczał

wokół siebie aurę dobroduszej życzliwości i przeplatał powagę humorem w sposób stosowny dla duchownego. Doskonale się nadawał do tego zawodu.

Ponadto zaczął okazywać zainteresowanie Ellen, córce doktora. Była nieco starsza od niego, lecz posiadała wszelkie kwalifikacje potrzebne żonie pastora, a prócz tego spodobała się lady Harriet. Rozwiązanie nasuwało się samo, zważywszy, że Colinowi brakowało tylko żony, by mógł stać się idealnym pastorem. Najwyraźniej znalazł się na dobrej ku temu drodze.

Nie żywił do mnie urazy za odrzucenie jego oświadczeń. Powiedział, że na strychu jest mnóstwo miejsca i mogę tam zostawić swoje rzeczy na przechowanie, a po powrocie z Indii zdecyduję, co z nimi zrobić. Zaoferował mi również dobrą cenę za umeblowanie plebanii, należącej teraz do niego; dzięki temu zaoszczędził sobie fatygi związanej z kupowaniem nowych sprzętów, ja zaś uzyskałam dodatkowe fundusze.

Propozycje te wydawały się bardzo rozsądne i byłam wdzięczna Colinowi za jego praktyczną pomoc. Musiałam wyzbyć się sentymentów i pogodzić ze świadomością, że tak jest najlepiej.

Narastało we mnie podniecenie i z biegiem dni zdałam sobie sprawę, że właśnie tej podróży potrzebuję. Pragnęłam jak najszybciej wyjechać. Znalazłam się w ślepym zaułku i musiałam poszukać nowych miejsc i nowych ludzi.

Gazety rozpisywały się w owym czasie o wojnie z Rosją. Już wcześniej sytuacja była napięta, a teraz wojna została wypowiedziana.

Słano depesze o strasznych warunkach panujących na Krymie. Wyjechała tam niejaka panna Florence Nightingale z grupą pielęgniarek. Czytałam o tym, a goszcząc u Polly, widziałam żołnierzy maszerujących przez Londyn w stronę nabrzeża, gdzie mieli się zaokrętować. Ludzie wiwatowali i śpiewali patriotyczne pieśni, ja jednak byłam zbyt pochłonięta radykalną odmianą własnego losu, by zwrócić na te wydarzenia należyłą uwagę.

W dniu pogrzebu panny Lucylli poszłam do kościoła. Colin odprawił nabożeństwo, ja zaś pozostałam w jednej z tylnych ławek. Czułam, że lady Harriet mogłaby to uznać za przejaw arogancji z mojej strony, gdybym przypisała sobie rolę przyjaciółki zmarłej.

Gdy opuszczano trumnę do grobu, zauważyłam wśród żałobników Aiszę, która wydawała się bardzo smutna i zagubiona. Podeszłam do niej. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Pani byłaby zadowolona, że panienka przyszła. Często mówiła o panience.

- Musiałam przyjść - odrzekłam. - Choć widziałam ją zaledwie kilka razy, nigdy jej nie zapomnę.

- Tak. A teraz jej już nie ma. Cieszyła się, że odchodzi. Wierzyła, że połączy się z ukochanym. Mam nadzieję, iż tak będzie. Że odzyska utracone szczęście.

Żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Ruszyłam powoli w stronę plebanii.

Nazajutrz na plebanii zjawiła się służąca Framlingów. Lady Harriet pragnęła natychmiast się ze mną zobaczyć. Poszłam do niej niezwłocznie.

- To dość zaskakujące - powiedziała. - Panna Lucylla zostawiła coś dla ciebie.

- Dla mnie?

- Tak. Aisza mówi, że zainteresowałaś ją, kiedy pierwszy raz przyszłaś pobawić się z Lawinią.

- Spotkałam się z nią jeszcze raz czy dwa.

- No cóż, życzyła sobie, by przekazać ci jeden z należących do niej przedmiotów.

Kazałam go tutaj przynieść.

W tej właśnie chwili weszła pokojówka, niosąc podłużne puzderko, które postawiła na stole.

- Oto ów przedmiot - oznajmiła lady Harriet. - Poleciała w testamencie, by oddać go tobie.

Podniosłam puzderko.

- Otwórz je - zachęciła lady Harriet.

Uśluchołam. Widok pawich piór właściwie mnie nie zaskoczył. Domyślałam się, że taki właśnie legat zapisała mi panna Lucylla. Dotknęłam pięknych zielonkawoniebieskich piór i poczułam lekki dreszcz odrazy.

Nie mogłam się powstrzymać, by nie wyjąć i nie rozłożyć wachlarza. Nacisnęłam sprężynkę w uchwycie, odsłaniając szmaragd i brylanty, które już raz widziałam. Lady Harriet uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Słyszałam, że jest wart majątek - powiedziała. - Cóż, możesz go uważać za kapitał na czarną godzinę.

-Dziękuję, lady Harriet.

Skinęła głową.

- Panna Lucylla była nieco ekscentryczną damą. Tragedia przeżyta w młodości głęboko nią wstrząsnęła. Pocieszam się myślą, że zawsze dokładałam wszelkich starań, by miała należytą opiekę.

Wróciłam zatem na plebanię z wachlarzem z pawich piór.

Potem odwiedziła mnie Aisza.

Była bardzo zasmucona. Przez wiele lat opiekowała się swoją panią. Spacerowałyśmy po ogrodzie, ponieważ nie chciała wejść do domu. Zapytałam ją, co zamierza teraz zrobić.

Odpowiedziała, że pomyśli o tym za pewien czas. Panna Lucylla dobrze ją zabezpieczyła, więc pieniądze nie stanowiły problemu. Nie wykluczała powrotu do Indii.

Śmierć starej da-^y była dla niej wstrząsem, mimo iż się jej spodziewała. Pozwolono jej zostać w domu Framlingów, dopóki nie postanowi, co dalej robić.

Mówiła o panie Lucylli, ojej dobroci i łagodności, ojej okropnej rozpacz.

- Zawsze powtarzała, że musi panienka dostać ten wachlarz - powiedziała. - Uznała, że tak będzie najlepiej, bo panienka miała go już w rękach.

- Ale twierdziła, że przynosi nieszczęście.

- Nasłuchiwała się legend. Opowiadano je po śmierci jej ukochanego i, pogrążona w żalu, uwierzyła w te historie. Może przeświadczenie, że tak się musiało stać, koło jej smutek.

Bo widzi panienka, ona winiła siebie. Zapragnęła wachlarza i on kupił go dla niej; była tak zachwycona, że postanowił go dodatkowo ozdobić i właśnie wtedy, gdy się tym zajmował, spotkała go śmierć. Tylko zrzucając winę na wachlarz, mogła przestać obwiniać siebie. W

wachlarzu objawiło się przeznaczenie.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego go nie zniszczyła, jeśli uważała, że sprowadza zło.

- Bo myślała, że to może przynieść jeszcze większe nieszczęście. Ona już ucierpiała z powodu klątwy, zatem wachlarz nie mógł jej wyrządzić większej krzywdy. Wierzyła, że panienkę także spotkało niepowodzenie z powodu zetknięcia się z nim. Po domu krążyły plotki i słyszała niektóre z nich. Była zaciekawiona i uradowana na wieść, że być może panienka poślubi pana Carruthersa, który został hrabią. Jego zaręczyny z Lawinią upewniły ją, że na panienkę spadła klątwa wachlarza. Tak jak i jej, odebrał panience ukochanego.

Powiedziała: „Ją także dosięgła klątwa, biedne dziecko. Zapłaciła swoją cenę. Jest młoda. Ma jeszcze wiele lat przed sobą. Ale zapłaciła cenę... uwolniła się od złego uroku”.

- Jej rozumowanie nie wydaje się zbyt logiczne.

- Moja biedna pani nigdy nie kierowała się rozsądkiem, a ta tragedia ją odmieniła.

Zaćmiła jej rozum.

- To trochę dziwne... przekazywać komuś w testamencie zło.

- Uważała, że tak będzie najlepiej, bo wachlarz nie wyrządzi już panience krzywdy.

Zapłaciła panienka swoją cenę. Pomyślała, że może go panienka przyjąć. - Aisza lekko dotknęła mojej dłoni. - Nie buja panienka w obłokach, tylko... jak to mówią, stąpa twardo po ziemi. I rozumie, że te legendy to niedorzeczność. W wachlarzu jest klejnot. Może się kiedyś przydać, nigdy nie wiadomo, co nas w życiu spotka. Któregoś dnia może panienka potrzebować pieniędzy... rozpaczliwie ich potrzebować. Wtedy sprzeda panienka klejnot i zostanie tylko garść pawich piór.

Moja biedna pani nie była tak mądra. Proszę pamiętać: nasze szczęście zależy od nas samych. Jeśli ktoś wierzy, że spotka go coś złego, to tak będzie. Panna Lucylla pogrzyżyła się w rozpacz i nie próbowała się z niej otrząsnąć. Pielęgnowała ją i podsycala w sobie.

Przypisywała wszystko klątwie... i co zrobiła? Zachowała wachlarz. Lubiała na niego patrzeć.

Czasami prosiła, żebym go jej podała; otwierała go i wpatrywała się w pióra, dopóki łzy nie zaczęły płynąć po jej policzkach. Panienka ma więcej rozsądku i wie, że małżeństwo panny Lawinii z hrabią nie ma nic wspólnego z wachlarzem.

- Oczywiście. Ale nie byłam zakochana. Ucierpiała jedynie moja duma, a nie serce.

- Kto wie, może za kilka lat panienka powie: „To mi wyszło na dobre”, kiedy znajdzie panienka prawdziwe szczęście. Tak będzie, proszę mi wierzyć. Jedzie panienka do Indii. Ten kraj wyda się panience dziwny. Będę się za panienkę modliła...o wszelką pomyślność.

Później zaczęła mówić o Indiach, o osobliwych widokach, jakie tam ujrzę.

Opowiedziała mi o religii, zwyczajach, kastach i tradycjach.

- A kobiety - powiedziała - są niewolnicami mężczyzn. Wiadomo, że wszędzie na świecie mężczyźni chcą rządzić. Tak jest w Anglii... a w Indiach tym bardziej. Był czas, że palono wdowy na stosach pogrzebowych ich mężów. Ten zwyczaj nazywał się sati, ale teraz już się tego nie robi. Generalny gubernator sir William Bentinck wydał zakaz. Ludzie nie lubią jednak, gdy ktoś próbuje zmieniać ich zwyczaje... zwłaszcza cudzoziemiec.

- Takiemu zwyczajowi należało położyć kres.

- O tak... temu i sekcje thagów, ale są tacy, którzy nie myślą o tym, czy coś jest słuszne, tylko czy nie narusza ich tradycji.

- Cywilizacja jest potrzebna. Niemożliwe, żeby ludzie jej nie chcieli.

Pokręciła głową, patrząc na mnie ciemnymi, smutnymi oczyma.

- Oni nie zawsze chcą tego, co dobre, tylko tego, co jest ich własne. Ach, musi panienka to sama zobaczyć, żeby zrozumieć. Panna Lawinia na pewno bardzo się ucieszy.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o Indiach i mojej podróży. Powiedziałam, że musimy się jeszcze spotkać, zanim wyjadę.

Czas upływał mi na przygotowaniach. Utrzymywałam stały kontakt z lady Harriet.

Niemal bez przerwy posyłała po mnie, by udzielić mi podstawowych wskazówek, co mam robić.

Napisała do Lawinii, która już oczekiwała mojego przybycia, i w trakcie jednej z naszych rozmów napomknęła, iż lady Geraldine z całą pewnością wyruszy niebawem do Indii

- „w pewnym celu” - dodała tajemniczo. Poczulałam lekkie ukłucie gniewu, że wszystko układa się po myśli lady Harriet i nawet Fabian bez szemrania podporządkowuje się jej poleceniom.

Miałyśmy spędzić dwie doby w Londynie i zamierzałam zatrzymać się u Polly i Eff.

Chciałam się z nimi pożegnać, jak należy. Lady Harriet uznała to za doskonały pomysł, jako że pobyt w Londynie był, tak czy inaczej, konieczny.

Mniej więcej tydzień przed wyjazdem zjawiała się Alicja Philwright. Wezwano mnie, żebym ją poznała.

Była to wysoka kobieta lat około trzydziestu. Nikt nie nazwałby jej urodziwą, lecz jej twarz zdradzała silny charakter. Sprawiała wrażenie nieco groźnej i niezwykle kompetentnej.

Lady Harriet osobiście przeprowadziła z nią rozmowę i była zadowolona z tego, czego się dowiedziała.

Podczas podwieczorku w towarzystwie lady Harriet konwersacja - co było do przewidzenia - dotyczyła przede wszystkim jej poglądów na wychowywanie dzieci; dopiero później, gdy zostałyśmy

same, mogliśmy się bliżej poznać, co okazało się wielką przyjemnością dla mnie i chyba również dla Alicji.

Powiedziała mi, że zalicza się do tych niań, które nie lubią, gdy ktoś ingeruje w ich metody wychowawcze, i gdyby to dziećmi lady Harriet miała się zająć, bez wahania zrezygnowałaby z posady.

- Nikt mi nie będzie dyktował, jak powinnam postępować z moimi podopiecznymi -

oznajmiła. - I doszłam do wniosku, że tutaj musiałyby obowiązywać metody wielmożnej pani, nieco przestarzałe, jak się obawiam.

Zapewniłam ją ze śmiechem, że z hrabiną rzecz ma się zupełnie inaczej.

- Przypuszczam, że znają pani dobrze.

- Bardzo dobrze. Uczyłyśmy się w jednej szkole.

- O, zatem wasza przyjaźń sięga kilka lat wstecz.

- Więcej niż kilka. Gdy byłam mała, czasami posyłano po mnie na plebanię, abym przyszła pobawić się z Lawinią.

- Lawinia to nasza hrabina?

Kiwnęłam głową.

- Obawiam się, że była dość rozpieszczonym dzieckiem.

- Rozpieszczonym? Przy tej despotce?

- Lady Harriet uważała, że jej dzieci są ulepione z tej samej boskiej gliny, co ona.

- I to ma być moja nowa chlebodawczyni!

- Jestem przekonana, że Lawinia pozostawi pani wolną rękę w pokoju dzieciennym.

- Słyszałam, że w Indiach przebywa również jej brat.

- Ach tak, sir Fabian. Wątpię, czy zauważy naszą obecność.

- Wnosząc ze słów lady Harriet, wkrótce się ożeni.

- Obiło mi się to o uszy. Pewna dama o nieskazitelnym rodowodzie wybiera się w tym celu do Indii.

- Interesujące.

- Widocznie zabrakło im czasu, by wziąć ślub tutaj, ponieważ wezwano go w nagłej sprawie.

- Związanej z interesami Kompanii Wschodnioindyjskiej, jak mniemam.

- Istotnie.

- Mam nadzieję, że dotrzemy na miejsce bez przeszkód. Ta wojna może nam nieco utrudnić podróż... transporty wojskowe płynące na Krym i tak dalej.

- Nie pomyślałam o tym.

- No cóż, zobaczymy.

- Czy cieszy się pani na myśl o wyjeździe?

- Cieszę się, że poznam nowe dzieci. Pracowałam dotychczas u dwóch rodzin i rozstanie z podopiecznymi było naprawdę bolesne. Trzeba wyrobić w sobie nawyk, by się zanadto nie przywiązywać do dzieci i przez cały czas pamiętać, że nie jest się ich matką, choć czasami łatwo o tym zapomnieć.

- Ja do dziś nie zerwałam kontaktu z moją nianią - odrzekłam. - I nigdy tego nie zrobię. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

Dużo opowiadałam o Polly, Eff i ich domu.

- Poszczeniło jej się - uznała Alicja. - Miała dokąd pójść. Życie opiekunek i guwernantek upływa w cudzych domach i nie mają rodziny, którą mogłyby nazwać własną.

- Chyba że wyjdą za mąż.

- Wówczas przestają być opiekunkami i guwernantkami. To dziwne zjawisko. Kobiety mojej profesji rozumieją dzieci i kochają je, byłyby więc wspaniałymi matkami... ale rzadko wychodzą za mąż. Jest rzeczą powszechnie znaną, iż mężczyźni odwracają się od kobiet, w których znaleźliby najlepsze żony, i zakochują się w płochych stworzeniach, mających tę zaletę, że wyglądają uroczo w blasku księżyca... Później zresztą niejeden tego żałuje.

- Widzę, że pani poglądy na życie są nieco cyniczne.

- To przychodzi z wiekiem. Sama się pani przekona.

- Och, przecież nie jest pani staruszką.

- Mam trzydzieści trzy lata. Nie da się ukryć, że to już staropanieństwo. Wprawdzie istnieje jeszcze szansa, że kogoś się pozna i polubi... ale bardzo, bardzo nikła.

Wygłosiła to oświadczenie z uśmiechem i poczułam, że się zaprzyjaźnimy.

Miałyśmy jeszcze jedno spotkanie z lady Harriet. Wręczyła nam listy do Lawinii, niewątpliwie wypełnione różnymi przestrogią i napomnieniami. Obeszłam okolicę, żegnając się ze znajomymi,

spotkałam się ostatni raz z Aiszą - i wreszcie wyjechałyśmy.

Polly i Eff powitały nas bardzo serdecznie. Alicja Philwright zatrzymała się u nich wraz ze mną. Zapewniły, że bez kłopotu mogą ją przenocować. Polly zapewne cieszyła się w skrytości ducha, że trafia jej się sposobność, by ocenić moją towarzyszkę. Z radością zobaczyłam, iż od pierwszej chwili zapałały do siebie sympatią. Alicja czuła się zupełnie swobodnie w kuchni i nawet wypła szklankę grzanego porteru.

Opowiadała o swoich wychowankach z Francji i Włoch i wyznała, że trudno jej wyobrazić sobie angielsko-hinduskie gospodarstwo domowe.

- Cieszę się, że pani z nią jedzie - oświadczyła Polly. A później, w rozmowie ze mną, powiedziała: - To przyzwoita, rozsądna kobieta. Bałam się, że wyślą cię tam z jakąś lekkomyślną podfruwajką.

Przypomniałam jej, że lekkomyślne podfruwajki rzadko pracują jako opiekunki do dzieci.

- Ostatnimi czasy nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi - odparła.

Przywiozłam z sobą wachlarz z pawich piór i pokazałam go Polly.

- Panna Lucylla zapisała mi go w testamencie.

- Hm - mruknęła Polly. - Ładny. - Na widok klejnotów wydała stłumiony okrzyk i otworzyła oczy ze zdumienia. - To musi być warte niezły grosz.

- Tak przypuszczam. Lady Harriet nazwała to kapitałem na czarną godzinę.

- No cóż, muszę przyznać, że dobrze mieć coś takiego.

- Chciałabym, żebyś go przechowała. Żadne inne miejsce nie przychodzi mi do głowy.

- U mnie będzie bezpieczny, nic się nie bój.

Przeżyłam chwilę wahania. Nie powiedziałam Polly, że wachlarz podobno przynosi nieszczęście. Tak czy inaczej, wyśmiałaby to przypuszczenie; ja zaś w głębi serca pragnęłam o nim zapomnieć.

- Żałuję, że nie jadę z tobą - westchnęła. - Bądź ostrożna. I uważaj na tego Fabiana.

Możesz się tam natknąć na niego.

- Nie sędzę, bym go miała często widywać. Będzie pochłonięty interesami.

- Tacy jak on zawsze wysuwają się na pierwszy plan. Ja bym go omijała z daleka.

- Wydaje mi się, że już to mówiłaś.

- I gotowa jestem powtórzyć jeszcze raz. O jednym zawsze pamiętaj: że jesteśmy tutaj. Gdyby któregoś

z nich spróbowało jakichś figli-migli... nigdy nie ufałam żadnemu z Framlingów... daj mi tylko znać, a będę czekała, aż twój statek przybije do brzegu.

- To dla mnie wielka pociecha, Polly.

- Pamiętaj, zawsze znajdziesz u nas dom.

- Będę pamiętać - obiecałam. - Do widzenia, Polly, i dziękuję ci, że przyjechałaś na plebanie i byłaś przy mnie przez tyle lat.

- Dobraliśmy się w korce maku, co? Uważaj na siebie i wracaj prędko.

- To tylko dwa lata, Polly.

- Będę liczyć dni.

Wkrótce potem wypłynęliśmy do Aleksandrii na pokładzie statku „Królowa Orientu”.

Stałyśmy z Alicją ramię w ramię przy relingu, dopóki ostatni skrawek Anglii nie zniknął nam z oczu. Później zeszłyśmy do naszej wspólnej kajuty. Była ciasna i skromna, lecz

- jak się okazało - dopisało nam szczęście, że miałyśmy ją tylko dla siebie. Wówczas jednak czułam zbyt wielkie podniecenie, by myśleć o takich szczegółach. Wyruszałam na spotkanie przygody.

Miałam skąpe doświadczenie, jeśli chodzi o podróże, choć przeprawiałam się tam i z powrotem przez kanał La Manche w okresie nauki w Lamason. Przypomniał mi się sekretny powrót do Anglii z Janiną i oczekującą dziecka Lawinią.

Zaczęłam rozmyślać o mojej przyjaciółce, zastanawiając się, czy małżeństwo ją odmieniło i jakie niespodzianki czekają mnie u kresu podróży, który wydawał się teraz bardzo odległy. Dzieliło mnie od niego wiele nowych doświadczeń.

Po niespełna godzinie morze zaczęło się burzyć i fale huśtały statkiem od kanału La Manche aż po Zatokę Biskajską. Musiałyśmy chwilowo pohamować chęć zwiedzania pokładu, gdyż trudno było utrzymać się na nogach.

Zapoznawszy się wreszcie ze współpasażerami, orzekłyśmy, że są dość sympatyczni; wielu znało się już z poprzednich podróży. To stawiało nas nieco z boku, a ponadto dwie kobiety odbywające samotnie tak daleki rejs stanowiły dość nietypowe zjawisko, zwłaszcza że Alicja - choć starsza ode mnie - była jeszcze stosunkowo młoda. Lady Harriet z pewnością nie pochwalałaby takiego rozwiązania, gdyby nie to, że znakomicie pasowało do jej planów.

Tak czy inaczej, znajdowałyśmy się w drodze i po kilku dniach wiedziałyśmy już coś niecoś o towarzyszach podróży.

Dwie panny - z różnych rodzin - płynęły do narzeczonych, by wziąć w Indiach ślub.

Doszłam do wniosku, że jest to dość częsta praktyka. Szkotka Fiona Macrae miała poślubić żołnierza, a przyszły mąż Jane Egmont był urzędnikiem Kompanii. Pomyślałam o lady Geraldine, która wybierała się w tę samą podróż do Fabiana. Często się zastanawiałam, czy go zobaczę i jaki będzie jego stosunek do mnie. Zadawałam sobie pytanie, czy zaaprobuje mój przyjazd w charakterze damy do towarzystwa jego siostry.

Naturalnie wiele czasu spędzałam z Alicją i dowiedziałam się nieco więcej na jej temat. Kiedyś była zaręczona i miała wyjść za mąż. Nie myślała jeszcze wtedy o pracy niani.

Mieszkała w Hastings u siostry i szwagra. Nie czuła się tam zbyt szczęśliwa - krewni wprawdzie byli dla niej dobrzy, ale miała wrażenie, że jest intruzem. I pewnego dnia spotkała Filipa. Był malarzem. Przyjechał do Hastings dla podreperowania zdrowia. Miał słabe płuca i zalecono mu morskie powietrze.

Spotkała go, gdy siedział na brzegu i szkicował wzburzone morze. Wicher zdmuchnął część jego rysunków prosto pod nogi Alicji, która je podniosła i oddała właścicielowi.

- Pamiętam ten porywisty wiatr - mówiła. - Niemal zbijał mnie z nóg. Pomyślałam, że tylko wariat może pracować przy takiej pogodzie. Ucieszył się, że uratowałam jego szkice.

Zaczęliśmy rozmawiać i przypadliśmy sobie do gustu. Później już spotykaliśmy się codziennie. - Jej oczy złagodniały i wydawała się zupełnie inną osobą, miękka, delikatna i kobieca. - Mieliśmy się pobrać. Powiedział mi, że nie jest zbyt silny, chorował na suchoty.

Zamierzałam go pielęgnować i byłam pewna, że potrafi przywrócić mu zdrowie. Umarł na miesiąc przed planowanym ślubem. Cóż, tak już w życiu bywa. Wtedy postanowiłam, że będę się opiekowała dziećmi... i zostałam nianią. Nie przypuszczam, abym kiedykolwiek miała własne dzieci, więc muszą mi wystarczyć cudze.

Nasze rozmowy bardzo szybko nabrały charakteru zwierzeń. Opowiedziałam jej o oświadczeniach Colina i przytoczyłam opinię lady Harriet, że byłoby to dla mnie najlepsze wyjście, a moja odmowa jest przejawem uporów i braku rozsądku. Alicja skrzywiła się lekko.

- Trzeba zachować ostrożność, gdy się ma do czynienia z ludźmi pokroju lady Harriet.

To manipulatorzy. Nikomu nie pozwolę sobą manipulować. Dobrze, że ty także nie pozwoliłaś.

- I nigdy nie pozwolę.

- Miałaś słuszość, że mu odmówiłaś. Małżeństwo trwa długo, więc należy dokonać właściwego wyboru. Możesz spotkać tego jedynego mężczyznę raz w życiu, on zaś może cię nawet nie zauważyć. Ale jeśli to właśnie on, nikt inny go nie zastąpi.

Nie powiedziałam jej o Dougalu, który opuścił mnie, zanim zdążyłam się zakochać, ani o Fabianie, którego jakoś nie potrafiłam wyrzucić z pamięci.

Pierwszym portem na naszej drodze był Gibraltar.

Z rozkoszą postawiłam stopę na suchym lądzie. Płynący z nami państwo Carling zaproponowali, abyśmy razem z nimi zeszły na brzeg. Zapewne było im żal dwóch samotnych kobiet.

Spędziłyśmy bardzo przyjemny dzień, zwiedzając Skałę Gi-braltarską i oglądając mały; i choć to było fascynujące, znaleźć się w nieznanym miejscu, powiewała nad nami brytyjska flaga, czułyśmy się więc prawie jak w domu.

Rejs przez Morze Śródziemne upłynął spokojnie. Przesiadywałyśmy długo na pokładzie, wygrzewając się w łagodnych promieniach słońca. W takich to okolicznościach zawarłyśmy znajomość z panem Lasseurem.

Zauważyłam go nieco wcześniej w gronie pasażerów. Był średniego wzrostu, w średnim wieku, miał czarne włosy i ciemne oczy, które zdawały się nieustannie zerkać na wszystkie strony, jak gdyby obawiał się, że coś mu umknie. Zawsze kłaniał mi się z miłym uśmiechem i pogodnym „dzień dobry” lub „dobry wieczór”, w zależności od pory.

Domyślałam się, że jest Francuzem.

Gdy wpływaliśmy do portu w Neapolu i stałam sama przy reknku - nie wiedziałam, dokąd poszła Alicja - monsieur Lasseur Podszedł do mnie.

- Ekscytująca chwila, nieprawdaż, mademoiselle? Mówię o zawijaniu do portu.

- Istotnie - przyznałam. - Wszystko, co nowe, wydaje nam się ekscytujące.

- Ja również ulegam temu uczuciu... choć dla mnie to nie nowość.

- Często podróżuje pan tą trasą?

- Od czasu do czasu, tak.

- Płynie pan do Indii?

- Nie, tylko do Suez.

- O ile mi wiadomo, mamy dotrzeć tam z Aleksandrii drogą lądową.

- Zgadza się. To niezbyt... wygodna podróż. Jak pani ją zniesie?

- Wszystko jest dla mnie tak nowe i fascynujące, że prawdopodobnie nawet nie zauważę niewygód.

- Widzę, że podchodzi pani do tego bardzo filozoficznie. A pani towarzyszka...

zapewne starsza siostra?

- O, nie.

- Nie? A zatem...

- Podróżujemy razem. Mamy objąć posady w Indiach.

- To bardzo interesujące. Czy mogę spytać...? Ale to nadmierna ciekawość z mojej strony. Po prostu na statku w mniejszym stopniu przestrzega się konwenansów. Płyniemy razem, jesteśmy jedną rodziną... mogę zatem przyjąć rolę wuja lub starszego brata peut-etre.

- To miło z pana strony.

- Nie znalazły tu panie zbyt wielu przyjaciół.

- Większość pasażerów znała się już wcześniej, a małżeństwa trzymają się razem.

Przypuszczam, że nieczęsto widuje się dwie kobiety podróżujące samotnie, tak jak my.

- To urocze, wyznam szczerze. Urocze. Pragnę zadać pani pytanie: czy w Neapolu schodzą panie na ląd?

- Nie jestem pewna... rozumie pan...

- Rozumiem. Dwie samotne damy. Pozwolę sobie teraz na pewną śmiałość.

Uniosłam brwi.

- Oto, co przyszło mi na myśl. Dlaczego nie miałbym towarzyszyć paniom w wycieczce na ląd? Dwie damy spacerujące bez eskorty... - Podniósł ręce i z powagą pokręcił

głową. - Nie.. to nie jest dobry pomysł. Tutejsi kupcy mogą powiedzieć: „Dwóm samotnym kobietom policzymy wyższą cenę”, a być może uprawiają jeszcze inne nieładne praktyki. Nie, damy nie powinny schodzić z pokładu bez opieki. Dlatego, droga pani, gotów jestem służyć męskim ramieniem.

- Bardzo pan uprzejmy. Pomówię z moją przyjaciółką.

- Proszę mną rozporządzać - odrzekł.

W tej właśnie chwili dostrzegłam Alicję. Przywołałam ją do nas.

- Alicjo, monsieur Lasseur był łaskaw zaoferować swoje towarzystwo podczas wycieczki na ląd.

Jej oczy rozblęły z radości.

- Doskonały pomysł! Cały czas zastanawiałam się, co zrobić.

- Mademoiselle, cała przyjemność po mojej stronie. - Zerknął na zegarek. - Spotkajmy się za... powiedzmy, kwadrans. Sądzę, że wtedy pozwolą nam opuścić statek.

Spędziłyśmy zatem dzień w Neapolu w towarzystwie szarmanckiego Francuza.

Opowiedział nam dużo o sobie. Był bezdzietnym wdowcem, miał pewne sprawy do załatwienia w Egipcie i zamierzał zatrzymać się na pewien czas w Suezie, dokąd jechał w interesach.

Chciał się dowiedzieć co nieco na nasz temat. Słuchał z uwagą, sprawiając wrażenie, jakby to, co mamy do powiedzenia, niezmiernie go interesowało.

Miał w sobie coś władczego. Przeprowadził nas przez roztrajkotany tłum małych chłopców, którzy zebrali lub próbowali coś nam sprzedać. Odganiał ich machnięciem ręki.

- Nie, panno Delany - powiedział. - Widzę, że jest pani żal tych nieboraków, lecz proszę mi wierzyć, to zawodowi żebracy.

Słyszałem, że bardzo dobrze im się wiedzie dzięki łatwowierności przyjezdnych.

- Istnieje przecież możliwość, że są rzeczywiście tacy ubodzy, na jakich wyglądają.

Ostrzegawczo uniósł palec.

- Zapewniam panią, że gdyby dała pani coś jednemu, reszta zleciałaby się tu jak stado sępów. Pani rozdawałaby jałmużnę, a tymczasem czyjeś zręczne paluszki znalazłyby drogę do pani kieszeni.

Wynajął mały powóz zaprzężony w dwa nieduże koniki i odbyliśmy przejażdżkę po mieście. Monsieur Lasseur niewątpliwie znał je dobrze i gdy znaleźliśmy się u stóp potężnego Wezuwiusza, bardzo interesująco opowiadał o groźnej aktywności wulkanu. Wyraziłyśmy zdumienie, że ludzie nie boją się mieszkać tak blisko.

~ Cóż - odparł - tutaj się urodzili. Człowiek nie chce opuszczać ojczystej ziemi...

chyba że jest żądną przygód młodą dama podążającą na drugi koniec świata.

- Powodem naszej podróży jest praca, którą nam zaoferowano - podkreśliła Alicja.

- Indie... kraina egzotycznych przypraw i niezbadanych tajemnic.

Następnie zaczął mówić o Wezuwiuszu i wielkim wybuchu, który zniszczył Pompeje i Herkulanum. Ciekawy był z niego człowiek.

Zabrał nas do restauracji; usiedliśmy na zewnątrz pod barwnym parasolem, przyglądając się przechodniom. Zachęcał nas do mówienia i w pewnej chwili uświadomiłam sobie, że opowiadam mu szczegółowo o plebanii, o lady Harriet i szkole we Francji. Alicja prawie się nie odzywała i uderzyło mnie, iż wcale jej nie nakłaniał do zwierzeń, choć z przejęciem słuchał moich słów. Pomyślałam, że być może za wiele mówię, i postanowiłam zapytać o to moją przyjaciółkę, gdy będziemy same.

W końcu, po tak miło spędzonym dniu, nadszedł czas powrotu na pokład „Królowej Orientu”.

Znalazłszy się sam na sam z Alicją, spytałam:

- Czy nie sądzisz, że zbyt wiele mówiłam?
- Niewątpliwie zachęcał cię do tego.
- Zauważyłam, że ty rzadko się odzywałaś.
- Miałam wrażenie, iż on nie bardzo chce mnie słuchać. Był zainteresowany tobą.
- Ciekawe... czy istotnie go interesuję, czy po prostu starał się być uprzejmy.
- O, słuchał cię z ogromnym zaciekawieniem, to pewne.

A jednak...

- A jednak co?
- Wydaje się nazbyt dociekliwy.
- Nie wyczułam w nim najmniejszej chęci... nawiązania flirtu.
- Ja również. Dlatego dziwi mnie jego zachowanie.
- Och, Alicjo, jesteś przewrażliwiona. Moim zdaniem to samotny człowiek, który łaknie towarzystwa. Dużo podróżuje. Prawdopodobnie nawiązuje kilkutygodniowe przyjaźnie, a potem o nich zapomina.
- Hm, ciekawe - mruknęła Alicja, pogrążona w zadumie.

W końcu dotarliśmy do Aleksandrii, gdzie przesiadaliśmy się z „Królowej Orientu” na parowiec i popłynęliśmy kanałem do Kairu.

Monsieur Lasseur wyjaśnił nam, co nastąpi dalej. Przenocujemy w hotelu - najlepszy byłby „Shepherd's” - i z Kairu wyruszymy przez pustynię do Suezu czymś w rodzaju krytych wozów. Takie furgony znajdowały się w powszechnym użytku i korzystali z nich ludzie mający przed sobą kolejny etap morskiej podróży.

Przyjemnie było poczuć pod stopami stały ląd po tak długim czasie spędzonym na morzu, a hotel - niepodobny do żadnego z widzianych dotychczas - wywarł na nas ogromne wrażenie. Wydawał się mroczny i pełen cieni; wokół krążyli bezszelestnie mężczyźni w egzotycznych strojach, obserwując nas czujnie bystrymi ciemnymi oczyma. Monsieur Lasseur powiedział nam, że zatrzymują się tu wciąż nowi podróżni, przeważnie wybierający się do Indii lub powracający stamtąd.

W środku natychmiast moją uwagę przyciągnął pewien mężczyzna. Wysoki i barczysty, był ubrany po europejsku, przez co wyróżniał się z tłumu. Gdy znalazłyśmy się wewnątrz razem z innymi pasażerami udającymi się do Indii, obrzucił nas długim spojrzeniem. Potem wstał z fotela, w którym

siedział, i podszedł do kontuaru, gdzie właśnie pytano nas o nazwiska i przydzielano pokoje.

- Panna Philwright i panna Delany - powtórzył recepcjonista. - Dostały panie pokój na pierwszym piętrze. Nie jest zbyt obszerny, lecz, jak panie widzą, mamy komplet gości. Oto klucz.

Wysoki mężczyzna stanął tuż obok nas. Zastanawiałam się, co tu robi, nie należał

bowiem do naszej grupy. Alicja pociągnęła mnie za rękę.

- Chodź - powiedziała. - To tylko na jedną noc. Rano wyjeżdżamy.

Mimo podekscytowania spałam dobrze, a bardzo wczesnym rankiem obudziła mnie Alicja, mówiąc, że pora wstawać.

Przeprawa przez pustynię miała się odbyć krytymi wozami, które wyglądały tak, jak je opisał monsieur Lasseur. Każdy był zaprzężony w czwórkę koni i powiadomiono nas, że po drodze będziemy mogli odpocząć w karawanserajach podczas zmiany koni. W jednym pojeździe mieściło się sześć osób.

- Jedźmy razem - zaproponował monsieur Lasseur. - Czuję, że powinienem mieć obie panie na oku. Wiem z doświadczenia, jak niewygodne bywają te podróże. Woźnice z wielką werwą wywijają biczami, a ich jedynym celem wydaje się jak najszybsze dotarcie do karawanseraju. Obawiam się, iż będzie to dla pań wyczerpująca jazda.

- Jak już panu mówiłam, wszystko jest dla nas tak nowe, że nie zaszkodzą nam drobne niewygody.

Nigdy nie zapomnę widoku Kairu o poranku. Budowla wyglądały bardzo tajemniczo w szarym brzasku. Minęliśmy wykwintne meczety, pałac kedywa i domy z ozdobnymi kratownicami, które zachwyciłyby Dougala - dopatrzyłby się w nich saraceńskich wpływów.

Było tak wcześnie, że miasto nie zbudziło się jeszcze do życia. Dostrzegłam tylko kilka osłów, prowadzonych na postronkach przez małych, bosych chłopców. Wszędzie panowała cisza, lecz wschód słońca był bliski i pierwsze promienie brzasku nadawały Kairovi wygląd zaczarowanego miasta, jak gdyby z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Mogłam sobie wyobrazić elokwentną Szeherezadę, zabawiającą sultana opowieściami za bramą starożytnego pałacu.

W wozie oprócz Alicji i mnie znaleźli się: monsieur Lasseur, państwo Carling oraz -

ku memu zaskoczeniu - wysoki mężczyzna, który zwrócił moją uwagę w hotelu.

Zastanawiałam się, czy zamierza płynąć do Indii tym samym parowcem co my czy - podobnie jak pan Lasseur - zdąża tylko do Suez.

Wkrótce otoczyła nas pustynia. Zrobiło się już dostatecznie jasno, by zobaczyć rozciągające się jak okiem sięgnąć piaski. W świetle poranka wydawały się złociste.

Zafascynował mnie ten widok. Wtem woźnica popędził konie i musieliśmy skupić całą uwagę na tym,

by nie pospadać z siedzeń.

- Mówiłem - odezwał się monsieur Lasseur - że nie będzie to zbyt wygodna podróż.

Śmiałyśmy się, wpadając na siebie nawzajem. Pani Carling oświadczyła, że na szczęście to nie potrwa długo, a pan Carling dodał, że ktoś, kto wybiera się w taką drogę, musi być przygotowany na niewygodę. Monsieur Lasseur zauważył, iż są w życiu przygody, których się oczekuje, a potem wspomina je z wielką przyjemnością, lecz samo ich przeżywanie nie jest aż tak upojne - i do tych rzeczy można zaliczyć podróże.

Wysoki mężczyzna uśmiechał się dobrodusznie. Wydawał się dzielić zainteresowanie między pana Lasseura i mnie - i ilekroć unosiłam głowę, widziałam jego oczy utkwione z poważnym wyrazem w jednym z nas.

Konie pędziły naprzód.

- Co będzie, jeśli wóz się wywróci? - zapytałam.

- A to się może zdarzyć lada chwila przy takiej jeździe - wtrącił pan Carling. - Ten woźnica chyba nie zdaje sobie sprawy, na co nas naraża.

- Jego celem jest dostarczenie podróżnych na miejsce, odebranie zapłaty i powrót po następnych - wyjaśnił monsieur Lasseur.

- Lecz jeśli zdarzy się wypadek, nastąpi zwłoka - powiedziałam.

- Och, on wierzy w opiekę Allacha.

- Chciałabym podzielać jego wiarę - mruknęła Alicja.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy wóz się zatrzymał. Nieszczęsne konie musiały być bardzo znużone. Czuliśmy się tak, jakby ktoś nas poturbował, i z radością powitaliśmy chwilę wytchnienia przed dalszym ciągiem tej ciężkiej próby.

Gdy wysiadaliśmy, wysoki mężczyzna trzymał się blisko nas.

Dochodziło południe i na pustyni panował nieznośny skwar. Po sześciu godzinach jazdy cieszyliśmy się, że znaleźliśmy schronienie - chociaż przypominało szopę, do której przylegały obszerne stajnie.

Podano napoje i zauważyłam z zadowoleniem wśród nich herbatę. Było również jedzenie - chleb i jakieś mięso nieokreślonego rodzaju, za które podziękowałam.

Usiedliśmy w sześcioro przy stole. Oprócz nas nie widziałam nikogo ze statku i doszłam do wniosku, że inni przyjadą później, nasz wóz bowiem wyruszył z Kairu jako jeden z pierwszych.

- Przynajmniej przeżyliśmy jakoś wstępny etap podróży - zauważyła Alicja.

- Czekają nas jeszcze kolejne takie same - powiedział wysoki mężczyzna.

- Gorzej chyba być nie może - skrzywiła się moja przyjaciółka.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Doszły mnie słuchy, że po drodze często zdarzają się wypadki - wtrącił monsieur Lasseur.

- To okropne - wzdrygnęłam się. - I co się wówczas dzieje?

- Wysyła się wiadomość i czeka na następny wóz.

- A gdyby nie udało się nam zdążyć do Suez przed odpłynięciem parowca?

- Znaleźliby jakiś sposób, żeby panią wyprawić – zapewnił wysoki mężczyzna.

- Nie znamy pańskiego nazwiska - zwróciłam się do niego. - A wygląda na to, że odbędziemy wspólnie tę ryzykowną podróż.

Uśmiechnął się. Miał bardzo białe zęby.

- Nazywam się Tom Keeping.

- Zatem... jest pan Anglikiem.

- Czy nie tak właśnie pani sądziła?

- Nie byłam pewna.

- Dowiem się, kiedy wyruszamy - zaproponował monsieur Lasseur i ruszył w stronę stołu, przy którym siedział człowiek sprawujący nadzór nad tym miejscem.

- Właściwie jestem intruzem - powiedział Tom Keeping. - Państwo przyплыnęli razem z Anglii, prawda?

- Tak, na jednym statku.

- A monsieur... zapomniałem nazwiska... ten dżentelmen z Francji?

- Monsieur Lasseur. Tak, on również był z nami.

- I zaprzyjaźnili się państwo. Przypuszczam, że w podróży ludzie szybko nawiązują znajomości.

- Wspólna podróż bardzo zbliża - przyznałam.

- Zapewne.

Wrócił monsieur Lasseur.

- Wyruszamy za pół godziny.

- Lepiej zbierzmy siły - doradziła Alicja.

Następny etap okazał się równie trudny jak poprzedni. Zauważyłam szlak wiodący przez pustynię. Prawdopodobnie pozostawiły go koła innych wozów i gdyby woźnica trzymał

się tych śladów, jechałoby się nam nieco wygodniej; lecz rozhukane konie, podrażnione niewątpliwie częstymi uderzeniami bata, nieustannie zbaczały w sypki piasek, którego tumany kłębiły się wokół nas.

W drodze do drugiego karawanseraju kilkakrotnie byłam przekonana, że się wywrócimy, lecz jakimś cudem uniknęliśmy tego i po jeździe, która zdawała się trwać w nieskończoność, dotarliśmy do kolejnego miejsca wytchnienia. Gdy zmierzaliśmy do środka, monsieur Lasseur ujął mnie pod ramię i lekko odciągnął na bok.

- Okrutnie nas wytrzęsło. Cały jestem obolały, a pani?

Przyznałam, że ja również.

- Sądzę - ciągnął - że mógłbym postarać się dla nas o nieco lepszy środek transportu.

Niech pani nic nie mówi. Nie zdołam zabrać wszystkich... tylko panią i pannę Philwright.

Tuż za naszymi plecami przesunął się Tom Keeping.

- Jakże moglibyśmy zostawić Carlingów? - spytałam. - To oni powinni podróżować w lepszych warunkach.

- Proszę zdać się na mnie - odrzekł monsieur Lasseur. - Znajdę jakiś sposób.

Czułam się trochę nieswojo. Żałowałam, że nie mogę od razu zapytać Alicji o zdanie.

Nie chodziło tylko o to, że my dwie znajdziemy się sam na sam z monsieur Lasseurem.

Podróżowaliśmy razem i znaliśmy go dobrze. Jak jednak wytłumaczyć się Carlingom, którzy znosili tę jazdę gorzej niż my?

Usiedliśmy i przyniesiono nam napoje i przekąski. Tom Keeping oznajmił:

- Wiozę z sobą butelkę wina. Czy zechcą państwo napić się zemną?

Odmówiłam; Alicja i pani Carling również. Wolałyśmy herbatę, choć nie była zbyt dobra. Pan Carling po chwili wahania także wybrał herbatę. Pozostał tylko monsieur Lasseur.

Tom Keeping przyniósł z drugiego końca pomieszczenia tacę z dwoma kieliszkami, które napelnił winem. Podał jeden naszemu towarzyszowi.

- Za szczęśliwą podróż - powiedział, wznosząc swój kieliszek.

- Obyśmy wszyscy dotarli do celu cali i zdrowi!

Po kilku minutach pogawędki monsieur Lasseur wstał od stołu. Odchodząc, zerknął na mnie porozumiewawczo. Państwo Carling byli tak zmęczeni, że zaczęli zapadać w drzemkę. Tuż obok głównego pomieszczenia znajdował się pokój, w którym podróżni mogli się nieco odświeżyć przed dalszą drogą. Dałam znak Alicji, by poszła tam ze mną. Gdy zamknęłyśmy za sobą drzwi, powiedziałam:

- Monsieur Lasseur ma pewien plan. Mówi, że może znaleźć lepszy wóz, ale nie zdoła zabrać nas wszystkich.

- Niech więc zabierze Carlingów. Są już niemłodzi i znoszą niewygody podróży gorzej niż my.

- Wspomniałam mu o tym, lecz on chce zabrać ciebie i mnie.

- Dlaczego? Przecież większą część drogi mamy już za sobą.

- Ale jemu chyba bardzo na tym zależy.

- Miło byłoby podróżować wygodniej, nie możemy jednak zostawić Carlingów. Panu Carlingowi nic się nie stanie, lecz pani Carling naprawdę ma dość.

- Słusznie. Będziemy nalegały, żeby ich zabrał.

- Nie sądzę, by się do tego kwapił. Chce pokazać przede wszystkim tobie, jakim jest zaradnym dżentelmenem.

- A ja myślę, że sam pragnie większej wygody. Powiedział, iż pójdzie do stajni załatwić tę sprawę.

- Więc zaczekajmy, co będzie dalej.

Obmyłyśmy się i przygotowały do drogi. Gdy powróciłyśmy do stołu, państwo Carlingowie wstali i udali się do pomieszczeń służących toalecie - gdyż były, naturalnie, dwa: dla pań i dla panów.

Upłynęła długa chwila, zanim zjawili się pan Carling z Tomem Keepingiem, i gdy tylko ich zobaczyłam, od razu wiedziałam, że coś się stało. Keeping podszedł szybkim krokiem do stołu, przy którym siedziałyśmy.

- Obawiam się, że monsieur Lasseur nie czuje się najlepiej - powiedział.

Podniosłyśmy się z krzesel.

- Co mu jest?

- Proszę się nie niepokoić. Przypuszczam, że zaszkodziło mu coś, co zjadł podczas ostatniego

postoją. Takie rzeczy się zdarzają. Niestety, chyba nie będzie mógł jechać z nami.

- Ale... - zaczęłam.

- Czy nie można mu jakoś pomóc? - spytała Alicja.

- Drogie panie - odrzekł Tom Keeping - musimy złapać parowiec. Pan Lasseur, o ile mi wiadomo, zmierza tylko do Suez. Jeśli przybędzie tam o dzień później, nic złego się nie stanie. A dla nas opóźnienie miałyby fatalne skutki.

- Może jednak dałoby się coś zrobić...

- Znajduje się w dobrych rękach. Oni są tu przyzwyczajeni do tego rodzaju niedyspozycji. Zaopiekują się nim. Pojedzie następnym wozem.

- Gdzie teraz jest?

- W pomieszczeniu dla panów. Mają tam miejsce, gdzie można się położyć. Przesyła serdeczne pozdrowienia i prosi, żeby się panie o niego nie martwiły.

- Czy nie mogłybyśmy z nim się zobaczyć? - zapytałam.

- Panno Delany, on nie życzyłby sobie tego. Ponadto nasz wóz za chwilę odjeżdża, a w następnym może nie być miejsca dla pań.

- To najbardziej uciążliwa podróż w moim życiu – oświadczył pan Carling.

- Nie narzekaj, tatuśku - pocieszyła go żona. - Przebyliśmy daleką drogę i cel jest już bliski. Jeszcze tylko jeden odcinek.

Pan Keeping ponaglił nas, byśmy wsiadali do wozu, i po chwili znowu mknęliśmy przez pustynię.

W końcu dotarliśmy do Suez, gdzie spędziliśmy dzień, oczekując pozostałych podróżnych. Ku naszemu zdumieniu monsieur Lasseur nie przyjechał. Obydwie zachodziłyśmy w głowę, co mu się mogło stać. Wydawało się to bardzo dziwne. Kto by pomyślał, że tak wytrawny podróżnik zje coś, co mu zaszkodzi? Byłoby zrozumiałe, gdyby coś takiego przytrafiło się którejś z nas.

Parowiec czekał już na nas. Weszliśmy na pokład i rozgościłyśmy się w małej dwuosobowej kajucie, czując niezmierną ulgę, że nasza ryzykowna przeprawa przez pustynię skończyła się szczęśliwie.

Wkrótce potem odbiliśmy od brzegu. Monsieur Lasseur nie przybył.

W pierwszych dniach rejsu często o nim rozmawialiśmy.

- Poświęcał nam wiele uwagi - powiedziałam do Alicji.

- Od początku wyczuwałam w tym jakiś ukryty cel - odrzekła.
- Zwykła życzliwość. Chciał pomóc dwóm bezbronnyim niewiastom, które nie powinny podróżować same.
- Nigdy nie potrafiłam go do końca zrozumieć, a jego zniknięcie wydaje się niezwykle tajemnicze.
- Ciekawe, czy bardzo się zmartwił, że nie może jechać z nami do Suez.
- To tylko kilka dni zwłoki, a ponieważ nie musiał zdążyć na statek, nie sędzę, by przywiązywał do tego szczególną wagę.
- Mam jakieś dziwne wrażenie. Spędziłyśmy większość czasu w jego towarzystwie i tak nagle... zniknął.
- Tom Keeping uważa, że nie ma w tym nic niezwykłego. Tutejsze jedzenie nie zawsze nam służy. Przypuszczam, iż poziom higieny jest dość niski. Ale monsieur Lasseur wyglądał mi na człowieka w pełni tego świadomego, który nie naraża się na ryzyko.
- Mam wrażenie, że Tom Keeping nie darzył go sympatią.
- Być może z wzajemnością. Tak czy inaczej, monsieur Lasseur zniknął i wątpię, abyśmy jeszcze kiedyś o nim usłyszały.

Widywałyśmy Toma Keepinga codziennie. Coś mi mówiło, że czuwa nad nami i przyjął rolę naszego opiekuna w zastępstwie pana Lasseura.

Morze było spokojniejsze i podróżowało się nam całkiem przyjemnie; podobne do siebie dni mijały jeden za drugim. Wielu pasażerów „Królowej Orientu” płynęło razem z nami - zmieniła się tylko sceneria. W Suezie weszły na pokład nowe osoby i wymienialiśmy uprzejmości, zmierzając przez Morze Czerwone do Adenu.

Robiło się coraz goręcej, więc spędzałyśmy większość dni na pokładzie, leniuchując i

- jak mówiła Alicja - dochodząc do siebie po wyczerpujących przeżyciach na pustyni. Często przyłączał się do nas Tom Keeping. Zauważyłam, że moja przyjaciółka odnosi się do niego bardzo przychylnie. Był wprawdzie dla nas obu niezmiernie miły, wyczuwałam jednak, że podczas gdy mnie traktuje raczej jak kogoś w rodzaju podopiecznej, Alicję darzy szczerym podziwem.

Był doświadczonym podróżnikiem. Powiedział nam, że wiele razy przemierzył drogę z Indii do Anglii i z powrotem.

- Większość ludzi, którzy jadą do Indii, to wojskowi albo pracownicy Kompanii.

Myślę zresztą, że tych drugich jest więcej.

- A pan również do nich należy? - zapytałam.

- Tak, panno Delany. Pracuję w Kompanii i natychmiast po zejściu na ląd wyruszam do Delhi.

- My na razie zostajemy w Bombaju - wyjaśniła Alicja. - Przypuszczam jednak, że nasi chlebodawcy podróżują od czasu do czasu i niewykluczone, że znajdziemy się w Delhi.

- Byłbym niezmiernie rad, gdyby tak się stało - zapewnił.

Wiedział, naturalnie, do kogo jedziemy. Osoba Fabiana, jak się wydawało, nie była mu obca.

- Musi pan dobrze znać Indie - zauważyła Alicja.

- Droga panno Philwright, nikt, kto nie urodził się w tym kraju, nie może dobrze znać Indii. Zastanawiam się często, co właściwie myślą sobie tubylcy. Chyba nikt tego naprawdę nie wie... w każdym razie żaden Europejczyk.

Miał obrazowy sposób mówienia. Słuchając go, pragnęliśmy wreszcie zobaczyć soczystą zielen, okazałe domy z banianami rozrastającymi się na trawnikach, dostojne tamaryndowce o pierzastych liściach, a przede wszystkim ludzi - mieszaninę ras i kast, o zwyczajach tak odmiennych od naszych.

- Odnoszę wrażenie, że wielu z nich nie podoba się nasza obecność - tłumaczył Tom Keeping - choć ci obdarzeni większym rozsądkiem wiedzą, że oferujemy im korzyści z handlu i lepszy styl życia. Ale nikt nie lubi intruzów.

- Czy ich niechęć do cudzoziemców jest bardzo głęboka?

- Tego dokładnie nie wiemy. Mamy do czynienia z nieodgadnioną rasą. Wielu Hindusów uważa się za bardziej cywilizowanych niż my, Europejczycy, i nie życzy sobie narzucania obcych zwyczajów.

- Pana jednak tolerują.

Uśmiechnął się gorzko.

- Zastanawiam się czasami, jak długo to potrwa.

- Chce pan powiedzieć, że mogą pana wypędzić?

- Tego nie mogą zrobić, lecz nie wykluczam, że spróbują.

- To byłoby okropne.

- Łagodnie mówiąc, panno Delany. Ale cóż to za temat! Indie są bezpieczne w rękach Kompanii.

Nigdy nie zapomnę Adenu. Spędziliśmy tam zaledwie kilka godzin, a Tom Keeping zabrał nas na krótką przejażdżkę.

Jakże złowrogo wyglądało to miejsce, gdyśmy się do niego zbliżali! Surowe czarne skały, wyrastające z morza, budziły trwogę. Staliśmy wszyscy troje na pokładzie.

- Czuję się, jakbyśmy mieli przekroczyć bramę piekieł - powiedziała Alicja.

- Prawda? Czy wie pani, co mówią o tym miejscu? Że pochowano tu Kaina i odkąd ów osławiony morderca spoczywa w tej ziemi, atmosfera wokół uległa zmianie. Wkradło się do niej zło.

- Łatwo mi w to uwierzyć - przyznałam. - Sądzę jednak, że i przedtem było tu raczej ponuro.

- Nikt nie pozostawił wzmianki na ten temat - ciągnął nasz opiekun. - Moim zdaniem zaczęto opowiadać takie historie, ponieważ to miejsce robi przerażające wrażenie.

- O, jestem przekonana, że legendy wybierają sobie te miejsca i rzeczy, do których pasują - odparła Alicja.

Godziny spędzone w Adenie okazały się bardzo przyjemne. Znajdowałyśmy się pod opieką Toma Keepinga i byłam z tego zadowolona. Dostrzegłam w Alicji pewną zmianę; wyglądała młodziej. Czy to możliwe, pomyślałam, że zaczyna się interesować tym mężczyzną?

Dużo z sobą rozmawiali i czasami czułam się jak intruz. To było dziwne. Uważałam Alicję za ostatnią kobietę, która mogłaby ulec romantycznym porywom. Może zresztą wyolbrzymiałam całą sprawę. To, że dwoje ludzi najwyraźniej się lubi, nie oznacza bynajmniej, że myślą o małżeństwie. Alicja miała zbyt wiele rozsądku, by traktować poważnie znajomość zawartą na statku; Tom Keeping z pewnością również. Nie - po prostu usposobienia obojga były bardzo podobne. Wydawali mi się najrozsądniejszymi ludźmi, jakich znałam, zupełnie innymi niż Lawinia i jej fałszywy francuski hrabia.

Keeping powiedział nam, że zamierza dostać się z Bombaju do Delhi drogą lądową.

Niełatwo było podróżować po Indiach. Nie ma tam kolei, dlatego podróże - ze względu na ich uciążliwość - odbywano tylko w razie konieczności. Tom miał jechać konnym wehikułem zwanym dak-ghari, z wieloma postojami na trasie, często w miejscach dalekich od komfortu.

- To chyba pan ostrzegł nas, że podróże często bywają niewygodne - zauważyłam.

- Doświadczenie mnie tego nauczyło.

Nasz rejs dobiegał końca. Podczas długich, ciepłych, spokojnych dni na Morzu Arabskim zapominałyśmy o ciasnej kajucie, wzburzonych falach i uciążliwej przeprawie przez pustynię, kiedy to w tajemniczych okolicznościach zgubił się nam monsieur Lasseur.

Zauważyłam, że Alicja nieco posmutniała, i domyślałam się, iż przyczynę stanowiła perspektywa rozstania z Tomem Keepin-giem. On sam jakby nie podzielał tego nastroju, choć wiedziałam, że cenił sobie znajomość z nami, a zwłaszcza z moją towarzyszką. Zawsze odnosiłam wrażenie, iż wziął na siebie rolę naszego opiekuna, i powiedziałam Alicji, że często nazywałam go w myślach „Tomem Obrońcą”. Przyznała ze śmiechem, że czuje to samo.

A teraz wreszcie nadchodził kres naszej długiej podróży.

Z radosnym podnieceniem myślałam o ponownym spotkaniu z Lawinią i - być może -

z Fabianem. Zastanawiałam się, jakie uczucia wzbudzi we mnie widok Dougala. Z

którejkolwiek spoglądałam strony, rozumiałam, że nuda mi nie grozi.

- Na pewno przyślą kogoś po panie - powiedział Tom Keeping. - A zatem... chyba już czas się pożegnać.

- Jak długo pozostanie pan w Bombaju? - zapytałam.

- Dzień lub dwa. Muszę natychmiast podjąć przygotowania do wyjazdu do Delhi.

Alicja milczała.

Nadszedł ostatni wieczór. Rano miałyśmy opuścić statek. Gdy już leżałyśmy na swoich kojach, spytałam Alicję, co czuje, będąc prawie u celu.

- No cóż - odrzekła dość melancholijnym tonem - po to właśnie wyruszyłyśmy w drogę, nieprawdaż?

- Tak. Ale już sama podróż była przygodą!

- Skończyła się jednak. Jesteśmy na miejscu. Teraz musimy przystąpić do wykonywania naszych obowiązków.

- I pamiętać, że przestałyśmy być niezależne.

- Właśnie. Ale praca dobrze nam robi.

- Ciekawe, czy jeszcze kiedyś spotkamy Toma Keepinga.

Po chwili milczenia Alicja zauważyła:

- Delhi leży daleko od Bombaju. Słyszałaś, co mówił o kłopotach z podróżowaniem po tym kraju.

- To takie dziwne. Podczas wspólnej podróży zawierasz z kimś bliską znajomość... a potem ów ktoś znika z twojego życia.

- Sądzę - oświadczyła trzeźwo Alicja - że z tym należy się z góry pogodzić. A teraz spróbujmy się przespać. Czeka nas męczący dzień.

Wiedziałam, że boi się ujawnić swoje uczucia. Biedna Alicja. Pomyślałam, iż rzeczywiście Tom Keeping przypadł jej do serca. I mogłaby zyskać jego wzajemność, gdyby dłużej przebywali razem. Ale on był już zaprzątnięty swoimi sprawami. Przypomniałam sobie słowa Byrona:

Miłość mężczyźnie nie jest życiem całym –

Dla kobiet miłość - jedyne istnienie! [„Don Juan”, przeł. E. Porębowicz.]

Nazajutrz dopłynęliśmy do Bombaju.

Burzowe chmury

Od samego rana na pokładzie panował rozgardiasz. Zdążyłam już przywyknąć do zamętu towarzyszącego zawijaniu do portów. Wydawało się, że ludzie zmieniają osobowość, i ci, którzy przebywali razem przez całe tygodnie, teraz przemieniali się w nieznanym.

Człowiek uświadamiał sobie, że to, co sprawiało wrażenie głębokiej przyjaźni, było tylko miłą, lecz przelotną znajomością.

Biedna Alicja! Zdawała sobie z tego sprawę, była jednak dzielną i rozsądną kobietą.

Za nic by się nie przyznała, że pozwoliła sobie żywić ciepłe uczucia do mężczyzny, którego zapewne nigdy więcej nie zobaczy.

I oto znalazłyśmy się na zatłoczonym nabrzeżu.

Podszedł do nas jeden z urzędników portowych i zapytał, czy jesteśmy panną Delany i panną Philwright. Jeśli tak, czeka na nas powóz. Kilka kroków dalej przystanął pełen godności Hindus w białym turbanie, długiej niebieskiej bluzie i luźnych białych spodniach.

Zignorował urzędnika i skłonił się nisko.

- Pani missie Delany? - zapytał.

- Tak - odrzekłam szybko.

- Ja przyjechać po panią i missie nianię.

- Ach, tak... dobrze...

- Proszę za mną.

Ruszyliśmy za naszym imponującym przewodnikiem, który wydawał głośnie polecenia dwóm kulisom, stanowiącym zapewne jego świtę.

- Kulis nieść bagaż, missie iść - usłyszałyśmy.

Poczułyśmy obydwie, że jesteśmy naprawdę traktowane jak honorowi goście.

Powóz istotnie czekał. Był zaprzężony w dwa siwe konie, które stały cierpliwie, przytrzymywane przez trzeciego kulisa.

Tom Keeping pożegnał się, przekazawszy Hindusowi opiekę nad nami. Zauważyłam, że przytrzymał dłoń mojej przyjaciółki, jak gdyby nie miał ochoty jej puścić. Alicja uśmiechnęła się do niego z całkowitym spokojem. Im lepiej ją poznawałam, tym bardziej lubiłam.

Nasz nowy opiekun pomógł nam wsiąść do powozu, podano nam bagaż podręczny i domyśliłyśmy się, że reszta rzeczy zostanie dostarczona później. Niezwykła osoba naszego przewodnika wzbudzała zaufanie i nie wątpiłyśmy, że wszystko będzie w porządku.

Do dziś pamiętam tę przejażdżkę - zapewne dlatego, że po raz pierwszy przyglądałam się Indiom.

Z nieba lał się żar, a wszędzie wokół kłębił się barwny, hałaśliwy tłum. Nigdy w życiu nie oglądałam podobnego widoku. Mali chłopcy nieustannie przemykali tam i z powrotem.

Obawiałam się, że w końcu któregoś przejedziemy, lecz woźnica zręcznie ich omijał, choć w jednym wypadku wykrzyczał coś, co brzmiało jak stek przekleństw, winowajca zaś obrzucił

go przerażonym spojrzeniem - nie wiadomo, czy dlatego, że cudem uszedł cało, czy z powodu straszliwej treści tego, co usłyszał.

Wzdłuż owych barwnych ulic wznosiły się majestatyczne, olśniewająco białe budynki; lecz w bocznych uliczkach, które migwały nam przelotnie po drodze, zauważyłam niskie, ciemne lepianki i ludzi siedzących na ziemi - starych nędzarzy, wychudzonych i okrytych łachmanami, dzieci noszące jedynie przepaski na biodrach i grzebiące w rynsztoku...

w poszukiwaniu jedzenia, jak przypuszczałam. Przekonałam się z czasem, że imponującemu przepychowi niemal zawsze towarzyszył cień straszliwej nędzy.

Zapragnęłam zatrzymać powóz i oddać wszystko, co posiadałam, matce z dzieckiem na rękę i drugim, ciągnącym ją za podartą spódnicę. Woźnica pędził jednak naprzód, nie zważając na naszą reakcję. Niewątpliwie oglądał podobne widoki tak często, że uważał je za coś zupełnie naturalnego.

Mijaliśmy stragany z towarami, które nie zawsze potrafiłam rozpoznać, i ludzi w najrozmaitszych strojach. Dowiedziałam się Później, że należą do różnych kast i narodowości: parsów, braminów, Tamilów, Patanów i innych. Wszędzie kręcili się kulisi, przypuszczalnie z zamiarem wyżebrania lub zarobienia paru groszy. Widziałam kobiety w białych zawojach, spowite w proste, workowate szaty; a tu i ówdzie przechodziły, poruszając się z nieopisaną gracją, przedstawicielki niższych kast, o pięknych, długich, czarnych włosach spływających na plecy. O ileż są powabniejsze, pomyślałam sobie, niż kobiety wysokiego stanu, których wdzięki mogli zapewne oglądać wyłącznie ich panowie.

Prawie nie odzywałyśmy się z Alicją do siebie, pochłonięte otaczającą nas scenerią, starając się niczego nie przeoczyć. Przejechałyśmy kilka mil, mijając piękne domy - aż wreszcie powóz zatrzymał się przed jednym z nich.

Była to imponująca rezydencja - olśniewająco biała, otoczona werandą, na której stały dwa białe stoły i krzesła, ocienione zielonymi i białymi markizami. Na werandę wiodły schodki.

Gdy zajechaliśmy przed dom, wybiegła z niego gromadka biało odzianych służących.

Otoczyli powóz, trajkocząc w podnieceniu.

Nasz majestatyczny przewodnik zsiadł z kozła, rzucił lejce jednemu ze służących i władczym gestem

uciszył pozostałych. Następnie zaczął wydawać rozkazy w niezrozumiałym dla nas języku. Usłuchano go natychmiast, co wcale mnie nie zdziwiło. Podążyliśmy za nim po stopniach. Alicja szepnęła mi do ucha:

- Teraz powinni zadać w trąby... na jego cześć, nie na naszą.

Kiwnęłam głową. Z werandy weszliśmy do domu.

Zdumiała mnie różnica temperatur. Wewnątrz było niemal chłodno. Znajdowałyśmy się w obszernym, ciemnym pokoju z oknami wbudowanymi we wnęki - niewątpliwie dla ochrony przed palącymi promieniami słońca. Przy ścianie znajdował się duży wachlarz, który

- jak się później dowiedziałam - nazywano punkah. Poruszał nim chłopiec w przepisowej, długiej, białej koszuli i luźnych spodniach. Podejrzywałam, że chwilę wcześniej próżnował, gdyż na nasz widok zerwał się na równe nogi i zaczął energicznie wymachiwać punkah.

Dostojny Hindus zgromił go spojrzeniem i domyśliłam się, że w stosownej chwili udzieli mu surowej nagany.

- Missie niania iść do pokoju dzieci - zarządził. - Missie Delany wejść do memsahib lady hrabiny.

Alicja zrobiła zaskoczoną minę, lecz któryś ze służących natychmiast chwycił jej torbę i oddalił się pośpiesznie. Ruszyła za nim i zostałam sama.

- Missie Delany, pani iść - usłyszałam.

Poprowadził mnie schodami na piętro. Przez jedno z okien dostrzegłam dziedziniec.

Była tam sadzawka, na której unosiły się kwiaty lotosu; stały także stół i krzesła, ocienione biało-zieloną markizą.

Przystanęliśmy przed jakimiś drzwiami. Mój przewodnik zaskrobał po nich paznokciem.

- Proszę - odezwał się znajomy głos.

- Missie przyjąć - oznajmił Hindus z pełnym satysfakcji uśmiechem bohatera, który wykonał swoje zadanie pomimo przeszkód niemal nie do przewyciężenia. - Ja przyprowadzić missie - dodał.

Zobaczyłam przed sobą Lawinię.

- Drużyłło! - wykrzyknęła.

Podbiegłam do niej i uściskałyśmy się mocno. Usłyszałam za plecami pomruk zadowolenia, a potem drzwi się zamknęły.

- Tak długo na ciebie czekałam.

- To długa podróż.
- Cieszę się, że przyjechałaś. Niech ci się przyjrzę. Wciąż ta sama Druzylla.
- A czego się spodziewałaś?

- Właśnie tego, co widzę... i bardzo mnie to cieszy. Obawiałam się, że mogłaś się stać jakąś okropną sawantką. Miałaś pewne zadatki.

- Ty natomiast nie miałaś ich wcale! Teraz niech ja się tobie przyjrzę.

Cofnęła się o kilka kroków, potrząsnęła przepyszными włosami, luźno związanymi wstążką, wzniosła oczy i stanęła w wyszukanej pozie przede mną.

Była nieco pulchniejsza, lecz równie piękna jak dawniej. Zdążyłam zapomnieć, jaka jest czarująca. Miała na sobie długą, luźną, lawendową suknię, w której było jej bardzo do twarzy... zresztą Lawinii we wszystkim było do twarzy. Czułam, że wyreżyserowała nasze spotkanie i odgrywa główną rolę w tej scenie, jakby była bohaterką jakiejś sztuki.

- Nic się nie zmieniłaś - powiedziałam.

- Mam nadzieję. Pracuję nad tym.

- Indie ci służą.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- No, nie wiem. Za dwa lata wracamy do Anglii. Dougal nie może się doczekać. Nie znosi tego kraju. Chce wrócić do domu i studiować jakieś nudne starocie. On po prostu nie potrafi przyjemnie spędzać czasu.

- Nie wszyscy ludzie znajdują przyjemność w tym samym.

Przewróciła oczyma, jak to dawniej miała w zwyczaju.

- Cała Druzylla - zauważyła. - Jesteś tu dopiero od pięciu minut, a rozmowa już skręca w stronę psychologii.

- Stwierdziłam tylko prosty, oczywisty fakt.

- To, co wydaje się proste takiej mądrali jak ty, pozostanie zawiłe dla takiego głuptasa jak ja. Rzecz w tym, że Dougal nie może się doczekać powrotu.

- Gdzie teraz jest?

- W Delhi. Ciągłe dokądś wyjeżdżają na polecenie Kompanii. Mam już tej Kompanii powyżej uszu. Fabian też tam jest.

- W Delhi? A dlaczego ty nie pojechałaś?
- Bo zamieszkaliśmy w Bombaju i mamy tu pozostać przez jakiś czas. Może potem przeniesiemy się do Delhi.
- Rozumiem.
- A teraz powiedz mi, co słychać w domu.
- Wszystko po staremu, prócz tego, że zmarł mój ojciec.
- Dowiedziałam się o tym od mamy. Miałaś poślubić zanego Colina Brad/ego i podtrzymywać właściwe tradycje na plebanii. O tym także wiem wszystko. Nie wykazałaś się rozsądkiem, co oznacza, że jej plany co do ciebie spaliły na panewce.
- Widzę, że jesteś dobrze poinformowana w sprawach dotyczących naszej parafii.
- Mama uwielbia pisać długie listy, obydwój z Fabianem regularnie otrzymujemy epistoły z domu. Nie może jednak stamtąd sprawdzić, czyjej polecenia są wykonywane. I całe szczęście.
- Zawsze wszystko wszystkim organizowała. To jej życiowe powołanie.
- Zaplanowała moje małżeństwo. - Lawinia nadąsała się lekko.
- Poszłaś do ołtarza dobrowolnie.
- Wtedy wszystko wyglądało świetnie, ale teraz jestem już dużą dziewczynką. To ja decyduję, jak mam postępować.
- Przykro mi, że wam się nie układa.
- Naprawdę? Wiesz, on powinien był ożenić się z tobą. Byłoby wam dobrze razem. Ty chętnie słuchałabyś jego gadaniny o dawnych wiekach. To coś w sam raz dla ciebie. Już widzę, jak wpadasz w entuzjazm, bo ktoś wykopał garnek, którego używał Aleksander Wielki. Ja nie dbałabym o to, czy używał go Aleksander czy Juliusz Cezar. Dla mnie to po prostu stary garnek.
- Nie masz w sobie ani krzty romantyzmu.

Wybuchnęła śmiechem.

- A to dobre! Jestem szalenie romantyczna. Całkiem dobrze się tu bawię... w romantyczny sposób, prawdę mówiąc. Ach, jak ja się cieszę, że tu jesteś, Druzyllo.

Przypominają mi się dawne czasy. Lubię, kiedy patrzysz na mnie z dezaprobatą. Czuję się wówczas tak cudownie zepsuta.

- Przypuszczam, że masz... wielbicieli?

- Zawsze ich miałam.
- Z opłakanym skutkiem.
- Już ci powiedziałam, że jestem teraz dużą dziewczynką. Nie wpadam w niemądre tarapaty.
- Przynajmniej to jest pocieszające.
- Znowu robisz surową minę. O co chodzi?
- Nawet nie zapytałaś o Fleur.
- Właśnie miałam zamiar. Jak się czuje?
- Jest zdrowa i szczęśliwa.
- No więc dlaczego patrzysz na mnie z taką naganą?
- Ponieważ tak się składa, że jesteś jej matką i zupełnie się tym nie przejmujesz.
- Muszę ci przypomnieć, panno Delany, że jestem teraz twoją chlebodawczynią.
- Jeśli tak podchodzisz do sprawy, wracam do Anglii pierwszym statkiem.

Parsknęła śmiechem.

- Nie ma mowy, nie puszczę cię! Musisz tu zostać i pogodzić się ze wszystkim. Poza tym będziesz moją wierną przyjaciółką Druzyllą. Zbyt wiele razem przeżyliśmy, żeby miało być inaczej.
- Nie odwiedziłaś Fleur nawet przed wyjazdem - powiedziałam. - Czy ty w ogóle widziałaś ją choć raz, odkąd przebywa u Polly?
- Zaczna Polly nie życzyła sobie, abym zakłócała spokój małej. To twoje własne słowa.
- Wiesz, że Fabian o wszystkim się dowiedział.

Skinęła głową.

- Wysłuchałam kazania na temat mojej nierozwagi.
- Mam nadzieję, iż nie pomyślałaś, że wie to ode mnie.
- Powiedział mi, że Polly mu wszystko wygarnęła, ponieważ snuł domysły na twój temat. To go rozzłościło najbardziej.
- Postąpił bardzo przyzwoicie - poinformowałam ją. – Złożył w banku pewną sumę dla Fleur, na jej edukację i tym podobne rzeczy, wedle uznania Eff i Polly. Chcą przyjąć guwernantkę, Fleur musi się kształcić.

- To świetnie. I czym tu się martwić? Ta okropna Janina została na szczęście zamordowana.
- Na szczęście dla ciebie, bo raczej nie dla niej.
- Szantażyści zasługują na taki los.
- A czy pomyślałaś o biednej Miriam?
- Niezbyt dobrze ją pamiętam. To ty zawierałaś znajomości z nimi wszystkimi, podczas gdy ja w udręce oczekiwałam rozwiązania. To było koszarne miejsce i cieszę się, że już dawno po wszystkim.
- Powiesz Dougalowi?
- Wielkie nieba, skądże znowu! Dlaczego miałabym mu mówić?
- Myślałam, że może zechcesz odwiedzić Fleur i zabrać ją do siebie... choć Polly i Eff nigdy by się na to nie zgodziły. Albo dla spokoju sumienia.
- Sumienie to coś, co należy nauczyć się tłumić.
- Nie wątpię, że z tego przedmiotu zasługujesz na stopień celujący.
- I znowu to samo. Ale nie będę ci przypominać o różnicy naszych stanowisk, bo gotowaś się obrazić, a tego nie chcę. Zresztą lubię twoje surowe uwagi. Cała Druzylla! Cieszę się, że tu jesteś. A co z tą nianią, którą mama wysłała razem z tobą?
- Jest bardzo dobra. Ogromnie ją polubiłam. To rozsądna i absolutnie godna zaufania osoba.
- Tego się właśnie spodziewałam, skoro wybrała ją mama.
- Przypadłyśmy sobie do serca. - Zaczęłam opowiadać o naszej podróży, niebezpiecznej przeprawie przez pustynię i zniknięciu monsieur Lasseura, spostrzegłam jednak, że Lawinia błądzi myślami gdzie indziej, co chwila spogląda w lustro i poprawia włosy. Umilkłam więc. Potem zapytałam: - A jak tam dzieci?
- Dzieci?
- Czyżbyś zapomniała? Masz dwoje dzieci zrodzonych w prawowitym związku.

Dyskusję na temat twego nieślubnego potomstwa już odbyłyśmy.

Lawinia odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

- Typowy druzyllizm - powiedziała. - Przepadam za nimi. Nie myśl sobie tylko, że zrobię ci przyjemność i odprawię cię za impertynenckie zachowanie wobec pracodawczyni, bo nie miałam takiego zamiaru. Na ciebie padł wybór mojej nieugiętej matki poparty przez mego apodyktycznego

brata, musisz więc ze mną zostać.

- Przez twojego brata?

- Tak, prawdę mówiąc, Fabian pierwszy wpadł na ten pomysł. Powiedział raz do mnie: „Swego czasu przyjaźniłaś się z tą dziewczyną z plebanii. Byłyście razem w szkole.

Może miałabyś trochę rozrywki, gdybyś ją tu sprowadziła?”. Naprawdę nie wiem, czemu sama o tym nie pomyślałam. Zapytałam: „Jak to sobie wyobrażasz?”. Znasz Fabiana. Odparł

po prostu: „Popłynię statkiem do Aleksandrii, a potem dalej z Suezu”. Nie o to mi chodziło, rzecz jasna. Pytałam, co miałabyś tu robić. „No cóż - wyjaśnił - ta młoda osoba posiada wszechstronną wiedzę. Mogłaby uczyć dzieci. Tym właśnie zajmują się wykształcone, lecz niezamożne panny z dobrych domów, takie jak ona”.

Roześmiała się, a ja poczułam niemądre uniesienie. To była jego propozycja!

Niewątpliwie przedstawił ją lady Harriet, gdy przyjechał do domu i asystował lady Geraldine.

Pragnęłam zapytać o lady Geraldine, czułam jednak, że nie jest to odpowiednia chwila. Lawinia, choć całkowicie pozbawiona zdolności do nauki, potrafiła bez trudu przeniknąć czyjeś uczucia wobec osoby płci przeciwnej. Dlatego bąknęłam tylko:

- O... doprawdy?

- To, co postanowi mama, jest jak ustawa parlamentu, a przyzwolenie Fabiana ma wagę królewskiego podpisu. Widzisz więc, że ich słowo staje się prawem.

- Jestem pewna, że nie zawsze stosujesz się do owych zaleceń.

- Dlatego właśnie grzech wydaje mi się taki kuszący. Gdyby moi krewni mieli mniejszą siłę charakteru, nie bawiłabym się ani w połowie tak dobrze. Moja kochana, cnotliwa Druzyлло, tak odmienna od swej zbłąkanej przyjaciółki, nie potrafię wyrazić, jaką radość sprawia mi twoja obecność. To cudowne, że rozkazy z domu były całkowicie zgodne z moimi pragnieniami. Zapowiada się pyszna zabawa.

- Mam nadzieję, że nie będzie więcej podobnych kłopotów, jak...

Przyłożyła palec do ust.

- Sprawa jest zamknięta. Skończyłam z tym. Mówię poważnie, Druzyлло. Nigdy nie zapomnę roli, jaką odegrałaś. A potem odbiłam ci Dougala.

- Nic nas nie łączyło.

- Ale mogło, z całą pewnością. Myślę, że gdyby nagle nie zyskał znaczenia w oczach mamy, nadal by tkwił w swoich książkach i przeciągał konkury. Może do tej pory jeszcze by ci się nie oświadczył.

Szybkość działania nie należy do jego mocnych stron. Sprawy jednak posuwałyby się naprzód i wyszłoby mu to na dobre, a dla ciebie okazałoby się zadowalającym rozwiązaniem. Lepszym niż małżeństwo z tym świętoszkowatym Colinem Bradym, któremu rozsądnie odmówiłaś. Zawsze miałaś dużo zdrowego rozsądku. Dougal natomiast czułby się znacznie szczęśliwszy bez swojego świetnego tytułu. Biedny Dougal! Prawie mi go żal.

Wyciągnięty ze ślimaczej skorupy, ożenił się z najmniej dla niego odpowiednią kobietą. Tak jednak zadecydowała mama, a jej decyzje, o czym wiesz, są jak prawa Medów i Persów.

Nieoczekiwanie poczułam się bardzo szczęśliwa, że tu jestem. Zbyt długo wiodłam nudne życie. Teraz znowu nabierało barw. Wszystko było nowe, nieco tajemnicze - i w dodatku to Fabian wysunął propozycję, żeby mnie sprowadzić.

Zastanawiałam się dlaczego. Dla wygody Framlingów, rzecz jasna. Lawinia potrzebowała towarzyski, kogoś, kto ustrzeże ją przed skutkami rozmaitych wybryków, do których znajdowała tu niewątpliwie więcej sposobności niż we francuskiej szkole. Już raz okazałam się bardzo użyteczna. Fabian to zapamiętał.

A zatem decyzja, której wynikiem był ślub Lawinii i Dougala, objęła również moją osobę. Miałam zostawić wszystko i zameldować się na posterunku - co też uczyniłam.

W obawie, że Lawinia zauważy moje poruszenie i powiąże je z osobą brata, oznajmiłam pośpiesznie:

- Chciałabym zobaczyć dzieci.

- Druzylla przemówiła. Zaspokoję tę zachciankę, by dowieść, jak bardzo cieszy mnie twoja obecność. Zaprowadzę cię do dzieciennego pokoju.

Ruszyłam za nią schodami w górę. Znalazłyśmy się na najwyższym piętrze, gdzie urządzono pokoje dla dzieci - dwa przestronne pomieszczenia z niewielkimi, zasłoniętymi oknami, osadzonymi w gładkich. Grube kotary sprawiały, że panował tam półmrok.

Dobiegły mnie czyjeś głosy i domyśliłam się, że to Alicja zawiera znajomość z przyszłymi podopiecznymi.

Lawinia wprowadziła mnie do sypialni, w którym stały dwa łóżeczka osłonięte moskitierami i wisiał nieodzowny punkah. Przez otwarte drzwi sąsiedniego pokoju weszła drobna, ciemna kobieta w sari, a za nią Alicja.

- To - zaczęłam prezentację - jest panna Alicja Philwright - Alicjo, to pani hrabina.

- Witam - odezwała się przyjaźnie Lawinia. - Cieszę się, że pani przyjechała. Już zapoznała się pani z dziećmi?

- To pierwsza rzecz, jaką zawsze robię - odrzekła Alicja.

Ruszyłyśmy w stronę przyległego pokoju. Smagła kobieta usunęła się, by nas przepuścić. Jej twarz

wyrażała niepokój - obawiała się zapewne, że nasze przybycie oznacza jej odejście. Uśmiechnęłam się, a ona odwzajemniła uśmiech. Zdawała się czytać w moich myślach i dziękować mi za pociechę.

Luiza okazała się czarującym dzieckiem. Przypominała mi nieco Fleur - czemu trudno się dziwić, przecież były przyrodnimi siostrami. Miała jasne loki, śliczne niebieskie oczy i mały, zgrabny nosek, brakowało jej jednak owego drapieżnego wyrazu twarzy, który już przy pierwszym spotkaniu dostrzegłam u Lawinii, niewiele wówczas starszej niż Luiza. Była ładna, lecz nie tak piękna jak jej matka. Wydawała się nieco onieśmielona i nie odstępowała Hinduski, z którą najwyraźniej łączyła ją bliska więź. Chłopiec miał około roku. Stawiał

właśnie pierwsze, dość jeszcze niepewne kroki. Alicja wzięła go na ręce, on zaś przyjrzał się jej uważnie i jego ocena wydawała się przychylna.

- Luiza będzie twoją uczennicą, Druzyлло - powiedziała Lawinia.

- Dzień dobry, Luizo - odezwałam się. - Nauczymy się razem różnych wspaniałych rzeczy.

Popatrzyła na mnie z powagą, a potem odpowiedziała uśmiechem na mój uśmiech.

Pomyślałam, że przypadniemy sobie do serca. Zawsze lubiłam dzieci i choć niewiele miałam z nimi do czynienia, dobrze je rozumiałam.

Lawinia obserwowała nas z lekkim zniecierpliwieniem. Zrobiło mi się żal tych dzieci.

Były wyraźnie przywiązane do ayah, matkę zaś traktowały niemal jak obcą osobę.

Zastanawiałam się, jakim ojcem jest Dougal.

Lawinia nie zamierzała pozostawać zbyt długo w pokoju dzieciennym. Nalegała, abym z nią poszła.

- Mam mnóstwo spraw do omówienia - oznajmiła i zwróciła się do Alicji z olśniewającym uśmiechem: - Widzę, że poradzi sobie pani doskonale.

Alicja powitała te słowa z zadowoleniem, wnioskując z nich - i słusznie - że nie zanoszę się na żadną, lub prawie żadną, ingerencję w jej metody wychowawcze.

Udałam się do swojego pokoju rozpakować rzeczy, świadoma narastającego we mnie radosnego podniecenia, którego nie odczuwałam od bardzo dawna.

Każdy dzień przynosił nowe wrażenia. Ustaliłam, że na początek Luizie wystarczą dwie godziny nauki, Lawinia zaś gotowa była przystać na każdą moją propozycję. Wybrałam się z nią na przejażdżkę po mieście, podczas której minęłyśmy miejsce, gdzie parsowie zostawiali swoich zmarłych w suchym, gorącym powietrzu na pożarcie sępom, by oczyściły ciała do kości. Byłam zafascynowana tym, co oglądałam, i chłonełam każdy widok. Wszystko było tak nowe i niezwykle.

Od czasu do czasu wychodziłyśmy z Alicją we dwie. Lubiliśmy spacerować ulicami, które niezmiennie nas interesowały. Ze wszystkich stron cisnęli się ku nam żebracy; ich wygląd przerażał

nas i przygnębiał. Kalekie dzieci budziły we mnie jeszcze większy smutek niż wynędzniali dorośli, odsłaniający swe ułomności, by pozyskać współczucie i datki.

Zabierałyśmy ze sobą trochę pieniędzy i rozdawałyśmy je tym, którzy wydawali nam się najbardziej pokrzywdzeni przez los, ostrzegano nas jednak wielokrotnie, że będziemy potem bezlitośnie nagabywane. Pogodziłyśmy się z tym i uspokoiłyśmy nasze sumienia, rozdając drobne monety.

Prawdziwą plagę stanowiły muchy, które obsiadały wystawione towary, białe szaty zasłoniętych kobiet, różowe i żółte turbany dostojnych dżentelmenów, a także - na co patrzyłam z zakłopotaniem - twarze ludzi, najwyraźniej tak do tego przyzwyczajonych, że nie reagowali.

Obserwowałyśmy zaklinacza węży, wygrywającego na fujarce dość posępne melodie; przemierzałyśmy wąskie uliczki, mijając kulisów, nosiwodów z mosiężnymi dzbanami na ramionach, osły obciążone dobytkiem. Czasami dźwięki nieznannej muzyki mieszały się z okrzykami ludzi. Większość sklepów nie miała okien wystawowych, a sprzedawcy przykucnięci nad rozłożonymi towarami dokładali wszelkich starań, by nas zatrzymać i nakłonić do bliższych oględzin. Były tam artykuły spożywcze, wyroby z miedzi, jedwab i biżuteria. Tę ostatnią oferował pulchny mężczyzna we wspaniałym różowym turbanie, palący nargile. Na ulicach często można było napotkać krowy, a obok nas nieustannie przemykali mali chłopcy, zazwyczaj prawie nadzy, jedynie w brudnych przepaskach biodrowych.

Przywodzili na myśl złośliwe moskity, krążące wokół upatrzonej ofiary i wypatrujące dogodnej sposobności.

Kupiłyśmy kilka sztuk jedwabiu, który wydał się nam zdumiewająco tani, a był

przepiękny. Ja wzięłam niebieski i fioletoworóżowy, Alicja jasnobrązowy. Lawinia orzekła, że moje sukienki są okropne i że zna bardzo dobrego durzi, który szyje znakomicie i prędko, za bardzo niską opłatą. Pomogłaby mi wybrać odpowiedni fason, a krawiec z największą chęcią przyjdzie do domu. Wszyscy Europejczycy korzystali z jego usług; wystarczyło powiedzieć, czego się potrzebuje. Można mu było zapłacić żadaną sumę bez zwyczajowego targowania się. Pochwała miała dla niego równie wielkie znaczenie jak pieniądze.

Lawinia bardzo się interesowała moim wyglądem i z zapałem mówiła o strojach dla mnie. Wyczuwałam w tym jakąś ukrytą intencję. Przypisywałam ją zresztą wszystkim działaniom mojej przyjaciółki.

Poruszała się w kręgach związanych z wojskiem i Kompanią, które zdawały się ściśle z sobą współdziałać. Kompania była czymś więcej niż zwykłą spółką handlową. Częściowo sprawowała tu rządy, a wojsko ją wspierało i strzegło brytyjskich interesów w Indiach.

Lawinia była zadowolona z życia, a to coś oznaczało. Z pewnością miała romans.

Zdążyłam się już przekonać, że należy do tego rodzaju kobiet, które muszą mieć kochanków.

Adoracja i to, co nazywała miłością, były dla niej najważniejsze. Przyciągała mężczyzn, nawet o to

się nie starając; a gdy jej zależało, efekt okazywał się piorunujący. Przechwyciłam spojrzenia, które wymieniała z jakimś majorem Penningtonem Brownem. Był to mężczyzna tuż po czterdziestce, mający niepozorną żonę, która niegdyś uważała zapewne, że wychodzi za cudownego człowieka. Niewykluczone, iż zmieniła zdanie. Na mnie wywarł wrażenie pretensjonalnego fircyka, lecz był niewątpliwie przystojny. Zagadnęłam Lawinię o niego.

- Już mnie szpiegujesz? - obruszyła się.

- Nie muszę. Domyśliłam się, że coś wisi w powietrzu. Widzę pewne oznaki. Niewiele się zmieniły od czasu niefortunnej przygody z francuskim hrabią.

- Garry jest przemiły i wprost szaleje za mną.

A więc major Pennington Brown był dla niej „Garrym”!

- Jego żona z pewnością podziela twoją opinię.

- Biedne, żałosne stworzenie.

- On najwyraźniej myślał kiedyś inaczej. Musiała mu się podobać, skoro się z nią ożenił.

- Jej majątek bardzo mu się podobał.

- Rozumiem. I takie postępowanie określasz jako „przemiłe”?

- Proszę, nie mów do mnie tym tonem. Pamiętaj...

- Że jestem służącą. Dobrze...

- Cicho bądź! Nigdzie cię nie puszczę, zwłaszcza w stanie takiego rozdrażnienia. Myśl sobie co chcesz, ja lubię Garry’ego. Czemu nie miałabym mu się podobać?

- Istotnie, czemu nie, skoro chodzi tylko o przelotny romans.

- Przelotny romans! Nie wyrażaj się tak lekceważąco o tym rozkosznym zajęciu. Co ty wiesz o przelotnych romansach?

- Nic. I nie chcę wiedzieć.

- O, tacy jesteśmy cnotliwi?

- Nie jesteśmy głupi, jeśli to masz na myśli.

- Każdy, kto odmawia sobie tak wielkiej przyjemności, musi być głupi. - Zmrużyła oczy. - Nadejdzie dzień, kiedy zmienisz zdanie. Zobaczysz.

Teraz już wiedziałam, co planuje. Pragnęła, bym wdała się w przelotny romans z kimś z jej kręgu

towarzyskiego. Chciała wymieniać się doświadczeniami, plotkować i chichotać.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak jej zależało na mnie, przecież znalazłaby bardziej odpowiednią dla siebie towarzyszkę wśród żon oficerów lub urzędników Kompanii.

Nie podobali mi się jej znajomi; sprawiali wrażenie płytkich i nieciekawych.

Polubiłam jednak ogromnie lekcje z Luizą, która okazała się urocza. Bardzo ją interesowały przywiezione przeze mnie książki z obrazkami, chętnie słuchała prostych opowiadań i gdy tylko wchodziłam do dziecinnego pokoju, podbiegała z radością i wtulała głowę w fałdy mojej sukni. Zaczynałam kochać to dziecko.

Czasami przyglądała się nam ayah, z uśmiechem kiwając głową. Miłość do Luizy wytworzyła więź między nami.

Pewnego razu natknęłam się na nią w ogrodzie. Podejrzywałam, że wyszła za mną z domu i czekała stosownej chwili, by mnie zagadnąć.

W ogrodzie stała altana - było to moje ulubione miejsce. Rozpościerał się przed nią malowniczy trawnik z bujnym banianem rosnącym pośrodku. Ayah zbliżyła się do mnie ze słowami:

- Proszę... mogę coś powiedzieć?

- Oczywiście - odrzekłam. - Usiądź. Czyż tu nie jest pięknie? Jakie to drzewo śliczne...

a trawa tak soczyście zielona.

- Dużo deszczu spaść na nią.

- Chcesz porozmawiać o Luizie?

Skinęła głową.

- Bardzo lubi się uczyć - powiedziałam. - Lekcje z nią to prawdziwa przyjemność. Jest czarującą dziewczynką.

- Ona dla mnie... jak własne dziecko.

- Tak, wiem.

- A teraz...

- Boisz się, że cię stąd odprawią?

Jej szeroko otwarte oczy popatrzyły na mnie żałośnie.

- Luiza - zaczęła - jest jak moje dziecko. Nie chcieć... stracić.

- Rozumiem. - Ujęłam jej dłoń i uściśnęłam lekko.

-Missie Alicja... nowa niania. Biedna ayah... niepotrzebna.

- Dzieci cię kochają - powiedziałam.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, lecz zaraz powrócił smutek.

- Niedługo - mówiła dalej - ja usłyszeć... idź sobie.

- A wtedy byłoby ci bardzo smutno?

- Bardzo smutno - powtórzyła.

- Dlaczego mi o tym mówisz? Sądzisz, że mogę coś poradzić?

Przytaknęła.

- Memsahib hrabina lubić panienkę bardzo. Ona słuchać. Bardzo szczęśliwa, że panienka przyjechać. Cały czas pytać: „Gdzie missie Druzylla?”. - Wskazała mnie palcem. -

Panienka słuchać... ale ona nie. Ona kazać mi iść precz.

- Posłuchaj, co zrobię. Porozmawiam z nią. Powiem jej, jak bardzo dzieci cię kochają.

Wy tłumaczę, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz.

Uśmiechnęła się promiennie, wstała, złożyła ręce i skłoniła głowę, jak w modlitwie.

Potem odeszła, poruszając się z gracją, ja zaś pozostałam, wpatrzona w drzewo, i myślałam o tej kobiecie. Wyobraziłam ją sobie, jak przybywa do domu Lawinii, podejmuje opiekę nad Luizą, otacza ją miłością, radośnie wita drugie dziecko i obdarza Alana takim samym przywiązaniem, jak jego siostrę. A teraz kaprys lady Harriet miał położyć kres tej czulej trosce. Lady Harriet nie orientowała się w sytuacji i nie rozumiałaby uczucia, jakie łączyło hinduską piastunkę z jej angielskimi podopiecznymi.

Skorzystałam z pierwszej sposobności, by pomówić z Lawinią. Odpoczywała przed wieczornym spotkaniem towarzyskim, które miało się odbyć przed kolacją. Kilkakrotnie uczestniczyłam w takich przyjęciach, przedstawiana jako przyjaciółka z Anglii. Wzbudziłam przelotne zainteresowanie mężczyzn, którzy mogli widzieć we mnie łatwą zdobycz, lecz szybko dochodzili do wniosku, że nie warto tracić czasu na uwodzenie mnie; a gdy się dowiedziano, że jestem guwernantką, wprowadzoną w ich towarzystwo dzięki łaskawości Lawinii, zaczęto mnie ignorować, mniej lub bardziej uprzejmie. Pragnęłam w miarę możliwości unikać tych spotkań.

Moja przyjaciółka leżała na łóżku z kompresami na oczach.

- Lawinio - zaczęłam rozmowę - chcę z tobą zamienić parę słów.

- Nie powiedzieli ci, że odpoczywam?
- Owszem, ale musiałam przyjść.
- Coś ważnego? - Zdjęła kompres z prawego oka i zerknęła na mnie.
- Bardzo.
- No to mów. Zmieniłaś zdanie i chcesz pójść na przyjęcie?

Dobrze. Włóż tę fiołkoworóżową jedwabną suknię. Najlepiej w niej wyglądasz.

- Nie o to mi chodzi. Ilu zatrudniasz służących?
- Co za pytanie! Lepiej zapytaj khansamę. Powinien wiedzieć.
- Ale jest ich tylu, że jeden mniej czy więcej nie robi różnicy?
- Przypuszczam, że tak.
- Chciałam porozmawiać z tobą o ayah.
- O niej? Wkrótce stąd odejdziesz.
- Uważam, że nie powinna odchodzić.
- Niania Philwright na pewno zechce jej się pozbyć.
- Nie zechce.
- Tak ci powiedziała?
- Tak. Wiesz, że Luiza ją kocha?
- Och, dzieci wszystkich kochają.
- To nieprawda. Posłuchaj, Lawinio. Ta ayah przebywa tu od narodzin Luizy. Wiele znaczy dla dziecka. Uosabia spokój, bezpieczeństwo. Nie widzisz tego?

Moja przyjaciółka zaczynała się nudzić. Pragnęła porozmawiać ze mną o niejakim kapitanie Ferrymanie, o którego major Pennington Brown był wyraźnie zazdrosny. Ja jednak nie dałam za wygraną.

- Lawinio, to dla ciebie bez różnicy, czy ayah odejdzie czy zostanie.
- Więc dlaczego zawracasz mi głowę?
- Ponieważ możesz odmienić jej los. Ona jest bardzo nieszczęśliwa.

- Doprawdy?
- Proszę, żebyś coś dla mnie zrobiła.
- Oddam ci nawet połowę królestwa, jak mówią w bajkach.
- Aż tyle mi nie potrzeba.
- Tym bardziej ci oddam.
- Bądź poważna. Chciałabym, żebyś pozwoliła ayah zostać.
- To wszystko?
- To dla niej wiele znaczy.
- Ale co ty masz z tym wspólnego?
- Ona się martwi, Lawinio. Zależy mi na jej szczęściu. I na szczęściu Luizy. Jeśli ayah odejdzie, obie będą cierpiały.
- Słuchaj, Druzylo, dlaczego ty się aż tak nią przejmujesz? Co mnie obchodzi, czy ta kobieta zostanie czy nie?
- Wiem, że takie sprawy cię nie obchodzą. Ale mnie tak.

Parsknęła śmiechem.

- Dziwne z ciebie stworzenie. Miewasz cudaczne obsesje. Wszystko mi jedno, co zrobisz. Zatrzymaj ayah, jeśli chcesz, byle tylko niania Philwright nie miała nic przeciw temu.

Nie życzę sobie żadnych kłopotów. Nie możemy jej denerwować. Mama by się gniewała, bo to osoba wybrana przez nią.

- Zapewniam cię, że Alicja Philwright zgodzi się ze mną. Dobro Luizy leży jej na sercu. Alan także już pokochał ayah.
- Podaj mi lusterko. Czy nie wydaje ci się, że zanadto utylam?
- Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, jesteś piękna.
- A zatem tylko duszę mam czarną?
- Nie całkiem czarną.
- Lecz i nie białą jak śnieg.
- Nie. Myślę jednak, że istnieje dla ciebie cień nadziei.

- A jeśli spełnię twoje życzenie, czy wstawisz się za mną, gdy będziesz zbierać owoce swego cnotliwego żywota, ja zaś zostanę wrzucona w płomienie?

- Obiecuję.

- Dobrze więc. Zgadzam się.

- Mogę przekazać ayah, że pozwalasz jej zostać?

- Powiedz jej, co chcesz.

Podeszłam do łóżka i pocałowałam Lawinię w czubek głowy.

- Dziękuję ci. Nawet nie wiesz, jaką radość mi sprawiłaś.

- Więc zostań i porozmawiaj ze mną, dopóki nie przyjdą mnie ubrać. Chcę ci opowiedzieć o kapitanie Ferrymanie, który jest naprawdę bardzo przystojny. I w dodatku inteligentny. Mówią, że ma głowę na karku.

Słuchałam i wygłaszałam uwagi, jakich oczekiwała, dopóki nie weszła pokojówka, by pomóc Lawinii przygotować się do wyjścia. Była to niska cena za zwycięstwo.

Kiedy zawiadomiłam ayah, że jej zwolnienie nie wchodzi ^ rachubę, chwyciła moją dłoń i ucałowała ją z czcią. Cofnęłam rękę, bąkając:

- To nic takiego... masz prawo tu zostać.

Ona jednak nie odrywała ode mnie swych wyrazistych oczu. Alicja powiedziała mi później: - Ayah patrzy na ciebie jak na wszechpotężną boginię. Wyjaśniłam jej, co się stało.

- Sądzę, że zaskarbiłaś sobie jej dozgonną wdzięczność - podsumowała.

W Luizie zaszła zmiana. Wydawała się teraz bardzo szczęśliwym dzieckiem. Gotowa była pokochać każdego, kto okaże jej trochę uczucia. Miała swoją ayah, a potem zjawiłyśmy się my - niania i ja. Alicja była wymagająca, lecz ciepła; doskonale nadawała się na opiekunkę i sprawnie wykonywała swoje obowiązki. Alan również ją pokochał. Mimo że był

jeszcze malutki, próbowałam go czegoś nauczyć. Podobały mu się obrazki w książkach i potrafił już rozpoznać zwierzęta, które mu wcześniej pokazywałam.

Luiza lubiła śpiewać. Zachwyciła się dziecinnymi piosenkami, których ją nauczyłam, i często dobiegała mnie melodia „Czarnej owieczki” lub „Różyczek”.

Było nam dobrze razem. Praca sprawiała ogromną przyjemność i mnie, i Alicji.

Miałam jednak coraz silniejsze wrażenie, że to nie może trwać długo. Że ten stan jest przejściowy.

Padają wzmianki o czekającej nas prędej czy później przeprowadzce do Delhi.

- A korpus oficerski chyba tu zostanie - zauważyła Lawinia z żalem.

Bawiła się znakomicie, obserwując rywalizację kapitana i majora. Ponawiała próby wciągnięcia mnie w krąg swoich znajomych, ja jednak odnosiłam się do nich równie chłodno, jak oni do mnie. To ją irytowało.

- Złóścisz mnie - powiedziała raz. - Nic nie robisz. Zupełnie się nie starasz.

- Chcesz, żebym przewracała oczami i trzepotała wachlarzem, tak jak ty?

- Twoje zachowanie zraza każdego mężczyznę. Równie dobrze mogłabyś powiesić sobie na szyi tabliczkę z napisem: „Nie zbliżać się”.

- Ty za to robisz do wszystkich słodkie oczy.

Lawinia zaczęła się głośno śmiać.

- Druzyłło, ty mnie kiedyś wpędzisz do grobu. Przez ciebie umrę ze śmiechu.

- Mówię szczerą prawdę.

- Mimo to „słodkie oczy” są miłsze niż „nie zbliżać się”.

- Podkreślają jeszcze twój zniewalający urok. Twoja postawa stanowi zachętę dla każdego, kto się nawinie. „Poszukuję kochanka. Długie zaloty niekonieczne”.

- Sama się sobie dziwię, jak ja z tobą wytrzymuję.

- Istnieje inna możliwość.

- Znowu wracamy do tego ponurego tematu? Poddaję się. Dostarczasz mi zbyt wiele rozrywki, żebym cię miała wypuścić. Będę cię po prostu ignorowała i robiła słodkie oczy, kiedy tylko zechcę.

- Niczego innego się po tobie nie spodziewałam.

Tak się przekomarzałyśmy i nie miałam najmniejszych wątpliwości, że moja obecność wprawia Lawinię w dobry humor. Bardzo lubiła mnie gorszyć.

Pewnego dnia zastałam w pokoju lekcyjnym ayah z dziewczynką wyglądającą na jedenaście lub dwanaście lat. Wydała mi się prześliczna. Długie czarne włosy miała związane srebrną wstążką, a białoróżowe sari podkreślało gładkość smagłej skóry. Jej oczy były duże i świetliste.

- To moja bratanica, missie.

Odrzekłam, że bardzo mi miło ją poznać.

- Ona... Roszanara.

- Roszanara - powtórzyłam. - Piękne imię.

Ayah z uśmiechem skinęła głową.

- Przyszła w odwiedziny do ciebie?

Kobieta przytaknęła.

- Missie pozwoli jej zostać... słuchać missie Luizy.

- Ależ oczywiście - zgodziłam się.

I gdy zasiadłam z Luizą nad książkami, Roszanara przysłuchiwała się nam w skupieniu.

Roszanara była niezwykle piękna, nawet jak na młodą Hinduskę, i poruszała się z cudowną, niewymuszoną gracją. Mówiła już całkiem niezle po angielsku. Wykazywała wielki zapał do nauki i z przyjemnością patrzyłam, jak jej poważną twarzyczkę rozjaśnia uśmiech, ilekroć opanowała jakieś dotychczas nieznane słowo. Luiza przepadała za jej towarzystwem i te dwugodzinne lekcje należały do najmilszych dla mnie chwil.

Dowiedziałam się nieco więcej o Roszanarze. Jej ojciec, brat ayah, był zamożnym kupcem i miała po nim odziedziczyć pewną sumę pieniędzy, co dawało dziewczynce możliwość korzystnego zamążpójścia. Była już zaręczona z młodzieńcem o rok starszym od niej, synem Wielkiego Khansamy, który zarządzał domem w Delhi.

- W tym domu - wyjaśniła mi ayah - mieszkać wielcy sahibowie, mąż memsahib hrabiny i jej brat.

Więcej szczegółów uzyskałam od Lawinii. Dom stanowił własność Kompanii, jak większość rezydencji zapewniających wygody ważnym personom. Był okazalszy niż willa w Bombaju, którą jednak Lawinia uznała za przytulniejszą. Woląла zapewne przebywać z dala od męża i krytycznych spojrzeń brata.

Jak wynikało ze słów Roszanary, nadzór nad domem w Delhi sprawował Wielki Khansama, bardzo ważna osobistość. Zatrudniła go Kompania - podobnie jak khansamę w Bombaju - by dbał o wygodę dżentelmenów przybyłych z Anglii, takich jak Fabian i Dougal.

Zarządca w Delhi znany był jako Wielki Khansama Nana. Zastanawiałam się później, czy rzeczywiście nosił takie imię, czy nadano mu je z uwagi na despotyczną postawę wobec wszystkich, którzy podlegali jego władzy. Wówczas jeszcze nie słyszałam o Nanie Sahibie, dowódcy obrońców Korpusu, pałającym nienawiścią do Brytyjczyków. Gdy spojrzeć wstecz, wydaje się dziwne, że zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z nadciągającej burzy.

Wesele syna Wielkiego Khansamy Nany i Roszanary miało się odbyć po naszej rychłej już przeprowadzce do Delhi.

- Cieszysz się, że wyjdiesz za mąż? - zapytałam dziewczynkę. W jej świetlistych oczach dostrzegłam rezygnację zabarwioną lękiem.

- Tak musi być - odparła.

- Jesteś za młoda do małżeństwa.

- Jestem w odpowiednim wieku.

-1 nigdy nie widziałaś swojego narzeczonego?

- Nie. Zobaczę go dopiero na ślubie.

Biedne dziecko! - pomyślałam i wezbrała we mnie fala czułości. Stawałyśmy się coraz bliższymi przyjaciółkami. Często z nią rozmawiałam i wydawało mi się, że dzięki naszej przyjaźni staje się bardziej pewna siebie.

Ayah przyglądała się temu z zadowoleniem. Była szczęśliwa. Pozostała ze swoimi podopiecznymi i miała przy sobie ukochaną bratanicę, uczącą się - jak powiedziała - u bardzo mądrej damy-Żywiłam wcześniej pewne obawy co do moich kwalifikacji jako guwernantki, teraz jednak doszłam do wniosku, że mogę sobie pogratulować.

Za dwa lata mieliśmy wrócić do Anglii. Wówczas lady Harriet z pewnością znajdzie dla Luizy fachową guwernantkę, która nauczy ją wszystkiego, co powinna wiedzieć młoda angielska dama. Do tego czasu mogli się zadowolić moją pomocą.

Pewnego popołudnia Lawinia wezwała mnie do siebie. Dom spowijała cisza, którą mąciło jedynie skrzypienie punkah, gdy senni chłopcy pociągali za sznurki.

Lawinia spoczywała na łóżku w omdlewającej pozie. Miała na sobie zielony peniuar, który wdzięcznie kontrastował z jej płowymi włosami. Przysiadłam obok niej.

- Wyjeżdżamy do Delhi - oznajmiła. - Rozkazy z góry.

- Tak? - spytałam. -1 co, cieszysz się?

Wykrzywiła usta.

- Nie bardzo. Tutaj zaczynało się robić coraz ciekawiej.

- Masz na myśli współzawodnictwo między przystojnym majorem i ambitnym kapitanem?

- O, czy on jest ambitny?

- Jego ambicja kieruje się ku twym niezaprzeczalnym wdziękom.

- Dziękuję. Twoje komplementy mają wielką wagę, ponieważ nie szafujesz nimi.

Należysz do tych okropnych, szczerych osób, które za wszelką cenę muszą mówić prawdę.

Wolałabyś przejść przez ogień i tortury, niż powiedzieć jedno niewinne kłamstwo.

- Ty natomiast nie masz pod tym względem żadnych skrupułów.

- Wiedziałałam, że nie mogę liczyć na dalsze pochwały. A mówiąc poważnie, Druzyлло, musimy wyjechać w przyszłym tygodniu.

- Istotnie, zawiadomiono cię dość późno.

- Oni uważają, że to wystarczająco wcześnie. Gdyby nie dzieci, daliby mi dwadzieścia cztery godziny. Jakaś rodzina przyjeżdża do Bombaju... małżeństwo z trojgiem dzieci.

Potrzebują domu, dlatego musimy przenieść się do Delhi. Zresztą i tak powinniśmy dawno tam zamieszkać.

- A zatem wyruszamy w przyszłym tygodniu?

Przytaknęła.

- Ciekawa jestem, jak wygląda Delhi.

- Będzie tam Dougal i zapewne również Fabian.

- Chyba cieszysz się na myśl o spotkaniu z mężem i bratem.

Zacisnęła zmysłowe usta w wyrazie lekkiej niechęci.

- Och - zauważyłam - domyślałam się, że będziesz musiała się zachowywać nieco poprawniej niż tutaj.

- Wyobrażasz sobie mnie zachowującą się poprawnie? Pozostanę sobą i nikt nie zdoła mnie zmienić. Przeprowadzka z dziećmi to spory kłopot. Dobrze, że jest ayah. Musimy jechać tymi koszmarnymi dak-ghari, jak je nazywają. Możesz mi wierzyć, że to będzie nader uciążliwe.

- Jakoś przeżyłam podróż przez pustynię, a nie mogę powiedzieć, żeby była wygodna.

- Zaczekaj, aż zobaczysz ddk. Przed nami długa droga, w dodatku z dziećmi.

- Nie sądzę, abyś zanadto się nimi przejmowała.

- Będą miały nianię Philwright i ayah, nie wspominając już o zaradnej guwernantce.

- A co z Roszandarą? - zapytałam.

- Ach, to ta dziewczyna, która ma zostać synową Wielkiego Khansamy. Pojedzie z nami. Nie możemy pozwolić, by W.K. się na nas obraził.

-W.K?

- Rozum ci zaćmiło? Wielki Khansama, oczywiście. Słyszałam, że rządzi w tamtym domu żelazną ręką. Potrzebny byłby ktoś kalibru mamy, aby stawić mu czoło. Dougal nie jest do tego zdolny. Fabian owszem, ale uważałby to za stratę czasu.

- Zatem powinniśmy zacząć się szykować do drogi?

- Właśnie. I reszta domowników również.

- Chętnie zobaczę większy kawałek Indii - powiedziałam.

I pomyślałam: będzie tam Fabian. Ciekawe, jaki on teraz jest.

Przygotowania szły pełną parą. Ayah nie posiadała się z radości, że może nam towarzyszyć. Powiedziała, że to mnie zawdzięcza swoje szczęście. Moje wstawiennictwo u memsahib hrabiny sprawiło, że pozwolono jej zostać.

- Ja tego nigdy nie zapomnieć - zapewniała mnie żarliwie.

- Nic wielkiego nie zrobiłam - zaprotestowałam, miała jednak odmienne zdanie.

Cieszyła się, że zobaczy ślub bratanicy. Bardzo kochała Roszandarę i była zachwycona jej korzystnym zamążpójściem.

Roszandarą nie wydawała się aż tak zadowolona i z upływem czasu zdradzała coraz większą obawę.

- Widzi pani... ja go wcale nie znam - zwierzyła mi się kiedyś.

- To niedobrze, że wydają cię za kogoś, kogo nigdy w życiu nie widziałas.

Zwróciła na mnie wielkie, zmartwione oczy.

- Tak jest ze wszystkimi dziewczętami - powiedziała. - Czasami są szczęśliwe... a czasami nie.

- Słyszałam, że ten młody człowiek to ważna osoba.

- Syn Wielkiego Khansamy z Delhi - objaśniła nie bez dumy.

- Bardzo potężnego człowieka. Powiedziano, że to dla mnie zaszczyt zostać jego żoną.

- Jest mniej więcej w twoim wieku. Będziecie razem dorastali. To może wam pomóc.

Zadrżała lekko. Widziałam, że próbuje się pocieszać, wyobrażając sobie przyszłość w różowych barwach, lecz nie potrafiła uwierzyć w swoje marzenia.

W stosownym czasie byliśmy gotowe do wyjazdu. Bagaże wysłano wcześniej konnymi wozami, wprawnie zapakowane przez służbę na polecenie khansamy - nie tego Wielkiego, rzecz jasna, lecz

mimo to imponującego. Teraz nadeszła nasza kolej.

Podróż miała trwać długo, a na podstawie dotychczasowych doświadczeń nastawiłam się na poważne niewygody. Może moje przewidywania były nieco zbyt pesymistyczne.

Nasz dak-ghari okazał się wehikułem dość lichej konstrukcji, zaprzężonym w konia wyglądającego na narowistego. Mieliśmy do dyspozycji kilka takich wozów. Ja jechałam z Lawinią i niejakim kapitanem Cranlym, który - jak przypuszczałam - miał nas chronić. Dzieci podróżowały razem z Alicją, ayah i Roszanarą, a w ich wozie znajdowały się niezbędne rzeczy. Kolejny dak wioził miedziane naczynia potrzebne do mycia oraz materace, na wypadek gdyby w miejscach naszego postoju nie było łóżek.

Wreszcie wyruszyliśmy w drogę.

Było to - jak zawsze w Indiach - niezwykle ciekawe i ekscytujące przeżycie, lecz utrzymanie równowagi w podskakującym wozie wymagało zbyt wielkiego skupienia, bym mogła poświęcić należyte zainteresowanie krajobrazowi.

Lawinia wzdychała, marząc o palankinie, w którym podróżowałoby jej się o niebo wygodniej. Wyjaśniła, że jest to rodzaj lektyki, miękko wysłanej wewnątrz, w której można ulokować się w pozycji półleżącej. Palankin opierał się na drążkach i dźwigało go czterech tragarzy.

- Musi im być ciężko - zauważyłam.

- Są do tego przyzwyczajeni. Myślę, że już nigdy nie wybiorę się w żadną podróż bez palankinu.

Jechaliśmy długo, zatrzymując się co pewien czas w zajazdach uderzająco podobnych do karawanserajów na pustyni między Kairem a Suezem. Zazwyczaj dostawaliśmy do jedzenia drób i płatki owsiane, a do picia herbatę z kozim mlekiem, co niezbyt przypadło mi do gustu. Powiadają jednak, że głód jest najlepszą z przypraw, o czym miałam sposobność się przekonać w drodze do Delhi.

Podczas każdego postoju dzieci witały nas tak, jakbyśmy nie widzieli się od miesięcy, co było bardzo zabawne. Aż wreszcie dostrzegliśmy w oddali czerwone, kamienne mury pięknego miasta.

Przejazd ulicami Delhi okazał się porywającym przeżyciem. Pierwsze wrażenia wprawiły mnie w nastrój podniecenia i wyczekiwania. Żałowałam, że nie mam przy sobie przewodnika, który odpowiedziałby na moje niecierpliwie pytania i wyjaśnił, co się mieści we wszystkich imponujących budowlach.

Otoczone murami miasto leżało na wyżynie, wokół której rozpościerała się soczysta zieleń lasów. Kopuły, minarety i ogrody urzekały tajemniczością. Zobaczyłam mury Czerwonego Fortu, dawnego pałacu Szahdżahana. Pragnęłam dowiedzieć się więcej o jego historii. Nieoczekiwanie pomyślałam, jakże Dougal musi się tym zachwycać.

Minęliśmy Dżama Masdzid, wielki meczet, niewątpliwie jedną z najwspanialszych budowli. Zauważyłam także monarsze mauzoleum władców Indii. Nie potrafiłam przewidzieć przyszłości,

wiedziałam jednak, że zawsze będę zadowolona z tego, iż mogłam zobaczyć ten kraj.

Tak przybyliśmy do Delhi.

Dom wyglądał znacznie okazalej niż ten w Bombaju.

Powitał nas Wielki Khansama, mężczyzna w średnim wieku, który emanował

godnością, jakiej nie widziałam dotychczas u nikogo. Można było odnieść wrażenie, że to jego dom, my zaś jesteśmy gośćmi, szacownymi, lecz należącymi do nieco niższej kasty.

Klasnął w dłonie i natychmiast nadbiegli służący. Zmierzył Roszanarę krytycznym spojrzeniem. Przypomniałam sobie, że to przecież jej przyszły teść, i zapragnęłam, ze względu na dziewczynkę, by nie mieszkał zbyt blisko młodej pary.

- Witajcie w Delhi - powiedział, jak gdyby miasto było jego własnością.

Mimo woli zwracaliśmy się do niego z szacunkiem. Zauważyłam, że jego oczy spoczęły na Lawinii i pojawił się w nich pewien błysk, który już wcześniej dostrzegałam u innych mężczyzn. Ona także zdała sobie z tego sprawę i wcale nie poczuła się dotknięta.

Zaprowadzono nas do naszych pokoi. Wszędzie wisały punkah, lecz tutaj nikt nie ośmielił się próżnować.

Nieustannie powracała do mnie jedna myśl - że niebawem zobaczę Dougala... i Fabiana.

Alicja wraz z ayah zabrały dzieci do przeznaczonej dla nich części domu. Przez okno mojego pokoju widziałam majestatyczny figowiec okryty bujnym listowiem. Wokół

rozpościerał się zachwycający ogród. Na powierzchni sadzawki, pod wysokim tamaryndowcem unosiły się lilie wodne i kwiaty lotosu. Wyczuwałam w tym otoczeniu pogodę i spokojne piękno. Później tłumaczyłam sobie, że była to złowroga cisza przed burzą, wówczas jednak nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Patrzyłam tak przez chwilę, a potem poszłam sprawdzić, jak sobie radzi Alicja. Pokoje dzieciinne były przestronniejsze niż w Bombaju. Zobaczyłam Roszanarę, która drżała lekko.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam.

Spojrzała na mnie błagalnie, jak gdyby oczekiwała pomocy.

- Czuję to w kościach - dodałam z uśmiechem.

- Moje kości mówią co innego.

Domyśliłam się, że despotyczny Wielki Khansama zasiał ziarno lęku w jej sercu.

Powiedziałam więc:

- Synowie surowych ojców często bywają łagodni. Dyscyplina, w jakiej ich wychowywano, mogła im przysporzyć cierpień. Tacy ludzie stają się dobrzy i wyrozumiali.

Słuchała mnie uważnie. Biedne dziecko! - pomyślałam znowu. Co za smutny los, być zmuszoną do małżeństwa z nieznajomym. Mnie, której udało się wykręcić od zaplanowanego przez lady Harriet ślubu z Colinem Bradym, zrobiło się szczególnie żal bezbronnej Roszanary.

Alicja była zachwycona nowym mieszkaniem; ona również uważała obecne życie za niezwykle i emocjonujące, czasami jednak dostrzegałam cień tęsknoty w jej oczach i przypuszczałam, że myśli o Tomie Keepingu. Przypomniałam sobie, że przecież on mieszka w Delhi i pracuje w Kompanii. Niewykluczone zatem, że wkrótce się spotkamy. Bardzo by mnie to ucieszyło. Alicja była przezacną kobietą. Powinna mieć własne dzieci, zamiast obdarzać gorącym uczuciem cudze, które - jak dowiodła tego sytuacja ayah - w każdej chwili mogły zostać jej odebrane.

Zostawiłam dzieci i wróciłam do swego pokoju. Zastałam tam Lawinię, rozpartą w fotelu.

- Gdzie się podziewałaś? - spytała.

- Pomagałam przy ulokowaniu dzieci.

- Czekałam na ciebie.

Nie zamierzałam przeproszać. Zirytował mnie jej brak zainteresowania własnym potomstwem.

- Zjesz z nami kolację, prawda?

- A czy to wypada?

- Będzie Dougal i Fabian chyba także przyjdzie, jeśli oczywiście nie są już z kimś umówieni, co się zdarza dość często. Sprawy Kompanii są najważniejsze.

- Rozumiem. Ale ja pracuję tutaj jako guwernantka.

- Nie mów głupstw, znają cię przecież. Dougal nawet dość blisko, jak przypuszczam.

Podnieśliby krzyk, gdybyś została zaliczona do kategorii służących... nawet wyższej klasy.

- Wątpię, czy zwróciliby uwagę.

- Nie naciągaj mnie na komplementy. To ja ich oczekuję. Chcę, żebyś przyszła. Będą, oczywiście, nudne rozmowy o interesach. Możemy sobie wtedy poplotkować na boku.

- Cóż, jeśli mam być użyteczna...

Parsknęła śmiechem.

- Żałuję, że nie mogliśmy zostać w Bombaju. Te okropne wozy. Zupełny koszmar.

Muszę wylać Dougala za to, że nie przysłał dla nas palankinów. Uważam to za zniewagę dla Kompanii, że żony pracowników podróżują w takich warunkach. Może coś do nich trafi, jeśli ujmę rzecz w ten sposób. Czemuż nie zostaaliśmy w Bombaju!

- Wiem, że przykro ci było opuszczać romantycznego majora i ambitnego kapitana.

Pstryknęła palcami.

- Ach, tu także stacjonuje pułk. Z całą pewnością. W końcu to ważne miasto, w którym załatwia się większość interesów. Tutaj i w Kalkucie... Muszę przyznać, że już wolę Delhi.

- Zatem znajdą się następcy owych dwóch rycerskich dżentelmenów.

- To już nie twoje zmartwienie. W co mam się dzisiaj ubrać? Oto pytanie, które pragnęłam ci zadać.

Zaczęła rozmowę o strojach, a ja słuchałam z roztargnieniem, zastanawiając się, jak to będzie, gdy zobaczę znowu Dougala i Fabiana.

Niebawem miałam się przekonać.

Najpierw zobaczyłam Dougala. Weszłam do pomieszczenia będącego czymś w rodzaju przedsionka jadalni. Dougal już tam był. Przyszło mi do głowy, że dowiedział się o naszym przyjeździe i czekał na mnie. Podeszedł bliżej i ujął moje dłonie.

- Druzylla! Jakże się cieszę!

Wyglądał starzej. Zniknął gdzieś wyraz twarzy człowieka, który patrzy na świat z żywym zainteresowaniem. Jego czoło przecinała pionowa zmarszczka.

- Jak się miewasz? - zagadnęłam.

Zawahał się na mgnienie oka.

- Dobrze, dziękuję. A ty?

- Ja również - odrzekłam.

- Niezmiernie mnie uradowała wieść o twoim przyjeździe, choć bardzo mi przykro z powodu śmierci twego ojca.

-Tak, to było ogromnie smutne wydarzenie.

- Nigdy nie zapomnę naszych rozmów. - Jego oczy nabrały tęsknego wyrazu. Zawsze z łatwością odgadywałam myśli Dougala... choć może nie zawsze, bo czyż nie wyobraziłam sobie niegdyś, że mnie lubi? Lubił mnie, owszem, lecz nie tak, jak myślałam.

I wówczas wszedł Fabian. Cała moja uwaga skierowała się ku niemu.

Stał na lekko rozstawionych nogach, przypatrując mi się badawczo. Nie potrafiłam jednak czytać w jego myślach. Kącki ust uniosły mu się lekko, jak gdyby bawiła go moja obecność w tym domu.

- Panna Druzylla Delany - powiedział. - Witamy w Indiach.

- Dziękuję - odrzekłam grzecznie.

Zbliżył się i wziął mnie za rękę, nie odrywając oczu od mojej twarzy.

- Ach... wciąż ta sama panna Delany.

- Spodziewał się pan kogoś innego?

- Miałem nadzieję, że nie ujrzę żadnej zmiany. I spełniła się. - Mówił lekkim tonem. -

Jak się pani podobała podróż?

- Niezmiernie interesująca. Mimo drobnych niewygód było to inspirujące doświadczenie.

- Widzę, że podchodzi pani do sprawy filozoficznie. Domyślałem się zresztą, że tak będzie. Ufam, iż zainteresowanie i inspiracja przeważą nad niewygodami.

Do pokoju weszła Lawinia i obaj mężczyźni zwrócili się w jej stronę. Wyglądała przepięknie w swej nieco przejrzystej sukni, podkreślającej wspaniałą figurę, i z wysoko upiętymi włosami. Poczułam się natychmiast jak niepozorny wróbel w towarzystwie pawia.

Dougal podszedł do niej i pocałowali się zdawkowo. Nie był to pocałunek, jakiego można by oczekiwać od pary małżeńskiej spotykającej się po kilkumiesięcznej rozłące.

Zauważyłam w Dougalu pewną zmianę. Wydawał się zaniepokojony.

Lawinia odwróciła się do Fabiana.

- Cóż, sestro - powiedział - wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek. Przypuszczam, że przyjazd Druzylli sprawił ci wiele radości.

Wydęła wargi.

- Och, ona odnosi się do mnie z dezaprobatą. Nieprawdaż, Druzyлло?

- Zapewne nie bez powodu - zauważył Fabian.

- Druzylla zawsze była rozsądna - dorzucił Dougal z odcieniem rezygnacji.

- Oczywiście, Druzylla to wzór wszelkich cnót - zadrwiła Lawinia.

- Miejmy zatem nadzieję, że wywrze na ciebie zbawienny wpływ - powiedział jej brat.

- Lepiej chodźmy już do jadalni - zaproponował Dougal. - Wielki Khansama będzie zły, jeśli się spóźnimy.

- Więc się spóźnijmy - rzucił Fabian. - Uważam, że to my powinniśmy ustalać reguły.

- Mógłby nam uprzykrzyć życie na wiele sposobów - przypomniał mu Dougal i zwrócił się do mnie. - Służba jest mu całkowicie podporządkowana.

- Mimo to nie pozwolę mu rządzić moim życiem - odparł Fabian. - Z drugiej strony jednak, jeśli będziemy zwlekać, kolacja wystygnie. Pod tym względem Wielki Khansama może mieć słuszość. Nie chcemy chyba, żeby panna Druzylla odniosła złe wrażenie, nieprawdaż?

W przestronnej jadalni było chłodno; oszklone drzwi wychodziły na pięknie utrzymany trawnik z sadzawką, w której pływały znane mi już lilie wodne i kwiaty lotosu.

Powietrze wypełniało ciche brzęczenie niezliczonych owadów i wiedziałam, że po zapaleniu lamp trzeba będzie zaciągnąć zasłony, by nie wtargnęły do pokoju rozmaite szkaradzieństwa.

- Musi nam pani opowiedzieć o podróży - odezwał się Fabian.

Uczyniłam to, wspominając również o naszej ryzykownej przeprawie przez pustynię.

- Zaprzyjaźniła się pani z którymś ze współpasażerów? - zapytał. - Na statku łatwo nawiązać znajomość.

- Poznałyśmy pewnego Francuza. Był bardzo uczynny, niestety, zachorował na pustyni i nie zobaczyłyśmy go więcej. Spotkałyśmy za to pracownika Kompanii. Być może zna go pan, nazywa się Tom Keeping.

Fabian skinął głową.

- Mam nadzieję, że okazał się pomocny.

- Bardzo.

- A co myślisz o Indiach? - zapytał Dougal.

- Mam wrażenie, że widziałam dotychczas zaledwie skromny ich fragment.

- Wszystko jest tu inne niż w Anglii - powiedział z odcieniem żalu.

- Spodziewałam się tego.

Wielki Khansama wkroczył do jadalni. Miał na sobie bladoniebieską bluzę opadającą na luźne białe spodnie, biały turban, a na nogach ciemnoczerwone buty, z których - jak zauważyłam - był bardzo

dumny. Nosił je z miną sugerującą, iż są symbolem jego wysokiej pozycji.

- Wszystko jest jak należy? - zapytał tonem, w którym dźwięczało wyzwanie:

„Spróbujcie tylko powiedzieć, że nie”.

Lawinia uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Bardzo dobrze - odrzekła. - Dziękujemy.

- A sahibowie...? - zapytał.

Obydwaj zapewnili go, że są w pełni usatysfakcjonowani. Wówczas skłonił się i wyszedł.

- On ma naprawdę wysokie mniemanie o sobie – mruknął Dougal.

- Co gorsza - dodał Fabian - cała służba podziela to przekonanie.

- Dlaczego jest taki ważny? - spytałam.

- Zatrudnia go Kompania, otrzymał to stanowisko na stałe. Uważa dom za swoją własność, a nas za gości, którzy przyjeżdżają i wyjeżdżają. Tak to widzi. Oczywiście jest bardzo sprawnym zarządcą, zapewne dlatego się go toleruje.

- Myślę, że bez trudu nawiążemy przyjazne stosunki - wtrąciła Lawinia.

- Owszem, jeśli wszyscy mu się całkowicie podporządkują - odrzekł jej brat.

- Przed czym pan się wzdraga - zauważyłam.

- Nie pozwolę, by służący rządzą moim życiem.

- On nie uważa się za służącego - sprostował Dougal. – We własnych oczach jest wielkim nababem, panem nas wszystkich.

- Ma w sobie coś, co wzbudza nieufność - oświadczył Fabian.

- Jeśli stanie się zbyt arogancki, dołożę starań, by zastąpiono go kimś innym. A teraz proszę o wieści z domu.

- Wie pan, że wojna się skończyła? - zapytałam.

- Już najwyższy czas.

- Przywieziono żołnierzy z Krymu, opiekują się nimi pielęgniarki. Spisały się wspaniale.

- Dzięki godnej podziwu panie Nightingale.

- Tak - potwierdziłam. - Musiała się bardzo natrudzić, żeby ludzie zaczęli jej słuchać.
- No, ale wojna skończona - odrzekł Fabian. – Odnieśliśmy zwycięstwo... pyrrusowe, jak się obawiam. Straty są ogromne, a Francuzi i Rosjanie ucierpieli zapewne jeszcze bardziej niż my.
- Dzięki Bogu, położono temu kres - dodał Dougal.
- Trwało to bardzo długo - ciągnął Fabian. - I... raczej nie poprawiło naszego położenia tutaj.
- Czyli w Indiach? - upewniłam się.
- Oni tu bacznie obserwują posunięcia Brytyjczyków i odniosłem wrażenie, że ostatnio ich postawa uległa pewnej zmianie. - Zmarszczył brwi, wpatrując się w swój kieliszek.

Lawinia ziewnęła.

- Przypuszczam, że tutejsze sklepy niewiele się różnią od tych w Bombaju - powiedziała. Fabian parsknął śmiechem.
- Jest to sprawa najwyższej wagi i niewątpliwie zbadasz ją niezwłocznie.
- Dlaczego tocząca się gdzieś daleko wojna miałaby zmienić postawę Hindusów? - zapytałam.

Fabian oparł ręce o stół i utkwiał we mnie uważne spojrzenie.

- Kompania przyniosła Indiom wiele dobrego... tak nam się wydaje. Ale narzucanie własnych obyczajów innemu krajowi nigdy nie jest łatwe. Nawet jeśli w niektórych sprawach są to zmiany na lepsze, wywołują protest.
- Tutaj bez wątplenia wywołały - przyznał Dougal.
- I to budzi w panu obawy?
- Właściwie nie - odrzekł Fabian. - Myślę jednak, że musimy być czujni.
- Czy jest to jedna z przyczyn, dla których toleruje się despotyczne rządy Wielkiego Khansamy?
- Widzę, że w lot zrozumiała pani sytuację.
- Och, Druzylla jest bardzo mądra - wtrąciła Lawinia. - O wiele mądrzejsza, niż ja.
- Wykazujesz jednak pewną spostrzegawczość, skoro zdołałaś to zauważyć - skonstatował jej brat. - Aczkolwiek muszę przyznać, iż ta różnica jest dość oczywista.

- Fabian zawsze traktuje mnie podle. - Lawinia wydeła wargi.

- Jestem szczery, droga siostró. - Zwrócił się do mnie. - W ciągu ostatniego roku zaszły tu pewne zmiany. Podejrzewam, że mają coś wspólnego z wojną. Gazety rozpisywały się o cierpieniach naszych żołnierzy i długim oblężeniu Sewastopola. Miałem wrażenie, że niektórzy ludzie śledzą te wydarzenia z pewną satysfakcją.

- Ale przecież nasza pomyślność oznacza także korzyści dla nich.

- Istotnie, lecz nie wszyscy myślą równie logicznie jak pani i ja. Istnieje takie powiedzenie: „Na złość mamie odmrozę sobie uszy”. Przypuszczam, że znajdzie się tu wielu ludzi gotowych tak właśnie postąpić... wyrzec się dobrobytu, byleby nas upokorzyć.

- Tego rodzaju postawa wydaje się pozbawiona sensu.

- Wszyscy ludzie mają silne poczucie dumy narodowej - wtrącił Dougal. - Większość z nas ceni sobie niezależność i lęka się ją utracić, nawet jeśli wiąże się ona z pewnymi niedogodnościami.

- Jakie będą skutki takich nastrojów? - zapytałam.

- Jakikolwiek by były, poradzimy sobie - odparł Fabian. - Mamy świadomość tego, co się dzieje. Nasz khansama jest, jak łatwo zauważyć, niezwykle dumnym i hardym człowiekiem.

- Moim zdaniem to dość zabawny jegomość - wtrąciła Lawinia.

- Jeśli uznasz go za głowę domu, wszystko będzie w porządku - powiedział jej brat. -

Przypuszczam, że byłoby nierozsądnie narażać się na gniew tego człowieka.

- Co mógłby zrobić?

- Pod wieloma względami utrudnić nam życie. Cała służba jest mu posłuszna i nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić. Narastające niepokoje w tym kraju wynikają najprawdopodobniej ze sposobu, w jaki wprowadzaliśmy nowe prawa. Tutejsi ludzie obawiają się, że nasze obyczaje całkowicie wyprą ich narodowe tradycje.

- Czy to słuszne? - spytałam.

Fabian spojrział na mnie i skinął głową.

- Działalność sekty thagów, sati... to zło, które powstrzymali Brytyjczycy. Pani się temu dziwi. Nie zna pani tych obyczajów. Są to szkodliwe i okrutne obrzędy, których już dawno należało zabronić. Uznaliśmy je za niezgodne z prawem. Wielu Hindusów lękało się tych praktyk, lecz jednocześnie uważa nasze przybycie i decyzje za niepożądane. Dougal, rzecz jasna, przeprowadził wnikliwe badania.

- Jak to on - prychnęła Lawinia.

Mąż nawet na nią nie spojrział. Zwrócił się do mnie:

- Chodzi o hinduskich thagów. To sekta religijna. Czczą boginię Kali, chyba najbardziej krwiożerczą z bóstw. Nieustannie żąda ofiary z ludzkiej krwi. Ci, którzy zaprzysięgli jej wierność, są zawodowymi mordercami. Zabójstwa przynoszą im zaszczyt.

- Z pewnością wszyscy są temu przeciwni - powiedziałam.

- Wszyscy... z wyjątkiem samych thagów. Ale to również ingerencja w wewnętrzne sprawy tego kraju.

- Ludzie byli z pewnością przerażeni.

- To bardzo religijna społeczność. Ci, którzy złożyli przysięgę, żyli z morderstw. Było im wszystko jedno, kogo zabijają. Ograbiali swe ofiary, rzecz jasna, lecz nie chodziło im o rabunek, tylko o ułagodzenie bogini. Łączyli się w grupy i pozyskiwali zaufanie podróżnych, by w sprzyjającej chwili odebrać im życie.

- To potworne!

- Zazwyczaj dusili ofiary.

- Stosowano także cierniste jabłko - dodał Fabian.

- To rodzaj narkotyku - wyjaśnił Dougal. - Rośnie tu w obfitości. Liście i nasiona służą do celów leczniczych. Suche liście wydzielają narkotyczną woń. Łatwo rozpoznać tę roślinę. Jej właściwa nazwa to bieluń, ale tutejsi używają określenia „cierniste jabłko”. Ma rurkowaty kielich o pięciu ząbkach i dużą, lejkowato rozszerzoną koronę. Owocem jest kolczasta torebka.

- Dougal zawsze lubił naukowe opisy - wtrąciła drwiąco Lawinia.

- Nie ma w tym nic naukowego - zaproponował. - Każdy od razu zrozumie, o co chodzi.

- Ja nie rozumiem. Z pewnością nie rozpoznałabym tej rośliny - oznajmiła Lawinia. -

A ty, Druzylo?

- Ja również.

- No więc sam widzisz, Dougalu. Zanudzasz nas opisami, a chciałabym się więcej dowiedzieć o truciznie.

- Jest zabójcza - wyjaśnił. - Z tej rośliny można wydestylować alkaloid zwany daturyną. Niektórzy tubylcy używają go jako narkotyku. Działa na nich pobudzająco, świat wydaje im się piękny.

- I to się ludziom podoba?

- O, tak - odrzekł Dougal. - Czują się wspaniale, dopóki działa narkotyki. Lecz później następuje zazwyczaj faza silnego przygnębienia. Co więcej, jest to bardzo niebezpieczna, niekiedy zabójcza trucizna.

- A thagowie używali jej do uśmiercania ofiar?

- Był to jeden z ich sposobów - potwierdził Fabian - aczkolwiek częściej zadawali śmierć przez uduszenie.

- Można by pomyśleć, że ludzie odetchną z ulgą, gdy się zabroni takich praktyk.

Fabian wzruszył ramionami, spoglądając w sufit.

- O tym właśnie mówiliśmy. Niepodległość albo lepsze rządy. Część zawsze wybierze to pierwsze. Tak samo było z sati.

- Zniesiono ten obyczaj mniej więcej w tym samym czasie, co obrzędy thagów -

wyjaśnił Dougal. - Naprawdę tubylcy powinni być wdzięczni lordowi Williamowi Bentinckowi. Był przez dwadzieścia lat gubernatorem Madrasu, a potem, od roku 1828 do 1835, gubernatorem generalnym. Wiadomo, na czym polega sati. Żona rzuca się w płomienie i umiera na stosie pogrzebowym męża.

- To straszne!

- Dlatego właśnie lord William wprowadził zakaz wykonywania tych obrzędów -

wyjaśnił Fabian.

- Był to wielki krok naprzód - dorzucił Dougal.

- Szczerze mówiąc - odezwał się Fabian - przypuszczam, że nadal sieje praktykuje. W

ramach oporu przeciw władzy Brytyjczyków.

- Doprawdy, to zaczyna przypominać lekcję historii - ziewnęła Lawinia.

- Fascynującą lekcję - zauważyłam.

- Druzyłło, ale z ciebie piła! Doprowadzasz mnie do szału. Tylko ich zachęcasz. Już wiem, co powiesz. „Jeśli ci się nie podoba, wracam do domu”. Zawsze mnie straszy, że wróci do Anglii.

- W żadnym wypadku nie powinna pani tego robić – oznajmił z powagą Fabian.

Poczułam nagły przyływ radości. Znałam już to uczucie. Było to tak, jakbym nagle obudziła się do życia.

Przez resztę wieczoru rozmawialiśmy o Indiach, o rozmaitych kastach i religiach.

Spoglądając przez okno, miałam wrażenie, że nigdy nie oglądałam równie pogodnej scenerii.

Tamtej nocy długo nie mogłam usnąć. Rozmyślałam o wieczornej rozmowie, o dawnych okrutnych zwyczajach i o tym, że znalazłam się pod jednym dachem z dwoma -

musiałam to przyznać - najważniejszymi mężczyznami w moim życiu: Dougalem i Fabianem.

Jak bardzo różnili się od siebie! Zaniepokoił mnie nieco tęskny wyraz oczu Dougala; wyczuwałam w nim smutek i żal. Nietrudno się domyślić, że małżeństwo przyniosło mu rozczarowanie - i w tych chwilach, które spędzaliśmy razem, szukał u mnie pocieszenia.

Doszłam do wniosku, że muszę mieć się na baczności. Co do Fabiana, prawie się nie zmienił.

Wiedziałam, że nie mogę ulec jego urokowi. Pochodził z rodu Framlingów, a Framlingowie nigdy się nie zmieniali. Uważali, że cały świat do nich należy, a ludzie zostali stworzeni po to, by służyć ich celom. Ponadto nie wolno mi było przecież zapominać o lady Geraldine, która mogła zjawić się lada chwila, żeby wziąć z nim ślub.

Ceremonia ślubna Roszanary odbyła się niemal natychmiast, wedle starodawnych hinduskich zwyczajów. Nie byliśmy obecne na uroczystości. Dowiedziałam się od ayah, że Asraf - pan młody - jest o dwa lata starszy od Roszanary.

- Biedne dzieci - westchnęła Alicja. - Oby życie nie okazało się zbyt ciężkie dla małej Roszanary i jej męża.

Zobaczyłyśmy wozy, bogato ozdobione na tę okoliczność, oraz samego Wielkiego Khansamę, który wyglądał wspaniale; dostrzegłam błysk klejnotów na jego turbanie.

Nie widziałam Roszanary po ślubie. Wyjechała wraz z mężem na plantację herbaty, należącą do jego stryja. Zastanawiałam się, czy ów stryj ma o sobie równie wysokie mniemanie, jak ojciec Asrafa - choć trudno byłoby to sobie wyobrazić.

Dzień za dniem upływały nam w ustalonym porządku. Urządziłyśmy pokój lekcyjny w apartamentach dzieci i tam je uczyłam. Brakowało nam Roszanary. Alan stawał się małym mężczyzną.

Dzieci były szczęśliwe. Zmiana miejsca zamieszkania nie miała znaczenia, dopóki osoby, które kochały i którym ufały, były w pobliżu. Alicja zauważyła, że matka nie poświęca im zbyt wiele troski, na co odparłam, iż nigdy szczególnie nie interesowała się dziećmi, więc nie odczują jej braku. Matka matką, lecz w tym wypadku najważniejsze byliśmy my. Alicja, ayah i ja. Na nas opierał się mały świat obojga.

Lawinia pogodziła się z przeprowadzką, a nawet była zadowolona. Delhi przewyższało Bombaj pod względem l cji, więcej się tu działo, no i w mieście stacjonował

znacznie liczniejszy pułk wojska.

- To oznacza większą liczbę przystojnych oficerów - zauważyłam kąśliwie.

Pokazała mi język.

- Jesteś zazdrosna? - spytała.

- Ani trochę.

- Kłamczucha.

Wzruszyłam ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz.

- Moja biedna Druzyлло, gdybyś tylko spróbowała trochę udawać... spodobałabyś się im wszystkim.

- To pozostawiam tobie.

Zaśmiała się cicho.

Nieustannie zwracała uwagę na własny wygląd i zastanawiała się, w jaki sposób podkreślić swą urodę. Wyszukała jakieś perfumy, które szczególnie przypadły jej do gustu.

Byłam zdumiona, że dotychczasowe przeżycia nie pozostawiły na niej najmniejszego śladu.

Haniebny romans z fałszywym hrabią spłynął po Lawinii jak woda po gęsi; zapomniała zupełnie o istnieniu Fleur. Kto inny zajął się owocem jej występku i zapewne wyobrażała sobie, że zawsze tak będzie. Ale lubiła mnie na swój sposób. Lubiła mnie gorszyć; bawiły ją moje krytyczne uwagi. Jedynie wzmianki o wyjeździe budziły w niej niepokój. To była moja broń, a Lawinia zdawała sobie z tego sprawę. Ja zaś, mimo wszystko, darzyłam ją sympatią -

choć jej zachowanie uznawałam często za skandaliczne.

Podtrzymywała zwyczaj codziennych spotkań z zarządcą w celu omówienia jadłospisu. Zdziwiło mnie to, ponieważ w Bombaju starała się unikać tego obowiązku. Teraz jednak robiła to regularnie. Wkrótce odkryłam dlaczego.

Wielki Khansama pompatycznie wchodził na piętro, Lawinia zaś przyjmowała go w buduarze przylegającym do sypialni. Miała zazwyczaj na sobie ozdobiony wstążkami peniuar lub coś równie kobiecego, co wydawało mi się nierozsądne.

Nie uświadamiała sobie, że to ceremonia - niemal rytuał. Pani domu powinna siedzieć przy stole, skrupulatna i pełna godności, i uważnie słuchać propozycji khansamy, kwestionując niektóre z nich i wysuwając własne, a następnie ustępując nalegając w zależności od wymogów etykiety. Zachowanie ii było zupełnie inne. Wiedziałam dlaczego.

Wielki Khan - mimo swej monarszej wyniosłości, dał jej do zrozumienia, że uważają za piękność.

Dougal i Fabian spędzali większą część dnia poza domem; Czasami jedli też kolację gdzie indziej. Dougal przychodził częściej niż Fabian, który wydawał się bardziej zaangażowany w pracę Kompanii.

Siadałam z nimi do stołu. Zastanawiałam się, co o tym myśli Alicja, która jadła posiłki z dziećmi albo w swoim pokoju. Spróbowałam się przed nią wytłumaczyć.

- To chyba dlatego, że jestem kimś w rodzaju damy do towarzystwa hrabiny. Znam ją od dzieciństwa, mieszkałam w pobliżu... Życzy sobie mojej obecności. Oczywiście może w każdej chwili zmienić zdanie. Jest nieprzewidywalna.

- Wolę takie rozwiązanie - powiedziała Alicja. - To mi odpowiada.

- Mam nadzieję, że naprawdę nie czujesz się urażona.

- Moja droga Druzyłło, czemu miałabym się czuć urażona? Czasami ci współczuję, że musisz spędzać tyle czasu z hrabiną.

- Znam ją dobrze. Nie pozwolę się tyranizować.

- Sprawia wrażenie bardzo lekkomyślnej kobiety.

- Zawsze taka była.

- Domyślałam się tego, lecz przypuszczałam, że tutaj będzie się zachowywała inaczej niż w Anglii.

Przyznałam jej rację; coraz częściej niepokoiłam się o Lawinię. Cóż, gdyby wpadła w jakieś tarapaty, miała do pomocy męża i brata.

Pewnego wieczoru zjedliśmy kolację we troje, bez Fabiana, rozmawiając na ogólne tematy. Wkrótce potem Lawinia oświadczyła, że idzie się położyć. Zostaliśmy z Dougalem sami.

Przeszliśmy do bawialni. Wieczór po upalnym dniu był rozkosznie chłodny.

- Ogród jest taki piękny w świetle księżycy - powiedział Dougal. - Jeśli zgasimy lampy, możemy odsunąć zasłony i napawać się widokiem.

Miał słuszość. Widok wprost zapierał dech w piersi. Widziałam sadzawkę z kwiatami unoszącymi się na powierzchni i banian, oblany tajemniczą, bladą poświatą.

- Nieczęsto zdarza się nam sposobność rozmowy sam na sam - zauważył. - Takie chwile jak ta to rzadka przyjemność, Druzyłło.

- Wiem, Dougalu, że tęsknisz za domem.

- Każdy dzień przybliża chwilę powrotu.

- Jesteś zdecydowany wyjechać, gdy upłyną twoje dwa lata.

Przytaknął.

- Ludzie powinni układać sobie życie tak, jak chcą, nie sądzisz?

- Owszem... pod warunkiem, że nikomu nie wyrządzają tym krzywdy.

- To nie miejsce dla mnie.

- Nie. Twoje miejsce jest wśród książek, w spokojnym środowisku akademickim.

- Jak ty mnie dobrze znasz, Druzyłlo.

- Nie trzeba cię dobrze znać, by wiedzieć, czego oczekujesz od życia.

- Chciałbym czytać... dowiadywać się wciąż czegoś nowego. Nic nie jest równie ekscytujące jak zdobywanie wiedzy o świecie, w którym żyjemy. Dziwne, że ludzie tego nie rozumieją. Odnoszę wrażenie, że większość z nich goni za mrzonkami.

- Być może myślą to samo o tobie. Każdy patrzy na życie inaczej. To, co dla jednego jest rozrywką, drugi uważa za nudziarstwo.

- Masz całkowitą rację.

- Musimy o tym zawsze pamiętać.

- Bardzo bym chciał wrócić do domu. Nie jestem tu szczęśliwy. Wydaje mi się, że coś złego wisi w powietrzu.

- Naprawdę to czujesz?

- Mam wrażenie, że ci ludzie nas obserwują... w jakimś celu. Jakby mówili: „To nie jest wasz kraj. Wyoście się stąd”.

- Rozmawiałeś o tym z Fabianem?

- Mój szwagier jest człowiekiem praktycznym. Stąpa, jak to się mówi, twardo po ziemi. Rola zwierzchnika odpowiada mu o wiele bardziej niż mnie. Więc chyba rozumiesz, dlaczego postanowiłem nieodwołalnie wracać do domu, gdy upłynie ten dwuletni okres.

- Jeśli tak myślisz, czemu nie wyjedziesz wcześniej?

- Muszę ich na to przygotować. Dotychczas jedynie napomykałem, że mam pewne zobowiązania w Anglii. Kłopot w tym, że moja rodzina jest od lat związana z Kompanią. To zobowiązuje do podtrzymywania tradycji.

- Biedny Dougal!

- Och, zasłużyłem na swój los. Popełniałem jeden błąd za drugim.

- To się zdarza większości z nas.

- Ty nie popełniasz błędów.

Zaśmiałam się, unosząc brwi.

- Ależ oczywiście, że popełniam.

- Jeśli nawet, to drobne. Druzyłło, nie ma sensu ukrywać tej»°» co i tak rzuca się w oczy. Popełniłem chyba najstraszniejszy błąd, jaki może się przydarzyć mężczyźnie.

- Jesteś pewien, Dougalu, że chcesz ze mną o tym rozmawiać?

- Z kim innym mógłbym to robić?

- Na przykład z Fabianem.

- Z Fabianem? Ci Framlingowie są zbyt egocentryczni, by przejmować się cudzymi problemami.

- Fabian z pewnością by cię zrozumiał. - Milczał, więc pochwili zapytałam: - Czy chodzi o twoje małżeństwo?

- Lawinia i ja nie mamy ze sobą zupełnie nic wspólnego.

Wezbrała we mnie gwałtowna fala gniewu. Pomyślałam: Dlaczego uświadomiłeś to sobie dopiero teraz? Przecież to było oczywiste od samego początku. I po co mówisz o tym właśnie mnie?

- Bardzo lubiłem nasze spotkania na plebanii - dodał tęsknie.

- Mój ojciec również je lubił.

- Odnosiłem wrażenie, że nam wszystkim sprawiają przyjemność.

- O, tak. Prowadziliśmy ciekawe rozmowy.

- Podejmowałaś z entuzjazmem każdy temat. Gdyby tylko...

- To chyba jedno z najczęściej używanych słów w naszym języku.

- Ty nigdy ich nie używasz?

- Zdarza mi się. Są to jednak puste słowa. Tego, co już się stało, nie można odwrócić.

- Ja zaś nie mogę się powstrzymać, by nie powtórzyć: gdyby tylko...

- Nie pozostaniesz tu na zawsze, a jeśli podjąłeś decyzję, że po powrocie do domu będziesz pogłębiał swą wiedzę... jest to coś, na co warto czekać.

- Lawinia nigdy się nie zgodzi na takie życie, jakiego pragnę.

- To bardzo prawdopodobne, lecz dlaczego nie pomyślałeś o tym wcześniej?

- Byłem zaślepiony.

- Ach tak, istotnie.

Zapadło między nami milczenie. Zakłócił je tylko szum skrzydeł olbrzymiego owada przelatującego obok otwartych drzwi.

- Gdyby paliła się lampa, wleciałby do pokoju – powiedział Dougal.

- Wydawał się piękny.

- Tu jest wiele piękna - odparł. - Spójrz na ten ogród. Czyż nie wygląda cudownie?

Drzewa, sadzawka, kwiaty... Wszystko tchnie głębokim spokojem, lecz to pozory. Ten kraj to jedna wielka tajemnica. Nic tu nie jest takie, jak nam się wydaje.

- Zwłaszcza w tym domu?

- Tak sądzę. Służba wykonuje nasze polecenia, ale często zadają sobie pytanie, co się kryje w ich głowach. Chwilami ich postawa sprawia wrażenie niemal oskarżycielskiej, jak gdyby ci ludzie żywili do nas urazę. Popatrz na ogród. Czy wyobrażasz sobie spokojniejsze miejsce? A jednak tam, w trawie, kryją się jadowite węże i żmije. Możesz nawet stanąć oko w oko z kobrą, przyczajoną w zaroślach.

- To brzmi jak opis raj, w którym czyha zdradziecki gad - zaśmiałam się lekko.

- Istnieje pewne podobieństwo. Musisz zachować ostrożność, Druzyłlo. Te węże są wszędzie.

- Widziałam jednego czy dwa. To te żółtawobrazowe?

- Tak. Mogą mieć różne odcienie. Mają też duże owalne plamy, brunatne z białą obwódką. Unikaj ich, ukąszenie może być śmiertelne.

- Widziałam je na bazarze, w koszykach zaklinaczy węży.

- Ach tak, ale tamtym usunięto zęby jadowe. Te zaś, które żyją w ogrodzie, zachowały swoją broń.

- Dreszcz mnie przeszywa na myśl o niebezpieczeństwach, kryjących się za pozornym spokojem tego miejsca.

- Jest odzwierciedleniem życia. Największe piękno często skrywa pustkę... a niekiedy zło.

Dostrzegłam w półmroku jego smutny uśmiech. Wiedziałam, że myśli o Lawinii, i pragnęłam go jakoś pocieszyć. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu - i tak zastał nas Fabian.

Wszedł do pokoju nieoczekiwanie.

- Ach - rzucił - wybaczcie mi. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Siedzicie tak po ciemku?

- Zapragnęliśmy świeżego powietrza, lecz bez owadów - wyjaśniłam.

- Wydaje mi się, że kilka i tak dostało się do środka. – Fabian usiadł obok mnie.

- Miał pan męczący dzień? - zagadnęłam.

Wzruszył ramionami.

- Nie bardziej niż zwykle. - Wyciągnął przed siebie długie nogi. - Ma pani słuszność -

podjął. - Bardzo tu spokojnie. Czy przeszkodziłem wam w interesującej rozmowie?

- Mówiliśmy o tutejszych kontrastach. O pięknie, pod którym skrywa się brzydota. O

wspaniałych kwiatach, zielonej trawie i niewidocznych zmijach, gotowych w każdej chwili zadać śmiertelny cios.

- Wszędzie czyha niebezpieczeństwo - zauważył Fabian dość lekkim tonem. - Czy nie jest to jednak emocjonujące?

- Większość ludzi zapewne odpowiedziałyby: „tak” – odrzekł Dougal.

- A pani? - zwrócił się do mnie Fabian.

- Nie wiem. To zależy od rodzaju niebezpieczeństwa.

-1 od tego, czy można przed nim uciec? - podsunął.

- Chyba tak. - Wstałam. - Przypuszczam, że mają panowie ważne sprawy do omówienia. Życzę dobrej nocy.

- Och, nie chciałbym, żeby moje wtargnięcie przerywało wasze miłe tete-a-tete.

- Tak sobie rozmawialiśmy dla zabicia czasu - odparłam. - Pójdę już.

Fabian odprowadził mnie do drzwi.

- Dobranoc - powiedział, a w jego oczach pojawił się zagadkowy wyraz.

Kilka dni później przypomniałam sobie tę rozmowę. Byłam w ogrodzie z Alicją, dziećmi i ayah. Zapytałam ją, czy miała jakieś wieści o Roszandarze. Pokręciła głową.

- Nie... nie. Ona pojechać hen hen. Może ja nie zobaczyć jej więcej.

- Och, na pewno cię kiedyś odwiedzi! - zaproponowałam. - Przecież nie mieszka aż tak daleko.

Ayah uniosła ręce i zakołysała się lekko na boki. Jej postawa miała w sobie coś fatalistycznego.

Podbiegła do nas Luiza. Trzymała coś w rączce.

- Co to jest? - spytałam.

- Zerwałam go dla ciebie - odrzekła i podsunęła mi gałązkę jakiejś rośliny.

Przyjrzałam się jej uważnie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Ayah wzięła roślinę do ręki i pobladła.

- Cierniste jabłko - szepnęła z lękiem.

Drgnęło we mnie wspomnienie. Co takiego słyszałam o ciernistym jabłku? Powróciły do mnie urywki rozmowy. Bielun, z którego sporządzano narkotyki. Thagowie używali go jako trucizny. A Luiza znalazła go w ogrodzie...

Widziałam, że ayah zna tę roślinę.

- Słyszałam coś niecoś o ciernistym jabłku – powiedziałam - Kiwnęła głową. - Gdzie Luiza to znalazła?

- Nie tutaj. To nie może być. Nie wolno...

Dziewczynka obserwowała nas ze strachem. Była bystra i zrozumiała natychmiast, że coś jest nie w porządku.

- Dziękuję, Luizo - powiedziałam. - To ładnie z twojej strony, że przyniosłaś mi kwiatek. - Ucałowałam ją. - Gdzie go znalazłaś?

Rozłożyła ramiona i pomachała nimi, jakby wskazując cały ogród.

- Tutaj? - spytałam. - W ogrodzie?

Przytaknęła. Spojrzałam na ayah.

- Pokaż nam to miejsce - poprosiłam.

Ostrożnie trzymałam roślinę, wyczuwając słabą narkotyczną woń.

Luiza zaprowadziła nas do niewielkiej furtki. Była zamknięta, lecz dziecko mogło się pod nią przecisnąć - co też mała uczyniła.

- To ogród Wielkiego Khansamy - odezwała się ayah, kręcąc głową.

- Wracaj, Luizoz! - zawołałam.

Stała po drugiej stronie furtki, patrząc na nas ze zdziwieniem.

- To tu znalazłam kwiatek - pokazała gdzie.

- To ogród Wielkiego Khansamy - powtórzyła ayah. – Nie wolno tam wchodzić.

Wielki Khansama... on być bardzo zły.

Luiza wgramoliła się z powrotem z przerażoną miną.

- Nigdy tam nie chodź - ostrzegła ją ayah. - To niedobrze.

Luiza chwyciła fałdę jej sari, jak gdyby szukając obrony.

Wszyscy słyszeli o potędze Wielkiego Khansamy.

Zaniosłam roślinę do domu i spaliłam. Poniewczasie uświadomiłam sobie, że powinnam była ją zachować i pokazać Dougalowi albo Fabianowi.

Wkrótce potem zobaczyłam się z Dougalem i opowiedziałam mu, co zaszło.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Ayah nazwała to ciernistym jabłkiem, a ja przypomniałam sobie, co mówiłeś.

- Rozpoznałaś bieluń na podstawie mojego opisu?

- No... niezupełnie, ale pasował do niego. I ayah natychmiast podała jego nazwę. Ona na pewno zna ten narkotyk.

Po chwili milczenia powiedział:

- Ogród Wielkiego Khansamy jest jego własnością i nie możemy dyktować, co ma w nim uprawiać, a czego nie.

- Ale jeśli hoduje tę roślinę...

- On sam ustanawia dla siebie prawa.

- Zatrudnia go Kompania i jeśli łamię prawo...

- Uważam, że rozsądniej będzie nic o tym na razie nie wspominać. Mimo wszystko potrzebujemy dowodów i moglibyśmy ściągnąć na siebie poważne kłopoty, gdybyśmy próbowali zabronić mu uprawiać, co chce, na tym kawałku ziemi, który Kompania przeznaczyła do jego wyłącznego użytku.

Pożałowałam, że nie zwróciłam się z tą sprawą do Fabiana. Jego reakcja z pewnością byłaby inna.

Z drugiej strony jednak miałam tylko świadectwo ayah, że był to ów budzący grozę bieluń. Mogła się mylić, a wyobrażałam sobie, jaki krzyk by się podniósł, gdybyśmy podważyli prawo Wielkiego Khansamy do hodowania we własnym ogrodzie, co mu się podoba.

Tego samego dnia spotkała nas duża niespodzianka i zapewne dlatego nie poświęciłam należytej uwagi śmiertelnej roślinie.

W domu zjawił się Tom Keeping.

Stał przed nami, gdy przygotowywałyśmy się z Alicją do spaceru z dziećmi po ogrodzie.

- Panna Philwright, panna Delany! - wykrzyknął z radosnym uśmiechem.

Stojąca obok mnie Alicja zeszywniała lekko.

- Wiedziałem, że panie tu zastanę - ciągnął. - To dla mnie wielka przyjemność. Dobrze się panie miewają? Podoba się paniom tutaj?

Odrzekłam, że tak, a Alicja zgodziła się ze mną.

- Wiedziałem, że się znowu spotkamy. Sprowadzają mnie tu pilne sprawy.

- Zostanie pan na dłużej?

- To zależy od wielu czynników. Będziemy jednak mogli odczasu do czasu się widywać. - Popatrzył na Alicję. - Czy praca pani odpowiada?

- Tak - odrzekła. - Dobrze się rozumiemy z dziećmi. Prawda? - Spojrzała na Luizę.

Dziewczynka energicznie pokiwała głową, nie odrywając od Toma zaciekawionych oczu.

- Ze mną też - wtrącił Alan.

- Tak - zgodziła się Alicja, wichrząc jego włosy. - Z tobą też, kochanie.

- Muszę pilnie zobaczyć się z sir Fabianem - powiadomił nas gość. - Mówiono mi, że będzie tutaj dziś po południu.

- Nigdy nie wiemy, kiedy się pojawi - powiedziałam.

- Powinnyśmy już iść do ogrodu - zasugerowała Alicja.

Tom Keeping uśmiechnął się do nas.

- Spotkamy się znowu niebawem. Au reuoir.

Nadszedł Dougal i odezwał się do Toma:

- Sir Fabian przyjdzie lada chwila. Tymczasem chodźmy do gabinetu. Musimy omówić kilka spraw.

Oddalili się, a my poszliśmy do ogrodu.

- Co za niespodzianka! - zauważyłam.

- Tak, ale skoro zatrudnia go Kompania... - Alicja nie dokończyła.

- To przemiły człowiek.

Alicja milczała. Zarumieniona wyglądała młodziej; zauważyłam również, że jest nieco roztargniona. Pomyślałam, że byłoby wspaniale, gdyby on coś do niej czuł, lecz jeśli nie -

lepiej, żeby nie wracał.

Wkrótce potem przyszedł Fabian. Zamknął się w gabinecie z Dougalem i Tomem. Nie pojawili się na kolacji; kazali sobie przynieść coś do zjedzenia. Byliśmy przy stole tylko we dwie z Lawinią.

- Całe szczęście - powiedziała. - Już nie wytrzymuję tej gadaniny o Kompanii. Można by pomyśleć, że nic innego nie istnieje na świecie. - Zaczęła rozprawiać o pewnym młodym kapitanie, którego poznała poprzedniego wieczoru. - Taki przystojny, a ożenił się z zupełnie nieładną dziewczyną... Przypuszczam, że dla pieniędzy. Ona zupełnie nie potrafi się ubrać.

Żeby osoba o tak ciemnej cerze nosiła brązy!

Nie mogłam poświęcić tym kwestiom zbyt wiele uwagi. Rozmyślałam o Alicji i Tomie Keepingu.

Nazajutrz, gdy wyprowadziłyśmy dzieci do ogrodu, Tom przyłączył się do nas.

Wymyśliłam pretekst, by zostawić ich oboje samych. Alicja okazała lekki niepokój, lecz ja byłam stanowcza. Skłamałam, że muszę coś zrobić dla hrabiny. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Tom Keeping jest z tego zadowolony.

Wchodząc do domu, natknęłam się na Fabiana.

- Dzień dobry - powiedział. - Jest pani zajęta?

- W tej chwili nie.

- Chciałbym z panią porozmawiać.

- O czym? - spytałam.

- O różnych sprawach.

- Gdzie?

- Najlepiej w moim gabinecie.

Nie potrafiłam ukryć lekkiej obawy. Nigdy nie zapomniałam owego dnia, kiedy -

podejrzewając, że jestem matką Fleur - próbował czynić mi pewne awanse. Pozostając z nim sam na sam, musiałam zadać sobie pytanie, czy ta sytuacja się nie powtórzy. Wiedział już wprawdzie, że nie jestem kobietą lekkich obyczajów, przypuszczałam jednak, iż nie zmieniło to jego przekonania, że jako potomek rodu Framlingów, stojący nieporównanie wyżej niż ja w hierarchii społecznej, ma prawo traktować mnie jak zabawkę. Być może dlatego przyjmowałam zawsze postawę obronną. On zaś z pewnością zdawał sobie z tego sprawę -

czym właśnie najbardziej mnie peszył. Wydawało się, że bez trudu czyta w moich myślach.

Od początku wyczuwałam u niego pewne zainteresowanie moją osobą - nie z uwagi na urodę, której przecież nie posiadałam, ani na mój kobiecy wdzięk, lecz dlatego, że byłam, jak to często podkreślała Lawinia, skromniśią, i mężczyzna jego pokroju mógł znajdować rozrywkę w przewyciężaniu mego uporu i podporządkowywaniu mnie sobie. Za nic w świecie nie chciałam zdradzić, że oprócz niepokoju odczuwam także podniecenie.

Zamknął drzwi, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu. Podsunął mi krzesło, a gdy siadałam, jego dłoń musnęła moje ramię. Sam zajął krzesło po drugiej stronie stołu.

- Wie pani, że przyszedł Tom Keeping - powiedział.

- Tak. Jest w ogrodzie z panną Philwright i dziećmi.

- Zauważyłem pani drobny podstęp. Dyskretnie zostawiła ich pani samych. Czy nianię coś łączy z Keepingiem?

- O to proszę pytać ich, nie mnie.

W jego oczach mignęło rozbawienie, lecz zaraz znikło.

- Druzyłło - zaczął poważnym tonem - jest pani kobietą rozsądną. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o mojej siostrze. - Zawiesił głos. - Jesteśmy trochę zaniepokojeni.

- Czym?

Jego ręce wykonały nieokreślony gest.

- Wszystkim - odrzekł.

- Nie rozumiem.

- My również nie rozumiemy pewnych rzeczy... Tom Kemping zajmuje w Kompanii szczególne stanowisko. Dużo podróżuje. Pilnuje... różnych spraw.

- To znaczy, że jest kimś w rodzaju szpiega?

- Raczej nie użyłbym takiego określenia. Wie pani, w jakim znajdujemy się położeniu.

Przecież to, bądź co bądź, obcy kraj, a tutejsze obyczaje bardzo się różnią od naszych. Tarcia są nieuniknione. Wydawało nam się, że możemy się przyczynić do poprawy warunków życia tych ludzi, lecz oni uważają nas za imperialistycznych najeźdźców, którymi przecież nie jesteśmy. Chcemy dla nich jak najlepiej... dla siebie zresztą również. Ustanowiliśmy mądre prawo, lecz to nasze prawo, nie tutejsze, i tubylcy odnoszą się do niego z niechęcią.

- Wiem. Mówił pan już o tym.

- Buntują się przeciw nam. Na tym polega problem. W tej właśnie sprawie przyjechał

Tom. Thagowie znowu popełnili zbrodnię. Stało się to mniej więcej trzydzieści mil stąd.

Zamordowano czterech podróżnych. Rozpoznaliśmy sposób działania sekty. Ci ludzie nie mieli żadnych wrogów, podróżowali razem dla towarzystwa. Znaleźiono ich martwych w lesie niedaleko pewnej gospody. Oberżysta potwierdził, że się u niego zatrzymali. Dwaj inni mężczyźni jedli z nimi obiad. Kilka godzin później znaleźiono ich nieżywych. Zostali otruci, a truciznę podano im zapewne w jakimś napoju, zanim opuścili gospodę. Przyczyną ich śmierci mogło być tylko jedno: złożenie ofiary krwiożerczej Kali. Wydaje mi się, że wbrew naszemu prawu następuje powrót do dawnych barbarzyńskich obrzędów.

- Jakie to straszne! Niewinni podróżni... zamordowani przez fanatyków!

- Tak postępują thagowie. Bardzo mnie to niepokoi. Ostatnio nie mieliśmy takich wypadków i już myśleliśmy, że udało nam się wykorzenić ów rytuał. Ale powrócił i jest oznaką buntu przeciw nam. To mnie martwi najbardziej. Tom bada sprawę. Jeśli wykryjemy sprawców... jeśli znajdziemy morderców i dowiemy się, skąd pochodzą, może zdusimy zło w zarodku. Trzeba działać szybko. Nie możemy pozwolić, by thagowie siali postrach wśród Hindusów i otwarcie występowali przeciw brytyjskiemu prawu.

- Co pan zamierza zrobić?

- Niewątpliwie ktoś tym kieruje. Ci ludzie gdzieś się spotykają. Odprawiają szaleńcze obrzędy ku czci Kali, składają dziwaczne przysięgi i tak dalej. Jeżeli uda nam się wykryć i unieszkodliwić prowodyrów, położymy kres tym praktykom. Żaden rozsądny Hinduś nie zechce mieć z nimi nic wspólnego.

- Ale Dougal mówił, że ludzie nade wszystko cenią sobie niezależność. Nie chcą ulepszeń, które ją ograniczają.

- Och, Dougal jest marzycielem. Musimy zbadać, co to wszystko znaczy, i zaprowadzić porządek.

- Może dałoby się to ludziom jakoś wyperswadować?

Popatrzył na mnie z rozdrażnieniem.

- Druzyłło, mówi pani jak dziecko. Uleganie sentymentom pogorszyłoby tylko sytuację. Trzeba wypłenić zło, jeśli chcemy tu mieć przyzwoity kraj, w którym będziemy mogli żyć i pracować dla ich i naszej korzyści. Zmusimy ich, żeby się z tym pogodzili.

- Sądzi pan, że uda wam się tego dokonać?

- Spróbujemy.

- Co zrobicie, gdy odnajdziecie morderców?

- Powiesimy ich.

- Czy to rozsądne? Oni postępują zgodnie z nakazami swojej religii. Kult bogini Kali skłania ich do takich uczynków.

- Jest pani mądrą młodą damą, droga Druzyłło, lecz w tych sprawach wykazuje pani dziecięcą naiwność.

- Dlaczego więc rozmawia pan o tym ze mną?

- Ponieważ uważam, że wszyscy powinniśmy mieć się na baczności. Keeping twierdzi, że zaczyna się dzieć coś niedobrego. Wyczuwa jakiś podskórny nurt. Niektórzy Hindusi stają się zuchwali. On potrafi rozpoznawać nastroje. To człowiek o dużym doświadczeniu. I jest zaniepokojony.

- Co można zrobić?

- Zachować daleko posuniętą ostrożność i patrzeć, skąd wiatr wieje. Rozmowa z Lawinią na nic się nie zda.

- Zupełnie na nic. Ale dlaczego mówi pan to mnie?

- Ponieważ liczę na pani rozsądek.

- Czego pan oczekuje?

- Czujności. Jeżeli zauważy pani coś dziwnego, proszę zawiadomić kogoś z nas.

Przeżywamy niespokojny okres. To się już zdarzało. Musimy starać się ich nie urazić, nie okazywać wyższości, szanować ich obyczaje.

- Z wyjątkiem thagów.

- Zgadza się. Mamy jednak nadzieję, że to odosobniony przypadek. Jeśli zdołamy wytropić i ukarać

sprawców, może się na tym skończyć. W przeciwnym razie to się powtórzy.

- Rozumiem pana niepokój. Dziękuję za ostrzeżenie.

- Przypuszczam, że Tom Keeping powie to samo panie Philwright. Właściwie jestem pewien. Żywi głęboki szacunek dla jej rozsądku i wydaje się szczerze nią zainteresowany.

- Dało się to zauważyć w trakcie podróży.

- A ona? Co sądzi o Tomie?

- Nie wiem. Nie należy do kobiet, które ujawniają swoje uczucia.

- Są takie - przyznał z uśmiechem.

- Często tak jest najrozsądniej.

- Nie wątpię ani trochę w rozsądek panny Philwright i pani również. Tom Keeping to porządny człowiek i bardzo lojalny pracownik. Wiele mu zawdzięczam.

- Z pewnością jest nadzwyczaj bystry.

- Pani także ma mu to i owo do zawdzięczenia.

- Ma pan na myśli jego opiekę podczas drugiego etapu naszej podróży?

- Zajmował się wami bardzo troskliwie. Nie domyśla się pani nawet, jak bardzo.

Milczałam wyczekująco. Fabian kontynuował:

- Czy wie pani, że wybawił panią z dość kłopotliwej sytuacji?

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- Wiem, że był bardzo uprzejmy i pomocny.

- W jakiej mierze zgłębiła pani tajniki ludzkiej natury, panno Druzyлло?

- Pyta pan, czy znam się na ludziach? Nienajgorzej, jak mi się zdaje.

- To możliwe... w środowisku, z którym dotychczas się pani stykała. Panie pomagające w kościele i na kiermaszach; kto ma przystroić kościół na Wielkanoc, komu powierzyć najlepsze stoisko, kto jest trochę zazdrosny, ponieważ uroczy pastor Brady obdarzył kogoś innego zbyt życzliwym uśmiechem... Nawiasem mówiąc, Brady się ożenił.

Poślubił córkę doktora.

Obserwował mnie uważnie.

- Bardzo odpowiedni mariaż - oświadczyłam. - Ufam, iż lady Harriet jest zadowolona?

- Gdyby nie była, mogłoby nie dojść do małżeństwa.

- Istotnie. Colin Brady to natura bardzo uległa.

- W przeciwieństwie do pani.

- Wolę sama kierować własnym życiem. A pan nie?

- Ja również, oczywiście. Ale odbiegamy od tematu, jakim jest pani zdolność oceny ludzkich charakterów. Powiem jedno, panno Druzyłło: w wąskim zakresie być może wykazuje się pani przenikliwością, lecz poza nim zdradza pani całkowitą ignorancję.

- Doprawdy?

- Doprawdy. Dała się pani zwieść czarującemu Lasseurowi.

Ogarnęło mnie zdumienie.

- Był uroczy, nieprawdaż? Uczynny Francuz. Czyż nie wydarł na pani korzystnego wrażenia? Nie spodobał się pani?

- Monsieur Lasseur - mruknęłam.

- Ten sam. Dodam, iż w rzeczywistości wcale nie był Francuzem.

- Ale...

Fabian zaśmiał się krótko.

- Wystąpiła pani w roli niewinnego dziewczęcia, owieczki wśród wilków. Sądzę, że zawsze warto znać granice własnych możliwości.

- Mówi pan zagadkami.

- Bawi mnie taki sposób prowadzenia rozmowy, a panią?

- Mnie nie. Wolę jasne sformułowania.

- Zatem wypowiem się jasno. Monsieur Lasseur, bynajmniej nie Francuz, lecz dżentelmen niewiadomego pochodzenia, odgrywał komedię. Ów szarmancki jegomość zamierzał oszukać niczego nie podejrzewające damy, które wierzyły w swoją znajomość życia i ludzi, a mimo to gotowe były wpaść w jego pułapkę. Wasz monsieur Lasseur...

- Nasz?

- Monsieur Lasseur trudni się profesją określaną w pewnych kręgach mianem stręczycielstwa, jego

chlebodawcą zaś jest pewien bardzo zamożny dżentelmen ze Wschodu, hołdujący tradycyjnym dla jego kraju poglądom na rolę kobiety... które to poglądy młodej damie, takiej jak pani, z pewnością nie przypadłyby do gustu. Innymi słowy, monsieur Lasseur wybrał panią jako interesujący nabytek do haremu swego pana.

Poczułam, że oblewam się szkarłatnym rumieńcem, co bardzo rozbawiło Fabiana.

- Nie wierzę - powiedziałam.

- Niemniej jest to sytuacja znana niektórym z nas. Młode angielskie damy są w pewnych okolicznościach mile widziane. Przede wszystkim pochodzą z dumnego kraju, który rości sobie prawo do panowania nad światem. Odbierają inne wychowanie niż kobiety Wschodu. Są bardziej niezależne; nie wpojono im przekonania, że ich życiowym powołaniem jest spełnianie każdej zachcianki mężczyzny. Przykro mi, jeśli to, co mówię, gorszy panią, lecz ktoś, kto wyrusza na drugi koniec świata, powinien umieć spojrzeć prawdzie w oczy.

Lasseur płynął z Anglii. Załatwiał tam pewne bardziej legalne interesy swego pana; gdyby jednak udało mu się natrafić na kąsek dostatecznie smakowity, by polechtał wybredne podniebienie chlebodawcy, Lasseur zyskałby uznanie i wdzięczność możnego chlebodawcy.

Przywożąc mu cenną zdobycz, dokonałby czegoś więcej niż to, po co go wysłano. No i wypatrzył panią.

- Naprawdę nie wierzę w ani jedno słowo.

- Proszę zapytać Keepinga. Zauważył, co się dzieje. Nie byłby to pierwszy raz, gdy młoda dama znika z tym człowiekiem na pustyni i wszelki śluch po niej ginie. Nawiasem mówiąc, mnie również zawdzięcza pani coś niecoś. Dałem Tomowi znać, by odszukał was w Aleksandrii. I zrobił to. Zatroszczył się o wasze bezpieczeństwo, wiedząc, że tego właśnie sobie życzę. Wydaje się pani zdumiona.

Byłam zdumiona. Wszystko mi się przypomniało: spotkanie z panem Lasseurem, nasze rozmowy, pojawienie się Toma Keepinga. Monsieur Lasseur zamierzał kontynuować podróż bez reszty współtowarzyszy. Wielkie nieba! - pomyślałam. To istotnie prawdopodobne.

Fabian uśmiechał się, bez trudu odczytując moje myśli.

- Mam nadzieję, że nie jest pani rozczarowana, iż nie trafiła do sułtańskiego haremu.

- To raczej sułtan poczułby się rozczarowany. Nie przypuszczam, abym była warta zachodu.

- Nie docenia się pani - odparł. - Moim zdaniem jest pani jak najbardziej warta zachodu. - Podniósł się z krzesła i podszedł do mnie. Wstałam. Położył mi dłonie na ramionach. - Cieszę się, że Keeping panią uratował i dowiózł bezpiecznie do nas – oznajmił z powagą.

- Dziękuję.

- Wciąż wydaje się pani oszołomiona.
- Zaskoczyło mnie to, co pan powiedział. Naprawdę trudno mi uwierzyć.
- Zapewne dlatego, że prawie całe życie spędziła pani na plebanii, gdzie nie spotyka się przebiegłych dżentelmenów ze Wschodu.
- Przypuszczam, że drapieźców można spotkać wszędzie.
- O tak - przyznał z uśmiechem - lecz stosują różne metody.
- Muszę koniecznie podziękować panu Keepingowi.
- Odpowie, że spełnił jedynie swój obowiązek... wykonując polecenia.
- Wydane przez Kompanię?
- Kompania to ludzie, którzy dla niej pracują. Powiedzmy, że były to moje polecenia.

A zatem mnie się należy pani wdzięczność.

- Jeżeli tak, dziękuję panu.

Skłonił głowę.

- Niewykluczone, że nadejdzie dzień, kiedy to ja poproszę panią o pomoc.
- Nie wyobrażam sobie, by ktoś tak słaby jak ja mógł się do czegokolwiek przydać.
- Znowu się pani nie docenia. Proszę tego nie robić. Jest takie powiedzenie, że jak cię widzą, tak cię piszą. Bądź co bądź tak wytrawny znawca jak monsieur Lasseur dostrzegł pani zalety. Inni również mogą je dostrzec... jeśli im pani pozwoli.
- Sądzę, że powinnam zająć się dziećmi. O tej porze zwykle im towarzyszę.
- Chce pani popsuć tete-a-tete panny Philwright i Toma Keepinga?
- Jeśli zastąpię ją przy dzieciach, łatwiej im będzie rozmawiać.
- Druzyłło...
- Tak?
- Czy pani jest mi choć trochę wdzięczna?

Zawahałam się. Jego opowieść nadal wydawała mi się niewiarygodna.

- No... chyba tak - odrzekłam powoli.

- Chyba! To brzmi bardzo niezdecydowanie w ustach tak stanowczej młodej damy.
- Jestem, oczywiście, wdzięczna panu Keepingowi. Co właściwie zrobił z owym człowiekiem?
- Sam pani powie. Zatrzymaliście się w jakimś zajeździe, nieprawdaż?
- Tak. Monsieur Lasseur zachorował.
- A Tom mu w tym dopomógł.
- Na pewno dosypał czegoś do wina. Pamiętam, że częstował nas wszystkich.
- Oczywiście. Powiedział mi o tym. Wrzucił ów środek do kieliszka, wiedząc, że podziała szybko. Wszedł do pokoju dla mężczyzn z Lasseurem, by udzielić mu pomocy.

Wezwał zarządzającego i powierzył chorego jego pieczy, dopóki nie będzie zdolny do dalszej podróży. W tym czasie pani mogła już bezpiecznie wypłynąć z Suez.

- Bardzo zręcznie to zrobił. Co mu podał?
- Coś, co mogło wywołać pożądany skutek. Z racji zawodu Tom się na tym zna.
- Może był to bielun - podsunęłam. - Cierniste jabłko.
- Ach, to... Dougal chyba o nim wspominał.
- Owszem. Opisał, jak wygląda. Jego opis nie w pełni odpowiadał rzeczywistości.
- A zatem widziała pani tę roślinę?
- Tak. Khansama hoduje ją w swoim ogrodzie.

Fabian porzucił kpiący ton.

- Wielki Khansama! W ogrodzie! Ale przecież uprawa bielunia jest zabroniona...

chyba że w wyjątkowych wypadkach.

- Może to jeden z takich wypadków.
- Nie sądzę. Skąd pani o tym wie?

Opowiedziałam mu, jak Luiza przyniosła mi pęd rośliny.

- Dobry Boże! - westchnął. - Z jego ogrodu?
- Porozmawia pan z nim? Ayah bardzo się zaniepokoiła. Bo widzi pan, Luiza przekradła się tam pod furtką. Myślała, że daje mi ładny kwiatek.

- Dziecko tego dotykało... - mruknął. - Nie wspomniała pani o tym khansamie?

- Nie. Wie pan, jaka to ważna osobistość.

- Wiem, w samej rzeczy - odparł pośpiesznie. - Powiedziała pani o tym komukolwiek?

- Dougalowi, choć nie mogłam mu pokazać tej rośliny, bo ją spaliłam. Z pewnością pomyślał, że się pomyliłam, a wypytywanie zarządcy uznał za niemożliwe.

- Hm... - zastanowił się Fabian. - Przyznaję, że to byłoby trudne. Może na razie lepiej zachować to odkrycie dla siebie. Chciałbym pomówić z Tomem Keepingiem. Czy byłaby pani tak dobra zawiadomić go, że czekam w gabinecie?

- Oczywiście.

Zauważyłam, że możliwość, iż khansama hoduje bielun w ogrodzie, wypędziła Fabianowi z głowy wszelkie niepoważne myśli.

Przysiadłam w ogrodzie, by porozmawiać z Alicją. Tom Keeping natychmiast po moim przyjściu udał się do Fabiana.

Alicja była inna niż zwykle. W jej głosie brzmiały radosne nuty. Pomyślałam sobie: oto zakochana kobieta.

Wyraziła zdziwienie, że Tom zjawił się w tym domu.

- Nic w tym dziwnego - odrzekłam. - Jest pracownikiem Kompanii, jak oni wszyscy.

Sir Fabian powiedział mi przed chwilą coś o wiele dziwniejszego. Sama nie wiem, czy mu wierzyć czy nie. - I wyjaśniłam, o co chodzi.

Utkwiła we mnie zdumione spojrzenie.

- To istotnie wyglądało dość osobliwie - przyznała. - On tak niespodziewanie zachorował.

- Wszystko się zgadza. Ale dla mnie brzmi to dość nieprawdopodobnie.

- Przyjechaliśmy do niezwykłego kraju. Wszystko tu wygląda inaczej niż w Anglii.

Ta historia wydaje ci się nieprawdopodobna, ponieważ usiłujesz ją wtłoczyć w angielskie ramy. Uważam, że Tom postąpił najlepiej, jak można. Był taki szybki... taki zdecydowany.

- Tak, muszę mu podziękować.

- Co by się stało, gdyby go tam nie było? - Zadrzała. - Wolę o tym nie myśleć.

- Sir Fabian powiedział, że Tom działał na jego polecenie.

- Można się było tego spodziewać.

- To brzmi... prawdopodobnie.

Alicja wzruszyła ramionami.

- Uważam, że był wspaniały - powtórzyła.

Widziałam, że myśli tylko o Tomie, i zastanawiałam się, co z tego wyniknie.

Dalszy ciąg naszej pogawędki nastąpił wieczorem, gdy dzieci poszły spać. Alicja była bardziej rozmowna niż zwykle.

- Tom jest niewątpliwie wspaniałym człowiekiem - przyznałam. - Wszyscy mają o nim wysokie mniemanie.

- Prowadzi bardzo ryzykowne życie. Nie sądzę, by pozostał tu na dłużej. On nigdzie nie zagrzeje miejsca. Bardzo się ucieszył ze spotkania z nami.

- Raczej ze spotkania z tobą.

- Tak powiedział. A potem dodał coś dziwnego... że choć jest zachwycony, uważa, iż nie powinniśmy tu teraz przebywać. Zapytałam, co ma na myśli, lecz odpowiedział mi dość wymijająco.

- Zawiadomiłam sir Fabiana o tej roślinie, którą Wielki Khansama hoduje w ogrodzie.

Był zaniepokojony.

- Wyczuwam coś w powietrzu. Ta sprawa z thagami musi ich bardzo martwić.

- Naturalnie. To wystąpienie przeciw prawu.

- Tom mówi, że zostanie tu tylko kilka dni i nie wie, dokąd go teraz wyślą. - Po chwili milczenia dodała: - Doskonale się spisał wtedy na pustyni.

Uśmiechała się z dumą. Miałam nadzieję, że wszystko jej się dobrze ułoży.

Zasługiwała na szczęście.

Przy pierwszej sposobności podziękowałam Tomowi Keepingowi, mówiąc mu, że wiem, co dla nas zrobił.

- To była dla mnie przyjemność - odrzekł. - Żałuję tylko, że nie dało się go aresztować. Ale w takich miejscach to naprawdę niełatwe. Rozpoznałem go natychmiast, ponieważ już wcześniej zastosował tę samą taktykę. Pewna młoda panna jechała do swego narzeczonego, by wziąć ślub w Indiach. Lasseur podróżował razem z jej grupą. Zniknęli obydwójce w trakcie przeprawy przez pustynię. Wystarał się o osobny wóz, namówił

dziewczynę do odbycia ostatniego etapu podróży w bardziej komfortowych warunkach... i słuch po niej zaginął.

- Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Jestem po prostu oszołomiona. Gdy pomyślę, co się mogło stać...

Położył mi dłoń na ramieniu.

- Ale nic się nie stało. Sir Fabian był niezadowolony, że dwie damy podróżują bez opieki, i kazał mi panię chronić, jako że w tym samym czasie wracałem do Indii. Od razu zauważyłem, że Lasseur znowu próbuje starej sztuczki. Z przyjemnością pokrzyżowałem plany tej obmierzłej kreatury.

- Zapewne zrobi to ponownie.

- Bez wątpienia. Chętnie bym go zdemaskował, gdyby sytuacja nie była tak delikatna.

Jego pracodawca to bardzo bogaty i potężny człowiek. Nie wiadomo, jak by zareagował na wtrąca nie się w jego sprawy. Mógłby wybuchnąć międzynarodowy skandal! Dlatego musiałem zachować rozwagę i zadowolić się bezpiecznym dowiezieniem pań do miejsca przeznaczenia.

- Dziękuję panu.

- Podziękowania należą się sir Fabianowi. Pani bezpieczeństwo stanowiło dla niego sprawę najwyższej wagi.

Ogarnęło mnie błogie zadowolenie i poczułam, chociaż było to niedorzeczne, że nie na próżno narażałam się na niebezpieczeństwa.

A potem nastąpiło niepokojące wydarzenie. Było to po południu, w najgorętszej porze dnia, gdy w całym domu panowała cisza.

Wcześniej Lawinia prosiła, żebym do niej przyszła. Chciała porozmawiać i zasięgnąć mojej opinii na temat nowej sukni, którą zamówiła. Moje rady nie miały dla niej znaczenia -

po prostu zapragnęła pogawędzić.

Popołudnie wydało mi się stosowną porą. Zazwyczaj odpoczywała wtedy, spodziewałam się zatem zastać ją samą.

Zbliżywszy się do drzwi, usłyszałam dobiegające z pokoju głosy. Lawinia mówiła coś ostrym tonem, w którym pobrzmiwała nuta lęku.

Szybkim ruchem otworzyłam drzwi i zamarłam w osłupieniu. Lawinia stała przy łóżku; peniuar osunął jej się z ramion. Sprawiała wrażenie zaskoczonej i przerażonej. Oprócz niej w pokoju znajdował się Wielki Kłiansama. Pochylał się w jej stronę; turban miał

przekrzywiony, rysy twarzy zniekształcone. Wydało mi się, że napastuje Lawinię. W jego szklistych

oczach i całej postawie dostrzegłam coś nienaturalnego.

Rozpuszczone włosy Lawinii opadały na nagie ramiona. Jej policzki płonęły. Gdy mnie zobaczyła, obawa ustąpiła miejsca pewnej satysfakcji.

- Sądzę - zwróciła się do zarządcy - że powinieneś natychmiast stąd wyjść.

Usiłował przybrać poprzednią, pełną godności pozę. Jego dłoń powędrowała ku na pół rozpiętej koszuli. Spojrzał na mnie i przemówił niepewnie:

- Missie odwiedza memsahib hrabinę. Ja pójdę.

- Tak, khansamo - odezwała się Lawinia władczym tonem. - Idź już.

Skłonił się i wyszedł, rzucając w moją stronę nieprzychylne spojrzenie.

- Co tu się działo? - spytałam.

- Moja droga, wprost nie posiadam się ze zdumienia. Ten człowiek myślał, że pozwolę mu na jakies poufałości.

- Lawinio!

- Nie masz się czemu dziwić. On uważa się za lepszego niż my wszyscy.

- Jak mogłaś do tego dopuścić?

- Do niczego nie dopuściłam. Byłam oburzona!

- Skąd mógł mu przyjść do głowy taki pomysł?

- Mówiłam ci, że ma wysokie mniemanie o sobie.

- Musiałaś go w jakiś sposób zachęcić.

- No pewnie - nadąsała się. - Zawsze to ja jestem wszystkiemu winna.

- Nie widzisz, jakie to niebezpieczne?

- Niebezpieczne? Dałabym sobie z nim radę.

- Wydawałaś się dość przestraszona, kiedy weszłam.

- W samą porę! - stwierdziła dramatycznym tonem.

- Absolutnie nie powinnaś była go przyjmować tak, jak to robiłaś. Należało rozmawiać z nim na parterze.

- Co za niedorzeczność! Robiłam to samo, co inne panie domu. Widują się z khansamami każdego ranka.

- Ten khansama jest inny. Zachowywałaś się bardzo niemądrze. Flirtowałaś z nim. Dałaś mu do zrozumienia, że może się ubiegać o twoje względy. Nigdy by mu to nie przyszło do głowy, gdybyś postępowała przyzwoicie, jak inne kobiety. Która z nich prowokowałaby służącego w podobny sposób?

- Nie prowokowałam go.

- Ależ tak. Widziałam cię. Przyjmowałaś go w negliżu, uśmiechałaś się, wysłuchiwałaś komplementów. Nic dziwnego, że mu się wydawało, iż czyni postępy.

- Ale on jest tu tylko służącym. Powinien o tym pamiętać.

- Nie wtedy, gdy zachowujesz się jak ładacznicą.

- Uważaj, Druzylo!

- To ty powinnaś uważać. Jeśli szczerść cię razi, nasza dalsza rozmowa nie ma sensu.

- Myślałam, że okażesz mi trochę zrozumienia.

- Lawinio, czy nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje? Nie bez powodu Tom Keeping tu przyjechał. Narasta atmosfera niepokoju, wrogości... a ty stwarzasz taką sytuację!

- To on ją stworzył. Nie zapraszałam go do swojego pokoju.

- Nie. Ale okazywałaś mu zainteresowanie.

- Nie powiedziałam na ten temat ani słowa.

- Spojrzenia bywają często równie wymowne. Nic się nie zmieniłaś od czasów szkolnych.

- Och, znowu zamierzasz to wywlekać?

- Owszem, jako przykład głupoty. Twoje obecne postępowanie jest bardzo podobne.

Uniosła brwi.

- Doprawdy, za wiele sobie pozwalasz, Druzylo... tylko dlatego, że traktuję cię jak przyjaciółkę.

- Jeśli nie odpowiada ci moje zachowanie...

- Wiem. Wrócisz do domu. Na tę nudną starą plebanię... tak sobie myślisz. Ale to niemożliwe. Nie możesz wyjść za Colina Brady'ego, bo już jest żonaty.

- Nigdy nie zamierzałam za niego wychodzić. Ani przebywać tam, gdzie mnie nie chcą.

- Fabian nigdzie cię nie puści.

Zarumieniłam się lekko. Wprawiło ją to w rozbawienie.

- Interesuje się tobą, ale nie miej złudzeń. Mój brat nigdy się z tobą nie ożeni. W

gruncie rzeczy wcale nie jest lepszy ode mnie. Mimo to nie powinnaś być taka nieprzystępna, rozumiesz.

Odwrociłam się, by odejść, lecz zawołała żałośnie:

- Druzyлло, zaczekaj! Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Khansamana wydawał się taki zdeterminowany. Już zaczęłam się trochę obawiać, że mnie zgwałci.

- Nie chcę więcej o tym słyszeć, Lawinio. To, co się stało, jest w dużej mierze twoją winą. Sądzę, że powinnaś wykazać nieco więcej odpowiedzialności. Prawdopodobnie był

odurzony narkotykiem. Wiem, że hoduje bieluń w ogrodzie. To by tłumaczyło uchybienie, jakiego się dopuścił, gdyż nie potrafię uwierzyć, że nawet on odważyłby się na coś takiego w normalnych okolicznościach.

- No więc co zamierzasz teraz zrobić? Powiadomić Dougala, jaką ma okropną żonę?

Szkoda fатыgi, on już wie. Wytłumacz mu, że przy takim nudziarzu muszę szukać dodatkowej rozrywki.

- Oczywiście, że nic nie powiem Dougalowi.

- Wiem. Powiesz Fabianowi. Na miłość boską, Druzyлло, nie rób tego.

- Może powinnam. To niedopuszczalne... takie wtargnięcie do twojej sypialni.

- Cóż, raczej trudno mi się oprzeć.

- Zwłaszcza gdy zachowujesz się prowokująco.

- Druzyлло, proszę cię, nie mów Fabianowi.

Milczałam przez chwilę, zanim odrzekłam:

- Myślę, że to mogłoby być ważne ze względu na...

- Och, nie bądź taka zasadnicza! Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Wystarczy dać im palec, a chwytają całą dłoń.

- Więc przestań dawać im palec... choć w twoim wypadku jest to zapewne od razu cała ręka.

- Przrzekam, Druzyлло. Przrzekam, że się poprawię... tylko nie mów Fabianowi.

Zgodziłam się w końcu, choć z pewnymi oporami, чуłam bowiem, że fakt, iż pełniący funkcję zarządcy Hindus próbował nawiązać tego rodzaju stosunki z panią domu, ma doniosłe znaczenie.

Dwa dni później do domu dotarła pewna wieść.

W tym czasie tylko raz widziałam khansamę. Był jak dawniej pełen godności.

Tradycyjnie pozdrowił mnie pochyleniem głowy, nie zdradzając w żaden sposób, że pamięta zajście w sypialni i rolę, jaką wtedy odegrałam.

Lawinia powiedziała mi, że gdy przyszedł jak co dzień, przyjęła go w salonie, ubrana w skromną suknię. Spotkanie odbyło się spokojnie - tak, jak zapewne przebiegały podobne spotkania w domach Brytyjczyków, kiedy panie omawiały jadłospisy ze swymi zarządcami.

Nie padła żadna wzmianka o tym, co się wydarzyło.

- Szkoda, że mnie nie widziałaś - mówiła Lawinia. - Byłabyś ze mnie dumna. Tak, Druzyłło, nawet ty. Rozmawialiśmy o potrawach, wysłuchałam jego propozycji i oświadczyłam: „Tak, khansamo, pozostawiam to tobie”, tonem najwytworniejszej damy. I na tym koniec.

- Zrozumie, że zachował się w sposób niedopuszczalny - uznałam. - Oczywiście nie zamierza przeproszać, ale nie wymagajmy od niego zbyt wiele. Zresztą wina leży w dużej mierze po twojej stronie. Postanowił zapomnieć o całej sprawie, co jest chyba najlepszym wyjściem.

Do domu przybył jakiś młodzieniec. Przyjechał z daleka. Był wyczerpany i pragnął niezwłocznie spotkać się z Wielkim Khansamą.

Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że wiadomość przysłał brat naszego zarządcy.

Asraf, syn Khansamy i niedawno poślubiony mąż Roszanary, nie żył. Został zamordowany.

Khansama, pogrążony w żałobie, zamknął się w swoim pokoju. W domu zapanował posępny nastrój. Fabian był głęboko poruszony. Spędził długi czas w gabinecie z Dougalem i Tomem Keepingiem. Nie przyszli na kolację, lecz - tak jak już kiedyś się zdarzyło -

zanesiono im posiłek na tacy.

Zasiadłyśmy przy stole we dwie z Lawinią, rozmawiając - jak wszyscy - o śmierci Asrafa.

- Był taki młody - westchnęłam. - Dopiero co ożenił się z Roszanarą. Kto mógł pragnąć jego śmierci?

Nawet Lawinia była wstrząśnięta.

- Biedny khansama. Cóż to za cios dla niego. Jedyne syn!

- To okropne - przyznałam. Było mi żal tego człowieka, choć ostatnio uważałam go za złowieszczą postać.

Lawinia oznajmiła, że chciałaby się wcześniej położyć spać, i poszła do siebie. Ja nie czułam się senna. Byłam wytrącona z równowagi. Zastanawiałam się, co teraz będzie z Roszaniarą. Biedne dziecko, jej życie dopiero się zaczęło.

Siedziałam w ciemnej bawialni przy odsuniętych zasłonach, by móc patrzeć na ogród skąpany w księżycowej poświacie. Gdy pomyślałam, że chyba już czas pójść do łóżka, otworzyły się drzwi i stanął w nich Fabian.

- Dobry wieczór - powiedział. - Jeszcze pani nie śpi? Gdzie Lawinia?

- Poszła do siebie.

- A pani tu siedzi zupełnie sama?

- Tak. To wszystko bardzo mnie niepokoi.

Zamknął drzwi i wszedł do pokoju.

- Mnie również - przyznał.

- Co to oznacza? - spytałam.

- Wiemy tylko tyle, że z jakichś przyczyn zamordowano Asrafę.

- Może zrobili to thagowie. Oni zabijają bez powodu.

- Nie - odrzekł po chwili. - Tym razem to chyba nie byli thagowie... choć niewykluczone, że mają coś wspólnego z tą zbrodnią.

- Sądzi pan, że morderstwo popełniono z jakiegoś konkretnego powodu?

- Koniecznie musimy wykryć, co się tutaj dzieje. - Usiadł na przeciw mnie.

- Rozumiem.

- To dla nas bardzo ważne. Sytuacja nie wygląda dobrze. Rozważaliśmy z Dougalem i Tomem możliwość wywiezienia was stąd razem z dziećmi.

- Wywiezienia? Czy to znaczy...

- Czułbym się znacznie lepiej. - Uśmiechnął się z lekką drwiną. - No, może nie lepiej, ale byłbym spokojniejszy.

- Lawinia nie zgodzi się na wyjazd.
 - Lawinia? Pojedzie tam, gdzie jej każą.
 - Ona chce sama o sobie decydować.
 - Szkoda, że nie wykazuje przy tym ani krzty rozsądku.
 - Nie lubię, gdy się mnie przesyła tam i z powrotem jak paczkę.
 - Proszę nie robić trudności. Nasza sytuacja jest i bez tego bardzo skomplikowana.
 - Każdy chciałby mieć coś do powiedzenia na temat własnego losu.
 - Nie ma pani pojęcia, co się dzieje, a mimo to pragnie pani podejmować decyzje.
- Kobiety i dzieci nie powinny teraz się tu znajdować.
- Nie miał pan nic przeciw przyjazdowi Lawinii. Jej dzieci urodziły się tutaj.
 - Przyjechała ze swym małżonkiem i nie miałem żadnego wpływu na miejsce urodzenia dzieci. Uważam jedynie, że byłoby lepiej, gdybyście obydwie razem z dziećmi znajdowały się gdzie indziej. No, ale stało się. To moja wina, że pani wraz z panną Philwright opuściłyście Anglię.
 - Przecież nie pan nas tu sprowadził.
 - To była moja propozycja.
 - Ale dlaczego?
 - Pomyślałem, że wywrze pani dobry wpływ na Lawinię. Bywało tak już dawniej i wspomniałem pani... a przynajmniej zamierzałem to uczynić... że sam również pragnę skorzystać z pani obecności.
 - Uważa pan, podobnie jak pańska matka, że dzieci muszą mieć angielską guwernantkę i angielską nianię.
 - Oczywiście.
 - A teraz pan tego żałuje.
 - Tylko z jednego powodu. Nie podoba mi się sytuacja w tym kraju i wolałbym wyprawić stąd kobiety i dzieci.
 - Taka troska przynosi panu zaszczyt.
 - Zna pani prawdziwą przyczynę, dla której panią tu sprowadziłem - rzucił z odcieniem sarkazmu. - Zapraǳnęłem odrobiny przyjemności dla siebie.

- Bardzo mnie dziwi, że to ja miałabym jej dostarczyć.

- A nie powinno. Dobrze pani wie, jaką przyjemność sprawiają mi nasze uduchowione rozmowy... Pragnąłem również odsunąć panią od tego nudnego Colina Brady'ego.

- Myślałam, że jest wiernym poddanym Framlingów.

- Tym bardziej go nie lubię. Chciałem panią zobaczyć... i dlatego tak to urządziłem.

No bo co pani mogła robić tam, w kraju? Przecież nie zostałaaby pani na plebanii, chyba że wyszłaby pani za męża za Brady'ego. Dokąd miałaby pani pójść?

- Wiem dokąd. Do mojej niani.

- Ach, do tej zacnej kobiety. Ale ja pragnąłem widzieć panią tutaj. Lubię panią, Druzyлло, choć pani jest wobec mnie obojętna.

Miałam nadzieję, że nie dałam po sobie poznać, jak wielką przyjemność sprawiły mi jego słowa. Nie mogłam go powstrzymać. Z pewnością wiedział, że nie wdam się w żaden przelotny romans, a mimo to nie rezygnował. Zmieniłam temat.

- Czym się pan teraz tak martwi?

- Sprawą Asrafa.

- Tym morderstwem?

- Właśnie. Dlaczego go zabito? Był jeszcze niemal chłopcem. Musimy wykryć sprawców jak najszybciej. Gdyby to była sprawa kłagów, czułbym się spokojniejszy. Ale tym razem jest tylko jedna ofiara, a kłagowie zawsze uśmiercają więcej osób. Krew jednego niewinnego chłopca nie zaspokoi Kali na długo. Ubolewam nad tymi wypadkami, lecz byłoby to bardziej zrozumiałe. Bo widzi pani, to dotyczy naszego domu. Mam przeczucie, że coś się wydarzy.

- Czy może pan wypytać khansamę?

Pokręcił głową.

- To byłoby niebezpieczne. Musimy wykryć, co się tu dzieje. Dlaczego zamordowano Asrafa? Czy było to rytualne zabójstwo, czy w grę wchodzi inne przyczyny? Tom prowadzi śledztwo. Gdy wróci, dowiemy się czegoś na ten temat.

- To wszystko brzmi bardzo tajemniczo.

- Ten kraj jest pełen tajemnic. Chyba powinienem panią ostrzec, Druzyлло.

Niewykluczone, że będzie pani musiała uciekać stąd w jednej chwili. Powinienem był wysłać was wcześniej do Anglii, lecz podróże są tu bardzo niebezpieczne i pomyślałem, że z dwojga złego

lepiej, abyście zostały tutaj. Może trzeba będzie was przenieść do innego miasta.

Najpierw jednak musimy wiedzieć, co się kryje za tą zbrodnią. Wiele od tego zależy. - Po chwili milczenia dodał: - Jak spokojnie wygląda ten ogród...

Wstałam. Pomyślałam sobie nagle, co powiedziałaaby Lawinia, gdyby zastała mnie ze swoim bratem w zaciemnionym pokoju.

- Chyba już się pożegnam - oznajmiłam.

Zaśmiał się głośno.

- Uważa pani, że przebywanie ze mną sam na sam jest... trochę niewłaściwe?

Znowu czytał w moich myślach, co było zaskakujące i żenujące zarazem.

- Och... skądże znowu.

- Nie? A zatem nie przestrzega pani konwenansów aż tak, jak przypuszczałem. No cóż, wyruszyła pani w niebezpieczną podróż. Przejechała przez pustynię... więc zapewne nie przelęknie się pani mnie w ciemnym pokoju.

- Co za pomysł! - rzuciłam lekkim tonem.

- Nieprawdaż? Zostań jeszcze chwilę... Druzyłło.

- Jestem bardzo zmęczona. Powinnam się położyć.

- Proszę się nie martwić tym, co powiedziałem. Mogę się mylić. Niewykluczone, że to tylko zbieg okoliczności. Ale musimy być przygotowani na wszystko.

- Oczywiście.

- Pani wyjazd unieszczęśliwiłby mnie w najwyższym stopniu.

- Czyżby? To uprzejme z pana strony.

- Mówię prawdę. Szkoda, że pani tak się mnie boi.

- Nie boję się pana, jeśli chce pan wiedzieć.

- Więc może samej siebie?

- Mogę pana zapewnić, że absolutnie i z żadnych przyczyn nie obawiam się siebie.

- Nie to miałem na myśli.

- Muszę już iść.

Ujął i ucałował moją dłoń.

- Druzyłło, wie pani, że bardzo panią lubię.

- Dziękuję za uznanie.

- Proszę nie dziękować za to, czemu nie jestem w stanie zapobiec. Niech pani zostanie ze mną chwilę. Porozmawiajmy. Przestańmy się unikać.

- Nie przypuszczałam, że się unikamy.

- To narosło między nami. Zasiała pani ziarna, z których wybijały chwasty. Wiem, skąd się to wzięło. Z Francji. Pani odczuła ową sprawę głębiej niż Lawinia. Uznała pani, że wszyscy mężczyźni to kłamcy i oszuści; i postanowiła nigdy nie dać się okłamać ani oszukać.

- Myślę, że porusza pan kwestie, o których nic pan nie wie.

- Więc proszę mnie oświecić. Będę pani posłusznym uczniem.

- Nie sądzę, by kiedykolwiek był pan posłuszny czy zechciał czerpać ode mnie wskazówki. Życzę zatem dobrej nocy. Zapamiętam, co mi pan powiedział, i będę gotowa wyjechać w każdej chwili.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Niemniej przygotuję się na taką ewentualność.

- Upiera się pani, żeby już iść?

- Muszę - odparłam. - Dobranoc.

Poszłam na górę w radosnym nastroju. Bardzo pragnęłam uwierzyć w dawane samej sobie zapewnienia, że ten mężczyzna jest mi obojętny.

Alicja pokazała mi list, który dał jej Tom Keeping - z prośbą o przeczytanie po jego odjeździe. Miał nadzieję, że wróci niedługo i wtedy usłyszy odpowiedź. Prosił ją o rękę.

Wiedział, że Alicja nie odpowie mu od razu i potrzebuje czasu do namysłu. Znali się wprawdzie dość krótko, lecz Tom był pewien, że chce się z nią ożenić.

Czasy są trochę niespokojne - pisał. - Przypuszczam, że spędzę tu jeszcze kilka lat.

Musiałabyś podróżować ze mną. To może być niebezpieczne, a czasami trzeba będzie się rozdzielić. Pragnąłbym, abyś to dobrze rozważyła. Wolałem do Ciebie napisać, Ponieważ nie chciałem dać się ponieść uczuciom do tego stopnia, by bagatelizować trudności. Wszystko będzie inne niż to, z czym dotychczas miałaś do czynienia. Ale kocham Cię, Alicjo, i jeśli odwzajemnisz moje uczucia, będę najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

List Toma głęboko mnie poruszył. Być może nie brzmiał górnolotnie, lecz za to bardzo szczerze. Spojrzawszy na Alicję, nie musiałam już pytać, co odpowie.

- Jeszcze niedawno za nic bym nie uwierzyła, że coś takiego mi się przydarzy -

powiedziała. - W ogóle nie przyszło mi do głowy, że jakiś mężczyzna zechce mnie poślubić...

w dodatku ktoś taki jak Tom. Ja chyba śnię.

Kochana Alicja! Wydawała się oszołomiona, ale niewiarygodnie szczęśliwa.

- Och, Alicjo! - westchnęłam. - To wspaniale. Co za piękna, romantyczna historia!

- Że też coś takiego przydarzyło się właśnie mnie! Nie mogę uwierzyć. Naprawdę myślisz, że on mówi poważnie?

- Oczywiście. Tak się cieszę!

- Tylko że ja nie mogę teraz za niego wyjść.

- Dlaczego?

- A moja posada? Przecież hrabina...

- Hrabina dba o ciebie tyle, co o zeszłoroczny śnieg. Musisz poślubić Toma, to nie ulega wątpliwości. Powinnaś jak najprędzej rozpocząć nowe, cudowne życie.

- A dzieci?

- Mają dobrą opiekunkę w osobie ayah i doskonałą guwernantkę, czyli mnie.

- Och, Druzyлло, byliśmy tak bliskimi przyjaciółkami!

- Dlaczego używasz czasu przeszłego? Przecież jesteśmy przyjaciółkami. Zawsze nimi będziemy.

W Alicji zaszła wspaniała zmiana; stała się inną kobietą. Nigdy przedtem nie myślała, że spotka kogoś takiego jak Tom Keeping - kogoś, kogo pokocha z wzajemnością. Przepadała za dziećmi i pragnęła mieć własne, lecz od dawna trwała w przekonaniu, że opiekowanie się cudzymi jest jej życiowym powołaniem.

Otwierały się przed nią cudowne perspektywy. Barwne życie, podróże po Indiach u boku człowieka wykonującego niezwykle, pasjonujący zawód - i przebywanie z nim już na zawsze.

Rzuciła mi tęskne spojrzenie, które mówiło, że jak wielu zakochanych, nie będących egoistami, pragnie tego samego dla innych, a zwłaszcza dla mnie.

- Chciałabym... - zaczęła poważnym tonem.

Wiedziałam, co zamierza powiedzieć, i wtrąciłam pośpiesznie:

- Chciałabyś, aby Tom szybko wrócił, i zastanawiasz się, kiedy będziecie mogli się pobrać. Sądzę, że pójdzie wam dość łatwo. Przypomnij sobie te wszystkie panny, które tu przyjeżdżają, aby wyjść za mąż. Urzędnicy z pewnością do tego przywykli.

- Chciałabym, żebyś i ty znalazła kogoś...

- Och - przerwałam jej lekkim tonem - nieczęsto trafiają się tacy mężczyźni jak Tom Keeping. Trzeba dużo szczęścia, by znaleźć kogoś takiego.

Zmarszczyła brwi.

- Nie podoba mi się, że zostaniesz sama.

- Moja droga, nic złego mi się nie przydarzy.

- Będę się o ciebie martwiła.

- Daj spokój, Alicjo. Wiesz przecież, że nie jestem wątłym kwiatuszkiem. Mając do pomocy ayah, doskonale dam dobie radę z dziećmi.

- Nie o to mi chodzi, Druzylo. Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Czuję, że mogę z tobą szczerze rozmawiać. Co myślisz o Fabianie Framlingu?

- O... ciekawy z niego człowiek. I ma bardzo wielkie mnie manie o sobie.

- A czy dla ciebie jest kimś ważnym?

- Tak jak dla wszystkich. Wydaje się, że sprawuje tu dużą władzę.

- Nie o to pytałam.

- A o co?

- Odnoszę wrażenie, że nie jesteś mu obojętna.

- Nic, co się tu dzieje, nie jest mu obojętne.

- Wiesz, o czym mówię. On myśli...

- O uwiedzeniu mnie?

- No... coś podobnego przyszło mi do głowy.

- Jemu być może również... i każda młoda kobieta odgrywałaby tę samą rolę.

- Tego się właśnie obawiam. Nierozsądnie byłoby obdarzać go zbyt wielkim uczuciem.

- Nie martw się. Znam go dobrze.
- Czy ta lady Jak-jej-tam nie przyjeżdża go poślubić?
- To chyba odłożono z uwagi na panujące tu niepokoje.
- W końcu jednak dojdzie do tego małżeństwa.
- Taka jest wola lady Harriet, a jej zazwyczaj wszyscy słuchają.
- Rozumiem. Chciałabym, żebyś mogła wyjechać ze mną.
- Nie przypuszczam, by Tom pragnął spędzić miodowy miesiąc w towarzystwie osób trzecich.
- Naprawdę mam nadzieję, że nic złego ci się nie stanie. Jesteś przecież taka rozsądna.

Nie podoba mi się, że zostaniesz tu z osobą tak lekkomyślną i samolubną jak hrabina. A jej mąż jest w tobie prawie zakochany.

- Powtarzam: nie martw się. Dougal nie potrafi w pełni się zakochać.
- Ta sytuacja nie wygląda najlepiej. Musisz przez cały czas mieć się na baczności.
- Dziękuję. Wydaje ci się zapewne, że jako przyszła mężatka powinnaś zatroszczyć się o swe kruche i niedoświadczone siostry. Och, Alicjo, ciesz się po prostu własnym szczęściem.

Bo ja jestem szczęśliwa, gdy myślę o tobie.

Wiść o bliskim ślubie Toma i Alicji rozbawiła Lawinię.

- Kto by pomyślał! Ona wyglądała mi na urodzoną starą pannę. Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumiem, co on w niej widzi. Jest przecież całkiem nieładna.
- Falujące loki i olśniewająca uroda to jeszcze nie wszystko. Alicja jest bardzo inteligentna.
- W przeciwieństwie do mnie, chcesz powiedzieć.
- Nikt nie mógłby cię nazwać nieładną.
- Lecz inteligentną także nie?
- No cóż, twoje postępowanie wskazuje raczej na brak tej cennej zalety.
- Och, cicho bądź. Tak czy inaczej, bawi mnie to. Niania Philwright i Tom Keeping!

Co będzie z dziećmi? Mama dostanie szału. Przysłała tu Alicję, aby zajmowała się dziećmi, a nie po to, by wyszła za mąż.

- Ta sprawa nie podlega już władzy twojej matki. Może rządzić naszą wioską, lecz nie całymi Indiami.

- Będzie bardzo zdegustowana. Wątpię, czy przyśle mi następną angielską nianię.

- Raczej nie. W końcu nie pozostaniesz tu zbyt długo, prawda?

- Dziękuję za przypomnienie.

- W rodowej posiadłości Carruthersów nie będziesz miała tylu wielbicieli.

- No właśnie. I mama mieszka niedaleko. Muszę się nad tym zastanowić. Może skłonię Dougala do pozostania tutaj.

- Myślę, że on tęskni za domem.

- Za tymi nudnymi starymi książkami, których tu nie ma. Dobrze mu tak!

- Cóż za oddana małżonka - mruknęłam, a ona parsknęła śmiechem.

Fabian był bardzo zaskoczony. Siedzieliśmy przy kolacji, gdy poruszono ten temat.

- Myślałem, że Keeping jest zaprzysięgłym kawalerem - powiedział.

- Niektórzy mężczyźni są nimi, dopóki nie spotkają kobiety, na której im naprawdę zależy - odparłam.

Obrzucił mnie rozbawionym spojrzeniem.

- Nikt nie mógłby być bardziej zdziwiony niż ja – oznajmiła Lawinia. - Myślałam, że kobiety takie jak niania Philwright nigdy nie wychodzą za mąż. Przez całe życie poświęcają się wychowankom, a na starość mieszkają w małym domku, kupionym przez jakiegoś wdzięcznego podopiecznego, który odwiedza swoją nianię w każde Boże Narodzenie i na urodziny, i dba, by dokońca życia niczego jej brakowało.

- A ja wcale nie jestem zdziwiona - oświadczyłam. - Są wspaniałą parą. Od pierwszej chwili widziałam, że wiele ich łączy.

- Od podróży przez pustynię - uściślił Fabian ze znaczącym uśmiechem, przypominając mi, jak to Tom Keeping na jego polecenie wybawił mnie od losu zbyt okropnego, by się nad nim zastanawiać.

- To znaczy, że tracimy nianię - podsumowała Lawinia. - Prawdziwe utrapienie.

- Ayah jest bardzo dobra - oświadczyłam. - Będę jej pomagała, tak jak dotychczas. Ale wszystkim nam będzie smutno bez Alicji.

- Przypuszczam, że oboje z Tomem wpadną od czasu do czasu z wizytą - odezwał się Dougal.

-1 wówczas będzie można urządzać radosne spotkania - dodał Fabian.

- Bardzo się cieszę ze względu na Alicję - wyznałam. – To jedna z najwspanialszych osób, jakie znam.

- A zatem - zaproponował Fabian - wypijmy za nich. - Uniósł kieliszek. - Za zakochanych...
gdziekolwiek się znajdują.

Bunt

Ciało Asrafa przywieziono ojcu. Spoczęło uroczyście w niewielkim domku na terenie posiadłości Kompanii, który był siedzibą zarządcy. Miał się odbyć tradycyjny pogrzeb, co oznaczało, że zwłoki zostaną przewiezione drewnianym wózkiem w pewne miejsce, gdzie spłoną.

Wróciła Roszanara. Pozostawała pod opieką teścia, Wielkiego Khansamy. Pragnęłam się z nią spotkać, aby porozmawiać i dowiedzieć się, co ją czeka w przyszłości.

Wkrótce zaspokoiliłam swą ciekawość.

Przyszła do mnie ayah; skubnęła mój rękaw, dając do zrozumienia, że chce ze mną porozmawiać sam na sam.

- Czy coś się stało? - zapytałam.

- Missie... przyjsć - odpowiedziała tylko.

Poprowadziła mnie do ogrodowej altany, ukrytej wśród wysokich traw i zarośli.

Rzadko kto tam się zapuszczał. Podobno węże lubiły wysoką trawę. Widziano tam również żmije, a raz czy dwa nawet przerażającą kobrę.

Cofnęłam się w pewnej chwili, co ayah zauważyła.

- My uważać - zapewniła - bardzo uważać. Proszę iść, gdzie ja.

Poszłam za nią i w altanie stanęłam twarzą w twarz z Roszanara. Popatrzyłyśmy na siebie, a potem znalazła się w moich ramionach.

- Och, missie, missie... Taka dobra, taka łaskawa.

Odsunęłam ją lekko. Poruszyła mnie zmiana w jej wyglądzie. Nie było to już dziecko, które siadało razem z Luizą i przysłuchiwało się lekcjom.

Wydawała się starsza, szczuplejsza i natychmiast zauważyłam wyraz lęku na jej twarzy.

Miałam przed sobą bardzo wystraszoną dziewczynę.

- A zatem jesteś teraz wdową, Roszanaro - odezwałam się cicho.

Spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Bardzo mi przykro - dodałam. - To było okropne. Wasze małżeństwo trwało tak krótko. Jaka szkoda, że straciłaś męża.

Bez słowa pokręciła głową, nie odrywając ode mnie wielkich, wylęknionych oczu.

- Zamordowali go - ciągnęłam. - To zupełnie bez sensu. Czy miał jakichś wrogów?

- Nic nie zrobił, missie. Był tylko wystraszonym chłopcem. Umarł przez to, co zrobił... ktoś inny.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Ponownie pokręciła głową i nagle uklękła przede mną, chwytając fałdy mojej sukni.

- Pomóż mi, missie - wyrzuciła z siebie. - Nie pozwól mnie spalić.

Spojrzałam na ayah, która przytaknęła i dodała:

- Powiedz. Powiedz, Roszanaro. Powiedz missie.

Dziewczyna uniosła oczy.

- Na pogrzebie rozpalą stos. Muszę rzucić się w płomienie.

- Nie!

- Wielki Khansama mówi: „tak”. To obowiązek wdowy.

- Nie, nie - zaprotestowałam. - To jest sati. Brytyjskie władze zabraniają tego.

- Wielki Khansama mówi, że to nasz zwyczaj. Nie chce cudzoziemskich praw.

- Ten obrzęd jest zakazany - podkreśliłam. - Powinnaś poprostu odmówić. Nikt nie może cię zmusić. Prawo stoi po twojej stronie.

- Wielki Khansama mówi...

- On nie ma z tym nic wspólnego.

- Asraf był jego synem.

- To bez znaczenia. Takie rzeczy są sprzeczne z prawem.

- Missie wiedzieć - wtrąciła ayah.

Roszanara kiwnęła głową.

- Nic takiego nie może się zdarzyć - dodałam. - Dopilnujemy. Zaufaj mi. Nie dopuszczę do niczego podobnego.

Przerażenie w oczach Roszanary ustąpiło miejsca ufności. i poruszona, że tak bardzo wierzy w moje możliwości.

Pragnęłam natychmiast podjąć jakieś działania, lecz nie wiedziałam, od czego zacząć.

Sprawa wyglądała zbyt poważnie, bym miała się nią zająć sama. Musiałam zasięgnąć rady Fabiana i Dougala. Więcej spodziewałam się po Fabianie. Wiedziałam, że Dougal okaże współczucie i zrozumienie, lecz nie należy do energicznych ludzi. Fabian z pewnością potrafi wybrać najskuteczniejszą drogę działania. Musiałam go jak najprędzej odszukać i pomówić z nim na osobności.

- Zostawcie to mnie - powiedziałam. - Muszę już iść. Co teraz zrobisz, Roszanaro?

- Wróci do domu Wielkiego Khansamy - odrzekła za nią ayah. - On nie może wiedzieć, że ona tu przyjsć i rozmawiać. Ja ją zabrac z powrotem.

- Na pewno niedługo będę mogła wam powiedzieć, co dalej robić - obiecałam.

Udałam się niezwłocznie do gabinetu Fabiana. Szczęśliwym zrządzeniem losu zastałam go tam.

Na mój widok wstał, okazując wyraźne zadowolenie. Byłam zła na siebie, że w obliczu tak okropnej sytuacji rozpiera mnie radość.

- Muszę z panem pomówić - oznajmiłam.

- Bardzo mi miło. O czym?

- Chodzi o Roszanarę. Widziałam się z nią przed chwilą. Biedne dziecko jest przerażone. Wielki Khansama chce ją zmusić, by skoczyła w płomienie stosu pogrzebowego Asrafa.

- Co takiego?

- Zapowiedziano jej to.

- Niemożliwe!

- Tak brzmi rozkaz Wielkiego Khansamy. Jak można temu zapobiec?

- Powstrzymując przygotowania.

- W świetle prawa to chyba nietrudne?

- Owszem, nietrudne, lecz może zostać uznane za prowokację. Dokonaliśmy kilku niepokojących odkryć. Sytuacja jest, moim zdaniem, bardzo niebezpieczna. Musimy zachować daleko posuniętą ostrożność.

- Ale jeśli ktoś łamie prawo...

- Druzyлло - przerwał mi z powagą - czy mogę zaufać pani dyskrecji?

- Ależ oczywiście.

- Proszę nie mówić o tym mojej siostrze ani nikomu innemu. Tom Keeping po powrocie zapewne wtajemniczy we wszystko pannę Philwright, ale to rozsądna kobieta.

Inaczej by się w niej nie zakochał.

- Obiecałam Roszanmarze, że coś zrobimy.

- I zrobimy. Ta potworność nie może się wydarzyć, zapewniam panią. Wykryliśmy jednak to i owo. Bunt wisi w powietrzu. Wystarczy iskra... gdy się pojawi, nastąpi wielki pożar. Popełniliśmy jakiś błąd... a może to przyszło samo? Kompania nigdy nie chciała podporządkować sobie Hindusów. Poprawiliśmy ich los pod wieloma względami, ale... no cóż, mogliśmy się mylić. Nasze działania były zapewne zbyt radykalne. Ci ludzie uważają, że zagrażamy ich cywilizacji i wypieramy narodowe obyczaje, by zrobić miejsce obcym.

- Przecież muszą zdawać sobie sprawę, że bez sati i thagów jest im lepiej.

- Być może. Ale zawsze ktoś się buntuje. Lord Dalhousie przyłączył Pendżab i Oude.

Teraz tutaj, w Delhi, narastają niepokoje wokół osoby zdetronizowanego króla Bahadura Szaha, a Dalhousie grozi, że usunie całą rodzinę władcy z pałacu.

- Dlaczego?

Fabian tylko wzruszył ramionami.

- Przywódca buntowników, Nana Sahib, którego obserwujemy, wykorzysta każdą sposobność, by poderwać ludzi przeciw nam. Znaleźliśmy się w trudnym położeniu. Sama pani rozumie, że musimy postępować nad wyraz ostrożnie.

- Co będzie z Roszamarą?

- Należy temu przeszkodzić, bez najmniejszych wątpliwości. Ale trzeba bardzo uważać. Z naszych odkryć związanych z Wielkim Khansamą wynika, że mamy kłopot we własnym domu.

- To mnie nie dziwi. Czy nie może pan go zadenuncjować?

- W żadnym wypadku. To by wznieciło bunt, trwający Bóg wie jak długo. On nie jest tylko khansamą. Objął to stanowisko, ponieważ w domu bywają wysocy urzędnicy Kompanii.

- To znaczy, że jest... kimś w rodzaju szpiega?

- Więcej. Jest przywódcą zbuntowanych. Nienawidzi cudzoziemców, to rzecz pewna.

Popiera Nanę Sahiba, który pragnie wypędzić nas z Indii.

- On także ma na imię Nana. Wielki Nana. Słyszałam, że go tak nazywają.

- Nie wiem, czy przyjął to imię na cześć wodza, czy nosi je od urodzenia. Wiem tylko, że dokonaliśmy pewnych odkryć i musimy postępować z nim bardzo ostrożnie.

- Jakich odkryć?

- Hoduje bieluń w ogrodzie. Chce się przeciwstawić naszemu prawu, które zakazuje działalności sekty thagów. Keeping podejrzewał, a teraz znalazł dowody świadczące, że Wielki Khansama wciąga swoich przyjaciół do tej sekty. Podejrzewamy, że to od niego pochodziła trucizna, która uśmierciła grupę podróżników znalezionych w lesie. To dość prawdopodobne, ponieważ krewny jednego z nich zemścił się, mordując Asrafa.

- Biedny Asraf! Padł ofiarą zemsty!

- Chodziło, rzecz jasna, o jego ojca. Był jedynym synem Wielkiego Khansamy.

Trudno byłoby wyrządzić komuś większą krzywdę. Widzi pani zatem, że zdrada czyha w naszym własnym domu.

- Więc co zrobimy z Roszanarą?

- Zapobiegniemy temu... lecz delikatnie i w tajemnicy. Głośna scena przy stosie pogrzebowym byłaby szaleństwem i mogłaby wzniecić natychmiastowy bunt. Sądzę, że zaczęłoby się tutaj, w tym domu. Musimy tego unikać. Gdy Keeping wróci, pomówię z nim o waszym wyjeździe z Delhi.

- Spodziewa się pan kłopotów?

- To ważne miasto. Często właśnie tutaj zaczynają się niepokoje.

- Co pan proponuje w sprawie Roszanary?

- Muszę to jeszcze przemyśleć, ale w tej chwili wydaje mi się, że należy ją po cichu wywieźć z miasta.

- Wielki Khansama nigdy na to nie pozwoli.

- Zrobię to, oczywiście, bez jego wiedzy.

- Istnieje taka możliwość?

- Musimy ją stworzyć. Wiele domów w różnych miejscach jest własnością Kompanii.

Można się w nich zatrzymać w tajemnicy. Uważam, że tak będzie najlepiej. Trzeba tylko bardzo, bardzo uważać. Tom powinien wrócić wieczorem. Często przyjeżdża i odjeżdża, więc jego obecność chyba nie wywoła żadnych podejrzeń. Kiedy ma się odbyć pogrzeb?

- Niebawem. Przypuszczam, że za dwa dni.

- A zatem należy działać szybko. Proszę się przygotować. Mogę potrzebować pani pomocy. I ani słowa nikomu.

- Będę pamiętać - obiecałam.

Z uśmiechem pochylił się ku mnie. Wydało mi się, że chce mnie pocałować, lecz nie uczynił tego. Zapewne dostrzegł wyraz niepokoju w moich oczach. Pomyślałam, że muszę ukryć swoje uczucia. Alicja już coś zauważyła. Nie mogę dopuścić, by zauważył to ktokolwiek inny – zwłaszcza Fabian.

Wydarzenia tamtego dnia na zawsze utkwily mi w pamięci. Spotkałam się niemal natychmiast z ayah, która również bardzo pragnęła mnie zobaczyć.

- Wszystko w porządku. - Zapewniłam ją. - Nie dopuścimy do tego, ale musimy zachować ostrożność. Nikt nie może się dowiedzieć o naszych planach.

Z powagą skinęła głową.

- Sir Fabian wszystkim się zajmie. Musisz dokładnie wypełnić polecenia i nie wolno ci pisać słowa nikomu.

Ponownie kiwnęła głową.

- Teraz? - zapytała.

- Zawiadomię cię, kiedy będziemy gotowi. Tymczasem zachowuj się jak gdyby nigdy nic.

Wiedziałam, że mogę na nią liczyć. Przerazała ją myśl o tym, co by się z nią stało, jeśli Wielki Khansama wykryłby jej udział w spisku mającym na celu podważenie jego autorytetu.

Później tego samego dnia przybył Tom Keeping.

Fabian wezwał Dougala i mnie do swego gabinetu, zaznaczając, że panna Philwright również musi przyjść, ponieważ jej pomoc może się okazać niezbędna, a jako narzeczona Toma powinna z nami współpracować.

Tom najwyraźniej wiedział już, że jego oświadczenia zostały przyjęte. Jego twarz wyrażała zadowolenie połączone z obawą, jaką budził w nim rozwój sytuacji.

- Siadajcie - powiedział Fabian. - Pani także, panno Philwright. Słyszała pani, co się dzieje? - Spojrzał na nią pytająco.

Alicja potwierdziła.

- No cóż, musimy wydostać stąd tę dziewczynę. Tom się tym zajmie. Kompania dysponuje kilkoma domami, w których w razie potrzeby można się ukryć. Są prowadzone jako skromne gospody poza

miastem. Każdy, kto na pewien czas potrzebuje kryjówki, uchodzi tam za podróżnego i nikt nie zwraca na nikogo uwagi. Tom, przedstaw swój plan.

- Aby uratować tę małą Hinduskę - zaczął Tom - moglibyśmy, oczywiście, zabronić odprawienia obrzędu i wezwać przedstawicieli prawa. W normalnej sytuacji właśnie to bym zaproponował. Ale w tych okolicznościach, gdy lada chwila może nastąpić wybuch, nie byłoby to rozsądne.

- Przypuszczam - wtrącił Fabian - że panna Delany i panna Philwright zdają sobie sprawę z narastającego wokół napięcia. Nasi wrogowie rozsiewają wśród sipajów pogłoski, że do smarowania pocisków używa się tłuszczu wołowego i wieprzowego, który oni uważają za nieczysty. Wydaje im się, że usiłujemy wyrugować ich dawne obyczaje, odnosząc się do nich ze wzdrgadą. Kilka ognisk zapalnych ujawniło się już w Barakpurze. Przepraszam cię, Tom, za te dygresje, sądzę jednak, że to ważne, by młode damy w pełni zrozumiały powagę sytuacji i konieczność bardzo delikatnego postępowania. Stłumiliśmy wybuchy buntu, lecz po Oude i Bundelkhandzie krążą pogłoski narażające na szwank nasz prestiż. Mów dalej, Tom.

- Khansama wydaje nam się bardzo podejrzany. Ów człowiek zdolny jest odegrać rolę przywódcy. Jego obecność w tym domu nakazuje nam zachowanie jak największej ostrożności. Doszliśmy z sir Fabianem do wniosku, że dopóki nie upewnimy się ostatecznie co do jego intencji, powinniśmy na razie skupić się na ocaleniu życia tej dziewczynie, a nie na tym, by sprawiedliwości stało się zadość. Planujemy zatem umieścić Roszanarę w bezpiecznym miejscu.

- Jak? - zapytał Dougal.

- Wyprowadzając ją stąd.

- Zauważą was - powiedział.

- Niekoniecznie. Roszanara opuści dom dopiero po zmroku.

- Jej nieobecność zostanie dostrzeżona - uznałam.

- Nasza nadzieja w tym, iż oczekują od niej, że zamknie się w swoim pokoju, by opłakiwać śmierć męża. Zgodnie z tradycją powinna spędzić ostatnią noc na ziemi na medytacjach i Modlitwie. Pozostawiają w spokoju. Musi wymknąć się z domu khansamy i przyjść nie tutaj, lecz do altany.

- W trawie dookoła roi się od węży - zauważył Dougal. - Wierzcie mi, niektóre są niezmiernie groźne.

- Wiem, jak bardzo cię interesują - przerwał niecierpliwie Fabian - ale teraz nie mamy czasu o nich dyskutować.

- Uważam po prostu, że niebezpiecznie jest zbliżać się wieczorem do tego miejsca.

- Niebezpieczeństwo jest nikłe w porównaniu z tym, co by się stało, gdybyśmy nie podjęli działań. Mów, Tom.

- No więc - podjął Tom - musimy przebrać Roszanarę. Tu liczę na pomoc pań. Mam perukę, która zmieni jej wygląd. - Otworzył niewielką torbę i wyjął perukę. Była zrobiona z prawdziwych włosów i wyglądała całkiem naturalnie. Miała jasnobrązowy kolor.

- Rzeczywiście będzie w tym wyglądała zupełnie inaczej - przyznałam.

- Odrobina pudru może rozjaśnić jej cerę - podsunęła Alicja.

- Z całą pewnością - zgodziłam się. - Na toaletce Lawinii stoi mnóstwo słoiczków i buteleczek. Poproszę ją o pomoc.

- Nie - zaprotestował Fabian. - Niech jej pani nie prosi, tylko weźmie, co trzeba.

- Mogłaby zauważyć brak czegoś potrzebnego.

- Musi to pani zrobić tak, żeby nic nie zauważyła. Pożyczy pani te rzeczy tylko na chwilę i zaraz odłoży na miejsce. Sądzę pani, że uda się zmienić wygląd tej dziewczyny tak, by przypominała Europejkę?

- To możliwe - odrzekłam. - Warto spróbować.

- Ale nie wolno pisnąć ani słowa Lawinii.

- To oznacza, że muszę wykraść te rzeczy.

- Więc niech pani to zrobi.

- Zgodnie z planem - podjął Tom - Roszanara powinna się tu znaleźć o północy. W

żadnym wypadku nie może wejść do domu. Służba ma wyostrzony wzrok i słuch i zachowuje nieustanną czujność, zwłaszcza ostatnio. Roszanara musi pójść do altany.

- Pomimo ewentualnych węży - dodał Fabian, zerkając na Dougala.

- I tam - kontynuował Tom - przebierze się w europejski strój, który przygotujecie. Jej wygląd powinien ulec całkowitej zmianie. Wyprowadzę ją stamtąd natychmiast. Udamy się do pewnego domu na obrzeżach miasta. Przybędą tam państwo Sheldrake. On jest pracownikiem Kompanii. Jego żona nam pomoże. Roszanara ma uchodzić za ich córkę. Może podróżować z panią Sheldrake w palankinie i będzie się mówiło, że jest chora. Dzięki temu unikną wypytywań, ponieważ ludzie będą się bali do nich zanadto zbliżać, żeby się nie zarazić. W ten sposób przewieziemy ją w bezpieczne miejsce, gdzie pozostanie, dopóki nie zorientujemy się w sytuacji.

Fabian spojrzał na mnie.

- Zapewne to wszystko wydaje się pani nieco melodramatyczne. Dlaczego po prostu nie wydamy zakazu spalenia dziewczyny? Proszę mi wierzyć, że wolałbym tak postąpić.

- Ależ ja rozumiem - zapewniłam. - Innego wyjścia nie ma. Postaramy się dostarczyć jej jak najlepsze przebranie.

- Trudno będzie znaleźć coś, co na nią pasuje – zauważyła Alicja. - Jest taka młoda i drobna.

- Wystarczy cokolwiek - powiedział Fabian. - Większość czasu spędzi w palankinie...

choć nie od razu, oczywiście.

- Pierwsze chwile są chyba najbardziej ryzykowne – uznałam. I zwróciłam się do Alicji: - Której z nas ubranie będzie najlepsze?

Przyglądała mi się przez chwilę.

- Jesteś bardzo szczupła, choć znacznie wyższa niż Roszanara. Możemy skrócić którąś z twoich sukien.

- To rozwiązuje problem - oświadczył Tom, spoglądając na Alicję z dumą.

- I proszę nie zapominać - dodał Fabian - że moja siostra nie może o niczym wiedzieć.

Z całą pewnością coś by się jej wymknęło.

- Musimy najpierw zawiadomić Roszanarę - przypomniał Tom.

- Zaraz porozmawiam z ayah - odrzekłam.

- Nie podoba mi się, że ktoś z tutejszych ludzi jest w to wtajemniczony - powiedział

Fabian.

Popatrzyłam na niego z rozdrażnieniem.

- Nie rozumie pan, że ayah tak samo jak my pragnie, żeby nam się powiodło? Jest ciotką tej dziewczyny. Wychowała ją. Wiem, że zrobi wszystko, by ją uratować.

- Nie należy ulegać emocjom - odparł. - To prowadzi do błędnej oceny sytuacji. Niech pani wytłumaczy ayah...

- Zrobię to, ale ona rozumie wszystko bez słów. Możemy całkowicie zaufać jej dyskrecji.

- Całkowite zaufanie jest błędem.

Zadałam sobie pytanie, dlaczego w jego obecności zawsze ogarnia mnie nastrój przekory? Nie było czasu na sprzeczkę. Musieliśmy się skupić na realizacji naszego planu.

Zaraz po wyjściu z domu spotkałam się z ayah. Zaproponowałam, abyśmy porozmawiały w altanie. Fabian miał słuszość. Nie należało zbyt ufać ludziom i choć byłam pewna, że wielu spośród

służących zasmuciłaby śmierć Roszanary w płomieniach, wszyscy lękali się gniewu khansamy; a niektórzy mogli z pobudek patriotycznych pragnąć wypędzenia Brytyjczyków z Indii i kresu ich rządów.

Przedstawiłam ayah nasze plany. Roszanara dowie się, co ma robić, gdy przyjdzie do altany. Powiemy jej, kiedy będziemy ją przebierały. Wzruszył mnie wyraz nadziei w oczach ayah. Wierzyła, że to moja niemal boska potęga uratuje życie dziewczyny-Pragnęłam jej wyjaśnić, że plan został ułożony przez Fabiana i Toma Keepinga.

Wysłuchiwała mnie uważnie. Roszanara miała zjawić się w altanie o północy, gdy w domu Wielkiego Khansamy zapanuje cisza i wszyscy posną. Będzie to tym łatwiejsze, że cała rodzina uda się do swoich pokojów, by modlić się przed pogrzebem.

Zamierzałyśmy z Alicją wybrać się do altany w ciągu dnia, by zanieść tam rzeczy, potrzebne do zmiany wyglądu Roszanary. Bardzo się obawiałyśmy, że zdradzi nas nietypowe zachowanie. Tak się jednak nie stało, wszystko poszło gładko.

Wspólnie przebrałyśmy Roszanarę. Biedaczka trzęsa się ze strachu. Trudno jej było uwierzyć, że ktoś może się przeciwstawiać rozkazom Wielkiego Khansamy, lecz jednocześnie miała do mnie wielkie zaufanie. Nikt nie musiał ostrzegać obu Hindusek, jakie byłyby skutki, gdyby plan się nie powiódł. Wiedziały o tym równie dobrze jak my.

A zatem we właściwym czasie Roszanara była gotowa. W najmniejszym stopniu nie przypominała dawnej siebie. Skrócona sukienka okazała się nieco za luźna, lecz nie rzucało się to tak bardzo w oczy, a jasnobraza peruka odmieniła dziewczynę nie do poznania, przeobrażając ją w Euroazjatkę. Nie dało się tylko ukryć jej wdzięcznych ruchów i niezwykłych ciemnych oczu.

Dowiedziałam się o powodzeniu naszego planu kilka dni później, kiedy nadeszła kartka od Toma Keepinga.

„Wszystko w porządku - napisał. - Dziś wieczorem ładunek bezpiecznie opuści miasto”.

To mnie uspokoiło. Ocaliliśmy Roszanarę.

Nazajutrz po zniknięciu dziewczyny podniosła się wrzawa.

Wielki Khansama nie mówił nic, lecz wiedziałam, że wpadł w morderczą furję.

Życzył sobie, by dopełniono starego obrzędu sati. Pragnął przeciwstawić się Brytyjczykom, co najwyraźniej stawało się zjawiskiem narastającym w całym kraju.

Ayah powiedziała mi, że padło wiele pytań. Khansama przesłuchiwał zwłaszcza ją. Co takiego wie? Coś musi wiedzieć. Czy dziewczyna uciekła sama? Znajdą ją, nie ma obawy. I tak spłonie na stosie, lecz pozbawiona zaszczytu uczynienia tego dla pamięci męża i dla kraju.

Umrze, ponieważ sprzeciwiła się rozkazom Wielkiego Khansamy i zdradziła swą ojczyznę.

Biedna Roszanara! Miałam nadzieję, że udało jej się umknąć na zawsze przed groźnym teściem.

Na polecenie Fabiana utrzymywaliśmy Lawinię w nieświadomości, teraz jednak dowiedziała się o ucieczce Roszanary. Wszyscy o tym mówili.

- Biedna dziewczyna - powiedziała. - Wiedziałaś, że chcieli ją zmusić do śmierci na stosie pogrzebowym?

- No cóż, obowiązywał tu kiedyś taki zwyczaj.

- Ale już przestał.

- Tak. Dzięki Bogu położono temu kres.

- Oni jednak nadal to robią. Wielki Khansama zażyczył sobie śmierci Roszanary dla uczczenia pamięci syna. Rozzłościł się, że nie wypełniono jego poleceń.

- Dobrze mu tak.

- Chciał tylko dochować starego obyczaju.

- Ciekawe, czy sam rzuciłby się w płomienie ze względu na stary zwyczaj.

- Oczywiście, że nie. Na szczęście Roszanara uniknęła tego losu. Jak ona to zrobiła?

Nigdy bym nie pomyślała, że będzie miała tyle odwagi.

- W obliczu śmierci człowiek jest zdolny do różnych rzeczy.

- Skąd wiesz? Nigdy nie groziła ci śmierć.

- Masz rację. Nikt nie wie, jak się zachowa w pewnych okolicznościach, dopóki się z nimi nie zetknie.

- Znowu filozofujesz! Cała Druzylla. W.K. wszystkich przepytał. Usiłuje się dowiedzieć, kto nie usłuchał jego rozkazów.

- Rozmawiał z tobą również?

- On? Skądże znowu! Zachowuje się bardzo godnie... od tamtego dnia, kiedy dostał ode mnie taką burę, że mu w pięty poszło.

- Nie przypominam sobie żadnej bury. Wasze spotkanie dobiegło końca, gdy weszłam i wybawiłam cię z opresji.

- Druzylla Wybawicielka! Od czasu tego nudnego hrabiego ciągle widzisz się w tej roli.

- Cieszę się, że tak o nim mówisz. Kiedyś uważałaś, że jest cudowny.

- Wielki Khansama zachowuje się ostatnio jak należy.

- Jak należy! Zwłaszcza gdy próbuje zmusić synową do samospalenia!

- Chodziło mi o jego stosunek do mnie.

- Oczywiście. Ciebie obchodzi wyłącznie to, co dotyczy twojej osoby.

Lawinia parsknęła śmiechem.

- Zostań ze mną. Przepadam za twoimi uwagami na mój temat. Sama nie wiem dlaczego. Mama już dawno odprawiłaby cię za zuchwalstwo.

- Jednak ty nią nie jesteś, a jeśli zamierzasz mnie odprawić, wyjadę niezwłocznie.

- Znowu się nadymasz! Oczywiście, że chcę, żebyś została. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Druzyłło. Swoją drogą, co za imię! Pasuje do ciebie. Wyglądasz na Druzyllę.

- Szttywna? Niechętna wszelkiej zabawie?

- Właśnie.

- Nieprawda. Jestem niechętna jedynie tak zwanej zabawie, którą uprawiasz z przedstawicielami płci przeciwnej i która zaowocowała pamiętnymi skutkami.

- Znowu do tego wracasz!

- Owszem. Strzeż się Wielkiego Khansamy. Może się okazać inny, niż przypuszczasz.

- Och, ale traktuje mnie bardzo uprzejmie. Ostatnio nabrał pokory.

- Ja mu jednak nie ufam.

- Ty byś nie ufała nawet własnej niezamężnej ciotce, która chodzi do kościoła cztery razy dziennie i co wieczór przez godzinę klęczy przy łóżku, klepiąc pacierze.

- Nie mam takiej ciotki.

- Sama mogłabyś nią zostać, gdybyś miała jakichś krewnych. Dlatego narzucasz mi swoje sztywne zasady.

- Powtarzam, że...

- Mogę wrócić do domu! - przedrzeźniała mnie. - Nie ma mowy. Na czym to ja stanęłam? Aha, już wiem. Jak W.K. odnosi się do mnie. Otóż jest bardzo miły. Wiesz, że przedwczoraj przyniósł mi prezent? Rozumiem dlaczego. Chciał prosić o wybaczenie za swój nietakt. Oczywiście, że mu

wybaczam. Po prostu nie mógł mi się oprzeć.

- Podejrzewam, że gdybym nie nadeszła, gotowa byłabyś mu ulec.

-1 poświęcić swą cnotę! Cóż za przygoda!

- Cnoty pozostało ci tak niewiele, że nawet nie zauważyłabyś jej straty. Gdy zaś idzie o przygodę, można równie dobrze skoczyć do morza i utonąć, lecz raczej odradzałabym ci takie doświadczenia.

- Och, cicho bądź. Lepiej obejrzyj prezent, który dostałam od khansamy.

Podeszła do szuflady i wyjęła z niej puzderko.

- Chcesz powiedzieć, że przyjęłaś podarunek... od niego?

- Naturalnie, że przyjęłam. Należy przyjmować dary w tym duchu, w jakim są ofiarowane. Odmowa byłaby w najwyższym stopniu nieuprzejma.

Otworzyła puzderko i wydobyła zawartość. Przybliżyła ów przedmiot do twarzy, zerkając kokieteryjnie znad jego górnej krawędzi.

Patrzyłam z narastającą zgrozą na wachlarz z pawich piór.

W następnych tygodniach dało się odczuć coraz silniejsze napięcie. W niektórych częściach kraju wybuchały otwarte bunty, lecz zdołano je stłumić.

Na początku marca 1857 roku odbył się ślub Alicji i To: Keepinga. Była to skromna ceremonia i uczestniczyłam w niej wraz z Dougalem, Lawinią i Fabianem, który w tym celu złożył przelotną wizytę w Delhi i zaraz potem wyjechał. Powiedział, że musi skontaktować się w pilnej sprawie z władzami wojskowymi. Wyjeżdżał do Pendżabu, gdzie na razie panował spokój.

Dougal pozostał w Delhi i kilkakrotnie miałam sposobność z nim rozmawiać.

Dowiedziałam się, że chętnie wyjechałby z Indii, lecz uważał, że podróż byłaby teraz niebezpieczna, a Fabian przyznawał mu słuszność. Walki mogły wybuchnąć wszędzie i jazda na wybrzeże stanowiła bardzo duże ryzyko. Gdyby nie dzieci, warto byłoby jednak spróbować. Obydwaj z Fabianem uznali, że Delhi może być dla nas najbezpieczniejszym miejscem, ponieważ stacjonuje tu najliczniejszy oddział wojska.

Dużo rozmyślałam o wachlarzu z pawich piór, który khansama podarował Lawinii.

Wyczuwałam w tym jakiś złowrogi podtekst i ganiłam się za ponure myśli. Była to drobnostka w porównaniu z otaczającą nas aurą niepewności. Takie wachlarze często sprzedawano na bazarach i placach targowych. Prawda, że przeważnie kupowali je cudzoziemcy, którzy nie wiedzieli o ich złej sławie... cokolwiek oznaczała. Co jednak miał na myśli khansama, wręczając Lawinii tego rodzaju prezent? Wierzyła, że w ten sposób przeprosza ją za wcześniejsze zachowanie; ale ona zawsze wierzyła, w co chciała.

Zapytałam Dougala o pawie pióra. Interesował się dawnymi obyczajami, sądziłam zatem, że wie, dlaczego przynoszą nieszczęście. Nie wiedział, lecz postanowił się dowiedzieć.

Jeszcze przed wyjazdem do Indii starał się zgromadzić jak najwięcej informacji o tym kraju i przywiózł z Anglii kilka książek. Niewiele mógł mi wyjaśnić; wyczytał jednak, że istnieją przesady dotyczące pawich piór, a niektóre źródła podają, iż w pewnych okolicach przypisuje się im feralne właściwości.

Powiedziałam mu, że w Anglii mam wachlarz z pawich piór, подарowany mi przez pannę Lucyllę Framling, która szczerze wierzyła w jego zły wpływ.

- Dziwne, że chciała ci go ofiarować - zauważył.

Opowiedziałam o incydencie z zabraniem wachlarza. Dougal uśmiechnął się lekko.

- Przypuszczam, że była trochę niezrównowazona.

- Tak, przeżyła wielką tragedię. Zamordowano jej ukochanego i uznała, że stało się tak z powodu wachlarza.

- To brzmi zupełnie niedorzecznie.

Nie wyjawiałam mu, że khansama подарował podobny wachlarz Lawinii.

Zastanawiałam się, jak Dougal przyjąłby wiadomość, iż kokietowała tego człowieka. Czasami odnosiłam wrażenie, że nie dba o to, co robi jego żona.

- Istnieje mit o Argusie, którego oczy znalazły się na pawim ogonie. Są tacy, co uwierzyli, że Argus łaknie zemsty, a jego oczy obserwują wszystko... nie tylko to, co widzialne, lecz także to, co kryje się w myślach. Wielu ludzi w tym kraju za nic nie trzymałoby w domu pawich piór.

- Niektórzy jednak uważają takie wachlarze za miłe prezenty. Bywają naprawdę bardzo piękne.

- Niewykluczone, że osoby przesądne dopatrują się w tym jeszcze większego zła.

Próbowałam zapomnieć o podarunku khansamy. Istniały przecież znacznie ważniejsze sprawy.

Otrzymałam list od Alicji. Była bardzo szczęśliwa. Pisała: *Tom jest wspaniały i często nie możemy się oboje nadziwić fortunnemu przypadkowi, który nas zetknął. Tom zastanawia się, co będzie dalej. Sądzę, że lepiej niż inni rozumie powagę sytuacji, ponieważ w ramach swych zajęć podróżuje po całym kraju. Jego praca jest niezmiernie emocjonująca i bardzo się cieszę, że mogę mu pomagać. Z pewnością uraduje Cię wiadomość, że ładunek został dostarczony i znajduje się pod dobrą opieką. Nie mogę się doczekać, kiedy Cię znowu zobaczę. Być może wrócimy do Delhi. Tom nigdy nie wie, dokąd wezwą go obowiązki, a sytuacja jest obecnie dość niepewna. Cudownie byłoby szczerze porozmawiać o wszystkim.*

List sprawił mi wielką przyjemność. Jak wspaniale ułożyło się jej życie!

Tymczasem z biegiem kolejnych tygodni nasilały się niepokojące pogłoski. Kwiecień minął, nadszedł maj. Lord Canning wydał oświadczenie, w którym zapewniał oddziały sipajów, że używane Przez nich naboje nie są smarowane tłuszczem wieprzowym ani Wołowym, lecz jego zapewnienia przyjęto ze sceptycyzmem.

Dougal musiał wyjechać w sprawach Kompanii. Niechętnie opuszczał dom.

- Wolałbym nie zostawiać was tu samych - powiedział. - Major Cummings będzie pilnował wszystkiego. Musicie stosować się do jego poleceń.

Lawinia przyjęła nowinę z zadowoleniem. Miała słabość do majora Cummingsa.

W dniu wyjazdu Dougala wrócił Fabian. Poprosił, abym przysłała do jego gabinetu.

Był bardzo poważny.

- Nie mogę rozmawiać z Lawinią - zaczął. - Ona nie ma za grosz poczucia odpowiedzialności. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to wszystko martwi, Druzyłło.

Jesteś tu jedyną rozsądną osobą, odkąd wyjechała Alicja Philwright. Szkoda. To praktyczna kobieta.

- Co się dzieje?

- Bóg jeden wie. W całej Kompanii i armii szerzy się niepokój. Popełniono błąd, detronizując króla, bo stary Bahadur Szah był zupełnie nieszkodliwy; a jeszcze większym błędem okazała się próba usunięcia rodziny królewskiej z rodowej siedziby. Oddziały sipajów pomogły nam wygrać wiele potyczek. Teraz mówią sobie: kto wygrał te bitwy? To żołnierz zwycięża, a nie jego dowódca. Możemy uczynić dla siebie to, co zrobiliśmy dla Brytyjczyków. Zwracają się przeciw nam, Druzyłło... a stanowią część naszej armii.

- Czy naprawdę mogą podnieść bunt?

- Niektórzy tak. Sikhowie są lojalni... na razie. Wydaje mi się, że rozumieją, jakie przynosimy im korzyści, i z troski o kraj chcą, byśmy pozostali. Ale ten zaślepiony nacjonalizm... nie potrafimy go opanować. Martwię się o ciebie, Lawinię i dzieci. Gdybym tylko mógł wysłać was do domu!

- To chyba nie byłoby łatwe, prawda?

- Bardzo trudne, choć pewna szansa istnieje. Lecz gdybyśmy teraz nawet wyprawili was z Delhi, dokąd byście pojechały? Nie sposób przewidzieć, gdzie wybuchną następne zamieszki. Sprawy mogłyby przybrać tragiczny obrót, podczas gdy tutaj, w Delhi, jesteśmy licznie reprezentowani i stacjonują tu wierne nam oddziały.

- Z pewnością macie poważniejsze zmartwienia niż nasz los.

- Nie o to chodzi - odparł. - Bóg mi świadkiem, żałuję, że w ogóle tu przyjechałyście. I żałuję, że nie mogę z wami zostać. Pragnąłbym mieć was na oku. Ale to niemożliwe.

Druzyłło, musisz teraz myśleć za siebie i za Lawinię.

- Rozmawiał pan z Lawinią?

- Próbowałem. Niewiele do niej dociera. Nie dostrzega niebezpieczeństwa. Naprawdę wolałbym nie zostawiać was tutaj z khansamą. Cieszyłbym się, gdybym mógł się go pozbyć.

Jestem przekonany, że to on stoi za ostatnimi poczynaniami thagów. Dla niego byłby to gest sprzeciwu, wobec nas, ma się rozumieć. Nie przestrzega prawa, ponieważ to my je wprowadziliśmy. Ale ktoś zemścił się na nim samym, gdyż młodego Asrafa zamordowali krewni jednej z ofiar. Teraz zarządca może podejrzewać, że braliśmy udział w ucieczce Roszanary. Chciałbym, żebyście były gotowe do natychmiastowego wyjazdu.

- Będziemy.

- Możecie zostać uprzedzone w ostatniej chwili. Ja, niestety, muszę jeszcze dziś wieczorem opuścić Delhi.

- Proszę się o nas nie martwić. Będę przygotowana.

- Dzieci...

- Dam sobie radę. Powiem im, że to taka nowa zabawa. Nie będzie z nimi kłopotu.

- Nie wątpię, że sobie poradzisz. Czasami dziękuję Bogu za twoją obecność, a czasami przeklinam się za to, że cię tu sprowadziłem.

- Proszę tego nie robić - uśmiechnęłam się. - To dla mnie... kształcące doświadczenie.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie, a potem nagle objął mnie i przytulił mocno.

Poczułam, że mimo wszystko warto było tu przyjechać.

Po wyjeździe Fabiana ogarnęło mnie przerażające uczucie samotności. Wszystko jakby zastygło w napięciu, oczekując, że coś strasznego wyskoczy z cienia, by nas pożreć.

Był wczesny wieczór. Dzieci położyły się już do łóżek. Kuzynka ayah przyszła, by jej pomóc. Luiza i Alan zdążyli już polubić tę cichą, łagodną dziewczynę.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Stała za nimi ayah.

- Czy coś się stało? - wykrzyknęłam przerażona.

Przytknęła palec do ust i wśliznęła się do pokoju.

- Chcę, żeby panienka przyjść... zobaczyć mój brat. On musi panią widzieć.

- Dlaczego?

- Chce podziękować - zniżyła głos - za uratowanie Roszanary.

- Nie musi za to dziękować.

- Ale on koniecznie chce.

Wiedziała, jak łatwo zranić czyjeś uczucia.

- Jutro będę w domu - odrzekłam. - Może wtedy przyjść.

- On nie przyjdzie. Mówi, panienska iść do niego.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Ale dzieci...

- Mają dobrą opiekę.

Wiedziała, że ma na myśli kuzynkę.

- Bardzo ważne - dodała i podkreśliła tajemniczo: - Chodzi o plan. - Na widok mojej zdumionej miny wyjaśniła: - Iść. Iść do altany. Czekać tam.

Mimo zaciekawienia wyczułam w jej zachowaniu nagłą nutę i usłuchałam natychmiast, wiedząc, że muszę być przygotowana na wszelkie nagłe wypadki. Zajrzałam do dzieci. Spały spokojnie, a kuzynka ayah siedziała przy łóżeczku Alana.

- Ja pilnuję - powiedziała.

Czym prędzej udałam się do altany. Ayah już tam była. Wyjęła z tobołka niebieskie sari i poprosiła, żebym je włożyła. Sytuacja wyglądała coraz bardziej tajemniczo, lecz ustąpiłam, przypomniawszy sobie ostrzeżenia Fabiana o grożącym nam niebezpieczeństwie.

Ayah dała mi również coś w rodzaju szala do owinięcia głowy.

- My iść - powiedziała.

Opuściliśmy ogród, omijając z daleka dom, i po chwili znalazłyśmy się na ulicy.

Znałam tę drogę. Przebiegała w pobliżu bazaru.

Zatrzymałyśmy się przed jednym z domów. Zwróciłam na niego uwagę już wcześniej, ponieważ rosło tam przepiękne drzewo mangowe, które teraz właśnie obficie kwitło.

- To dom mego brata - wyjaśniła ayah.

Brat wyszedł nam na powitanie. Skłonił się dwukrotnie i zaprosił nas do środka.

Odsunął zasłonę z koralików i wprowadził nas do pokoju pełnego rzeźbionych drewnianych mebli.

- Salar bardzo szczęśliwy - odezwał się. - Chcieć podziękować za Roszanarę. - Ze łzami w oczach pokręcił głową. - Ona teraz bezpieczna... zdrowa. Ona szczęśliwa. Mówi, missie Druzylla bardzo wielka dama.

- Och, nic takiego nie zrobiłam - zaoponowałam. - Oczywiście, że nie mogliśmy do tego dopuścić. To wbrew prawu.

- Salar... chcieć się odwdziżyć. W dużym domu niedobrze.

Niedobrze tam zostać.

- Tak - przyznałam. - Nadciągają kłopoty.

- Niedobrze - powtórzył, kiwając głową. - Salar chcieć bardzo podziękować.

- Już o tym nie myśl. Lubiliśmy Roszanarę. Nie mogliśmy pozwolić, żeby uczyniła to, co jej nakazywano. To naturalne, że pośpieszyliśmy jej z pomocą.

- Mój brat nie rozumie - wtrąciła ayah. - On mówi, wy opuścić wielki dom. Tam niedobrze.

- Wiem - odrzekłam. - Odejdziemy, gdy tylko będziemy mogli.

- Mój brat mówi, najlepiej wrócić za morze.

- Powiedz mu, że uczynimy to przy pierwszej sposobności.

Rozmawiali przez chwilę, kręcąc przy tym głowami.

- On mówi, że pomoże - powiedziała wreszcie ayah.

- Podziękuj mu bardzo i przekaż, że nigdy nie zapomnę jego życzliwości.

- On ma dług. Nie lubi długu. Chce spłacić.

- Nie wątpię i doceniam to. Powiedz mu, że poproszę go o pomoc, jeśli będę jej potrzebowała.

Po pewnym czasie wyszliśmy z domu. Salar odczuł znaczną ulgę, okazawszy mi swoją wdzięczność.

Kilka dni później dowiedziałam się, że w całym Merath wybuchają pożary i szerzy się tam bunt.

Wśród służby narastało napięcie. Wielki Khansama coraz bardziej zyskiwał na znaczeniu. Paradował po domu, jak gdyby był jego panem. Budziło to we mnie poważne obawy. Postanowiłam pomówić z

Lawinią.

- Lawinio - zapytałam - nie boisz się?

- Czego?

- Czy jesteś zupełnie nieświadoma tego, co się wokół nas dzieje?

- Ach, masz na myśli te wszystkie pogłoski? Ludzie zawsze gadają.

- Wiesz, że Fabian i Dougal martwią się o nas?

- Nie ma potrzeby. Major Cummings nas obroni. Zapewnił, że nie pozwoli, by cokolwiek mi się stało.

- A dzieci?

- Nic im nie będzie. W końcu są tylko dziećmi, te plotki do nich nie docierają. Ponadto ty się nimi opiekujesz... no i ayah, oczywiście.

- Lawinio, ty chyba nie masz najmniejszego pojęcia, co się tu tutaj dzieje. Lada chwila może nastąpić wybuch.

- Mówię ci, że nic się nam nie stanie. Khansama już o to zadba.

- On jest przeciw nam.

- Nie przeciw mnie. Rozumiemy się nawzajem. A przy tym należy do moich gorących wielbicieli.

- Naprawdę dziwię ci się, Lawinio.

- Dobrze, dziw się, ile dusza zapagnie. Niczego innego od ciebie nie oczekuję.

Wiedziałałam, że nie ma sensu próbować uświadamiać jej powagi sytuacji.

Wieczorem, dzień czy dwa później, ayah przyszła do mojego pokoju.

- Musimy iść - powiedziała. - Zaraz. Zabiorę dzieci do altany. Proszę przyjść najprędzej jak się da. Zabiorę dzieci.

Widziałam, że dostrzega jakieś niebezpieczeństwo, zbliżające się wielkimi krokami.

Jej pełen niepokoju ton przekonał mnie, że muszę natychmiast usłuchać wezwania.

- Pójdę po hrabinę.

- Szybko. Nie ma czasu do stracenia.

- Dzieci leżą w łóżkach.

- Nieważne. Ja im powiem, że nowa zabawa. Będą cicho. My je zanieść. Musi być szybko. Nie ma czasu.

- Dlaczego...?

- Nie teraz. Proszę przyjść. Ja mówić...

Pobiegłam do pokoju Lawinii. Na szczęście była sama. Siedziała przed lustrem, rozczesując włosy.

- Lawinio, musimy uciekać.

- Dokąd?

- Do altany.

- Po co?

- Słuchaj, nie ma czasu na wyjaśnienia. Sama jeszcze nie wiem, co się stało. Po prostu chodź. To ważne. Dzieci też tam zabierzemy.

- Ale po co?

- Nie spieraj się ze mną. Chodź.

- Nie jestem ubrana.

- To nieważne.

- Nikt nie będzie mną komenderował.

- Lawinio, ayah odchodzi od zmysłów z niepokoju. Obiecuj mi, że przyjdiesz. I to jak najszybciej. Nie mów nikomu, dokąd idziesz.

- Doprawdy, Druzylo...

- Przecież musisz choć trochę zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Istotnie miała nieco przestraszoną minę. Nawet ona wyczuwała zmianę w otaczającej nas atmosferze.

- Dobrze - zgodziła się. - Przyjdę.

- Idę pierwsza. Muszę uspokoić ayah. Będzie się martwiła, czemu mnie tak długo nie ma. Pamiętaj, nie mów nikomu, ale to absolutnie nikomu, dokąd idziesz, i postaraj się, żeby nikt cię nie zobaczył. To bardzo ważne.

Zeszłam na dół tylnymi schodami. Niepostrzeżenie wyostałam się do ogrodu i pośpieszyłam przez

trawnik w stronę altany. Czekala tam ayah z dziećmi. Widziałam popłoch w jej oczach.

- Trzeba iść... szybko - szepnęła. - Niebezpiecznie czekać.

- To nowa zabawa, Druzyłło - oznajmiła Luiza. - Bawimy się w chowanego, prawda, ayah?

- Tak, tak... w chowanego. Iść już.

- Muszę zaczekać na hrabinę - powiedziałam.

- Nie czekać.

- Ona tu zejdzie i nie będzie wiedziała, co robić.

- Trzeba zabrać dzieci teraz. Pani też iść.

- Muszę zaczekać - powtórzyłam.

- Nie można. Nie czekać.

- Dokąd chcesz iść?

- Do domu mojego brata.

- Do Salara!

Przytaknęła.

- On mówi: kiedy czas przyjść, musisz tu być. Z missie, z dziećmi... Czas przyjść.

Musimy uciekać.

- Zabierz dzieci. Ja przyprowadzę hrabinę. Obiecałam jej, że tu na nią zaczekam.

Muszę zostać.

Ayah pokręciła głową.

- Nie. To źle. Źle... niedobrze.

Owinęła dzieci pelerynami, tak że ledwie było widać oczy. Wsunęła mi w dłonie zawiniątko, które przyniosła do altany.

- Proszę to włożyć - powiedziała. - Nakryć głowę. Wtedy wyglądać jak Hinduska...

trochę. Iść. Nie czekać.

Owinęłam się sari i przykryłam głowę szalem.

- Śmiesznie wyglądasz, Druzyлло - zauważyła Luiza.

- My teraz iść. Ja zabrać dzieci. Do mojego brata. Chcemy to dla was zrobić.

- Gdy tylko hrabina zejdzie, przyprowadzę ją. Powinna zaraz się zjawić. Chyba wreszcie zrozumiała, że grozi nam niebezpieczeństwo.

- Trzeba jej okryć głowę. Wziąć szal...

Byłam przerażona, wiedziałam jednak, że muszę dać sobie radę. Ayah pośpiesznie opuściła altanę, trzymając Alana za rękę i nakazując Luizie iść tuż obok.

Ciszę mąciło jedynie brzęczenie owadów, które zdążyłam już dobrze poznać.

Słyszałam bicie własnego serca. Ayah bez wątpienia rozpoznawała niebezpieczeństwo lepiej niż ja, a ja również widziałam, że sytuacja staje się coraz poważniejsza.

Poczułam się osamotniona i bezradna. Pomyślałam, że powinnam była towarzyszyć dzieciom, znajdującym się przecież pod moją opieką. Ale jak mogłam zostawić Lawinię? Jej nierozwaga już raz wywarła wielki wpływ na moje życie. Teraz znowu na to się zanosilo.

Gdyby tylko od razu poszła ze mną. Mogło się wprawdzie okazać, że ucieczka nie jest konieczna - lecz ayah wyraźnie tak uważała. Stałam w drzwiach altany i spojrzałam w stronę domu. Wtem usłyszałam krzyki. Dostrzegłam w oknie ciemne sylwetki. Wydawało się, że cała służba kłębi się w pokojach na górze.

Serce waliło mi jak młotem, w gardle zaschło. Powtarzałam szeptem:

- Lawinio... Lawinio, gdzie jesteś? Dlaczego nie przychodzisz?

Niczego nie pragnęłam równie mocno, jak ujrzeć ją skradającą się przez trawnik w stronę altany.

Ale nie nadchodziła.

Instynktownie zdawałam sobie sprawę, że powinnam stąd iść, uciec do domu w cieniu mangowca. Znałam tę drogę. Przemierzyłam ją niejednemu raz.

„Idź! Idź!” - nakazywał zdrowy rozsądek. Nie mogłam jednak zostawić Lawinii.

A jeśli przyjdzie do altany i mnie nie zastanie? Dokąd się uda? Co zrobi? Nie wiedziała, gdzie znajdziemy schronienie.

Musiałam na nią zaczekać.

Nie wiedziałam, ile czasu minęło. Widziałam okno Lawinii. Część lamp była zapalona. W pewnej chwili dostrzegłam w oknie Wielkiego Khansamę. A zatem był w jej pokoju! Zniknął natychmiast i zaczęłam się zastanawiać, czy mnie wzrok nie mylił.

Stałam rozdygotana, nie mając pojęcia, co robić. Modliłam się o jakąś wskazówkę.

„Idź... idź natychmiast” - naglił wewnętrzny głos. Ale nie mogłam odejść, dopóki Lawinia była w domu.

W ten sposób upłynęła godzina. Drżałam na całym ciele, choć noc była upalna.

Usłyszałam stłumione krzyki... pijackie śpiewy. Dobiegały z niższych części domu.

Zawahałam się, a potem ruszyłam przez trawnik. Wiedziałam, że to szaleństwo. Tam wydarzyło się coś strasznego i powinnam była uciekać czym prędzej do domu Salara, gdzie czekała na mnie ayah z dziećmi.

Ale nie mogłam.

- Lawinio - usłyszałam własny szept. - Gdzie jesteś? Czemu nie przychodzisz?

Oczekiwanie stało się nie do zniesienia. Nie potrafiłam już dłużej wytrzymać.

Musiałam wejść do domu i odszukać moją przyjaciółkę.

Oczywiście, że to szaleństwo. Ayah powiedziała, że musimy uciekać. Uprzedziła nas w samą porę. Jak jednak miałam zostawić Lawinię?

Tłumaczyłam sobie, że obowiązek nakazuje mi zająć się dziećmi. Potrzebowały mnie.

Ale z ayah były bezpieczne. Jeśli dotarły do domu jej brata, czekały tam teraz na mnie.

Wiedziałam, co muszę zrobić. Znaleźć Lawinię. Nie mogłam uciekać bez niej.

Powinna była od razu pójść ze mną; postąpiła nieuważnie. Zawsze postępowała niemądrze.

Mimo to lubiłam ją. Wydawało mi się, że moje życie jest w jakiś sposób związane z jej życiem i nie mogę jej opuścić w takiej chwili.

Zbliżyłam się do domu i nasłuchiwałam, oparta o ścianę. Odgłosy zabawy dochodziły z pomieszczeń dla służby. Domyśliłam się, że jest tam również Wielki Khansama. Ale gdzie podziała się Lawinia?

Powiedziała, że przyjdzie. Na co czekała?

Przez otwarte drzwi weszłam do holu. Teraz wyraźniej słyszałam śmiechy i krzyki.

Byli bardzo hałaśliwi... a ich wesołość wynikała niewątpliwie z odurzenia. Po cichu zakradłam się na schody, pełna lęku, że lada chwila znajdzie mnie khansama. Na szczęście ta część domu wydawała się opustoszała.

Drzwi pokoju Lawinii były otwarte na oścież. Przekradłam się korytarzem i stanęłam w progu.

Widok, który ujrzałam, odcisnął się na zawsze w mej pamięci. Nieład... i groza.

Ściany pokoju zbryzgane krwią. A na łóżku leżało rozciągnięte nagie ciało Lawinii. W jej pozie było coś nieprzyzwoitego i wiedziałam, że ułożono ją tak z rozmysłem. W szeroko otwartych oczach zastygło przerażenie. Jej wspaniałe włosy były zlepione krwią, a u stóp leżał rozłożony, zakrwawiony wachlarz z pawich piór. Zrozumiałam, że zrobił to Wielki Khansama.

Poczułam mdłości i zawrót głowy, dostrzegłam bowiem, że poderznął jej gardło.

Lawinia nie żyła. Uroda, którą tak się szczyciła, która ją opętała i sprawiła, że była taka, jaka była, w końcu przyniosła jej zgubę.

W głębi serca wiedziałam, że zarządca dokonał swej prywatnej zemsty - ponieważ Lawinia go zachęcała, a później odtrąciła. Uraziła jego dumę, co uznał za poważny występpek.

Czekał na sposobność odzyskania utraconego poczucia godności; dar w postaci wachlarza z pawich piór stanowił ostrzeżenie.

Przez chwilę groza tej sytuacji zaćmiła mi oczy. Lawinio, och, Lawinio, dlaczego ze mną nie poszłaś? Dlaczego zwlekałaś? W ten sposób skazałaś się na śmierć.

Jak mam to powiedzieć dzieciom? - zadałam sobie pytanie, jak gdyby ta właśnie kwestia była najważniejsza na świecie.

Dzieci! Muszę się do nich przedostać. Powinnam otoczyć je opieką i zadbać o nie, tak jak kiedyś zadbałam o Fleur.

Musiałam natychmiast uciec z tego domu śmierci. Gdyby wykryto moją obecność, podzieliłabym los Lawinii. A przecież byłam potrzebna dzieciom.

Zawróciłam i na palcach zesłam po schodach. Dopisało mi szczęście, ponieważ nikt się nie pojawił. Przez otwarte drzwi wybiegłam na trawę.

Nocne powietrze nieco mnie orzeźwiło. Weszłam do altany i pozwoliłam sobie na chwilę odpoczynku. Musiałam dotrzeć do dzieci. Należało przemknąć się ostrożnie przez ciemne ulice miasta. Łatwo było odgadnąć, co się dzieje w domach Europejczyków. Bunt przybierał na sile. To, czego obawialiśmy się od tygodni, w końcu wybuchło i przekroczyło najśmielsze oczekiwania.

Ulice były niemal puste. Cieszyłam się, że mam na sobie sari i szal. Zaopatrując mnie w ten strój, ayah postąpiła bardzo mądrze. Przygarbiłam się nieco, w obawie, że zdradzi mnie zbyt wysoki wzrost.

Moja wędrówka trwała bardzo długo. Widziałam zakrwawione zwłoki leżące na ulicach. Sami Europejczycy. Odgadłam, co się dzieje, i na każdym rogu spodziewałam się napotkać kogoś, kto rozpozna we mnie przedstawicielkę znenawidzonej rasy.

Owego straszego wieczoru sprzyjało mi szczęście. Dopiero później uświadomiłam sobie, jak

wielkie.

Dotarłam do domu Salara. Ayah porwała mnie w objęcia.

- Martwiłam się.

- Ayah... - wykrztusiłam. - Ona nie żyje. Zabili ją.

Kiwnęła głową.

- Powinna była pójść z nami.

- O, tak, tak... Ale nie chciała uwierzyć. To było okropne. Krew... wszędzie krew.

- Pamiętać o dzieciach! - powiedziała z naciskiem.

- Gdzie one są?

- Śpią teraz. Panienska zwlekać długo.

- Ayah... co my teraz zrobimy?

- Czekać - odparła z rezygnacją. - Zobaczymy, co dalej. Panienska teraz odpocząć. Tu bezpiecznie. Mój brat szczęśliwy. Spłacić dług.

Zaprowadziła mnie do warsztatu. Wszędzie wokół stały drewniane rzeźby, w powietrzu unosił się zapach drewna. Jedno okno wychodziło na dziedziniec.

- W porządku - powiedziała ayah. - Tam podwórze. Podwórze Salara. Nikt nie widzieć.

Poprowadziła mnie do niewielkiego pomieszczenia obok pracowni. Nie było tam okien. Uśpione dzieci leżały na pościeli. Tuż obok czekał drugi siennik.

- Panienska tu - ayah wskazała siennik. - Odpocząć teraz. Wyglądać bardzo źle.

Złe? Istotnie. Rozpaczliwie usiłowałam wyrzucić z pamięci obraz, którego nie mogłam zapomnieć.

Położyłam się na pościeli. Wszystko ponownie pojawiło mi się przed oczyma. Pokój, niegdyś tak przyjemny, przypominał teraz scenę z piekielnych otchłani... coś, co trudno było sobie wyobrazić. Wszędzie krew... i ciało Lawinii, rozłożone na łóżku, pozbawione dawnego piękna, którym tak się szczyciła.

Leżąc, rozmyślałam o naszym pierwszym spotkaniu, o pobycie w szkole... o Lawinii, która od tak dawna stanowiła część mego życia.

A teraz... nie żyła.

Jak mogłam ją ocalić? Powinnam była zmusić ją do ucieczki, ukazać niebezpieczeństwo. Kto jednak

potrafiłby skłonić Lawinię, by postąpiła wbrew własnym zachciankom?

Miałam mokre policzki. Płakałam. To mi pomogło ukoić ból.

Och, Lawinia... Lawinia nie żyje.

Któreś z dzieci poruszyło się we śnie, jak gdyby przypominając mi, że powinnam się opanować, powściągnąć smutek, chronić je i traktować jak własne.

Zastanawiałam się często, jakim sposobem rzeźbiarz Salar zdołał ukrywać nas u siebie przez tak długi czas. Dokonał niezwykłego wyczynu.

Dom był nieduży. Salar żył samotnie, ponieważ nie miał żony. Rzeźbił w drewnie i zanosił swe wyroby do sklepów, które je kupowały. Od dawna mieszkał sam, więc miał w nas towarzystwo.

Dowiedziałam się o nim nieco więcej od ayah. Roszanara wiele dla niego znaczyła, kochał ją bardziej niż kogokolwiek na świecie i nie zapomniał, że uratowaliśmy jej życie.

Zamierzał kiedyś odwiedzić córkę, może nawet zamieszkać blisko niej, a zawdzięczał to nam.

Teraz czuł się szczęśliwy, ponieważ spłacił dług - i to z nawiązką. Trzy życia za jedno. To go radowało. Ale jeszcze nas nie ocalił; wykonał zaledwie pierwszą część planu. Dług miał

zostać spłacony dopiero wówczas, gdy będziemy znowu poruszać się swobodnie po ulicach.

W noc naszej ucieczki ayah wróciła do domu. Nie chciała ściągnąć na siebie podejrzania, ponieważ to by naprowadziło khansamę na trop jej brata i unicestwiło nas wszystkich. Salar nie potrafiłby nas ochronić, a cokolwiek miało nastąpić, musiał spłacić swój dług.

Powrót ayah był dla mnie błogosławieństwem, ponieważ mogłam się dowiedzieć, co się tam dzieje. Ponadto, wędrując ulicami, w pewnym stopniu poznawała również ogólną sytuację.

Wielką trudność sprawiało nam zabawianie dzieci i odpowiadanie na ich pytania.

Niewielkie podwórze, które dostrzegłam przez okno, otaczał wysoki mur, lecz przynajmniej widać było niebo, a dzieci mogły zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Nie odważyliśmy się ryzykować, że ktoś nas zobaczy. Ayah przyniosła dziecięce spodenki i bluzy, by upodobnić Alana i Luizę do małych Hindusów; zdradzały ich jednak jasne czupryny.

Rozważaliśmy pomysł ufarbowania obojgu włosów na czarno, lecz wątpiliśmy, czy zdołamy to zrobić jak należy. Tak czy inaczej, bałyśmy się wypuszczać dzieci z domu. Ponadto nie dało się długo udawać, że to tylko zabawa w chowanego. Luiza była na to zbyt mądra.

- Musimy się tutaj ukryć na pewien czas - powiedziałam jej.

- Szukają nas źli ludzie.

- Jacy źli ludzie? - spytała, szeroko otwierając oczy.

- Poprostu... źli.

- Wielki Khansama?

Jak dużo to dziecko wie? - zastanawiałam się. Połączenie dziecięcej naiwności z inteligencją często mnie zaskakiwało. Postanowiłam powiedzieć jej prawdę.

Popatrzyła na mnie z powagą.

- On nas nie lubi - oznajmiła. - Wiem o tym.

- Skąd wiesz?

- Wiem. - Kiwnęła głową.

- No więc musimy tu zostać, dopóki...

- Dopóki on sobie nie pójdzie?

- Tak.

- Gdzie jest mama? - zapytał Alan.

Luiza wpatrywała się we mnie uważnie i zrozumiałam, że muszę im powiedzieć.

Szybko podjęłam decyzję.

- Wasza mama odeszła.

- Kiedy wróci? - chciała wiedzieć dziewczynka.

- No cóż... odeszła daleko.

- Do Anglii? - drążyła Luiza.

- Niezupełnie... Trochę dalej.

- Nie może być dalej - odrzekła mała z powagą.

- Może. Niebo leży dalej.

- Czy to tam odeszła?

- Tak.

- A ile tam zostanie? - spytał Alan.

- Gdy ludzie idą do nieba, to zwykle na długi czas.

- Czy znajdzie się w gronie aniołków? - zapytała Luiza.

- Ja jestem aniołkiem - oznajmił Alan.

- Nie jesteś - zaprotestowała Luiza. - Nie masz skrzydeł. Jesteś tylko małym chłopcem.

- Ja jestem aniołkiem Druzylli - odparł. - Prawda, Druzyllu?

Przytuliłam go i zapewniłam, że tak. Byłam bliska łez, a Luiza obserwowała mnie bacznie. Traktowała wszystko bardzo poważnie i chyba nie do końca wierzyła w nasze opowieści.

- Ale ty nie odejdziesz, prawda? - spytała.

Pokręciłam głową i odrzekłam, że gdyby to ode mnie zależało, nie odeszłabym od nich nigdy.

Mijały dni. Każdego ranka po przebudzeniu zastanawiałam się, czy będzie to mój ostatni dzień na ziemi; a każdego wieczoru, kładąc się spać, zadawałam sobie pytanie, czy dożyję następnego ranka.

Próbowałam prowadzić lekcje, przypominałam sobie rozmaite gry. Bawiliśmy się w zgadywanki i starałam się wymyślać nowe rozrywki. Alan często marudził, chciał wyjść do ogrodu i trudno było mu wytłumaczyć, dlaczego nie może. Luiza lepiej rozumiała, że grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo; była rozsądną i bystrą dziewczynką.

Ayah często nas odwiedzała. Wizyty siostry u brata były przecież czymś zupełnie naturalnym. Przynosiła najnowsze wieści.

Sipaje, którzy zamordowali oficerów, przebywali teraz w Delhi i dowodzili wojskiem.

Bahadur Szah wrócił na tron i wszyscy musieli złożyć hołd królowi. Oddziały Brytyjczyków wyparto z miasta. Każdy Europejczyk, który pojawiłby się na ulicy, miał zostać natychmiast uwięziony, gdyż Indie powinny być wyłącznie dla Hindusów. Wielki Nana Sahib, noszący to samo imię co nasz khansama, maszerował przez Oude w kierunku północno-zachodnich prowincji, głosząc bunt i konieczność zrzucenia zamorskiego jarzma. Wybuchły powstania w Lahore i Peszawarze. Salar powiedział, że wkrótce Brytyjczycy zostaną wypędzeni z Indii.

Nie wierzyłam, by moi rodacy dali się tak łatwo przepędzić, i chyba miałam słuszną rację, gdyż niebawem sir John Lawrence uzbroił Sikhów i z ich pomocą opanował

sipajów. Pendżab pozostał wierny Brytyjczykom i krążyły pogłoski, że sir John Lawrence wysłał oddziały wojska do Delhi. Obawiałam się, iż każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko europejskiego pochodzenia, napotkani na ulicy, zostaną uśmierceni na miejscu.

Oddałam się całkowicie opiece nad Alanem i Luizą. Musiałam czymś zająć i ich, i siebie. Poświęcałam im całą uwagę; w ten sposób broniłam dostępu tamtemu straszliwemu wspomnieniu.

Żałowałam, że było mi dane ujrzyć ów potworny widok. Gdybym tylko usłyszała, że Lawinia zginęła jak tysiące innych, byłabym wstrząśnięta; lecz ja widziałam, w jaki sposób ją zabito, i wzdragałam się na myśl o tym.

Dzieci okazały się prawdziwym błogosławieństwem. Zachowywały się, zważywszy na okoliczności, bardzo grzecznie. Nie tkwiły w całkowitej nieświadomości, Luiza wyraźnie wyczuwała niebezpieczeństwo. Czasami bez powodu podchodziła i stawała tuż obok mnie.

Rozumiałam ją. Była dostatecznie duża, by zdawać sobie sprawę, że żyjemy w niebezpiecznych czasach. Lgnęła do mnie i do ayah i bardzo się niepokoiła, gdy Hinduski nie było w pobliżu.

Ayah i jej brat zachowywali się wspaniale. Ufałam im bez zastrzeżeń; lojalność tej kobiety i uczciwość Salara stanowiły przykład dla wszystkich.

Przez cały czas rozmyślałam o Fabianie i Dougalu. Gdzie byli? Jak przetrwali tę hekatombę? Przypuszczałam, że przynajmniej Fabian jest gdzieś w pobliżu, i wyczekiwałam wieści od niego. Nocami, leżąc na posłaniu, myślałam o nim - a ponieważ żyliśmy w ciągłej niepewności i za każdymi drzwiami mogła czaić się śmierć, nie wypierałam się prawdziwych uczuć.

Pragnęłam z nim być. Chwile spędzone w jego towarzystwie rozświetlały moje życie.

Lubiłam rozpamiętywać ów. epizod z dzieciństwa, kiedy to uznał mnie za własne dziecko.

Mógł zatrzymać mnie u siebie na zawsze. Jakże inaczej wyglądałoby wówczas moje życie!

Przypomniał mi się Fabian leżący na sofie, gdy Lawinia klęczała obok z kielichem wina... a ja wachlowałam go wachlarzem panny Lucylli.

I natychmiast ujrzałam ową potworną scenę: splamione krwią pawie pióra wachlarza podarowanego Lawinii przez khansamę. Jakże dziwne, że prześladował mnie już drugi taki przedmiot. Wierzyła, że ten dar to oznaka skruchy z jego strony. Jakże niewiele rozumiała.

Wachlarz zwiastował nadchodzącą katastrofę, zemstę za doznaną zniewagę.

Pragnęłam jakoś zatrzeć to wspomnienie. Fabian nas ocali, powtarzałam sobie.

Modliłam się, by przeżył i byśmy się wkrótce spotkali.

Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy. Zaczył dla mnie więcej, niż ośmieliłam się przyznać sama przed sobą - i po co miałam się teraz oszukiwać? Od dzieciństwa nieustannie o nim myślałam. Zapewne byłam w nim zakochana. Zawsze uważano mnie za rozsądną dziewczynę; nawet lady Harriet przychyliła się do tej opinii. Czy nie wysłała mnie do ekskluzywnej szkoły we Francji, na którą mojego ojca nigdy nie byłoby stać, abym opiekowała się Lawinią?

I zaopiekowałam się nią. Pomogłam jej wybrnąć z trudnej sytuacji, która - gdyby nam się nie powiodło - zniweczyłaby perspektywy korzystnego zamążpójścia. O tym lady Harriet nic nie wiedziała, choć z całą pewnością pochwaliłaby moje działania.

Byłam rozsądną dziewczyną i postanowiłam nią pozostać. Nie mogłam pozwolić, by poniosły mnie nerwy... by dręczyło mnie wspomnienie widoku straszniejszego niż cokolwiek, co potrafiłam sobie wyobrazić.

Przyszła ayah z najnowszymi doniesieniami. Coś się działo. Brytyjczycy zbliżali się do Delhi i w całym mieście panował zamęt.

- Trzeba bardzo uważać - ostrzegł mnie Salar. - Nie mogą was znaleźć.

Czekaliśmy. Czy nasze życie miało ulec zmianie? Mijały tygodnie. Coś w końcu musiało się wydarzyć.

Pewnego upalnego czerwcowego dnia podjęto próbę wysadzenia bram miasta. Może armia zajmie Delhi i zobaczą Fabiana?

To jednak nie nastąpiło. Ludzie bronili miasta z rosnącą determinacją. Sipaje -

wyszkoleni i odważni żołnierze - tym śmielej i umiejętniej walczyli za sprawę Indii. Nieudana próba zdobycia Delhi napełniła nas gorzkim rozczarowaniem. Lecz na tym się, oczywiście, nie skończyło. Nadeszły kolejne długie tygodnie wyczekiwania i napięcia, gdy każdy dzień mógł okazać się dla nas ostatnim.

Przybyliśmy do domu Salara w maju, a dopiero we wrześniu Delhi zostało zajęte przez Sikhów i Brytyjczyków.

Wychodzenie z domu nadal groziło śmiercią. Na ulicach trwały walki i każdy, kto nie był Hindusem, mógł zginąć na miejscu. Powróciła jednak nadzieja. Coś musiało wkrótce się zmienić. Luiza to czuła.

- Czy mama teraz wróci? - zapytała.

- Nie, Luizo. Ona już nie wróci.

- A tata?

- Być może.

- A wujek?

- Nie wiem. Wrócą, jeśli tylko będą mogli. Żeby się upewnić, że jesteśmy bezpieczni.

- Czy wtedy stąd wyjedziemy?

- Tak, wyjedziemy.

- Do domu? Wielkim statkiem?

Z przyjemnością słuchałam, jak nazywa w ten sposób Anglię, której nigdy nie widziała. A mimo to

uważała ją za swój „dom”.

- Tak - odrzekłam. - Pewnego dnia...

- Niedługo?

- Możliwe, że już niedługo.

Z uśmiechem kiwnęła głową. Wiedziała, że jeśli zada więcej pytań, usłyszy wymijające odpowiedzi, a instynkt podpowiadał jej, że mogą być niezgodne z prawdą.

Czekaliśmy zatem.

Pewnego popołudnia przyszła do mnie ayah. Myślałam, że to jedna z jej zwykłych wizyt, lecz okazało się, że jest inaczej.

- My wszyscy iść z domu - powiedziała. - Khansama mówi, tam niebezpiecznie.

Wszędzie teraz żołnierze, brytyjscy żołnierze. On mówi, że oni nas obwinie... wszystkich zabić.

- Nie zabiliby cię.

- Khansama mówi...

- Gdzie jest khansama?

- Nie wiem. Mówi, żeby wszyscy iść. Oni pójść w różne miejsca.

Została w domu brata przez cały dzień i noc. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy nowin.

Następnego dnia ayah wyszła. W dalszym ciągu uważała, że nie powinnam pokazywać się z dziećmi na ulicy. Ludzie wciąż ginęli i choć armia brytyjska zajęła miasto, ogniska buntu nadal się tliły.

Po powrocie oznajmiła:

- Ja widzieć sir Fabiana. Jest w domu.

Zaniemówiłam, lecz musiała zauważyć wzbierającą we mnie falę radości.

- Widziałaś go? Rozmawiałaś z nim?

Przytaknęła.

- Ja iść do niego. On pyta: „Gdzie missie Druzylla i dzieci? Gdzie memsahib hrabina?”.

- Powiedziałaś mu?

Pokręciła głową.

- Ja bać się khansamy. On obserwować. Ja myślę, on wiedzieć. - Zadrżała. - Patrzeć za mną.

- Ale gdzie on jest?

Zawahała się nieco.

- Nie widzieć go... ale ja myślę, on patrzeć. Śledzić mnie. Ja wiem.

- Teraz już nikogo nie skrzywdzi - zapewniłam ją. - Nie ma go w domu. Co powiedziałaś sir Fabianowi?

- Że hrabina nieżywa, dzieci bezpieczne z panienką.

- Więc o tym wie?

Kiwnęła głową.

- On pyta: „Gdzie? Gdzie?”. Ale ja nie powiedzieć. Bać się, że khansama tu przyjść.

Że on patrzeć. Ja powiedzieć: „Przyprowadzę missie Druzyllę do pana”. On mówi: „Tak, tak”. A potem ja uciec.

- Muszę do niego pójść! - zawołałam.

- Nie w dzień. Czekać nocy.

Jak przetrwałam ów dzień? Kręciło mi się w głowie. Ogarnęło mnie uniesienie, a później poczucie winy. Znajdowałam się w oceanie śmierci i zniszczenia. Jak mogłam odczuwać radość, skoro wciąż oplakiwałam Lawinię i innych, którzy zginęli?

Wreszcie nadszedł wieczór.

- Panienska włożyć sari - poleciała ayah. - Nakryć głowę. Potem iść.

W towarzystwie Hinduski pośpieszyłam ulicami, myśląc jedynie o spotkaniu z Fabianem i lękając się, że go nie zobaczę. Na każdym rogu spodziewałam się przyczajonego mordercy. Odnosiłam niepokojące wrażenie, że ktoś nas śledzi. Lekkie kroki... Pośpieszne zerknięcie przez ramię. Nic. Był to tylko wytwór wyobraźni, napiętej do granic możliwości z powodu okropnych przeżyć ostatnich miesięcy.

Musiałam jakoś przetrwać nadchodzące chwile. Musiałam znowu zobaczyć Fabiana.

Wreszcie zamajaczył przed nami dom.

- Ja czekać w altanie - powiedziała ayah.

Przebiegłam przez murawę. W kilku oknach paliło się światło. Pragnęłam zawołać: Fabianie! Jestem

tutaj, Fabianie!

Obok domu rosła kępa kwitnących krzewów. Mijając ją, usłyszałam za sobą jakiś szelest. Odwróciłam się raptownie - i ogarnęło mnie przerażenie. Spoglądałam w bezlitosne oczy Wielkiego Khansamy.

- Missie Druzylla - przemówił cicho.

- Co... co tutaj robisz?

- To mój dom - oświadczył.

- Już nie. Zdradziłeś tych, którzy ci zaufali.

- Missie Druzylla bardzo śmiała - odparł. - Odchodzi... zabiera dzieci... chowa się.

Teraz wiem, gdzie. Zabiję ayah, ale ciebie pierwszą.

Doskoczył do mnie, a ja krzyknęłam, wzywając pomocy. W jego uniesionej ręce błysnął nóż. Krzyknęłam ponownie, odpychając mordercę z całej siły.

Byłam znacznie słabsza niż on, lecz mimo to zatoczył się lekko w tył. Natychmiast jednak odzyskał równowagę i ruszył ku mnie. Wydawało się, że trwa to bardzo długo.

Zdumiewające, o jak wielu rzeczach można myśleć w takiej chwili. Zadałam sobie pytanie: Czy ayah mnie zdradziła? Czy po to sprowadziła mnie tutaj? Nie. Tego by nie zrobiła.

Kochała dzieci i doceniała to, co uczyniłam dla Roszanary. Moje podejrzenie było niesprawiedliwe. W owej strasznej chwili uwierzyłam, że nadchodzi koniec. Że już nigdy nie zobaczę Fabiana. Kto zaopiekuje się dziećmi?

Wtem rozległ się ogłuszający wystrzał. Khansama wyrzucił ramiona w górę, upuszczając nóż. Zatoczył się niczym pijany i runął na ziemię u moich stóp.

Fabian zbliżył się z pistoletem w dłoni.

- Druzyлло! - zawołał.

Pod wpływem wstrząsu osłabłam. Miałam wrażenie, że to wszystko mi się śni.

Otoczył mnie ramionami i przytulił mocno. Drżałam na całym ciele.

- Nic ci się nie stało? - spytał cicho. - Dzięki Bogu, ocalałaś...

- Fabianie... - wyszeptałam. - Fabianie... - Powtarzanie jego imienia przynosiło mi ulgę.

- Chodźmy do domu. Nie patrz na to.

- On nie żyje - wyjąkałam słabym głosem.

- Owszem.

- Uratowałeś mnie.

- W samą porę. Stary łajdak. Dostał to, na co zasłużył. Myślałem o was... miałem potworne przeczucie. Ale ty cała dygoczesz. Wejźmy do środka. Nie bój się, oni wszyscy uciekli, kiedy wróciliśmy tutaj. Dom jest teraz bezpieczny. Mamy sobie tyle do opowiedzenia...

Objął mnie i przeprowadził przez próg. Wewnątrz panowała cisza.

- Poszukam brandy albo czegoś w tym rodzaju - powiedział.

Do holu wszedł żołnierz w mundurze.

- Mógłbyś przynieść trochę brandy, Jim? - zwrócił się do niego Fabian. - Zdarzył się paskudny wypadek. Przed domem leżą zwłoki. Pozbądź się ich, dobrze? To łotr, który kiedyś tu pracował. Usiłował zamordować pannę Delany.

- Tak jest - odparł żołnierz, który najwyraźniej w jednakowy sposób potraktował obydwie polecenia.

Weszliśmy do bawialni. Nie wyglądała już tak przytulnie. Po chwili żołnierz powrócił z butelką brandy i dwoma kieliszkami, a Fabian natychmiast je napełnił.

- Wypij to - poprosił. - Poczujesz się lepiej.

Drżącymi palcami ujęłam kieliszek.

- Ten człowiek... - zaczęłam.

- Nie myśl już o nim. Groził ci śmiercią, więc musiał zginąć. Ponadto sprawiał wiele kłopotów. Już dawno się o to prosił.

- Lawinia... - wyszeptałam. I opowiedziałam mu o wszystkim.

Fabian był głęboko wstrząśnięty.

- Moja biedna niemądra siostra... Niczego się nie nauczyła.

Wpatrzony w przestrzeń, pociągnął łyk brandy z kieliszka.

Wiedziałałam, że był przywiązany do Lawinii, choć potępiał jej zachowanie i zazwyczaj odnosił się do niej z nieco wzgardliwą serdecznością. Uczynił, co w jego mocy, by zabezpieczyć Fleur na przyszłość. Śmierć siostry była jednak dla niego strasznym ciosem.

- To ten człowiek... - zaczęłam i nagle wylało się ze mnie wszystko. - Wachlarz z pawich piór leżał u jej stóp. Był zbryzgany krwią. To on musiał go tam położyć.

Fabian przygarnął mnie do siebie. Miałam wrażenie, że pocieszamy się nawzajem.

- A zatem ją pomściłem - odezwał się po chwili. - Cieszę się, że to właśnie ja.

Szukaliśmy go już od pewnego czasu. Był jednym z przywódców, uważał się za Nane Sahiba.

Na szczęście udało się go dopaść. To wszystko wkrótce się zakończy, Druzyłlo. Ale mamy jeszcze wiele do zrobienia. Oderwiemy się od tego wszystkiego, pozostawimy to za sobą...

gdy tylko uporządkujemy ten bałagan.

Opowiedziałam mu o dzieciach, o Salarze i jego warsztacie, i o tym, jak brat ayah nas ukrywał przez cały ten czas.

- Poczciwy z niego człowiek. Otrzyma nagrodę.

- On nie chce żadnej nagrody - odrzekłam. - Pragnął spłacić dług za uratowanie Roszanary.

- Rozumiem go. - Fabian skinął głową.

- Co tu robił khansama! - zapytałam.

- Zapewne czyhał na mnie, niewątpliwie chciał się zemścić. Przypuszczam, że kręcił

się po okolicy. Stacjonują tu żołnierze i próbowano do nich strzelać z ukrycia. Musimy zachować największą ostrożność.

- A Dougal? - zapytałam. - Gdzie Dougal?

- Od pewnego czasu nie daje znać o sobie. Niewykluczone, że przebywa w Lakhnau.

Alicja z Tomem pewnie też tam są.

- Oby to się wreszcie skończyło. - Zadrżałam.

- Skończy się - zapewnił mnie Fabian. - Ale teraz jest jeszcze bardzo niebezpiecznie.

Musisz wrócić do Salara. U niego na razie nic wam nie grozi. Niech dzieci tam zostaną. Jak one się czują?

- Są nieco nerwowe, lecz poza tym dobrze. Nie da się wyrazić, ile zawdzięczamy ayah i jej bratu. A wszystko z powodu Roszanary.

- Tak, w tym wypadku pokrzyżowaliśmy plany starego łotra. To pocieszające, że już nie może się na nas mścić. Nieustannie myślałem o tobie, Druzyłlo... o was wszystkich.

- A ja o tobie... i o Dougalu, Alicji i Tomie.

- Wiem, że z tobą dzieci są na tyle bezpieczne, na ile to w ogóle jest możliwe. Pytanie brzmi: co dalej? Nie chciałbym, żebyście już teraz tu wrócili. To byłoby bardzo ryzykowne.

Zamierzam poruszyć niebo i ziemię, by jak najrychlej wyprawić was do Anglii.

- Mówiłeś, że zamieszki wygasają.

- Podejrzewam jednak, że będą się jeszcze długo tliły. Choć mamy tu przewagę liczebną, nie unikniemy kłopotów. Byłoby mi znacznie lżej, gdybyś wyjechała stąd razem z dziećmi. Szkoda, że nie jesteście w Bombaju, stamtąd łatwiej się wydostać. A tak musielibyście odbyć podróż przez pół kraju i Bóg jeden wie, na co byście natrafili. Musisz wrócić do Salara. Zostańcie tam jeszcze kilka dni, a potem zobaczymy. Będę wiedział, gdzie jesteście, i skupię się na tym, jak wyprawić was do domu.

Nie potrafiłam myśleć jasno. Najważniejsze było dla mnie to, że Fabian żyje, że spotkaliśmy się ponownie, że mój widok tak bardzo go poruszył i uradował, że to on ocalił mi życie w ostatniej chwili. Być może w takich okolicznościach człowiek skłonny jest lekceważyć śmierć. Tego wieczoru zastrzelono kogoś na moich oczach, a ja poczułam jedynie tępy wstrząs, nad którym górowało bezmierne szczęście.

Odprowadził mnie do altany, gdzie czekała ayah. Kiedy usłyszała strzał, przekradła się pod dom, by sprawdzić, co zaszło. W pierwszej chwili pomyślała, że mogłam zginąć. Z

pewnością doznała ulgi na widok martwego khansamy, którego od dawna się lękała. Był bez wątpienia zuchwałym, okrutnym zabójcą. Przypuszczałam, że nie powinnam aż tak przejmować się jego losem, skoro wielu innym zgotował taki sam. Śmierć jednak zawsze wywołuje wstrząs, którego skutki wciąż odczuwałam.

Ayah powitała mnie z radością, lecz na widok mojego towarzysza okazała lekki niepokój, który wyraźnie przybrał na sile, gdy Fabian oznajmił, że zamierza nas odprowadzić pod sam dom jej brata. Była przerażona. Nie chciała, by go z nami widziano. Nie wiadomo, czyje oczy nas obserwują.

Fabian uznał jej obawy za niebezpieczne, ustaliliśmy zatem, że będzie szedł w pewnej odległości za nami, z odbezpieczonym pistoletem, na wypadek gdybyśmy potrzebowały pomocy.

Tak powróciłam do domu Salara.

Całą noc przeleżałam bezsennie na posłaniu, pogrążona w myślach.

Życie uległo zmianie. Ulice Delhi stały się bezpieczniejsze, choć nadal trwały zamieszki. Nana Sahib został pokonany, lecz bunt nie wygasł, mimo że Brytyjczycy odnosili jedno zwycięstwo za drugim i przywrócenie porządku stanowiło jedynie kwestię czasu.

Mogłam wychodzić, ale nie zapuszczałam się zbyt daleko. Niekiedy widywałam się z Fabianem, który pozostał w domu.

Dużo rozmawialiśmy o obecnej sytuacji. Nigdy nie wspominał o przeszłości.

Pomyślałam później, że nie wierzył w jakąkolwiek przyszłość dla nas.

Śmierć oddaliła się nieco. Już nie czyhała za każdym rogiem, choć nadal wyczuwało się ją w pobliżu.

Największą troską Fabiana było wyprawienie nas z Indii. Nieustannie zasięgał

informacji na temat niebezpieczeństw zagrażających nam w drodze na wybrzeże. Brytyjczycy odnieśli pełne zwycięstwo w Radżputanie, Malwie, Berarze i kilku odległych rejonach.

Mogłam teraz bezpiecznie przychodzić do domu, Fabian jednak wołał, bym nie pojawiała się zbyt często. Podejrzewał, że któryś z ludzi khansamy może się kręcić w pobliżu i aby pomścić śmierć przywódcy, gotów byłby strzelać do osób wcześniej tu mieszkających.

Miałam pozostać u Salara, dopóki nie znajdzie się jakiś sposób wyprawienia nas z Indii.

Fabian nie opuścił Delhi.

Powiedział mi, że to, co się stało, oznacza prawdopodobnie kres Kompanii w jej obecnym kształcie. Zaczęto zdawać sobie sprawę z tego, iż kompania handlowa nie nadaje się do rządzenia krajem, a dotychczas czyniono to, korzystając z pomocy armii. Takie rozwiązanie okazało się niezadowolające i Fabian przypuszczał, że gdy wszystko się uspokoi, zostanie wyłoniona nowa forma rządu.

- Czyli zachowamy nasze interesy w Indiach?

- Z całą pewnością. Nie ma co do tego wątpliwości. Jestem jednak przekonany, że zostanie wprowadzone nowe ustawodawstwo.

Bardzo lubiłam te spotkania. Zbliżały nas do siebie. Były dla mnie wielką pociechą; okropności, które widziałam, zmieniły mnie na zawsze. Nie mogłam zapomnieć widoku rozciągniętej na łożku Lawinii. Nie potrafiłam wyrzucić z pamięci wachlarza z pawich piór.

Prześladował mnie wyraz przerażenia, zastygły na jej twarzy. Często o niej myślałam - o lekkomyślnej kobiecie, żyjącej w świecie marzeń, w którym była zawsze piękną kusi-cielką, wielbioną przez szlachetnych rycerzy. Co myślała, stanąwszy twarzą w twarz z potworną rzeczywistością? Być może odpowiedź kryła się w jej oszalałych, wytrzeszczonych oczach.

Powtarzałam głośno jej imię: „Lawinio, Lawinio, dlaczego nie usłuchałaś mojej prośby? Dlaczego zwlekałaś? Czy naprawdę wierzyłaś, że Wielki Khansama jest twoim wiernym niewolnikiem i przy nim nie spotka cię żadna krzywda?”. O, biedna, zaślepiona Lawinia!

To, co się stało, głęboko wstrząsnęło Fabianem, był jednak realistą. Lawinia umarła i nic nie mogło przywrócić jej życia. Poniosła śmierć częściowo przez własną nierozwagę.

Teraz musieliśmy myśleć przede wszystkim o dzieciach.

Z nadejściem nowego roku skończyło się powstanie w Bengalu i prawie całych środkowych Indiach. Bahadur Szah, ostatni z Mogołów, został osądzony, skazany za zdradę i zesłany na wygnanie do Birmy. Stopniowo przywracano porządek. Ciągłe rozmyślałam o Dougalu, Alicji i Tomie. Zapewne nadal przebywali w Lakhnau, ale nie dotarły do nas żadne wieści o nich. Bardzo się bałam, że mogło się stać coś strasznego.

Życie było teraz znośniejsze. Wciąż mieszkaliśmy w domu Salara, lecz mieliśmy więcej swobody i nie musieliśmy ukrywać naszej tożsamości. Nasi rodacy odzyskali władzę w Delhi. Nie było powodu, aby obawiać się czegoś złego ze strony Sikhów, zawsze lojalnych wobec Brytyjczyków i świadomych korzyści, jakie przynosiły ich rządy.

Nie zabierałam dzieci do dawnego domu, lękając się powrotu wspomnień i pytań o matkę; to Fabian przyszedł do Salara. Uradowały się na jego widok, choć okazywały swe uczucia dość powściągliwie, gdyż czuły do niego respekt.

Zaszła w nim pewna zmiana. Był teraz poważniejszy. To, co się stało z Lawinią, poruszyło go głębiej, niż przypuszczałam. Co więcej, stracił podczas pogromu kilku przyjaciół i kolegów. Nikt, kto przeżył owe wydarzenia, nie mógł pozostać tak samo beztroski jak dawniej. Człowiek, który nie wie, czy koszmar się nie powtórzy, musi traktować życie z powagą.

Rozmawialiśmy teraz bardzo trzeźwo o sytuacji panującej w Indiach. Nie miewaliśmy już słownych utarczek. Odnosiłam jednak wrażenie, że kontakt między nami - jakkolwiek obecnie bardzo serdeczny - ulegnie zmianie, gdy znajdziemy się ponownie w normalnych warunkach. Być może staliśmy się sobie bliscy, lecz przelotnie. Miałam poczucie tymczasowości.

Myślałam często, że już nigdy nie będę taka jak przedtem. Powtarzałam sobie, iż nie wolno mi przywiązywać zbyt wielkiej wagi do nowych, przyjacielskich stosunków z Fabianem, gdyż żadne z nas nie wiodło normalnego życia.

Czas upływał i spodziewałam się lada chwila usłyszeć, że mam być gotowa do wyjazdu. W końcu ta chwila nadeszła.

Miałam wraz z dziećmi wyruszyć do Bombaju za dwa dni. Ayah zostawała w domu brata. Czekala mnie podróż w gronie innych kobiet i dzieci. Już od dawna planowano ich powrót do domu.

- A zatem - upewniłam się beznamiętnym tonem - pojedę sama.

- Będę wam towarzyszył aż do Bombaju - sprostował Fabian.

- Nie wyobrażam sobie, abyś miała odbyć tak bardzo ryzykowną podróż beze mnie.

Moje serce zatrzepotało radośnie i zganiłam się za to w duchu.

Jakże smutno nam było żegnać się z ayah. Salar spłacił swój dług z nawiązką. Ayah zachowywała się spokojnie, dzieci przycichły. Boleśnie przeżywały rozstanie - być może po raz pierwszy zasmuciły się naprawdę.

- Droga ayah - powiedziała - kto wie, czy nie spotkamy się jeszcze.

Obdarzyła mnie bezbrzeżnie smutnym uśmiechem i odrzekła, że jest głęboko nieszczęśliwa, rozumie jednak, iż musi pogodzić się z losem.

Podróż do Bombaju jeszcze teraz wydaje mi się czymś nierealnym.

Wyruszyliśmy wehikułami typu dak-ghari, podobnymi do tych, które poznałam wcześniej. Wiedziałam, że taki prymitywny wóz, zaprzężony w jednego zaniedbanego konia, zapowiada dość uciążliwą podróż. Dzieci, choć smutno im było opuszczać ayah, z radością wyrzwały na świat z zamkniętego domu Salara. Luiza poinformowała Alana, że jadą do domu, na co chłopczyk zaczął podskakiwać i nucić: „Do domu, do domu!”, zapominając o rozstaniu z ukochaną nianią.

To słowo wywierało czarodziejski wpływ.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem. Jechałam z dziećmi wozem, Fabian zaś towarzyszył nam konno na czele kilku uzbrojonych mężczyzn. Wkrótce do naszej grupy dołączyły nowe osoby i opuściliśmy Delhi w dość licznym gronie. Kobiety i dzieci podróżowały wozami podobnymi do naszego. Przyłączyło się do nas więcej żołnierzy. I taki był początek naszej długiej wędrówki.

Wiedzieliśmy, że bunt jeszcze nie wygasł i że mogą nas zaatakować wrogo nastawieni tubylcy. Nieważne, że nasza grupa składała się z kobiet, dzieci i ludzi w podeszłym wieku. Ta wojna dotyczyła ras, a nie konkretnych jednostek. Wszyscy podróżnicy pragnęli pomagać sobie nawzajem, co było naprawdę wzruszające. Jeśli ktokolwiek zachorował lub przydarzyło mu się coś przykrego, każdy bez wyjątku starał się zrobić, co w jego mocy. Zdumiewało mnie, jak ludzie potrafią się zjednoczyć w obliczu zagrożenia.

W ciągu ostatnich miesięcy większość z tych ludzi zetknęła się ze śmiercią. Nadal padał na nas jej cień i zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że każda chwila może się okazać ostatnią; lecz teraz ten strach z jakichś przyczyn nas opuścił. Śmierć stała się częstym wydarzeniem, uświadomiliśmy sobie kruchość i przemijalność życia. Chyba zaczęliśmy również przywiązywać większą wagę do kwestii duchowych niż materialnych. Nie wiedziałam, na czym to polega. Było to jednak osobliwe, a zarazem podnoszące na duchu doświadczenie.

Co pewien czas zatrzymywaliśmy się w zajazdach, by coś zjeść, odpocząć i zmienić konie, ale nie nocowaliśmy w tych miejscach. Wszyscy uważali, że konieczny jest pośpiech i dopiero na statku będziemy bezpieczni.

Postoje przynosiły wytchnienie, na krótko przestawaliśmy się wtedy trząść w ddk-ghari. Sypialiśmy nieregularnie po kilka godzin. Dzieci zazwyczaj zamykały oczy o zachodzie słońca i przesypiały całą noc.

Przez cały czas zdawałam sobie sprawę z krzepiącej obecności Fabiana. Dzięki niemu wierzyłam, że bezpiecznie dotrzemy do celu. Z tego jednego powodu pragnęłam, by podróż trwała bez końca - ponieważ jej kres oznaczał pożegnanie z Fabianem, którego bliskość wynagradzała wszelkie niewygody. Z Bombaju zamierzał powrócić do Delhi, my zaś mieliśmy popłynąć do Anglii. Dla nas

bezpieczeństwo, dla niego - zagrożenie. Zastanawiałam się często nad losem Toma, Alicji i Dougala.

Podczas owych krótkich postojów wiedliśmy ciche rozmowy, oddaliwszy się nieco od reszty podróżnych.

- Gdy znajdziecie się na pokładzie, wszystko będzie dobrze - mówił. - Oczywiście, z Suez do Aleksandrii musicie podróżować drogą lądową, ale już znasz pułapki tej podróży.

Będiesz zresztą w liczonym gronie i chyba nie zdołają cię oszukać przystojni cudzoziemcy w rodzaju Lasseura.

- Nie - odrzekłam. - Teraz jestem mądrzejsza.

- Czy po powrocie do domu zostaniesz z dziećmi?

- Lady Harriet zapewne zechce je zatrzymać przy sobie.

- Naturalnie. Ty jednak również zajmiesz się nimi. Nie możesz ich opuścić. Pomyśl, jak wiele teraz dla nich znaczysz. Straciły matkę i ayah. Zauważyłem, że lgną do ciebie.

Dajesz im poczucie bezpieczeństwa. Musisz pozostać z nimi w domu Framlingów. Napisałem w tej sprawie do matki.

- Czy twój list w ogóle do niej dotrze?

- Oddałem go jednemu z naszych ludzi, który wyjechał dwa tygodnie temu.

Napisałem, że przyjeżdżasz z dziećmi i pragnął bym, abyś z nimi pozostała do mego powrotu.

- Czyli do kiedy?

Wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Ale musisz z nimi zostać. Moja matka na pierwszy rzut oka może wydawać im się... nieco groźna. Pomożesz im ją zrozumieć. Biedne dzieci i tak już dużo wycierpiały.

- Nie wydaje mi się, by te doświadczenia miały na nie zbyt wielki wpływ.

Przypuszczam, że dzieci prędzej czy później uznają każdą sytuację za normalną. Przywykły nawet do naszego życia w ukryciu, przez te wszystkie tygodnie u Salara.

- A brak matki?

- Pogodziły się z jej śmiercią. Myślą, że poszła do nieba.

- Ale się nad tym zastanawiają.

- Tak wiele się wydarzyło, a Lawinia rzadko je widywała. Szczerze mówiąc, prawie jej nie znały.

- Może to i dobrze.

- Tęsknią, oczywiście, za ayah.

- Dlatego też Igną do ciebie. Sama widzisz, Druzyłło, że nie możesz ich opuścić.

Wy tłumaczyłem to matce.

- Życzysz sobie, abym zamieszkała w domu Framlingów... jako guwernantka?

- Jesteś przyjaciółką rodziny. Kiedy wrócę, zawrzemy umowę. Do tego czasu zaopiekujesz się nimi. Obiecuj mi to.

Obiecałam.

- Jest coś jeszcze - podjął. - Napisałem matce o... tym pierwszym dziecku.

- O Fleur?

- Tak. Uznałem, że powinna wiedzieć.

- Ale Polly i jej siostra...

- Wiem. Opiekowały się nią wspaniale. Gdyby jednak coś im się stało? Fleur powinna mieszkać u swojej rodziny.

- A zatem lady Harriet w końcu się dowiedziała.

- Kiedyś musiała się dowiedzieć. Nie mogłem wiecznie tego trzymać w ukryciu. Kto wie, co tu się jeszcze wydarzy?

- Co ona teraz robi?

- Zapewne zechce odzyskać dziecko.

- O nie!

Już sobie wyobrażałam konfrontację Polly i Eff z lady Harriet. Byłoby to zderzenie niebywale silnych osobowości. Zastanawiałam się, która strona zwycięży.

- Mam nadzieję... - zaczęłam.

- Moja matka postanowi, co należy uczynić z dzieckiem. Cokolwiek się stanie, Fleur będzie miała dom.

- Zapewne masz słuszność - odrzekłam słabym głosem.

- Sądzę, że tak.

- Polly i jej siostra nigdy nie oddadzą Fleur.

- Przypuszczalnie odbędzie się bitwa i nie wiem, kto ją wygra. Moja matka jest bardzo stanowczą damą.

- Polly i Eff również.

- To będzie walka tytanów!

Parsknął śmiechem, a ja mu zawtórowałam. Poczułam się bezpieczna; mój lęk gdzieś zniknął.

Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Karawany wozów, pasących się koni, ciepłego wonnego powietrza, brzęczenia owadów... i Fabiana przy moim boku.

Pragnęłam, by trwało to wiecznie. O dziwo, wcale mi się nie śpieszyło do Bombaju.

Postoje wyglądały rozmaicie. Rozmawialiśmy, milczeliśmy, lecz powstała między nami silna więź. Po raz kolejny przekonałam się, że moje życie wiąże się z Framlingami.

Niekiedy wracaliśmy do przeszłości, w tym również do owych dni, gdy Fabian mnie porwał i odgrywał rolę mego ojca.

- Myślałeś, że możesz sobie brać, cokolwiek zechcesz - wytknęłam mu. - Nawet cudze dzieci.

- Zapewne tak wówczas myślałem.

- I może nadal tak uważasz.

- Dawne nawyki ciągle się odzywają.

Pomyślałam o wachlarzu z pawich piór panny Lucylli, lecz nie odezwałam się ani słowem. Zastanawianie się nad moim legatem przywodziło na myśl coś, o czym pragnęłam zapomnieć - Lawinię na zakrwawionym łóżku, z wachlarzem u stóp.

Musiałam pozostawić to wszystko poza sobą. Trzeba myśleć o przyszłości. Stało przede mną poważne zadanie. Należało odwieźć dzieci do domu i poświęcić im wszystko -

dopóki nie powróci Fabian.

Dotarliśmy wreszcie do Bombaju. Ujrzałam znajome budynki o oślepiająco białych ścianach i morze - bramę do Indii - jak je nazywano. A teraz mieliśmy udać się tamtędy do domu.

Trzeba było poczekać kilka dni na statek. Przypłynął wreszcie i weszliśmy na pokład.

Fabian nas odprowadził. Dostałam małą kajutę, którą dzieliłam z dziećmi.

Nie było czasu do stracenia. Niemal natychmiast odbiliśmy od brzegu.

Fabian pożegnał się z dziećmi, upominając je, by stosowały się do moich poleceń.

Słuchały go z powagą.

Potem ujął mnie za rękę.

- Do widzenia, Druzylo - powiedział. - Przyjadę najwcześniej, jak będę mógł. -

Uśmiechnął się do mnie. - Będziemy mieli dużo spraw do omówienia... i mnóstwo czasu.

- Tak - odrzekłam.

Ucałował mnie w oba policzki.

- Uważaj na siebie.

- Ty też.

Tylko tyle sobie powiedzieliśmy. Odpłynęłam wraz z dziećmi z Bombaju, pozostawiając Fabiana na tej rozdzieranej konfliktami ziemi.

Anglia

Powrót do domu

Niewiele zapamiętałam z tej podróży. Przypuszczam, że obfitowała w różne przygody, jak to zazwyczaj bywa, lecz wszystko wydawało się błahostką w porównaniu z wcześniejszymi wydarzeniami.

Należało zaopiekować się dziećmi, które kręciły się wszędzie i wymagały nieustannej uwagi. Pokład płynącego okrętu niezbyt się nadawał na pokój dziecinny. Wśród starszych pasażerów panowało napięcie, gdyż wielu pozostawiło w Indiach współmałżonków lub krewnych i zastanawiało się nieustannie, jaki los ich spotkał.

Nie mieliśmy żadnych wiadomości; byliśmy grupą uciekinierów z obcego kraju.

Dzieci, rzecz jasna, ekscytowało wszystko, cokolwiek zobaczyły; a załoga cieszyła się ich obecnością. Raz zauważyłam, jak marynarze pokazują Luizie oraz jej rówieśnikom delfiny i latające ryby. Pojawił się nawet wieloryb, wzbudzając ogromne podniecenie.

Nieuniknione sztormy zapędziły nas do kajut, dzieci zaś pękały ze śmiechu, nie mogąc się utrzymać na nogach i widząc, jak drobne przedmioty turlają się po całym pomieszczeniu.

Wszystko było dla nich nowe i fascynujące w tej podróży do cudownego miejsca zwanego „domem”.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewają. Żywiłam tylko nadzieję, że nie doznają rozczarowania.

I tak dotarliśmy do Suez.

Bynajmniej nie wyczekiwałam z utęsknieniem przeprawy przez pustynię, dla dzieci była to jednak niezwykła przygoda. Zupełnie nie przeszkadzały im niewygodne wozy i narowiste konie. Zachwycały je także postoje w karawanserajach. Luiza objaśniała wszystko Alanowi, który - jak to miał we zwyczaju - podskakiwał z emocji.

Powróciła fala wspomnień. Wspólna podróż z Alicją, nasza znajomość z monsieur Lasseurem, pojawienie się Toma Keepin-ga i tajemnicze zniknięcie rzekomego Francuza.

Wzdrygnęłam się na myśl, gdzie byłabym teraz, gdyby nie interwencja Toma, który wypełniał rozkazy Fabiana. Każde skojarzenie prowadziło mnie do niego.

W końcu dotarliśmy do Southampton.

- Czy to dom? - zapytała Luiza.

- Tak - odparłam ze wzruszeniem w głosie. - To jest dom.

Jakże dziwna wydawała się Anglia po owej krainie wypełnionej słonecznym blaskiem i obezwładniająco upalnej, z jej kwiatami lotosu, banianami i ciemnocyminami, poruszającymi się bezgłośnie mieszkańcami o cichej, melodyjnej mowie!

Był kwiecień. Przepiękna pora na powrót - zieleniejące drzewa, pierwsze wiosenne kwiaty, przelotny deszczyk, ciepłe a nie nazbyt gorące słońce, łagodne i odrobinę nieśmiałe, które kryło się często za chmurami. Dzieci przyglądały się wszystkiemu szeroko rozwartymi oczyma. Zapewne już wcześniej uznały „dom” za coś w rodzaju ziemi obiecanej pełnej cudów.

Zawieziono nas do gospody, z której mogliśmy wysłać wiadomość do oczekujących nas osób. Niezwłocznie zawiadomiłam lady Harriet, że dotarłam z dziećmi do Anglii.

Dowiedzieliśmy się, iż sir Colin Campbell oswoił Lakhnau, i sprawiło to wszystkim ogromną radość. Uwierzylimy, że walki nareszcie wygasną.

Podejmowano nas po królewsku. Przeżyliśmy straszliwy bunt sipajów! Ludzie wręcz prześcigali się w uprzejmościach.

Rozmyślałam o tych, którzy tam pozostali. Jak się miewał Fabian? Czy wyzwolenie Lakhnau przyszło w porę dla Alicji, Toma i Dougala? Wolałam sobie nie wyobrażać, że miłość, którą Alicja pragnęła obdarzyć Toma, mogłaby zostać zniweczona przez śmierć.

Lady Harriet nigdy nie tolerowała zwłoki. Gdy tylko otrzymała wiadomość, wysłała po nas powóz. I oto jechaliśmy wiejskimi drózkami, mijając schludne zielone pole, lasy, strumienie i rzeki. Dzieci siedziały jak urzeczone. Luiza milczała, Alan zaś jak zwykle nie potrafił się powstrzymać od podskakiwania.

Ujrzałam znajomą wioskę, pola, plebańnię, Wielki Dom - swojski krajobraz mego dzieciństwa. Zastanawiałam się, co też słyhać u Colina Brady'ego. Zapewne pozostał

uniżonym sługą lady Harriet.

Popatrzyłam na dzieci. Dom Framlingów prezentował się wspaniale w bladych promieniach słońca. Wyglądał zuchwale, groźnie i niewypowiedzianie pięknie.

- Czy to dom? - spytała nagle Luiza.

- Tak - odrzekłam. - Wkrótce poznasz babcie.

Musiałam przytrzymać Alana, który omal nie wyskoczył z powozu.

Na podjeździe zalała mnie fala wspomnień. Lawinia... o nie, wolałam nie przypominać sobie ostatniego z nią spotkania. Fabian... o nim również nie śmiałam myśleć.

Może tylko miałam szalone sny. A teraz, kiedy tak patrzyłam na tę onieśmielającą budowlę, jadąc na

spotkanie z lady Harriet, zrozumiałam, jak niedorzeczne były owe marzenia.

Gdy Fabian wróci, wszystko będzie tak, jak dawniej. Ja, niepozorna dziewczyna z plebanii, otrzymam dobrą posadę guwernantki wnuków wielmożnej pani, ponieważ jestem uczciwa, rozsądna i znam swoje miejsce. Tego właśnie oczekuje lady Harriet, a lady Harriet zawsze osiąga to, czego chce.

Powóz zatrzymał się przed domem, z którego wybiegła pokojówka. Jane? Dolly?

Beth? Nie pamiętałam jej imienia, lecz rozpoznałyśmy się nawzajem.

- Och, panno Delany, lady Harriet życzy sobie, by pani jak najprędzej przysłała do niej z dziećmi.

Alan i Luiza nie mogli się doczekać, kiedy wysiądą z powozu.

Weszliśmy do znajomego holu o wysokim sklepieniu, z porozwieszaną na ścianach bronią, która służyła dawno zmarłym Framlingom do obrony domu przed wrogami. Schody zaprowadziły nas do bawialni, gdzie czekała lady Harriet.

- Już są, proszę pani.

Wstała. Wyglądała dostojnie i groźnie jak zawsze. Jej policzki zabarwił lekki rumieniec, a oczy natychmiast spoczęły na dzieciach. Ich rączki zacisnęły się mocniej na moich dłoniach.

- To jest wasza babcia - powiedziałam.

Wpatrywały się w nią, a ona w nie. Ich widok głęboko ją poruszył i pomyślała, naturalnie, o Lawinii. Cieszyłam się, że nie zna okoliczności śmierci córki, Fabian z całą pewnością jej o tym nie opowie, a ja tym bardziej. Wiele osób zginęło podczas walk.

Każdego mógł spotkać podobny los. W końcu spojrzała na mnie.

- Dzień dobry, Druzylo - odezwała się. - Witaj w domu. Podejdźcie bliżej. To jest zapewne Luiza.

Dziewczynka skinęła głową.

- Ja jestem Alan - przemówił chłopiec. - A to nasz dom, prawda?

Czyżby lady Harriet zamrugała nagle, by ukryć łzy? Byłam tego niemal pewna. Jej głos załamał się lekko, gdy odrzekła:

- Tak, kochanie, to twój dom. - I natychmiast stała się dobrze mi znaną lady Harriet. -

jakże się miewasz, Druzylo? Dobrze wyglądasz. Fabian pisał mi o tobie. Wiem, że postąpiłaś bardzo rozsądnie. Zawsze byłaś rozsądna. Twój pokój mieści się tuż obok sypialni dzieci. Na razie... gdyż niewątpliwie tak będą wołały. Musisz mi kiedyś opowiedzieć o waszych przeżyciach. A teraz, Luizo, podejdź no tu, moja droga.

Dziewczynka niechętnie puściła moją dłoń.

- Drogie dziecko - zwróciła się do niej lady Harriet - jaka ty jesteś duża! Wszyscy Framlingowie są wysocy. Teraz tu będzie twój dom. A ja jestem twoją babcią. Zaopiekuję się wami.

Luiza zerknęła na mnie niespokojnie.

- Panna Delany... Druzylla... także tu zostanie. Będziemy razem. A potem przyjedzie niania... Angielka, taka jak panna Philwright.

W jej spojrzeniu pojawił się cień krytycyzmu. Jak niania Philwright śmiała zaniedbać swe obowiązki do tego stopnia, by opuścić dzieci z rodu Framlingów i wyjść za męża? Lady Harriet była taka sama jak zawsze. Nic się nie zmieniła. Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam w niej jakiś ślad emocji - lecz dotyczyło to jedynie Framlingów i nikogo innego.

Dzieci wpatrywały się w nią z podziwem i zdumieniem. Odniosłam wrażenie, że starsza dama także jest głęboko poruszona ich widokiem. Tak głęboko, iż postanowiła to zamaskować dziarskim i energicznym sposobem bycia.

- Sądzę, że dzieci chętnie by coś zjadły - oznajmiła. – Może bulion... albo mleko i chleb z masłem? Jak sądzisz, Druzylló?

Sam fakt, że zapytała mnie o zdanie, wskazywał, jak bardzo była poruszona.

- Wkrótce podadzą obiad - dodała.

- A zatem wydaje mi się, że najlepsze będzie mleko i po kawałku chleba z masłem. -

Zwróciłam się do dzieci: - Zgadzaście się?

Luiza odrzekła: „Tak, poproszę”, a Alan z powagą kiwnął głową.- Dobrze -

powiedziała lady Harriet. - Posiłek zostanie przyniesiony do waszych pokoi. Sama je wam pokażę. Kazałam już przygotować dawne apartamenty dziecinne. A później, Druzylló, chciałabym z tobą porozmawiać. Twój pokój przylega do sypialni dzieci. Później przyjmiemy nianię, lecz na razie może...

Zapewniłam ją, że to doskonałe rozwiązanie.

Ruszyliśmy po schodach ku dawnym pokojom dziecinnym, a po drodze lady Harriet posłała pokojówkę po napoje.

Pokoje okazały się widne i przestronne. Pamiętałam je z dawnych dni, kiedy przychodziłam bawić się z Lawinią. Przypomniała mi się nagle - taka, jaką ją widziałam po raz ostatni -i ogarnęły mnie złe przeczucia. To właśnie tutaj Fabian sprawował absolutną władzę nawet, jak mówiono, nad własną matką. Był rozpieszczonym królewiczem i spełniano każdą jego zachciankę, choćby wiązała się z zatrzymaniem cudzego dziecka.

Tak wiele wspomnień kryło się w tych ścianach, że zapragnęłam uciec stąd czym prędzej. Byłam kimś obcym, zwykłą córką pastora, niegodną uwagi Framlingów - chyba że mogłam im się do czegoś przydać.

- Zostawię cię na razie, abyś się rozgościła - oznajmiła lady Harriet.

Miałam wrażenie, że nie może dłużej znieść widoku pokoju, w którym bawiła się jako dziecko jej zmarła córka, a teraz to samo będą czyniły wnuki. Czy naprawdę wzruszenie zaczynało brać górę nad stanowczością lady Harriet? Z pewnością za nic by się do tego nie *przyznała*.

Wreszcie wyszła i zostałam sama z dziećmi.

- Czy ona jest królową? - *zapytała* Luiza.

Dziwny był to dzień. Oprowadziłam Luizę i Alana po domu i ogrodzie. Wszystko wydawało im się wspaniałe. Spotkaliśmy kilkoro służących, których myśl o dzieciach w domu napawała nieskrywaną radością.

Doszłam do wniosku, że będą tu szczęśliwe. Na razie trzymały się mnie bardziej kurczowo niż dotychczas, co oznaczało, że są nieco wytracone z równowagi zmianami, jakie zaszły w ich życiu, a ponadto groźna babka wzbudza w nich lęk i podziw.

Przysłano nam na *górze* tacę z jedzeniem. Lady Harriet dała do zrozumienia, że chciałaby ze mną porozmawiać tego samego wieczoru i po obiedzie zaprosiła mnie do bawialni.

- Usiądź, Druzyłło - poleciła. - Mamy dużo spraw do omówienia. Wiem, że wiele wycierpiałas. Sir Fabian opisał mi, jak zaopiekowałaś się dziećmi i zapewniłaś im bezpieczeństwo w najgorszych chwilach, za co jesteśmy ci głęboko wdzięczni. Sir Fabian życzy sobie, abyś pozostała z dziećmi przynajmniej do jego powrotu, który - ma nadzieję -

nastąpi niebawem. Przewiduje, że w Indiach zajdą duże zmiany z powodu tego okropnego buntu. Luizie i Alanowi nic już nie zagraża, lecz pozostaje jeszcze kwestia trzeciego dziecka.

Wiem o nim i o roli, jaką odegrałaś w tej sprawie. Nie będziemy się rozwodzić nad owym wielce niefortunnym wydarzeniem. Dowiedziałam się o wszystkim od mojego syna i odwiedziłam osoby, u których ta dziewczynka przebywa. Cóż za paskudne miejsce!

Napisałam do nich, aby przyjechały tutaj, lecz moja prośba została grubiańsko zlekceważona, więc sama wyruszyłam w drogę. Wielka szkoda, że to one wzięły dziecko.

- Musi pani wiedzieć, lady Harriet, że postąpiły wspaniale. Nie wiem, co byśmy bez nich zrobiły.

- Nie winie cię, Druzyłło. Twoje zachowanie było... godne pochwały. Ta twoja piastunka to szczerza kobieta. - Wydało mi się, że z jej tonu przebija coś w rodzaju niechętnego podziwu dla osoby przypominającej nieco ją samą. - Doceniam ich postawę.

Teraz jednak należy pomyśleć o dziewczynce. Mimo niefortunnych okoliczności towarzyszących jej

narodzinom jest moją wnuczką i powinna wychowywać się tutaj, w domu Framlingów.

- Lady Harriet, one opiekują się Fleur od niemowlęctwa. Kochają ją jak własne dziecko. Za nic nie zechcą się z nią rozstać.

- Będziemy musieli tym się zająć - oświadczyła stanowczo. - Sir Fabian uważa, że mała powinna mieszkać tutaj, ze swym przyrodnim rodzeństwem.

- Wiem, że opiekunki nigdy jej nie oddadzą.

- Pochodzi z Framlingów, a ja jestem jej babką. Mam swoje prawa.

- Takie nagłe przenosiny nie wyjdą jej na dobre.

- Z czasem przemówimy tym kobietom do rozsądku.

- Ale to, co pani uważa za rozsądne, dla nich może wcale ta kim nie być.

Spojrzała na mnie, zaskoczona moją śmiałością, lecz nie spuściłam oczu. Podobnie jak niegdyś poradziłam sobie z Lawinią, postanowiłam, że nie pozwolę się zdominować lady Harriet. Jeśli nie spodoba jej się moje zachowanie, po prostu dam jej do zrozumienia, iż jestem tu wyłącznie ze względu na dzieci. Byłam jej bardziej potrzebna niż ona mnie, przez co zyskiwałam pewną przewagę. Nie uważałam się za zwykłą guwernantkę.

- Zobaczymy - odrzekła nieco złowieszczy tonem i dodała: - Chcę, żebyś pojechała do tych kobiet.

- Myślałam o tym. Polly jest mi bardzo bliska. Jej siostra i Fleur również.

- A zatem jedź jak najprędzej.

- Taki właśnie mam zamiar.

Skinęła głową.

- Wyjaśnij im, jakie korzyści przyniosłoby dziewczynce zamieszkanie tutaj. Mimo wszystko ona jest moją wnuczką. Uważam, że powinny zrozumieć, co to oznacza.

- Myślę, że będą chciały tego, co dla dziecka najlepsze.

- A więc możesz im przemówić do rozumu.

- Nie jestem pewna ich reakcji, lady Harriet.

- Wierzę w ciebie, Druzyłło. - Obdarzyła mnie uśmiechem który prawdopodobnie miał

z góry wynagrodzić moje starania o sprowadzenie nieślubnego wnuczęcia do rodzinnego gniazda. Sprawa nie była jednak taka prosta. Znałam Polly i znałam Eff. Wiedziałam, że okażą się równie

nieugięte jak sama lady Harriet.

- No cóż - dodała - przynajmniej Luiza i Alan mają zapewnioną przyszłość.

- A ich ojciec? - spytałam. - Gdy wróci, może mieć co do dzieci własne plany.

- O, nie! - zaśmiała się. - Nic nie robi. Przekona się, że lepiej im będzie u mnie.

- Czy przyszły jakieś wieści...

- Bardzo skąpe. Był w Lakhnau z tą nianią i jej mężem. -

Prychnęła z niesmakiem.

- Dowiedzieliśmy się, że są bezpieczni. Ale nadal zdarzają się tam okropne rzeczy. Ci niegodziwi ludzie! Żeby mordować tych, którzy tak wiele dla nich zrobili! Anglicy i Angielki, a także angielskie dzieci giną z rąk tubylców... Spotka ich za to kara, nie ma obawy.

- Cieszę się, że są bezpieczni - powiedziałam.

Lady Harriet znów skinęła głową.

- Cóż, Druzyłło, to był męczący dzień dla nas obu. A zatem dobranoc. Przypuszczam, że dzieci już śpią.

- O tak, były bardzo zmęczone.

- Nie wątpię. Przykro mi, że nakładam na ciebie obowiązki piastunki. Ale dzieci zżyły się z tobą i na razie tak będzie najlepiej. Zbyt wiele zmian mogłoby niekorzystnie na nie wpłynąć. Myślę już jednak o dobrej niani.

- Zgadzam się w pełni, że na razie najlepiej im będzie ze mną. Zajmowałam się nimi przez całą podróż... i wcześniej. Bardzo tęsknię za swoją hinduską opiekunką.

Cień dezaprobaty przemknął przez jej twarz.

- Zatrudnimy porządną angielską nianię i to zakończy sprawę. Dobranoc, Druzyłło.

- Dobranoc, lady Harriet.

Jakież to było dziwne uczucie, znaleźć się znowu w tym domu, a na dodatek mieszkać pod jego dachem!

Weszłam do swego pokoju. Pościel wydała mi się bardzo czysta i świeża, a sam pokój przestronny, choć nieco surowy. Aż nazbyt wiele wspomnień kryło się za zielenią ogrodu i pól, za starym kościołem i plebanią - krajobrazem mojego dzieciństwa.

Przypomniał mi się ojciec. Ujrzałam go oczyma duszy, jak wędruje z domu do kościoła z włosami rozwianymi przez wiatr i modlitewnikiem pod pachą, błądząc myślami gdzieś daleko... najprawdopodobniej w starożytnej Grecji.

Tyle się wydarzyło od mojego wyjazdu.

Nie czułam znużenia, a mimo to, zaledwie położyłam się w czystej, chłodnej pościeli, zapadłam w głęboki sen - tak bardzo byłam wyczerpana fizycznie i psychicznie.

Następny dzień spędziłam z dziećmi. Zabrałam je na spacer po starym cmentarzu.

Spotkaliśmy Colina Brady'ego i jego żonę. Niedawno urodziło im się dziecko.

Ellen Brady, córka doktora, nalegała, abym wstąpiła na plebanię, gdzie poczęstowała mnie kieliszkiem domowego wina I z dzikiego bzu. Colin również do nas przyszedł. Luiza i Alan | przysiedli cicho z boku.

Pomyślałam, że to ja mogłabym teraz częstować gości winem j własnej roboty. Ale nie, takie życie nigdy by mnie nie zadowoliło, aczkolwiek lady Harriet niewątpliwie nadal uważała, iż po - j stąpiłam niemądrze.

- Gdy usłyszeliśmy, co się tam dzieje, natychmiast pomyśleliśmy o tobie, nieprawdaż, Ellen?

Jego żona przytaknęła.

- Te wszystkie straszne rzeczy. Jak oni mogli? To musiało być naprawdę przerażające.

Mówili swobodnie, ponieważ pokojówka zaprowadziła dzieci do ogrodu.

-1 panna Lawinia... to znaczy hrabina. Jakież to okropne!

Zgodziłam się, myśląc przy tym: Nie macie zielonego pojęcia, jak zginęła. Nie potrafilibyście sobie tego wyobrazić.

Później, w wiosce, ludzie podchodzili do mnie, by zamienić kilka słów. Kiedy mijałam sklepy, ich właściciele wyglądali na zewnątrz.

- Och, tak się cieszymy, że pani wróciła, panno Druzyllu. To musiało być straszne.

Wszystkie te okropności...

Interesowały ich dzieci.

- Jak miło, że zamieszkają w Wielkim Domu. Lady Harriet będzie zadowolona.

Niewątpliwie była. Wiedziałam, że opłakuje Lawinię. To, iż tubylcy zaatakowali Anglików, wydawało jej się straszne, lecz jeszcze większym szokiem okazała się śmierć jej własnej córki. Być

może nigdy tak naprawdę nie rozumiałam lady Harriet. Zależało jej w życiu jedynie na dzieciach - a teraz na wnukach. Zapowiadała się wielka batalia o Fleur.

Długo nad tym rozmyślałam i gdy tylko upewniłam się, że Luiza i Alan zadomowili się w nowym miejscu na tyle, bym mogła ich opuścić na kilka dni, postanowiłam pojechać do Polly. Napisałam do niej.

Lady Harriet odwiedzała pokoje dzieciinne. Zachęcałam dzieci do rozmowy z nią, zauważyłam jednak, że w obecności babci trzymają się blisko mnie.

Nie narzucała im się: to nie było w stylu lady Harriet. Ale widziałam zadowolenie starszej damy, gdy Luiza zwracała się bezpośrednio do niej. Alan nie patrzył na babkę i nigdy przy niej nie podskakiwał.

- Dzieci wydają się bardzo ciche - zauważyła pewnego razu, kiedy już spały.

- Muszą przywyknąć do nowego otoczenia - odrzekłam. - W ich życiu zaszło wiele zmian. Z czasem zadomowią się tutaj.

- Zaczną naukę jazdy konnej.

Uznałam, że to doskonały pomysł.

- I zaczekam jeszcze trochę z przyjęciem niani.

Tu również się z nią zgodziłam.

- Niech się najpierw oswoją z nowymi twarzami.

Z aprobatą skinęła głową.

- Nadchodzą pomyślniejsze wieści - powiedziała. - Generał Roberts dokonuje cudów.

Pokazuje tym okropnym ludziom, kto jest panem, a sir John Lawrence zasługuje ponoć na najwyższe uznanie za swoje czyny. Wydaje się, iż niebawem sytuacja wróci tam mniej więcej do normy... o tyle, o ile to możliwe w takim kraju. Niewykluczone, że sir Fabian i ojciec dzieci znajdą się w domu wcześniej, niż przypuszczałam.

- Z pewnością przyniesie to pani wielką ulgę, lady Harriet.

- W istocie. No a później, oczywiście, zabrzmia nam weselne dzwony. Lady Geraldine czeka już dostatecznie długo.

Unikałam jej wzroku, w obawie, że czymś się zdradzę.

- Gdy Fabian powróci - ciągnęła - nie będzie mowy o żadnej zwłoce. To ostatnia rzecz, jakiej by pragnął. - Uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Brak mu, niestety, cierpliwości.

Zawsze taki był. Gdy czegoś chce, musi to dostać natychmiast. Dlatego jestem pewna, że ślub odbędzie się wkrótce.

Jakże logiczne wydawały się jej słowa. Tu, w domu, wszystko wyglądało inaczej. W

Indiach, podróżując z Delhi do Bombaju, snułam marzenia, które nie mogły się ziścić. Teraz mogłam się przekonać, jaka byłam niemądra.

Otrzymałam radosną i serdeczną odpowiedź od Polly.

Chodzę po całym domu i śpiewam. Eff powiada, że doprowadzam ją do szału. Tak się cieszę, że wróciłaś cała i zdrowa. Czekamy na Ciebie, więc przyjeżdżaj jak najprędzej.

Gazety powtarzały dobre wiadomości. Bunt sipajów wygasł i wielkie nagłówki obwieszczały zwycięstwo. Generał Roberts i sir John Lawrence stali się bohaterami. Dużo pisano o lojalnych Sikhach i zdradzieckich sipajach. Wszystko szło ku dobremu: niegodziwi poznali miarę swych występków, a sprawiedliwi triumfowali.

Staruszkowie siadywali nad stawem, wiodąc dysputy o oswobodzeniu Lakhnau. Ze swadą przerzucali się nazwami w rodzaju Bundelkhund czy Dżhansi. Wszyscy byli pogromcami nikczemnego Nany Sahiba; wszyscy pokonali jego sprzymierzeńca Tantię Topiego. Pokazali buntownikom, gdzie ich miejsce.

W powietrzu czuło się spokój. Wiosna nadeszła; ciche brzęczenie owadów mieszało się ze szczękaniem nożyc, którymi przycinano żywopłoty.

Tu był nasz dom. A ja nareszcie wybrałam się do Polly.

Wy tłumaczyłam dzieciom, że nie będzie mnie tylko kilka dni. Bardzo polubiły Molly, jedną z pokojówek, i wiedziałam, że chętnie z nią zostaną. Popołudniami miały schodzić pod jej opieką do bawialni, by spędzić godzinę z babcią. Już wcześniej zaakceptowały ten rytuał i coraz mniej lękały się lady Harriet. Czułam, że mogę je bez obawy zostawić; a ponadto musiałam wysłuchać co Polly ma mi do powiedzenia..

Czekała na mnie na dworcu. Na mój widok zalała się łzami i przez chwilę trwałyśmy w uścisku..
Potem odezwała się rzeczowym tonem:

- Eff została w domu. Zagotuje wodę na herbatę, zanim wrócimy. Wielkie nieba, jak ja się cieszę, że cię widzę! Niech no ci się przyjrzę. Nieźle wyglądasz. Tak się martwiłam. Aż włos nam się jeżył na myśl, co się tam działo. Szkoda, że nas nie widziałas, kiedyśmy się dowiedziały, że wróciłaś... Eff i Fleur także. O, ona cię świetnie pamięta. Prawdę mówiąc, Eff jest czasami trochę zazdrosna. Taki już ma charakter. Ale dobrze, że nareszcie przyjechałaś.

Pisałam ci, że przez cały czas chodziłam i śpiewałam, a Eff omal nie dostała od tego bzika.

No i jesteś!

W drodze rozmawialiśmy niewiele. I w końcu ukazał się drogi, znajomy dom.

Drzwi otworzyły się na oścież i zobaczyłam Eff i Fleur. Eff nic się nie zmieniła, Fleur natomiast urosła znacznie bardziej, niż się spodziewałam. Śliczna, ciemnowłosa dziewczynka zarzuciła mi ręce na szyję i ucałowała mnie serdecznie. - Chyba nie będziemy tu stały do wieczora - powiedziała z naciskiem Eff. - Trzymam imbryk na ogniu. I są słodkie bułeczki do herbaty. Trzeba je podpiec. Czekałam z tym na was. Nie chciałam, żeby obeschły.

Usiadłyśmy w kuchni, zbyt wzruszone, by dużo mówić, lecz szczęśliwe, że jesteśmy razem.

Musiałam poznać guwernantkę. „Pani Childers, prawdziwa dama” - usłyszałam.

- Nie powiodło jej się w życiu - dodała Polly. - Jest bardzo skrupulatna i cieszy się, że ma uczennicę. Ani trochę się nie wywyższa, lubi Fleur, a Fleur ją, i to jak jeszcze! Pojętne dziecko. Historia, geografia i francuski, dałabyś wiarę? Fleur ma do tego wrodzone zdolności.

Powinnaś posłuchać ich paplaniny. Skręcamy się ze śmiechu, co, Eff?

- Może ty - odparła Eff. — Ja tam wiem, że francuski to francuski i nie ma się z czego śmiać. Wypada, żeby Fleur mówiła po francusku, bo prawie wszystkie damy tak mówią, a ona kiedyś będzie damą.

Pani Childers okazała się bardzo sympatyczną kobietą. Dobiegała czterdziestki, była wdową i ogromnie lubiła dzieci. Bez wątpienia „nie powiodło jej się w życiu”, lecz -jak orzekła Eff- „nie zadzierała nosa”. Godziła się z rzeczywistością, a Polly i Eff, choć nie były -

wedle określenia Polly - jaśnie wielmożnymi hrabinami”, traktowały ją jak równą sobie i mogła to zaakceptować albo nie.

Pani Childers najwyraźniej to zaakceptowała. Dowiedziałam się od niej, że jest zadowolona i przepada za Fleur. Wszystko zatem układało się doskonale.

Każdego ranka pani Childers zabierała dziewczynkę do parku. Oglądały kwiatki i inne rzeczy, jak poinformowała mnie Eff. A nazywało się to „botaniką”.

Eff często wychodziła na targ po zakupy, dzięki czemu mogłam zostać sam na sam z Polly. Opowiedziała mi o wizycie lady Harriet.

- Wezwała mnie ni stąd, ni zowąd. „Proszę niezwłocznie przybyć do rezydencji Framlingów”. Za kogo ona się uważa? „Wypchaj się sianem” - odpowiedziałam, ale tylko w myślach. A potem się tu zjawiała. Szkoda, że jej nie widziałam. Chętnie bym ją wprowadziła do kuchni, tylko Eff się uparła, żeby przyjąć ją w salonie. No i ta kobieta oznajmiła, że zamierza zabrać Fleur. „Jeśli pani tak sądzi, grubo się pani myli - ja na to. - Fleur ma tutaj dom i tu pozostanie”. Zaczęła nam wyliczać, o ile więcej może dla niej zrobić. „My też możemy” -

odpowiedziałam. Wiesz, że ten dom jest teraz naszą własnością? Spłaciłyśmy go i zaczynamy spłacać sąsiedni. Eff myśli o wyprowadzeniu się na wieś.

- Na wieś? Ależ Polly, przecież ty kochasz Londyn!

- Cóż, z wiekiem człowiek inaczej patrzy na różne sprawy, i Eff zawsze lubiła mieć koło siebie trochę zieleni. W każdym razie to jeszcze nie teraz. Może za jakiś czas. I potrafimy zaopiekować się Fleur bez pomocy jaśnie wielmożnej pani. No, ale co z tobą?

Mieszkaś pod jednym dachem... z tą kobietą.

- Są tam dzieci, Polly... Luiza i Alan. Pokochałybyś je.

- Niewykluczone, jeżeli choć trochę przypominają swoją siostrę. Na pewno się cieszą, że jesteś z nimi, choć dla ciebie to żadna przyjemność, mieć stale do czynienia z jaśnie panią dziedziczką.

- Jakoś sobie radzę. Polubiła dzieci i wie, że mnie potrzebują. Pamiętasz, byłam przy nich podczas tych wszystkich okropnych wydarzeń w Indiach.

Polly kiwnęła głową.

- Ale jak już nie będziesz mogła z nią wytrzymać, przyjedź tutaj. Lokatorzy płacą w terminie i dom już ostatecznie jest nasz. Sporo nas to kosztowało i był taki czas, że ledwośmy wiązały koniec z końcem. A właśnie, jest coś, o czym powinnam powiedzieć. Nie miałam innego wyjścia. Wiem, że zrozumiesz.

- O co chodzi, Polly?

- Fleur zachorowała.

- Nie pisałaś mi o tym.

- Nie było sensu cię martwić, skoro i tak nie mogłaś nic poradzić. W pewnym momencie jej życie wisiało na włosku.

- Och, Polly! Mówisz poważnie?

- Hm, gdyby ta jej babka wtedy przyjechała, Fleur byłaby teraz u niej. Musiałybyśmy się poddać. Miała coś w gardle. Tylko operacja mogła ją ocalić.

- To okropne. Nie wiedziałam.

- Doktor Clement powiedział nam o pewnym człowieku... wybitnym chirurgu czy kimś takim. Uważał, że to jedyny lekarz, który może uratować małą. Ale on należał do tych specjalistów z Harley Street, wiesz... co to trzeba im płacić krocie, żeby cokolwiek zrobili.

Musiałyśmy skądś zdobyć pieniądze. Dopiero co spłaciłyśmy dom. Gdyby to się zdarzyło wcześniej, po prostu zrezygnowałybyśmy z kupienia go. Wtedy jednak nie miałyśmy nic odłożonego. Co by nam przyszło z tego domu, gdybyśmy utraciły Fleur? - Widząc moje przerażone spojrzenie, pokręciła głową z uśmiechem. - Teraz już wszystko dobrze. Ten chirurg całkowicie ją wyleczył. Powiem ci,

cośmy zrobili. Pamiętasz ten wachlarz, który dostałaś w testamencie?

Przytaknęłam.

- Były w nim szlachetne kamienie.

- Tak, Polly, wiem.

- Zniosłam go do jubilera, a on ocenił, że te błyskotki są warte sporo pieniędzy. -

Popatrzyła na mnie przepraszażaco - Powiedziałam do Eff: „Tego by chciała Druzylla, gdyby tu była.” Zgodziła się ze mną. Potrzebowałyśmy pieniędzy jak najszybciej, musiałam w jednej chwili podjąć decyzję. Z jednej strony klejnoty, a z drugiej kochana mała Fleur... Więc wróciłam do tego jubilera, a on kupił kamienie... wyjął je bardzo ostrożnie. Uratowały życie dziewczynki. Nawet trochę pieniędzy zostało, więc zabrałyśmy ją za to nad morze. I miałyśmy przednią zabawę. Trzeba ci było widzieć, jak małej wracały kolory. Bo wiesz...

- Oczywiście, Polly. Cieszę się... Bardzo się cieszę.

- Tak też sobie pomyślałam. Co znaczy kilka kamyków, gdy chodzi o życie dziecka?

To właśnie powiedziałam Eff. Ten jubiler zrobił swoją robotę jak należy, wachlarz wygląda zupełnie tak samo jak przedtem. Schowałam go na pamiętkę. Zaczekaj chwilę.

Wyszła, a ja siedziałam nieruchomo, wstrząśnięta. Sama myśl o pawich piórach podsuwała mi wizję zbrzyzanego krwią wachlarza, leżącego u stóp Lawinii.

Polly stanęła przede mną i z dumą rozłożyła wachlarz. Nie dostrzegłam w nim prawie żadnej zmiany; miejsce, w którym przedtem znajdowały się klejnoty, zostało starannie zasłonięte.

- Widzisz, jaki ładny? - spytała. - Nigdy nie zapomnę, co uczynił dla Fleur.

Zaledwie wróciłam, lady Harriet zażądała ode mnie sprawozdania.

- Nie chcą ustąpić - powiadomiłam ją. - Nigdy nie oddadzą Fleur.

- Czy wyjaśniłaś im, jak wiele korzyści mogę jej zapewnić?

- Uważają, że u nich jest jej lepiej. Zatrudniły guwernantkę.

- Wiem. Ale nie wyobrażam sobie, co w takim miejscu miałaby do roboty dobra guwernantka!

- To bardzo inteligentna osoba i naprawdę lubi Fleur.

- Bzdura! - ucięła lady Harriet. - Trzeba je przywołać do rozsądku. Potrafię wyegzekwować swoje prawa.

- Okoliczności są jednak dość nietypowe.
- Co masz na myśli? Fleur jest moją wnuczką.
- Ale dopiero teraz dowiedziała się pani o jej istnieniu.'
- I cóż z tego? Wiem, że jest moją wnuczką i mam do niej prawo.
- Czy zamierza pani wytoczyć im proces?
- Uczynię wszystko, co konieczne, by odzyskać wnuczkę.
- To by oznaczało ujawnienie faktów związanych z narodzinami dziecka.
- No i?
- Czy pani życzy sobie tego?
- Tak, jeśli to konieczne.
- Sprawa sądowa oznacza rozgłos, który odbije się niekorzystnie na Fleur.

Po chwili wahania lady Harriet oznajmiła:

- Postanowiłam odzyskać to dziecko.

Wyczułam ironię losu w tym, że gdy dziewczynka się urodziła, własna matka jej nie chciała i z trudem znalazłam dom dla Fleur - teraz zaś walczyły o nią dwie silne frakcje.

Jedna o to, by ją zdobyć, druga - by zachować.

Zastanawiałam się, która z nich zwycięży.

Czas mijał. Luiza i Alan stawali się powoli małymi Framlingami. Zachwycała ich nauka jazdy konnej i każdego ranka spędzali pół godziny na padoku w towarzystwie stajennego. Lady Harriet z ogromną satysfakcją spoglądała przez okno na wnuczeta.

Przyjechała niania. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, a od dwudziestu pięciu opiekowała się dziećmi. Lady Harriet była z niej zadowolona. Powiedziała mi, że ta kobieta pracowała w książęcej rodzinie - wprawdzie był to młodszy syn, ale zawsze książę.

- Uwolni cię od najuciążliwszych obowiązków - oznajmiła. - Będiesz mogła zająć się wyłącznie lekcjami.

Dzieci zaakceptowały nianię Morton. Potrafiła utrzymać dyscyplinę, a jednocześnie sprawiała wrażenie wszechwiedzącej istoty, która obroni je przed całym światem - wkrótce więc stała się częścią życia obojga, pomagając im zyskać poczucie tego, co w ich wieku najważniejsze, czyli

bezpieczeństwa.

Od czasu do czasu mówiły o mamie i *ayah*, lecz zdarzało się to coraz rzadziej.

Rezydencja Framlingów była teraz ich domem. Pokochały jej liczne tajemnicze zakamarki, które stopniowo poznawały; pokochały również jazdę konną, a choć nadal darzyły swą groźną babkę lękliwym respektem, okazywały jej pewne przywiązanie i cieszyły się, gdy je chwaliła

- co czyniła niezbyt często. No i miały nianię Morton oraz mnie.

Po pełnych niepokoju miesiącach spędzonych w zamknięciu rozkoszowały się spokojną atmosferą, rozległą przestrzenią ogrodów, ekscytującymi przejażdżkami i dobrobytem.

Lady Harriet często napomykała o lady Geraldine. - Należałoby wyremontować zachodnie skrzydło - zauważyła kiedyś. - Ale wolę tego nie robić. Lady Geraldine może ze-chcieć wszystko zmienić.

Albo:

- Lady Geraldine jest wspaniałą amazonką. Zapewne wprowadzi ulepszenia w stajniach.

Z upływem czasu imię lady Geraldine wypływało niemal przy każdej okazji.

- Teraz już nic nie zatrzymuje sir Fabiana w Indiach - mówiła lady Harriet. - Z

pewnością niebawem powróci do domu. Zaproszę wcześniej lady Geraldine, by ją tu zastał, kiedy przyjedzie. To będzie dla niego miłą niespodzianka. Niech Luiza i Alan nacieszą się pokojami dziecinnymi, dopóki mają je wyłącznie dla siebie.

- Myśli pani o Fleur?

- O niej także, a gdy sir Fabian się ożeni... - Zachichotała cicho. - Wszyscy krewni lady Geraldine mogą się pochwalić licznymi rodzinami.

Rychły powrót syna budził w niej coraz silniejsze emocje.

A potem zjawił się Dougal.

Prowadziłam właśnie lekcję z dziećmi, kiedy przyjechał. Nie uprzedził o tym nikogo.

Wszedł do pokoju razem z lady Harriet. Chwilę wcześniej zza drzwi dobiegł mnie jej głos:

- Mają teraz lekcję z Druzyllą. Pamiętasz Druzyllę? To ta miła, rozsądna dziewczyna z plebanii.

Jak gdyby potrzebował przypomnienia! Byliśmy przecież przyjaciółmi. Widywaliśmy się w Indiach; wiedział, że zaopiekowałam się dziećmi. Ale starsza dama nie przywiązywała wagi do wzajemnych relacji zwykłych śmiertelników.

Wszedł i stanął przed nami z uśmiechem, przynosząc spojrzenie ze mnie na dzieci.

Podniosłam się z krzesła.

- Dzieci, przyjechał wasz ojciec - oznajmiła lady Harriet.

- Dzień dobry, tatusiu - powiedziała Luiza.

Alan milczał.

- Jak się miewacie? - zapytał Dougal. - I ty, Druzyłło?

- Bardzo dobrze - odrzekłam. - A ty?

Kiwnął tylko głową, wciąż patrząc na mnie.

- Dawno się nie widzieliśmy.

- Dotarli do nas wieści z Lakhnau. To musiało być straszne.

- Tak, dla wszystkich - przyznał.

- Sądzę, że można zakończyć dzisiejsze lekcje - zdecydowała lady Harriet - a ponieważ jest to wyjątkowa chwila, przejdziemy do mojej bawialni.

Dzieci zostawiły książki, a ja zatrzymałam się, by je pozamykać i odłożyć na miejsce.

- Zechcecie zapewne towarzyszyć ojcu - powiedziała lady Harriet.

- Tak, babciu - zgodziła się potulnie Luiza.

Dougal spojrzał na mnie.

- Porozmawiamy później - bąknął.

Zostałam sama w pokoju lekcyjnym, powtarzając sobie w duchu, że niezależnie od wszystkiego, co się wcześniej wydarzyło, jestem tylko guwernantką.

Widok ojca nie wzbudził w dzieciach szczególnych emocji, lady Harriet jednak nie posiadała się z radości, gdy Dougal powiadomił ją o rychłym powrocie Fabiana.

- Otrzymałam dobre wieści z Indii - powiedziała mi. - Mój syn wyruszy wkrótce w drogę do domu. Zaraz potem odbędzie się ślub. Gdyby nie ci niegodziwi krajowcy, byłoby już małżeństwem. Zastanawiam się, jaką suknię zamówić. Jako matka pana młodego powinnam się należycie zaprezentować, a Lizzie Carter, choć jest dobrą krawcową, pracuje dość opieszale. Luiza będzie uroczą druhną, a Alan dzielnym małym paziem. Ogromnie lubię urządzać śluby. Pamiętam, jak Lawinia... - umilkła na chwilę. - Biedny Dougal - podjęła energicznym tonem. - Wydaje się bez niej

całkowicie zagubiony.

Nigdy nie zauważyłam, by Dougal szukał oparcia w Lawinii, lecz nie odezwałam się ani słowem. Jej wspomnienie było dla mnie równie bolesne jak dla lady Harriet.

Dougal zamierzał spędzić w domu Framlingów kilka dni, a następnie chciał wrócić do swojej posiadłości. Wykorzystał pierwszą nadarzącą się sposobność, by ze mną porozmawiać.

- Cudownie znowu cię widzieć, Druzyłło - oznajmił. - Bywały chwile, kiedy myślałem, że już nigdy nikogo z was nie zobaczę. Ileż bolesnych przejść mamy za sobą.

- Tak... my i tysiące innych.

- Czasami wydaje mi się, że już nigdy nie będę tym samym człowiekiem co przedtem.

- Chyba wszystkim nam tak się wydaje.

- Odchodzę z Kompanii. Już dawno zamierzałem to uczynić. Szczerze mówiąc, spodziewam się głębokich zmian. Prawdopodobnie Kompania w dotychczasowej postaci przestanie istnieć, państwo przejmie nad nią nadzór. Przekażę swoje udziały kuzynowi.

- Co będziesz robił?

- To, o czym zawsze marzyłem. Wrócę do badań naukowych.

- A dzieci?

Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Och, zostaną u babci.

- Zgodnie z jej życzeniem, naturalnie.

- Wydaje mi się, że tak będzie najrozsądniej. Ma duży dom, osobne pokoje dla dzieci, wie, czego im potrzeba, no i... hm... gorąco pragnie zatrzymać je przy sobie. Opowiadałem Luizie o pewnych nowych odkryciach archeologicznych i to ją wyraźnie zainteresowało.

- Jest bardzo inteligentna. Wszystko ją ciekawi.

- Tak. To fascynujące, badać umysł dziecka... obserwować narodziny inteligencji.

Dziecięce mózgi są doskonałością... nic ich nie zaśmieca, szybko chłoną wiedzę.

- To dla nich konieczne, by zrozumieć, co jest w życiu najważniejsze. Często przekonuję się, że potrafią myśleć jasno i logicznie. Brak im tylko doświadczenia i dlatego muszą się nauczyć, jak znosić zwycięstwa i klęski.

- Twoja obecność podnosi mnie na duchu, Druzyłło. Brakowało mi ciebie. Często wspominam tamte spotkania na plebanii. Pamiętasz je?

- Oczywiście.

- Twój ojciec był bardzo interesującym człowiekiem.

Przeglądaliśmy się dzieciom jeżdżącym na kucykach i w tej właśnie chwili minął nas Alan. Jechał, nie trzymając wodzy. Pilnował go stajenny.

- Patrz na mnie, Druzyłło! - wykrzyknął chłopiec. - Jadę bez trzymania!

Zaśmiał się radośnie, gdy klasnęłam w dłonie.

- Bardzo cię lubią - zauważył Dougal.

- Zbliżyła nas wspólna kryjówka. Przypuszczam, że obydwójce zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Jakie to szczęście, że wyszliście z tego cało.

- A ty byłeś z Alicją i Tomem.

- Tak, znaleźli się w Lakhnau. Żyliśmy w nieustannym zagrożeniu. Nie wiedzieliśmy, co się za chwilę wydarzy. Trudno mi nawet wyrazić, co wszyscy czuliśmy, gdy oddziały Campbella zajęły miasto. Rozegrała się zażarta bitwa.

- Kiedy Alicja z Tomem wrócą do kraju?

- Nieprędko, jak mi wiadomo. Nadal panuje tam zamęt i wszyscy oczekują wielkich zmian. Tom będzie potrzebny, więc na razie jeszcze zostanie na miejscu. Ale ma przy sobie Alicję, wspaniale się dobrali. Fabian wkrótce wróci do domu. Chciał się jeszcze zobaczyć z pewnymi osobami w Londynie. Nie wiem, co z tego wszystkiego wyniknie. Następują nieustanne zmiany, Kompania ulega głębokim przeobrażeniom i trudno przewidzieć, w jaki sposób wpłynie to na życie Fabiana.

- A także na Toma Keepinga.

- Tom da sobie radę, ma szczęście w życiu. Alicja jest wspaniała. - Jego twarz nabrała nieco tęsknego wyrazu. - Pomyśl tylko, znali się tak krótko... i proszę. Wydają się po prostu stworzeni dla siebie.

- Przypuszczam, że to się zdarza szczęśliwcom... - Zawiesił głos, a po chwili mówił

dalej - między nami nie ma miejsca na udawanie, Druzyłło. Zbyt dobrze się znamy.

Zagmatwałem sobie życie.

- Prędzej czy później każdy z nas miewa takie myśli.
- Ale nie ty, mam nadzieję. A ja... jestem zagubiony. Ja, ojciec dwojga dzieci, którym wydaję się kimś niemal obcym.
- To można szybko naprawić.
- One bardzo cię lubią, Druzyлло.
- Znają mnie od dłuższego czasu. Są pod moją opieką, odkąd przybyłam do nich do Indii. Przeżyliśmy razem przerażające chwile. Wprawdzie nie zdawały sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa, lecz takie przeżycia wywierają wpływ nawet na małe dzieci.

Stałam się dla nich czymś w rodzaju opoki, gwarancją bezpieczeństwa.

- Rozumiem to. Postrzegają cię tak, bo masz w sobie siłę, Druzyлло. Często myślę o dawnych czasach, kiedy byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Nie potrafię wyrazić, jak niecierpliwie wyczekiwałem spotkań z tobą i twoim ojcem.
- Wszystkim nam sprawiały przyjemność.
- Rozmawialiśmy na ciekawe tematy, ważne tematy, a było to tym przyjemniejsze, że zawsze znajdowaliśmy wspólny język. Czy zdarzają ci się chwile, gdy pragniesz cofnąć czas, postąpić inaczej, zmienić to, co się stało?
- Przypuszczam, że każdemu zdarzają się takie chwile.
- Moje małżeństwo nie było szczęśliwe. Stało się dla mnie, cóż tu dużo mówić, całkowitą klęską. Bo wiesz... ona była taka piękna.
- Chyba nigdy nie widziałam kobiety piękniejszej niż Lawinia.
- Oślepiła mnie swą urodą. Przypominała Wenus wylaniającą się z morskiej piany.
- Znam twoje uwielbienie dla piękna. Zauważyłam, jak patrzysz na niektóre rzeźby i obrazy.
- Wydała mi się najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu. Odniosłem wrażenie, że darzy mnie sympatią, a lady Harriet zdecydowała...
- O tak - przerwałam. - Z dnia na dzień stałeś się pożądaną partią.
- To nie powinno było się wydarzyć. No ale cóż, ona nie żyje. Zostały dzieci.
- O nie przede wszystkim musisz się teraz zatroszczyć.
- Przypuszczam, że wychowają się tutaj. Jest im tu dobrze.

Obawiam się tylko wpływu Framlingów. Czuję, że dzieci mogą przyjąć system wartości lady Harriet. Cieszę się, że jesteś z nimi Druzyłło.

- Bardzo je kocham.

- To widać. Gdy jednak Fabian powróci... zapewne zechce się ożenić. Jak słyszałem, jest już po słowie z lady Geraldine Fitzbrock. Nie było jeszcze oficjalnych zaręczyn, lecz wkrótce nastąpią, a ponieważ lady Harriet życzy sobie szybkiego ślubu...

- Tak, wspominała mi o tym.

- Przypuszczam, że upłynie pewien czas, zanim Fabian będzie miał własne dzieci.

Wtedy jednak to one obejmą tutaj władzę i jeśli choć trochę wdadzą się w ojca, szybko zyskają przewagę nad Alanem i Luizą.

Miałam nadzieję, że udało mi się ukryć przygnębienie, jakim napełniał mnie temat ślubu Fabiana.

- Chciałbym ich stąd zabrać - ciągnął Dougal. – Gdybym miał własny dom...

- Przecież go masz.

- Rozległa, bezplanowa budowla, bardziej przypominająca fortecę. Odziedziczyłem ją w spadku. Nie nadaje się na dom dla dzieci, Druzyłło.

- Może dałoby się ją zmienić.

- Może... z prawdziwą rodziną...

- Cóż, wszystko przed tobą.

- Tak. Jeszcze nie jest za późno, prawda?

- Niektórzy powiadają, że nigdy nie jest za późno.

- Druzyłło... - zaczął, uśmiechając się do mnie.

Pomyślałam w panice, że zamierza poprosić mnie o rękę, tak jak przed laty wydawało się mojemu ojcu i mnie samej. Uważa zapewne, że byłoby to dobre rozwiązanie. Już od pewnego czasu zastępuję jego dzieciom matkę i wie, że podzielam jego zainteresowania. Nie grzeszę urodą - raczej nie przypominam Wenus wyłaniającej się z morskiej piany - mam jednak inne zalety. Jak powiedziałyby lady Harriet, jestem rozsądną dziewczyną.

W tej właśnie chwili dzieci skończyły lekcję jazdy konnej i podbiegły do nas. Byłam z tego zadowolona. Luiza, nie patrząc na ojca, zagadnęła:

- Druzyłło, wykonałam dzisiaj skok przez przeszkodę. Widziałaś?

- Tak - odrzekłam. - Wyszedł ci przepięknie.

- Naprawdę? Jim mówi, że będzie coraz wyżej podnosił poprzeczkę.

- Aż do samego nieba - wtrącił Alan. - A mnie widziałaś?

- Oczywiście - zapewniłam go. - Patrzyliśmy obydwój z waszym tatą.

- Świetnie się spisałeś - dodał Dougal.

Alan uśmiechnął się i zaczął podskakiwać.

- Przestań - skarciła go Luiza. Popatrzyła przeproszająco na ojca. - On ciągle podskakuje.

- Robi to z radości - wytłumaczyłam.

- Zaczekajcie tylko, aż ja zacznę skakać przez przeszkody! -zawołał Alan.

- Zaczekamy - obiecałam i zwróciłam się do Dougala. -Prawda?

- Ty też? - Chłopiec zerknął na niego z powątpiewaniem. - Razem z Druzyllą?

- Tak jest - potwierdziłam.

Wykonał kolejny podskok i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

A potem wróciliśmy do domu. Alan biegł przed nami, oglądając się co chwila, Luiza zaś kroczyła z powagą między mną a Dougalem.

Fabian znajdował się w drodze do Anglii. Przebywał już na morzu i można się go było spodziewać mniej więcej za tydzień. Nigdy nie widziałam lady Harriet równie podekscytowanej, jak wówczas. Stała się niezwykle rozmowna.

- Doszłam do wniosku, że jeszcze teraz nie zaproszę lady Geraldine. Poświęcałby jej zbyt wiele uwagi, a ja tak dawno nie widziałam mojego syna, że pragnę go mieć dla siebie.

Ponadto będzie bardziej romantycznie, jeśli to on do niej pojedzie. Powinien się oświadczyć w domu jej ojca. Kiedy wróci, wszystko się zmieni. Te dwie kobiety przestaną wreszcie się upierać i Fleur przyjedzie do swej rodowej siedziby.

- Przypuszczam, że ona sama również zechce się wypowiedzieć w sprawie własnej przyszłości.

- Przecież to tylko dziecko! Co też ci przychodzi do głowy, Druzylllo?

- Myślę, że powinnam się zastanowić nad swoim położeniem.

- Jak to: położeniem? Co przez to rozumiesz?

- Być może lady Geraldine zechce wprowadzić pewne zmiany.

- Co do opieki nad dziećmi? Jestem panią tego domu, odkąd przestąpiłam jego próg jako panna młoda, i zamierzam zachować ten stan rzeczy. Ty zaś jesteś bardzo dobrą nauczycielką i postępy dzieci wydają mi się zadowalające. Luiza rozwija się doskonale. Masz talent do nauczania. Moja guwernantka towarzyszyła mi od najmłodszych lat aż do pierwszego sezonu w kręgach towarzyskich.

To zamykało sprawę. Dla niej - lecz nie dla mnie. Nie mogłam zostać. Z pewnością nie wówczas, gdy Fabian ożeni się z lady Geraldine. Wiedziałam, że wcześniej snułam niedorzeczne marzenia. Prawdopodobnie wpłynęły tak na mnie owe dni spędzone w Indiach, które teraz wydawały się koszmarnym snem. Po powrocie do Anglii zrozumiałam, że moje marzenia nie mogą się ziścić.

Framlingowie byli Framlingami. Nigdy się nie zmieniali. Na wszystkich wokół

patrzyli jak na pionki w grze, które przestawiali tak, jak im wygodnie. Liczyliśmy się dla nich jedynie pod względem użyteczności.

Nigdy nie widziałam lady Harriet równie szczęśliwej jak w ciągu owego tygodnia, ja natomiast popadałam w coraz większe przygnębienie. Nie chciałam przebywać w tym domu, gdy Fabian wróci. Nie potrafiłabym podzielać ogólnej radości z jego ze wszech miar korzystnego ożenku. Nie wątpiłam, że wkrótce dojdzie do tego ślubu. Fabian traktował

rodzinne obowiązki równie poważnie jak jego matka, od dzieciństwa wpajano mu przekonanie, iż są one najważniejsze. Nie omyliłam się, wyczuwając między nami wzajemny pociąg. To uczucie istniało od samego początku. Wiedziałam, że Fabian chce mieć ze mną romans; małżeństwo nie wchodziło jednak w rachubę. Dochodziły mnie słuchy o dawnych Framlingach - o ich barwnym życiu i romantycznych przygodach, które nie miały nic wspólnego ze ślubnym kobiercem. Zawierali korzystne małżeństwa i niczego innego od nich nie oczekiwano.

Ja jednak nie mogłam na to przystać. Traktowałam życie zbyt poważnie; byłam, jakby to określiła lady Harriet, zbyt rozsądna.

Często widywałam Dougala. Nie poprosił mnie jeszcze o rękę, wiedziałam jednak, że o tym myśli. Przed oświadczeniami powstrzymywała go tylko obawa, że mu odmówię. Nie należał do mężczyzn podejmujących szybkie decyzje, zawsze się wahał i o jego sprawach rozstrzygać musieli inni.

Wyczekiwał odrobiny zachęty z mojej strony. A ja zadawałam sobie pytanie: dlaczego chciałby się ze mną ożenić? Odpowiedź brzmiała: ponieważ daję mu pewne poczucie bezpieczeństwa, podobnie jak jego dzieciom. Nadawałam się do roli drugiej matki.

Byłoby to niewątpliwie praktyczne i roztropne posunięcie. Życie u boku Dougala biegłoby spokojnie, cicho i przyjemnie - z oddanym, troskliwym mężem i dziećmi dorastającymi pod naszą opieką. Razem oddawalibyśmy się studiom naukowym. Naszą pasją stałyby się zabytki całego świata, książki, sztuka. Mieliśmy wspólne zainteresowania, a ja pogłębiłabym swoją wiedzę.

I może z czasem przywiązałabym się do niego.

Widział we mnie przeciwieństwo Lawinii. Nie potrafił jednak zapomnieć jej niezwyklej, olśniewającej urody, która zachwyciła go od pierwszego wejrzenia.

Każdy radziłby mi skorzystać z tej sposobności. Bo jak właściwie będzie wyglądało moje dalsze życie? Czy miałam je spędzić w służbie Framlingów? A lady Geraldine? Czy mogłaby nie zauważyć, co czuje do mnie jej małżonek? To by stworzyło drażliwą, nieznośną sytuację.

Musiałam wyjechać. Dokąd? Miałam trochę pieniędzy, zaledwie tyle, by wieść nędzną wegetację i odrzucenie tego, co ofiarował mi Dougal, byłoby bardzo niemądre. A Fabian mógł się zjawić lada dzień. Witanie go w domu przekraczało granice mojej wytrzymałości.

Zwróciłam się do lady Harriet.

- Chciałabym znowu odwiedzić Polly.

- Niezły pomysł. - Skinęła łaskawie głową. - Możesz im przekazać, że sir Fabian wraca do domu i położy kres ich niedorzecznemu uporowi. Lepiej, żeby oddały Fleur dobrowolnie. Powiedz im, że nie zapomnimy, ile dla niej zrobiły, i zostaną należycie wynagrodzone.

Gdyby Eff i Polly to usłyszały, utwierdziłyby się w postanowieniu, by nie oddawać dziecka. Stłumiłam jednak protest, bo jak miałabym to wytłumaczyć lady Harriet?

Bliskość Polly napęłniła mnie radością. Powróciłam do czasów dzieciństwa, gdy pomagała mi w kłopotach.

Niemal natychmiast wyczuła, że coś mnie trapi, i na swój zręczny sposób zadbała, żebyśmy zostały same.

- Chodźmy do salonu - zarządziła. - Eff o niczym się nie dowie. Poza tym jesteś gościem, a gości przyjmuje się w salonach.

Usiadłyśmy zatem na sztywnych, nieużywanych krzesłach ze schludnymi pokrowcami na oparciach. Na wiklinowym stoliku pod oknem stała wciąż doniczka z aspidistrą, a zegar, który ich ojciec tak wysoko cenił, tykał nad kominkiem.

- No więc, co cię gryzie?

- Czuję się dobrze, Polly.

- Nie baw się ze mną w ciuciubabkę. Wiem, kiedy coś ci dolega, a teraz nadeszła taka chwila.

- Sir Fabian wraca do domu - bąknęłam.

- Wielki już czas, mówiąc szczerze.

Umilkłam.

- No - zachęciła - wykrztuś to wreszcie. Przecież wiesz, że starej Polly możesz powiedzieć wszystko.

- Jest mi trochę głupio. Zachowałam się bardzo niemądrze.

- Wszyscy bywamy niemądrzy.

- Widzisz, Polly, gdybyś tylko potrafiła sobie wyobrazić, jak to wyglądało w Indiach...

Każda chwila mogła być tą ostatnią. Coś się wtedy dzieje z człowiekiem.

- Lepiej mi powiedz, co się z tobą dzieje.

- Oprócz niego było tam mnóstwo innych mężczyzn, ale widziałam tylko jego. Ocalił mi życie, Polly. Zastrzelił człowieka, który chciał mnie zabić.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową. - Wydał ci się kimś w rodzaju bohatera, co? Zawsze miałaś do niego słabość. Mnie nie oszukasz.

- Być może - mruknęłam. - To głupie z mojej strony.

- Od początku wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. No i pojawił się jeszcze ten drugi. - Zerknęła na mnie. - A potem ożenił się z Lawinią. Lepiej, żebyś już nie miała z żadnym z tych dwóch do czynienia. Z mężczyznami nigdy nie wiadomo, niełatwo trafić na porządnego, ja ci to mówię.

- A twój Tom?

- O, mój Tom... Takich jak on ze świecą szukać. No ale wziął i się utopił.

Powtarzałam mu: „Powinieneś sobie znaleźć robotę na lądzie, ot co”. I czy mnie posłuchał?

Skądże. Mężczyźni są na bakier ze zdrowym rozsądkiem.

- Polly - zaczęłam tłumaczyć - muszę stamtąd wyjechać. On wraca do domu i niebawem się ożeni.

- Co takiego?

- Lady Harriet już czyni przygotowania do ślubu. Wybranką jest lady Geraldine Fitzbrock.

- Cóż za frymuśne nazwisko!

- Zmieni je na lady Geraldine Framling. Nie zostanę tam. Zresztą ona by sobie tego nie życzyła.

- Zwłaszcza jeśli zobaczy, że on ma do ciebie słabość.

- To był tylko przelotny kaprys, Polly. Zapomni o mnie, gdy zniknę mu z oczu.

- Widzę, że powinnaś stamtąd zmykać. Zawsze znajdziesz u nas dom.

- Polly, jest jeszcze coś. Lady Harriet zapowiada, że podejmą działania w sprawie Fleur.

- Jakie działania?

- Będą dochodzili swoich praw. Ona jest jej babką, rozumiesz.

- Babką, akurat! Fleur jest nasza. Wychowałyśmy ją. Miała parę tygodni, gdy ją wzięłyśmy. I mówię ci bez owijania w bawełnę: nikt nam jej nie odbierze.- Jeśli zwrócą się do sądu... przy ich majątku i zważywszy na fakt, że są spokrewnieni z Fleur...

- Nie uwierzę w to. Eff także nie. Nie zechcą wywlekać w sądach francuskich sprawek panny Lawinii. W żadnym razie.

- I ty również, Polly. Na pewno nie chciałabyś stawiać Fleur w takim położeniu.

Polly umilkła, pierwszy raz zbita z tropu.

- Och... nie dojdzie do tego - powiedziała po chwili.

- Są bardzo uparci, a ponadto przyzwyczaili się, że każdy im ustępuje.

- Przekonają się, że nie każdy. Ale mówiłyśmy o tobie. Powinnaś wybić sobie z głowy tego Fabiana, wiesz. Za to ten drugi... no cóż, można by się zastanowić.

- Masz na myśli Dougala?

- Owszem. Jest wprawdzie trochę safandulą, ale w grę wchodzi dzieci, a ty bardzo je lubisz.

- Byliśmy przyjaciółmi, darzyłam go wielką sympatią. Nagle jednak pojawiła się Lawinia. Jakaż ona była piękna, Polly! W pewnym sensie uroda zniszczyła jej życie. Nie potrafiła się oprzeć słowom uwielbienia. Każdy musiał ją podziwiać i to w końcu doprowadziło do jej śmierci.

Zaczęłam opowiadać całą historię. Wszystko ożyło w mojej pamięci. Roszanara...

Wielki Khansama... jego spotkania z Lawinią w buduarze i ostatnia, potworna scena.

- Leżała na łóżku, Polly. Wiedziałam, co się wydarzyło. Uraziła jego dumę i zapłaciła za to w okropny sposób. Podarował jej wachlarz z pawich piór; uznała to za dowód skruchy i zachwytu nad swoją urodą. Ale to był zwiastun śmierci, oznaczał zgubę. Zobaczyłam martwą Lawinię na łóżku, a u jej stóp zakrwawiony wachlarz.

- Coś podobnego!

- Widzisz, Polly, z pawimi piórami wiąże się pewna legenda. Ponoć przynoszą nieszczęście. Pamiętasz pannę Lucyllę i jej wachlarz.

- Jakżeby nie! I myślę o nim z wdzięcznością. Uratował życie naszej Fleur.

- Lecz ukochany panny Lucylli zapłacił życiem za te klejnoty.
- Przypuszczani, że tamci ludzie mogli go zabić w każdej chwili.
- Ale zrobili to, gdy zaniósł wachlarz do jubilera, żeby wprawił w uchwyt drogie kamienie. Panna Lucylla wierzyła w zgubny wpływ pawich piór.
- No cóż, brakowało jej piątej klepki.
- Wiem, że była niezrównowazona, lecz przyczyna tkwiła w tym, co jej się przydarzyło.
- Lepiej daj sobie spokój z tymi wszystkimi dziwnymi wymysłami o wachlarzach.
- Te sprawy mają znaczenie dla tamtejszych ludzi, Polly. Oni są dziwną nacją, inną niż my. Nie przystaje do nich nasza miara tak zwanego zdrowego rozsądku. Dougal sprawdził, że istnieje legenda związana z pawimi piórami. Z pewnością Wielki Khansama w nią wierzył, ponieważ podarował Lawinii wachlarz, a gdy ją zabił, położył go u jej stóp. Był to zatem swego rodzaju rytuał.
- Niech sobie myślą, co chcą. Dla mnie garść piór jest tylko garścią piór i nie widzę powodu, żeby miały mi napędzać strachu.
- Polly, ja trzymałam w rękach ten wachlarz. Swego czasu ojciec i inni ludzie myśleli, że Dougal poprosi mnie o rękę. Wszyscy uważali, iż powinnam za niego wyjść.
- Wykazałby o wiele więcej rozsądku, gdyby oświadczył się właśnie tobie, a i ty byś postąpiła niegłupio, przyjmując go. Może i nie jest księciem z bajki ani jednym z tych walecznych bohaterów, tylko zwyczajnym nieśmiałym człeczyną... ale bywają gorsi, a w życiu nie można mieć wszystkiego. Czasami najlepiej brać to, co się nadarza, pod warunkiem, że ma więcej zalet niż wad.
- Przestał się mną interesować, gdy ujrzał Lawinie. Zupełnie jakby rzuciła na niego urok, już mnie nie dostrzegał. A przecież ojciec i ja dzieliliśmy jego zamiłowania, nasze towarzystwo i wspólne rozmowy sprawiały mu przyjemność. A potem zobaczył Lawinie.

Rzecz jasna, widywał ją już wcześniej, lecz po raz pierwszy objawiła mu się jako wyrafinowana kobieta. Jeżeli darzył mnie jakimkolwiek uczuciem, natychmiast poszło w zapomnienie. To się zdarza dość często.

- Zaczynam podejrzewać, że pomieszało ci się w głowie. Co to wszystko ma wspólnego z wachlarzami?

- Myślę, Polly, że nigdy nie zaznam szczęścia w miłości, ponieważ zabrałam ten wachlarz. Przez pewien czas miałam go w posiadaniu. Tak mówiła panna Lucylla i wydaje się, że...no sama rozumiesz.

- Nic nie rozumiem - oświadczyła Polly. - To do ciebie niepodobne. Zawsze mi się wydawało, że masz trochę oleju w głowie

- Dziwne rzeczy dzieją się z człowiekiem w Indiach.
- No ale już stamtąd wyjechałaś. A tu jest zdrowa, rozsądna Anglia, gdzie wachlarz to tylko wachlarz i nic więcej.
- Masz słuszność.
- Pewnie, że mam. Dostyc już tych bzdur o wachlarzach. Chociaż ten jeden wyświadczył nam przysługę. Wystarczy popatrzeć na małą Fleur. Gdy sobie przypomnę, co się z nią działo, nawet dziś dostaję dreszczy. A więc nie zamierzasz wychodzić za tego Dougala?
- Jeszcze mi się nie oświadczył.
- Wygląda na to, że trzeba go popchnąć we właściwym kierunku.
- Nikogo nie będę popychała.
- Mogłabyś zostać wielką damą. Ja tam nigdy nie przywiązywałam wagi do tytułów, ale na ludziach robią wrażenie.
- Nie wyszłabym za mąż dla tytułu, Polly.
- Na pewno. Wydaje mi się jednak, że to całkiem miły człowiek. Trzeba go tylko wziąć do galopu, a ty to potrafisz. No i są jeszcze dzieci. Lubią cię i chętnie by widziały w tobie nową mamę.
- Być może, lecz nie z takich powodów ludzie się pobierają.
- Ciągłe myślisz o tym wachlarzu. Ubzdurałaś sobie, że przynosi pecha i dopóki go masz, nic ci się nie uda. Dobrze. Chodź no na chwilę do kuchni, coś ci pokażę. Zaczekaj na mnie.

Posłusznie weszłam do kuchni. Było w niej ciepło, ponieważ w piecu płonął ogień.

Podgrzewał płytę, na której stał imbryk.

Nadeszła Polly z puzderkiem zawierającym wachlarz z pawich piór. Wyjęła go i rozłożyła.

- Ładny - mruknęła.

Podeszła do pieca i wrzuciła wachlarz w sam środek paleniska. Pióra natychmiast zajęły się płomieniem; ich nasycony błękit zabarwiła czerwień. Westchnęłam, patrząc, jak rozsypują się w proch. Pozostały tylko osmalone ramki.

Odwróciłam się do Polly z przerażeniem. Patrzyła, na mnie na poły lękliwie, na poły z tryumfem. Wiedziałam, że nie jest pewna, jak zareaguję.

- Polly! - jęknęłam tylko.

Jej twarz przybrała nieco zadziorny wyraz.

- Proszę bardzo. Już go nie ma. Nie musisz o nim więcej myśleć. Za bardzo się przejmowałaś tym wachlarzem, zauważyłam, że ma na ciebie zły wpływ. Cały czas spodziewałaś się najgorszego, a wtedy często wywołuje się wilka z lasu. Nie ma wachlarza, nie ma problemu. Sami kierujemy własnym życiem. My, a nie jakiś pęczek piór!

Pewnego dnia wróciłam właśnie z parku, do którego poszłam z panią Childers i Fleur, gdy Polly wkroczyła pośpiesznie do holu wraz z Eff depczącą jej po piętach. Polly wydawała się niespokojna, Eff była natomiast podekscytowana.

- Masz gościa, Druzyлло! - zawołała i dodała przenikliwym, wystraszonym szeptem: -

W salonie.

- Kto... - zaczęłam.

- Idź i sama zobacz - przerwała mi Polly.

Weszłam do salonu, który wydał się nagle mniejszy i nie tak sztywny jak zwykle. Stał tam Fabian, uśmiechając się do mnie.

- Druzyлло! - Podszedł i ujął moje dłonie. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem mocno mnie uściskał. Gdy wypuścił mnie z objęć, jego oczy wciąż miały badawczy wyraz. -

Dlaczego wyjechałaś? I to tuż przed moim powrotem?

- Myślałam, że pan... że zechcesz spędzić pierwsze dni z rodziną.

Jego śmiech zabrzmiał pogodnie, choć nieco ironicznie.

- Przecież wiesz, że pragnąłem zobaczyć przede wszystkim ciebie.

Pomyślałam tylko: To jest cudowne. Wszystko jedno, co będzie dalej... ta chwila jest cudowna.

- Nie byłam pewna... - zaczęłam.

- Nie przypuszczałem, Druzyлло, że zachowasz się tak niemądrze. Uciekłaś, choć wiedziałaś, że przyjeżdżam.

Usiłowałam odzyskać równowagę.

- Chodzi o Fleur, prawda? Przyjechałeś po nią.

- Co się z tobą dzieje, u licha? Czyżbyś już zapomniała? Nie pamiętasz naszej ostatniej rozmowy, kiedy pragnęliśmy być sami, ale otaczali nas ci wszyscy ludzie? Pierwsze pytanie, jakie zadałem po

powrocie do domu, brzmiało: „Gdzie Druzylla? Dlaczego nie ma jej tutaj, z dziećmi?”. Matka wyjaśniła mi, dokąd pojechałaś. A przecież pisałem, żeby cię zatrzymała. Spodziewałem się, że będziesz na mnie czekała w domu.

- Nie wiedziałam, że zechcesz mnie zobaczyć.

W jego oczach pojawił się wyraz niedowierzania.

- Druzyлло, co się stało? - zapytał z naciskiem.

- Tu, w Anglii, sprawy wyglądają inaczej - odrzekłam powoli. - Teraz wydaje mi się, że w Indiach żyłam w innym świecie, w którym wszystko mogło się zdarzyć. A tutaj jest... tak samo, jak zawsze.

- Jakie to ma znaczenie, gdzie się znajdujemy? Przecież my to my, czyż nie? Wiemy, czego chcemy. Przynajmniej ja wiem. Chcę ciebie.

- Czy pomyślałeś...

- Nie muszę myśleć. Dlaczego zachowujesz się tak chłodno? Nie byłaś taka, gdy ostatni raz się widzieliśmy.

- Już mówiłam, że tutaj sprawy wyglądają inaczej. Jak się przedstawia sytuacja w Indiach?

- Panuje chaos.

- Co z Alicją i Tomem?

- Pławią się w szczęściu. Najwspanialszy przykład małżeńskiej harmonii.

Nie potrafiłam powstrzymać się od uśmiechu.

- O, teraz bardziej przypominasz dawną siebie - zauważył. - Co się dzieje?

Rozmawiamy jak dwoje obcych ludzi. Wróciłem do domu, żeby się z tobą ożenić, a ty zachowujesz się tak, jakbyśmy dopiero co zostali sobie przedstawieni.

- Ożenić się ze mną? Ale...

- Chyba nie zamierzasz zgłaszać sprzeciwu? Znasz mój charakter. Nie biorę pod uwagę odmowy!

- A lady Geraldine?

- Przypuszczam, że miewa się dobrze.

- Ale twoja matka rozpoczęła przygotowania...

- Jakie przygotowania?

- Do ślubu.
- Naszego ślubu.
- Twojego z lady Geraldine. Lady Harriet już układa plany.
- Sam zaplanuję własny ślub.
- Ale lady Geraldine...
- Co ty właściwie usłyszałaś?
- Że zaraz po powrocie wezmiesz ją za żonę.

Parsknął śmiechem.

- Och, moja matka rozważała to przez pewien czas. Po prostu zapomniała spytać mnie o zdanie.
- Wpadnie w furję.
- Zgodzi się ze mną, jak zawsze. Przypuszczam, iż jestem jedyną osobą, z której opinią się liczy. Ale przestań już o niej myśleć i pomyśl o mnie. Nie za nią wychodzisz za mąż!
- Nie mogę w to uwierzyć.
- Chyba nie zamierzasz powiedzieć: „To takie nieoczekiwane, proszę pana”, jak czyni wiele dobrze wychowanych młodych dam?
- Ale, Fabianie, to naprawdę nieoczekiwane...
- Myślałem, że sprawa jest oczywista. Czyżbyś zapomniała, jak było w Indiach?
- Nie zapomniałam niczego, co się tam wydarzyło.
- Przeżyliśmy to wszystko razem. Miałem do siebie pretensje, że cię tam sprowadziłem. Teraz jednak jesteśmy tutaj, obydwójcie... Sądzę, że w tamtych chwilach wiele się dowiedzieliśmy o sobie nawzajem. Zrozumieliśmy, że łączy nas szczególna więź, silniejsza z każdym dniem. Nic jej nie zerwie, Druzyłlo. Zostaniemy razem... już na zawsze.
- Fabianie, myślę, że zanadto się śpieszysz.
- Przeciwnie, byłem dotychczas niewybaczalnie opieszwały. Chyba nie masz zamiaru mi odmówić? Powinnaś wiedzieć, że nie przyjmę do wiadomości odmowy. Natychmiast cię porwę i zawlokę przemocą do ołtarza.
- Ty naprawdę chcesz mnie poślubić?
- Wielkie nieba! Czyż nie wyraziłem się jasno?

- Zdajesz sobie sprawę, że to absolutnie nieodpowiednie?

- Jeśli odpowiada mnie, musi odpowiadać wszystkim innym.

- Lady Harriet nigdy się nie zgodzi.

- Moja matka zaakceptuje to, czego ja chcę. Ona już wie. Gdy nie zastałem cię w domu po powrocie, byłem wściekły. Oznajmiłem: „Zamierzam poślubić Druzyllę i to jak najprędzej”.

- Z pewnością była głęboko oburzona.

- Jedynie lekko zdziwiona.

Pokręciłam głową.

- Zawiodłem się na tobie, Druzyлло. Czy nie pamiętasz tamtego wieczoru, kiedy przyszłaś... - Wykonałam gwałtowny gest, a Fabian mówił dalej: - W tej strasznej chwili bałem się, że mogę nie trafić... że będzie za późno. Nie masz pojęcia, co wówczas przeżyłem.

Tych kilka sekund stanowiło dla mnie wieczność. Zapomniałaś o podróży do Bombaju? Gdy odpłynęłaś, poczułem się beznadziejnie osamotniony i obiecałem sobie, że nigdy więcej się nie rozstaniemy. Zapomniałaś, Druzyлло? Czy nie wybrałem cię, kiedy byłaś jeszcze małym dzieckiem? „Jest moja” - powiedziałem i tak już pozostało na zawsze.

Szczęście, w które wciąż nie potrafiłam uwierzyć, niemal mnie obezwładniło. Fabian przytulił mnie mocno. Gniew lady Harriet, rozczarowanie lady Geraldine, dojmujący lęk, że to tylko sen, z którego się obudzę, przestały się liczyć. Nie myśl o tym, co będzie dalej, nakazałam sobie. Żyj chwilą. To największe szczęście, jakiego możesz zaznać.

Fabiana nie dręczyły podobne skrupuły. Wiedziałam, oczywiście, iż nigdy nie wątpił, że zdobędzie wszystko, czegokolwiek zapragnie.

- A zatem wracamy - oznajmił. - Żadnej zwłoki. To będzie najszybszy ślub w dziejach rodu Framlingów. I bez protestów... proszę.

- Jeżeli to prawda... Jeżeli mówisz poważnie i rzeczywiście tego chcesz... -Tak?

- To życie jest cudowne.

Zawołaliśmy Polly i Eff, by im przekazać nowinę.

- Więc zamierzacie się pobrać - powtórzyła Polly.

Muszę przyznać, że zabrzmiało to nieco wojowniczo i dostrzegłam błyski w jej oczach. Nadal nie była pewna, czy niewinne jagniątko nie zostanie pożarte przez dużego złego wilka.

Fabian wiedział, co Polly sądzi na jego temat. Zerknął na nią z lekkim rozbawieniem.

- Już niebawem - zapewnił - zatańczy pani na naszym weselu.

- Czas tańca dawno się dla mnie skończył - odparła chłodno.

- Może przy takiej okazji warto do niego powrócić - doradził.

Oczy Eff rozbłyły. Wyobrażałam ją sobie, gdy wybiera odpowiednią suknię. „Chodzi o pewien ważny ślub. Sir Fabian Framling żeni się z naszą bliską przyjaciółką”. Już słyszałam, jak objaśnia lokatorom: „No cóż, przypuszczam, że uroczystość odbędzie się z wielką pompą. Polly i ja dostałyśmy zaproszenia od naszej przyjaciółki. Znamy się od dawna”.

Polly nie była aż tak zachwycona. Nie ufała żadnemu mężczyźnie z wyjątkiem swojego Toma, a jej głęboko zakorzenionej podejrzliwości wobec Fabiana nie potrafiły rozproszyć nawet jego oświadczenia.

Mogłam się tylko uśmiechnąć i rozkoszować szczęściem.

Fabian chciał się zatrzymać na kilka dni w Londynie, a później mieliśmy wracać razem. Wynajął sobie pokój w hotelu, a Eff doznała wielkiej ulgi. Przyszło jej do głowy, że będzie musiała „dać mu nocleg”, obawiała się jednak, iż w żadnym z domów nie znajdzie się pokój, który byłby odpowiedni dla tak utytułowanego dżentelmena - aczkolwiek jej prestiż wzrósłby znacznie, gdyby mogła odtąd napomykać mimochodem: „Kiedy sir Fabian mieszkał

w jednym z moich domów...”.

Tego samego dnia poszliśmy do jubilera kupić pierścionek. Był piękny, ze szmaragdem otoczonym brylantami. Włożywszy go na palec, poczułam się szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu - ponieważ przypieczętował nasz związek i ogłosił światu, że mam zostać żoną Fabiana.

Wierzyłam, że będę szczęśliwa. Wierzyłam, że zdołam zapomnieć o okropnościach, których byłam świadkiem podczas buntu sipajów. Fabian kochał mnie goręcej i czulej, niż śmiałam o tym marzyć; a w głębi serca wiązałam swoje szczęście ze spaleniem wachlarza z pawich piór.

Wiedziałam, że to nedorzeczny wytwór wyobraźni. Może zbyt długo przebywałam w Indiach, gdzie mistycyzm rozkwitał nieporównanie bujniej niż na prozaicznej angielskiej glebie. Nie ciążyła na mnie żadna wina. To nie ja zniszczyłam wachlarz; wyręczyła mnie Polly, do której nigdy nie należał, więc klątwa jej nie dotyczyła. Gdy zamykałam oczy, widziałam owe piękne zielonkawoniebieskie pióra kurczące się w płomieniach. Poniosła mnie fantazja; pozwoliłam, by wachlarz zawładnął moją wyobraźnią, i podświadomie przypisałam mu magiczne właściwości, wywierające wpływ na moje życie.

Ale ten czas już minął! Byłam wolna, pragnęłam rozkoszować się każdą chwilą.

Oczywiście czekały mnie przeszkody i musiałam je pokonać, odkładałam to jednak na przyszłość i żyłam terazniejszością - cudowną terazniejszością, w której kochałam i byłam kochana.

Podczas rozmowy w ogrodzie pod domem Fabian oznajmił nieoczekiwanie:

- Pozostaje jeszcze kwestia Fleur.
- Polly i Eff nigdy jej nie oddadzą - powiedziałam.
- Nie może tu zostać.
- Fabianie, to niegodne wykorzystywać ludzi, dopóki są przydatni, a potem ich odtrącać.
- Mam pomysł. Powinny sprowadzić się z nią do nas.
- Polly i Eff?
- Tak uważam. Na terenie posiadłości jest kilka wolnych domków. Mogą zamieszkać w którymś z nich, razem z tą małą. Miałaby wtedy, w pewnym sensie, dwa domy. Po pewnym czasie, gdy wyjedzie do szkoły, staną się dla niej jednym.
- Polly i Eff wynajmują mieszkania. Nie zechcą przenieść się na wieś.
- Pragną dobra Fleur, a na dodatek znalazłyby się blisko ciebie. Powinny dać się przekonać, zwłaszcza gdy ty się podejmiesz pertraktacji.
- Nie jestem pewna, czy przyjmą taką propozycję... jeżeli w ogóle ją rozważą.
- To zależy od ciebie. Tyje przekonasz.
- Są bardzo niezależne.
- Ten dom jest ich własnością, jeśli się nie mylę. Mogą go sprzedać i kupić inny.
- To zależy od ceny.
- Cena nie gra roli. Mogą u nas zamieszkać nawet za darmo.
- Nigdy by się nie zgodziły. Uznałyby, że oznacza to dług wdzięczności.
- Więc niech kupią jakiś domek... za sumę, która im odpowiada. To przecież całkiem proste.
- Nie znasz ich.
- Nie, ale znam ciebie i jestem pewien, że znajdziesz rozwiązanie.

W pierwszej kolejności rozmówiłam się z Polly.

- Coś podobnego! - wybuchnęła. - Mamy sprzedać dom i wziąć to, co oni nam dadzą?

Nie potrzeba nam łaski Framlingów.

- To nie jest łaska. Będziecie od nich zupełnie niezależne. Możecie sprzedać ten dom i kupić inny.

- Nie ma mowy!

- Zamieszkałabyś blisko mnie, Polly. Byłoby wspaniale.

Pokiwała głową.

- A Fleur miałaby wszystko, co mogą jej zapewnić Framlingowie.

- Wiem. To właśnie mnie martwi. Rozmawiałam już z Eff.

- Znalazła u was dom, otoczyłyście ją miłością. To cudowne, Polly. Ale ona musi wyjechać do szkoły. Rodzina bardzo jej w tym pomoże.

- Niech ci się *nie* wydaje, że nie bierzemy tego pod uwagę.

- Może byś pomówiła z Eff?

Polly rozważała ewentualne korzyści takiego rozwiązania. Obie pragnęły nade wszystko dobra Fleur. Była dla nich najważniejsza; i widziałam, że Polly coraz bardziej podoba się pomysł zamieszkania blisko mnie. Uważała, że mogę potrzebować dobrej rady, jeśli już wychodzę za mąż za kogoś takiego jak Fabian.

Była w rozterce. Eff wyznała jej, że ma już dość niektórych lokatorów, zwłaszcza

„numeru 28 z drugiego piętra”.

- Dla mnie to byłoby wspaniale, Polly - powtórzyłam.

- Porozmawiam z Eff - odrzekła. - Ale ona się nie zgodzi.

- Mogłabyś ją przekonać.

- No tak, wiem, że lady Harriet chce jak najlepiej dla Fleur, ale tam będzie inaczej niż tutaj...

- Zastanów się nad tym, Polly... poważnie.

Później szepnęłam Fabianowi:

- Chyba nam się uda.

Wróciliśmy razem do Wielkiego Domu. Zebrałam siły, by stawić czoło lady Harriet, i zdumiała mnie jej łaskawość. Przywitała mnie inaczej niż przedtem. Opuściłam rezydencję Framlingów jako guwernantka, a teraz powracałam jako narzeczona jej ukochanego syna.

Zastanawiałam się, czy nie podaje w wątpliwość zdrowego rozsądku Fabiana, biorącego za żonę zwykłą dziewczynę z plebanii - zwłaszcza gdy ona sama, lady Harriet, wybrała mu inną kobietę.

Przypominałam sobie zdarzenie sprzed lat, kiedy to przyprowadził mnie do domu i oznajmił, że chce

być moim ojcem. Lady Harriet nalegała, by spełniono kaprys jej syna.

Obecna sytuacja wydawała się nieco podobna.

Teraz starsza dama z uśmiechem rozprawiała o ślubie.

- Nie ma sensu dłużej zwlekać - mówiła. - Już od dawna myślałam, Fabianie, że najwyższy czas, abyś się ożenił. Ty zaś, Druzyłlo, nie powinnaś stąd jechać do kościoła.

Panna młoda nie może przebywać pod tym samym dachem, co pan młody, aż do dnia ślubu.

Powinnaś teraz przenieść się na plebanię. To wydaje się najbardziej właściwe, ponieważ plebania była niegdyś twoim domem. Szkoda, że nie odda cię mężowi Colin Brady. Byłby najlepszy... ale powinien celebrować nabożeństwo, więc musi wystarczyć doktor. Jego córka jest żoną pastora, toteż doktor z pewnością spisze się doskonale. Nie gorzej niż sam Colin Brady.

Tylko raz padła wzmianka o lady Geraldine.

- Miła panna... ale nieco za bardzo rozmiłowana w jeździe konnej. Prawie cały dzień spędzała w siodle, to psuje figurę i oznacza brak innych zainteresowań.

Nie zdradzała żadnych przejawów rozczarowania. Pod tym względem lady Harriet ukazała nowe oblicze. Miłość do syna przewyższała nawet tę, którą darzyła córkę, gdyż Fabian był w jej oczach ucieleśnieniem doskonałości. Rzadko wspominała Lawinie, co nie oznaczało jednak, że o niej zapomniała. Często przesiadywała w jej dawnym pokoju i wychodziła stamtąd wyraźnie przygaszona. Lecz Fabian był dla niej ideałem dżentelmena jako jej syn. A ponieważ wybrał mnie, stałam się w cudowny sposób doskonałą synową.

Nie potrafiłam uwierzyć w taką zmianę frontu, dopóki nie zaczęłam rozumieć lady Harriet. Musiała zawsze mieć słuszość, więc rozsądnie pogodziła się z tym, co nieuniknione, i wmówiła sobie, że właśnie tego zawsze pragnęła. Zaczęłam żywić do niej cieplejsze uczucia, ponieważ obydwie kochałyśmy tego samego mężczyznę bardziej niż kogokolwiek na świecie. Ona również to wyczuła i natychmiast nawiązała się między nami nić porozumienia.

Historia rzeczywiście zdawała się powtarzać. Podśluchałam pewną rozmowę, podobną do tej sprzed lat, w tym samym ogrodzie, w którym usłyszałam, że jestem niepozornym dzieckiem z plebanii. Tamta uwaga ugodziła mnie wówczas głębiej, niż przypuszczałam.

Lady Harriet wyznaczyła doktorowi określoną funkcję w trakcie uroczystości i teraz udzielała mu instrukcji w bawial-ni. Dobięł mnie jej głos, donośny i apodyktyczny:

- Zawsze przeznaczałam Druzyllę Fabianowi i cieszę się, że wszystko poszło po mojej myśli. Ona ma dobrą rękę do dzieci, no i jest bardzo rozsądna...

Na powierzchni sadzawki odbijało się słońce i pływały po niej lilie wodne. Biały motyl zatrzepotał skrzydłami i przysiadł na jednym z kwiatów. A potem odleciał.

Byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Fabian mnie kochał. Byłam pewna, że wkrótce zjawią się w pobliżu Polly i Eff, przywożąc Fleur. Zniknęły obawy, które budziła we mnie groźna teściowa. Co więcej, nasze zrozumienie mogło przerodzić się w sympatię.

Przy boku Fabiana życie wydawało się piękne.